

I

Pojawił się w ich życiu w ostatnich dniach ostrej górskiej zimy.

Był to okres, w którym kraina sprawiała wrażenie ponurej i zmęczonej zimnem. Pożółkły śnieg, przypominający wosk starych świec, leżał płatami, balsamiczne topole trzeszczały od mrozu, a wiosna wciąż wydawała się bardziej wspomnieniem niż obietnicą.

Tego niedzielnego ranka, gdy zjawił się obcy przybysz, Rachel Yoder nie chciało się wstać z łóżka. Leżała pod grubą kołdrą ze wzrokiem utkwionym w oknie, w którym jak w ramach widniało szare niebo. Słuchała stękania ścian przy uderzeniach wiatru i czuła słabość sięgającą do szpiku kości.

Leżała i słuchała, jak Benjo rozpala ogień w kuchni: stukwały fajerki, trzaskały drewnianki na podpałkę, szurgotała szufelka podczas wygarniania popiołu. Potem w domu zapadła cisza i Rachel wiedziała, że syn spogląda na zamknięte drzwi jej izby i zastanawia się z niepokojem, dlaczego jeszcze nie wstała.

Opuściła nogi na podłogę; zadrzała z zimna, które ciągnęło od gołych sosnowych desek i wkładało się pod nocną koszulę. Ubrała się, nie zapalając lampy. Jak każdego ranka włożyła prosty ciemnobrązowy stanik i spódnice oraz czarny fartuch. Na ramiona zarzuciła czarną trójkątną chustę, skrzyżowała końce na piersiach i przypinała w pasie. Palcami zgrabiętymi z zimna z trudnością wbijała duże szpile w sztywną wełnę. Wyznawcy Prostej i wąskiej drogi nie używali pętelek ani guzików. Kobiety prostaczków od początku spinały ubrania szpilkami, i tak będą robić zawsze.

Wreszcie zajęła się włosami. Były gęste i długie, sięgały do ramion i miały kolor polerowanego mahoni. Tak przynajmniej powiedział pewnego razu jedyny mężczyzna, który je oglądał. Uśmiechnęła się na to wspomnienie. „Polerowany mahoń” - tak powiedział. I słowa te padły z ust mężczyzny, który urodził się jako wyznawca prostej i wąskiej drogi i innego życia nie znał, a zatem jego oczy z całą pewnością nigdy nie widziały mahoni, polerowanego czy też nie polerowanego. Och, Ben!

Zawsze zachwycał się jej włosami, musiała więc uważać, by nie wbić się w pychę. Ściągnęła je do tyłu i zwinęła w węzeł, a następnie całkiem zakryła wykrochmalonym, batystowym, modlitewnym czepcem, noszącym nazwę *Kapp*. Palcami wymacała sztywny środkowy fałd, by w ten sposób upewnić się, że włożyła go na środek głowy. Nigdy nie mieli lustra - ani w tym domu, ani w tamtym, gdzie dorastała.

Nęciło ją ciepło kuchni, ale została jeszcze w chłodzie i w szarości świtu, by wyjrzeć przez okno pozbawione firanek. Tej zimy sosny Banksa, rosnące rzędem wzdłuż góry po tamtej stronie potoku, zamarły i miały teraz kolor starej rdzy. Chmury nabrzmiały groźbą następnego śniegu osnuwały wierzchołki górskie.

- Przyjdź już, wiosno - szepnęła. - Pospiesz się, proszę.

Opuściła głowę i oparła czoło na zimnej szybie. Nie mogła doczekać się wiosny, a przecież wraz z nią nadchodziła pora rodzenia się jagniąt, co oznaczało więcej niż miesiąc ciężkiej pracy i troski.

Tę wiosnę będzie musiała przeżyć sama.

- Och, Ben - powtórzyła, tym razem na głos.

Zacisnęła wargi, chcąc zwalczyć swoją słabość. Jej mąż cieszy się teraz lepszym życiem, życiem wiecznym, szczęśliwością i ukojeniem na łonie Abrahama i zaznaje chwały niebiańskiej. Tęsknota za nim świadczyłaby o egoizmie z jej strony. Musi znaleźć w sobie odwagę, by poddać się woli bożej, choćby ze względu na ich syna.

Odeszła od okna i przywoławszy uśmiech na usta, otworzyła drzwi i wkroczyła do ciepłej, zalanej żółtym światłem kuchni.

Benjo stał przy stole i wsypywał kawę do młynka. Ręka mu drgnęła, gdy szcęknęła klamka, i ziarenka rozsypały się po brązowej ceracie. Utkwił oczy, zbyt błyszczące, w twarzy Rachel.

- Mamo, dlaczego wstałaś t... t... tak późno? Czy cz... cz... czu... - Ścisnął zęby, usiłując wydostać z gardła słowo, które utkwilo gdzieś między głową a językiem.

Doktor Henry twierdził, że jeśli Benjo ma kiedykolwiek zwalczyć jękanie, to ona nie powinna kończyć za niego zdania i musi pozwolić mu na samodzielną walkę ze słowami. Patrzenie jednak na jego mordęgę sprawiało jej ból, toteż niekiedy nie potrafiła się opanować.

Potrząsnęła przecząco głową i podeszła do syna.

- Czuję się tylko trochę rozleniwiona.

Delikatnie zgarnęła mu włosy z oczu. Nie musiała się już pochylać, tak bardzo urósł. W lecie skończy dziesięć lat. Niedługo ją przerośnie.

Dni upływały niepostrzeżenie, jeden za drugim. Zima zamieniała się w wiosnę, rodziły się jagnięta, nadchodziły sianokosy i strzyża, potem okres parzenia się owiec i znów były młode. Rano się wstawało, wkładało ubranie babki, udawało na modlitwy i śpiewało psalmy, które niegdyś śpiewał dziadek, i ta wiara była ich wiarą, i będzie wiarą ich dzieci i wnuków. I to właśnie - płynięcie dni jak rzeki do oceanu lat - zawsze tak jej się podobało w życiu prostaczków. Upływ czasu stał się pociechą. Słodka monotonia, powolność i niezmienna pewność upływania czasu.

- Spodziewam się, że nadciągnie tu stado głodnych owiec - powiedziała z gardłem ściśniętym melancholijnym smutkiem. - Pewno słysząc ich beczenie w całej okolicy. Lepiej zabieraj się do wyciągania sań z sianem, ja tymczasem zatroszczę się o nasze puste brzuchy. Inaczej spóźnimy się na modlitwy. - I znów odgarnęła mu włosy. - I czuję się dobrze, nasz synu. Naprawdę dobrze.

Kiedy zobaczyła ulgę pojawiającą się na jego twarzy, słodko ścisnęło jej się serce. Lekkim krokiem poszedł ku drzwiom, zabierając sprzed pieca gumowe buty, a z wieszaka na ścianie kapotę i kapelusz. Jego ojciec był roslym mężczyzną o ciemnych oczach, ciemnych włosach i gęstej, sięgającej piersi brodzie. Benjo się w nią wrodził: drobnokościsty, mały jak na swój wiek, miał szare oczy i mahoniowe włosy.

Zostawił drzwi otwarte i do kuchni dmuchnął wiatr, a z nim Targnęła zima.

- Mamo! - zawołał Benjo z ganka, gdzie przysiadł na stopniu, by wciągnąć gumki. Obrócił głowę, żeby na nią popatrzeć oczami pełnymi szczęścia. - Dlaczego o... o... owca wciąż je?

Tym razem nietrudno było jej się uśmiechnąć. Ach, ten Benjo i jego nieznośne pytania!

- Nie wiem na pewno, ale przypuszczam, że potrzebuje mnóstwo trawy i siana na całą tę wełnę.

- I na wszystkie te j... jagnięta. - Zaśmiał się, podskoczył i przytupując, wcisnął pięty w gumki. Potem zamachnął się rękami i zeskoczył ze schodka na podwórko; lodową breją ochlapał cały ganek.

Ostry gwizd przeszył powietrze. MacDuff, brązowo-biały szkocki owczarek, wypadł z gęstwiny wierzb rosnących nad potokiem. Popędził prosto do Benja, skoczył mu na pierś i o mało nie przewrócił. Rachel zamknęła drzwi, słysząc głośny śmiech chłopca i szczekanie MacDuffa. Z uśmiechem na ustach oparła się na chwilę o drzwi, przyciskając tył głowy i ramiona do chropowatej sosnowej deski.

Kawa zaczęła kipieć z dzbanka, szybko więc podbiegła do pieca. O Judaszu! Musi się pospieszyć ze śniadaniem, jeśli mają dotrzeć na modlitwy bez karygodnego spóźnienia. Wszyscy członkowie zboru zamieszkujący tę wysokogórską dolinę zbierali się na nabożeństwo w co drugą niedzielę. Nikt nigdy nie opuścił kazania, chyba że przeszkodziła mu śmiertelna choroba.

Gorący smalec pryskał i skwierczał, gdy położyła grubą kukurydzianą placek na patelni. Uchyliła trochę okno, żeby wypuścić dym. Placek skwierczał, wiatr świszczął na parapecie, a gdzieś z pastwiska dolatywało tradycyjne pasterskie nawoływanie: O-wi! O-wi!

Wyrzała przez okno. Benjo miał trudności ze skłonieniem gromadki kotnych maciorek, by przestały chować się pod topolami i udały do karmnika. Głupie stworzenia kręciły się uparcie w kółko. Długie kościste pyski i rozwarte oczy wyczernione z szarej wełny upodobały je z daleka do stada wystraszonych sów.

Wtedy właśnie Benjo przestał machać rękami na owce i stanął nieruchomo. Głowę miał uniesioną i lekko przechyloną, wzrok utkwiony w dali. Rachel, patrząc na syna, poczuła ukłucie w sercu. Czujny i stojący w bezruchu pod topolami chłopiec nagle zupełnie przypominał swojego ojca.

Podeszła do okna, zapominając o trzymanej w ręce patelni ze skwierczącym plackiem. Szyba zaparowała od jej oddechu, musiała ją przetrzeć. I wtedy go zobaczyła - nieznajomego idącego przez ich łąkę. Miał długi czarny prochowiec i czarny kapelusz. Zmierzał prosto do nich.

Nie było w nim nic specjalnie groźnego, a jednak ścisnęła mocno rączkę patelni. Wiatr załomotał w szyby, Rachel się wzdrygnęła.

Szedł chwiejnie, jak ktoś, kto wypił za dużo whisky i komu nogi odmawiają posłuszeństwa. W tej okolicy nikt nie chodził pieszo. Było to zbyt wielkie pustkowienie jak na to, by wybrać się dokądś bez wozu czy konia. A człowiek poruszający się na piechotę - jak uważała większość innowierców - to w ogóle nie człowiek.

Rachel porzuciła ciepłą kuchnię i dołączyła do Benja na podwórku. Oboje patrzyli na przybysza, który zataczając się, szedł wolno wprost ku nim.

- Może to komiwojażer, któremu zepsuł się wóz - powiedziała. MacDuff, wciąż pilnujący owiec pod topolami, przywarował na sztywnych nogach z groźnym warkotem. - Albo pastuch od krów, któremu okulał kucyk.

W zimie wiatr utworzył na łące śniegowe bruzdy, które zamarzały w dzień i w nocy. Mimo świstu wichury słyszała chrupot lodu załamującego się pod butami nieznajomego.

Upadł na kolano. Wiatr rozwiewał czarny prochowiec: na tle ołowianego nieba wyglądał teraz jak kruk ze skrzydłami rozpostartymi do lotu. Podniósł się znów na nogi, pozostawiając na starym woskowożółtym śniegu jaskrawoczerwoną smugę.

- On jest r... r... r...! - krzyknął Benjo, ale Rachel uniosła już spódnicę i ruszyła biegiem.

Stopa nieznajomego uwięzła w lodzie; runął jak długi i tym razem już się nie podniósł. Rachel uklękła przy nim tak gwałtownie, że Benjo, biegnący tuż za nią, omal na nią nie wpadł. Krew wsiąkała wokół nich w śnieg coraz szerszym kręgiem.

Położyła dłoń na ramieniu nieznajomego. Wzdrygnął się, gdy go dotknęła, podźwignął na kolana i podniósł głowę. Dojrzała skrajne przerażenie w jego oczach, nim zatrzepotał powiekami i zdążył je zamknąć. Potem osunął się na ziemię, zamieniając się w gromadkę czarnego materiału i czerwonej krwi.

Kałuża krwi rosła. Cały dół czarnego prochowca był od niej mokry. Jaskrawe czerwone ślady prowadziły z łąki w stronę rzędu żółtych sosen, skąd nieznajomy przyszedł.

- Benjo - powiedziała skrzeczącym głosem. Chłopiec drgnął i cofnął się o krok. - Benjo, musisz jechać do miasta po doktora Henry'ego.

- N... n... n...!

Odwróciła się, nie wstając z klęczek, i chwyciła syna za ramię.

- Benjo...

Oczy miał dzikie i kręcił głową tam i z powrotem.

- Nie m...

Potrząsnęła nim.

- Owszem, możesz. On cię zna, nie musisz więc z nim rozmawiać. Możesz mu to napisać.

Szare oczy syna spoglądały teraz na nią; twarz wykrzywił mu strach. Dla chłopca, ubranego jak przystało prostaczkom i zachowującego się jak oni, wyprawa do miasta i znalezienie się wśród innowierców były udręką. Zazwyczaj oni się tylko gapili i szeptali do siebie, przysłaniając usta dłońmi, ale czasami bywali okrutni. W stosunku do chudzielca, który się jękał, niemal zawsze byli okrutni.

Chwyciła go za szyję, o mało co nie zrzucając mu kapelusza z głowy.

- Benjo, m u s i s z. Ten człowiek jest umierający. - Obróciła go i popchnęła w stronę podwórka. - Jedź, jedź zaraz. Jedź!

Mężczyzna był umierający. Nie rozumiała, dlaczego jeszcze żyje, skoro utracił tak wiele krwi i co gorsza - w dalszym ciągu ją traci. Musi go zabrać do domu z tego lodowatego wiatru i zamarznętej ziemi, gdzie na pewno umrze, i to szybko.

Spróbowała rannego podnieść, ale jej się nie udało. Chwyciła go za ręce i pociągnęła, lecz się zatrzymała, widząc płynącą spod niego rzekę świeżej czerwonej krwi.

Usłyszała mlaskanie kopyt po błocie. Obejrzała się przez ramię. Na oklep na ich starym koniu pociągowym wyjechał ze stajni Benjo. Patrzył na nią przez chwilę, po czym szturchnął piętami kobyłę w krągłe boki i klepnął po zadzie kapeluszem. Kobyła parsknęła i ruszyła klusem, przebiegła, stukając kopytami, przez most z bierwion nad potokiem i podążała drogą w stronę miasta po śladach zostawionych na śniegu przez koła wozów.

Rachel zebrała garść śniegu i zaczęła trzeć nim nieruchomą białą twarz nieznajomego. Poruszył się i jęknął. Klepnęła go mocno w policzek, potem jeszcze raz, mocniej.

- Proszę się ocknąć. Ocknąć! - Ocknął się na tyle, żeby się unieść na kolana. Zobaczyła wtedy, że prawą rękę ma złamaną; wisiała na temblaku zrobionym z czarnego jedwabnego krawata.

Zdrową rękę mężczyzny położyła na swoim ramieniu, chwyciła go w pasie i jakoś udało jej się postawić rannego na nogi.

- Pójdziemy teraz do domu - powiedziała, choć wątpiła, że ją usłyszy. Dał silny wiatr, smagając ich niemiłosiernie. Ranny miał urywany oddech.

Brnęli po stwardniałym śniegu ramię w ramię, tak blisko siebie, że nie ogolony policzek nieznajomego drapał jej twarz, włosy były po oczach. Kolba strzelby, którą zapewne woził w olstrze na siodle, a teraz niósł na ramieniu, uderzała ją w głowę, rewolwer w kaburze na biodrze wbijał się w bok. W nos bił jego zapach, zapach krwi.

Udało jej się ściągnąć kapę ze swojego łóżka, zanim na nie padli, zvarci w dziwnym objęciu. Unieruchomiona ciężarem jego ciała, zesztyniała przerażona, że on umarł i że teraz leży pod nieboszczykiem. Napięła mięśnie, uniosła się i odpychając jego pierś, przewróciła go na wznak. Na białym pościelowej poszerzała się czerwona plama.

Jeśli nadal tak krwawił, to nie mógł być nieboszczykiem. Twarz miał jednak bladą niczym pobielony nagrobek, zamknięte oczy głęboko zapadły w oczodołach. Na policzku widniały wyraźne pręgi od uderzenia.

Leżał niefortunnie, na strzelbie w futerale, musiała więc porządnie się namęczyć, żeby ją spod niego wyciągnąć. Odchyliła prochowiec mokry od krwi. Ubranie, niegdyś eleganckie, teraz tak było nasiąknięte, że straciła drogocenne sekundy, by odnaleźć ranę. Rozpięła zakrwawioną kamizelkę i koszulę.

W lewym boku zobaczyła dziurę od kuli.

Dziura była niewielka, czarna i przy każdym oddechu wyływała z niej krew. Rachel zrobiła z włochatego ręcznika jakby grubą poduszkę i przycisnęła ją mocno dłońmi do rany. Trzymała tak długo, aż ręce zaczęły jej drzeć z wysiłku. Kiedy uniosła ręcznik, przekonała się, że krwawienie trochę się zmniejszyło.

Wybiegła z izby na podwórko, trzaskając drzwiami. Wiatr szarpał jej spódnice i tasiemkami czepca chłostał szyję. Wystraszyła grzebiące w słomie przy stodole kury, które rozbiegły się chmarą, gdacząc, trzepocząc skrzydłami i gubiąc pierze. Otworzyła wrota stodoły. W nos buchnął jej zapach krowy, kur i mnóstwa owiec. Te zapachy tak mocno zrosły się z jej życiem, że rzadko zwracała na nie uwagę. Tym razem jednak ogarnęły ją mdłości i zwymiotowała.

To przez tę krew. Cały uwalany był krwią. Zacisnęła powieki, lecz wciąż widziała tylko krew.

Zebrała wszystkie pajęczyny, które znalazła. „Nie byłoby ich tak dużo, gdyby żył Ben” - pomyślała. Jakże pragnęła, żeby żył i zajął się mężczyzną, który umierał w ich łóżku!

Zaniosła pajęczyny do domu w fartuchu, skąd wiatr nie mógł ich porwać. Bała się wejść do sypialni, przekonana,

że ranny umarł podczas jej nieobecności. Lecz nie, leżał w upiornej ciszy, a krew kapłała teraz na gołe sosnowe deski podłogi.

Wlała terpentyny do dziury po kuli. Szarpnął się, skóra na brzuchu zadrzała, przytomności jednak nie odzyskał. Położyła pajęczyny na ranie i nakryła ją czystą szmatką, po czym odsunęła się od łóżka i cofała, póki nie uderzyła nogami w siedzenie fotela na biegunach. Powoli usiadła i położyła na kolanach, dłońmi ku górze, ręce uwalane krwią. Przymknęła oczy i ujrzała krew, szybko je więc otworzyła.

Uniosła głowę i po raz pierwszy przyjrzała się twarzy mężczyzny, który leżał na jej łóżku.

Był młody, z pewnością miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, włosy brązowoczarne w kolorze świeżo zaoranej ziemi, skórę mlecznobiałą, może z powodu tak wielkiego upływu krwi. Wyglądał interesująco: wydatne kości policzkowe, długi wąski nos, szeroko rozstawione oczy i gęste długie rzęsy. Nie mogła sobie przypomnieć koloru oczu, pamiętała jedynie ogromne przerażenie, jakie się w nich malowało, gdy go pierwszy raz dotknęła.

To *Mutter* Anna Mary potrafiła uzdrawiać dotykiem ręki. Od babki swojego ojca Rachel nauczyła się umiejętności leczniczych, ale taki dotyk był darem od Boga i jak dotąd Bóg jej nim nie obdarzył. Prababka mówiła, że to wiara daje ten uzdrawiający dotyk. Człowiek otwiera duszę na moc wiary, tak jak słońce rozchyła płatki na ciepło i światło.

Rachel wolno podniosła się z bujaka i podeszła do łóżka. Położyła dłonie na rannym w taki sposób, jak to robiła prababka. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że jej dusza otwiera się jak kwiat, płatki po kolei się rozchylają, wyciągając ku słońcu.

Pierś rannego się poruszała, unosząc i opadając pod jej palcami. Pomyślała, że mogłaby usłyszeć bicie jego serca, słyszeć, jak przepompowuje krew. Bije i bije, głośniejsze, coraz głośniejsze. Spróbowała sobie wyobrazić, że z palców spływa życie, jak rzeka wlewająca się do oceanu, a ona staje się częścią krwi przepompowywanej przez jego serce.

Kiedy otworzyła oczy i spojrzała na twarz nieznanego, zobaczyła sine wargi i bladość, zapowiadające nadejście śmierci.

- No, pospiesz się. Otwórz usta!

Rachel wepchnęła mu między wargi gumowy smoczek i przechyliła butelkę w kształcie nerki w taki sposób, by mleko łatwiej spływało do ust.

- Tak, właśnie o to chodzi - zapewniała. - Ssij teraz, wypij wszystko jak grzeczne małe *Bobbli*...

Obejrzała się przez ramię, jakby w obawie, że właśnie przyłapano ją na robieniu czegoś głupiego. O, Judaszu, o czym ona myśli, że mówi takie dziwne rzeczy, i to jeszcze ni mniej, ni więcej tylko do nieznanego! Nie pojmowała, co ją popchnęło do takiego czynu, do próby karmienia go butelką, jakby chodziło o jakieś słabe zabłąkane jagniątko.

Tylko że musiała coś zrobić, zastąpić utraconą krew jakimś płynem, bo inaczej on na pewno by umarł. A w taki sposób uratowała wiele osieroconych jagniąt, karmiąc je za pomocą butelki ze smoczkiem mieszaniną mleka, wody i melasy.

Nie udawało jej się jednak skłonić rannego do współpracy, jak to niekiedy bywało z jagniętami. Większa część mleka wyciekała mu z kącików ust i spływała po policzkach.

Siadła obok niego na swoim dużym, białym, żelaznym łóżku. Podciągnęła nogi i oparła się o wezgłowie zwieńczone toczonymi żołądziami. Borykając się z ciężarem nieprzytomnego mężczyzny, przyciągnęła go do siebie, a potem ułożyła jego głowę na własnej piersi. Czują, że się poruszył. I gdy pocierała mu szyję, tak jak to robiła z jagniętami, by skłonić je do ssania, usłyszała stęknienie. Ponownie wsunęła mu do ust gumowy smoczek. I teraz zaczął zachłannie pić.

Położyła rękę na policzku rannego, przycisnęła mocniej do siebie, i opuściła głowę, dotykając policzkiem jego miękkich włosów.

Gdy wrócił Benjo z doktorem, czekała na podwórku.

Faeton kolebał się przez zamarznięte koleiny drogi, kołysząc się na wysokich kołach. Przemknął obok niej i na lśniącym czarnym lakierze jego pudła zobaczyła swoje odbicie. Przeraziła się na widok przekrzywionego czepca i rozczochranych włosów powiewających na wietrze. Smuga zaschniętej krwi przecinała jej policzek niczym wojenny malunek Indian.

- Prr! - krzyknął doktor Lucas Henry, ściągając lejce. Przytrzymał ręką bobrowy melonik i uśmiechał się, krzywiąc usta obramowane żółtawymi wąsami. Jak zwykle można było poznać z jego twarzy, że pił whisky.

- Jak tam, pani Yoder? - Wymawiał słowa niewyraźnie, ale Rachel zawsze myślała, że bawi go odgrywanie bardzo pijanego, zwłaszcza przed kimś, kto jest prostytutką. - Dzisiejszego ranka porządnie dmucha - dodał. - Człowiek potrzebuje obu rąk i stoika kleju, żeby utrzymać włosy na głowie.

Benjo jechał obok powozu. Zlustrowała wzrokiem jego twarz. Pobladał i miał lekko zmarszczone czoło, ale oczy błyszczały mu teraz nie tyle z powodu podniecenia, ile strachu. Uśmiechnęła się do syna, żeby wiedział, iż bardzo jest z niego zadowolona, ale ograniczyła się tylko do powiedzenia:

- Biedne baranki wciąż nie nakarmione.

Wzrok chłopca powędrował w stronę domu, a potem powrócił do niej. Kiedy nie dodała nic więcej, skierował kobyłę do stajni.

Doktor zdjął melonik z głowy i zgiął się w przesadnym ukłonie.

- Wymiana uprzejmości z panią, pani Yoder, jest dużą przyjemnością.

Słowa i zachowanie doktora wprawiły ją w zakłopotanie. Wymiana czczych frazesów podczas witania się i zegnania nie była przyjęta wśród prostaczek, toteż nigdy nie wiedziała, jak ma postąpić w takiej sytuacji. Zdecydowała się na skinięcie doktorowi głową.

Doktor o chudym obliczu zaczerwienionym od wiatru, z kpina w oczach siedział w powozie, wystrojony w wełniany zimowy płaszcz w zielono-niebieską kratę.

- Szczebiocze pani jak szalona sroka - powiedział. - Aż mi uszy puchną.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, po czym westchnął. Okręcił lejce na rączce hamulca, wziął swój czarny kuferek i zaczął wysiadać z powozu. Z jedną nogą jeszcze na stopniu, a drugą już na ziemi, zachwiał się i o mało nie upadł.

Usta doktora pod opadającymi wąsami uśmiechnęły się krzywo, tym razem nieco złośliwie.

- Ogień i smoła piekła. Nie godzi się spoglądać na mnie z góry i zadzierać nosa! - Dotknął palcem jej nosa. - Bo wprawdzie nie można by powiedzieć, że jestem zupełnie trzeźwy, to jednak nie wałam się pijany w rynsztoku. Możesz natomiast powiedzieć, że jestem trochę podochocony. A raczej mogłabyś tak powiedzieć, gdybyś zrobiła kiedykolwiek właściwy użytek z języka otrzymanego od Boga. No co, moja droga prostaczko Rachel? Jak myślisz, po co Pan Bóg dał ci język, jeśli nie po to, żeby się nim posługiwać?

Nie była całkiem pewna, o co mu chodzi, gdy jak zawsze wygaduje takie bluźniercze nonsensy. W jego uśmiechu nie kryła się życzliwość, to wiedziała. Zareagowała na jego niechęć wobec prostaczek tak, jak to zwykli robić oni: odwróciła się bez słowa. Skierowała się w stronę domu, dając mu do zrozumienia, by poszedł w jej ślady.

- Twojemu chłopcu - rzekł, doganiając ją długim, tylko lekko niepewnym krokiem - udało się mnie poinformować we właściwy mu niecodzienny sposób, że masz kłopot z powodu gościa w postaci diabła, demona, księcia ciemności... może upiora? - Próbował zmarszczyć brwi. - Ubranego całkiem na czarno i pozostawiającego krwawe ślady na śniegu.

- To nie diabeł, tylko jeden z was, innowierców, i został postrzelony...

- Alleluja, ona mówi! - wykrzyknął i tak zamaszycie rozłożył ręce, że aż się zatoczył. Uśmiechnął się do niej, ale ona nie obdarzyła go uśmiechem. Wzruszył ramionami. - A zatem bardzo z nim źle?

- Myślę, że umrze. Zalałam ranę terpentyną i przyłożyłam pajęczynę. Nakarmiłam go też butelką ze smoczkim, tak jak to robię ze swoimi osieroconymi jagniętami, by wyrównać utratę krwi.

Przytrzymała przed nim otwarte drzwi. Zatrzymał się obok niej na progu, wysoki i szczupły, i stał tak blisko, że mogła policzyć drobne zmarszczki na jego twarzy. Bił od niego zapach whisky, kwaśny jak stary pot.

Oczy miał złocistobrązowe i kpiące.

- Jesteś cudowną istotą, Rachel. Pomysłową i skuteczną, a na dodatek pełną miłosierdzia, wobec umierającego grzesznika. Doprawdy dziwne, że nie udało ci się wskrzesić tego nieszczęśnika już samą swoją samotnością.

Mówiła prawdę, którą miała w sercu, bo tylko tak umiała postępować.

- Próbowałam go uleczyć - powiedziała. - Położyłam na nim ręce i zwróciłam się do Boga. Bóg jednak nie odpowiedział, bo moja wiara nie jest wystarczająco silna.

Odwrócił od niej wzrok, wąs z jednej strony mu opadł, lecz głos brzmiał teraz poważnie.

- Nie? Wobec tego czyja wiara jest mocna?

Weszli do kuchni. Uderzyło ich ciepło bijące od pieca oraz zapach smażonego placka i krwi. Zaczekała, aż doktor zdejmie zimowy płaszcz, a potem surdut, żeby powiesić je wraz z melonikiem na gwoździu przy piecu. Z ulgą zauważyła, że ruchy doktora są pewniejsze. Chyba nie był tak odurzony tym diabelskim trunkiem, jak się wydawało.

Odpiął złotoperłowe spinki od mankietów, wsunął je do kieszeni brązowej brokatowej kamizelki i zaczął podwijać rękawy koszuli. Zawsze był wystrojony niczym pyszny kogut przed walką na arenie, ale dzisiaj na skraju wysokiego sztywnego kołnierzyka zauważyła zażółcenia od potu, a szary jedwabny krawat wisiał mu luźno na szyi. Jasne włosy, normalnie uczesane z przedziałkiem na środku głowy i wypomadowane, wyglądały tak, jakby wciąż czochołał je palcami.

Umył ręce nad zlewem i bez pytania poszedł do izby. Znał drogę, bo już raz tam był, tamtego dnia, gdy przywiózł do domu zwłoki Bena. Wówczas jednak nie mógł nic zrobić dla człowieka powieszzonego przez innowierców.

- Nie wiem, jak to możliwe, że on wciąż żyje - powiedziała Rachel.

Doktor zdjął okład i oglądał ranę. Z dziury nadal sączyła się krew. Światło lampy połyskiwało na niej i na jasnych włoskach obnażonych przedramion doktora.

- W czasie walk z Siuksami widywałem ludzi podziurawionych jak sito - rzekł. Wyjął z czarnego kufereka jakiś instrument i sondował ranę. - A mimo to czepiali się życia. Człowiek się dziwi, dlaczego tak się męczyli, wbrew rozsądkowi, nauce i dobremu obyczajom... Kula odbiła się od zębra i utkwiała mu w śledzionie. Będę potrzebować

gorącej wody i więcej światła.

Pobiegła po wodę do zbiornika na piecu kuchennym. Kiedy weszła do pokoju, doktor Henry stał przy łóżku umierającego z odchyłoną do tyłu głową i srebrną flaszką przy ustach. Pociągał z niej solidnie, aż mu gulgotało w gardle.

Opuścił ją, otarł usta grzbietem dłoni i wtedy zauważył Rachel. Zacerwienił się zupełnie jak Benjo, gdy go przyłapała na pakowaniu palców do puszki z cukrem.

Z hałasem postawiła na podłodze cebrzyk z chlupiącą wodą i emaliowaną miskę, po czym znowu wyszła. Gdy wróciła, niosąc sztychową lampę, doktor demonstracyjnie rozkładał instrumenty chirurgiczne na nocnym stoliku przy łóżku. Lecz kiedy na nią popatrzył, zobaczyła, że oczy ma zanadto błyszczące, a ręce mu się trzęsą.

Wsadziła lampę do uchwytu na świecę nad wezłowiek łóżka. Podkreśliła śrubkę i odwróciła się w stronę rannego. Wtedy doktor podał jej skórzany pas z nabojami i kaburą. Wraz z wonią whisky doleciały do niej jego słowa:

- Lepiej to gdzieś odłożyć...

Zdziwił ją ciężar pasa. Ważyła go w rękach i nagle rewolwer wysunął się ze śliskiego wnętrza kabury i upadł na podłogę. Coś walnęło w ścianę, poleciały drzazgi. Powietrze zdawało się eksplodować dymem i płomieniami. Rachel krzyknęła.

Spojrzała na podłogę; miała wrażenie, jakby pod jej stopami rozwierało się piekło. W nos buchnął siarczany dym, a uszy rozboleły od huku ognia piekielnego.

Doktor, klnąc pod nosem, podniósł broń z podłogi. Rachel patrzyła zeszywniała z grozy. W uszach wciąż jej dzwoniło. Doktor wyjął z rewolweru pozostałe naboje.

Podał jej broń i teraz się roześmiał.

- Chciałem powiedzieć, żebyś położyła tę przeklętą rzecz gdzieś na górze, gdzie o nią nie zawadzimy i nie postrzelimy się na śmierć.

Popatrzyła na rewolwer. Taki czarny i zimny jak coś przeraźliwie martwego. Nie mogła się zmusić, żeby go dotknąć. Doktor wydał z siebie pomruk zniecierpliwienia i zabrał jej pas. Rozejrzał się po izbie. Jego wzrok padł na szafę z nie malowanych, pełnych sęków, nie heblowanych sosnowych desek. Ben własnoręcznie zrobił ją dla niej w pierwszym roku ich małżeństwa, choć było to wbrew regule zakazującej żonie posiadania takich sprzętów, bo prostaczkowie wieszali swoje ubrania na gwoździu wbitym w ścianę.

- Smarowana kabura i upiłowany spust - orzekł doktor, obracając rewolwer w rękach. Rachel się cofnęła z obawy, że może znowu wypalić, nawet bez naboji. - Co za niebezpiecznego męża przyjęła pani do swojego świętobliwego domu, pani Yoder. - Zrobił ruch ręką w stronę szafy, jakby pytając: Czy mogę? Kiwnęła głową.

Palec jej drżał, gdy wskazała kąt za bujakiem, gdzie postawiła futerał ze strzelbą nieznajomego.

- Tam też jest broń - poinformowała.

Doktor umieścił rewolwer i strzelbę w szafie. Kiedy szedł z powrotem w stronę łóżka, Rachel zauważyła mały pistolet tkwiący w futerale pod lewą pachą nieznajomego. Doktor z satysfakcją ją poinformował, że to pukawka chowana zazwyczaj za pasem. Dalsze poszukiwania wykazały, że ranny miał jeszcze w bucie myśliwski długi nóż, nazwany przez doktora arkansaską wykałaczką.

- Twoje zbłąkane jagnię to prawdziwy desperado - zauważył, dokładając pukawkę i nóż do poprzednich narzędzi do zabijania. W ciszy izby klamka drzwi szczerknęła głośno, gdy zamykał szafę. - Jego bronią można by wyposażać armię Custer. - Zerknął na Rachel z boku; w jego oczach dojrzała kpinę. Nie była pewna, czy jej obiektem jest ona, czy też groźny desperado.

Potem wspólnie rozebrali rannego, ona i doktor. Do naga. Był chudy, ale mocno zbudowany, miał długie nogi, muskularną pierś, twardy płaski brzuch. Jego męskość spoczywała bezwładnie na czarnym owłosieniu między nogami.

Rachel zauważyła, że doktor ją obserwuje i znowu z niej się śmieje. I choć to nie było do niej podobne, splonęła rumieńcem.

Doktor uniósł jedną z jasnych brwi i lekko skrzywił usta.

- Nie ma nic złego w podziwianiu udanego boskiego dzieła, prostaczk. Rachel.

Na jego ustach wciąż igrał uśmieszek, gdy wyjmował okulary z kieszeni kamizelki. Długo wycierał białą chusteczką szklę, po czym założył zausznicę okularów, najpierw za jedno ucho, potem za drugie. Rachel się wydawało, że zaczął nagle się poruszać tak wolno jak pływak pod wodą. W pełnej napięcia ciszy słyszała wycie wiatru, tykanie kuchennego zegara w blaszanej obudowie, urywany oddech rannego.

Długie palce doktora wśliznęły się do kieszeni prążkowanych spodni i objęły szyjkę srebrnej flaszki. Rachel złapała go za nadgarstek, zanim zdołał donieść ją do ust.

Czuła pod palcami, że jego mięśnie się napięły.

- Wydostanie tej kuli będzie bardziej skomplikowane niż zaplatanie mułowi ogona. Potrzebny mi łycezek lub dwa na uspokojenie nerwów...

- Łyknał pan już wystarczająco dużo, by ukoić nerwy.

Patrzył na nią przez chwilę mętnym wzrokiem, po czym uwolnił swoją rękę. Wpuścił jednak flaszkę z powrotem

do kieszeni.

- Podobałaś mi się bardziej, moja droga, kiedy byłaś niemym cudem. - Westchnął głęboko, spoglądając na rannego. - Wielka szkoda, że nie mam przy sobie chloroformu, bo mógłbym jego uspić. Ale on jest w takim stanie, że i tak może go zabić szok wywołany krojeniem.

Ręka zadrżała mu nieznacznie, gdy wziął skalpel z nocnego stolika i przycisnął ostrze do bladej skóry rannego. Trysnęła krew i ciało się rozstało, a Rachel musiała odwrócić wzrok.

Słyszała cichy brzęk metalu na drewnie, gdy doktor odkładał nóż i wybierał jakiś inny spośród strasznych instrumentów. Słyszała też swój oraz jego oddech i tykanie zegara, i wycie wiatru.

Ranny jęknął i ku zaskoczeniu Rachel doktor cicho się roześmiał.

- Czujesz to, prawda, serdeńko? - zamruczał. - To dobrze, dobrze. Dopóki cierpisz, dopóty jeszcze żyjesz. - Pacjent znowu jęknął i szarpnął się gwałtownie. - Do licha, nie stój tu, kobieto, jak kolek w płocie. Przytrzymaj go!

Pochyliła się nad łóżkiem i przycisnęła ramiona rannego. Ciało miało chłodne, twarde i śliskie pod jej dłońmi. Doktor grzebał w krwawej ranie. Rachel wciągnęła powietrze głęboko w płuca i przełknęła ślinę. Strumyczek potu spłynął jej spod czepca na szyję.

Doktor mruknął coś przez zaciśnięte usta. Wyprostował się, podnosząc do światła kulkę trzymaną w długich srebrnych szczypcach.

- Czterdziestka piątka - oznajmił. - Zapewne wystrzelona z winczestera. Tu, gdzie jest lekko spłaszczona na końcu, uderzyła w zębro.

Wrzucił ją do miednicy z krwawą wodą.

- Wyglądasz, jakbyś trochę się zdenerwowała, prostaczko Rachel. Mam wrażenie, że chętnie łyknęłabyś kapkę diabelskiego trunku, co? Ale ja się zemszczę i nie dam ci ani kropelki. I nie mdlej mi tu teraz! Mamy jeszcze mnóstwo roboty.

Kazał jej pomagać przy zaszywaniu dziury w ciele nieznanego, wywierconej przez kulę i powiększonej przez skalpel. Używał do tego zakrzywionej srebrnej igły, podobnej do tej, jakiej używała do obszywania chodników *Mutter* Anna Mary. Pewnego razu Rachel pomagała prababce zszywać łydkę swego brata, Lewiego, który rozplątał ją sierpem podczas sianokosów. Wtedy wcale nie robiło jej się słabo. A teraz czuła zimny pot kapiący z włosów pod czepcem i żołądek zaciskający się jak pięść.

Po opatrzeniu rany doktor zajął się złamanym przedramieniem. Ręce teraz mu nie drżały. Może czuł się pewniej, pomyślała, i nie potrzebował już whisky.

Cmoknął i pokręcił głową.

- Ukośne skomplikowane złamanie kości promieniowej. Wygląda na to, że ten diabelny głupiec sam próbował rękę nastawić. Twoje zbłąkane jagnię na pewno uważa się za twardziela.

Rachel pomyślała, że wiele trzeba odwagi, żeby nastawić sobie złamaną kość. Zastanawiała się, czy wydarzyło się to przed, czy po tym, jak go postrzelono, kto do niego strzelał i dlaczego. I co się kryło za tym dzikim przerażeniem, które ujrzała w jego oczach. I w ogóle tyle rzeczy ją zastanawiało u tego nieznanego, który przyszedł przez jej łąkę, chwiejąc się na nogach i pozostawiając krwawe ślady na śniegu.

Z podwórka przez ściany z topolowych bali uszczelnionych gliną dolatywały do Rachel okropne odgłosy wymiotowania. Doktor Lucas Henry pozbywał się whisky zakwaszającej mu żołądek i próbował otrząsnąć się ze strachu, który wprawił jego ręce w dygot i przydawał uśmiechowi złośliwości.

Siedziała w fotelu na biegunach, złożywszy ręce na podolku, ze wzrokiem wbitym w młodzieńca na białym żelaznym łóżku. Zapakowali mu złamane przedramię w gips, obmyli go z krwi i ubrali w jedną ze starych nocnych koszul Bena. Wydawało jej się, że ranny oczy ma już mniej wpadnięte, a na wargach jakby cień koloru.

Słyszała skrzypienie rączki pompy na podwórku, a potem plusk wody. Doktor doprowadzał się do porządku.

Mężczyzna leżał na łóżku zupełnie bez ruchu, ale Rachel miała wrażenie, że dostrzega pulsowanie tętna na jego szyi. Pomyślała, że gdyby się wsłuchała, to mogłaby usłyszeć pracę serca.

Jakiś hałas przy drzwiach skłonił ją do podniesienia wzroku. Doktor opierał się o framugę, z jego elegancji nie pozostało ani śladu, ubranie miało poplamione, a z potarganych włosów spływała woda. Z kącika ust zwisał mu papieros. Papieros i wąs uniosły się w jednostronnym uśmiechu.

- Siedzisz tu i wyglądasz na tak zadowoloną z siebie jak wieprzek w szkarłatce.

Uśmiechnęła się do niego, zadowolona.

- Będzie żył - powiedziała.

Doktor wzruszył jednym ramieniem.

- Na razie. - Zaciągnął się papierosem, spoglądając na nią z ukosa przez chmurę dymu. - Dzicy chłopcy tacy jak on nie dożywają starości. Wszystkich kiedyś dosięgnie ostatnia kulka.

Z jego głosu nie wynikało, by zbyt się martwił, że „ostatnia kulka” dosięgnie w końcu jego pacjenta. Doktor Lucas Henry był dziwnym człowiekiem. Rachel uważała, że zna go lepiej niż kogokolwiek spośród innowierców, lecz w gruncie rzeczy wcale tak nie było. Pewnego popołudnia zeszłej wiosny siedziała na tym samym bujaku przy łóżku, trzymając rękę zmarłego męża, a doktor został jeszcze i przez cały czas do niej mówił? Został, bo w jakiś

sposób wyczuł, że ona, lubiąca zawsze ciszę i samotność, dłużej ich nie zniesie.

Słowa, jakie wypowiadał, miały wypełnić pustkę tej izby; niektóre z nich zapamiętała. Doktor urodził się tego samego roku, tego samego miesiąca i tego samego dnia co ona; ów przedziwny zbieg okoliczności dawał jej poczucie jakiejś osobliwej z nim więzi - jakby dwie dusze, które rozpoczęły razem ziemską wędrówkę, miały specjalny obowiązek wzajemnie troszczyć się o siebie na tej drodze. Skończył zatem trzydzieści cztery lata. Wszyscy, którzy przybywali do Montany, porzucili swoje dawne domy. Doktor pochodził z Wirginii. Słyszała często w jego mowie echa tamtych stron. Przez czas jakiś służył jako lekarz w kawalerii.

Tyle jej o sobie powiedział. Intuicyjnie wyczuwała jeszcze jedną rzecz - że jest człowiekiem izolującym się od świata, choć nie pozbawionym wyboru tak jak ona. To raczej świat go odsunął, odrzucił albo też on sam tak uważał. Smutna i samotna dusza.

Obserwowała go teraz, gdy wyciągnął srebrną flaszkę z kieszeni i solidnie sobie łyknął.

- Ze względów czysto medycznych - oznajmił, tym razem kpiąc z samego siebie. - Żeby uzupełnić utratę życiodajnych płynów. - Machnął flaszką w stronę łóżka. - To samo trzeba zrobić z naszym desperado. Karmienie z butelki było dobrym pomysłem. Spróbuj zrobić to znowu i wmusić w niego jak najwięcej wołowego rosółu. A po kilku dniach, gdy będzie mocniejszy, daj mu trochę tego okropnie słodkiego wina rabarbarowego, które wy, prostaczkowie, robicie.

Kiwnęła głową i wtedy dotarł do niej właściwy sens jego słów.

- Ja myślałam, że zabierze go pan ze sobą do miasta.

- Nie, jeśli nie chcesz zmarnować całej naszej dobrej roboty.

Skrzyżowała ręce na piersiach, chwytając się za łokcie.

- Ale...

- Zmieniaj często opatrunki. Zostawię pod dostatkiem ałunu. I na miłość boską, nie obmywaj znowu rany terpentyną! Nie są mu potrzebne na domiar złego jeszcze pęcherze. Zamiast niej dam ci trochę fenolu. I niech zachowa spokój. Nie można pozwolić, by znowu krwawił.

Doktor odepchnął się od framugi. Poruszał się ostrożnie, a zwłaszcza oszczędnie poruszał głową, jakby się obawiał, że przy jakimś gwałtowniejszym ruchu mogłaby mu odpaść. Podszedł do łóżka i ujął nadgarstek rannego, żeby zbadać puls. Nieznajomy miał dłoń wąską, długą, a palce niemal tak smukłe jak u dziewczyny.

Potem doktor ścisnął swoimi długimi palcami tę dłoń i niemal szorstko ją obrócił.

- Przyjrzyj się jej dobrze, prostaczo Rachel. Gładka i ładna z wierzchu i okropnie zniszczona od spodu. Ktoś kiedyś brutalnie zmuszał tego chłopaka do tyrania. I popatrz na ten palec. Trzeba wiele godzin strzelać, żeby na palcu wskazującym dorobić się takiego odcisku.

Rękę pełną blizn i zgrubień położył delikatnie na łóżku i potarł palcami wierzch dłoni.

- Ma blizny na kostkach u nóg. I ktoś batem oćwiczył mu plecy. Tego rodzaju piętno pozostawia czas spędzony w więzieniu. Pewno jako młodzik zabił po raz pierwszy i odtąd zawsze kroczył krzywymi ścieżkami.

Ostrożnie odgarnął ciemne włosy z kredowobiałego czoła.

- Ciekaw jestem, czy będzie ci wdzięczny za uratowanie życia. I ciekawym, dlaczego zadawałaś sobie taki trud, bo przecież on już tkwi w szponach diabła. Tak przecież wierzycie, czyż nie? - Podniósł na nią wzrok. Twarz mu się ściągnęła, jakby pod wpływem jakiegoś wewnętrznego cierpienia, którego nie zdołałby nawet pojąć. - Jesteście tacy pewni, że tylko wy zostaniecie zbawieni, ponieważ jedynie was wybrał Bóg.

Potrząsnęła przecząco głową. Dziwna rzecz, miała ochotę odgarnąć z jego oczu mokre włosy i dotknąć z taką samą kojącą delikatnością, z jaką on dotykał rannego.

- Nikt nie może być pewien zbawienia. Możemy tylko poddać się boskiej woli i mieć nadzieję na dobry obrót sprawy.

Doktor patrzył na nią bacznie, marszcząc czoło, jakby stanowiła łamigłówkę, którą próbował ułożyć. Rachel zawsze uważała go za jednego z tych niewielu innowierców, którzy, patrząc na prostaczków, widzą coś więcej niż tylko ich długie brody i czepce, i stroje pochodzące z poprzedniego stulecia. A mianowicie spokój panujący w ich sercach, co - jak sądziła - jednocześnie pociągało go i przerażało.

Doktor wzruszył gwałtownie ramionami, jakby zrzucając brzemię swoich myśli, i roześmiał się na głos.

- Wiedząc, jak rzadko rzeczy przybierają dobry obrót, uważam, że piekło musi być ciekawym miejscem.

Odszedł szybko od łóżka i zaczął pakować swoje instrumenty. Nie powiedział nic więcej, prócz tego, że za dzień lub dwa przyjedzie obejrzyć pacjenta. Rachel też milczała. Nie patrzyła już na nieznanego śpiącego na jej łóżku - na mężczyznę, który miał odcisk na palcu wskazującym i ślady bata na plecach.

Wyszła razem z doktorem na podwórko. Wiatr, ostry i zimny, okręcał jej spódnicę wokół nóg i szarpał poły płaszcz doktora. Zdziwiło ją, że Benjo stoi jeszcze na saniach z sianem i karmi owce. Wydawało jej się, że upłynęły całe godziny.

Doktor, usadowiwszy się w powozie, obejrzał się i popatrzył na dom. Z okna izby sączyło się światło lampy, tworząc jakby żółtawą sadzawkę na przybrudzonym błotem śniegu.

- Ten młodzieniec tam... - powiedział - może być ładny jak lipcowy poranek, ale jest też pewno wystarczająco nikczemny, by mieć złe skłonności, nawet w takim stanie... - Poglaskał ją palcami po policzku równie delikatnie

jak przedtem rannego. - Pilnuj się, Rachel. Siły ciemności naprawdę niekiedy zwyciężają.

II

Od niczego tak oczy nie łzawią jak od kwaśnego owczego odoru. Mimo silnego wiatru, który zrywał nawet korę z drzew, Rachel Yoder wciąż czuła zapach owiec; tłoczyły się wokół sań, becząc i uderzając kościstymi pyskami w deski, gdy na platformie podnosiła widłami siano ponad ich wiercącymi się zadami.

Musiała stać na szeroko rozstawionych nogach, gdy Benjo powoził saniami, które podskakiwały na zamarzniętych bruzdach pastwiska. Bolały ją mięśnie ramion i rąk, kiedy się schylała, żeby podnieść wilgotne siano. Był to jednak ból przyjemny. Zawsze lubiła pracę na powietrzu, o wiele bardziej od gotowania i sprzątanania, od całej tej babskiej roboty. „To praca niewolnicza” - pomyślała, i niemal natychmiast z przyzwyczajenia przeprosiła Pana Boga za swoją postawę.

Benjo ściągnął lejce i sanie, skrzypiąc, stanęły. Rachel wbiła widły w kopkę siana i zeskoczyła na ziemię. Ściągnęła rękawica i grzbietem dłoni otarła z czoła kłujące paprochy z siana.

- Mm... mamó?

Obróciła się z wolna, zachowując wyraz spokoju na twarzy, bo mimo wiatru usłyszała nutę lęku w głosie syna.

Benjo stał przy końskim łbie, chwyciwszy jedną ręką rozek chomąta, jakby tylko jego ciężar mógł mu pomóc w zakotwiczeniu się w ziemi. Tak kruchy wydawał się przy masywnej i włochatej kobyle. Kościste nadgarstki, zaczerwienione od chłodu, wystawały mu z rękawów kapoty.

- Mamó... tt... tt... ten innowierca... jest wyjęty spod prawa?

Podeszła do syna, obrzuciła spojrzeniem jego bladą twarz.

- Nie wiem - powiedziała. - Może.

- Czy on za... za...? - Przycisnął język do zębów tak silnie, że głowa mu podskoczyła, a krtań zacisnęła się wokół słowami które nie chciało wyjść z gardła.

Uspokajająco położyła mu ręce na ramionach.

- Ci... posłuchaj mnie. - Rozstawiwszy palce, sięgnęła ponad kołnierzem do strzępiastych włosów chłopca. Wyczuła delikatne drżenie jego ciała. - Ten innowierca nie ma powodu, żeby nas zastrzelić. Nie zamierzamy go skrzywdzić.

Odrzucił głowę do tyłu, by na nią spojrzeć, a oczy miał posępne jak wiszące nad nimi chmury na niebie. Dojrzała w tych oczach pytanie i nie wypowiedzianą prawdę: innowiercy nie mieli powodu do powieszenia jego ojca, a mimo to Benjamin Yoder umarł właśnie w ten sposób - dyndając na sznurze.

Czasem trudno, bardzo trudno, zaakceptować wolę boską.

Usta chłopca się zacisnęły i drgały konwulsyjnie, a potem wyrzuciły całe zdanie:

- Nie pozwolę, żeby cię skrzywdził, mamó!

Rachel wbiła palce w jego ramiona i przyciągnęła do siebie. Musi mu powiedzieć, że nie powinien się buntować, cokolwiek się stanie, bo taka będzie wola boża. Tym razem jednak to jej gardło się zacisnęło i uwięzły w nim słowa.

Owca tryknęła Rachel w udo czarnym pyskiem, becząc głośno.

- Masz jeść siano, ty głupia starucho, mnie zostaw w spokoju - protestowała Rachel ze śmiechem, przeczesując palcami gęste, tłuste runo maciorki.

To była stara owca i użębienie miała w takim stanie, że ledwie mogła żuć najmniejszą trawę. W zeszłym roku w okresie krycia powinno się wyłączyć ją ze stada, ale była to tak dobra, czuła matka i rok po roku rodziła silne i zdrowe jagnięta, że Rachel nie miała po prostu serca odesłać jej do jatek, by w końcu jako potrawka z baraniny znalazła się na czymś stole.

Owca wyciągnęła szyję, uniosła łeb i ze spokojem wpatrywała się w nią swoimi dużymi, okrągłymi, ciemnymi oczami. Rachel zawsze się wydawało, że widzi w nich mądrość, jakby znały nie tylko wszystkie sekrety świata, lecz także niebios. Kiedyś powiedziała to Benowi, a on się z niej śmiał, bo przecież owce należą chyba do najgłupszych istot stworzonych przez Boga.

- Wiesz coś, czego nam nie mówisz, prawda, kochana staruszko? - Rachel przemówiła do maciorki, pocierając grzbietem dłoni długi, kościsty pysk.

Kiedy owce pasły się na rozrzuconym sianie, a Benjo odprowadzał konia i sanie do stodoły, Rachel z MacDuffem przechodziła między owcami i liczyła te, które miały brzuchy okrągłe i obciążone jagniętami. Upłynie jednak co najmniej miesiąc, zanim będą się kocić.

Miała nadzieję, że do tej pory trochę się ociepli. Popatrzyła na niebo i kłębiące się na nim chmurzyska. Zapowiadały dalszą niepogodę.

Wiatr dmuchał przez topole i szarpał jej spódnicami jak bielizną na sznurze. Czuła się jakoś dziwnie. Smutna, samotna i tęskniąca tak bardzo za Benem. A przy tym zalękniona i drżąca, jakby napiła się whisky doktora. Stała wśród owiec na pastwisku chłostana wiatrem, z twarzą uniesioną ku nisko wiszącym chmurom i miała wrażenie, że wiatr porwał w niebo jakąś jej cząstkę, która teraz unosi się nad nią samotna i przerażona.

Wiatr przyniósł rzenie konia i turkot kół na drewnianym moście.

W oczach innowierców wszyscy prostaczkowie ze swoimi prymitywnymi pojazdami i w swoich szaroburych staromodnych strojach wyglądali tak samo. Lecz Rachel wiedziała, kto przyjechał, ledwie lekki wóz ze splowiałą, brązową płócienną budą zajechał na podwórko. Wprawdzie sąsiedzi i członkowie rodziny mogli się niepokoić, gdy nie ujrzeli jej rano na modlitwach, wiedziała jednak, że przyjedzie właśnie Noah Weaver.

Coś ją jednak powstrzymało, w rezultacie Benjo wybiegł mu na spotkanie ze stodoły. Z werwą wymachiwał rękami i wskazywał na dom, Rachel wiedziała więc, że Noah miał teraz porcję informacji o kłopotliwym przybyszu - innowiercy odzianym na czarno, z dziurą od kuli w boku.

Zaczął padać deszcz ze śniegiem. Benjo wprowadził konia Noaha, nadal zaprzęzonego do wozu, do dużej stodoły. Rachel pstryknęła palcami na psa i wraz z nim opuściła pastwisko. MacDuff popędził za chłopcem, rozpryskując błoto i szczekając radośnie. Rachel czasami myślała, że pies bardziej pilnuje jego niż owiec.

Szła przez topniejący śnieg i błocko na podwórku, wyprostowana, pochylając głowę, by chronić się przed kłującymi igielkami lodowych płatków. Noah Weaver czekał na nią z rękami na biodrach; wiatr szarpał mu długą brodę. Rachel stanęła przed nim i spojrzeli na siebie. W lodowatym powietrzu ich oddechy splatały się niby białe wstążeczki.

Patrzył na nią brązowymi oczami, pełnymi ciepła i troski. Jego poorana bruzdami twarz, sterczący nos i gęsta rudawa broda, która leżała mu na piersiach niczym widły pełne siana, były Rachel tak dobrze znane, że chciała się zaśmiać i zarzuciwszy mu ręce na szyję, serdecznie uściskać na powitanie.

Zamiast tego stała przed nim z rękami założonymi do tyłu i w duchu się uśmiechała.

Biały obłoczek wypłynął z jego ust.

- No i co, nasza Rachel?

- Zostało trochę smażonego placka ze śniadania, chcesz go zjeść?

Uśmiechnął się do niej szeroko, ona też pozwoliła sobie na uśmiech, który przejawiał się w wygięciu warg i lekkim opuszczeniu brody.

Odwrócili się oboje w stronę domu. Wiatr miotnął im w twarz deszcz ze śniegiem. „Światło lampy w kuchennym oknie jest jak światło przewodnie wskazujące drogę do domu” - pomyślała Rachel. Kiedy stała na pastwisku na silnym wietrze pod rozległym niebem, czuła się zagubiona i samotna. Teraz była znowu sobą, obok niej kroczył Noah, a w jej ognisku domowym płonęło światło.

Uderzył w nich silny podmuch. Noah uniósł rękę do głowy i ledwie zdążył przytrzymać kapelusz, zanim go porwał wiatr.

- Robi się cieplej - powiedział.

Rachel się roześmiała. Tylko Noah Weaver potrafił się doszukać pozytywów w montańskim klimacie.

Usłyszał jej śmiech i znów się uśmiechnął.

- Chciałem powiedzieć, że mogłoby być gorzej. Mógłby padać śnieg.

- Mogłaby też zrobić się zadymka. I pewno będzie zadymka, zanim nadejdzie wiosna.

- No, nie zamawiaj w taki sposób pogody, poczekaj chwilę. - Przystanął, oparł się o balustradę ganku i pochylił, żeby rozwiązać sznurowadła ciężkich buciorów z wołowej skóry, na grubych podeszwach. - Upałem sobie buty w stajni.

Musiał się zatem spieszyć, żeby tu przyjechać zaraz po modlitwach i po uporaniu się z wieczornymi pracami. A przynajmniej spieszyć się na tyle, na ile potrafił. Z natury był powolny w ruchach, w myśleniu, w mowie i czynach. Sporo czasu zabierało mu dotarcie do jakiegoś punktu w głębi duszy, ale kiedy się tam dostał, nie ruszyłaby go z miejsca nawet baryłka prochu.

Począł do jej kuchni, niezgrabny i wielkostopy jak niedźwiedź, o twarzy okolonej długimi rozwichrzonymi włosami i długą, rozłożystą brodą. Wydawał się tu zupełnie na miejscu, kiedy tam stał w stroju prostaczka, brązowej kapocie, fałdzistych luźnych portkach i pilśniowym kapeluszu z szerokim rondem. Z dziury w pończosze wyłaził mu duży palec. Ukłuło ją w sercu, gdy to zobaczyła. Powinien mieć żonę, która by się o niego troszczyła.

Noah wodził wolno wzrokiem od zlewu do kuchennego pieca i kąta do mycia się, osłoniętego parawanem. Pewnie szukał przybysza, jak przypuszczała. Tak jakby oczekiwał, że mężczyzna ten zasiądzie przy jej stole i będzie spożywał niedzielną kolację.

- Gdzież on jest, ten *Englischer*? - spytał, krzywiąc się, jakby słowo to miało okropny smak.

Posługiwali się staroniemiecką chłopską gwarą swoich przodków, a języka angielskiego używali jedynie w kontaktach z innowiercami. I tylko wtedy, gdy tamci zachowywali się przyjaźnie, Mimo wszystko Rachel ledwie się powstrzymała, żeby nie przyłożyć palca do ust, jakby przybysz mógł usłyszeć i zrozumieć dziwne słowa Noaha.

Nie odpowiedział na pytanie, poszła do izby. Ranny leżał bez ruchu i spał, a jego smukła, drobnokoścista ręka o pokiereszowanej dłoni i zgrubiałym palcu spoczywała bezwładnie na prześcieradle. Za każdym razem, gdy na niego patrzyła, widok tej twarzy zapierał jej dech. Prostaczkowie nie przywiązywali znaczenia do fizycznego piękna, nie mogła go jednak nie zauważyć.

Wyczuła sztywność stojącego przy niej Noaha. Wiedziała, że on w tym obcym przybyszu widzi tylko kogoś, kto pojawił się nieproszony i nie chiany w ich życiu, życiu prostym i spędzanym w odosobnieniu. Nie powiedział

jednak nic, póki nie znaleźli się z powrotem w kuchni i nie stanęli twarzą w twarz jak przedtem na podwórku. Tylko że teraz żadne z nich się nie uśmiechało.

Noah zadarł głowę i pokręcił nią, jakby wskazując brodą na izbę.

- W twoim łóżku, Rachel?

- Został postrzelony i wykrwawiał się śmiertelnie. Co miałam z nim zrobić? Rzucić go w kąć jak kupę starych jutowych worków?

- Czy powiedziałem coś takiego?

Zabolęła ją lekka pretensja, którą wyczytała w jego oczach.

- Przepraszam, Noah. Przypuszczam, że jestem po prostu...

Zmęczona, samotna i przestraszona. Poczula się znowu tak jak na pastwisku - smagana wiatrem i zagubiona.

Noah zrzucił kapotę i powiesił ją na ścianie. Zdjął kapelusz i już wyciągnął rękę, żeby go też tam powiesić, ale się zatrzymał, zwrócony twarzą do ściany, z ręką na denku kapelusza, jakby usiłował zebrać myśli i starannie dobrać słowa. Kiedy się odwrócił w jej stronę, wyglądał zdecydowanie jak duchowny o poważnym spojrzeniu i surowym wyrazie ust. Jako diakon Noah Weaver miał obowiązek upewnić się, czy wszyscy podążają prostą i wąską drogą i podporządkowują się zasadom obowiązującym prostaczków.

- Ten *Englischer* tam... - Znów wskazał brodą, jakby ów mężczyzna nie zasługiwał na więcej niż na najprymitywniejszy gest. - On jest skażony. To, co widział, robił... Nasiąkł światem i złem, które na nim panuje.

- Nie znasz go.

- A co ty o nim wiesz?

Na to nie miała odpowiedzi. Wiedziała o przybyszu niewiele: o odcisku na palcu wskazującym, o bliznach od okowów, o śladach od bata na plecach i dziurze od kuli w boku - a to wszystko było bezbożne. Wskazywało na krzywdy, jakie on wyrządzał bliźnim, a także na krzywdę jemu wyrządzoną.

Noah patrzył na nią i na jego twarzy uwydatniły się głębokie bruzdy. Rachel też na niego popatrzyła, wyprostowana, z podniesioną głową. Zapadła cisza, którą potęgowało jeszcze bębnienie deszczu ze śniegiem w blaszany dach nad ich głowami.

Odwróciła się i podeszła do pieca kuchennego. Położyła kawałek zimnego smażonego placka na talerz, polała go syropem z prosa i poniosła wraz z blaszanym kubkiem do stołu. Tam przystanęła, a ręka, w której trzymała talerz, zawisła w powietrzu. Na myśl o tym, czego omal nie zrobiła, poczuła w piersiach ukłucie gorzko-słodkiego smutku. A jednak zaraz z całą świadomością postawiła talerz na miejscu Bena, u czoła stołu.

Wyczuła, że Noah się poruszył. I kiedy uniosła głowę, patrzył na nią pytającym wzrokiem. Odwróciła szybko twarz i poszła do pieca po dzbanek z kawą.

Kiedy wróciła do stołu, Noah już siedział z głową schyloną, pogrążony w cichej modlitwie. Pomyślała, że wiele razy stała obok tego stołu i spoglądała na ciemną głowę Bena. Noah był szeroki w barach i tak zwalisty, że pękały mu niemal szwy w brązowej koszuli. Zdominował jej kuchnię. Jego włosy przypominały kolorem zrumienione pieczone jabłka.

Przyjaźnili się od dzieciństwa we trójkę: ona, Ben i Noah. Dopiero teraz, patrząc wstecz, wydawało się dziwne, że para rozhukanych chłopaków przyjęła do kompanii nieśmiałą, chudą jak patyk dziewczynkę, o trzy lata od nich młodszą. Może była tym, czym ścięgnę dla kości i mięśni: trzymała ich razem. Obaj bowiem jeszcze jako chłopcy znacznie się różnili; Noah był powolny i spokojny, i może nieco sztywny w sposobie bycia, a Ben skłonny do śmiechu i do gniewu, lekkomyślny i trochę rozbrykany.

Nalała Noahowi do kubka kawy z poobijanego niebieskiego dzbanka w kropki. Jadł w milczeniu, jak to mieli w zwyczaju, ze wzrokiem utkwionym w malowanych glinianych talerzach stojących rzędem na półce na przeciwległej ścianie. Miało się wrażenie, że w izbie jest tęcza. Rachel malowała je sama, naśladując dzikie kwiaty, rozkwitające bujnie w dolinie na wiosnę. Zamierzała pomalować dwanaście talerzy, ale poprzestała na pięciu, gdy Noah ją przekonał, że wykazuje zbyt wiele grzesznej pychy i znajduje przyjemność w ich tworzeniu. „Malowana glina jest mniej użyteczna niż blacha - powiedział. - Posiadanie glinianych talerzy oznacza, że nie podąża się prostą i wąską drogą”.

Ben złościł się na niego, że ją tak zawstydzą i skłania, by zaprzestała malowania.

- A czy nawet Bóg nie robił pewnych rzeczy dla ich piękna! - wykrzyknął, i to tak głośno, że aż talerze zabrzęczały.

Teraz Noah w ciszy odłożył widelec z lekkim brzękiem na talerz z blachy.

- Jak mówił chłopiec, sprowadziłaś tu doktora, żeby opatrzył tego innowiercę, i

- Tkwiła w nim kula, którą trzeba było wyjąć.

Noah podniósł kubek z kawą, po czym znów go postawił.

- Sprowadzanie tu jednak doktora, gdy jeszcze nie minął rok od... tego, co się wydarzyło...

- Od śmierci Bena.

- *Ja*, od tego. Następna rzecz - wprowadziłaś go w wasze życie, twoje i chłopca, a to nie może być dobre.

- Ale on raczej nie zacznie składać nam wizyt. - Westchnęła, zniecierpliwiona nagle rygoryzmem Noaha. - Lucas Henry nie jest złym człowiekiem. Doprawdy. Udaje, że kpi sobie ze świętości, a to tylko dlatego, że myślenie o

nich sprawia mu ból.

- „Nie możecie pić kielicha Pańskiego i kielicha dyjabelskiego; nie możecie być uczestnikami stołu Pańskiego i stołu dyjabelskiego”^{*}.

Rachel stłumiła kolejne westchnienie. Skoro diakon Weaver cytował Pismo Święte, to musiał doprawdy znaleźć się u granic cierpliwości.

Pogroził jej palcem, jakby była dzieckiem, które trzeba skarcić.

- Pewnego dnia posuniesz się za daleko, Rachel. I będziesz wtedy cierpieć za swoją pychę i upór.

Spuściła głowę. Pojęła ostrzeżenie, jakie jej dawał. Jeśli nie skoryguje swojego postępowania, on wkrótce zmusi ją do wyznania na klęczkach swoich grzechów przed całym zbozem. I w głębi serca nie była całkiem pewna, czy zdołałaby się zmusić do zrobienia takiej rzeczy, nawet mając na względzie własną nieśmiertelną duszę.

- Ben zawsze tak robił - ciągnął Noah - nie liczył się zbyt z zasadami. Wiedział jednak, jak daleko może się posunąć. To było wystarczająco złe ze względu na jego duszę, a ciebie nie powinien był zachęcać...

Poderwała głowę do góry.

- Ben miłował Boga i był b o g o b o j n y m człowiekiem.

Przez chwilę Noah milczał, usta miał zaciśnięte i surowe. Po czym westchnął, szarpiąc brodę.

- O, ja mówiłem tylko o tym doktorze, że on nigdy nie będzie twoim prawdziwym przyjacielem.

- I nie jest. Jest tym, kim jest. Ja nie potrafię wyleczyć rany od postrzału, toteż przyjechał z tego powodu i tylko z tego. Nie jest moim przyjacielem.

Ledwie wypowiedziała te słowa, poczuła się winna. Nie było to kłamstwo, choć w pewnym stopniu zaprzeczenie prawdy. „Ten doktor” odciął powieszonoego Bena i przywiózł go do niej. Wypełnił pustkę domu słowami pociechy. Wziął ją w ramiona, a ona przycisnęła twarz do jego piersi obleczonej w kamizelkę z drogiej jedwabnej mory i zmoczyła ją łzami. Ona i doktor Lucas Henry... może nie byli przyjaciółmi, ale coś dla siebie znaczyli.

Usłyszała, że Noah wciąga powietrze. Wzrok miał utkwiony w misce ze smalcem i w solniczce, które stały na środku stołu. Opierał łokcie obok pustego talerza.

- Rachel. - Uniósł talerz i ścisnął go swoimi dużymi dłońmi. Obrócił głowę i uchwycił jej spojrzenie, trzymając je tak pewnie na wodzy, jakby więził w swoich rękach. - Postawiłaś jedzenie przeznaczone dla mnie na miejscu Bena. Muszę wierzyć, że...

- Zrobiłam to bezmyślnie - wtrąciła szybko, zanim mógł dokończyć, bo słów raz wypowiedzianych nie da się cofnąć. A było to kłamstwo, oby Bóg jej wybaczył! Zapraszając go, by zajął miejsce jej męża przy stole, oznajmiła niemal, że pragnie zrobić mu miejsce w swoim sercu i łożu. O tak, myślała o tym i celowo tak postąpiła, a teraz chciała się z tego wycofać.

Noah postawił talerz i sięgnął po jej rękę.

- Wiem, o czym myślisz, ale to, co zrobiłaś, nie oznacza zdrady wobec Bena. Niedługo upłynie rok od jego śmierci. A chłopiec potrzebuje mocnej ojcowskiej ręki, która by nim pokierowała.

Kościół niechętnie patrzył na kobietę kroczącą własną drogą, bez męża, który mógłby nią kierować. Biblia bowiem powiada: „Głową niewiasty jest mąż”. Wszystko to przemawiało za tym, że powinna zostać żoną Noaha Weavera.

Kiedy byli młodzi - ona i Noah, i Ben - wydawało się, że cała trójka zawsze będzie razem i że wspólnie przejdą przez życie. Pewno dlatego, jak przypuszczała, że czas w życiu prostaczków upływał w sposób niezmienny. Jak kanwa bez fałd, zagięć i końca. Nadszedł jednak taki dzień, gdy Noah Weaver pierwszy raz ją pocałował, i wtedy sobie uświadomiła, że nie będą mogli zawsze dzielić się wszystkim.

Tamtego dnia Noah był w sąsiedku w stodole swojego ojca i widłami ładował siano na wóz. Rachel usiłowała podkraść się do niego i pchnąć go z tyłu, on jednak w ostatnim momencie przytrzymał się jej. Złapał ją za troczki od fartucha, toteż upadła razem z nim na siano. Przez chwilę leżała, śmiejąc się, rozrzucając szeroko ręce i nogi, siano łechtalo ją w nos, słońce oślepiało oczy. Potem głowa Noaha zasłoniła niebo, a jego wargi przycisnęły się do jej ust.

Do dziś pamięta, co czuła podczas tego pocałunku: wewnętrzne drżenie, przerażenie i podniecenie, i dziwne pragnienie, by znów ją pocałował. A także pragnienie, żeby pocałował ją również Ben, by móc się przekonać, czy będzie czuć to samo.

Ruszyła więc na poszukiwanie Bena i znalazła go tam, gdzie zawsze łowili ryby. Uciął sobie drzemkę zamiast pracować. Leżał na brzuchu na trawiastym brzegu z głową opartą na rękach. Dzień był gorący i do pleców lepiła mu się mokra od potu koszula. Rachel widziała jego wydatne bicepsy, obserwowała wygięte w łuk żebra, kręgosłup przechodzący w twardą napiętą krągłość tyłka. Ben podwinął do kolan nogawki portek, zobaczyła więc, że łydki ma mocne, toczony niczym czepigi pługa, obrośnięte ciemnymi włoskami. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek przedtem zwróciła na to uwagę.

Usiadła obok i długo mu się przyglądała. Potem wyciągnęła rękę i dotknęła ciemnych włosów nad kołnierzykiem.

Otworzył oczy i uśmiechnął się do niej.

^{*} Tu i w całej książce cytaty z Pisma Świętego podaje się według Biblii Gdańskiej. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

- Noah pocałował mnie w usta - palnęła.

Szerzej się uśmiechnął, na policzku pojawiła się fałda. Uniósł się do pozycji siedzącej szybkim, pełnym gracji, charakterystycznym dla siebie ruchem. Przyglądał jej się z lekko podniesioną głową.

- Na to pozwolę - powiedział w końcu. - Tak przypuszczam. Jeśli nie posuniesz się dalej i nie zapomnisz, że to mnie poślubisz.

Zrobiła zdziwioną minę.

- Hm. Nie uważasz, Benjaminie Yoderze, że miałabym coś do powiedzenia w tej sprawie?

Pochylił się ku niej, aż ich twarze znalazły się tak blisko siebie, że wystarczyło, by głębiej odetchnęła, a dotknęliby się ustami.

Czuła ciepło jego oddechu, gdy mówił.

- *Ja, Meedel*, przyznaję, że będziesz mieć coś do powiedzenia w tej sprawie. W dniu, gdy ci się oświadczę, powiesz „tak”.

Położył jej ręce na ramionach i przyciągnął do siebie. Wargi Rachel same ułożyły się jak do pocałunku. Usłyszała dziwny odgłos, jakby wiatru wiejącego przez krokwie stodoły, a potem uprzytomniła sobie, że dobywa się z jej piersi.

Ben puścił ją tak gwałtownie, że upadła do tyłu na rozstawione łokcie. I wcale jej nie pocałował. Patrzyła, jak zabierał wędkę i pleciony wiklinowy koszyk na ryby, i wolno odchodził, gdy tymczasem ona nadal leżała, usta ją paliły i czuła się jak obnażona. Pomyślała, że chyba go nienawidzi, a jednocześnie wiedziała, że kocha właśnie jego.

I Noah, drogi Noah, też zawsze to wiedział. Patrzyła na niego teraz, po tylu latach i tylu wspomnieniach. A i on spojrział na nią ciemnobrażowymi oczami i przypatrywał się jej twarzy, usiłując zgłębić serce.

Przez wiele lat widywała te oczy patrzące na nią tak często. Widziała je szeptem z beznadziejnej tęsknoty w dniu, gdy przed Bogiem poślubiła innego mężczyznę. Widziała te oczy pełne męki owej nocy, gdy w połogu umarła mu żona. Widziała je pociemniałe z rozpaczony tamtego lata, gdy większość jego owiec najadła się trującej rośliny i zdechła. Widywała mnóstwo razy te oczy błyszczące w modlitewnej ekstazie.

A teraz zobaczyła, że na skutek popełnienia przez nią drobnego głupstwa w oczach Noaha rozbłysła nadzieja jak świeczki na Gwiazdkę.

O, potrafiła sobie wyobrazić życie z nim. Widziała Noaha siedzącego tak jak teraz przy jej stole i omawiającego sprawy dnia dzisiejszego i jutrzejszego. Potrafiła sobie wyobrazić, że klęczy z nim na słomie i razem się śmieją, obserwując cud przychodzenia na świat jagnięcia. Mogła sobie wyobrazić, że Noah popatrzy na nią kątem oka podczas modlitwy i uśmiechną się do siebie - no, to może nie, bo jako diakon nie pozwoliłby sobie na rozpraszenie uwagi w czasie nabożeństwa.

Kiedy jednak próbowała sobie wyobrazić, że idzie z nim do sypialni, rozbiera się przed nim, a potem czuje ciężar jego ciała na sobie, słyszy pojękiwania, gdy on...

Musiała zaczerpnąć powietrza, żeby uwolnić się od narastającego ucisku w piersiach. Wysunęła rękę z dłoni Noaha i sięgnęła po jego pusty talerz, ale on złapał ją za nadgarstek.

- Rachel...

- Nie mów już nic, proszę. Nie jestem po prostu gotowa, by usłyszeć coś więcej.

Puścił ją i wstał od stołu. Kiedy wkładał kapelusz i kapotę, twarz miał bez wyrazu. Już przy drzwiach, z ręką na klamce zatrzymał się i wtedy zrozumiała, że chce wejść w rolę diakona i znowu ją pouczać. A nie miała ochoty słuchać pouczeń. Odwróciła się do niego plecami, zamierzając odnieść do zlewu talerz i kubek.

- Ach, nasza Rachel! - rzekł. Milczała. - Wiem - ciągnął - powiesz, że skoro *Englischer* zjawił się tutaj, ranny i broczący krwią, to Bóg nie mógł sobie życzyć, byś pozwoliła mu umrzeć. I tu masz rację... Zatem widzisz - dodał z leciutką ironią w głosie, ponieważ drgnęła przy tych słowach - biorę nawet pod uwagę, że w tym wypadku możesz postępować słusznie.

Usłyszała, że zrobił krok w jej stronę. Zesztywniała, wciąż odwrócona do niego plecami.

- Nie bez przyczyny my, prostaczkowie, izolujemy się od tych spraw, które mogą naszej duszy wyrządzić szkodę. Wiem, Ben uważał, że nie powinniśmy być ślepi na zmiany, że nie powinniśmy zawsze trzymać się z dala od świata i tych, którzy go zamieszkują. Lecz on się mylił i pozwolił ci myśleć, że możesz...

Z hałasem upuściła do zlewu blaszany talerz i obróciła się do Noaha tak szybko, że aż zafurkotały tasiemki jej czepca.

- Przestań obarczać mnie winą z powodu Bena!

Zaskoczyła go do tego stopnia, aż mu twarz poczerwieniała nad brodą. Spojrział teraz na nią tak, jakby nigdy jej nie widział, jakby nie była tą Rachel, którą znał od urodzenia.

Podniosła rękę, czując, że wymknął jej się spod czepca pukiel włosów. Zniecierpliwiona wsunęła go pod wykrochmalony na sztywno biały batyst. Ten gest powtarzany przez nią tysiące razy w ciągu tych lat wywołał nieśmiały uśmiech na ustach Noaha.

- Och, Rachel. - Zaśmiał się, potrząsając głową i wpatrując w duży palec u nogi, który wyłaził mu z pończochy. - Ty się nigdy nie zmienisz. Nawet Ben nie potrafił cię naprawdę zmienić, ani na dobre, ani na złe.

Zrobił półobrót w kierunku drzwi, po czym znów w jej stronę.

- Zauważyłem, jadąc tu, że kończy ci się drewno. Za dzień lub dwa przysłę ci mojego chłopaka z siekierą.

Uśmiech, którym go obdarzyła, wypadł trochę słabo.

- To byłoby miłe. To znaczy, jeśli Mose nie będzie miał nic przeciwko dodatkowej robocie.

- Chłopak robi, co mu powiem - oznajmił Noah, nagle znowu surowy i sztywny.

Czekał, ale nie miała mu już nic więcej do powiedzenia, a przynajmniej nie to, co chciałby usłyszeć. Zapadło ciężkie milczenie, pełne napięcia i chłodu, więc po dłuższej chwili odwrócił się i wyszedł.

Gdy zatrzasnęły się za nim drzwi, podeszła do okna. Śnieg z deszczem pokrywał błotniste podwórko lodowym płaszczem, wiatr dął z całych sił. Widziała, jak Noah wyprowadził konia i wóz ze stodoły, wsiadł na wóz, ale nie odjechał od razu. Siedział tam, skurczony z zimna, przytrzymując ręką kapelusz.

Miała ochotę wyjść do niego i powiedzieć: „Poślubię cię, mój drogi. Będiesz mieć to, o czym zawsze marzyłeś, a ja... jeśli nie mogę mieć Bena, to przynajmniej mogłabym mieć męża, który jest mi drogi, przyjaciele”.

Miała ochotę wybiec na podwórko i powiedzieć mu to wszystko. Widziała, jak Noah odjeżdża, jak wóz znika za pagórkami, lecz nadal stała przy oknie. Dom był cichy i tylko śnieg z deszczem uderzał o szybę, a ściany stękały pod naporem wiatru.

Śnieg z deszczem wciąż uderzał w okno, bębnił po blaszanym dachu, a wiatr wył w kominie, gdy późnym wieczorem Rachel zdjęła brązową chustę i fartuch, wpinając w jego pas szpilki. Wyjęła też górną szpilkę ze stanika i rozwiązała sztywne tasiemki czepca. Pokręciła na boki głową, żeby rozgimnastykować szyję, która bolała ją po długim dniu.

Czepiec zdjęty z głowy położyła na właściwym miejscu na półce pod oknem. Podniósłszy wzrok, ujrzała swoje odbicie w pociemniałej w mroku szybie. Kobieta, która stamtąd na nią spoglądała, z kaskadą rozpuszczonych włosów opadających na ramiona, wcale nie była do niej podobna.

Usiadła na bujaku; wiklinowe siedzenie lekko zaskrzypiało pod ciężarem jej ciała. Nieznajomy leżał na łóżku i przypominał masyw gór i dolin pod kołdrą. Na kołdrze widniała wielka biała gwiazda z promieniami rozchodzącymi się na całe ciemnogrnatowe tło niczym niebo o północy. W słabym świetle lampy naftowej gwiazda wydawała się postrzępiona i rozbita, jakby się roztrzaskała, spadłszy z nieba.

W lampie cicho perkotała nafta, uspokajająco i po domowemu. Za chwilę Rachel pójdzie i położy się obok syna; ale żeby zrobić dla siebie miejsce, będzie musiała spędzić psa, który ma zwyczaj tam się wylegiwać. Śwędziła ją głowa, jak zwykle po całym dniu noszenia wykrochmalonego na sztywno czepca. Zanurzyła palce we włosy i zaczęła się drapać, oddając się tej czynności z dużą przyjemnością. Zaraz pójdzie spać. Za chwilę. Cicho westchnęła. Odchyliła do tyłu głowę...

I niech zabrzmi muzyka.

Dudnienie deszczu na blaszanym dachu zestroiło się w synkopowym rytmie z biciem serca. Ostro dmący wiatr świszczął jak piszczałka. Stękały ściany z drewnianych bali, a ich głębokie basowe dźwięki znajdowały rezonans w jej kościach.

Muzyka narastała, stawała się coraz dziksza. Urywane dźwięki trąbek dołączyły do wesołych czyneli rozbrzmiewających we krwi. Wstrząsała się pod wpływem ogłuszającej mocy akordów, zaszokowana ich siłą. Pod powiekami widziała błyskawice światła, pulsujące w rytmie dźwięków. Nigdy muzyka nie była tak groźna, tak dzika. I tak zakazana.

W życiu prostaczków muzyka nie była dozwolona, oczywiście prócz psalmów śpiewanych w czasie niedzielnych nabożeństw. A jednak wydawało się Rachel, że muzyka towarzyszyła jej przez całe życie, była równie niezbędna jak oddychanie.

Nie miała pojęcia, dlaczego się pojawia, wiedziała tylko, skąd. Powstawała z pieśni natury - z dźwięków wydawanych przez skrzydełka świerszcza, przypominających grę skrzypiec, z grzmotu burzowych chmur, trzasku zamarzających topoli, kociego mruczenia. Słyszała, rzecz jasna, grę innowierców na ich grzesznych instrumentach. Kiedy szła główną ulicą Miawa City, nie mogła nie słyszeć knajpianych śpiewek dolatujących z szynków. Nic jednak nie dorównywało owym subtelnym, wesołym melodiom i symfonicznym furiom, które niekiedy przyływały i zalewały ją całą, ledwie zamknęła oczy i otworzyła serce na pieśń Ziemi.

Nikt nie wiedział o tej muzyce, nawet Ben. Gdyby się Kościół o tym dowiedział, na pewno zmuszono by ją, żeby z muzyką skończyła. Musiałaby wyznać na klęczkach przed zborem ten grzech i obiecać, że nigdy więcej już go nie popełni.

Muzyka to była jej modlitwa. Ze słowami miała trudności. Wydawały się pustym dźwiękiem. Nie potrafiła posługiwać się wyłącznie słowami, by wyrazić to, co naprawdę miała w duszy. Za to muzyka - to było coś więcej niż mowa. Radowała się i błagała, wychwalała, a czasami się żaliła i krzyczała w gniewie. I wielbiła. Kiedy muzyka przyływała, w jakiś sposób był w niej również Pan Bóg. Czowała Go wówczas tak samo jak muzykę i wiedziała, że On słyszy i rozumie myśli przekazywane za jej pośrednictwem. Spędziła wiele nocy, siedząc na tym jaku, sam na sam z Bogiem i swoimi myślami, dzikimi akordami i subtelnymi melodiemi. I tak wolno i słodko upływał wtedy czas.

W pierwszych miesiącach po śmierci Bena muzyka ją opuściła. Była w niej tylko pustka, dotkliwa i zimna jak kamień, i cisza, okropna cisza. Mijał dzień za dniem w bólu i strasznej samotności; mogła się zdobyć jedynie na błądy cień wiary, która dotąd umacniała ją i pocieszała. Jakże umiłowany Bóg mógł pozwolić, żeby niesprawiedliwie zabrano synowi ojca, a żonie męża?

Muzyka jednak znalazła sposób, by ją usłyszała, podobnie jak Bóg zawsze na wszystko znajduje sposób. Powróciła do niej najpierw na słodkie krótkie chwilki, jak woń kwitnących jabłoni w wietrzny dzień na wiosnę. Potem pewnej nocy Rachel zamknęła oczy i otworzyła serce na wycie i pojękiwanie wiatru w topolach. I wtedy na skrzydłach wiatru doleciały cudowne grzmiące akordy, a wiatr unosił ją wyżej i wyżej, do domu Pana. Muzyka przywróciła jej znów wiarę.

Tej nocy, słysząc ją, Rachel otworzyła serce. Nie była to muzyka słodka i delikatna, o nie! Tej nocy była gwałtowna i pełna furii, buchająca w czarne niebo dźwiękami, nieoczekiwanie i z gruchotem, jak kula uderzająca w ścianę.

Muzyka urwała się jak zwykle nagle, zapadając w pustą rezonującą ciszę. Rachel uniosła wolno powieki.

Pokój falował jej przed oczami, zasnuty dymem lampy. Ranny nadal leżał nieruchomo na łóżku. Strumyczek potu spływał mu po brodzie i gromadził się w zagłębieniu przy obojczyku. W świetle lampy widać było blask jego oczu.

Najwidoczniej się ocknął.

Zabrakło jej tchu najpierw ze zdziwienia, a potem ze strachu. Kiedy tak leżał i wpatrywał się w nią w napiętej ciszy... Nie, była głupia. On tylko czuł się oszołomiony i być może przestraszony, bo ocknął się w jakimś dziwnym miejscu.

Wstała i podeszła do łóżka. Pomyślała, że jakby już trochę do niego przywykła. Ostatecznie upłynęło kilka godzin od chwili, gdy szedł, zataczając się, przez łąkę. Podtrzymała go i karmiła butelką ze smoczkami, obmywała ciało. Do tej chwili jednak, do momentu, gdy spojrzała mu w twarz, nie rozumiała, dlaczego oczy nazywa się zwierciadłem duszy. W nikłym świetle błysnęły oczy nieznanego, dzikie i złe, i czaiły się w nich stare i straszne lęki.

Nie zdawała sobie sprawy, że się cofnęła o krok, póki nie złapał jej za przedramię. Wbił w nie palce, boleśnie i zaskakująco mocno. Jego urywany, chrapliwy oddech zagłuszał jej własny.

- Gdzie moja broń?

Otworzyła usta, ale nie zdołała wykrztusić ani słowa, dopóki nie zaczerpnęła powietrza.

- Schowaliśmy ją do szafy.

- Wyjmij ją. - Jego długie, smukłe palce zbieleły, tak mocno je zacisnął. Wydawało się, że ścisną je z nienaturalną, nieczystą siłą.

- Zastrzelisz mnie!

- Zastrzelę, jeśli jej nie wyjmiesz. - Oczy rannego, dziko błyszczące, spotkały się z jej wzrokiem. - Daj mi tę przeklętą broń!

Uwierzyła jego słowom, mimo że leżał tu z raną w boku i złamaną ręką. Patrząc w te oczy, była pewna, że zdolny jest do wszystkiego.

- Zrobię to, jak tylko mnie puścisz.

Próbowała się wyrwać, ale on nie zwolnił uścisku. A potem puścił ją tak gwałtownie, że straciła równowagę i omal nie upadła.

Drzwi szafy skrzyknęły, gdy je otwierała. Przyklekła i wyciągnęła skórzany pas z nabojami z kąta w głębi, gdzie położył go doktor Henry. I choć widziała, że wyjął z rewolweru naboje, nadal go się obawiała. Łatwo wyslizgiwał się z nasmarowanej kabury, zadziwiając ją wciąż swoim ciężarem. Drewnianą kolbę miał wygładzoną od używania jak stylisko starej siekiery.

Pomyślała, że ranny pograżył się znowu we śnie, bo leżał nieruchomo z zamkniętymi oczami. Kiedy jednak podała mu rewolwer, natychmiast zacisnął wokół niego palce z niezwykłą siłą. Widziała, że odetchnął z ulgą.

Jak zahipnotyzowana patrzyła na rękę trzymającą broń. Nie umyła zbyt dokładnie tej części jego ciała. W zgięciach palców i pod paznokciami pozostała zakrzepła krew.

Modliła się w duchu, żeby nie zauważył brakujących naboji.

Zacisnął mocniej palce. Powędrowała wzrokiem ku jego twarzy. Wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami.

Dopóki nie odwrócił od niej wzroku, nie zdawała sobie sprawy z tego, że wstrzymuje dech. Omiotł teraz spojrzeniem gołę ściany, ozdobione tylko dziurami po sękach, okno bez firanek, ukazujące jedynie nieskończoność czarnego nieba. W oczach miał ten sam ogrom strachu, jaki widziała na łące, gdy po raz pierwszy go dotknęła.

- Gdzie jestem?

- W bezpiecznym miejscu - powiedziała cicho. Pochyliła się nad nim, jakby zamierzała położyć mu rękę na czole, tak jak to robiła, gdy Benjo budził się ze złego snu i potrzebował pociechy. - Możesz teraz znowu zasnąć. Jesteś w bezpiecznym miejscu.

Zamknął oczy. Kiedy je otworzył, były bez wyrazu, puste, odbijała się w nich tylko ona. Skrzywił usta, ale nie był to uśmiech. Ponownie powędrował znów wzrokiem w stronę ciemnego okna.

- Nie ma takiego miejsca.

Dotknęła czubkami palców jego policzka.

- Cicho sza i spać - powiedziała. - Tam nie ma nic, tylko noc i ciemność.

Kiedy się nachyliła, żeby skrócić knot w lampie, musnęła pierś i twarz rannego rozpuszczonymi włosami. Poczuła, że coś ją za nie ciągnie, i zobaczyła, że nieznajomy trzyma w palcach jedno pasemko. W jego oczach dojrzała zdumienie i chyba zmieszanie, po czym ciężkie powieki opadły mu jakby wbrew woli. Pograżył się we śnie, przedtem jednak wypuścił pasmo włosów i mocno ścisnął w ręce broń.

Przykręciła lampę. Dogasający płomyk błysnął i zgasł; ciemność pochłonęła izbę. Zatrzymała się jeszcze przy drzwiach, żeby na niego popatrzeć. Lecz łóżko było teraz jedynie czarnym cieniem, który dołączył do nocnych zjaw.

Odwróciła się, pozostawiając go ciemności i nocy. Teraz już wiedziała, że oczy ma intensywnie niebieskie.

III

Zbliżało się południe i Rachel już była opóźniona z przewidzianymi na ten dzień zajęciami. W cebrażku czekała na nią śmietana, z której ma zrobić masło, trzeba upiec ciasto z jabłkami, namoczyć bieliznę pościelową. A i podłoga aż się prosiła, żeby porządnie ją wyszorować po ostatnim śniegu z deszczem, kiedy wszystko pokryło się błotem.

Lecz najpierw trzeba opatrzyć ranę nieznajomemu.

Wetknęła pod pachę zwitek czystych bandaży. Do emaliowanej miski naląła wody z octem i ruszyła do izby. Woda przelewała się przez brzeg miski, zostawiając za nią mokre bryzgi i napełniając powietrze ostrą kwaśną wonią.

Doktor Henry kazał zaglądać do rannego trzy razy dziennie, oczyszczać fenolem ranę od kuli i obmywać całe ciało wodą z octem. Od tamtej pierwszej nocy przybysz miał wysoką gorączkę. Nie rzucał się jednak ani nie bredził, jak można by oczekiwać. Przeważnie leżał bez ruchu i obficie się pocił. Tylko dwa razy zerwał się przerażony, z dzikim wzrokiem, i wycełował swojego kolta w jakieś niewidoczne zagrożenie.

Od momentu, gdy dała mu rewolwer, nie wypuścił go z ręki ani na chwilę. Doktor Henry powiedział, że ów nieczysty przedmiot chyba dodaje mu otuchy, nie powinna go więc odbierać. Rób to, nie rób tamtego - doktorowi łatwo mówić, bo przyjechał jedynie raz od owego pamiętnego dnia. „Doktor - pomyślała, gderając w duchu - może sobie pozwolić na wydawanie poleceń niczym nowy biskup”.

Weszła do izby, szeleszcząc spódnicami, i w tym momencie z podwórka dobiegło ogłuszające szczekanie MacDuffa. Mężczyzna gwałtownie się poderwał na łóżku. Rachel zachwiała się i stanęła, szeroko rozwartymi oczami wpatrując się w czarną lufę kolta.

Krzyknęła i na wysokość twarzy podniosła miednicę, oblewając się wodą z octem. Zaciśnęła powieki i skuliła się, jakby chciała się zmniejszyć tak, by schować się za tą lichą tarczą. W gęstniejącej od napięcia ciszy słychać było tylko kapanie wody.

Powoli opuściła miednicę i wyjrzała zza jej obtłuczonej krawędzi.

W dalszym ciągu mierzył sześciostrzałowym rewolwerem w nasadę jej nosa. Usiłowała pocieszać się myślą, że przecież na własne oczy widziała, jak doktor Henry wyjmował naboje, ale nie ufała żadnemu innowiercy, a tym bardziej ich nieprzewidywalnym broniom.

MacDuff znowu się rozszczękał i nieznajomy napiął wszystkie mięśnie. Lufa rewolweru nie drgnęła, ale Rachel mogłaby przysiąc, że zacisnął palec na cynglu tak podpiłowanym, by kolt wypalił przy najbliższym dotknięciu. Patrzyła w oczy rannego, dzikie i pełne złości.

- *Lieber Gott!* Proszę do mnie nie strzelać.

- Ten pies... - Jego głos był gniewny jak oczy i drżący. - Na co on szczeka?

Szyja Rachel tak zeszywniała, że chyba skrzybiała, gdy odwracała głowę, by wyjrzeć przez okno. MacDuff zniknął w gęstwinie wierzb i topoli nad brzegiem potoku i po chwili stamtąd wyskoczył. Brudnoszary futrzany ogon mignął mu przed nosem i zniknął w norze.

- To tylko nasz owczarek goni zająca. - Obróciła głowę w stronę mężczyzny na łóżku. Starła się mówić rzeczowym tonem, jakby codziennie rozmawiała z nieznajomymi, którzy trzymali w ręce broń i mierzyli między jej oczy. - MacDuff ugania się za każdym królikiem czy zającem stworzonym przez Pana Boga.

Lufa rewolweru podjechała w górę. Kciuk poruszył się i rozległ się głośny szczęk metalu, a Rachel o mało nie wyskoczyła ze skóry. Ranny opadł na poduszki. Na twarzy lśnił mu pot. Ręka, w której trzymał broń, chwilę drżała, po czym znieruchomiła.

Z sercem walącym w piersiach jak wojenny bęben Indian wpatrywała się w rannego i w jego sześciostrzałowiec.

A on znów spojrział nagle w okno i skoncentrował wzrok na biegnącej postaci - na jej synu. Ujądanie MacDuffa musiało odciągnąć Benja od zajęć w stodole. Głupi zając, który znowu wylazł z nory, uciekał teraz w stronę gęstwiny dzikich śliwek, między potokiem a jagniątkarnią. Chłopiec biegł za zającem kręcąc rzemienną procą nad głową jak lassem.

- Kto to? - spytał mężczyzna na łóżku, trzymając nadal rewolwer w ręku.

Rachel myślała, że zemdleje.

- M... mój syn. Niech... - Słowa więzły w zaciskającym się gardle. - Proszę nie robić mu krzywdy!
Szarak pobiegł za gęstwinę dzikich śliwek. Benjo uwolnił jeden z rzemyków procy i zając upadł jak kamień.
Nieznajomy skierował wzrok w jej stronę i patrzył na nią z wielką uwagą, co było przerażające i niemal fizycznie namacalne. Niespodziewanie się uśmiechnął.
- Wygląda na to, że na kolację będzie potrawka z zająca.
Jego słowa i uśmiech wprawiły ją w zakłopotanie. Oczy rannego pozostały groźne.
Spuściła wzrok i spojrzała na podłogę, gdzie woda z octem utworzyła mokre ciemne plamy przypominające krew. *Lieber Gott, lieber Gott*. Gdyby przez te drzwi wszedł Benjo, a nie ona...
- Ależ z pana szaleniec! - wykrzyknęła, zbliżając się do łóżka. - *Englischer, litterlich und schrecklich!* Wymachiwać tym paskudztwem niczym oszalały głupiec, mierzyć do niewinnych ludzi! Jedną dziurę od kulki mam już w swojej ścianie i nie życzę sobie następnej. Prawdę mówiąc, to ani w ścianie, ani w moim synu, ani w mojej własnej osobie. Mam ochotę... - Umilkła, słysząc swój skrzekliwy głos.
Bruzdy po obu stronach jego ust pogłębiły się nieznacznie, oczy zwęziły.
- Co pani zamierza zrobić, wychłostać witką mój biedny tyłek?
Wzburzona odwróciła wzrok.
- Hm... Powinam.
Uświadomiła sobie, że nadal trzyma w ręce pustą miednicę. Rzuciła ją z hukiem na podłogę. Zwój bandażu wypadł jej spod pachy jeszcze przy drzwiach. Podniosła je i cisnęła na nocny stolik obok oprawnej w cielęcą skórę Biblii oraz buteleczek z fenolem i alunem, które zostawił doktor. Potem ściągnęła z nieznajomego prześcieradło do połowy ciała i zadarła nocną koszulę po Benie.
- Co, do diabła... - Sięgnął po prześcieradło, ale Rachel odepchnęła jego rękę.
- Widziałam już sporo z tego, co pan ma.
Krew przesączyla się przez białe płócienne bandaże, tworząc na nich jakby gwiazdę. Rachel się pochyliła i sięgnęła do węzła przytrzymującego końce bandaża na jego piersi. Przycisnęła rękę do twardej muskulatury klatki piersiowej. Nadal gorączkował, skórę miał spoconą i gorącą.
Pierś pod jej ręką uniosła się, gdy ranny z trudem wciągał powietrze. Spojrzała na niego, palce zaniechały walki z węzłem. Przypatrywał jej się, lustrował wzrokiem bez pośpiechu czepiec, brązowy strój prostaczki, potem wrócił spojrzeniem do wykrochmalonego białego czepca.
- Kim pani jest? - zapytał. - Jakąś mniszką?
- Co za pomysł! Jestem córą prostaczków.
Oczy miał z pewnością niebieskie, ale lodowate i ostre jak kra na rzece, w której odbija się zimowe niebo. I patrzył na nią w taki sposób, jakby próbował przeniknąć pod skórę.
- Chyba nigdy o kimś takim nie słyszałem - powiedział. Uśmiechnął się promiennie, odsłaniając białe równiutkie zęby. - Nie wygląda pani na to. Na trochę sztywną może tak i na pewno na pobożną. Ale zdecydowanie nie na prostaczkę.
Domyśliła się, że usiłuje być miły i przyjazny. Tak jakby można było najpierw wymachiwać komuś przed nosem sześciostrzałowym koltem, a potem oczekiwać, że da się to naprawić jednym uśmiechem. Co prawda był to uroczy, szelmowski uśmiech i przez mgnienie oka mu wierzyła...
Westchnął z wyraźną przesadą.
- Powinienem, jak przypuszczam, domyślić się z pani zachmurzonej twarzy, że mam do czynienia z jakimiś świętowskimi, i to szczególnego rodzaju.
- Nie wiem, co ma to, pańskim zdaniem, oznaczać. Niczym specjalnym się nie wyróżniamy, prócz tego, że hodujemy owce. Przypuszczam więc, że jeśli jest pan hodowcą bydła, może pan uznać to za podlejsze zajęcie. Podążamy prostą i wąską drogą, pracujemy i wspólnie się modlimy, ufając w miłosierdzie dobrego Boga i w to, że będzie nas mieć pod swoją opieką.
- I ma? Czy wasz dobry Bóg ma was pod swoją opieką?
Takie pytanie mógł zadać tylko innowierca. Prostaczkowie bowiem od urodzenia znali na nie odpowiedź. Nie czuła potrzeby odpowiadania na nie.
Zapadła cisza. Nieznajomy znowu spojrzał w okno. Rachel zajęła się rozwijaniem czystych bandażu, nie zdjęła tylko jeszcze poplamionego.
- Nie pochodzi pan z tych stron, prawda? - spytała.
- Nie.
- A zatem jest pan tu przejazdem?
Mruknął coś bliżej nieokreślonego.
- Pytam tylko dlatego, że jeśli ma pan gdzieś rodzinę, to pewno już zamartwia się na śmierć. Mogłabym posłać wiadomość, gdybym wiedziała... - Nie dopowiedziała swojej myśli, pozwalając mu dokończyć. Nie zadał sobie trudu, by przynajmniej mruknąć coś w odpowiedzi. Rachel zaczynała do pewnego stopnia rozumieć frustrację innowierców, gdy na ich pytania prostaczkowie odpowiadali milczeniem lub monosylabami.
Zerknęła na nieznajomego. Rozglądał się teraz po izbie. Wyglądało na to, że analizuje i rejestruje to, co widzi,

podobnie jak przedtem ją.

Dom Rachel nie różnił się od innych domostw na farmach prostaczków w tej dolinie - prosty, zbudowany z topolowych bali, z blaszanym dachem. Były w nim trzy skromnie umeblowane pomieszczenia: *Kuch*, czyli kuchnia, i dwie izby z tyłu. W oknach nie wisiały firanki, na podłodze nie leżały chodniki, ścian nie zdobiły obrazy. Typowe domostwo prostaczków. On jednak tego nie wiedział, toteż bez wątpienia dom wydawał mu się trochę dziwny.

Sama też rozejrzała się po izbie, a następnie spojrzała na nieznajomego. Jego twarz nie zdradzała niczego, nie można było z niej wyczytać, czy jest dobrym, czy złym człowiekiem.

Gdy tak na siebie patrzyli, atmosfera w izbie gęstniała i zaczęła ciążyć. Rachel nie miała pojęcia, jak ma się zachowywać wobec tego mężczyzny. Wiedziała, że nie zdobędzie się na uśmiech, ale pomyślała, że spróbuje być bardziej przyjazna. Ostatecznie był gościem w jej domu, choć nawet nie znali swoich imion.

Wytarła rękę w fartuch i zwyczajem prostaczków wyciągnęła ją do niego.

- Chyba trochę za późno na przedstawianie się, kiedy już mnie pan zwymyślał, chciał zastrzelić i wiadrami krwi zabrudził moją najlepszą perkalową pościel. Jestem Rachel Yoder. Pani Yoder.

Leżał na łóżku i patrzył na nią tak lodowatymi oczami, że aż bolało. Tylko dłoń dzierzżąca ciągle kolta ścisnęła go teraz mniej kurczowo, a kciuk wolno, wolniutko gładził kolbę. Milczenie się przedłużało, wyciągnięta ręka Rachel zawisła w powietrzu, i w końcu zaczęła drżeć i opadać.

Wtedy puścił broń i ujął jej dłoń.

- Winny jestem pani wdzięczność i przeprosiny.

Trwali w tej pozycji przez mgnienie oka, z dłonią w dłoni, po czym Rachel swoją cofnęła.

- Pańska wdzięczność i przeprosiny zostały przyjęte - powiedziała. - A skoro już przy tym jesteśmy, to czy ma pan nazwisko i zechciałby mi je podać? Choćby po to, żebyśmy mogli z Benjem nim się posługiwać, gdy za pana plecami będziemy rozmawiać na pana temat.

Sądziła, że gdy się trochę poprzekomarza i pożartuje z siebie samej, to okaże mu przychylność. Tak postępowali prostaczkowie, ale na nim nie zrobiło to żadnego wrażenia. Pozwolił jej tak długo czekać na odpowiedź, że straciła już nadzieję, iż w ogóle ją usłyszy.

- Może nazywać mnie pani Kainem - rzekł w końcu.

Niemal jęknęła na głos. „Teraz ty przeklętym będziesz na ziemi, która otworzyła usta swe, aby przyjęła krew brata twego z ręki twojej...”

Z takim imieniem nikt na pewno się nie rodzi. Musiał je przybrać jako okrutny i gorzki żart. Przypomniała sobie o odcisku na jego palcu wskazującym. Kain. Takie miał imię, gdy zabijał.

Myśli Rachel odmalowały się na jej twarzy. Skrzywił usta.

- Jeśli nie podoba się pani Kain - powiedział - proszę nazywać mnie inaczej. Będę reagować na każde imię, jeśli nie będzie obraźliwe. Czy ten Benjo to pani mąż?

- Mój... - Głos jej się załamał, musiała zacząć raz jeszcze. - Mój syn.

Przyglądał jej się we właściwy sobie, baczny sposób i Rachel czuła, że się rumieni.

- A zatem jest pani wdową?

Otworzyła usta, chcąc skłamać, ale powstrzymało ją przekonanie, w którym wyrosła, że kłamstwo to grzech.

- Tak. Mój mąż zmarł w zeszłym roku.

Nie wyraził z tego powodu żalu, jak by to zrobiła większość innowierców. W ogóle nic nie powiedział. Powędrował znów wzrokiem do okna, jakby zupełnie o niej zapomniał. Za szarym, spatynowanym przez wiatry i sloty ogrodzeniem pastwiska, za ciemnymi topolami rosnącymi rzędem wzdłuż potoku, za łąkami pokrytymi zaskorupałym śniegiem, za skalistymi głazami i wąwozami zarośniętymi chwastami widniały góry. Wznosiły się ku bezlitosnemu błękitowi nieba smaganemu przez wiatr i wyglądały imponująco i ponuro.

Owładnął nim spokój. Cisza w izbie stawała się dokuczliwa i napięta jak drut kolczasty naciągnięty między dwoma palikami płotu.

- Nadal mi pan nie powiedział, gdzie jest pański dom - odezwała się. Czuła potrzebę zlokalizowania nieznajomego w jakimś określonym miejscu. Co nie znaczy, że mogłaby go sobie wyobrazić, jak kroczy za pługiem albo podrzuca siano owcom. Nie potrafiłaby go nawet sobie wyobrazić pętającego krowę albo utrzymującego się na grzbiecie dzikiego mustanga.

Oderwał wzrok od wspaniałego widoku za oknem i spojrzał w jej stronę.

- Nie mam domu.

Miał dodać coś więcej, ale przeszkodził mu turkot wozu na drewnianym moście. Podniósł broń i wycelował ją w drzwi tak błyskawicznie, że nawet się nie spostrzegła, kiedy to zrobił.

To znów wprawiło w popłoch jej serce. Gdy podeszła do okna, żeby wyjrzeć na drogę, waliło jak szalone. Na podwórko zajechał wóz powożony przez syna Noaha Weavera.

Obróciła się w stronę nieznajomego. W wyciągniętej i drżącej ręce ledwie utrzymywał kolta. Z trudem oddychał, pot wywołany gorączką perlil się na twarzy, oczy dziko błyszczały. Dziwna rzecz, przypomniał jej się sztych ze *Zwierciadła Męczenników*, na którym to sztychu wierny wyznawca palony na stosie wznosi ku niebu w

ekstacycznej modlitwie złożone dłonie, podczas gdy trawia go palące i straszne płomienie.

Podeszła do rannego i położyła mu rękę na piersi, przyciskając go do łóżka. Perkalowa nocna koszula Bena była śliska i przepocona na wskroś. Poczowała, że wstrząsają nim dreszcze.

- To tylko Mose - powiedziała. - Syn sąsiada, przyjechał narząbać mi trochę drewna.

Oddychanie przychodziło mu z takim trudem, że niemal wykaszlnął pytanie:

- Ten sąsiad i jego syn wiedzą o mnie?

- Cała dolina musi już wiedzieć, wieści rozchodzą się szybko, a ludzie robią z igły widły. Jeśli kaszlnie ktoś w niedzielę, we wtorek usłyszysz o swoim pogrzebie.

- Co mówią?

Obserwowała przez okno, jak Mose zaciąga hamulec, okręca lejce na rączce i zeskakuje na ziemię. Zsunął z głowy kapelusz, rękawem kapoty otarł usta, potem przyglądał jasnobrażowe włosy. Poruszał rozrastającymi się już barami niczym nerwowy koń. Miał siedemnaście lat, ale wyglądało na to, że będzie równie wysoki i potężnie zbudowany jak jego ojciec.

- Nasi mówią, że jest pan głupim *Englischerem*, którego omal nie zastrzelono i który nie umarł tylko dzięki wielkiej łaskawości Pana, choć złymi postępami zasłużył sobie na śmierć. Jednakże my się modlimy, żeby pan dotarł do Prawdy i Światła. A co mówią innowiercy, to zapewne potrafi pan sobie wyobrazić lepiej niż ja. A teraz, jeśli zdoła pan zachować spokój dłużej niż chwilę, opatrzę tę ranę. Dnia ubywa i czeka na mnie jeszcze sporo zajęć.

Spojrzał na nią błyszczącymi i lekko zamglonymi gorączką oczami.

- Osobliwa z pani osoba - powiedział. Powiódł wolno wzrokiem po izbie. - I to miejsce jest osobliwe.

- Jestem prostaczką, a tak właśnie wyglądają nasze domy. Nasza droga jest drogą prawdy i Bogu nie wydaje się osobliwa. Proszę teraz spokojnie leżeć.

Przecięła nożyczkami poplamione bandaże, bo nie udało się rozwiązać węzłów. Pomyślała, że okłamała go tej pierwszej nocy. Okłamała bezwiednie. Nie jest tu bezpieczny. Dla takiego człowieka jak on nie ma na ziemi bezpiecznego miejsca, a do nieba też zapewne nigdy się nie dostanie.

Brzegi rany pociemniały i były pomarszczone. Sączyła się z niej świeża krew, bo szamotał się i podskakiwał. Ciało można pokroić nożem, rozszarpać i rozerwać kulą, skuć łańcuchem i spostonować, wysmagać i spalić - jakże łatwo jest zranić ciało! Jakie to przerażające, że będąc naczyniem życia, świątynią duszy, jest tak bezbronny! Doprawdy, jedynie dzięki łasce boskiej ten człowiek jeszcze żył. Bóg bowiem poprowadził go ślaniającego się na nogach właśnie na jej łękę.

A potem uświadomiła sobie ze zgrozą, od której niemal zmartwiało jej serce, że jeśli on nie jest bezpieczny, to ani ona, ani Benjo również nie są bezpieczni. Skoro przyjęła go do swojego domu, jego wrogowie stali się teraz ich wrogami.

Podniosła głowę, żeby na niego spojrzeć. Potrafił sprawić by z oblicza zniknęło mu życie; oczy straciły blask, były puste i miała wrażenie, że przez dwie dziury zagląda w ludzką powłokę.

- Czy ten, kto tak pana urządził - spytała - będzie tu pana szukać?

W jego oczach nie dostrzegła nic. Zupełnie nic.

I wtedy poznała prawdę. On go zabił. Zabił człowieka, który go postrzelił. Nie miała co do tego wątpliwości.

Opanowało ją okropne uczucie - uczucie, które usiłowała zwalczyć, bo w zwyczajach prostaczków nie leżało szukanie zadośćuczynienia u swoich nieprzyjaciół. Oni raczej poddawali się woli Boga i ufali w Jego bezgraniczne miłosierdzie. „Nie moja wola, lecz Twoja niech się stanie”. Niemniej Rachel poczuła ulgę. U l ż y ł o j e j. Ona i Benjo są bezpieczni, ponieważ człowiek ten został zabity.

Oderwała kawałek czystego bandaża i zaczęła osuszać ranę z sączącej się krwi.

- Nie musi pan przy najłżejszym szmerze czy pojawieniu się kogoś mierzyć z broni. Nikt obcy nie ma powodu, żeby tu przychodzić. - Wciąż osuszała ranę, oklepując ją lekko. - A my, prostaczkowie, nie zadajemy cierpienia nikomu, tym bardziej bezradnym i chorym.

- Teraz właśnie zadaje mi pani cierpienie, szturchając mnie w taki sposób, jakbym był krową i wlaź w błąd.

Próbował przywołać znów na usta szelmowski uśmiech, ale niezbyt mu się to udało. Tym razem usta zdradzały jego dzikość i potencjalną niegodziwość.

- Biblia mówi, panie Kain, że grzech wasz znajdzie was. - I Rachel przechyliła buteleczkę z fenolem nad ranę w boku.

Nawet nie pisnął, tylko mu brzuch zadrżał. Wiedziała, że zadaje ból, i czuła się teraz podle. To chyba skażenie złem świata, o którym mówił Noah. Już teraz robi i mówi rzeczy, które wcale nie przystoją Rachel Yoder.

Skończyła zakładać świeży opatrunek, nie odzywając się ani nie patrząc mu w oczy. Miała już wyjść, gdy zauważyła, że spojrzał na kulkę, która utkwivszy mu w ciele, sprowadziła go pod jej dach. Leżała teraz na nocnym stoliku obok Biblii - mała, okrągła, brązowa, lekko spłaszczona na końcu, którym, według słów doktora, uderzyła w żebro.

- Doktor wyciągnął ją z pańskiej śledziny - oznajmiła.

Puścił swoją drogocenną broń, by wziąć do ręki kulkę. Uniósł ją w stronę słońca, którego promienie wpadały przez okno, i oglądał niemal ze czcią, jakby chodziło o bryłkę złota. Potem zamknął ją w dłoni i zacisnął pięść.

Powędrowała wzrokiem za jego spojrzeniem - od kulki w ręce do szafy, której drzwi były na pół otwarte, choć nie powinny. To tam doktor schował broń nieznanego, a także jego pas z nabojami i wyjęte z kolta naboje.

Rachel zaparto dech. Spojrzała na rewolwer leżący u boku rannego, a następnie znów na jego twarz.

Niebieskie oczy, wyprane z wszelkich uczuć, popatrzyły w jej oczy.

- To niemal ostatnia kulka.

Moses Weaver szurał nogami na nie heblowanych deskach frontowego ganku Yoderów, zeskrobując owcze łajno z długich skórzanych butów na wysokich obcasach. Uniósł melonik, zsunął do tyłu wypomadowane włosy, podciągnął spodnie w kratkę i podniósł rękę, żeby zastukać.

Drzwi się otworzyły, zanim to zrobił. Pani Yoder zlustrowała go od stóp do głów, przytknęła palce do warg i obróciła oczami jak guziczkami u butów.

- No, no, czyżby to nasz Mose? Wyglądasz olśniewająco, w tym stroju wprost bije od ciebie blask niczym od blaszanego dachu w upalny letni dzień.

Opuścił rękę wzdłuż boku, a policzki zalał mu rumieniec.

- Przyjechałem narąbać drewna, proszę pani.

- Tego się domyśliłam, i bardzo to ładnie z twojej strony, bo przecież wiem, że twój tata zmusza cię od świtu do zmierzchu do pracy w domu. - Patrzyła na niego, mrużąc oczy, i uśmiech błędził na jej wargach. - Doprawdy przystojnie wyglądasz.

Wyciągał szyję, żeby zajrzeć do kuchni, ale Rachel przerzuciła ciężar ciała na drugą nogę i oparła się o framugę.

- Zamówiłeś sobie przez pocztę to eleganckie nowe ubranie?

- Tak, proszę pani. I z góry posłałem na nie pieniądze, które dostaliśmy za zeszloroczną letnią wełnę. - Wychylił się, żeby przez jej ramię zerknąć do kuchni. Dojrzał cebrzyk z mlekiem i sitem na środku podłogi, puszkę z mąką i sznurek suszonych jabłek na stole. A spodziewał się, że zobaczy czającego się mężczyznę w czarnym prochowcu, uzbrojonego w dwa sześciostrzałowe kolty o kolbach wyłożonych macicą perłową i broczącego krwią z rany w boku.

Pani Yoder przekroczyła próg i wyszła na ganek, przemykając za sobą drzwi. Pachniała octem, który szczypał w nos. „Tu chyba robi marynaty - pomyślał Mose - choć nie jest to odpowiednia pora roku”.

Nie dostrzegł nawet śladu nieznanego. A ludzie mówili, że to desperado, człowiek wyjęty spod prawa, że jego twarz widnieje na plakatach z podobiznami poszukiwanych osób i że obiecuje się tysiąc dolarów w złocie za dostarczenie go żywego lub umarłego. Tymczasem - jak również mówiono - jedyną nagrodą, jaką ktokolwiek dotąd dostał, był rozpalony ołów z plującej ogniem lufy sześciostrzałowca desperado. Mose chciał choćby rzucić okiem na te sześciostrzałowe kolty. To dopiero byłoby coś ekscytującego i miałby o czym opowiadać swojej dziewczynie, Gracie. Czasami, gdy odpowiednio ją urobił, pozwalała się objąć i przytulić.

Nagle Mose zdał sobie sprawę, że pani Yoder wciąż stoi na ganku, uśmiecha się do niego i zapewne się dziwi, dlaczego nie zabrał się do roboty. Wepchnął ręce do kieszeni, obrócił się na pięcie i potknął, zahaczywszy obcasem o nierówność deski na ganku.

- Zabiorę się do rąbania tego drewna.

W połowie drogi do pieńka usłyszał, że za nim wola:

- Mose! Zastukaj do drzwi, kiedy skończysz; dam ci trochę ciasta z jabłkami, zabierzesz je do domu.

Młodzieniec obrócił się, uśmiechnięty od ucha do ucha, i w geście lekko aroganckiego pozdrowienia dotknął podwiniętego brzegu nowego czarnego melonika. Nie zaprosiła go do domu, ale może uda się jakoś zerknąć na tego desperado, a może nawet nadarzy się okazja zamienienia z nim kilku słów. „To by dopiero zrobiło wrażenie na Gracie, gdyby się o tym dowiedziała” - pomyślał. Natomiast ojciec wpadłby zapewne we wściekłość. Stary diakon Noah uważał, że każdy młodzieniec, który wejdzie w kontakt ze światem innowierców, z całym jego złem i wszystkimi demoralizującymi wpływami, będzie zgubiony. Jakby czystość ludzkiej duszy mogła ulec korozji przez wystawienie na wpływy świata, tak jak rdzewieją grabie zbyt długo pozostawione na deszczu.

Mose popatrzył na dom, osłaniając oczy przed promieniami słońca odbijającymi się od blaszanego dachu, ale pani Yoder weszła już do środka. Powiedziała mu, że wygląda olśniewająco w nowym ubraniu, bije od niego blask niczym od blaszanego dachu. Uśmiechnął się, myśląc o jej słowach.

Ostatnio wiele mówiono o tym, że jego ojciec i pani Yoder się pobiorą. Nie było żadną tajemnicą, że stary od lat do niej wzdycha. Nie wyglądało jednak na to, żeby ona paliła się do małżeństwa, mimo że pan Yoder umarł blisko rok temu. Mose naprawdę nie miał ochoty rozmyślać, dlaczego w ostatnim czasie jego ojciec jest tak bardzo smutny i przygnębiony.

On życzyłby sobie, żeby ci dwoje się pobrali. Bardzo lubił panią Yoder. Tak miło się uśmiechała i miała zwyczaj lekko klepać go po ramieniu albo odgarniać mu włosy z oczu, i zawsze pytała, czy ma wystarczająco ciepłą kapotę, i dawała coś do jedzenia, tak jak dziś to ciasto z jabłkami. Często sobie wyobrażał, że gdyby żyła jego matka, byłaby taka jak pani Yoder. Lecz matka umarła podczas porodu drugiego dziecka, gdy on miał zaledwie roczek. Potem wprowadziła się do nich ciotka Fannie, żeby prowadzić im dom. Mose naprawdę nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek obdarzyła któregoś z nich uśmiechem.

Mimo że świeciło słońce, wiatr był lodowaty jak w zimie i Mose drżał po zdjęciu zapinanego na cztery guziki surduta. Nie chciał jednak, żeby plamy od potu pojawiły się na nowym ubraniu, zanim zademonstruje je Gracie. Pewno nawet go nie pozna tak wystrojonego, bo normalnie nosił wstrętną brązową kapotę, jak wszyscy prostaczkowie.

Pomacał się pod nosem, chcąc się przekonać, czy przypadkiem nie zaczęło mu tam coś wyrastać, ale poczuł jedynie ukłucie pojedynczego włoska. W drogerii w Miawa City kupił sobie gwarantowany płyn na porost włosów dla łysych, lecz specyfik ten okazał się nieprzydatny w przypadku wąsów. Marzyły mu się wąsy podkręcane na końcach. Wtedy naprawdę wyglądałby olśniewająco.

A stary diakon Noah dostałby następnego ataku.

Ojciec krzywił się, jakby wziął do ust cytrynę, za każdym razem, gdy Mose wychodził z domu wystrojony w zamówione przez pocztę ubranie z zakazanymi guzikami i kieszeniami oraz różnymi wymyślnymi szwami. Uważał jednak, że taki strój syna w gruncie rzeczy nie oznaczał złamania zasad, ponieważ Mose dotąd nie został ochrzczony i przyjęty do zboru. Gdy złoży śluby, gdy przysięgnie kroczyć prostą i wąską drogą, będzie musiał się ubierać jak oni wszyscy, nosić brodę, a nie wąsy, i do końca życia zaprzestać rozczesywania włosów na boki. Jego zdaniem nie było sensu robić tego wszystkiego wcześniej.

Mose powiesił nowy surdut na zwisającej nisko gałęzi pobliskiej sosny. Poglaskał wyłożony atłasem kołnierz. Przez całe życie uczono go, by nie przywiązywał wagi do doczesnego świata ani do żadnej rzeczy z tego świata, on jednak uwielbiał ten surdut. Zawsze gdy go wkładał albo choćby na niego spojrzął, odczuwał zakazaną przyjemność. Coś podobnego do uczucia doznawanego podczas skoku głową w dół do Stawu Blackiego. Najpierw nagły podniecający szok, gdy przebijał głową lustro wody, potem podniecenie sięgające zenitu i przeradzające się w lęk, kiedy wciągało go coraz bardziej w dół, w zimną czarną głębię. W momencie gdy lęk już miał nad nim zapanować, osiągał dna i odbijał się w stronę powierzchni, z powrotem ku ciepłu i światłu.

Myślał o tym, o wszystkich upojnych i groźnych pokusach tego świata, ustawiając gruby cedrowy kloc na pieńku. Potem uniósł nad głowę siekiere i opuściwszy ją, walnął w kloc, aż gruchnęło. Rozrąbał go z brzękiem stalowego ostrza. Na ziemię posypały się drzazgi, a wiatr rozniósł wokół korzenny zapach cedru.

Ciało młodzieńca dostosowało się do rytmu rąbania - ręce unosiły się ponad głowę, barki ściągały, gdy opuszczał siekiere, a kiedy ostrze wgryzało się w drewno, odczuwał w ciele mocny wstrząs uderzenia. Rąbanie to ciężka praca, ale Mose ją lubił. Pomagała trochę rozładować dzikie i drażniące uczucia, które kłębiły się w nim przez całą zimę. „Dzięki robocie chłopakowi nie przewróci się w głowie - lubił mawiać stary diakon Noah. - Ciężka robota to właściwa metoda. Wraz z potem pozbędzie się grzesznych myśli i uczuć”. „Jednakże nie wszystkich - dodawał w myśli Mose - i nie całkiem”.

Siekiera trafiła w sęk i Mose szarpnął za stylisko. Skrzywił się, bo przy nagłym ruchu dały znać o sobie siniaki i potłuczenia na grzbiecie. Był wciąż obolały po laniu, jakie spuścił mu ojciec za to, co zrobił w Miawa City w ostatnią sobotę po południu. Uważał, że jest już za duży na chłostę. Jednakże nie był jeszcze na tyle dorosły, by móc od niej powstrzymać ojca.

Ach, ja! Znał pewien sposób. Mógł zrezygnować z tego grzesznego świata, poślubić Gracie i się ustatkować, i odtąd zawsze żyć tak, jak żyją prostaczkowie. Gdyby tak postąpił, wszystko między nim a ojcem ułożyłoby się znowu jak należy. Za każdym jednak razem, gdy o tym myślał, coś go ścisnęło w piersiach i miał wrażenie, że się dusi, jakby go żywcem zamknięto w trumnie i wieko zabito gwoździami.

Rzucił świeżo porąbane drewno na stos i właśnie sięgał po następny kloc, gdy koło głowy świsnął mu kamyk i uderzył w sęk pnia sosny, na której powiesił swój surdut.

- Hej! - krzyknął i obrócił się z groźną miną.

Przybiegł do niego Benjo, a tuż za nim w podskokach jego owczarek. Obaj, chłopiec i pies, chyba przed chwilą wyszli z potoku. Pies gwałtownie otrząsał się z wody, pryskając drobinami wokół. Chłopiec miał portki mokre do kolan, a na kapocie pełno poprzczepianych zeszlorocznych rzepów. Z lewej ręki zwisała mu proca.

Mose przycisnął pięści do ud i wskazał procę brodą.

- Pewno sobie wyobrażasz, że jesteś Dawidem, co to zabił wroga.

- Ja za... za... zabiłem pi... żmaka. - Benjo podniósł ramię, żeby pokazać, co ma w drugiej ręce. Trzymał zwierzaka za tylne łapy. Długi płaski ogon owinięty był wokół jedwabistego brązowego futerka, z roztrzaskanego łebka kapala na ziemię krew.

- Fuj! - powiedział Mose, cofając się o krok, bo intensywny smród piżmaka buchnął mu w nos. Z wyższością spoglądał na zdobywcę Benja, pogardliwie wykrzywiając usta. - Przyjdź do mnie, kiedy upolujesz niedźwiedzia grizzly, wtedy może mi zaimponujesz.

Chłopiec poczuł się dotknięty, z jego wesołych oczu i ust zniknął uśmiech. Mose musiał odwrócić wzrok. Był poirytowany rozmyślając o swoim życiu, ale to jeszcze nie powód, żeby wyzywać się na biednym Benju.

- Hej! - poklepał małego po ręce. - Zamierzasz podać tego piżmaka na kolację?

Benjo parsknął śmiechem. Zrobił krok do tyłu i wyrzucił w powietrze mokrego truposza. Obaj patrzyli, jak piżmak z głośnym plaśnięciem ląduje w gęstwinie dzikich śliwek. MacDuff zaszczekał i pognał za nim, zboczył jednak z drogi z powodu zająca, który wypadł z gąszczy i pociągnął go za sobą gdzieś za stajnię.

- Jak to się dzieje, że polujesz na piżmaki, zamiast być w szkole? - spytał Mose.

- Jest św... święto jakiegoś innowiercy.

- Nie ma żadnego święta. Ale załóżę się, że twoja mama tego nie wie.

Biedny Benjo był jednym z niewielu tutejszych dzieci zmuszanych przez rodziców do chodzenia do *englische* szkoły. Większość ich współwznowców nie przywiązywała wagi do nauki z książek, uważając ją za stratę czasu dla chłopaka, który w przyszłości miał zostać farmerem. Jednakże Kościół nie zabraniał nauki w szkole. „To jedna z niewielu nie zabronionych rzeczy” - pomyślał z goryczą Mose.

Na wzmiankę o szkole Benjo nagle jakby ogłuchł, gorliwie zajął się zwijaniem procy i wtykaniem jej za pas portek. Mose dźwignął następny cedrowy kłoc na pień. Oczyszczył ostrze siekiery z prochu drewna i splunawszy w dłoń, chwycił stylisko. Szykował się do podniesienia w górę siekiery. Zdążył jeszcze zauważyć, że Benjo rzuca zaniepokojone spojrzenie w stronę domu.

- Jaki on jest?

Chłopiec podskoczył niczym świerszcz, po czym z wyraźną przesadą wzruszył ramionami. Mose nie musiał wyjaśniać, o kogo chodzi. W całej dolinie rozprawiano o nim od trzech dni.

- Mama mówi, że ja mam trzy... trzy... trzymać się z dala od niego - odparł Benjo. - On jest... ne... ne... nerwowy.

- Taak? - Mose uśmiechnął się z wyższością. - Przypuszczam, że nie mniej niż ty.

Benjo wysunął do przodu brodę.

- Ja się go nie b... b... boję.

Mose już chciał go spytać, czy zamierza wyruszyć ze swoją nędzną procą przeciwko sześciostrzałowcom desperado, ale ugryzł się w język. Nie chciał go znów dotknąć. Benjo był drobnej budowy i na domiar złego się jękał, toteż wiele osób, zwłaszcza wśród innowierców, myślało, że jest słaby, a może i przygłupi, więc sobie z niego pokpiwało. Mose też czasem bywał dla niego niezbyt miły, choć zwykle potem tego żałował. Chyba mu trochę zazdrościł, bo Rachel Yoder była jego matką.

Powstrzymawszy się przed powiedzeniem tych niemiłych słów, stracił już właściwie temat do rozmowy. Pochylił się znów nad pieńkiem, wytarł dłonie o spódnie na siedzeniu i chwycił stylisko siekiery.

- M... Mose!

Mose spojrział na Benja i czekał, gdy tamten napinał mięśnie gardła i wysuwał wargi do przodu.

- Cz... cz... czy...

Mose westchnął zniecierpliwiony.

- *Ja, well?* Wypluj to albo połknij.

Chłopiec ściągnął wargi i wydał policzki, a uparte słowo rzeczywiście wystrzeliło mu z ust wraz ze strzykniętą śliną.

- Czy ty naprawdę poszedłeś do „Złotej Klatki” w ostatnią so... sobotę i zamówiłeś sobie sz... szklaneczkę diabelskiego trunku?

Mose wyprostował się nagle z siekierą w dłoni. Spłonął rumieńcem i rozejrzał się dokoła z miną winowajcy, jakby oczekując, że z wysokich traw wyskoczy ojciec i jeszcze raz spuści mu lanie.

- I co z tego, jeśli to zrobiłem? - spytał.

- Cz... czy piłeś to... ten diabelski trunek?

- Mówiłem, że tak, czyż nie?

Mose wbił siekierę w pień i otarł usta rękawem, ukrywając uśmiech, gdy Benjo rozpoczął pierwszą rundę swoich licznych pytań: co? dlaczego? jak to? - w tempie zwolnionym z powodu jękania się. Prawda zaś była taka: Mose cieszył się z możliwości opowiedzenia komuś o swojej przygodzie w najślynniejszej knajpie w Miawa City. Dobry Bóg wiedział, że ani jego ojciec, ani ciotka Fannie nie chcieliby w ogóle o tym słyszeć.

Samo opowiadanie o owej przygodzie przywróciło wszystkie uroki tego dnia. Najpierw gorączkowa ekscytacja, od której zaschło mu w ustach, gdy pchnął drzwi „Złotej Klatki” i wszedł do środka. Gęsty dym cygar gryzł w oczy i zmuszał do mrugania powiekami. Cuchnęło tam żutym tytoniem, rozlanym piwem i wełnianymi trykotami nie pranymi od tygodni, a może nigdy.

Podłoga była posypana trocinami i w nagłej ciszy towarzyszącej jego wejściu skrzypiała pod obcasami nowych wysokich butów, gdy kroczył w stronę baru. Z powodu nieśmiałości nie odrywał wzroku od butów, hipnotyzował go niemal fakt, że ich spiczaste czubki potrafiły tak wspaniale błyszczeć. Kiedy uniósł wzrok, zaskoczyło go własne odbicie w olbrzymim lustrze w złotych ramach. Uważał, że wygląda pięknie w nowym, zamówionym przez pocztę surducie i w meloniku, zupełnie nie jak prostaczek. Dopóki nie usłyszał czyjegoś chichotu.

Za sobą widział w lustrze pół tuzina drewnianych stołów ze śladami po wodzie na blatach, obstawionych wokół krzesłami. Ściany ozdabiałał rogi jelenie i wyżarty przez mole łeb łosia. Jakiś mężczyzna uderzał bez entuzjazmu w połówkę klawisze pianina. Miedzianowłosa kobieta opierała się na jego ramieniu. Mose niemal rozdziawił gębę na widok obnażonych ramion. Czterech mężczyzn rozwalilo się na krzesłach przystawionych do brzuchatego piecyka i trzymało blaszane kufle z piwem na kolanach. Gapili się na niego tak, jakby na głowie zaczęły mu wyrastać rogi i wkrótce wielkością miały zakasać te na łbie łosia.

Oderwał wzrok od swego odbicia w lustrze i powędrował spojrzeniem wzdłuż półek z karafkami, wazami, gdzie

były cygara, i słojami marynowanych owoców, by w końcu zatrzymać się na mężczyźnie, który wycierał bar moką ścierką.

Mężczyzna zlustrował go od stóp do głów, po czym kątem ust strzyknął tytoniowym sokiem, który z głośnym pluśnięciem wylądował w mosiężnej spluwaczce.

- No to co, młody prostaczku? - zapytał. Miał grube czerwone wargi, obwisłe policzki i rzadkie białe włosy, które przypominały puch dmuchawca. - Kto cię wypuścił ze zwierzyńca?

- Proszę o szklaneczkę waszej najlepszej whisky.

Barman parsknął głośnym śmiechem razem z następną porcją tytoniowego soku.

- P e r o s z ę o szklaneczkę waszej najlepszej whisky - przedrzeźniał. Potem jego grube wargi wyciągnęły się, przybierając kształt długiej płaskiej krechy, z jednej strony zakończonej jakby haczykiem na ryby. Mose miał nadzieję, że jest to uśmiech. - Masz dwadzieścia pięć centów?

Mose oparł nogę na mosiężnym podnóżku przy barze i z kieszonki na zegarek w nowej eleganckiej kamizelce wygrzebał monetę.

Barman postawił przed nim butelkę i szklaneczkę i obdarzył go następnym haczykowanym uśmiechem.

- Oto najlepsza gorzała typu witriol po tej stronie piekła. Jeden kieliszek gwarantowanie wyleczy cię z każdego strapienia - oznajmił i napełnił szklaneczkę po brzegi płynem, który zdaniem Mose'a wyglądał jak woda bagienna. Ostrożnie podniósł szklaneczkę, wciągnął głęboko powietrze w płuca i przygotowywał się do zbratania z diabłem.

Po pierwszym palącym łyku zakaszał, parsknął i wzdrygnął się, ale po następnym poszło już trochę łatwiej. Barman obserwował go przez chwilę, a potem znów zajął się pucowaniem blatu.

Mężczyźni siedzący koło piecyka również powrócili do tego, co robili przedtem, to znaczy do palenia, żucia, plucia i przeklinania. Mose już pomyślał, że grzeszenie wcale nie wygląda tak, jak się przechwalano, kiedy przysiadła się do niego owa rozneglizowana kobieta i spytała, czy chce kupić sobie taniec.

- Robi się to następująco - powiedział Mose do Benja, nie mogąc nawet teraz otrząsnąć się ze zdumienia. - Płacisz następne dwadzieścia pięć centów za kawałek czerwonej blaszki, nazywany żetonem. Potem dajesz żeton tej pani, ona wkłada go sobie w... hm, odkłada go, i wtedy tańczysz.

Właściwie on się głównie potykał i dreptał drobnymi kroczkami po posypanej trocinami podłodze. Ale, och, ona w jego ramionach była miękka i puszysta niczym poduszka z gęsiego puchu.

- Te panie, co tańczą, są lekkie i turkoczą jak jedwabne chorągiewki na wietrze - oznajmił, puszczać oko i szczerząc zęby w uśmiechu. Wątpił jednak, czy Benjo wie, co oznacza słowo „lekkie” w odniesieniu do kobiet. Sam nie był zupełnie pewien wszystkich jego niuansów.

Benjo patrzył na niego oczami szeroko otwartymi ze zdumienia i Mose poczuł, że promienieje.

- A skąd wiesz, że odwiedziłem „Złotą Klatkę”?

- S... s... słyszałem, jak twój tata mówił o tym mojej mamie. Powiedział, że ł... ł... łamiesz mu serce.

Całe ożywienie młodzieńca zniknęło, jakby chmury pochłonęły słońce. Ł a m i e s z m u s e r c e. Kiedy tak się to ujmie, to nagle fakt, że ojciec wyłoił mu skórę pasem do ostrzenia brzytwy, stanie się niewystarczającą zapłatą za tę wspaniałą przygodę.

- O, stary diakon Noah boi się, że zawędruję pewnego dnia do jakiegoś szynku i wyjdę z niego jako *Englischer*. - Zaśmiał się, jakby coś takiego było zupełnie nieprawdopodobne. Lecz ta drobna wątpliwość drażniła jego próżność niczym mrówka, która łązi po kostce u nogi. Owa jedna wyprawa do „Złotej Klatki” uświadomiła mu, że zobaczenie pewnych rzeczy pociąga za sobą pragnienie innych rzeczy, których może nie powinno się pragnąć.

- J... jak to s... smakuje?

- Co? Whisky? - Mose wyduł usta i ściągnął wargi w ciup, jakby pociągał właśnie pierwszy duży łyk tego, co barman określił jako najlepszą gorzałą typu witriol po tej stronie piekła. - Wydaje ci się, żeś połknął ogień. I pali cię w żołądku, gdy już tam dotrze.

- J... jak pachnie?

- Co? Nie wiem. Pachnie jak whisky.

Benjo z powagą pokiwał głową, jakby ta informacja potwierdziła jego własne doświadczenie, i Mose musiał ukryć uśmiech.

- A ta lekka pani, z którą t... t... tańczyłeś, jak pachniała?

- O rety! - Mose obrócił głowę i rozejrzał się dookoła, chcąc się upewnić, czy ktoś nie podsłuchuje. Oparł się na stylisku siekiery, nachylił do chłopca i ściszył głos do ochryplego szeptu. - To pytanie, którego nie powinienesz zadawać.

- D... dlaczego?

Dlatego, że czuć ją było potem i starym talkiem, a Mose nie chciał swojej przygody pozbawiać blasku, wyjawiając całą prawdę.

- Dlatego, że jesteś nieznośnym smarkaczem z mlekiem pod nosem, i tyle.

- Tak? D... dobra, a twój tata mówił mojej mamie, że wtykałeś jej swój nos w biust, i to o... obnażony.

- O rety! - Mose złapał siekiere z taką siłą, że chłopiec podskoczył. - Nie wiem, dlaczego w ogóle zawracam sobie głowę tobą, Benjo. I jeśli nie przestaniesz mi przeszkadzać, to nie porąbię tego drewna nawet do święta

Czwartego Lipca.

- Ja b... b... byłem tylko cię... kawy, j... j... jak ona pachniała - powiedział Benjo, tak się jękając, że Mose prawie go nie rozumiał. Postanowił ignorować niezdolnego dzieciaka.

Benjo wyciągnął procę zza paska i czubkiem buta wydlubał z ziemi kamyk. Zerknął na Mose'a, ale tamten udawał, że go nie widzi. Włożył więc kamień w skórzaną miseczkę, lewą ręką chwycił końce dwu rzemieni z surowej skóry i zakręcił procą nad głową. Potem nagle puścił jeden z rzemyków i kamyk ze świstem poszybował w powietrze, trafiając w wybrzuszenie na sośnie. Lecz Mose i to zignorował.

Benjo westchnął cicho, odwrócił się i poczłapał w stronę domu. Mose zaczął, aż chłopiec tam dojdzie, i dopiero wtedy spojrzał. Miał nadzieję, że może Benjo się obejrzy i sprawdzi, czy on za nim patrzy, ale nie.

Zerwał z głowy kapelusz i trzepnął nim po udzie tak mocno, że go zabolalo.

- Psiamać, Mose Weaver. Masz w głowie słomę zamiast mózgu!

Był tak zajęty odpowiadaniem na pytania Benja, że zmarnował okazję, żeby samemu się czegoś od chłopca dowiedzieć. Benjo na pewno wie sporo interesujących rzeczy na temat tego nieznanego, na przykład: za co jest poszukiwany, ile broni miał przy sobie i ilu ludzi zabił. A najbardziej go ciekawiło, jak był ubrany desperado, gdy go postrzelono.

IV

Tej nocy gorączka legła na klatce piersiowej rannego i Rachel była przekonana, że nieznajomy nie doczeka wschodu słońca.

Oddychał tak, jakby się topił we własnym ciele. Nie można było słuchać, jak powietrze gulgotce mu w płucach i chrapliwie wydobywa się z gardła. Rachel złapała się na tym, że czeka, wstrzymując dech, czy po każdym przyduszonym wciągnięciu powietrza nastąpi kolejne, czy też będzie to już ostatnie tchnienie.

Nie rezygnowała, nie pozwalała mu umrzeć. Wcześniej, gdy jeszcze mógł połykać, zaaplikowała mu syrop z cebuli. Ściągnęła z niego mokrą od potu koszulę nocną i obmyła go całego. A kiedy woda z octem parowała z rozpalonego gorączką ciała i unosiła się nad łóżkiem, modliła się w jego intencji. Modliła się nie o to, żeby Bóg ocalił mu życie, bo życie to znajdowało się w rękach miłosiernego Boga. Modliła się jedynie o to, by zmiłował się nad jego duszą. Dawno się bowiem przekonała, że nie każda zbłąkana owieczka może zostać uratowana.

W pewnym momencie, głęboką nocą, miała wrażenie, że odzyskał przytomność. Próbował się podnieść i sięść, nachyliła się więc nad nim i uspokajająco położyła mu rękę na piersi, uważając, by nie urazić rany ani złamanego ramienia. Oddychał teraz spazmatycznie i z tak wielkim wysiłkiem, aż się dziwiła, że nie popękały mu żebra. Szwy już dawno puściły, w migotliwym świetle lampy na bandażu połyskiwała ciemna plama krwi. A to, że wypuścił w końcu z ręki broń, zapowiadało jego bliską śmierć.

Nagle ręka rannego wystrzeliła w górę, palce zacisnęły się na szyi Rachel, jakby chcąc ją udusić, i podnosiły jej brodę.

Trzymał ją silną ręką w powietrzu. Rachel patrzyła na twarz mężczyzny i przez moment zatraciła się w zniewalających oczach - oczach, które pociemniały i zrobiły się dzikie, gdy palce zaciskały się na jej szyi.

- Sukinsyn - warknął, z wysiłkiem wyrzucając słowa z gardła. - Zabiję cię, ty zakichany sukinsynie!

Palce wpijały się boleśnie w jej ciało. Chwyciła rannego za nadgarstek. O brzeg łóżka oparła kolano, by użyć je jako lewara, i uwolnić się z jego rąk. Ścisnął ją coraz mocniej, teraz już dusząc. Paliło ją w klatce piersiowej, w uszach huczało od napływającej krwi. Miała wrażenie, że oświetlona lampą izba pociemniała.

A potem ją puścił, i to tak nagle, że upadła mu na pierś. Powietrze bolesną falą napłynęło do tak bardzo spragnionych płuc. Z obolałego gardła Rachel wydarł się cichy zduszony okrzyk. Oszałała z przerażenia, odepchnęła się od niego i odsunęła od łóżka.

Ranny zapadł znów w głębokie omdlenie, choć jego płuca walczyły nadal o każdy oddech. Rachel wpatrywała się w niego z ręką przy pulsującej szyi, ze wzburzoną piersią. Litość i zgroza, które teraz odczuwała, paraliżowały ją niemal tak, jak poprzednio jego palce. Nie chodziło o słowa, które wypowiedział; słyszała takie słowa i przedtem, choć nie z ust swoich współwyznawców. Ale ten wyraz jego oczu! Nie potrafiła sobie wyobrazić, co mogło napęścić człowieka tak straszną i bezdenną nienawiścią.

Nie zdawała sobie sprawy, jak długo już to trwa; w pewnej chwili zauważyła, że rozgorączkowanym ciałem rannego wstrząsają dreszcze. Okryła go prześcieradłem i swoją gwiazdzistą kołdrą, i jeszcze jedną kołdrą, a on nadal tak się trząsał i dygotał, aż stuknęła żelazna rama łóżka. W końcu Rachel zdjęła półbuty i położyła się obok niego całkowicie ubrana, od chusty po czepiec, by rozgrzać go ciepłem własnego ciała.

Do tej pory trzymała w swoich ramionach tylko jednego nagiego mężczyznę, własnego męża. Fascynowało ją zawsze, jak bardzo różnią się ich ciała - Bena i jej. Jego ciężar i wielkość mogły się wydawać przytłaczające, a przy tym tak były miłe. Włosy na piersi i nogach przypominały ciepły meszek, gdy się do niego przytulała. Gładkie i silne plecy napinały się pod dotykiem kobiecych rąk. Cudownie było myśleć, jak miękka może być skóra mężczyzny, mimo że kryją się pod nią same mięśnie i ścięgna, twardość i siła.

Myśl o Benie, o tym, że trzymała tak w ramionach Bena, sprawiła jej ból niemal nie do zniesienia.

„Człowiek podobny do tego zabił mojego męża - pomyślała - powiesił go na sznurze i śmiał się przy tym. Mój biedny Ben musiał w okrutny sposób umrzeć przez innowierców takich jak on. Jak ten, który sam siebie nazywał

Kainem”.

Nie, nie, to podszepty diabła, przychodzące do głowy często w nocy, gdy słabnie umęczona wola. Ten innowierca nie zrobił jej niczego złego, nie może zatem cierpieć za zło, które wyrządzili jej inni. Nie może go winić za to, co spotkało Bena, bo byłaby wtedy taka jak on. Wściekłość i nienawiść, które w nim buzowały, stałyby się i jej udziałem.

Potem podczas szarówki przed nadejściem świtu, gdy trzymała przy swojej piersi wstrząsane dreszczami ciało rannego, a twarz położyła obok jego twarzy, posiniaczone i opuchnięte powieki lekko się uchylały.

- Nie opuszczaj mnie - wycharczał. A w niebieskich oczach był ból i przegrana całego świata.

Nie umarł ani tej nocy, ani następnej. Drugiego dnia przyjechał na farmę doktor Henry. Osluchiwał klatkę piersiową pacjenta za pomocą instrumentu, który nazywał trąbkowym stetoskopem. Zachmurzył się, potrząsnął głową i powiedział:

- Kto twierdzi, że tylko dobrzy umierają młodo, nie żył nigdy w Montanie.

Przed odjazdem dał jej laudanum.

- Żeby pomóc twojej zbłąkanej owieczce w odejściu, bo jak już dostanie się tam, dokąd zmierza, z pewnością zazna pod dostatkiem cierpień.

W którymś momencie trzeciej nocy Rachel usnęła na klęczkach przy łóżku podczas modlitwy. Kiedy się obudziła tuż po wschodzie słońca, okazało się, że na pół leży na łóżku i trzyma rannego za rękę. Oszołomiona, zdezorientowana, czuła tylko że coś się zmieniło, i dopiero po chwili uświadomiła sobie, co. W izbie panowała cisza. Ranny już się nie dusił, nie charczał oddychał wolno i równo, pogrążony w głębokim śnie.

Promienie białawego zimowego słońca wpadały przez okno, ostro obrysowując niby srebrem na obłoku płaszczyzny i kąty ciała rannego. Wyglądał na skutek tego nie jak żywy człowiek, lecz jak posąg z kamienia. Posąg, który mógłby być obiektem pogańskiego kultu.

Doprawdy pogański posąg. Uśmiechnęła się na tę myśl, bo spoczywał na bardzo zwyczajnym starym prześcieradle, poszarzałym i cienkim od częstego prania i gotowania, a teraz jeszcze poplamionym w gorące potami. Pomyślała, że skoro patrzy na niego i się uśmiecha, to chyba do pewnego stopnia musiała się wyzbyć lęku. Choć niezupełnie.

Wstała, obolała i jakaś rozbita. Spojrzała na twarz rannego, spokojną teraz w głębokim śnie. To dziwne, że twarz może być taka znajoma, a jednocześnie nie być droga jej sercu.

Gorączka opadła i przybysz spał. Pomyślała, że powinna zajrzeć do głodnych owiec i wysłać synka do szkoły. Ociągała się jednak, nie chcąc, by śpiący pozostawał sam. Wzięła z nocnego stolika słoiczek z gliceryną i posmarowała mu wargi spierzchnięte od gorączki. Dziwna rzecz, zaskoczyła ją intymność tego, co teraz robi, a nie to, że trzymała go nagiego w ramionach.

Czuła, że połączyła ich jakaś osobliwa więź. Nie była to więź przyjaźni i przywiązania, bo chodziło o innowiercę. A nawet nie sympatii, bo przecież go nie znała. Rozważała jednak... nie, to coś więcej niż rozważanie, to niemal pewność: został do niej przysłany celowo.

Lecz to zarozumiałość, na pewno. Dwa razy uratowała mu życie i teraz sobie wyobraża, że ma do niego jakieś prawo, a on przecież należy tylko do Boga. Albo - co bardziej prawdopodobne - do diabła. Ten człowiek bowiem żył uzbrojony po zęby w narzędzia do zadawania śmierci i w sercu chował ciężki grzech nienawiści. Wprawdzie nie znała jego grzechów, niemniej była przekonana, że są zbyt liczne i zbyt straszliwe, by je nawet wymieniać.

A jednak, a jednak, jeśli Bóg jest Stwórcą wszechrzeczy, to przecież na pewno nie stworzyłby duszy, której nie można by było odkupić.

Przytrzymując brodą naręczce drewna na podpałkę, otworzyła sobie drzwi kuchni, pchnąwszy je biodrem. Dotarła już z niepewnym ładunkiem bezpiecznie niemal do skrzynki na drewno, gdy usłyszała głośny jęk, mrozący krew w żyłach.

Drewno wypadło jej z rąk i z hukiem wylądowało na podłodze. Pobiegła do izby z modlitwą na ustach. O Judaszu, nie mogła już pielęgnować rannego podczas następnego ataku gorączki, po prostu nie mogła!

Nie umierał. Jeśli ktoś wyglądał tak, jakby był bliski końca, to MacDuff: leżał wyciągnięty na łóżku obok rannego i pozwalał mu się drapać po brzuchu długą groźną ręką. A na jej najlepszej kołdrze widniały ślady zabłoconych łap i psiej śliny.

Rachel, rozgniewana, ruszyła ku niemu, wymachując rękami krzyknęła w języku, którego na co dzień używali, w *deutsch*.

- *Geh raus! Geh weg!*

MacDuff podskoczył i zszedł z łóżka. Podczołgał się ku niej z podkulonym ogonem. Zrobiło jej się przykro, że tak na niego wrzasnęła, schyliła się więc, żeby go pogłaskać po gęstej sierści.

Ranny patrzył na nią pytającym wzrokiem, z głową lekko przechyloną. Po raz pierwszy od chwili, gdy trzy dni temu dostał gorączki, był zupełnie przytomny. Kiedy wyganiała psa z izby, oderwała spojrzenie od desek podłogi z płamkami od słońca i przeniosła na jego twarz.

- *Guten Morgen...* Dzień dobry.

Wpatrywał się w nią chyba przez całą wieczność. Potem na ustach pojawił mu się jeden z tych niespodziewanych i olśniewających uśmiechów.

- Dzień dobry.

- Przykro mi, że MacDuff obudził pana w taki sposób. - Widząc jego lekko zdziwioną minę, dodała: - MacDuff to ten paskudny pies.

Kąciki jego ust jakby się zapadły. Tym razem nie chodziło o uśmiech, choć wyglądał na rozbawionego.

- Kto wpadł na pomysł, żeby nadać biednemu psu takie imię?

- Tak się wabił, gdy go dostaliśmy od szkockiego hodowcy owiec z sąsiedniej doliny. Potem doktor Henry nam powiedział, że to imię ze sztuki o królu, który podstępnie został zamordowany. Okropność. Ale wtedy było za późno, bo MacDuff już uważał się za MacDuffa.

Ranny się zaśmiał; był to śmiech niegłośny i przeszedł w kaszel. Robił wrażenie zdziwionego, jakby nieczęsto się śmiał. Rachel też się zdumiała, aż się zarumieniła.

Doszła do wniosku, że przez niego czuła się nieswojo, nie wiedziała, jak ma się zachowywać. Słabo знаła innowierców, ich osobliwe maniery i dziwaczne poglądy. A przy tym wyczuwała jakąś dziwną więź łączącą ją z tym właśnie innowiercą, pewno z powodu tego, co przeżyli. Nie można trzymać blisko swojego serca mężczyzny nagiego i konającego, a potem mieć wątpliwości, czy się go zna, choć tak naprawdę nie zna się go wcale.

Usiłowała znaleźć odpowiednie słowa, żeby przerwać milczenie i niezręczną sytuację. On leżał lekko oparty na poduszkach, jakby podczas próby siadania przekonał się, że brak mu sił.

- Jak się pan czuje, panie Kain? - zapytała. O Judaszu, jak trudno nazywać go takim imieniem! Może jednak podobnie jak z MacDuffem to tylko kwestia przyzwyczajenia.

Usta ściągnął w tym dziwnym prawie uśmiechu.

- Czuję się na tyle słaby i obolały, by się domyślić, że znowu powinienem wyrazić pani podziękowanie. Jak długo chorowałem tym razem?

- Dwa dni i trzy noce. A podziękować powinien pan Bogu, bo doprawdy to On sprawił cud, że pan żyje.

- Przypuszczam, że taka świętobliwa osoba jak pani powinna to wiedzieć. Przez chwilę tamtego pierwszego ranka miałem wrażenie, że się pani zastanawia, czy walnąć mnie w głowę miednicą i posłać do piekła, czy paść na kolana i modlić się o wyzwolenie.

Sposób, w jaki mówił, prawie przywołał uśmiech na jej usta. O Judaszu! Nie miała pojęcia, jak z kimś takim powinna postępować. I czuła się nieswojo, napotykając wbite w siebie spojrzenie. Chociaż wiedziała, że w tym czepcu i w ogóle uważa ją za jakąś osobliwość.

- Jak się zatem pan czuje, ale naprawdę? - spytała. - Chodzi mi o to, czy mogę panu dać coś do zjedzenia.

- Nooo - odparł, przeciągając słowo. - Gdy się obudziłem, zaschło mi w gardle tak, że musiałbym wysilać się ze trzy dni, by wydać z siebie choćby gwizd. Ale potem znalazłem dzban z wodą, szczęśliwie stojący tuż przy łóżku. Dzięki Ci... Boże. - Uniósł zabawnie wzrok ku niebu. - A teraz - ciągnął z nieco szelmowskim uśmieszkiem - czuję taki głód, że mógłbym spałaszować całego niedźwiedzia, zostawiając tylko pazury. Myśli pani, że dobry Bóg przygotował może jakiś cud w kuchni?

Zakryła usta dłonią, by nie parsknąć śmiechem, i wytrzeszczyła oczy. Potrząsnęła głową, cofnęła się o krok, po czym wybiegła z izby.

Zupełnie tak, jakby budząc się ze snu, ocknęła się w miejscu, którego nigdy przedtem nie widziała. Siała na środku własnej kuchni, w domu, w którym mieszkała od lat, i rozglądała się dokoła jak omamiona. Dotknęła czoła drżącą ręką. „Jestem zmęczona - pomyślała. - I wciąż się go boję”.

Nigdy dotąd w obecności innowierców nie uważała się za osobę lękliwą. Ostrożną, to owszem. Albo zrezygnowaną i poddającą się woli boskiej, kiedy potrafili być podli. Lecz nigdy naprawdę się nie bała, tak jak teraz jego. I nie miało to żadnego związku z tym, co przydarzyło się Benowi. Postanowiła już mu przebaczyć to, że przypominał tamtych gwałtowników, co powiesili jej męża. Nie, ten strach sięgał głębiej. Jakby ów przybysz stanowił zagrożenie dla niej samej.

Ze zniecierpliwieniem otrząsnęła się z tych dziwnych myśli. Ten człowiek powiedział, że jest głodny, i przynajmniej w tym względzie wiedziała, co ma robić.

Przygotowała miskę biskwitów, zalała je gorącym mlekiem i zaniósła rannemu. Podczas jej nieobecności podciągnął się jeszcze trochę wyżej na poduszkach i ten wysiłek sporo go kosztował. Ciężko dyszał, cały spocony, twarz miał bladą, a skórę wokół ust napiętą.

Nic nie mówiąc, przysunęła bujak do łóżka. Rozwiązała tasiemki sztywnego czepca i przerzuciła sobie przez ramię. Potem odczekała chwilę, trzymając w dłoniach miskę z jedzeniem, na wypadek gdyby ranny chciał się pomodlić, jak to robili jej współwyznawcy.

Nie pomodlił się, popatrzył na zalane gorącym mlekiem słone biskwity i zrobił taką minę jak Benjo. Czuła, że za chwilę uśmiech pojawi jej się na twarzy. Zaciśnęła wargi.

- Moje usta - powiedział - wołałyby dostać coś, co można żuć.

- Wątpię, żeby pański żołądek zdołał znieść cokolwiek z tego, co żułyby usta.

- Proszę pani, mój żołądek jest tak wygłodzony, że bizony z pięciocentówek zaczynają wyglądać na wychudzone. Znowu o mało się nie roześmiała i zła była na siebie z tej przyczyny, że działał na nią ten jego wykalkulowany urok. Najwyraźniej dysponował całym repertuarem uśmiechów i miał swoje własne powody, by zachowywać się w tak przyjacielski, żartobliwy sposób. Niemniej powinna dziękować dobremu Bogu, że nieznajomy posyłał jej teraz uśmiechy i mówił dowcipy, a nie mierzył do niej ze swojego sześciostrażłowca.

Zanurzyła łyżkę w misce, po czym niosła ją, ociekającą mlekiem, do jego ust.

Zacisnęła rękę na palcach, w których trzymała trzonek łyżki.

- Dam sobie radę - oznajmił. Cień rumieńca zaczął mu prześwitywać przez bladą skórę. - Dam sobie radę, proszę tylko potrzymać miskę.

Wysunęła palce spod jego ręki, pozwalając zachować mu godność.

Trzymała miskę i przypatrywała się, jak je. Patrzyła na jego rękę, na delikatne kości i napięcie ścięgien i myślała, z jaką okrutną siłą ta dłoń ścisnęła jej szyję. Patrzyła na jego usta, na wargi przylegające do łyżki i myślała, że sam układ tych ust zdradza wewnętrzną dzikość. Patrzyła na jego lekko pochyloną twarz i myślała, że długie i gęste rzęsy rzucają cień na kości policzkowe. Pomyślała też, że nigdy u nikogo nie widziała takich rzęs - ani u mężczyzny, ani u kobiety.

Pomyślała o słowach z Pisma Świętego cytowanych przez Noaha: „Nie można jednocześnie pić z kielicha Pańskiego i z kielicha dyjabelskiego”.

Gdy godzinę później usłyszała krzyk Benja, stała na saniach z sianem i karmiła owce.

Syn wypadł z domu, trzaskając drzwiami, a za nim wyskoczył MacDuff. Chłopiec biegł tak szybko, że aż mu z głowy zleciał kapelusz, i butami rozpryskiwał wielkie bryzgi błota. Rachel wbiła widły w stertę siana, zeskoczyła na ziemię i pobiegła za nimi.

Byli już blisko potoku, kiedy ich dopadła. Chwyliła syna za ramię i odwróciła ku sobie. Wyglądał na przestraszonego, a także winnego.

- Benjo... - Musiała przerwać i zaczerpnąć powietrza po tym biegu, i dlatego, że tak ją przestraszył. - Co się stało?

- N... n... nic!

Próbował się wyrwać, ale trzymała go za ramiona i lustrowała baczny wzrokiem.

- Czy chodzi o tego innowiercę? Czy on cię skrzywdził? Jeśli dotknął cię choćby...

- Nnnie! - Benjo potrząsnął przecząco głową. - On n... nie!

Wyrwał jej się i uciekł, a za nim popędził, szczerząc się, MacDuff, przekonany, że to zabawa w berka. Rachel nie goniła już syna. Najwyraźniej czegoś się przelęknął, ale nic mu się nie stało, a i tak niczego więcej z niego nie wyciągnie. Benjo nie miał zwyczaju dzielić się swoimi kłopotami.

Wróciła przez podwórko do domu. Nie zatrzymała się na ganku, żeby na rozłożonym tam jutowym worku wytrzeć buty z błota i ochronić w ten sposób podłogę przed zabłoceniem.

Trzema susami przemierzyła kuchnię, taką czuła złość. Kiedy wpadła do izby, zaskoczył ją wyraz oszołomienia na twarzy innowiercy. Podczas wielogodzinnego pielęgnowania rannego powiesiła na słupku łóżka jeden z brudnych czepców, zamierzając później wrzucić go do balii, i zupełnie o nim zapomniała. Teraz ranny trzymał go w ręce, unosząc do światła. Wyglądało to tak, jakby przez przezroczysty czepiec spoglądał na swoje własne palce, bo skórę miał niemal tak białą jak batyst.

- Co pan zrobił mojemu synowi? - zażądała wyjaśnień.

Oderwał wzrok od czepca i spojrzał na nią.

- Dlaczego on zachowuje się tak, jakby miał kluski w gębie?

Podeszła do łóżka i stanęła nad nim.

- Co pan zrobił, że mój syn tak się przestraszył?

Położył czepiec na kolanach i jeździł palcami po jednej wstążeczce. Nie spuścił jednak z Rachel wzroku.

- Jeśli ktoś powinien się przestraszyć, to ja. Obudziłem się, a tu on gapi się na mnie, nos w nos, kaszle i prycha jak gejzer. A ja tylko wycelowalem w niego palec... - Kąciki jego ust wolno się uniosły. - I być może powiedziałem: „bum!”

Rachel przycisnęła łokcie do boków, próbując zwalczyć uczucie nagłego zimna. To, co zrobił, było podłe.

Wzrok rannego zamknął jej usta, sparalizował ją i przeraził. Jak to się mogło stać, że przed chwilą twarz, z leniwym uśmiechem na wargach, przybrała teraz zacięty wyraz, a oczy stały się puste i zimne?

Po chwili przeniósł wzrok z Rachel na czepiec leżący na jego kolanach. Wodził palcem po sztywnym środkowym fałdzie.

- Nie lubię niespodzianek, pani Yoder. Pomyślałem, że pani syn powinien to wiedzieć.

Dziwna nuta znużenia w jego głosie obudziła w niej litość. „Jakie to straszne - pomyślała - musieć tak stale mieć się na baczności. Nigdy nie móc pozwolić sobie na to, by czuć się gdzieś z kimś bezpiecznie”.

- Kłopot w tym, panie Kain, że chyba napędza nam pan strachu szybciej, niż zdążymy uciec.

- Chcę, żeby pani chłopak liczył się ze mną - powiedział wolno. Znow na nią spojrzał. - Ale nie był przestraszony. I nie chcę, żeby pani była przestraszona.

Patrzyła zahipnotyzowana, jak jego ręka zostawia czepiec i podnosi się; przez chwilę myślała, że zamierza jej dotknąć. Lecz to, co zrobił, było jeszcze bardziej szokujące. Położył mianowicie rękę na jej Biblii, która znajdowała się na stoliku przy łóżku.

- Przysięgam, pani Yoder, na tę księgę, którą pani tak sobie ceni, że...

- Nie, nie wolno panu tego robić! - Zareagowała instynktownie, zakrywając mu usta palcami, żeby go powstrzymać od wypowiedzenia tych słów. Kiedy go dotknęła, przeskoczyła na nią iskra, jak czasem podczas letniej burzy, gdy dotknie się czubkami palców szyby w oknie. - Nie wolno panu przysięgać na Biblię. Przysięgi to rzecz poważna. Składa się je tylko Bogu i obowiązują do końca życia.

Cofnęła palce od jego ust, ledwie ich dotknęła, ale ta iskra przyprawiła ją o dziwne uczucie, jakby załaskotało ją coś w środku. Zaciśnęła pięść i zawinęła w fartuch.

Przez chwilę przypatrywał jej się po swojemu, bacznie, trzymając dłoń wciąż na Biblii. Potem zabrał rękę z powrotem na kolana i lekko, leciutko gładził palcami czepiec.

- A więc może mała obietnica? - powiedział. - Jeśli powiem, że nie skrzywdzę ani pani, ani pani syna, to mi pani uwierzy?

- Dlaczego miałabym nie uwierzyć? - Zdziwiło ją to pytanie.

- A jeśli byłem graczem, złodziejem, znanym rewolwerowcem i zawołanym łgarzem?

- Myślę, że w swoim czasie pewno był pan i graczem, i złodziejem, i rewolwerowcem, i łgarzem.

Roześmiał się i potrząsnął głową.

- Madam, przejrzała mnie pani na wylot.

Patrzyła na przybysza, usiłując go zrozumieć. Wyglądało na to, że on nie potrafi sobie wyobrazić, by ktoś mu zaufał, jako że sam nie ufał nikomu.

- Jeśli p a n wierzy, że nas nie skrzywdzi, panie Kain - powiedziała - to i my panu wierzymy.

Wróciła do snów, wzięła widły i zaczęła znów karmić głodne owieczki, ale głowę miała pełną dziwnych myśli, które zlatywały się jak ćmy do lampy.

Później, zdrapując na klęczkach z podłogi w kuchni naniesione przez siebie błoto, myślała o tym, co ten przybysz zrobił jej synkowi; dlaczego wycelował w niego palec i krzyknął „bum”, czym go tak bardzo przestraszył.

Martwiła się o niego, o swojego Benja. Zdawała sobie sprawę z tego, że chłopcu jest smutno i czuje się osamotniony. Nie znalazła jednak sposobu, by mu ulżyć, nie potrafiła go nawet skłonić, żeby z nią porozmawiał. Ten smutek miał związek przede wszystkim ze śmiercią jego ojca - to wiedziała. Nie wiedziała natomiast, jak sprawić, żeby zrozumiał, zaakceptował wolę bożą, gdy jej własne serce i rozum miały z tym trudności.

Przyszło jej na myśl, że jeszcze inne sprawy niepokoiły chłopca, sprawy związane z dorastaniem. Ostatnio był nieposłuszny, robił rzeczy, na które przy ojcu by się nie ośmielił. Jak dzisiaj - przecież powinien być w szkole. No cóż, prostaczkowie nie przywiązywali wagi do książkowej nauki, ona też, gdy zabrakło Bena, miała skłonności do zaniedbywania tej *englische* szkoły.

Teraz w ich życiu pojawił się ów innowierca i dodał zmartwień jej synowi, a ona nie wie, jak mu powiedzieć, że nie powinien się bać, ponieważ i jej umysł, i serce znają ten lęk.

Szkoda, że nie może opowiedzieć Benowi, jak ich chłopak przestraszył się tego „bum”. Znała swojego męża i wiedziała, że słuchając jej opowieści, na pewno by się śmiał. Miał zrozumienie dla takich zabawnych rzeczy. Bum! Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak przyjąłby to Ben.

Ręce szorujące podłogę znieruchomiały i Rachel zamknęła oczy. Na mokrą sosnową deskę kapnęła pojedyncza łza, za nią następna i następna. A potem Rachel musiała mocno przycisnąć ręce do twarzy, żeby stłumić płacz.

W takim dniu, jak przypuszczała, odwiedziny Jakoba Fischera były nie do uniknięcia.

W ciągu ostatnich trzech dni odwiedziło ją mnóstwo osób. Sąsiedzi przynosili ze sobą garnek gulaszu albo proponowali, że zrobią dla niej to lub tamto. Przyszedł młody Mose i narąbał tyle drewna, że wystarczy na następnych sześć miesięcy zimy. I wszyscy oczywiście liczyli na to, że zobaczą osławionego gościa.

Jakob Fischer to najbardziej wścibski człowiek w całej ich wspólnoty. Doprawdy wtykał swój ciekawski nos w sprawy innych tak uparcie, aż zaczęto nazywać go Długonosym Jakobem, i to nawet w jego obecności. Chyba się tym nie przejmował. Miał rzeczywiście duży nos, czerwony jak dojrzały pomidor późnym latem. Rachel zastanawiała się czasem, czy on w ogóle rozumie, o co chodzi w tym żartobliwym przezwisku.

Wstawiała właśnie do piecyka placek z jabłkami, gdy drzwi się otworzyły i pojawił się w nich nos Jakoba Fischera, a za nim cała jego reszta.

- Przyszedłem zobaczyć tego obcego, którego sobie wzięłaś - oznajmił, zupełnie jakby chodziło o nowego nagrodzonego tryka. I nie czekając, aż Rachel go zaanonsuje, ruszył prosto do jej izby.

Lecz gdy tylko wystawił nos poza framugę drzwi, z głębi jego trzewi dobył się przeraźliwy wrzask, po czym wybiegł z domu, a własny nos wytoczył mu drogę. Krzyczał, ile sił w płucach, coś o diable z kłami błyszczącymi i wielkimi jak noże do porcjowania mięsa.

Rozegrało się to tak szybko, że Rachel nie zdążyła jeszcze nawet odejść od pieca. Westchnęła, wytarła ręce w

fartuch i poszła do izby zobaczyć, co robi innowierca.

Mężczyzna nazwany Kainem leżał oparty na poduszkach i trzymał przy wargach długi, płaski metalowy przedmiot. Długonosy Jakob mógł pomyśleć, że ujrzał diabła z kłami, zwłaszcza teraz, gdy zachodzące słońce wlewało przez okno purpurowe światło i upodobiło izbę do piekielnego kotła.

Wszystko to wydało się Rachel nagle bardzo zabawne. Zasłoniła usta ręką, ale nie udało jej się powstrzymać śmiechu, który wydobywał się lekkimi parsknięciami.

Innowierca odjął metalową rurkę od warg. Wytrzeszczył oczy i zrobił niewinną minę, taką jak Benjo, gdy został przyłapany na jakiejś psocie.

- Co ja zrobiłem? - spytał.

Popatrzyła gdzie indziej, żeby powstrzymać śmiech. - Przypuszczam, że Jakob Fischer przyszedł tutaj - powiedziała, gdy wreszcie złapała oddech - żeby zobaczyć u pana rogi i parzyste kopyta, a zamiast tego ujrzał kły. Ten Jakob Fischer myśli, że jest kimś.

- A nie jest kimś?

Znowu o mało nie parsknęła śmiechem. Głęboko wciągnęła powietrze, żeby się opanować, i niemal prychnęła.

- O człowieku zarozumiałym, który się popisuje i jest natarczywy, my mówimy: „Myśli, że jest kimś”.

Tak mówią też o takim, który łamie zasady, ale tego już mu nie powiedziała, bo nie sądziła, żeby to zrozumiał ktoś taki jak on, kto zapewne żył w ogóle bez zasad.

Patrzył na nią, jakby niezupełnie rozumiał, co do niego mówi, tym razem jednak wzrok miał przyjazny.

- Skąd się to tu wzięło? - spytała, wskazując na metalową rurkę.

- Z kieszeni mojego prochowca.

Z prochowca. Powiesiła ten prochowiec na haku na przeciwległej ścianie, nie mógł więc dosięgnąć go z łóżka. Siła jego woli była przerażająca.

- Nie powinien pan wstawać - rzekła. Powędrowała wzrokiem do jego broni - n a b i t e j broni, o czym nie wątpiła - leżącej teraz na stoliku przy łóżku. - Nie mam ochoty pielęgnować pana podczas kolejnego ataku gorączki.

Uśmiechnął się z powodu tej bury, obracając w ręce metalową rurkę.

- A co to właściwie jest? - zapytała, zaciekawiona.

Pokazał jej ten przedmiot, żeby go sobie obejrzała.

- Nigdy przedtem nie widziała pani organków? Wygrałem je jakiś czas temu w monte*.

Nie miała pojęcia, co to są organki. Ani monte, prawdę mówiąc, ale tego mogła się przynajmniej domyślać.

- Sądziłam, że w grach hazardowych stawką są pieniądze - powiedziała.

Miała nadzieję, że te organki nie służą do zadawania śmierci i ran jak jego nóż i rewolwery.

- Facet, z którym grałem, nie miał już pieniędzy. Z całego majątku zostały mu tylko te organki.

- To była ostatnia rzecz, jaką miał ten biedak, i pan ją wziął?

- Dla niego zniewagą byłoby, gdybym jej nie wziął.

Próbowała pojąć logikę rozumowania innowiercy, a on tymczasem przytknął rurkę do ust i dmuchnął. Rurka wydała z siebie czarowny, smętny dźwięk, zbliżony do ryku jelenia na rykowisku. Rachel zjeżyły się włoski na rękach, zaczęła drżeć.

- Och! One grają!

Wzruszył ramionami.

- No cóż, mają grać. Ale ja znam tylko jedną piosenkę, „Och, Zuzanno!”, a i tej nie umiem najlepiej.

- Zagra mi ją pan? - Była tak podniecona, że bezwiednie posłała mu uśmiech. - Chciałabym usłyszeć właśnie tę piosenkę, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Usiadła na bujaku, wychylając się do przodu i wsuwając ręce między kolana, pełna oczekiwań jak dziecko. Patrzył na nią spod przymrużonych powiek.

- Pewno trochę podrażni to pani uszy, ale brzmi to tak... - Znow przytknął do ust metalową rurkę, dmuchnął w nią i cudowne smętne tony rozległy się w izbie.

Rachel przymknęła oczy i pozwoliła, by dźwięki ją napelniały. Przypominały muzykę wiatru. Wycie i huczenie. Krzyczenie do niebios z radości. A na koniec wybrzmiały z tajemniczym, zawoalowanym smutnym jękiem.

Westchnęła przeciągle.

- Och, to było takie cudowne!

Otworzyła oczy i zobaczyła, że on jej się przygląda.

- Znam tylko tę jedną melodię - powiedział głosem stłumionym i chrapliwym, jakby dmuchając w organki, wyczerpał cały zapas powietrza. - Ale jeśli pani chce, to mogę panią jej nauczyć.

Wyprostowała się przerażona.

- Nie, nie wolno. Muzyka grana na instrumentach takich jak pańskie organki jest zakazana w życiu tych, co kroczą prostą i wąską drogą. Postąpiłam bardzo źle, prosząc pana o zagranie tej melodii, a teraz muszę prosić, żeby

* Monte - hiszpańska hazardowa gra karciana.

pan już nigdy tego nie robił. Nie w moim domu. To wbrew zasadom.

- Jakim zasadom?

- Zasadom, według których żyjemy.

Rozważał przez chwilę jej słowa, po czym obdarzył ją tym swoim łobuzerskim uśmiechem.

- I jak przypuszczam, nie życzy sobie pani, by ten facet, co się tu kręci i myśli, że jest kimś, przyłapał ją na łamaniu zasad.

Potrząsnęła głową, choć z trudem utrzymywała powagę.

Przesunęła się do przodu na bujaku, ściskając palcami brzeg siedzenia. Jednakże nie wstała. On patrzył na organki trzymane w ręce. Włosy miał zmierzwiłone od poduszek, policzki zaczerwienione od gorączki. Wyglądał szelmowsko, jak trochę osamotniony łobuziak.

Podniósł wolno głowę. Zastanawiał się chyba, co mógłby jej powiedzieć, jakby tym razem to on odczuwał potrzebę przerwania milczenia, które zapadło.

- Co to się piecze i tak pięknie pachnie? - spytał wreszcie.

- Placek *snitz*. Lubi go pan?

- Może i lubiłbym, gdybym wiedział, co to takiego.

- To placek z suszonymi jabłkami i przyprawami. Piekę go dla mojego syna, bo go pan przeraził dziś rano. Benjo uciekł, jak to czasem robi, gdy ma kłopoty, ale wróci, kiedy się uspokoi i zgłodnieje. A wtedy będę miała dla niego świeżo upieczone ciasto.

- Dziwię się, że znajduje pani czas na pieczenia placka. Samo leżenie i słuchanie, jak się pani krząta przez cały dzień, wyczerpało mnie do cna. Nie spotkałem jeszcze kobiety, która podobnie do pani przechodziłaby od jednej roboty do drugiej.

- Hm, najwyraźniej nie był pan żonaty, panie Kain. Inaczej wiedziałby pan, że dzień każdej kobiety jest równie pracowity jak mój.

Nigdy nie widziała, żeby czyjaś twarz zmieniła się tak gwałtownie. Wydawało jej się, że dostrzegła przeblysk czegoś w jego oczach, echo smutku dawno odegnanego, a potem już nic.

Teraz to ona usiłowała przerwać milczenie.

- Poza tym - rzekła - próżnowanie jest przyczyną wielu okropnych rzeczy na tym świecie. Szatan ma wielką moc nad próżnującymi i prowadzi ich do złego. Król Dawid na przykład przechadzał się po dachu domu i popełnił grzech cudzołóstwa.

Chyba nie powinna była akurat tego mówić. Ponurość zniknęła jednak z jego twarzy, wydawał się teraz rozbawiony.

- Nigdy pani nie grzeszy, pani Yoder?

- Oczywiście, że nie. - Czuła, że się lekko rumieni. - Nie zbaczam z drogi i nie grzeszę.

- A ja tak.

- Pan tak? - spytała zdumiona.

- Aha. Zbaczam z drogi, i to daleko, i grzeszę. Tak bardzo, że praktycznie czuję swąd ognia piekielnego.

Żartował, to pewne. Odkryła, że lubi żartować. Pod tym względem przypominał Bena. On...

Cienkie smużki czarnego dymu niczym żałobne wstążeczki unosiły się w powietrzu.

- Judaszu z Iskariotu! Mój placek! - krzyknęła i zerwała się na równe nogi tak gwałtownie, że bujak uderzył oparciem o ścianę.

Wybiegając z izby, słyszała jego śmiech.

V

Innowierca stał na ganku. Jedną zgiętą nogę opierał podeszwą buta o ścianę, a kciuk zatknął za pas z nabojami, który zjeżdżał mu z bioder. Kapeluszem ocieniał twarz. Wyglądał na odprężonego i rozleniwionego. A jednak otaczała go iskrząca aura oczekiwania jak w gorące letnie popołudnie przed burzą.

Rachel zachwiała się na nogach, widząc go na ganku. Zadyszała się, zaganiając owce z wygonu z powrotem na pastwisko. Teraz kiedy nagle zobaczyła, że on stoi tam ubrany i z bronią, serce jej zamarło.

Szła przez podwórko, kierując się w jego stronę. W głębokim cieniu stodoły chrzęścił pod butami łamiący się lód z porannego przymrozku. Zatrzymała się u stóp schodków i spojrzała na innowiercę. Rondo kapelusza zakrywało mu oczy, usta miał zacięte. Weszła na pierwszy stopień, ale nie mogła się zdobyć na to, by stanąć na następnym.

- Te owce ganiają panią tam i z powrotem - zauważył z uśmiechem.

Spłoszyła się. Nie była pewna, czego oczekiwać. Czy poczuwszy się nieoczekiwanie na tyle dobrze, by wstać z łóżka, zacznie teraz biegać za nią ze swoim sześciostrzałowcem? I to po wszystkich staraniach, żeby ją oczarować! Gdyby on, ten człowiek, znał jej myśli, czułby się pewnie zawiedziony.

Pokonała resztę schodów na ganek.

- Czasami myślę, że łatwiej byłoby zmusić potok, żeby skierował się tam, gdzie bym sobie życzyła, niż te spłoszone włochate potwory. Powinnam była zabrać ze sobą blaszanego psa.

Zsunął kapelusz do tyłu.

- Blaszanego psa? A co brakuje owczarkowi, którego pani już ma? Oczywiście, jeśli nie liczyć jego skłonności do

uganiania się za zajęciami.

Uniosła przewieszony przez poręcz ganka kawałek drutu, na którym wisiało z pół tuzina puszek po mleku.

- Oto blaszany pies - wyjaśniła, energicznie nim potrząsając. Owce zbite w gromadę przy wrotach na pastwisko zawróciły i najszybciej, jak potrafiły, uciekły, by schronić się pod topolami.

Zaśmiała się głośno.

Przez chwilę patrzyła na niego zdumiona. Mężczyzna o zaciętym obliczu stał tam z raną w boku, z ręką na temblaku, z groźnym koltem wiszącym na biodrze i śmiał się ze stada głupich owiec. Rachel ścisnęła w dołku na sam jego widok. Podobne uczucie miewała jako mała dziewczynka, gdy wisiała głową w dół na gałęzi.

- Nie powinien pan opuszczać łóżka, panie Kain - powiedziała.

- Gdybym jeszcze jeden dzień spędził, leżąc na wznak i licząc sęki na krokwiach, dostałbym większego kręcka niż pluskwy.

- W moim łóżku żadnych pluskiew nie ma!

Przejechał ręką po zarośniętej szczęce. W kącikach jego oczu pojawiły się fałdki, podejrzewała więc, że usiłuje ukryć uśmiech.

- Niech mi pani pokaże tego, kto tak mówi, a powiem mu, że jest złośliwym kłamcą. Nie, madam, pani łóżko z całą pewnością jest całkiem czyste i na dodatek miękkie. Ale czuję się w nim samotny, naprawdę samotny.

Musiała ukryć ręce w fartuchu, żeby nie ulec pokusie przyłożenia ich do gorejących policzków. Samotny. To, co powiedział, jest nieprzyzwoite i złe.

A potem się zastanawiała, czy przypadkiem zło nie tkwi w jej własnej głowie, czy nie przypisała tym słowom sensu, jakiego wcale w nich nie było. W tym, co przybysz mówił lub robił, rzadko wyczuwała szczerą, częściej obojętne wyrachowanie. Ciekawa była, co on widzi, patrząc na nią, co o niej myśli. Jednakże takie rozmyślenia na pewno były czymś złym. Rachel Yoder uważa, że jest kimś.

Wyprostował i opuścił nogę, lekko stukając butem w podłogę. Zrobił kilka kroków do przodu i stanął niemal tuż przy niej. Był wyższy, niż myślała. Był wysoki i prezentował się elegancko w swoich gabardynowych spodniach wsuniętych w lśniące, czarne, wysokie buty, w czarnym stetsonie na głowie i w kamizelce koloru butelkowej zieleni... i w koszuli Bena. Miał na sobie koszulę Bena.

Zauważył, na co patrzyła.

- Znalazłem wszystkie swoje rzeczy, oprócz koszuli. Wziąłem więc jedną z koszul pani męża. Jeśli sprawia pani przykrość, że widzi ją pani na mnie...

Oprzytomniała i potrząsnęła energicznie głową.

- Nie, nie! Nie ma to żadnego znaczenia. Koszula była poplamiona i tak zniszczona, że uratować jej się nie dało. To znaczy pańska koszula. - Zniszczona przez kulę, poplamiona krwią. Miała zaszewki i perłowe guziczki na gorsie, i wysoki sztywny kołnierzyk. Ta, którą włożył na siebie, była bez kołnierzyka, guzików i zaszewek. - Obawiam się, że na razie będzie pan musiał ubierać się częściowo po naszemu.

- Nie jestem pewien, czy nie zaszkodzi to mojej reputacji - odparł, przeciągając słowa. - Jestem szeroko znany z tego, że ubieram się w pewnym stopniu k r z y k l i w i e.

Czuła, że uśmiech pojawia jej się na wargach, i czym prędzej go powstrzymała.

Odwrócił się, trochę niepewnie; musiał wyciągnąć zdrowe ramię, by zachować równowagę.

- Czy przeszkadzałoby pani, gdybym wyniósł tu krzesło? Chciałbym złapać trochę słońca, a nie sądzę, żebym mógł to robić na stojąco.

Tego ranka, gdy zmieniała opatrunek, stwierdziła, że rana nadal jest zaogniona i boląca. Ponadto dwa tygodnie leżał w łóżku, przez większość czasu trawiony gorączką. Nie dziwiła się więc, że czuje się słabo.

Nie powinien pan w ogóle wstawać - zaprotestowała. - Nawet nie chcę sobie wyobrażać, co pomyśli doktor Henry. Jednakże weszła przez otwarte drzwi do kuchni i wzięła jedno z krzeseł. „Jeśli ma zakłócać spokój świata swoją obecnością - pomyślała - już lepiej niech to robi na dworze, a nie w jej domu”.

Kiedy wróciła na ganek, wziął od niej krzesło i postawił pod ścianą. Siadając, znowu się zachwiał, toteż musiała mu pomóc. Przez chwilę, gdy trzymała go w pasie, byli bardzo blisko siebie. Kiedy już siedział na krześle, cofnęła się o krok.

Oparł się plecami o nie ociosane topolowe bale domu, wystawiając twarz do słońca. Wiatr łopotał spódnicami Rachel, ciemnymi i sztywnymi od mrozu, i smagał cholewki jego lśniących czarnych butów. Gdy tam siedział, wyglądał tak światowo, tak inaczej niż dotąd. Szkoda, że ma zniszczoną koszulę, bo ta po Benie wyglądała na nim jak oset na grządce tulipanów.

Ciekawa była, czy jego dusza też została splamiona i zniszczona, i uratować jej się już nie da.

Gęstą pianę w miseczce rozrabiała pędzlem do golenia tak energicznie, aż podskakiwały jej spódnice. Z krzesła na ganku innowierca przyglądał się z niepokojem białemu borsuczemu włosiu.

- Jest pani na mnie rozgniewana?

Rachel obracała pędzlem jeszcze energiczniej.

- A powinnam, panie Kain?

- Do diabła, nie wiem! Człowiek nigdy nie wie. Ale teraz, gdy mam szansę przemyśleć pani uprzejmą propozycję ogolenia mnie... - Wyciągnął szyję i przejechał ręką po szorstkim zarostie pod brodą. - Pożalowania godne jest to, madam, że jak mi podpowiada doświadczenie, niemądrze byłoby pozwalać rozgniewanej kobiecie na uzbrojenie się w jakieś ostro zakończone lub szpiczaste narzędzie. - Posłał jej żartobliwy uśmiezek. - Wie pani, mówią, że kto został ukąszony przez węża, boi się liny.

- Jeśli o mnie chodzi, nie mam zbyt wielkiego doświadczenia z wężami, panie Kain. - Rachel wyżymała ręcznik, który zamoczyła w misce z gorącą wodą. - Ale bardziej godny pożalowania fakt, dla pana oczywiście, jest to, że czy rozgniewana, czy też nie, już jestem uzbrojona... - roztrzępała ręcznik - w brzytwę gwarantowanej jakości i tak ostrą, że można nią rozciąć włos na dwoje.

To mówiąc, plasnęła mu na twarz gorący ręcznik, zagłuszając jego okrzyk przerażenia.

W rzeczywistości trochę się zdenerwowała, choć miała pewną praktykę. Mężczyźni z ich wspólnoty nosili gęste długie brody, ale musieli wygalać policzki, górną wargę i kark. Jednej zimy Bena zwała z nóg grypa i tak go osłabiła, że sam nie mógł doprowadzić się do porządku. Wtedy goliła go Rachel, żeby mógł utrzymać schludny wygląd z szacunku dla Boga.

Zauważyła dziś rano, gdy innowierca wygrzewał się na słońcu na ganku, że drapie się po dość sporym już zarostie. Zaproponowała, że go ogoli. Wiedziała, że jeśli nawet pożyczycy mu męzowskie przybory do golenia, to z prawą ręką na temblaku sam sobie nie poradzi.

Obserwował każdy jej ruch, gdy otwierała gwarantowanej jakości brzytwę Bena i ostrzyła ją na gładkim skórzanym pasku. Na opuszcze swego kciuka wypróbowała, czy jest odpowiednio ostra, świadomie lekko się zacinając. Skrzywiła się i wysała krew z ranki. Z wysiłkiem przełknął ślinę.

Zdjęła ręcznik z jego twarzy i zaczęła rozrabiać pianę na gęstej ciemnej brodzie. Wiedziała, że włosie borsuka jest miękkie jak włoski niemowlęcia. Mydło słodko pachniało wiosennym wawrzynkiem, a para unosząca się w powietrzu była ciepła i wilgotna. Zaczekała, aż ranny zamknie oczy.

- Kiedy ujrzę krew tryskającą jak gejzer - powiedziała - będę wiedzieć, że ścięłam za dużo.

Otworzył szeroko oczy, a Rachel się roześmiała. I już nie mogła przestać. Tak bardzo się śmiała, że aż zgięła się wpół, i było jej z tym dobrze, ach, jak dobrze! Nie śmiała się tak od śmierci Bena.

Kiedy wreszcie spowaźniała, spojrzała na innowiercę. Udawał obrażonego, ale usta go zdradzały.

- Robi pani ze mnie głupka?

Z powagą pokiwała głową.

- Niech no zobaczę, jak pani trzyma brzytwę. Chcę wiedzieć, czy nie drży pani ręka.

Wzięła brzytwę i specjalnie tak nią potrząsała, żeby ostrze błyskało w słońcu. To ją znów rozśmieszyło, jego zresztą też. Cisza, jaka potem zapadła, wprawiła ich w dziwne zażenowanie, jakby oboje unikali intymności, którą przerwał wspólny śmiech.

Brzytwa z cichym szelestem sunęła po brodzie. Przyjemnie było patrzeć, jak jej ostrze obnaża wychudzoną twarz i gładką skórę. Rachel zapomniała, jak młodo wyglądał ranny, kiedy go po raz pierwszy ujrzała. Miał w sobie pewną twardość, na skutek czego wydawał się starszy. Jakby przeszedł w życiu więcej, niż ukazywało oblicze. Zapytała kiedyś, ile ma lat. Powiedział, że nie wie. Czy można nie wiedzieć czegoś takiego o sobie?

Nachyliła się nad nim, chcąc dosięgnąć bokobrodów, i dotknęła brzuchem jego ramienia. Odskoczyła do tyłu, rzucając przerażone spojrzenie na twarz mężczyzny. On jednak wzrok miał utkwiony nie w niej, lecz gdzieś dalej. Albo może gdzieś w głębi.

Zgoliła resztkę zarostu pod brodą i wycierała właśnie do czysta brzytwę, gdy poczuła, że się poruszył. Spojrzawszy na niego, zobaczyła, że w ręce ściska jej poduszczkę na szpilki.

Zauważył ją wczoraj, gdy na chwilę usiadła na bujaku, żeby zacerować skarpetkę syna. Poduszcзка z czerwonego aksamitu miała kształt dzikiego jabłuszka - taka mała frywolność, na którą, przestrzegając zasad, zapewne nie powinna sobie pozwalać. Spytał, czy może ją sobie od czasu do czasu pożyczyć. Nie miała pojęcia, na co może mu być potrzebna. Nawet wtedy, gdy wyjął z poduszcзки wszystkie szpilki i igły i zaczął ją ściskać w prawej dłoni tej złamanej ręki, wciąż nie rozumiała. Ściskał ją i ściskał, choć zacięte usta zdradzały, że sprawia mu to ból.

- Dlaczego? - spytała.

Milczał. Przypominał owce, które przy najlżejszym ruchu w ich stronę płoszyły się i uciekały. Potem zauważyła, że powędrował wzrokiem w stronę kulki leżącej wciąż na nocnym stoliku obok Biblii. Kulki, którą nazwał „niemal ostatnią kulą”. Patrzył na nią i przez cały czas ściskał i puszczał na zmianę poduszczkę na szpilki w kształcie dzikiego jabłuszka.

Ściskał i puszczał, jak teraz. Zwróciła uwagę, że zaciska palce na czerwonym aksamicie tak mocno, aż bieleją mu knykcie, a delikatne kości nadgarstka i dłoni na zmianę napinają i uwalniają skórę. Fascynowała ją tajemnicza i skomplikowana natura tego innowiercy. Intrygowało w nim tyle rzeczy: jego samotność i niepokój, i grzech.

Wytała mu twarz czystym gorącym ręcznikiem.

- Gotowe, panie Kain - oznajmiła. - Ale nie, proszę poczekać. - Pochyliła się nad nim, chcąc wytrzeć rogiem ręcznika resztkę mydlanej piany z ucha.

Wyciągnął rękę, owinał sobie na palcu jedną z tasiemek jej czepca i lekko pociągnął.

- Dlaczego pani to nosi przez cały czas?

- Zawsze tak robimy. To kwestia *Attnung*, zasad życia. Czepiec jest symbolem, przypomnieniem tego, że zawsze musimy być poddane Bogu i mężowi. Biblia mówi: „Albowiem jeśli się nie nakrywa niewiasta, niechże się też strzyże”. Nosimy więc czepiec modlitewny w dzień, a na noc wkładamy inny.

Nie zawsze jednak wkładała czepiec na noc, póki żył Ben. On uwielbiał dotyk jej włosów, to, że ich otulały, gdy leżeli razem w ciemnościach. Czasami zostawiał zapaloną lampę, żeby móc je widzieć. P o l e r o w a n y m a h o ń. Uważała, że kładąc się do łóżka z Benem bez czepka, tylko nieznacznie łamie zasady.

Teraz jednak innowierca w taki sposób na nią patrzył, że zaczęła się zastanawiać, czy jakimś cudem nie wie o tych wszystkich przypadkach, gdy nie wkładała na noc czepka, i dlaczego tak robiła.

- Czy widziała pani kiedyś ogień na prerii? - spytał. - Jak płomienie oświetlają od dołu obłoki, które nabierają odcienia szkarłatu albo czerwonego wina? Tej pierwszej nocy, gdy leżałem w pani łóżku, otworzyłem oczy i pomyślałem, że patrzę na obłok oświetlony pożarem na prerii. Myślałem, że to sen, a to była pani. Z rozpuszczonymi włosami. Dlaczego Bóg albo jakakolwiek żyjąca istota miałyby sobie życzyć, żeby ukrywać coś tak pięknego?

Rachel zrobiło się przyjemnie, gdy usłyszała, że uznał jej włosy za piękne.

To jednak było uczucie grzeszne, próżne, a także niemądre. Rachel Yoder znów uważała, że jest kimś. Zaczęła zbierać przybory do golenia.

- Kiedy pana słucham - powiedziała - podejrzewam, że diabeł używał podobnie pustej gadaniny, namawiając Ewę do skosztowania zakazanego owocu.

Złośliwy uśmiezek pojawił się na jego ustach.

- Aha, podejrzewam, że tak.

Uchwycił jej spojrzenie, przełożył do zdrowej ręki poduszeczkę na szpilki i wyciągnął ją ku niej, jakby ofiarowując jabłuszko.

- Ale to jabłko, jak sądzę, tak Ewie smakowało, że diabeł nie musiał wcale jej namawiać, by ugryzła jeszcze raz.

Rachel siedziała na stopniach ganku, objął rękami kolana, z głową odchyloną do tyłu. Za zamkniętymi powiekami słońce upodobniło się do pulsującej czerwonej piłki. W podmuchach wiatru wyczuwało się ciepłe prądy. Wiatr niósł ze sobą zapach odmarzającej ziemi, zapach wiosny.

Otworzyła oczy i popatrzyła w górę, na niebo, rozległe i całkiem błękitne.

Wyprostowała nogi, podparła się łokciami i odwróciła, chcąc spojrzeć na innowiercę. Siedział na krześle oparty o ścianę domu, a długie nogi wyciągnął przed siebie na spalone deski ganku. Siedział w milczeniu, pomyślała więc, że powinna wstać i sprawdzić, czy oddycha.

Powinna wstać tak czy owak. Musi upiec chleb, wyprać ubrania i zrobić milion innych niezbędnych rzeczy. Zdawała sobie sprawę, że wysiadanie na ganku to folgowanie lenistwu, bo ona przecież nie miała na swoje usprawiedliwienie dziury od kuli w boku.

Niedługo kończą się lekcje w szkole, a nie była pewna, czy chciałaby, żeby Benjo po powrocie do domu zastał innowiercę na ganku. Chłopiec trzymał się z dala od niego od tamtego dnia, gdy go postraszył tym „bum”. Na skutek tego Rachel czuła się spokojniejsza, choć niezupełnie zdawała sobie sprawę, dlaczego. Chciała przecież wierzyć w obietnicę innowiercy, że nie zrobi im krzywdy.

Od dłuższej chwili, jak sobie uświadomiła, nie rozmawiali. Nie był to powód do niepokoju. Przywykła do milczenia i wewnętrznej ciszy, bo prostaczkowie wierzyli, że niepotrzebne słowa są niemile Panu Bogu. Sądziła jednak, że milczenie innowiercy nie wynikało ze spokoju w duszy, lecz raczej z ciężkiej i dokuczliwej pustki.

Dwa barany na pastwisku nagle podskoczyły do siebie i zaczęły trykać się łbami, głośno becząc. Kain odchylił lekko rondo kapelusza i z zainteresowaniem je obserwował.

- Tej zimy nie zginęła nam żadna owca - odezwała się Rachel. Dziwne, że ona, której nigdy nie przeszkadzało milczenie, wciąż odczuwała potrzebę rozmowy. Pewnie, żeby mu wypełnić pustkę. - Ten duży śnieg, który spadł przed paroma tygodniami, był jedynym wielkim śniegiem, jaki mieliśmy w tym roku. Nie tak jak w inne zimy, gdy sterta owczych skór sięgała po krokwie w stodole. To przede wszystkim na skutek śnieżyc giną owce, bo zbijają się w tak ciasną gromadę, że się duszą na śmierć.

Nie odezwał się, ale czuła, że słucha.

- Owce naprawdę lubią zimę, z wyjątkiem śnieżyc - kontynuowała. - Okutane są w swoje ciepłe wełniane okrycia, nie dokuczają im muchy, bo ich nie ma, a dwa razy dziennie, niezależnie od pogody, przychodzą dwunożne stworzenia i widłami podrzucają im siano. - Podciągnęła znów kolana i oparła na nich ręce. Złożyła dłonie, przycisnęła wargi do knykci i uśmiechnęła się do swojej myśli, zanim wypowiedziała ją na głos. - Zima to dobra pora roku, by być owcą. - Mówiąc to, obróciła głowę, żeby spojrzeć na Kaina.

Fałdki wokół jego ust na moment się pogłębiły. Rachel zauważyła, że jego prawdziwy uśmiech, taki od serca, przejawia się jedynie w szybkim zaciśnięciu warg i w zmarszczkach pod oczami.

- Wygląda na to, że dobrze się mają - rzekł.

- A dobrze - zgodziła się i jej serce nagle przepełniła radość, gdy objęła pełnym miłości spojrzeniem farmę: duże

kwadratowe stogi siana, porządne szalasy dla jagniąt, wysoką stodołę. Jej farma to dobre miejsce dla owiec. Pod dostatkiem bujnej trawy, potok z płynącą prawie przez okrągły rok wodą oraz szeroki pas topoli i wierzb zapewniający cień w lecie, a zimą chroniący przed wiatrami.

Barany zakończyły walkę i znowu spokojnie się pasły. Rachel zawsze z przyjemnością obserwowała owce. Wolno chrupały sobie siano i ospale krążyły po pastwisku, spędzając czas w taki sposób, jaki najbardziej lubiły, a tymczasem spokojnie rosło na nich runo, a w ich brzuchach jagnięta. „Ta stara maciorka z rozdziawionym pyskiem - pomyślała - ona przede wszystkim znała sekret, w jaki sposób mile, słodko spędzić czas”.

Kiedy Rachel siedziała tak na schodkach, obejmując kolana rękami, a przed jej oczami migotała w białym świetle stodoła i stogi siana, i owce, nagle w niej eksplodowało światło bijące do nieba melodią. Owładnęła nią ta muzyka zaledwie na ułamek sekundy, ale pozostawiła po sobie zapierające dech uczucie bezgranicznej radości - radości tak intensywnej, że aż się z niej wylewała.

- Taki dzień jak ten dzisiejszy jest w s p a n i a ł y, czyż nie, panie Kain? Skłania do chwaleń Boga i dziękowania Mu za to, że dał człowiekowi życie, by się nim cieszyć.

Jej słowa zapadły w zupełną ciszę. Obróciła głowę i zobaczyła, że innowierca spojrzawszy szybko na góry, jakby nie chciał, by go przyłapała na tym, że na nią patrzy. Przez twarz przemknął mu jakby cień. Przyszło jej do głowy, że coś zobaczył albo coś pomyślał, co go bardzo dotknęło. Miała ochotę podejść i tylko go dotknąć, tylko dotknąć. Tylko położyć mu dłoń na policzku.

Zamiast tego mocniej ścisnęła kolana, wstrzymując oddech.

- Co was skłoniło do tego, żeby się osiedlić właśnie tutaj? - spytał dziwnie szorstkim głosem.

- Bóg. - Wypowiedziała to słowo, wypuściwszy wstrzymywane powietrze. - To, w jaki sposób do tego doszło, uważa się za cudowne i tajemnicze zrządzenie boskie. Najpierw tworzyliśmy większą wspólnotę i gospodarowaliśmy w Sugarcreek Valley w Ohio. Potem doszło do różnic w poglądach - sędzę, że tak właśnie pan by to określił - wśród członków wspólnoty. Jedni podejrzewali drugich o to, że ulegają zepsuciu tego świata. Przejmowali różne nowoczesne wymysły, takie jak piorunochrony czy uchwyty do bata w pojazdach. Folgowali też pysze, pozując do fotografii i używając guzików i szelek. Niektórzy mężczyźni posunęli się nawet tak daleko, że nosili krawaty!

Prychnął.

- Boże chroń! Znałem wielu takich, których własny krawat zaprowadził na wesołą drogę grzechu.

- Nie powinien pan drwić z rzeczy, których nie rozumie.

Twarz mu spoważniała, ale Rachel wyczuła, że w duchu nadal się śmieje.

- No i - mówiła dalej trochę mniej kategoriycznie - zdarzyło się, że mój *Vater*, mój ojciec, doznał wielkiego olśnienia. Bóg go oświecił.

Przerwała, żeby zobaczyć, czy nie będzie się śmiać, ale on patrzył na owce.

- Tata ujrzał we śnie tę dolinę i przyprowadził nas do niej. Tych z nas, którzy byli zdecydowani przestrzegać tradycji, trzymać się prostej i wąskiej drogi. I podczas naszego pierwszego tutaj nabożeństwa, gdy ciągnięte losy zdecydowały o wyborze mojego *Vatera* na naszego biskupa, uznaliśmy to za znak od Boga, że na skutek oświecenia, którego doznał, zaprowadził nas we właściwe miejsce. A potem się okazało, że jest tu za sucho na uprawianie ziemi.

- Ta kraina leży zbyt wysoko, żeby rosło tu coś więcej niż trawa.

Zaskoczyła ją wypowiedziana uwaga. Oczywiście wyobraźni usiłowała zobaczyć go chodzącego po polu za pługiem ciągnionym przez muła, ale nie mogła.

- Jest pan farmerem, panie Kain?

- Broń Boże, nie. Nigdy w życiu!

Czekała, że powie może coś więcej. Lecz pewno nie zamierzał ujawnić nawet tak niewiele. Spróbowała wyobrazić go sobie, jak stoi okrakiem na saniach i roztrząsa widłami siano nad wełnistymi grzbietami stada głodnych owiec. Przed oczami jednak stanął jej Ben.

- To był pomysł Bena, mojego męża, żeby zająć się hodowlą owiec. W Biblii wprawdzie często mówi się o pasaniu trzody i o synu Adama, Ablu, który pilnował owiec, ale mój *Vater*, jako biskup i głowa naszego Kościoła, wiele dni spędził na modlitwach, zanim na to przystał. My zawsze byliśmy farmerami, wie pan. Odłożenie pługa i zdecydowanie się na hodowlę owiec oznaczało całkowitą zmianę znanego nam sposobu życia. Czegoś takiego nie można robić lekkomyślnie. Wymagało to wielkiego namysłu i wielu modlitw mojego taty.

- Nie wygląda na to, żeby pani ojciec ulegał.

- Nie mamy zwyczaju ulegać. My mamy tylko jedną drogę postępowania, żadnych innych. Natomiast Ben zawsze powtarzał, że Bóg nie dałby nam rozumu, gdybyśmy nie mieli go używać. Ben patrzył na sprawy z drugiej strony. - Machnęła ręką w kierunku ściany za nimi. - Jak z tym oknem: zawsze patrzy się przez nie z kuchni na podwórko. A pewnego dnia jesteś na ganku i przechodząc koło okna, zajrzysz przez nie do środka i ze zdumieniem widzisz kuchnię. To ta sama szyba, ale patrzysz przez nią z drugiej strony. Ben zawsze tak robił, patrzył przez szybę ze złej strony. Nasi ludzie uważali go czasami za trochę zbzikowanego...

Ogarnął ją żal tamujący słowa. Zamknęła oczy i przycisnęła palce do warg. Nie chciała oplakiwać Bena w

obecności tego innowiercy. Ben był... jej.

Przelknęła ślinę i wciągnęła w płuca powietrze.

- Och, pan słucha tej mojej gadaniny. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Dopiero co czułam się taka szczęśliwa, a teraz... - Myślała, że nie będzie płakać, ale chwilę później oczy paliły ją od łez.

- Tęskni pani za nim. - Stwierdził to po prostu, głosem przyciszonym i beznamytnym.

- Tęsknię za nim. Tak bardzo, że czasami... - Wzruszyła ramionami i zacisnęła wargi.

Patrzył wciąż na owce, jakby obserwowanie, jak się pasą, było najbardziej fascynującą rzeczą na świecie. A potem przemówił tak delikatnym tonem, że ją zaskoczył.

- Jak on umarł?

Zasłoniła twarz dłońmi, ale tylko na moment. Potem opuściła je na kolana i zacisnęła w jedną pięść. Nie mówiła nigdy głośno o tym ani z ojcem, ani z matką, ani z braćmi. Ani nawet z Noahem. Bóg powołał do siebie Bena, to wszyscy uznawali. Nikt nie mówił, w jaki sposób.

- Proszę zapomnieć, że o to pytałem - rzekł. - To nie mój...

- Powiesili go. Innowiercy powiesili mojego męża za kradzież bydła.

Popatrzyła na niego, oczekując wyrazów współczucia A on zamiast tego zapytał:

- A ukradł je?

- Ben wolałby sobie uciąć ręce niż wziąć coś, co do niego nie należało!

Te słowa zabrzmiały szorstko, ale powodował ją zapiekły gniew.

- Innowiercy z tej doliny, a przynajmniej większość ich, nas nie lubią, bo mamy inne obyczaje i trzymamy się z daleka. Dlatego czasami zachowują się podle, dokuczają nam, wrzucają na przykład petardy do wozów, gdy przejeżdżamy przez miasto, albo zaczepiają ostrogami spódnicę, gdy idziemy chodnikiem. Śmieją się z nas i czasami przezywają, ale na ogół nie wyrządzają nam krzywdy. Z wyjątkiem tego hodowcy bydła, Szkota, Fergus Huntera. To właściciel dużej farmy po drugiej stronie wzgórza, tam w oddali.

Spoglądała na wzgórze pełne skał i porośnięte sosnami w taki sposób, jakby mogła sięgnąć przez nie wzrokiem do dużego białego domu ze szczytami i balkonami z balustradą z tralkami do zagród o powierzchni wielu akrów i ciągnących się kilometrami płotów, do wielkich stajni krytych cedrowym gontem, do tysięcy sztuk bydła, które wymagało tak rozległych terenów.

- Kiedyś cała dolina była jednym wielkim pastwiskiem i pan Hunter przyzwyczaił się do tego, że jego stada pasły się wszędzie tam, gdzie mu się podobało. Stał się baronem hodowlanym, jak piszą w gazetach. Wbiło go to w taką pychę, że nawet pewnym ludziom pozwala się nazywać Baronem. Jakby zjawił się jakiś król i nadał mu tytuł czy coś w tym rodzaju.

- Znałem kiedyś konia o imieniu Baron.

Spojrzeli na siebie, zgadzając się w myślach, że życie potrafi płatać dziwne figle.

- Pan Hunter na pewno nie byłby zadowolony, gdyby wiedział, że nazwano go tak jak konia - rzekła. - I na pewno nie był zadowolony, że przydzielono nam ziemię na terenach, które przywykł uważać za swoje. A jeszcze mniej mu się podobało to, że zaczęliśmy hodować owce. Na początku usiłował nas przepędzić, podpalając nam stodoły i niszcząc ogrodzenia, zatruwając nasze poidła i pastwiska saletrą potasową. Kiedy się jednak przekonał, że nie damy się przepędzić, zmienił swoje zachowanie. Po jakimś czasie pomyśleliśmy, że oświeciło go światło Naszego Pana i postanowił żyć z nami w pokoju.

Opuściła wzrok na podolek. Zrobiła plisnę na fartuchu, po czym wygładziła ją dłonią.

- A potem, jakiś rok temu, przyszedł i wyznaczył granicę, która miała przebiegać przez środek tej doliny. Tak jak rysuje się linię na jakiejś mapie. Nazwał ją nieprzekraczalną granicą i zapowiedział nam: „Jeśli ją przekroczycie, to zabierzcie ze sobą trumnę”.

Innowierca westchnął cicho, jakby słyszał już wcześniej tę historię.

- Ale wy mu nie uwierzyliście.

- Och, uwierzyliśmy! Tylko nie zamierzaliśmy stąd odejść, żeby nie wiadomo ile linii pan Hunter narysował. Nie mamy zwyczaju szukać zwady z innowiercami, którzy chcą zrobić nam krzywdę. Nie zawsze jednak na tym wrogim i grzesznym świecie udaje się uniknąć cierpienia z powodu naszej wiary. Zawsze tak jest z nami.

- „Aleć nas dla ciebie zabijają na każdy dzień; poczytają nas jako owce na rzeź zgotowane”.

- Pan zna Biblię, panie Kain! - wykrzyknęła. Sprawilo jej taką przyjemność to odkrycie, że niemal się uśmiechnęła mimo nawału wspomnień o Benie, które ciążyły jej na piersiach jak sterta kamieni.

Patrzył znowu na góry, teraz z obojętnym wyrazem twarzy.

- Człowiek może zasmakować w zapachu łąk z wonną trawą - powiedział. - Może cieszyć się z doskonałego koma, którego dosiada, i delectować pięknem kobiety. Może w tym wszystkim zasmakować, choć ani przez chwilę tego nie pojmuje.

Poczuła się rozczarowana. Doprawdy trudno g o poznać i zrozumieć. Pomyślała, że w gruncie rzeczy nie interesuje się wcale, jak umarł jeden z nich, hodowca owiec. Słuchał po prostu z uprzejmości. Chciał wystawiać się do słońca na jej ganku, wobec czego wyobrażał sobie, że musi też znosić tę gadaninę. Ale ona nie zdradzi Bena, nie pozostawi opowieści nie dokończonych.

- Mniej więcej w tym czasie, gdy pan Hunter wytyczył nieprzekraczalną granicę, wynajął też tego człowieka, który jego zdaniem miał być dozorcą bydła. Powiedział, że giną mu cieleta, zanim zdąży wypalić im na skórze znak, i dozorca ma położyć temu kres. - Usiłowała zaśmiać się pogardliwie, ale z gardła wydobył się tylko jakiś przyduszony dźwięk. - Być może ten człowiek powinien był rozmówić się z krowami Huntera, bo zawsze włożyły nieproszone na nasze łąki. Któregoś ranka zeszłej wiosny obudziliśmy się i zobaczyliśmy stado krów pasące się tuż koło naszych owiec. Ben zegnał krowy i popędził je z powrotem do domu.

Wtedy widziała go po raz ostatni: siedział na oklep na starej pociągowej kobyle i pokrzykując, wymachiwał lassem w stronę krów, które miesiły kopytami błocko na ich podwórku. Żartowała, że świetny z niego kowboj. On jednak ledwie zdobył się na uśmiech. Tak był zły z powodu krów Huntera.

- Ben zawsze szybko wpadał w gniew i równie szybko złość mu mijała. Przypuszczam, że owego ranka wyruszył stąd z zamiarem wygarnięcia panu Hunterowi, że pozwala swojemu bydłu chodzić tam, gdzie mu się podoba. A z Benem zawsze trudno było rozmawiać, gdy się złościł.

Zamknęła oczy, ale nie miała już w sobie łez, które musiałaby powstrzymać. Tylko straszną pustkę.

Przed oczami stał jej inny obraz, obraz nigdy nie widziany, tylko wciąż sobie wyobrażany - Ben wisi na topoli, ręce zwisają mu bezwładnie wzdłuż boków, długie nogi wolno się obracają; na szyi ma skórzany sznur, który skrzypi, wrzynając się w gałąź nad jego głową. Był kwiecień. Na gałęzi pojawiały się właśnie czerwone pączki nowych liści.

Otworzyła oczy i spojrzała na nierówne, porośnięte sosnami wzgórza osłaniające ranczo Huntera, i topole, której nigdy w rzeczywistości nie widziała, a oglądała tylko we wspomnieniach.

- Doktor Henry przywiózł mi go tego popołudnia. Martwego. Powiesili go za kradzież tych głupich krów.

- I Bóg niech będzie z nim - powiedział innowierca tak cicho, że zastanawiała się, czy nie usłyszała raczej jego myśli. Może tylko miała nadzieję, że tak powie.

Kiwnęła głową i próbowała przełknąć ślinę, ale bez skutku. Oczy miała tak suche, że nie mogła mrugać. Bardzo jej dokuczala ta pustka w środku.

Patrzyła na wzgórze. W pewnym momencie obróciła twarz w jego stronę.

- A wie pan, co powiedział pan Hunter? Że jest mu przykro. P r z y k r o. Przyjechał z szeryfem na naszą farmę. Szeryf najpierw wyjaśnił, jak doszło do tej pomyłki, i że człowiek ma prawo bronić swoich krów, jeśli myśli, że mu je ukradziono. Potem pan Hunter powiedział, że to straszna tragedia, i bardzo mu z tego powodu przykro.

- Sądząc z głosu, nie uwierzyła pani ani w te wyjaśnienia, ani w jego przeprosiny.

- Bena nie odzyskam.

Wpatrywał się w rękę, którą położył na udzie, i to tak usilnie, jakby mógł przeniknąć ją wzrokiem na wylot, przez ciało i skórę, do samych kości.

- Sądzę, że tu ma pani rację - rzekł. - Martwy to martwy.

„Nie - pomyślała. - Ben od niej odszedł, ale udał się do Boga. Odczuwała pustkę, tę pustkę jednak sobie wypełni. W niedzielę śpiewaniem psalmów, które odbijają się echem od krokwi stodoły, i umoralniającymi naukami, a potem dzieleniem się z sąsiadami i rodziną fasolową zupą. Ranki wypełni zadawaniem siana owcom i przyczesywaniem na mokro niesfornych kosmyków na głowie Benja; popołudnia - zapachem piekącego się chleba i świstem łopoczącego w topolach górskiego wiatru, a noce, gdy siadywała na swoim bujaku - rozbrzmiewającą muzyką, przynoszącą jej na fali radosnych dźwięków Boga. Dni i noce wypełnione pracą, modlitwą i muzyką. Pełne miłości tych, którzy jej pozostali, i pewności powolnego, lecz stałego upływu czasu”.

- Śmierć j e s t rzeczą bolesną - powiedziała na głos do niego i do siebie - ale tylko dla tych, co pozostali. Biblia mówi: „Pan dał, Pan też wziął”, a nam tak łatwo w naszym smutku skupić się jedynie na tym odbieraniu i zapominać o dawaniu. Przecież On nam daje tak wiele. Daje nam owce, które lubią zimę. I dzień jak ten dzisiejszy, tak piękny i zapowiadający nadejście wiosny, do której już bardzo tęsknimy. Dał mi lata spędzone z Benem i naszego syna.

Wypowiadała te słowa z przekonaniem, że mówi prawdę i że myśl kryjąca się za nimi jest prawdą, a jednak nie przyniosły jej ulgi.

- Zabiję ich dla pani, jeśli pani chce.

- Co?! - wykrzyknęła piskliwym głosem. Obróciła się gwałtownie, żeby na niego spojrzeć.

Siedział leniwie na jej krześle z wyciągniętymi przed siebie nogami i równie dobrze mógłby spać. Głos miał jednak lodowaty jak zmarznięta ziemia.

- Zabiję tego pani Huntera i jego tak zwanego dozorcę bydła, który powiesił pani męża.

Tak łatwo to rzekł: Z a b i j ę i c h d l a p a n i, j e ś l i p a n i c h c e. O Boże, pomóż jej, bo doznawała takiego okropnego uczucia, taką potrzebę ukarania ich za to, co zrobili z Benem!

- Zabijania nigdy nie można usprawiedliwić. Karanie należy tylko do Boga. - Następne prawdziwe słowa, które nie zdołały wypełnić dręczącej ją pustki. Inaczej niż te, które wypowiedział on: Z a b i j ę i c h d l a p a n i, j e ś l i p a n i c h c e. W jednej przerażającej chwili wyzwolił tkwiącą w niej straszną potrzebę - potrzebę ukarania ich wszystkich; była taka jak jego broń: czarna i brzydka.

Wyciągnął kolta z natłuszczonej kabury, wolno, z uczuciem.

- Bóg odbiera, pani Yoder... ale to też. - Wycelował rewolwer w niebo, jakby zamierzał strzelać do sójek, które atakowały warzywnik. Zaoferował jednak ten sześciopistolet jej... Broń i wprawną w zabijaniu rękę, która ją trzymała.

Rachel zerwała się na równe nogi i żeby nie spaść ze schodków, musiała się chwycić poręczy.

- Niech pan nie mówi takich strasznych rzeczy!

Zerknęła na nią, uchylając lekko rondo kapelusza. Mogła teraz zobaczyć jego oczy. Były zupełnie bez wyrazu.

- Proszę trzymać się ode mnie z dala! - krzyknęła, jakby wstał z krzesła i zmierzał ku niej. A on tymczasem tylko patrzył na nią pustymi niebieskimi oczami.

- To była po prostu oferta. Sądziłem, że powinienem się pani odwdzięczyć. Za to, że wzięła mnie pani do siebie i pielęgnowała. Jeśli zmieni pani zdanie...

- Nie zmienię. - Dmuchnął wiatr, szarpnął jej spódnicami i załomotał blaszanym okapem. Był znów zimny, bez śladu wiosny. Objęła się ramionami, drżąc. - Nie zmienię - powtórzyła.

Obróciła się na pięcie i zeszła z ganku na podwórko. Zmusiła się, by iść wolno, z uniesioną głową. Weszła do stodoły stojącej na środku podwórka i stanęła z opuszczonymi rękami. Nie miała pojęcia, dlaczego tu się skierowała. Drobiniki kurzu tańczyły w promieniach słońca wpadających przez otwarte wrota. Wdychała zapach owiec i siana.

- Nie zmienię zdania - powtórzyła i zabrzmiało to jak przysięga.

VI

Żelazko syczało, sunąc po wilgotnym batyście czepca; pozostawiało za sobą ostrą jak kant fałdę i zapach gorącego krochmalu.

Rachel odstawiała żelazko do schowka na piecu. Trochę za wcześnie puściła rączkę, więc głośno stuknęło. Ostrożnie zabrała z deski świeżo wyprasowany czepiec i zniosła na stół, gdzie już były trzy inne, dokładnie takie same, podobne do białych kur siedzących na grzędzie.

Spojrzała przez otwarte drzwi na podwórko. Poranny wiaterek zamienił się w zimowy wiatr, ciepły i suchy jak letnie trawy. Na bladym niebie słabo świeciło słońce, ale stary śnieg, żółty jak wosk, lśnił, topniejąc w powiewach wiatru.

Podmuch przyniósł do kuchni woń mierzwy i mokrej ziemi, mieszając ją z zapachem krochmalu, pary i gorącego metalu. Rachel mogła widzieć z miejsca, gdzie stała, lśniące czarne buty innowiercy. Przez cały dzień siedział na ganku.

Plecami opierał się o ścianę, tak że nikt nie mógł go zaskoczyć od tyłu. Rachel wiedziała, że jego niespokojne oczy lustrują spod kapelusza drogę, jakby w oczekiwaniu na kogoś na tyle nierozsądnego, by ośmielił się nią jechać. Żeby on mógł zastrzelić nieszczęśnika.

Z a b i j ę i c h d l a p a n i , j e ś l i p a n i c h c e .

Przez całe życie miała do czynienia z prostymi sprawami: z prostymi przyjemnościami, prostymi ludźmi, a nawet prostymi pokusami. A potem nadszedł, ślaniając się na jej łące, on, i teraz jej myśli podążają krętymi, niebezpiecznymi ścieżkami.

W Biblii mówi się: „A ta światłość w ciemnościach świeci, ale ciemności jej nie ogarnęły”. Ten innowierca przebywa w ciemnościach; jest nocą. Nie rozumiała jednak do tej pory, że noc ma nieodparte i urzekające piękno.

Z a b i j ę i c h d l a p a n i , j e ś l i p a n i c h c e .

Wracając do pieca, zerknęła znowu przez otwarte drzwi. Nasadziła rączkę na gorące żelazko, a potem znów postawiła je z łoskotem w schowku.

„Kiedy chcesz odegnać ciemności nocy - pomyślała - zapalasz latarnię. Jezus powiedział Pawłowi: «Ku otworzeniu oczu ich, aby się nawrócili z ciemności do światłości, a z mocy szatańskiej do Boga». Powinna ukazać temu innowiercy to światło”.

Wyglądziła fartuch, wsunęła kosmyki włosów pod czepiec i wyszła na ganek. Stanęła przed innowiercą. Gorący wiatr szarpał spódnicami i smagał ją po łydkach.

- To, o czym mówiliśmy dzisiaj, panie Kain...

Zsunął kapelusz do tyłu i spojrzał na nią.

- Pamiętam, że rozmawialiśmy, pani Yoder. Podejrzewam jednak, że zawzięła się pani i każe mi tego żałować do samej śmierci.

- Chciałabym porozmawiać jeszcze o życiu i zawziętości. Żyjemy, a potem umieramy, kiedy Pan Bóg zechce, i musimy odpowiadać za nasze grzechy. Pan Hunter musi odpowiadać za to, co uczynił, ale będzie to robił tylko przed Bogiem. Podobnie jak pan, jak my wszyscy, gdy zostaniemy wezwani.

- No cóż, nie sądzę, żeby to On mnie wezwał i wyrównywał ze mną rachunki, gdy nadejdzie czas mego odejścia.

- I tu właśnie pan b ł ą d z i w swoim rozumowaniu. - Pochyliła się przed nim, tak by móc patrzeć mu prosto w oczy i w ten sposób sprawić, by poznał prawdę, którą mu przekazywała. - W Bogu można znaleźć pokój i radość. I przebaczenie, i żywot wieczny. Nigdy nie jest za późno na połączenie swojej duszy z Bogiem.

Wychylił się do przodu, przysuwając twarz prawie do jej twarzy. Zbyt blisko, chciała się więc odsunąć, ale tego

nie zrobiła. Nie uśmiechał się, ona zresztą nie ufała jego uśmiechom. Dostrzegła jednak pewną łagodność w jego spojrzeniu. Owionął ich wiatr ciepłym podmuchem.

- I tu właśnie pani błądzi w swoim rozumowaniu, pani Yoder - powiedział z taką słodyczą w głosie, że zasluchana niemal nie pojęła sensu jego słów. - Ponieważ ja lubię być potępiany. Taplam się wprost w potępieniu jak wieprz w ciepłym błocku.

Rachel grzebała w kurniku w słomie, poszukując jajek. Znalazła jedno i dodała je do dwóch, które miała już w fartuchu. Dziś zbiory były słabe. Trzymała na farmie pół tuzina czerwonych liliputek, ale jedna lub dwie z nich zawsze gdzieś się zapodziewały i wysiadywały pisklęta.

Ruszyła z powrotem przez podwórko, jedną ręką przytrzymując jajka w fartuchu, drugą wymachując dla utrzymania równowagi. Wiatr wydymał jej spódnicę jak żagiel i pchał do przodu. Musiała wielkimi susami wymijać potoki wody płynącej z topniejącego śniegu. Innowierca siedział na ganku nieruchomo i w milczeniu ją obserwował.

J a l u b i ę b y ć p o t ę p i a n y. Nie pojmowała, jak można coś takiego powiedzieć, nawet żartem. Po raz pierwszy sobie uświadomiła, jak bardzo on i ona się różnią. Nie zamierzała jednak z niego rezygnować. Nigdy z niczego w swoim życiu nie rezygnowała.

Zatrzymała się obok krzesła. Innowierca znowu ścisnął w ręce poduszczkę na szpilki.

- Nie będę już miała pożytku z tej poduszcзки - powiedziała - gdy pan wycisnie z niej to, czym ją wypchano.

Ręka znieruchomiała na ułamek sekundy.

- Świat jest pełen poduszczek na szpilki. Kupię pani inną.

- Hm. - Oparła wolną rękę na biodrze i obróciła się, żeby rozejrzeć się po podwórku. Ciepły wiatr muskał jej twarz i rozwiewał tasiemki czepca. - To doprawdy wstyd, że nie może pan pójść po prostu do Kupiectwa Tulle'ego i równie łatwo sprawić sobie drugą nieśmiertelną duszę. Albo z katalogu wysyłkowego wybrać ładną, nową i nieskałaną. Duszę można oczyścić i uratować, tylko żyjąc po chrześcijańsku. A jedna z zasad takiego życia nakazuje kochać tych, którzy nas nienawidzą, i nie mścić się na swoich nieprzyjaciółach.

Poprawił się na krześle i ukrył oczy pod miękkim rondem kapelusza. Westchnął. I to głośno.

- Powracamy na tę samą drogę, pani Yoder?

- Tak, powracamy, panie Kain.

- A zatem dobrze. Po pierwsze, nieprzyjaciel, o którym mówimy, nie jest moim, lecz pani nieprzyjacielem. Ja nic do niego nie mam. Po drugie, mówiłem, że to ja będę odbierać.

- Odebrałby pan życie człowiekowi, którego pan nie zna?

- Robię to cały czas.

To nią tak wstrząsnęło, że wypuściła z ręki fartuch i jedno jajko się wysunęło. Usiłowała je złapać, a wtedy wypadły pozostałe. Rozbijały się jedno po drugim na pociemniałych sosnowych deskach, a białka i żółtka zlewały się ze sobą.

Spojrzała na rozbite jajka, potem na niego.

- Nie zrobi pan tego Hunterowi. Nie zrobi pan!

Wzruszył obojętnie ramionami.

- Zaoferowałem swoje usługi, ale pani powiedziała: dziękuję, nie. Dopóki temu człowiekowi nie przyjdzie do głowy pomysł, żeby na mnie napaść, będę zgodliwy.

Popatrzyła znów na rozlane żółtka i rozbite skorupki. Poczuli się oszołomiona, zdezorientowana.

- Co ja z tym zrobię...?

- Dla mnie z jednego jajecznicę - zaproponował. - Jak mówiłem, jestem zgodliwy.

Odwróciła się do niego plecami i poszła do kuchni po kubek i ścierkę, żeby wytrzeć rozbite jajka. Przez chwilę stała na środku kuchni, po czym wróciła na ganek z pustymi rękami.

- Musi pan wiedzieć, że my, prostaczkowie, modliliśmy się za duszę Fergususa Huntera - poinformowała innowiercę siedzącego na jej ganku.

- Aha. I niewątpliwie on jest odpowiednio wdzięczny z tego powodu.

- A teraz, panie Kain, dużo się modlę za pana.

Rachel plasnęła zagniecione ciasto wałkiem, po czym przyciskając nim, splaszczyla kulę. Jeździła ciężkim drewnianym wałkiem tam i z powrotem z takim wigorem, że wokół niej w powietrzu unosiła się mąka niczym biały obłok.

W pewnym momencie przerwała i przez chwilę stała nieruchomo, pochylona nad stołem, ścisnąc w ręce wałek.

Następnie wyprostowała się, otarła ręce w fartuch i pomaszerowała na ganek.

- Biblia nas uczy, panie Kain, że „...kto by cię uderzył w prawy policzek twój, nadstaw mu i drugi”.

Na twarzy, którą zwrócił w jej stronę, malował się wyraz uprzejmości, ale oczy miał ukryte pod powiekami.

- Przez całe życie, kiedy tylko nadstawiłem drugi policzek, zawsze w niego dostawałem. Wiele razy w dzieciństwie słuchałem, jak czytano Biblię, którą pani mnie częstuje. Chyba pamiętam, że Jezus Chrystus sam sporo mówił o miłowaniu nieprzyjaciół. Ale pewnego dnia, gdy jego nieprzyjaciele byli wyjątkowo źle nastawieni,

skończyło się na tym, że go biczowano, włożono mu na głowę cierniową koronę i ukrzyżowano, by skończył haniebną śmiercią. To są, droga pani, skutki niemądrego nadstawiania drugiego policzka.

Wzdrygnęła się na takie bluźnierstwo.

- Jezus umarł, żebyśmy mogli zostać zbawieni.

- Tak? A po co umarł pani mąż?

Obróciła się na pięcie, on jednak wyciągnął rękę i chwycił ją za ramię.

- Proszę nie uciekać. Ja już przestanę. Obiecuję!

- Wcale nie uciekam, tylko piekę suchary. Co pan przestanie?

- To, co robiłem z panią. Jakbym dźgał ostrogą dzikiego mustanga, żeby stanął dęba i dał się ujeździć.

- Robił pan... a ja myślałam, że byłam... - Zaskoczona parsknęła śmiechem, zanim zdołała się opanować; on również zaskoczony opuścił rękę. „Obrzucają się słowami - pomyślała - jak dzieci bawiące się w dwa ognie, ale dzieli ich tak wielki dystans w poglądach, że trafić w siebie nigdy nie mogą. Tak bardzo się różnią, on, przybysz z szerokiego świata, ona, krocząca prostą i wąską drogą, że żadne słowa ich nie skłonią do tego, by stanęli po tej samej stronie”.

I nie było takiej potrzeby. Dostrzegła teraz, że próbowała wyprowadzić z ciemności nie innowiercę, lecz siebie samą. To ta dotkliwa pustka w jej piersi pozwoliła zakorzenić się przerażającej myśli, diabelskiemu zielsku zemsty. Jednakże ona szukała światła, znalazła światło, i zielsko zmarniało, uschło, zanim jego straszliwa moc mogła zadziałać.

Roześmiała się znowu, czując się nagle lekka i wesoła. „I poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi”.

- Nie uda się panu nigdy złamać mojej wiary, panie Kain - powiedziała. - A na pewno nie za pomocą czegoś tak mało istotnego jak para ostróg.

Noah Weaver usłyszał jej śmiech.

Przedzierał się przez gęstwinę sosen i modrzewi oddzielających jego posiadłość od farmy Rachel. Poruszał się wolno, z rozważą, a jego ciężkie buciory zostawiały głębokie bruzdy w mokrym igliwiu i topniejącym śniegu. Jego gospodarski umysł zaprzętały myśli o pogodzie. Ten gorący wiatr, *chinook*, zawsze przyprawiał go o niepokój - gorący jak oddech diabła i nienaturalny. Letni wiatr w zimie.

Śmiech Rachel tak go przestraszył, że chciał stanąć. Niestety, obcas buta pośliznął się na mokrym igliwiu, nogi pojechały do przodu i upadł na tyłek z takim impetem, aż kapelusz zleciał mu z głowy, a zęby szczęknęły.

Podniósł się powoli; poczuł się nagle stary i obolały na całym ciele. Otrzeptał portki na siedzeniu i włożył na głowę kapelusz. Rozejrzał się dokoła. Nikt go nie widział, było mu jednak głupio; potem zawstydził się z powodu własnej próżności.

Kiedy obchodził od tyłu stodołę Rachel, znowu usłyszał jej śmiech. Zwolnił kroku, teraz bardziej uważając, gdzie stawia swoje duże stopy.

Opierała się plecami o poręcz ganku, ręce założyła do tyłu, a dłonie położyła na z grubsza ociosanym sosnowym drągu. Wiatr szarpał jej spódnice i rozwiewał tasiemki czepca. Rozmawiała z innowiercą. Śmiała się razem z nim.

Innowierca siedział na jednym z kuchennych krzeseł plecami do ściany, ale Noah ledwie na niego spojrział. Skierował wzrok na Rachel i tam go zatrzymał.

Tyle razy w ciągu tych lat spoglądał na nią tak jak teraz - z oddali. Wstępował do Yoderów na pogaduszki z Benem o strzyży, o sianokosach czy o wykotach jarek naprawdę tylko po to, żeby popatrzeć na Rachel. Kiedy stał na podwórku i rozmawiał z Benem, jednym okiem zerkał na drzwi z nadzieją, że wyjdzie na dwór, a nawet modlił się o to, by wyszła, bo czekał, że zaprosi go na kawę i może na kawałek placka. Siedząc przy stole, popijając kawę, gawędząc z Benem, będzie na nią patrzeć.

Patrzeć, jak wydyma dolną wargę, gdy wzdycha zmęczona. Patrzeć, jak powiewają jej spódnice, gdy krąży między piecem a zlewem, jak wygina grzbiet w łuk, gibki niczym wierzbowa witka, gdy się schyla, by dolać mu kawy do kubka. Wtedy on spojrzy na nią z dołu i pośle jej uśmiech w podzięcie, a ona odpowie mu też uśmiechem. I będzie mógł sobie wyobrazić przez tę krótką chwilę, że Rachel należy do niego.

Tyle tylko miał z niej przez te lata, które zawsze wydawały mu się jakby ukradzione i jakieś puste, czegoś pozbawione. Pozostawały mu jedynie szybko mijające chwile w ich kuchni i widywanie Rachel na nabożeństwie co drugą niedzielę.

Och, w te niedziele doprawdy szedł wielbić Boga, ale serce biło mu zawsze żywiej, bo wiedział, że ją zobaczy. Wszystko jedno, w której stodole tego dnia zbierali się na modlitwy i w którym rzędzie ławek ona usiadła, natychmiast odnajdował ją wzrokiem. Rozpoznawał wśród morza brązowych szalów i czarno-białych świątecznych czepców. Rozpoznawał jej głos w czasie śpiewania psalmów i odmawiania modlitwy. A potem, gdy kobiety podawały wazy z zupą fasolową i przynosiły tace z parującym chlebem, nawet nie patrząc, wiedział, które ręce są Rachel. O tak, wiedział. Niemniej jednak podnosił zawsze wzrok, żeby zobaczyć jej uśmiech. Był wtedy bliski prawdziwego szczęścia. Bliski Bogu i bliski Rachel.

Szedł do niej teraz powoli, nie żeby się podkradał, ale dlatego, by przedłużyć chwilę, kiedy będzie oczywiste, że jest jego i tylko jego. Innowierca musiał go zobaczyć, bo zrobił jakiś gest, i Rachel nagle się wyprostowała, i

obróciła.

- Noah! - wykrzyknęła. Twarz jej jaśniała jakby szczęściem. Kiedy jej wzrok spoczął na nim, zmarszczyła lekko brwi. - O co chodzi?

Choć od tamtej chwili, gdy obchodził stodołę od tyłu, już się nie śmiała, wciąż słyszał echo tego śmiechu. Czuł ten śmiech w dołku. Niepokoił go jak gorący wiatr, *chinook*.

Stopnie zniszczone przez słoty zaskrzybiały pod jego ciężarem, gdy wchodził na ganek. Pozwolił sobie na to, by cieszyć wzrok jej widokiem. Stała, wyprostowawszy szczupłe plecy i ramiona. Czuł się zawsze taki masywny i niezdarny przy niej, jakby nie mieścił się w swojej skórze.

- *Wie gehts?* - zwrócił się do niej z pytaniem. Piekła coś, bo podwinęła rękawy i na rękach miała mąkę. Przez bladą skórę mógł dojrzeć niebieskie żyły na jej nadgarstkach.

Wiedział, że mówienie w języku *deutsch* w obecności innowiercy jest nieuprzejme z jego strony. Ten człowiek był gościem w jej domu. W szarych oczach Rachel, w tym, że pociemniały, wyczytał, jak bardzo ją rozczarował. Te oczy były zawsze dla niego jak chorągiewka na dachu wskazująca kierunek wiatru.

- Jak miło z twojej strony, Noah, że przyszedłeś w odwiedziny - powiedziała, wymawiając starannie *englische* słowa, jakby zamienił się nagle w duże *Dopplich*, dziecko, które wymaga pouczenia. - Panie Kain, to jest mój dobry sąsiad i serdeczny przyjaciel, Noah Weaver.

Noah czekał, choć nie był pewien, na co. Może na to, że Rachel powie: To człowiek, którego wkrótce poślubię. Tylko że ona nie zamierzała teraz tego zrobić. Prosił ją i prosił, żeby za niego wyszła, ale ona nie powiedziała jeszcze „tak”, i tylko małą pociechą dla niego mogło być to, że nie powiedziała też „nie”.

Obrócił się z wolna i objął spojrzeniem innowiercę. Ten człowiek siedział tu wystrojony i wyglądał na niezwykle zaradczego. Twarz miał nagą i gładką jak tyleczek niemowlęcia. Noah poczuł, że nieco rozluźnia się węzeł, który mu się zadzierzgnął w piersiach. Rachel nie będzie się podobał taki błyskotliwy młokos bez brody.

Innowierca zmierzył Noaha jasnoniebieskimi zimnymi oczami spod na wpół przymkniętych powiek. Twarz miał bez wyrazu i pustą jak preria w zimie, a jednak Noahowi zjeżyły się włosy na karku. Innowierca podniósł rękę i położył ją na udzie, a Noah się zorientował, że przedtem spoczywała na rękojeści diabelskiego narzędzia, które miał u pasa. Pewno trzymał ją tam od momentu, gdy Noah wyszedł zza stodoły.

- Dobry wieczór - odezwał się innowierca. - Jak się pan miewa? - „Lekko przeciągał słowa, może tak jak ludzie pochodzący z Teksasu - pomyślał Noah. - Albo może z jakiegoś innego miejsca, jeszcze bardziej na południu”.

Słowa były uprzejme, ale Noah nie ukrywał pogardy wobec człowieka, który musi zawsze dotykać broni, by czuć się bezpiecznie.

- Całkiem nieźle, panie innowierco. A co do pana, to powiedziałbym: miał pan szczęście, że wybrał pan właśnie to miejsce, by dać się postrzelić.

Szerokie usta innowiercy skrzywiły się w uśmiechu.

- Ach, ale fortuna to dziewoja o dwu obliczach, nie wie pan? - Zerknął na Rachel i uśmiech mu się zmienił, choć Noah nie mógł się zdecydować, jak. - To wszystko dlatego, że pani Yoder przybiegła i uratowała mi życie. A teraz muszę być uprzejmy i pozwolić jej na to, by zabrała się do mojej czarnej duszy.

W tym momencie Noah odniósł wrażenie, że zaiskrzyło się jakby między nimi, między innowiercą a Rachel. Przywiodło mu to na myśl ognie świętego Elma, strzelające niebieskimi iskrami z rogów bydła w czasie letnich burz. I wrażenie to tak nim wstrząsnęło, wydawało się tak nieprawdopodobne, że chyba musiało mu się przywidzieć.

- Gdybym znalazł się na terenie pańskiej farmy, kiedy byłem umierający, podejrzewam, że pan by mi po prostu pozwolił, bym na swój wesoły sposób poszedł prosto do piekła. Noah wiedział, że innowierca robi do niego aluzję. Słyszał zjadliwość w jego głosie o specyficznej intonacji i czuł ciężar aroganckiego spojrzenia jego niebieskich oczu. Nie mógł jednak oderwać wzroku od Rachel. Nagle zauważył u niej grymas cierpienia w kąciку ust. Dolna warga stała się grubsza od górnej; wyglądało to tak, jakby ją wydymała. Kiedy Noah patrzył na jej usta, zapomniał, że kocha ją za czystość duszy.

Usiłował pozbyć się uczucia drapania w gardle.

- Nikt z nas nie wie, czy został uratowany, póki nie znajdzie się daleko stąd; nie martwimy się więc o ratowanie innych, panie innowierco. Zostawiamy to Panu Bogu. I do naszego Kościoła nie przyjmujemy nawróconych.

Rachel machnęła zabawnie ręką.

- Och, prawdę mówiąc, Noah, to on nawet tego by nie chciał. Pan Kain tylko żartuje.

Był ciekaw, czy śmiali się z tego, gdy tu szedł: z Boga i zbawienia, i duszy nieśmiertelnej. Nie podobała mu się ta rozmowa. Czuł się z niej wyłączony i przerażony. Wodził wzrokiem po podwórku, popatrywał na stodołę i na łąki, próbując wymyślić, co by tu powiedzieć.

- Twoje jarki wkrótce będą się kocić.

Rachel popatrzyła na wygon, gdzie owce chrapały rozrzucone siano.

- Nie, uważam, że jeszcze nie - odparła.

Zirytowała go, choć wiedział, że ma rację - jeszcze nie czas. Nie godzi się jednak, żeby kobieta przeczyła swojemu mężczyźnie w obecności innego.

Rachel obróciła się znowu w stronę innowiercy, a na jej twarzy malowało się podniecenie. Schowała brodę, żeby ukryć uśmiech, jak to robiła, gdy żartowała.

- Ale jeśli zaczną się wykoty, a pan tu jeszcze będzie, panie Kain, zobaczymy, czy uda nam się zrobić z pana lizacza jagniąt.

- Madam, mam nadzieję, że brzmi to gorzej, niż przedstawia się w rzeczywistości.

- Och, przedstawia się o wiele gorzej, niż się mówi. Znacznie gorzej. - I ku ogromnemu zaskoczeniu Noaha znowu się zaśmiała.

Zastanawiał się, skąd się wzięła ta Rachel, której nie znał. Czyż nie przekonywał tylekroć w kazaniach, że burzliwy śmiech i ironiczne riposty zdradzają zarozumiałców, którymi Pan Bóg się brzydzi? Rozważał teraz, czy Rachel wsłuchiwała się naprawdę w jego słowa. Potrzebny był jej zawsze silny mąż jako przewodnik. „Ben - pomyślał z goryczą - powinien lepiej wywiązywać się z tego obowiązku”. Obrzucił złym spojrzeniem innowiercę.

- Teraz kiedy już wstał i chodzi, uważam, że się stąd zabierze.

- Pan Kain nie wyzdrowiał jeszcze na tyle, by dosiąść konia.

- Może wyruszyć na piechotę. Tak przecież tu przyszedł i tak może odejść.

Zgromił go oburzony wzrok Rachel.

- Noah!

Noah chrząknął.

Ten sam leniwy uśmiezek pojawił się na ustach innowiercy.

- Obawiam się, madam, że pani dobry sąsiad i serdeczny przyjaciel nie przepada za podejrzanymi łapserdakami, takimi jak ja.

Rachel znów miała ochotę się roześmiać. Noah widział, że śmiech wypływa na jej twarz i sięga do oczu, w których pojawiają się iskierki, i ona, wysuwając dolną wargę, powstrzymuje jego wybuch.

Przeniósł teraz wzrok na innowiercę, popatrzył z góry na jego diabelską twarz i te zimne, lodowate oczy, i rozszalała się w nim burza nienawiści. Zdumiała go przenikliwa czystość nienawiści, którą odczuwał. Zdumiała i zawstydzila.

Zamknął oczy i poszukiwał jakiejś myśli, jakiejś modlitwy, która by go zaprowadziła z powrotem do Boga i odwiodła od grzechu nienawiści. „Kto mówi, iż jest w światłości, a brata swego nienawidzi, w ciemności jest aż dotąd”.

Noah odwrócił się i potrząsnął głową.

- Mam w domu koło od breku, na które trzeba założyć obręcz - powiedział i pomyślał, że pewno jego słowa są bez sensu, ale tym się nie przejmował. Złapał się poręczy i potknął na zabłoconych schodkach, omal nie zjechałszy z nich na siedzeniu.

- Noah! - zawołała za nim, ale udał, że nie słyszy.

Kiedyś, dawno temu, Ben mu powiedział:

- Gdyby wybrała ciebie, a nie mnie, tobym cierpiał. Bardzo bym cierpiał. Pogodziłbym się jednak z tym, wiedząc, że jest szczęśliwa. Popatrz na nią, Noah, popatrz na nią naprawdę, i to nie oczami, które chcą widzieć tylko to, co mogłoby być. Rachel jest szczęśliwa.

Noah patrzył na nią owego dnia. Kiedyż mógłby na nią nie patrzeć? Tamtego dnia poszła do owiec i pokazywała synkowi nowe jagnięta. Chłopiec uczył się właśnie chodzić, a ona śmiała się, gdy łapiąc się wełny na grzbietach owiec, usiłował utrzymać równowagę i razem z owcami przewracał się na miękką wiosenną trawę.

- Byłaby szczęśliwa ze mną - rzekł Noah.

Ben westchnął, zakochanym wzrokiem wodząc za żoną.

- Może tak, a może nie. Nasza Rachel jest jak woda w tym potoku: rwąca i czysta. Można ujrzyć dno, którym jest jej duch. Nie możesz jednak zatrzymać jej całej w swoich rękach, jak to zawsze chciałbyś robić. I jak czasem ja chciałbym, nawet wtedy, gdy powinienem być mądrzejszy.

Gdy Noah znalazł się już w cieniu stodoły, spojrzął za siebie: Rachel stała obok innowiercy. Ten musiał chyba coś do niej mówić, bo była jakby zasłuchana, z głową lekko przechyloną, jedną rękę trzymając na biodrze, a drugą łapiąc rozwiewane przez wiatr tasiemki czepca. Nagle się pochyliła, pociągnęła rondo jego kapelusza, po czym się roześmiała.

Noah próbował oddychać, ale w klatce piersiowej coś go uciskało, jakby miał wypchaną bawełnianą watą na kołdry. Usiłował sobie przypomnieć, czy od chwili śmierci Bena widział Rachel szczęśliwą, czy słyszał kiedykolwiek, by się śmiała. A teraz zjawił się ten *Englischer* ze swoją bronią, ze swoimi leniwymi uśmiechami i swoimi zimnymi oczami.

Teraz zjawia się ten innowierca i skłania moją Rachel do śmiechu.

* * *

Moses Weaver stał nagi na skale. Patrzył w dół - sześć stóp w dół - na spokojną wodę. Wiatr szarpał gałęzie w gęstwinie wierzb i dzikich śliw i poruszał suchymi trawami wokół Stawu Błakiego. Mose czuł na nagiej skórze ciepłe porywy wiatru, ale wiedział, że woda będzie lodowata, i wstrząsnął się na tę myśl.

Nabrał powietrza w płuca i skoczył.

Ziąb wysysał mu powietrze z płuc, a woda zamknęła się nad nim, ścisnęła go niczym w pięści i ciągnęła w dół. Odbił się nogami i popłynął ku powierzchni.

Judaszu, ale ziąb! Zmusił się, żeby dwukrotnie opłynąć staw, po czym wyszedł na brzeg.

Położył się, drżąc, na posłaniu z traw i wyciągnął płasko na brzuchu. Wzdychał, gdy gorący wiatr i słońce osuszały mu gęsią skórę. „O tej porze roku woda może być zimna, ale przynajmniej jest czysta - pomyślał. - Gdy nadejdzie lato, staw zrobi się mętny i pełno będzie na nim nisko latających owadów i zdradliwych trzcina. Jeśli ciało może wytrzymać taki ziąb, to zima jest dobrą porą na pływanie. Zwłaszcza wtedy, gdy wieje *chinook*”.

Wyciągnięty na płask, rył palcami wśród splątanych korzeni trawy, wdychając gliniastą woń wilgotnej ziemi. Przyjemnie było tak sobie leżeć i nic nie robić. Choć wiedział, że będzie musiał za to potem zapłacić, gdy ojciec zauważy, że wrota wygonu, które miał dziś po południu naprawić, są nadal rozbite. Tylko że skoro je naprawi, będzie czekać na niego następna robota, a po niej kolejna. Stary diakon Noah zawsze powtarzał, że Panu Bogu wstrętne jest próżnowanie, robił więc ze swej strony, co się da, by Pan Bóg był zadowolony, i obarczał swojego syna różnymi pracami. Mose uważał, że konie pociągowe na ich farmie miewają więcej chwil obrzydliwego próżnowania niż on.

Westchnął i znowu się wyciągnął. Zamknął oczy i czuł się tak, jakby unosił go gorący wiatr, po prostu unosił.

W gęstwinie wierzb za nim zatrzeszczały gałęzie. Kamyczek z cichym pluskiem ześliznął się do wody. Mose uniósł głowę i serce mu podskoczyło.

Wśród skałek, wierzb i dzikich śliw stała dziewczyna. Ubrana na biało, na głowie miała duży słomkowy kapelusz z białą aksamitką zawiązaną na kokardę pod brodą. Na ramieniu oparła białą koronkową parasolkę, która kręciła się na wietrze niczym koło od powozu.

Mose się zerwał, po czym sobie przypomniał, że jest nagi. Zgiął się i gorączkowo na klęczkach szukał ubrania. Znalazł koszulę i zmiąwszy w kłębek, przysłonił nią genitalia.

Dziewczyna śmiała się z niego. Właściwie tego nie słyszał, bo serce mocno mu waliło, ale widział jej rozwarte wargi i błysk białych zębów. Czuł, że ogarnia go palące uczucie wstydu - od bosych stóp aż po koniuszki uszu.

- Chce pan, żebym się odwróciła? - zapytała.

- Co?

- Odwrócę się, żeby pan mógł włożyć spodnie. Wtedy może przestanie się pan czerwienić jak maliny i inne owoce w lecie.

Zrobiła, jak zapowiedziała, obracając się z szelestem jedwabnych spódnic. Gapił się na nią jak zahipnotyzowany. Zauważył, że jej sukienka nie była całkiem biała, lecz w drobne prążki w kolorze cynamonowych cukierków, które sprzedawano ze słojów u Tullego. Jedwabisty materiał, splisowany i zebrany na siedzeniu w węzeł, opadał z jej bioder koronkową kaskadą. Miała najcieńszą talię, jaką widział w życiu. Mógłby objąć ją dłońmi i jeszcze złączyć palce.

- Nie znam nikogo, kto ubierałby się tak bezszelestnie. Zasnął pan, czy co?

Mose ocknął się i drgnął. Nie zawracał sobie głowy gaciami, tylko od razu sięgnął po spodnie. Usiłował wsadzić obie stopy do tej samej nogawki i musiał podskakiwać na jednej nodze, żeby się wydostać ze spodni. Kiedy wciągał koszulę, zaczepił karczkiem o ucho i o mało nie wybił sobie oka, kiedy się z niej wyplątywał. Szelki się skrzyżowały, zostawił je więc wiszące na biodrach. Chwycił kapotę i wepchnął w nią ręce.

Parasolka się odchyliła i zza jej koronkowego, wykończonego ząbkami brzegu wychynęło rondo słomkowego kapelusza.

- Czy wygląda pan już przyzwoicie?

Mose przełknął z trudem ślinę, zabawnie mlaskając językiem.

- *Ach, ja*. Tak, panienko. Przepraszam, panienko.

Obróciła się, szeleszcząc jedwabiem, i ruszyła w jego stronę, a potem go minęła. Ujęła w rękę plisowany rąbek spódnicy, odsłaniając zdobioną koronką szkarłatną halkę, i przykucnęła na brzegu stawu. Złożyła parasolkę, położyła wśród kamieni, ściągnęła z rąk koronkowe rękawiczki, dłonią zaczerpnęła wody i uniosła ją do ust.

Piła głośno, jakby się delektowała jej smakiem, nie przejmując się wcale, że na nią patrzy. Kiedy ugasiła pragnienie, otarła wargi palcami.

Spojrzała na niego, uśmiechając się promiennie.

- Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby sobie odpocząć przez chwilę tu razem z panem - powiedziała - ale nie chcę poplamić sukienki. Czy sądzi pan, że sprawiłabym panu kłopot, gdybym skorzystała z pańskiego surdutu?

Niemal go rozerwał, ściągając z siebie w wielkim pośpiechu. Rozpostarł na mokrej trawie drogocenny nowy surdut z czterema guzikami i fantazyjnymi, atłasowymi wyłogami, żeby mogła sięść. Zachowywał się niezgrabnie, a jednocześnie szarmancko.

Usiadła na surducie z westchnieniem; zapachniała woda toaletowa o woni kapryfolium i mignęła znów szkarłatna koronka. Przerzuciła przez ramię grube pasmo włosów. Były jasnożółte, w kolorze pszenicy zaczynającej dopiero dojrzewać.

- Ten staw to przyjemne miejsce - powiedziała. - Przyjeżdżam tu czasami w lecie na piknik. Ale na ogół po to,

żeby być sama, jak jest mi smutno. Czasami wyruszam też na spacer po prerii. Inne dziewczęta nawet nie wyściubią nosa z domu, za to ja lubię spacerować po prerii. - Odrzuciła głowę do tyłu, żeby na niego popatrzeć, i znów się uśmiechnęła. Miała lekko krzywy kiel, który przy uśmiechu zahaczał o górną wargę. - Czy spaceruje pan kiedy po prerii?

- Tak, panienko. - Uważał, że przepędzanie owiec z jednego pastwiska na drugie można uznać za spacer po prerii.

Pierś dziewczyny uniosła się i opadła przy następnym westchnieniu.

- Lubię tutejszą krainę. Jest taka otwarta, zupełnie inna niż moczary na Florydzie, gdzie się wychowałam, gorące, ciasne i duszne. - Zerknęła na niego z ukosa, a w jej oczach pojawiły się iskry, jakby słońce coś w nich zapaliło. - Dziś jest z pewnością tak gorąco jak w lecie, prawda?

- Tak, panienko.

Mose czuł się głupio, gdy tak stał, kręcił głową niczym nakręcana zabawka, i nic nie robił. Pomyślał jednak, że może dobre wychowanie nakazuje, by zaczekał, aż zostanie zaproszony, i dopiero wówczas usiądzie obok niej. Przeształ z nogi na nogę, nie wiedząc, czy ma stać, czy siadać. Kiedy kucnął koło niej, stawy w kolanach trzasnęły mu tak głośno jak petardy.

- Ale gorący dzisiaj dzień - powiedział i spiekł raka.

Uśmiechnęła się do niego, tym razem mile, nie kpiąco.

- Jak pana nazywają, młodzieńcze?

- Mose. Mose Weaver.

Zmarszczyła nosek.

- Mose? Co to za imię?

- No cóż, to Moses.

Wyciągnęła do niego rękę z palcami odgiętymi lekkim łukiem w stronę ziemi.

- Jestem Marilee. To moje prawdziwe imię. Nie jestem taka jak inne dziewczęta, co to udają lepsze, wymyślając sobie imiona.

Wytarł spoconą rękę w nogawkę spodni i ujął jej palce.

- Miło mi panią poznać, panno Marilee.

Uważał, że to najładniejsza dziewczyna, jaką dotąd spotkał. Miała wystające kości policzkowe i spiczastą brodę, która nadawała twarzy kształt serduszka, a wargi tak czerwone, jakby dopiero co jadła maliny. Zastanawiał się, czy je malowała. Lekkie dziewczęta - jak słyszał - zawsze różują sobie wargi. Jej skóra przypominała świeżo zebraną śmietankę; widział całkiem spory szmat tej skóry.

- Czy... czy pani pracuje w tej, hm, „Złotej Klatce”? - zapytał. O retę, jąkał się gorzej niż biedny Benjo!

- Boże, mam nadzieję, że nie upadnę nigdy tak nisko! - wykrzyknęła. Zadarła brodę i wzgardliwie potrząsnęła głową. - Jestem mieszkanką piętarka w „Czerwonym Domu”.

Nachyliła się i dotknęła gorsu jego koszuli. Podskoczył lekko, ale zaraz zauważył, że ubierając się w takim pośpiechu, nie zapiął jednego guzika. Ona po prostu naprawiała to niedopatrzenie. Przez ułamek sekundy palce dziewczyny dotykały jego gołej piersi. Poczul falę gorąca gdzieś głęboko w brzuchu i poruszenie w miejscach, o których nie powinien nawet myśleć.

- Nie wiem, czy kiedyś tam pana widziałam - rzekła.

Mose znał „Czerwony Dom”. Stał na samym skraju Miawa City, między potokiem a cmentarzem, i nie był wcale czerwony. Kiedyś pewno był biały, ale dawno się spatynował na kolor ciemnoszary. Nazywano go „Czerwonym Domem” z powodu czerwonej latarni, która wisiała przed drzwiami wejściowymi przez większość nocy.

Mose z innymi młodymi prostaczkami snuł często domysły, co działo się za tymi drzwiami. Ostatniego lata stary Ira Chupp, któremu żona zmarła przeszło pięć lat temu, padł w czasie nabożeństwa na kolana i wyznał członkom zboru, że obcował grzesznie z Jezabelami. I choć nigdy nie wymieniano tej nazwy, wszyscy wiedzieli, że to grzeszne obcowanie odbywało się w „Czerwonym Domu”.

- Nie mogę powiedzieć z całą pewnością, że byłem w waszym domu - rzekł Mose takim tonem, jakby odwiedzał tak wiele tego rodzaju miejsc, i to regularnie, że nie mógł ich wszystkich spamiętać. - Ale teraz, gdy panią poznałem i już się znamy, może przyjdę...

Zaśmiała się perliście.

- Boże, po to jest burdel, żeby do niego p r z y j ś ć, no nie? O ile tylko ma się odpowiednie narzędzie i pieniądze na wstęp. - Odchyliła się do tyłu i lustrowała go tak uważnie, aż wysunęła dolną wargę: wilgotną i bardzo czerwoną. - Pan jest prostaczkiem, prawda? Obciął pan włosy i nosi normalne ubranie, ale to jasne, że jest pan jednym z nich, tych prostaczków.

Mose czuł, że znowu się rumieni, i ścisnęło go w piersiach. Wstydział się, że jest prostaczkiem, a jednocześnie z powodu wstydu miał poczucie winy.

Powędrował wzrokiem w stronę dłoni, które wcisnął między kolana.

- Jeszcze nie wstąpiłem do zboru - wymamrotał w stronę dłoni. - Może zresztą zdecyduję się w ogóle nie wstępować.

Dziewczyna lekko wzruszyła ramionami i gruby jak serdelek lok włosów ześliznął się z jej ramienia.

- Ma pan przynajmniej możliwość wyboru. Większość nas nie miała nigdy wielkiego wyboru.

Otworzyła małą, obszytą koralikami torebkę, zawieszoną na złotym łańcuszku na ręce, i wyjęła z niej zapalki i cienkie długie cygarko. Potarła zapalkę na pobliskim kamieniu i przytknęła płomyk do cygarka, osłaniając dłonią przed podmuchem wiatru.

Mose obserwował, jak trzymając je w ustach, wciągała powietrze. Policzki jej się zapadły, a tytoń rozżarzył się do czerwoności. Odrzuciła głowę do tyłu, wydmuchnęła cienką strużkę dymu, a potem jemu podsunęła cygarko.

- Chce się pan sztachnąć?

- Hm, no, ja... - Pragnął, by zobaczyła, jaki to z niego światowiec, że bez wahania może sobie zapalić cygarko. Cierpł mu jednak grzbiet na myśl o razach, jakie spadną na niego wieczorem. Kiedy stary diakon Noah zobaczy, że wrota są wciąż połamane, i poczuje od niego zapach diabelskiego tytoniu, z pewnością da mu cięgi.

Uśmiechała się, przesuwając cygarko między palcami. Jak zauważył, na końcu było mokre od jej warg. Wkładając je do ust, zastanawiał się, dlaczego jest takie mokre.

Zaciągnął się mocno jak ona. Dym sparzył mu płuca i przetyk, schodząc w dół, po czym wrócił wraz z kaszlem, który rozszarpał wnętrzności.

Poklepała go po plecach.

- Boże, młodzieńcze! Zrobił się pan zielony jak żaba. Jeśli zamierza pan wymiotować, to proszę celować tam. - Śmiejąc się, wskazała na staw.

„Tak to musi wyglądać, kiedy się próbuje oddychać w piekle” - pomyślał Mose. Łzy ciekły mu z oczu. Świat wirował przed oczami, a żołądek przewracał się i podskakiwał niczym ryba wyrzucona na mieliznę.

Mrugał oczami, przez chmurę dymu zerkając na dziewczynę. Wzięła od niego cygarko i znowu je paliła. Jej obraz drżał mu w oczach, ale stopniowo się ustalał. Mose utkwiał wzrok w jej piersiach. Kiedy się zaciągała, biust się unosił i nadymał, napierając na kremową koronkę lamującą gorset. Gdy dym wydmuchiwała, piersi wolno opadały jak obłok płynący ku ziemi. Duży, miękki, pulchny obłok.

„Panie Boże, przebac mi, proszę - modlił się Mose. Powinien zamknąć oczy i nie patrzeć na to, na co patrzył. Powinien raczej obciąć sobie głowę niż myśleć to, co myślał. - Jestem do cna zepsuty, grzeszny, potępiony”.

Pragnął, by ponownie włożyła do ust ten diabelski tytoń i znowu się zaciągnęła. Mocniej.

Wyrzuciła cygarko do stawu. Wciągnęła rękawiczki, wstała i strzepnęła spódnicę.

- Boże, zrobiło się późno - powiedziała. - Powinam już zbierać się do domu. - Schyliła się, podniosła parasolkę i rozwinęła ją, roztrzepując koronkę i frędzle.

Mose zerwał się na równe nogi, gdy obróciła się do niego z uśmiechem igrającym na górnej wardze.

- Dziękuję, panie Weaver, za możliwość skorzystania z pańskiego surduta. - Poklepała go po policzku. - Jest pan słodki.

Szeleszcząc spódnicą, ruszyła po kamieniach i przez gęstwinę wierzb z powrotem tam, skąd przyszła. Węzeł jedwabistego materiału upięty z tyłu podrygiwał i kołysał się przy każdym jej kroku.

- Proszę zaczekać! - krzyknął. Porwał surdut i pobiegł za nią.

Doścignął ją na drodze, która w gruncie rzeczy była jedynie szlakiem wyjeżdżonym przez wozy w trawach prerii. Przyjechała nad staw eleganckim czarnym powozikiem o zielonych kołach i poduszkach ozdobionych frędzelkami; ciągnął go ładnie się prezentujący kasztanek.

Zatrzymała się, żeby popatrzeć na ślady kół prowadzące na zachód, gdzie płaskie jak naleśniki chmury zawsze się zbierały, gdy wiał *chinook*.

- Wiatr przycicha - powiedziała. - Zrobi się znów zimno, zanim zdołam wrócić do domu. Czy pomoże mi pan postawić budę?

- Oczywiście! - wykrzyknął i zadrżał, słysząc, że krzyczy bardzo głośno.

Podnosząc i mocując budę, układał sobie w głowie, co jej powie. Niestety, wszystko, co mu na myśl przychodziło, wydawało się okropnie głupie. Zaschło mu w ustach, a w żołądku miał takie uczucie, jakby połknął worek koników polnych.

- Czy mogę złożyć pani wizytę, panno Marilee? - wykrztusił w końcu.

Obrócił się, nie wiedząc, że dziewczyna znajduje się tuż za nim, i wpadli na siebie. Chwycił ją za ramiona, żeby nie upadła. Patrzyła na niego, a twarz miała poważną. Czas wydawał się płynąć coraz wolniej i zamarł w bezruchu. Mose mógłby przysiąc, że słyszy bicie swojego serca, że czuje ciepło i jedwabistość jej skóry pod sukienką w cynamonowe prążki.

- Ma pan ładne oczy - powiedziała. - Czy ktoś to już panu mówił? Są takie ciemne, ciemnobrązowe. Jak ziarenka kawy. Tylko że kawa może być gorzka, a pańskie oczy wcale nie są gorzkie. Są ładne. Ładne i słodko patrzą.

- Pani też ma piękne oczy. - Usiłował wymyślić, do czego można by je przyrównać: niebieskie jak niebo, niebieskie jak dzwonki, niebieskie jak...

Marilee jednak wyśliznęła się z jego rąk, odsunęła od niego i wsiadała do powoziku. Za późno sobie uświadomił, że powinien był podejść i jej pomóc.

Ujęła lejce i spojrzała na niego. Teraz już się nie uśmiechnęła. Pomyślał, że wygląda raczej na zasmuconą.

- Może mnie pan odwiedzić, jeśli pan zechce - powiedziała. - Ale przedtem trzeba się wykapać, słyszy mnie pan?

Nie ma takich pieniędzy, które wynagrodziłyby fetor owiec.

Obserwował tył powoziku, gdy kołysał się i zapadał, jadąc traktem, póki nie pochłonęła go preria.

Uniósł róg surduta z czterema guzikami, przytknął do nosa i powąchał. Rzeczywiście pachniał owcami, lecz i dymem tytoniowym.

VII

Benjo mankietem koszuli wytarł z ust rozmazany przecier jabłkowy i przez stół wyciągnął rękę po następny placek kukurydziany. Matka jednak pierwsza złapała blachę i usunęła ją z zasięgu jego palców.

- Najpierw sprzątnij z talerza marynowane buraki, Josephie Benjaminie Yoder - powiedziała, klepiąc go po dłoni swoim widelcem. - Potem poproś, i to grzecznie, żeby ktoś ci dał więcej placków. I używaj serwetki, na litość boską, a nie rękawa!

Benjo potarł dłoń i wysunął dolną wargę.

- Tak, mamó - wymamrotał w talerz, na którym zostało trochę bobu i mnóstwo marynowanych buraków.

W kuchni zapadła cisza i tylko czasem słychać było brzęknięcie blaszanego widelca o blaszany talerz i tykanie zegara w blaszanej obudowie.

Minęły dwa dni od chwili, gdy innowierca spróbował swoich sił, wstając z łóżka i wystawiając się na słońce na ganku. Teraz po raz pierwszy usiedli we trójkę do stołu, żeby wspólnie zjeść posiłek.

U prostaczków posiłki to zazwyczaj czas na modlitwę i ciche rozmyślenia, co chyba odpowiadało innowiercy. Nie odezwał się ani słowem od chwili, gdy usiadł na krześle z boku stołu, tyłem do ściany. Kiedy Rachel z Benjem odmawiała modlitwę, zauważyła, że przybysz skłonił głowę z szacunkiem. Nie mogła też niczego zarzucić jego zachowaniu przy stole. Jadł nawet z nadmierną ostrożnością, jakby dobrych manier uczył się późno w swoim życiu.

Benjo też cicho się zachowywał, jakkolwiek w znacznie mniejszym stopniu demonstrował dobre maniere. Wpatrywał się w innowiercę oczami tak szeroko otwartymi, że Rachel niemal widziała przez nie pytania wędrujące mu z głowy na koniec języka.

Posiłki naprawdę miały być czasem poświęconym na milczenie, modlitwy i rozmyślenia, ale ona i Ben pozwalali synowi na zadawanie pytań w czasie kolacji, licząc na to, że rozmowa pomoże mu pokonać jąkanie. Teraz żałowała, że nie zwracali większej uwagi na dyscyplinę. Noah często ją ostrzegał, że rozpuszcza chłopca.

Benjo wciągnął głośno powietrze, a Rachel wstrzymała dech.

- J... jak w... w... w... - zaczął i zaciął się; gardło zacisnęła skurecz i pochłonął resztę pytania.

Rachel nachyliła się i delikatnie dotknęła jego ramienia, próbując go uspokoić.

- Łatwiej wypowiesz słowa, synku, jeśli nie będziesz usiłował ich przepychać przez jedzenie, które masz w ustach.

Chłopiec pogryzł to, co trzymał w ustach, i pospiesznie połknął. Rachel widziała, że nie zamierza poprzestać na tych pierwszych słowach. Wstrzymała znów oddech, wiedząc, że w stawianiu pytań Benjo nie zna ograniczeń. A jednak niemal jęknęła głośno, gdy wreszcie wykrztusił pytanie.

- J... jak wielu ludzi pan z... z... zastrzelił?

Innowierca obrócił wolno twarz i popatrzył na chłopca w taki sposób, jakby się dziwił, skąd wyskoczył. Widelec ostrożnie odłożył na talerz, otarł usta serwetką, którą zatknął sobie za koszulę.

- Wystarczająco dużo, żeby mieć kłopoty w tym życiu - odparł.

- Czy t... to dlatego z... zamknęli pana w więzieniu? - spytał Benjo, a Rachel upuściła placek kukurydziany, który właśnie jadła.

Widział tego człowieka tylko raz przez cały ten czas, gdy leżał w jej łóżku, nie mogła więc pojąć, jak może wiedzieć, że pan Kain ma ślady po pobycie w więzieniu. Może plotka o tym rozniosła się na skrzydłach wiatru po całej dolinie.

Innowierca przypatrywał się chłopcu spod opuchniętych powiek. Pociągnął się za dolną wargę.

- Zastanówmy się, jak to było tamtego razu, gdy wrzucono mnie do ciemnicy. Próbuję sobie przypomnieć. Myślę, że chodziło o to, że nie zjadłem do końca marynowanych buraków, jak mi kazała mama.

Benjo rzucił zaniepokojone spojrzenie na matkę, po czym wbił widelec w buraka. Zerknął na Kaina i zobaczył, że ten mu się przygląda. Wpakował buraka do ust, pogryzł go i połknął.

- J... ja myślę, że za zabicie kogoś. C... co ten ktoś zrobił, że pan go z... zabił?

- Przypuszczam, że mógł mi postawić o jedno pytanie za dużo.

Benjo otworzył usta i zrobił się czerwony jak rak. Wbił wzrok w talerz. Nadział na widelec kolejnego buraka.

Rachel opuściła brodę, żeby ukryć uśmiech. Miała wrażenie, że w słabym świetle zimowego słońca widzi fałdki w kącikach oczu innowiercy. Ten człowiek naprawdę lubi się przekomarzać, i to w dość złośliwy sposób. „Jak Ben” - pomyślała.

Ani szok, ani strach nie mógł jednak pohamować syna. Wiercił się na krześle i wciągnął powietrze, a Rachel wiedziała, że następne pytanie jest już w drodze.

- Wykonałeś już swoje wieczorne prace, Josephie Benjaminie? - spytała.

- Nie, mamó. A... ale...

- Ale zabieraj się do nich.

Chłopiec westchnął głośno, po czym odsunął krzesło, chwycił kapelusz i kapotę i zgarbiony, ze zwieszoną głową, pobiegł na dwór.

Ledwie zniknął, a już Rachel pragnęła, żeby wrócił. Może Benjo swoimi natrętnymi pytaniami zdołałby wyciągnąć coś z tego człowieka. Fascynowało ją jego złamane życie. Bacznie go obserwowała, zbierając myśli i spostrzeżenia niczym skrawki materiału na zszywaną z kawałków koldrę, ale jak dotąd nie potrafiła ułożyć z nich żadnego wzoru.

W ostatnich dwóch dniach sporo czasu spędzał poza łóżkiem. Parę razy wybrał się też na krótką przechadzkę na wygon, żeby popatrzeć na owce. Znow jednak zrobiło się zimno, zbyt zimno, by przebywać na dworze. Siedział więc przy stole kuchennym i czasem rozmawiał z Rachel, gdy zajmowała się swoimi pracami.

Wiedziała już o nim tyle, że życie go skaziło, pozostawiając na nim ślady, rany i blizny nie tylko na ciele. A mimo to był skłonny do śmiechu, odznaczał się też nieoczekiwaną delikatnością. Nie miał ani domu, ani rodziny, i to bardziej niż co innego napełniało jej serce współczuciem. Rodzina, przyjaciele i dom - to właśnie daje życiu sens i radość.

Ach, siedzi tu plecami do ściany, a jego spojrzenie - uważne, baczne - tak często wędruje w stronę drzwi, jakby na coś czekało! Rękę położył płasko na stole obok talerza, ale od czasu do czasu kreśli palcami kółka na ceracie. Zastanawiała się, jak może żyć w takim wewnętrznym napięciu. To zupełnie tak, jakby próbować wpatrywać się w słońce.

Wstając od stołu, odsunęła krzesło, które w ciszy kuchni głośno szurnęło. Wzięła talerze - swój i Benja. Zatrzymała się, idąc do zlewu, naprzeciwko miejsca, gdzie przybysz siedział. Na talerzu pozostało mu jeszcze sporo marynowanych buraków.

Odkryła, że on lubi, gdy się z nim żartuje; pod tym względem też przypominał Bena.

- Uważam, panie Kain - powiedziała - że lepiej będzie, jeśli pan zje te buraki. W przeciwnym razie będę musiała posłać po szeryfa.

Spojrzał na talerz, po czym podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie. Na ustach pojawił mu się szelmowski uśmiezek.

- Ale, pani Yoder, byłbym bardziej zadowolony, gdybym dostał jeszcze trochę pani doskonałych placuszków.

Postawiła talerze, chwyciła blachę z plackami kukurydzianymi i odsunęła ją dalej od niego.

- O nie, nie dostanie pan placków! Nie uda się panu słodkimi słówkami przekonać mnie, bym złamała zasady dla...

Wyskoczył ze swojego krzesła i tak ją przeraził, że pośliznęła się do tyłu, potykając o własne stopy. Złapała się krzesła i wypuściła blachę, która z łoskotem upadła na ziemię. Nie krzyknęła tylko dlatego, że ze strachu straciła głos. W końcu to mu się udało.

Przycisnęła pięści do tłukącego się w piersi serca i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. W ręce trzymał rewolwer, ale nie umiałaby powiedzieć, w jaki sposób się tam znalazł.

- Co... - zaczęła, a potem usłyszała na podwórku rżenie konia.

- Niech pani zobaczy, kto to - powiedział spokojnie, ale oczy miał dzikie.

Przelykała ślinę, próbując pozbyć się uczucia trzepotania serca w gardle.

- Nie może pan wciąż myśleć, że każdy, kto przyjdzie do nas w odwiedziny...

- Do diabła, niech pani zobaczy, kto to!

Cała drżąca podeszła do okna, obawiając się mniej tego, kto zajechał na podwórko, niż innowiercy siedzącego w jej własnym domu.

Patrzyła przez szybę. Tęgi mężczyzna w zabłoconym prochowcu i przepoconym brązowym stetsonie zeskoczył z siodła i zamierzał przywiązać deresza do wrót na wygon.

- Pani go zna?

Nie słyszała, że podeszedł do niej z tyłu, i podskoczyła na dźwięk jego głosu tuż przy uchu. To nie było pytanie, tylko oskarżenie.

- To szeryf Getts - oznajmiła. Obróciła się gwałtownie w jego stronę, przerażona nagle tym, co on sobie pomyśli.

- Ja po niego nie posyłałam, naprawdę nie!

Nie dał znaku, że to go niepokoi, ani nawet, że ją w ogóle słyszy. Oparł nadgarstek ręki, w której trzymał broń, na ścianie i nachylił się ku oknu, żeby lepiej widzieć. Grymas ściągnął mu usta, oddech miał przyspieszony i urywany. Pomyślała, że pewno popękały założone przez doktora szwy, kiedy tak gwałtownie wyskoczył z krzesła. Z oczu zniknął jednak wyraz dzikości, ustępując miejsca obojętności, jaką przeważnie u niego widywała.

Uświadomiła sobie, jak wielką głupotą z jej strony była chęć polubienia tego człowieka, czy nawet myślenie, że to ktoś więcej niż zwykły desperado uciekający przed strażnikami i prawem. A wszystko to z powodu jego ujmujących uśmiechów i skłonności do żartów. I dlatego, że w jakiś dziwny sposób przypomina jej Bena.

Zmienił pozycję i kciukiem odwiódł kurek kolta. W ciszy panującej w kuchni ten dźwięk wydał się okropnie głośny.

- Proszę go nie zabijać - powiedziała. - Proszę mi obiecać, że nie zabije go pan tutaj, na moich i syna oczach.

Tym razem uśmiech Kaina był naprawdę nieprzyjemny.

- Madam, jeśli będę musiał zastrzelić tego drania - rzekł, przeciągając słowa - to może być pani pewna, że zadam sobie trud i najpierw wywabię go poza płot pani pastwiska.

Z powrotem odwrócił się do okna. Szeryf nie spieszył się z wejściem do domu. Oparty łokciami o górny drąg wrót prowadzących na wygon, patrzył na owce.

- Mówił pan kiedyś, że jest mi pan winien wdzięczność. I obiecał, że nas nie skrzywdzi. Jeśli naprawdę tak pan myślał, to nie pozwoli pan, żeby splugawiła nas wstrętna przemoc. Nie mamy tylnych drzwi, ale może gdybym wyszła na podwórko i odwróciła uwagę szeryfa, udałoby się panu pobiec do stodoły. Może pan wziąć naszą starą roboczą kobyłę. Nie jest szybka, ale na początku da panu przewagę i...

Obrócił głowę i zmierzył ją zimnym wzrokiem.

- Ja nie uciekam - oświadczył, po czym palcami dotknął jej twarzy, przejechał po brodzie i musnął usta. - Nie zabiję go ani tutaj, ani w ogóle, jeśli tylko będę mógł.

Powoli odsuwała się od niego; najpierw zrobiła jeden ostrożny krok, potem następny.

- Wyjdę zobaczyć, czego on... czego szeryf chce - oznajmiła. I pobiegła do drzwi.

Z wielkim trudem zwołała kroku, przemierzając podwórko. Innowierca powiedział, że on nie ucieka, ona tymczasem miała ochotę uciec i pobiec przez prerię za poszarpane pasmo gór na sam koniec świata. Lecz nawet wtedy - to wiedziała - nie będzie bezpieczna z powodu tego, co on zrobił i na co mu pozwoliła.

Głęboko wciągnęła powietrze w płuca i zmrużyła na chwilę oczy. Na wargach wciąż czuła muśnięcie jego palców. Chciała potrząść usta ręką, żeby pozbyć się tego wrażenia.

Postrzępione wierzchołki górskie jakby zmiatały z nieba chylące się ku zachodowi słońce, które zabarwiało obłoki na kolor łososiowy i rzucało blade żółtawe światło na pola zieleniejące się pierwszymi wiosennymi pędami. Zlustrowała wzrokiem cień pod szopą, szukając syna, ale tam go nie znalazła. Pewno uciekł na widok szeryfa Gettsa. Benjo uważał, że szeryf jest w pewnym stopniu odpowiedzialny za to, co się stało z jego ojcem. I Rachel w gruncie rzeczy była tego samego zdania. Człowiek, którego zaprzysiężono jako stróża prawa, powinien być mieć więcej do zaoferowania niż tylko uprzejme wyjaśnienie tego, co zrobiono z Benem.

Kiedy do niego podeszła, szeryf dotknął podwiniętego brzegu kapelusza; był uprzedzająco grzeczny nawet teraz.

- Dobry wieczór pani - powiedział, po czym wrócił do obserwowania owiec.

Dawno już miał za sobą młodość, zmęczone niebieskie oczy i skórę osmaganą wiatrem i słońcem. Z obu stron ust zwisały mu siwe wąsiska, a znad paska czarnych bryczesów brzuch. W gruzłowatych dłoniach rozciągał parę wykończonych zamszem długich rękawic.

- Pani jarki niedługo będą się kocić - oznajmił swoim tubalnym, chrapliwym głosem.

Rachel, mrużąc z zakłopotaniem oczy, przyjrzała się brzuchatym owcom pasącym się na rozrzuconym po wygonie sianie. Nie zauważyła powiększenia się wymion, a i sutki wisiały całkiem normalnie. U żadnej z owiec nie widziała oznak bliskiego porodu. Dziwiła się więc, co skłania szeryfa, a przedtem Noaha, do mówienia takich rzeczy. Może mężczyźni mają po prostu potrzebę popędzania czasu.

- Czy on pani powiedział, kim jest?

Usiłowała zachować spokojną twarz i przybrać niewinny wygląd, zanim obróci się i spotka wzrok stróża prawa.

- Powiedział, że nazywa się Kain. A jak się nazywa?

Pokiwał głową, wciągając do ust koniuszek poplamionego tytoniem wąsa.

- Johnny Kain. Pewno nie od urodzenia, ale dorobił się takiego nazwiska. Johnny Kain. - Powtórzył to imię i nazwisko niemal z satysfakcją. - Jest rewolwerowcem, zawodowym zabójcą. Jego celem, a nawet, można by rzec, jego przyjemnością jest zabijanie.

J e g o p r z y j e m n o ś c i ą j e s t z a b i j a n i e. Wiedziała o tym przez cały czas i nie chciała tego widzieć, nie mogłaby widzieć. Nie pasowałyby to do obrazu, jaki pragnęła sobie stworzyć.

- Czy przyjechał pan zabrać go z powrotem do więzienia?

- Powiedział pani, że siedział w mamrze? - Wzruszył potężnymi barkami. - To dla mnie nowina. Teraz nie jest nigdzie poszukiwany. Sprawdziłem. Ale muszę z nim pogadać.

Odszedł od wrót i ruszył w stronę domu przez podwórze, mlaskając butami po błocie. Rachel przez chwilę stała jak wrośnięta w ziemię, musiała więc podbiec, żeby go dogonić.

Promienie zachodzącego słońca padały na wyszorowaną do białości sosnową podłogę, gdy szeryf otworzył drzwi. W głębi kuchni panował półmrok i w tym półmroku tyłem do ściany siedział innowierca. Przed nim na stole leżał kolt, a na kolbie spoczywała jego lewa ręka.

- Obiecał pan odłożyć broń - odezwała się Rachel.

- Wątpię, by Johnny Kain złożył kiedykolwiek taką obietnicę. On jest tylko ostrożny, prawda, chłopcze? On to wie: blaszana odznaka nie daje gwarancji, że na potyczce z nim nie zechcę zbudować swojej reputacji.

Szeryf osłaniał się drzwiami. Teraz wyszedł zza nich, ale ręce wciąż trzymał w pogotowiu wzdłuż boków.

- A teraz co zamierzam zrobić? Zamierzam powiesić swój pas z nabojami na tym haku na ścianie razem z kapeluszem, a potem przysunę krzesło do stołu i napiję się kawy. Kawy, która doprawdy ładnie pachnie, prawda, pani Yoder?

Kuchnia nie pachniała kawą, jeśli w ogóle pachniała, to marynowanymi burakami. Niebieski dzbanek w kropki stał na blasze pieca kuchennego. Kukurydziane placki, które wypadły Rachel z rąk, połamane wały się na podłodze.

Kiedy przyklęła, by je zebrać, zerknęła na innowiercę. Wzrok miał utkwiony w szeryfa i lekko zaintrygowany wyraz twarzy, jakby ktoś tak niewinny jak on nie mógł sobie wyobrazić, co stróż prawa ma mu do powiedzenia.

Szeryf przysunął krzesło do stołu i opadł na nie z ciężkim westchnieniem.

- Muszę wyjaśnić sprawę trzech trupów na Tobacco Reef. Liczę, że możesz mi w tym pomóc.

- Zawsze gotów jestem służyć prawu - odparł Johnny Kain z uśmiechem, w którym nie było ani trochę ciepła.

Szeryf przyjaźnie wyszczerzył zęby.

- To ładnie, naprawdę ładnie. - Wolno i z namaszczeniem wyjął z kieszeni zabłoconego prochowca fajkę z korzenia wrzośca i zamszowy woreczek z tytoniem. Nie powiedział nic więcej, póki nie zapalił.

Oparł się szerokimi barami na krzesło, pyknął i wydmuchnął chmurę dymu w stronę krokwi.

- Mój tata pochodził z gór - zaczął. Kiedy Rachel postawiła przed nim kubek zimnej oleistej kawy, skinął głową i wymamrotał: - Dzięki.

Ten mój tata - ciągnął - przez jakiś czas nawet żył wśród plemienia Chippewa. Nauczył mnie odczytywać ślady, i to tak dobrze, że nie ustępuję pod tym względem większości Indian. Proszę wybaczyć mi samochwalstwo.

Wyjął z ust fajkę i skubał koniec wąsów. Przypatrywał się mężczyźnie po drugiej stronie stołu, i to tak bacznie, jakby taksował jego złamaną rękę i ostrożność, z jaką siedzi, mając na względzie postrzałową ranę w boku. Potem znów włożył fajkę do ust i mówił dalej, ściskając ustnik w zębach:

- Tak oto sobie wyobrażam, co się wydarzyło na tym wzgórzu. Zaczęło się to, że tak powiem, od trzech braci nazwiskiem Calder, którzy mają wraz z ojcem farmę stąd na wschód. Ta trójka była w Rainbow Springs przed tygodniem albo wcześniej i widzieli tam ciebie przy grze w monte na wysokie stawki. I wtedy przyszedł im do głowy głupi pomysł, że z pewnością znacznie bardziej będą się mogli chlubić nazwiskiem Calder, jeśli wiązać się ono będzie ze śmiercią Johnny'ego Kaina.

Rachel rzuciła przerażone spojrzenie na innowiercę, lecz on wciąż obserwował obojętnym wzrokiem strażnika prawa.

Odsunęła się, najdalej jak mogła, od nich obu, ale pozostała w kuchni. Przysiadła obok pieca na skrzynce na drewno z miską grochu na kolanach, który zamierzała przebrać przed namoczeniem. Choć palce miała zajęte grochem, jasno zdawała sobie sprawę, o czym będzie mowa przy stole. Wiedziała, że będzie to opowieść o przemocy i śmierci, i nie chciała jej słuchać, a jednocześnie nie mogła się zmusić do zatkania sobie uszu.

Szeryf wyduł policzki i z nagłym westchnieniem wydmuchnął powietrze.

- Nie myślę się zastanawiać, skąd wiedzieli, dokąd się wybierales i kiedy będziesz tamtędy przejeżdżać. Choć podejrzewam, że tacy jak ty nie mogą się zatrzymać, by się odlać, i nie słyszeć trzasku odciąganych kurków za każdym krzakiem. Wystarczy, że powiem: ci trzej chłopcy czekali na ciebie na skałach na Tobacco Reef. Wyobrażali sobie, że cię napadną, gdy będziesz przejeżdżać. Może widziałeś promienie słońca odbijające się od lufy strzelby, a może po prostu w i e d z i a ł e ś, że oni tam są, jak to wiedzą zawsze tacy jak ty.

Przerwał dla uzyskania dramatycznego efektu. Rachel podciągnęła nogi i przycisnęła je do deszczulek skrzynki, jakby mogły zapewnić jej oparcie. Johnny Kain siedział w milczeniu i nieruchomo, tylko raz pogładził ręką kolbę rewolweru.

- Jakkolwiek to było - ciągnął strażnik prawa - odwróciłeś się i już wystrzeliłeś, zanim oni zaczęli strzelać. Dlatego Rafę Calder padł martwy na skałach.

Ku zaskoczeniu Rachel strażnik prawa się roześmiał.

- Tak, bardziej martwy niż wołowina w puszcze był ten Rafę, no i wciąż jest, jeśli nie udało mu się jakoś zmartwychwstać. Dostał kulkę prosto w usta. - Zaśmiał się znowu i pokiwał głową. - Ale ten Rafę zawsze miał dużą japę.

Powietrze w kuchni zrobiło się tak gęste, że z trudem dało się nim oddychać. Rachel nie mogła oderwać wzroku od twarzy innowiercy; była ona tak gładka jak zniszczony przez żywioły kamień nagrobny i podobnie trudna do odcyfrowania.

Szeryf pochylił się nagle do przodu i cybuchem fajki machnął przed oczami swojego rozmówcy. Johnny Kain nie mrugnął nawet okiem.

- No, możesz tego nie wiedzieć - powiedział szeryf - ale chłopaki Caldera cieszyły się tu, w tych leśnych osiedlach, opinią pierwszorzędnym strzelców. Do licha! Widziałem raz, jak Rafę wbił gwóźdź w kołek płotu sześcioma kulkami ze swojego kolta. A zatem jeśli mieli dość czasu, by w ciebie wycelować, to musieli cię trafić. I trafili, nie? - Zmierzył innowiercę znów wzrokiem. - I na pewno trafili. Jeden trafił ciebie, drugi twojego konia. Koń się przewrócił, pewnie zważył się na ciebie, i dlatego masz złamaną rękę.

Odchylił się do tyłu i zaczął się bawić zmatowiałym łańcuszkiem od zegarka. Rachel zauważyła, że przez cały czas innowierca nie spojrział ani na ręce szeryfa, ani gdzie indziej, tylko wciąż patrzył w jego wyblakłe oczy.

Najeżone siwe brwi strażnika prawa zmarszczyły się, jakby pod wpływem skomplikowanych myśli.

- I od tego momentu sprawa się gmatwa, tak to sobie wyobrażam. Zgubiłeś swojego sześciostrzałowca, kiedy

twój koń się przewrócił i złamał ci rękę, a nie mogłeś osiągnąć strzelby tkwiącej wciąż w olstrach przy siodle. Tymczasem tych dwóch żyjących chłopaków Caldera wyszło zza skał z wycelowanymi w ciebie rewolwerami. Postąpiłeś zatem jak Indianin - udałeś martwego.

Szeryf zaśmiał się i kiwnął głową, jakby przyznając mu punkt w rozgrywanej grze.

- Chłopcy Caldera mogli nie odróżnić gówna od dzikiego miodu, ale nigdy nie byli zupełnymi głupcami. Podchodzili wolno, trzymając cię cały czas na muszce. Może jeden z nich cię kopnął, żeby się przekonać, czy nie jękniesz. Może nawet palnął w złamaną rękę. W tym wypadku twardy z ciebie skurczybyk, bo nawet nie pisnąłeś, nie drgnąłeś. Leżałeś tam, udając nieprzytomnego, czekając, żeby się zbliżyli. I wiedziałeś, że się zbliżą, jeśli zamierzają cię oskalpować czy odciąć ci nos albo ucho...

Rachel wychyliła się do przodu, miska zsunęła jej się z kolan. W nagłej ciszy słychać było groch rozsypujący się na gołych sosnowych deskach.

- Tak, proszę pani - powiedział szeryf, nie odrywając oczu od swego rozmówcy; - Chłopcy chcieli mieć łup, nie wie pani? Żeby udowodnić, że zabili Johnny'ego Kaina. - Wzruszył ramionami i pocierał wargi ustnikiem fajki jakby w zadumie. - Inaczej żaden z nich nie zyskałby punktu.

Rachel patrzyła na Kaina, zastanawiając się, jak on to wytrzymuje, jak serce i umysł mogą znieść taki strach. Przypomniało jej się skrajne przerażenie, jakie ujrzała w jego oczach tamtego dnia na łące, gdy pierwszy raz go dotknęła.

- A więc czekałeś - mówił szeryf teraz prawie już chrapliwym szeptem. - Czekając, bo tacy jak ty potrafią czekać. Czekając, aż Jed Calder odłoży broń, sięgnie po swój majcher i pochyli się nad tobą, a wtedy strzeliłeś do niego z pukawki, którą nosisz w kaburze pod pachą. I gdy zabijałeś Jeda, wyrwałeś mu nóż z ręki, po czym wyprułeś flaki z jego smarkatego brata, Stu. Przypuszczam, że już wtedy musiałeś być porządnie rozwścieczony albo mocno przerażony, bo chłopak wyglądał tak, jakby podziabano go łopata.

Rachel stłumiła jęk za zaciśniętymi wargami. Zamknęła oczy i ujrzała krew, poczuła jej zapach. Ta krew, którą nasiąknięte i obryzgane było ubranie, nie była zatem jedynie jego krwią.

- Rzecz jasna - powiedział strażnik prawa - nie jestem całkiem pewien, jak ci się udało dokonać tej ostatniej sztuczki, tak ich zaskoczyć. Wiem tylko, że to ci się udało, bo widziałem dowód na własne oczy. - Pokręcił głową i zachmurzył się. - Te chłopaki powinny wiedzieć, że nie szturcha się śpiącego grzechotnika.

Po raz pierwszy Johnny Kain się poruszył, ale tylko na tyle, żeby unieść głowę. Na jego ustach pojawił się czarujący uśmiech.

- Opowiada pan naprawdę ładną historyjkę, szeryfie.

- Hm... Jak przypuszczam, powiesz mi, że postrzeliłeś się sam przy czyszczeniu broni, a potem złamałeś sobie rękę, spadłszy z krzesła.

- Prawo nie zabrania niezręczności, o ile wiem.

Szeryf Getts uderzył pięścią w stół tak mocno, aż zabrzączały talerze. Rachel podskoczyła, a innowierca się uśmiechnął.

- Ale powinno zabraniać - warknął strażnik prawa - traktowania kogoś jak głupca, kiedy nim nie jest. Mówi się, że strzelanie do kogoś, nawet jeśli robi to w uczciwej walce jeden na jednego, jest wciąż morderstwem, ale ja nie jestem taki skłonny do osądzania. Znałem chłopaków Caldera i wiedziałem, że są głupi jak kołki w płocie i podli jak tchórze przez całe swoje życie, a zatem ich śmierć na pewno nie jest wielką stratą dla cywilizacji takiej, jaką znamy. Napadli na ciebie i dostali to, o co się prosili.

Pochylił się i postukał palcem w srebrną gwiazdę na piersi.

- Ale kiedy przypinałem tę odznakę, przysięgałem strzec prawa i chronić obywateli tego terytorium. Sądzę, że bym zaniedbał swoje obowiązki, gdybym ci nie zasugerował, byś stąd zniknął, kiedy tylko będziesz mógł. I zanim ta piękna mała dolina zaroi się następnymi złymi ludźmi i głupimi chłopakami, którzy ze chcą zyskać renomę szybkich sukinsynów, co to zastrzelili Johnny'ego Kaina.

Szeryf wpatrywał się w Kaina; fajka uniosła się w górę, gdy zacisnął zęby na ustniku.

Johnny Kain milczał.

- Doprawdy twardy z ciebie sukinkot - stwierdził strażnik prawa. - Ale przypuszczałem, że taki będziesz. - Odsunął krzesło od stołu. Wstając niezgrabnie, wyciągnął zegarek z kieszonki kamizelki, po czym popatrzył na okno ozłoczone promieniami zachodzącego słońca.

- Dziękuję za kawę, pani Yoder - zwrócił się do Rachel, kierując się do wyjścia.

A Johnny Kain nic nie powiedział. Nawet do widzenia.

Rachel wyszła z szeryfem na podwórko. Łososiowe światło znikło z obłoków i teraz zrobiły się szare jak dym. Wkrótce zapadną ciemności, zerwał się zimny wiatr. Martwiła się, że Benjo jeszcze nie wrócił. Miała nadzieję, że schował się w stodole i czeka, aż szeryf odejdzie.

Szeryf stuknął cybuchem fajki w płot i wiatr porwał iskry i węgielki. Migotały jak świetliki w zapadającym zmroku. Skrząła skóra, gdy postawił nogę w strzemieniu i wskoczył na siodło. Pochylił się, poklepał konia po karku. Rachel wyczuwała, że patrzy na nią, ale nie mogła się zdobyć na to, by na niego spojrzeć.

- Ten Johnny Kain... - zaczął.

„Dziwnie to wymawia - pomyślała. - Jakby to imię i nazwisko były jednym słowem: „JohnnyKain”.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł nazwać po prostu Johnnym tego innowiercę, który siedział przy jej stole i miał śmierć w zasięgu ręki. A pan Kain, ten czarujący łotr, tak łatwo się uśmiechający i skory do żartów, był człowiekiem wymyślonym. Wymyślonym przez niego, żeby ją uspokoić, podczas gdy będzie się kurować z ran w jej domu. Nie ma żadnego pana Kaina.

Jest tylko JohnnyKain. Człowiek, który zaferował się dla niej zabijać.

- Niech się pani nie zacznie nad nim rozczulać - powiedział szeryf. - Mężczyzna taki jak on to kłopot, a kłopoty chodzą zwykle parami. Pewnego dnia szczęście go opuści, bo zawsze tak się dzieje, i skończy tak, jak żyje.

Skrzyżowała ręce na piersiach i odrzuciła głowę do tyłu, by na niego popatrzeć.

- Ale co ma robić, jeśli zawsze czekają na niego inni, żeby strzelić mu w plecy albo obciąć uszy?

Trącił rondo zniszczonego kapelusza.

- Jestem dokładnie takiego samego zdania. Pani i pani syn zaznaliście już dosyć nieszczęść. Kiedy przeznaczenie dopadnie Johnny'ego Kaina, nie stójcie blisko niego.

VIII

Johnny Kain nadal siedział przy stole i trzymał rękę na rewolwerze. Długa gładka lufa wydawała się bardzo czarna na brązowej ceracie. W zestawieniu z nią ręka robiła wrażenie bladej i delikatnej, niemal pięknej. „Śmiertelnie pięknej” - pomyślała Rachel. Tak, tak właśnie widziała tę rękę - jako rzecz straszną w swoim pięknie, bo będącą narzędziem śmierci.

Johnny Kain spoglądał na swoją rękę i na broń. Niczego nie mogła jednak wyczytać z wyrazu jego twarzy. Nie wiedziała, czy on wyczuwa grozę w tym, co widzi, czy też zupełnie nic nie czuje.

Zdjęła naftową lampę z haka na suficie, żeby ją zapalić przy zapadającym zmroku. W cichej kuchni potarcie zapalki zabrzmiało nienaturalnie głośno. Niemal upuściła klosz, gdy nasadzała go z powrotem; szkło zadzwięczało na miedzianej podstawie niczym kościelny dzwon.

Kain wolno unióśł głowę. Oczy błyszczały mu w mrocznym świetle, ale ciepła w nich nie było.

„Ma taką nadzwyczajną twarz, która naprawdę zapiera dech w piersiach. Twarz, która sprawia, że pragnie się poznać jej tajemnice - pomyślała. - A może nie ma żadnych tajemnic. Może to po prostu JohnnyKain, rewolwerowiec”.

Uśmiechnął się i w tym uśmiechu było coś twardego.

- Mówiłem pani, że jestem diabłem - powiedział - a pani usiłowała wybić mi to z głowy. Teraz patrzy pani na mnie tak, jakby oczekując, że lada moment wyrosną mi rogi i parzyste kopyta.

- Wiem, że nie jest pan diabłem, panie Kain.

Paruszył się śmiechem. Podniósł się, tym razem wolno, i schował rewolwer do nasmarowanej skórzanej kabury.

- Niemniej nadal zamierza mnie pani poprosić, żebym się wyniósł. Gdy tylko pani wymyśli, jak to zrobić w subtelny sposób.

Przeszedł obok niej, zmierzając w stronę drzwi, jakby miał zamiar wynieść się natychmiast. Poszła za nim, choć nie wiedziała, czy chce go zatrzymać, czy pożegnać.

Wpadła niemal na niego, kiedy nagle się zatrzymał z ręką na futrynie.

- A co będzie, jeśli inni czekają na pana na wzgórzach, na drodze, w następnym mieście, za następną skałą? - zapytała.

Nie odwrócił się do niej.

- Nie ma tu żadnych „co będzie, jeśli”. Czekają tam, w porządku. I ja ich pozabijam, tak jak chłopaków Caldera.

- Może pan odłożyć broń. Odmówić walki.

Przypatrywał się swojej ręce przyciśniętej do szorstkiego drewna. Rozstawił szeroko palce, tak szeroko, że żyły i kości przezierały przez bladą skórę.

- Nadstaw i drugi policzek.

- Tak.

Okręcił się na pięcie i stanął twarzą do niej.

- Panie Boże! Rachel, co myślisz, że by się wtedy stało? Że jakiś sukinsyn, który chce na mnie zbudować sobie reputację, przyjdzie i poklepie mnie po ramieniu, mówiąc: „Wybacz mi, Johnny Kain, ale zauważyłem, że nie masz dziś przy sobie broni, więc się zastanawiam, czy przypadkiem nie zamierzasz jej wziąć, zanim strzelę ci w plecy”.

- Ale to wszystko jest takie niegodziwe! Nie powinno się... t a k ż y ć. - T a k u m i e r a ć.

Zaśmiał się gorzko. Oparł się o drzwi, jakby nagle nie miał siły stać.

- Są tylko szybcy i martwi. Słyszała pani to powiedzenie? No cóż, przypuszczam, że teraz pani wie, co to znaczy.

Patrzył na nią z podniesioną głową, otwarcie, nie unikając jej wzroku. Dojrzała grozę wciąż czającą się w głębi jego oczu.

Poruszył ręką, a ona pomyślała, że chce dotknąć jej ust, tak jak to zrobił przedtem. Lecz opuścił rękę.

- Jest pani taka, że mężczyzna łatwo może panią wykorzystać. Skrzywdzić.

- Czy pan mnie skrzywdzi, panie Johnny Kain?

Nie odpowiedział, teraz jednak jej dotknął. Przesunął palcami lekko, leciutko po jej szyi i skóra zaczęła ją palić

jak poparzona przez pokrzywy. „On wie, że mnie skrzywdzi - pomyślała. - Jest mu z tego powodu przykro, ale i tak to zrobi”.

Oderwał się od futryny. Sięgnął do klamki, szarpnął i z taką siłą drzwi otworzył, aż jęknęły zawiasy.

- Myślę, że pójde na wygon i zerknę na owce.

Poszła za nim na ganek, ale nie dalej. *Chinook* zmył z ziemi większość śniegu, wyrzała sucha trawa. Ona też czuła się jak wymyta, do cna wyprana.

Patrzyła na Kaina idącego wolno przez podwórko i pomyślała, że porusza się jak człowiek ciężko ranny, jakim jest w rzeczywistości.

Nie prosiła go, by się wyniósł. A on nie powiedział, że zostanie.

Wiedziała, że każdy, kto chce, może go znaleźć na farmie prostaczków, tak jak wszędzie indziej. I on to też wiedział. Rozumiała, jakie ryzyko grozi jej i synowi; on również rozumiał. Pomyślała, że chyba tylko ona ufa, iż Bóg będzie miał ich wszystkich w swojej opiece.

Zobaczyła, że Benjo z MacDuffem u nogi wylania się zsałasów dla jagniąt. Kain zobaczył ich też i przystanął. Powiedział coś, na co Benjo zareagował wzruszeniem ramion i wpakowaniem czubka butów do błota. Pies podbiegł do Kaina, a ten schylił się i miętosił mu uszy. Po chwili dołączył się chłopiec. We trójkę podeszli do ogrodzenia wygonu. Kain postawił nogę na niższym drągu i zahaczył kciuk lewej ręki o tylną kieszeń. Benjo także postawił nogę na drągu, ale nie mając tylnej kieszeni, położył po prostu dłoń na tyłku, co wyglądało trochę głupio. Rachel musiała się uśmiechnąć przez łzy.

Głowa chłopca podskakiwała, wiedziała więc, że syn znowu usiłuje wykrztusić jakieś pytanie. Od czasu do czasu Johnny Kain patrzył na niego; ciekawa była, czy mu odpowiada.

Księżyc wylaniał się znad pochylonego dachu stodoły, konkurując z ostatnimi promieniami zachodzącego słońca; dzień ustępował miejsca nocy. Czas płynął. Lecz dla Rachel Yoder już nie upływał ani powoli, ani słodko. Czuła się tak, jakby pędziła na złamanie karku po urwisku, wierząc, że może latać, ale nie miała skrzydeł.

Zwrócił się do niej per Rachel. Pewno nawet nie słyszał, że wymówił jej imię. Za to ona słyszała.

Gdy wrócili do domu, Johnny Kain poszedł prosto do łóżka. Rachel zmiatała wtedy okruchy kukurydzianych placków i groch, który rozsypał się na podłodze, a on przeszedł i nawet na nią nie spojrzął. Powiedział tylko:

- Dobranoc, pani Yoder.

Następnego ranka, kiedy przegrzebywała świeżym kawałkiem drewna węgielki w piecu, drzwi od podwórka się otwarły i usłyszała, że stanął za nią.

Wyprostowała się, odwróciła z twarzą zarumienioną od ognia i zobaczyła, że przyniósł wiadro z blachy cynkowej pełne pianistego mleka.

- O, wydoił pan krowę! - wykrzyknęła. Zdumiała się, że umiał doić krowę. - I dał pan sobie radę jedną ręką.

- Tak, nie było to z pewnością łatwe. Ta brązowa łaciata usiłowała wciąż wypędzić ze mnie duszę... diabła.

Wzięła od niego wiadro, postawiła w zlewie. Pachniał sianem i rześkim porannym powietrzem.

- Ta brązowa łaciata to Annabell - poinformowała. - Ma naprawdę wrażliwe sutki. Wymaga delikatnych rąk. Ben mawiał, że trzeba ją ścisnąć słodko i wolno, jak mężczyzna zalecający się do strachliwej kobiety... - Odwróciła się z powrotem do pieca. Z wielkim hałasem usiłowała pogrzebaczem nasunąć fajerki.

- Będę musiał to sobie zapamiętać, jeśli mam się zajmować dojeniem, póki tu jestem - powiedział.

Obróciła się, żeby na niego popatrzeć. Czuła, że się uśmiecha. Pomyślała, że to pewno bardzo szeroki i głupi uśmiech, ale nie mogła nic na to poradzić.

- Jeszcze zrobię z pana lizacza jagniąt - zapowiedziała.

- W tym wypadku zajmuję postawę wyczekującą: poczekamy, zobaczymy. Poczekamy, aż się przekonam, co to, do diabła, takiego, a potem zobaczymy, czy wytrzyma mój żołądek.

Roześmiała się, stawiając patelnię na ogniu i przygotowując ciasto na naleśniki.

Wyrzał przez okno.

- Pomyślałem sobie, że może jest tu kapa albo coś w tym rodzaju, to mógłbym ją rozłożyć i położyć się na noc w stodole.

- Za szalasami jagniąt stoi wóz. Pasterski wóz. Może pan tam spać. Mój mąż zabierał go w góry, gdy na niego przypadła kolej pilnowania letniego wypasu. Jest tam łóżko, a nawet kuchenka do gotowania. Pasterski wóz będzie o wiele wygodniejszy od stodoły.

Zamruczał coś, co ona uznała za wyraz zadowolenia z faktu, że będzie mieć pasterski wóz do spania.

Zajęła się znów ciastem naleśnikowym, ubijając je drewnianą łyżką. „Wybiję z niego całe powietrze - pomyślała. - Naleśniki będą twarde jak kamienie”.

- Benjo na pewno będzie wdzięczny, gdy usłyszy, że wydoił pan za niego krowy. Leniuchowałby przez cały ranek w łóżku, gdybym mu na to pozwoliła. Zwłaszcza kiedy trzeba iść do szkoły.

Tym razem nawet nie mruknął w odpowiedzi.

- Tu jest świeżo zaparzona kawa - powiedziała.

Odwrócił się od okna, ale nie poszedł po dzbanek.

- Rozmawialiśmy wczoraj o kłopotcie, jaki czeka mnie na drodze - rzekł. - Zadbam o to, żeby pani i chłopca w ten

kłopot nie wciągnąć.

- Trzeba żyć tym, co życie przynosi, panie Kain. - Położyła trochę ciasta naleśnikowego na gorącą patelnię. - Zdarzają się złe rzeczy, jak powodzie i zarazy, i dobre rzeczy: rodzą się dzieci i każdej wiosny rozkwitają znów polne kwiaty. Nie jest w naszej mocy panowanie nad tym wszystkim. Możemy tylko oddać się w ręce Pana Boga.

- Madam, kiedy wreszcie przyjmie pani do wiadomości, że zupełnie nie obchodzę pani dobrego Boga? I nigdy nie obchodziłem.

- Och, na litość boską! - Wrzuciła łyżkę z powrotem do miski z takim impetem, aż ciasto wystrzyknęło na boki. Skierowała się w jego stronę. - Mówi pan zupełnie jak Benjo w sobotę rano, kiedy każe mu się wykapać, a on kwili jak biedny mały chłopaczek. I narzeka, że gdybym naprawdę go kochała, to nie byłabym dla niego taka niedobra...

Głowę odchylił do tyłu, jakby go spoliczkowano.

- Panie Kain...

- Zauważyłem, że zawias w pani stodole wymaga posmarowania mydłem - powiedział. Zerwał kapelusz z głowy, a potem nasadził go znowu. - Zabiorę się do tego.

Jego buty zastukały na gołych sosnowych deskach podłogi. Otworzył drzwi.

- Panie Kain! Lubi pan kołacz z melasowym nadzieniem?

Trzymał rękę na klamce, ale obrócił się, żeby na nią spojrzeć. Do kuchni wpadł prąd zimnego porannego powietrza, roznosząc intensywny zapach świeżego ciepłego mleka.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek go jadłem - powiedział.

- Robię kołacz w sobotę wieczorem dla Benja, jeśli zachowuje się jak greczny chłopiec i weźmie kąpiel.

Zapadła między nimi cisza. A potem zobaczyła, że fałdki wokół jego ust lekko się pogłębiły.

- Zmusza pani tego biednego chłopca, żeby się kąpał w k a z d a sobotę? Zmiłuj się. Panie, nic dziwnego, że powątpiewa w pani uczucia!

Benjo nie myślał o kąpielu, gdy szedł trochę później tego ranka przez sosnowo-modrzewiowy zagajnik na stokach Tobacco Reef. Wyobrażał sobie, że potrafi równie dobrze odczytywać ślady jak indiańscy wywiadowcy.

Przykucnął, żeby obejrzeć czarne łajno, które leżało rozrzucone niby kawałki węgla na sosnowym igliwiu. „Niedźwiedź niedawno przekroczył ten jeleni trop” - pomyślał. Popchnął palcem jeden z bobków. Był jeszcze świeży. Tak, na pewno szedł tędy niedźwiedź, i to niedawno, może nawet tego ranka.

Popatrzył w górę, mrużąc oczy przed promieniami słońca, które przenikały przez gałęzie sosen. Tu drzewa rosły gęsto, ale wyżej, na stoku, coraz rzadziej; nad nimi było mnóstwo jaskiń, gdzie niedźwiedź mógł przespać zimę. O tej porze roku niedźwiedzie wysuwały nosy z zimowych leży, żeby powąchać wiosny.

Z tyłu za nim trzasnęła jakaś gałązka.

Benjo się obrócił i palcami poszukał procy. Wytężając słuch, wpatrywał się w splątany gąszcz dereniowy.

Zawiał wiatr, poruszył liście krzewów i drzew, szeleszcząc, szepcząc, trzaskając.

Benjo odetchnął z ulgą. To tylko wiatr.

Wcale nie pragnął spotkać się z niedźwiedziem. Nie żywił złudzeń, że uda mu się z procy zabić grizzly albo choćby czarnego niedźwiedzia - tak jak zrobił Dawid z Goliatem. Wiedział też, że tak naprawdę to nie jest indiańskim wywiadowcą.

Szedł wolno po śladach, szukając dalszych tropów niedźwiedzia. Z przodu przed nim skakała wiewiórka, podrygując ogonem i wąsami, po czym zniknęła wśród drzew. Zauważył przewrócony pień porośnięty żółtym mchem, przysiadł więc na nim. Otworzył blaszane pudełko z jedzeniem i uśmiechnął się, widząc, że mama przygotowała mu ulubioną potrawę. Odgryzł porządny kęs wołowiny i placka ziemniaczanego i oblizał tłuszcz z palców. Trochę za wcześnie na jedzenie, ale żołądek z pewnością tym martwić się nie będzie.

„Zapewne mniej więcej teraz - pomyślał - Gibson Królicza Twarz otwiera ćwiczenia i matematyczne tablice i zacznie wypisywać na tablicy rzędy cyfr. Za chwilę jakiś biedny *Schussel* powpisuje na puste miejsca po wszystkich tych znakach równości odpowiednie wyniki albo dostanie linijkę po ręce”.

Benjo nie miał nic przeciwko rozwiązywaniu zadań na tablicy, jeśli tylko nie musiał otwierać ust, żeby je omawiać. Czytanie na głos i odpowiadanie na pytania w szkole były dla niego udręką. Inne dzieci się śmiały, gdy Królicza Twarz stała nad nim, czekała, czekała i czekała; kiedy słowa nie mogły mu wyjść z ust, Benjo dostawał po ręce linijką.

Królicza Twarz, choć taka podła, nigdy nie miała pretensji do bliźniaków McIverów. Benjo wiedział, że nienawiść, nawet skierowana do nieprzyjaciół, uważana jest za grzech, nie potrafił jednak pozbyć się tego uczucia wobec McIverów.

Grzechem pewno też było pozwalanie sobie na takie myśli, lecz on nie mógł nic na to poradzić i zastanawiał się, dlaczego Pan Bóg pokarał Miawa Valley takimi nikczemnymi osobnikami jak ci McIverowie. Wyglądali zupełnie tak samo, mieli płomiennoczerwone włosy, piegi, identyczne małe, świńskie oczka. A także duże sękaty pięści. Bliźniacy byli o dwa lata od niego starsi i trzy razy więksi. Benjo powątpiewał, że kiedykolwiek urośnie i będzie większy, gdy będą go tak okładali pięściami.

Nie miał pojęcia, czym sobie mógł zasłużyć na wrogość ze strony McIverów. Wyglądało na to, że irytował ich

sam fakt jego istnienia na tym świecie. Przez ostatnie trzy miesiące regularnie co piątek McIverowie porywali mu kapelusz i biegli z nim do ustępu. Tam grozili, że wrzucą go do dziury, jeśli nie będzie ich błagał i nie powie: „Nie, pięknie proszę”. Kiedyś nie mógł wypowiedzieć tych słów, bo język uwiązał mu w gardle. Innym razem uniósł się dumą i rzucił do bitki. Skończyło się na tym, że dostał manto, a kapelusz wylądował w dziurze. Musiał skłamać, żeby wytłumaczyć w domu, dlaczego nie ma kapelusza.

Ostatnim razem został przyłapany na kłamstwie i matka płakała, że syn popełnił grzech. Tego nienawidził najbardziej. Wolałby już, żeby spuściła mu lanie. Dlatego właśnie w ten piątek postanowił uniknąć takiej sytuacji i nie pójść w ogóle do szkoły.

Wyobrażał sobie, że McIverowie nie ośmieliliby się podnieść na niego ręki, gdyby żył ojciec, bo położyłyby temu kres. I nie musiałby też zawracać sobie głowy mówieniem „pięknie proszę”. Kiedyś, dwa lata temu, gdy mama wyszła ze sklepu obciążona prowiantami, jeden z pastuchów Huntera rozdarł jej ostrogą spódnicę. Tata rzucił się z pięściami na tego pastucha i zbił go na kwaśne jabłko, aż krew zalała mu twarz.

Potem diakon Weaver zmusił tatę, by podczas nabożeństwa na kolanach wyznał, że stracił panowanie nad sobą i uciekł się do przemocy. Benjo jednak pamiętał, iż w tę niedzielną noc rodzice rozmawiali przyciszonymi głosami, czego nie powinien był zapewne słyszeć, i ojciec powiedział, że mimo przyznania się do grzechu on i tak zrobiłby to znowu, bo takich zniewag mężczyzna znosić nie powinien.

Benjo wyobrażał sobie, że bliźniaki McIverów to właśnie takie dwie zniewagi.

Popatrzył na jelenie ślady i oczy mu się nagle zamgliły. Czasami, gdy wstrzymał dech i naprawdę się skupił, mógł niemal widzieć swego ojca. Oczyma duszy widział go pochylonego nad ziemią i pokazującego palcem niedźwiedzie łajno, słyszał, jak mówi: „Spójrz tu, Benjo. Ta niedźwiedzica pożywiała się borówkami”.

Benjo usiłował przelknąć łyzy, które zbierały mu się w gardle. To tak bardzo bolało, gdy pomyślał, że ojciec odszedł na zawsze. Czasami wszystko mu przypominało tatę, nawet własne imię. Nazywał się naprawdę Joseph, ale ponieważ wśród prostaczków było trzech innych chłopców o imieniu Joe, najpierw mówiono o nim Benowy Joe, a potem skrócono to do Benjo.

Chociaż Bóg powołał do siebie Benamina Yodera, mama mówiła, że on wciąż jest Benowym Joe. I zawsze będzie.

Inaczej niż ten innowierca, który był niczym synem. Tak powiedział wczoraj na podwórku przy wrotach na wygon, gdy Benjo zapytał go o ojca. Powiedział: „Jestem niczym synem”. Benjo wiedział jednak, że po to, żeby się urodzić, trzeba mieć jakiegoś ojca. I kiedy to powiedział innowiercy, ten się zaśmiał. A potem rzekł, że jego ojcem był pewno jakiś biedny, głupi sukinsyn, który przejeżdżał przez wschodni Teksas i któremu przynajmniej raz udało się pozostawić po sobie coś więcej niż pył na drodze.

Wczoraj wieczorem Benjo miał ochotę poprosić innowiercę, żeby poszedł z nim dziś rano do szkoły. Wyobrażał sobie, że wystarczy, żeby ten pokazał się tam ze swoim koltem, a wszystkie kłopoty się skończą. Nie poprosił go jednak o tę przysługę i teraz ukrywał się w lesie, zamiast jak mężczyzna stawić czoło zniewagom. Tak jak postąpiłby jego ojciec.

Wystarczyło jednak pomyśleć o tym, co działo się koło ustępu, o tym, jak z nim postępowano, i strach ścisnął go za gardło. A zaraz potem pojawiał się pałacy wstyd. Pałacy jak łyzy piekące teraz oczy.

Walnął się pięścią w udo. N i e p ł a c z, B e n j o Y o d e r z e. N i e w o l n o c i p ł a k a ć.

Matka mówiła kiedyś, że strach i smutek potrafi gromadzić się w człowieku i nie pozostaje nic innego jak wypłakać je z siebie. Tyle że matka jest kobietą, jej więc płacz przystoi. Mężczyźni, jak jego ojciec, nie płaczą.

Znów zaszeleściły dereniowe krzaki. Benjo spojrzał w tamtą stronę, mrugając powiekami, by zwalczyć łyzy.

Tym razem jednak wiatru nie było.

Zesztywniał, gdy rozległ się następny szelest, a potem niski jękliwy skowyt. Nie przypominał głosu niedźwiedzia, raczej zranionego psa.

Wyjął procę i pogrzebał w ziemi w poszukiwaniu kamyka. Porzucił ślady, ostrożnie przedarł się przez gęstwinę drzew i krzaków i znalazł się na polance wśród kostrzewy, zarośniętej ostami i tojadem. Skomlenie stawało się coraz głośniejsze i od czasu do czasu przechodziło w ponure wycie. Na końcu polanki ujrzał zarwany brzeg jakby jakiejś dużej jamy. Skowyt dolatywał stamtąd.

Zbliżał się wolno. Ciężkie buciory chrzęściły na wyschłej po zimie trawie. Skowyt zamienił się w niegłośne wycie. Zajrzał przez zarwany brzeg do jamy.

Pysk pełen wyszczerzonych zębów skoczył ku jego twarzy. Benjo wykrzyknął i upadł na siedzenie.

Siedział przez chwilę z bijącym sercem, oddychając chrapliwie. Nie widział dobrze tego zwierzęcia, ale wydawało mu się, że może to być kojot.

Podszedł znów do skraju jamy. Czuł, jak wali mu serce. W ustach miał słonogorzki smak, smak strachu, jak wiedział, bo już go znał. Zmusił się do zajrzenia do jamy. Tym razem kojot nie skoczył ku niemu, tylko groźnie warczał.

Ziemia, liście, sosnowe igliwie sypały się z brzegu jamy na kojota i na leżący obok niego spróchniały pień. Jama miała co najmniej dwa i pół metra głębokości. „Zbyt głęboko - pomyślał Benjo z ulgą - i zbyt stromo, żeby kojot mógł się z niej wygrzebać, nawet gdyby nic sobie nie zrobił”. Jedną z łap miał jednak zabawnie wykręconą, a

brązowoszarą sierść na boku mokrą i ciemną od krwi z głębokiej rany.

Była to samica i chyba będzie miała małe. Spoglądała w górę na Benja. Jej żółte oczy lśniły groźnie, spoza czarnych warg sterczały ostre kły, ogon zesztyniał i sierść na białym podgardlu zjeżyła się ze strachu i złości.

„Jama ta - pomyślał Benjo - jest pewnie dawną pułapką, jeszcze z czasów, gdy w tych lasach polowały Czarne Stopy. Kojocica musiała mieć złamaną łapę i bok rozcięty palem, który ustawiano tak, by huknął w zwierzę, gdy nań nadejście.

Dobrze, że mamy jednego kojota z głowy - pomyślał dalej Benjo. - Kojoty zabijają owce. W lecie uczą swoje młode, jak polować na jagnięta, a ta samica będzie mieć cały miot szczeniaków do nauki. Miałyby młode, gdyby nie...” Kojocica i chłopiec dłuższy czas wpatrywali się w siebie; ona groźnie warczała, a on chrapliwie oddychał. Potem kojocica położyła duże spiczaste uszy na łbie i kłapnęła pyskiem z bólu. Odwróciła łeb, usiłując lizać ranę na boku.

Benjo przykucnął. Cierpienie kojocicy napawało go smutkiem i przyprawiało o lekkie mdłości. Czekają ją zła śmierć tam na dole, w tej pułapce. Jeśli wcześniej nie zaatakuje jej puma. Albo niedźwiedź.

Podniósł się i pobiegł z powrotem na obrośnięty mchem pień, gdzie zostawił pudełko z jedzeniem. Rzucił kojocicy resztki swojego przysmaku, a ta, skowycząc, łapczywie je pożarła. Ustrzelił z procy parę wiewiórek i też jej rzucił. Będzie musiał wymyślić, jak później po kryjomu przynieść tu sznur i wiadro wody, żeby je na nim opuścić do jamy.

Uświadomił sobie, że w ten sposób zapewne tylko przedłuży agonię samicy. Jeśli nie zdechnie z głodu albo nie dopadnie jej jakiś dziki zwierz, nigdy nie zdoła wydostać się z pułapki, nawet jeśli złamana łapa się zrośnie.

To śmieszne, ale pomyślał, że gdyby był z nim ojciec, poszedłby pewnie po starą strzelbę, którą trzymał schowaną w stodole, i zastrzelił kojocicę. Choćby dlatego, by pozbyć się z doliny kolejnego zabójcy owiec. A mama nie. Mama chciałaby ją karmić i dawać wodę, tak jak on. Martwiłaby się o jej szczeniaki, zupełnie jak on.

Otarł twarz rękawem kapoty i potrząsnął głową. Judaszu! Przed chwilą o mało nie beczał, a teraz martwi się o jakiegoś głupiego kojota. Bał się McIverów i bał się linijki Króliczej Twarzy. Bał się nawet niedźwiedzia, który pewno istniał jedynie w jego głowie.

Był gorszy niż jakaś przebrzydła dziewczucha.

Pójdzie do stodoły, weźmie strzelbę i zastrzeli kojocicę - tak właśnie zrobi. Będzie to miłosierny uczynek - powiedział sobie. Męski czyn.

Ruszył biegiem w stronę domu, przytrzymując kapelusz na głowie. Wypadł z sosnowego zagajnika i zbiegł do doliny, buty same zjeżdżały na stromym stoku. W zacięzionych miejscach wciąż utrzymywały się płaty śniegu, błoto bryzgało na jego buty.

Nie zauważył dwóch mężczyzn na komach, póki nie wpadł prosto na nich. Zatrzymał się, kolana się pod nim ugięły, żołądek podszedł do gardła i serce dziko waliło w piersiach.

Koń biegnący na przedzie, gniady wałach, spłoszył się. Jeździec zaklął pod nosem i ściągnął cugle. Benjo zobaczył, że to młody człowiek, niewiele starszy od Mose'a; miał jastrzębią, chudą twarz i orli nos. Drugi jeździec szturchnął swojego konia i pognął go kilka kroków do przodu. Zsunął kapelusz na tył głowy, ukazując pociągłą twarz o zmęczonych oczach i capią brodę. W ustach trzymał gruby wałek tytoniu do żucia.

Krzyk uwiązał Benjowi w gardle.

To był dozorca bydła pana Huntera. Człowiek, który powiesił jego ojca.

Chłopiec patrzył szeroko otwartymi, suchymi oczami, a oddech świszcział mu w gardle; zobaczył, że ten człowiek zdejmując z siodła zwój sznura uplecionego z rzemyków.

- No i co my tu mamy - powiedział. Strzyknął tytoniowym sokiem na buty Benja. - Niech mnie kule biją, jeśli nie chwyciliśmy złodzieja bydła.

IX

Quinten Hunter chwycił tego człowieka za ramię, wpijając palce w zamszą bluzę z frędzlami, śliską od starego potu i tłuszczu.

- Odwieś to, Wharton. - Zmrużył oczy i głos zrobił mu się przymilny i smolisty jak nafta. Nauczył się takiej metody zastraszania od ojca. - Odwieś ten sznur!

Przez chwilę ramię pod palcami Quintena znieruchomiało, a blade oczy mężczyzny błysnęły dziko. Potem Woodrow Wharton zamrugał, uśmiechnął się i powiesił sznur z powrotem przy siodle.

Gniady wałach Quintena tańczył na boki, tylnymi kopytami ślizgał się w błocie, strzygł uszami i podrzucał łbem w stronę rzędu sosen i modrzewi rosnących na stokach wąwozu. Quinten się zastanawiał, czy chłopiec jest sam.

Chłopiec był wyraźnie przerażony. Quinten słyszał, jak oddech rzezi mu w gardle. Dzieciak był chudy jak kij od szczotki i stał tak naprężony, że mocny wiatr chyba go złamał. Miał na sobie staromodny strój noszony przez prostaczków, którzy hodowali owce na północnym krańcu doliny.

- Hej, chłopcze, co ty tu robisz tak daleko od domu?

Chłopiec otworzył usta. Otworzył je tak szeroko, jakby miał krzyczeć, ale z ust zamiast głosu wydobyło się jakieś dziwne siorbanie.

Woodrow Wharton strzyknął tytoniowym sokiem na trawę i uśmiechnął się. „To wilczy uśmiech - pomyślał

Quinten. - Tylko błysniecie zębami”.

- Śmiało, powieśmy go, Quin. Pobawimy się w założenie krawacika.

Walach Quintena znów tańczył na boki, pobrzękując łańcuchami wędzidła. Quinten popatrzył na sosny. Słyszał tylko szum wiatru i chrapliwy oddech chłopca. Mięśnie szyi i szczęk pracowały mu z wysiłkiem niczym kowalski miech.

- Wiesz, że jesteś na terenie Kręgu H, chłopcze?

Chłopak zacisnął pięści z tyłu, jakby musiał się na coś przygotować.

- Me! - wykrzyknął z taką mocą, że aż ślina strzyknęła w powietrze, jak zauważył Quinten. - Me... me... me...

- On myśli, że jest baranem - odezwał się Wharton. Oczy nabierały mu znowu szalonego wyrazu. - Jesteś baranem, chłopcze? Be! Be!

- Me... mój przyjaciel... o... o... on was położy trupem!

Chłopiec gwałtownie się obrócił i rzucił do ucieczki. Na czworakach wdrapywał się po urwisku w stronę sosnowego zagajnika. Biegł niezdarnie, z rozwianą kapotą; chude ręce rozłożył na boki.

Quinten zajechał drogę koniowi Whartona i pochyliwszy się, chwycił za wędzidło, żeby powstrzymać go od pościgu za chłopcem.

Wharton spojrział na niego z tym dzikim uśmiechem na ustach.

- Postrasż go, Quin. Ja zamierzałem go tylko postraszyć.

Quinten popatrzył na drzewa, wśród których zniknął chłopak. Potrząsnął głową.

- Przestraszyłeś go. Niemal na śmierć.

Wharton wytarł z capiej brody mokre plamy po tytoniu.

- Zawsze wiedziałem, że dzięki indiańskiej krwi ma się czerwoną skórę, ale nie wiedziałem, że również pitra w środku.

Wbił ostrogi w brzuch konia, obrócił go gwałtownie i pognął z powrotem wężozem w gejzerach błota i zmacerowanej trawy.

Quinten patrzył za nim zaszępiiony. To nie była obelga; skórę mógł mieć czerwoną, ale z latami stawała się coraz grubsza. Niepokoił go raczej sam Woodrow Wharton i ta straszna nieprzewidywalność, którą dojrzał w jego plugawych oczach. Widywał zwierzęta o takich oczach, zwierzęta, których nie można obłaskawić, lecz nigdy przedtem nie widział ich u człowieka.

Zastanawiał się, co skłoniło Barona do sprowadzenia do Kręgu H kogoś takiego jak Woodrow Wharton. Żaden prawdziwy pomocnik na ranchu nie wystroiłby się w stylu Dzikiego Zachodu, jak ci faceci ze srebrnymi muszelkami i wysokimi butami za pięćdziesiąt dolarów, tak ciasnymi, że stopa zaczynała się w nich związać na kształt baranich rogów. Żaden prawdziwy pomocnik na ranchu nie nosiłby pary koltów z kolbami wykładanymi macicą perłową, przystosowanych do szybkiego wyciągania.

Quinten czuł, że zaciska szczęki. W ciągu tych miesięcy, kiedy go tu nie było, ojciec najął kowboja, który chyba wcale nie znał się na bydle. Pomocnika lepiej umiejącego operować rewolwerem niż żelazem do wypalania piętna.

- Postrzelony głupiec! - zaklął na głos Quinten, po czym pokiwał głową nad samym sobą. Nie minął nawet dzień od powrotu do domu i już pozwolił ojcu, żeby dawał mu wycisk, jak podle zrobione siodło.

Quinten przejeżdżał przez zagajnik sosnowy w wężozie. Jeśli z chłopcem był jeszcze ktoś i ukrywał się wśród tych drzew, to obaj już dawno stąd zniknęli. Wspiął się konno po zboczu. Koń przedzierał się przez las, mężczyzna musiał więc pochylać się pod nisko zwisającymi gałęziami sosen, żeby nie stracić kapelusza. Od czasu do czasu od zwałów starego śniegu wiało na niego zimnym podmuchem.

Wyjechał na skraj lasu. Droga usiana tu była łupkami i kamieniami sterczącymi z czerwonej ziemi. Co za dzika kraina! Popatrzył w górę, mrużąc oczy przed blaskiem słońca. Niebo było takie szerokie, puste i błękitne, że aż oczy bolały.

Zatrzymał się na szczycie wysokiego urwiska. Tu wiatr wiał mocno, toteż Quinten musiał zawiązać troczki, żeby kapelusz trzymał się na głowie. „Wiatr przynosi ze sobą ciszę - pomyślał - aż zaczynasz się zastanawiać, czy to, co słyszysz, to wiatr, czy bicie serca”.

Staął w strzemionach, prostując całe ciało i umysł.

Boże, jak d o b r z e być w domu!

Czasem mu się wydawało, że w tym wielkim niebie, rozległym, niezmiernym, w tych poszarpanych górach i otwartej szeroko prerii wyczuwa własną krew i oddech. Uczucie to było tak mocne, że aż bolało - słodko, melancholijnie.

Przez blisko dwa lata usiłował przypodobać się ojcu i pobierał nauki w szkole w Chicago. W zimie całymi dniami przesiadywał w murach, ślęcząc nad książkami, w lecie harował w upale i smrodzie rzeźnych klatek dla bydła. Pomyślał o Chicago, o jego zasmolonych szczytach budynków, które zasłaniają niebo i słońce, o wywalających się z wysokich kominów dymach i o powietrzu zawsze gęstym od smrodu krwi z rzeźni. Według niego miasto to niewiele różniło się od piekła, jeśli chodzi o przysparzanie ludziom niedoli.

Ostatecznie jednak odkrył jedną ważną rzecz w owym okręgu, który zaczął nazywać swoim wygnaniem. Miał dopiero dziewiętnaście lat, a już wiedział, czego chce na resztę życia.

Pragnął, żeby to życie toczyło się tutaj, w Kręgu H. Pragnął budzić się co rano i widzieć góry podpierające bezkresne niebo. Pragnął przemierzać wielkie połacie prairii i nie natykać się na żadną żywą istotę, może tylko na zająca albo cietrzewia, i widzieć przed sobą na gęstej trawie bizonów poruszający się własny cień. Pragnął hodować bydło i konie i mieć rodzinę na tej ziemi, gdzie można jeździć konno, oddychać i czuć, że się żyje.

U szczytu urwiska, gdzie przystanął, na skrzydłach wiatru szybował jastrząb. Nagle się przechylił i jak strzała poleciał prosto w niebo głębokie i puste. Quinten niemal siebie przekonał, że widzi stąd, z góry, Miałę taką, jaka kiedyś była, zanim ją zdobyto i obłaskawiono. Wtedy gdy nie istniały miasta, lecz jedynie piołun i wiatr. Gdy ta wysokogórska dolina roiała się od bizonów, a plemię jego matki polowało w lasach, łowiło ryby w strumieniach i mieszkało w wigwamach, które nie zostawiały śladów na tej krainie prócz białego kręgu gołej ziemi w wysokich trawach.

Teraz plemię jego matki mieszka w rezerwacie i za rządowe papiery kupuje jedzenie w sklepie z towarami mieszanymi. A jedynymi śladami po bizonach są kości rozrzucone między skałami, wśród piołunów i szarłatów.

Jego ojciec, który urodził się w pobliżu kopalni węgla w Glasgow, przytoczył mu kiedyś szkockie epitafium, które brzmiało tak: „Tu spoczywa wszystko to z niego, co umrze”. Quinten nieczęsto myślał o umieraniu; był za młody, by zbytnio się martwić nieuchronnością śmierci. Lecz to epitafium rozumiał. Pragnął, żeby serce i wnętrze, i duch - to, co było Quintenem Hunterem, żyło wiecznie na tej ziemi.

Quinten Hunter osadził galopującego konia przy bramie rancza.

„Być może nie jest to najładniejsze miejsce na ziemi” - pomyślał. Tablica z nazwą nad jego głową podziobana była kulami. Topole rosnące wzdłuż drogi drżały nagie na wietrze. Trawa była szara, zagrody dla bydła pełne błota, a wiatrakowi brakowało skrzydła. Za to widok wielkiego białego domu, ze szczytami, mansardowymi oknami i balkonami z imponującymi tralkowymi balustradami nadal wywoływał na jego usta uśmiech.

Dobrze być w domu.

Wytań do sucha jutowym workiem spienionego konia i dał mu dodatkową porcję owsa. W drodze do domu przechodził obok kilku pastuchów, którzy rzucali monetą na ganku noclegowni. Pozdrowił tych, których znał, a tym, których nie znał, skinął głową.

Zatrzymał się na balkonie i przysiadł na bujaku z giętej wierzby, żeby odpiąć ostrogi i nie zostawić śladów na parkiecie podłogi. Na żelaznym drapak przy drzwiach oskrobał podeszwy z błota i mierzwy ze stajni.

Wszedłszy do środka, przystanął znów w holu przed wieszakiem z rogów jelenich, żeby powiesić na nim kapelusz. Przyglądał długie do ramion, czarne włosy i bandaną wytań z twarzy wiosenne blokco.

Z zimowego salonu doleciały do jego uszu odgłosy rozmowy dwóch osób. A raczej słyszał, że ojciec krzyczy głosem zachrypniętym od tysięcy wypalonych cygar, a jego żona odpowiada mu szeptem.

- Zbudowałem tę farmę, kiedy nie było tu nic prócz Indian i kojotów. Jesteś głupia, jeśli myślisz, że pogodzę się z jej Końcem.

Żona jego ojca coś odpowiedziała, ale zbyt cicho, by Quinten mógł usłyszeć.

- Zawarliśmy układ, ty i ja, i przez czternaście nieszczęsnych lat ja go dotrzymywałem. A zatem i ty go dotrzyj, ty uparta suko, bo na Boga ja...! - krzyknął ojciec ze szkocką chrapliwą intonacją.

Musiał ugryźć się w język, bo Quinten więcej nic już nie usłyszał. A jednak czekał, wstrzymując dech. Wiedział, że układ, o którym mówił ojciec, miał jakiś związek z nim, z tym okresem, kiedy sprowadzono go jako pięcioletniego chłopca na ranczo po śmierci matki. Dla osoby o takim pochodzeniu i wychowaniu jak Ailsa Hunter zgoda na wzięcie na wychowanie mieszańca, syna squaw jej męża, musiała być piekielnie ciężką sprawą. Diabelski układ.

Quinten się wzdrygnął, gdy w drzwiach salonu nagle pojawił się ojciec. Stał na szeroko rozstawionych nogach, z kciukami zatkniętymi w kieszeniach na piersi. Gniew zaostrzył jeszcze rysy jego oblicza.

Twarz Barona składała się prawie z samych ostrzy: nos przypominał nóż myśliwski, szczeka miała kształt topora, jakby używał jej do wyrąbywania sobie drogi przez życie, wąskie usta wyginały się do dołu niczym sierp. Nogi miał trochę krzywe po latach jazdy na koniu. Skóra na twarzy i rękach wysmagana była montańskimi wiatrami i wygarbowana potem przy ciężkiej harówce na ranczu. Nad szerokim płaskim czołem sterczała gęsta biała czupryna.

Jak zwykle spotkanie z żoną wprawiło Barona w irytację. Jego czarne i surowe oczy spoglądały teraz na syna w taki sposób, jakby oceniały strzelbę.

- Gdzie, do diabła, byłeś?

- Na przejażdżce.

- Miałem uwierzyć, że zamierzasz zabrać się do ujeżdżania dzikich mustangów na wiosenne spędy bydła. Teraz mówisz mi, że spędzasz czas na „przejażdżce” - powiedział z nutą szyderstwa w głosie, kładąc nacisk na ostatnie słowo. - Jesteś leniwym łapserdakiem, chłopcze, i gdybyś nie był członkiem mojej rodziny, wyrzuciłbym cię na zbity pysk.

- Kiedyż to ten szczegół dawniej cię powstrzymywał? - spytał Quinten z ironicznym uśmiechem.

Baron wyrzucał go z Kręgu H kilka razy w ciągu tych lat, ale potem znów sprowadzał. A Quinten pozwalał się

sprowadzać ze względu na ranczo, które kochał całym sercem i duszą. I ze względu na tę kobietę, żonę jego ojca, słuchającą w drugim pokoju.

Musiał szarpnąć głowę do tyłu, bo twardy palec ojca dziobnął go w twarz.

- Jeśli myślisz, że skoro ci uszło na sucho porzucenie szkoły, to będę też tolerował twój powrót między na pół dzikich Indian, mieszkanie w rezerwacie wraz z plemieniem twojej matki, wysiadanie przed cholernym wigwamem, noszenie przepaski na biodrach i popijanie ognistej wody niczym jakiś nic niewarty mieszaniec...

- Nie n i c z y m mieszaniec. Baronie, bo ja jestem mieszańcem.

- Jesteś moim synem. I do diaska, zostaniesz tu, na ranczu, i będziesz pracować na swoje cholerne utrzymanie, a od jutra zabierzesz się do tych mustangów! Może porządne stłuczenie sobie tyłka wbije ci do tępej głowy trochę rozumu.

- Tak jest - powiedział Quinten. Lecz mówił już do pleców odchodzącego ojca.

Z salonu nie dochodził żaden dźwięk, ale wiedział, że ona słyszała. I że teraz będzie na niego czekać. Chciał przejść przez sieni i wstąpić do kuchni, żeby się umyć, bo tak właśnie zamierzał postąpić. Dostałaby nauczkę, gdyby zrobił to, czego się po nim nie spodziewała... wiedział jednak, że nie zdałoby się to na nic. Mógł do niej pójść albo odejść, a jej to i tak nic nie obchodziło.

Poszedł do niej, nie mógł się bowiem powstrzymać.

Przystanął w drzwiach, pozwalając, by napłynęły i owładnęły nim dawne uczucia, tęsknota i dzikie pragnienie, które chwytają za serce, kiedy tylko na nią spojrzal.

Salon pachniał olejkiem cytrynowym, którym nacierano lśniącą boazerię z drewna atlasowego. Ściany obciążone bladozieloną jedwabną tkaniną w prążki harmonizowały z soczystą zielenią aksamitnych zasłon, a także kremowym atlasem sofy i tapicerki krzesel. W pozłacanym wazonie na gzymsie nad kominkiem stały ułożone w kształcie białej chmury suche kwiaty. Salon był elegancki, piękny i zimny, i znakomicie pasował do znajdującej się w nim kobiety.

Włosy miała kruczoczarne, cerę bladą, mlecznobiałą, oczy fioletowe. Nie ciemnoniebieskie, lecz ciemnofioletowe jak cieplarniane fiołki.

Elegancka, piękna i zimna.

Ailsa z domu MacTier była dziesiątą córką właściciela ziemskiego ze szkockiej niziny. Rodzina mogła być biedna jak mysz kościelna, niemniej zaliczała się do szlachty. Szlachty, której rodowód sięgał wielu stuleci wstecz i w której dziedzictwo krwi było tak kultywowane i krusze jak stary kryształ. Dla Quintena pozostawało zagadką, co mogło Ailsę ściągnąć do tej dzikiej, prymitywnej krainy i skłonić do poślubienia syna górnik. Uważał, że pewno i dla niej to pozostaje do dziś zagadką.

Czyściła właśnie mleczne żarówki z mosiężnego żyrandola. Rękawy jej szarej jedwabnej sukni osłaniały białe, lniane, nawlekane rękawy, na których nie widać było ani śladu kopcza czy brudu. Nawet wykonując te jakże zwyczajne czynności, ruchy miała płynne i pełne gracji jak księżniczka na balu.

Często zastawał ją przy jakiejś pracy, bo była przecież żoną ranczera. A jednak przez wszystkie lata spędzone w tym domu Quinten nie pamiętał, żeby kiedykolwiek widział pot na jej twarzy albo choćby kosmyk włosów wymykający się z ciasno spiętego koka. Nie słyszał nigdy, żeby krzyczała. Jeśli się złościła, to złość tę ukrywała tak głęboko, że nigdy się z nią nie zdradziła. Nie słyszał jej śmiechu. Rzadko widywał jej uśmiech, ale nigdy nie był skierowany do niego.

A jednak czasem myślał, że jedyną rzeczą, za którą naprawdę tęsknił w życiu, było coś tak prostego jak dotyk jej ręki na jego włosach.

Wiedziała o jego obecności, wiedziała, że przyszedł do salonu, bo chciał być z nią. Nie dała jednak znaku. Pomyślał, że mógłby tu stać, aż zamieniłby się w słup soli, a ona tylko by go obeszła w drodze do drzwi.

Podszedł do niej bezszelestnie, ponieważ odgłos kroków tłumił gruby turecki dywan. Uświadomił sobie nagle, że musi cuchnąć błotem i końskim potem.

- Proszę mi pozwolić sobie pomóc, pani Hunter - powiedział. Zawsze zwracał się do niej tak oficjalnie, od pierwszego dnia pobytu na ranczu, a ona nie poprosiła, żeby nazywał ją jakoś inaczej.

- Dziękuję, Quinten. - Głos miała jedwabisty i zimny jak zmrożony śnieg.

Kiedy brał z jej rąk wyczyszczoną już żarówkę, rękawy sukni cicho zaszeleściły i owionął go zapach wody lawendowej. Wszedł na drabinę i zaczął wkręcać żarówkę do żyrandola. Ona stała na dole i patrzyła w górę we właściwy sobie sposób, jakby w ogóle go nie widząc.

Stary zegar cicho wydzwaniał godzinę. Serwetka z frędzelkami na gzymsie kominka poruszyła się. Obrócił głowę i popatrzył na odbijające się w pozłacanym lustrze ich sylwetki.

Uderzyło go, że mają tak samo kruczoczarne włosy i delikatną budowę ciała. Dwa lata przeżyte w mieście wybieliły mu trochę skórę; ubraniem nie różnił się od innych mężczyzn na ranczu.

„Gdyby w tej chwili do salonu wszedł ktoś obcy - pomyślał Quinten - to łatwo mógłby ich wziąć za matkę i syna”.

- Wydaje mi się - powiedział ojciec - że minimalną część czasu spędzałeś tam na nauce, a - większość na

zabawach z dziewczętami, zachowując się jak pożądlivy samiec w zamtuzie. Jeśli otwierasz usta, żeby skłamać, to możesz je już zamknąć.

Quinten nie otwierał ust w żadnym celu - najwyżej po to, by włożyć do nich ostatnią partię chipsów. Chrupiące płatki smażonych kartofli były jedną z rzeczy, które lubił najbardziej, choć nikomu o tym nie mówił. Gdyby tak uczynił, wiedział, że na pewno nigdy więcej nie zobaczyłby ich na stole Ailsy Hunter. Omiótł wzrokiem długi blat przykryty świeżym koronkowym obrusem. Żona ojca podniosła do bladych ust kryształową szklaneczkę napełnioną whisky, a jej fiołkowe oczy wpatrywały się w czerwoną tapetę nad głową męża. Obaj jednak wiedzieli, że słucha.

Wrócił wzrokiem do ojca i posłał mu szczerzy uśmiech.

- Dlaczego mężczyzna miałby kłamać, kiedy może się pochwalić, tato? Skoro tylko panie z wielkiego miasta ze swoimi snobistycznymi fochami odkryją, że jestem częściowo dziki, to zaraz wpadają w podniecenie i pragną odkryć tę s z c z e g ó l n i e dziką cześć mego ciała, która staje pod przepaską na biodrach.

Ojciec się zaśmiał, wypinając pierś, jakby „zabawy z dziewczętami” syna demonstrowały jego własną seksualną dziarskość. Co nie znaczy, że ten niemłody już człowiek potrzebował światła latarni morskiej, żeby pod tym względem zwrócić na siebie uwagę. Do diaska, nie musiał nawet zapalać zapalki. Baron składał dżentelmeńskie wizyty dziewczętom z „Czerwonego Domu” w każdą sobotę wieczorem - słota nie słota.

Quinten ku swojemu zdumieniu poczuł nagle, że żona ojca go obserwuje. Nie tylko słucha, lecz także obserwuje. Kiedy obrócił głowę i spojrzął na koniec stołu i w jej ciemnofiołkowe oczy, wydało mu się, że widzi w nich jakiś błysk - rozbawienia czy wzgardy. Z przykrością uświadomił sobie, że jest wdzięczny za jedno i za drugie.

„A w ogóle - pomyślał - ta rozmowa nadawałaby się bardziej do noclegowni niż do pokoju stołowego, zwłaszcza takiego, w którym przebywa dama. Tylko że obecność tej damy była głównym powodem do prowadzenia takiej właśnie rozmowy”.

Baron siedział u szczytu stołu w perłowszarych spodniach, czarnym surducie i szarym jedwabnym fontaziu spiętym rubinową szpilką. Na płaskim brzuchu wisiał łańcuszek od zegarka z półtuzinem złotych pieczęci.

Po drugiej stronie stołu siedziała Ailsa Hunter w czarnej taftowej sukni i koronkowym szalu przetykanym dżetami, które połyskiwały w świetle dwu kryształowych świeczników. W uszach miała perłowe kolczyki, a na szyi sznur pereł.

„Równie dobrze mogli być małżeńską parą z chicagowskiej socjety i cieszyć się wspólnym cichym wieczorem spędzonym w jednej z tych eleganckich rezydencji, które zbudowano na brzegu jeziora w tym mieście - pomyślał Quinten. - Gdyby nie czerwonoskóry bękart tego mężczyzny i Wharton z Dzikiego Zachodu, najemny rewolwerowiec, którzy też byli tu obecni”.

Podczas jedzenia rewolwerowiec położył wałek wilgotnego tytoniu do zucia na brzegu cienkiego porcelanowego talerza ze złotym szlaczkiem, a teraz wsadził go do ust i energicznie żuł.

Quinten znów spojrzął na żonę swojego ojca. Siedziała jak zawsze wyprostowana, niczym szpilka od kapelusza. Wiedział, że patrzy na Woodrowa Whartona jak na mierzwę wyskrobaną z końskiego kopyta, ale wiedział też, że nigdy nie zakwestionuje powodów, dla których jej mąż zaprasza tego człowieka do ich stołu, podobnie jak nie będzie krytykować wybranych przez niego tematów do rozmowy. Powiedzenie czegokolwiek byłoby przyznaniem się do porażki.

Czerwonoskóre bękarty, Whartonowie z Dzikiego Zachodu i rozmowy o ulicznych - to były po prostu salwy, które wystrzeliwał Baron w swojej codziennej wojnie z żoną.

Do myśli Quintena przeniknął karmiony tytoniem głos ojca.

- Teraz, kiedy jesteś w domu, Quin, możesz mi pomóc oczyścić tę dolinę z tych przeklętych świętowiejów, oganiających się Biblią baranich pastuchów. Chryste, kto by pomyślał, że oni będą tutaj się trzymać jak cholerne rzepy derki przez długie dziesięć lat!

Baron wyjął ze srebrnej szkatułki grube cygaro i zapalał je od świecznika.

- Pytam się - kontynuował, gdy cygaro już się paliło - co za ludzie chodzą do kościoła w stodole?

- Syn Boży narodził się w stajni.

Quinten wylał na kamizelkę dużą część whisky, którą niósł do ust. Spojrzął na żonę ojca, ale ona zajęta była kontemplowaniem tapety. Mogła zrobić coś takiego: milczeć przez wiele godzin, a potem nagle powiedzieć coś, co człowieka zaskoczy.

Pod wieloma względami była znacznie zręczniejsza w prowadzeniu wojny od ojca.

Zabierała go czasami do kościoła - przypominał sobie nagle Quinten - gdy pojawił się wędrowny kaznodzieja na objeździe. Chodził, żeby sprawić jej przyjemność. Chodził nawet potem, gdy już zrozumiał, że niczym nie może jej sprawić przyjemności ani nieprzyjemności.

Kościół w Miawa City to była właściwie drewniana szopa z blaszanym dachem, który łomotał na stałym wietrze. W czasie nabożeństw pachniało tam pewno nie lepiej niż w stodołach, w których odprawiali swoje modły prostaczkowie. Quinten się zastanawiał, czy ona wciąż chodzi do kościoła w niedziele, czy wiara jej jest aż tak silna. Zdziwiła go myśl, że wierzy w cokolwiek poza sobą.

Baron patrzył przez stół na żonę. Pykał tak zawzięcie cygaro, że popiół spadł mu na surdut, zostawiając na

czarnym materiale szarą smugę.

- Guzik mnie to obchodzi, nawet gdyby urodzili się na słomie i mierzwie tuż obok Dzieciątka Jezus. Oni sobie wyobrażają, że mogą przyjść na gotowe do tej doliny i żyć z potu tych, którzy przybyli tu wcześniej. Trzeba było mieć odwagę i siłę, żeby zrobić z Miawy to, czym jest dzisiaj. Odwagę i siłę. Nie tak jak mężczyźni, których znałaś w starym kraju, czyż nie, Ailso? Zniewieściali paniczki o białych rękach i pozłacanych tytułach, oni nie zdołaliby zrobić z tego rancza tego, co zrobiłem ja. - Machnął ręką, w której trzymał cygaro, kreśląc w powietrzu znaki z dymu. - Wywalczyć to wszystko z niczego.

- Mężczyźni, o których mówisz, Fergus, nie odczuwali nigdy potrzeby w y w a l c z a n i a czegośkolwiek.

Mimo wytwornej jedwabistości głosu udało jej się nadać temu słowu takie znaczenie, jakie miało, gdy się nim posługiwano, by opisać parę pijaków walczących w błocie przed barem. Quinten widział, że dotknęło to ojca.

Baron patrzył na żonę z nieprzyjemnym błyskiem w czarnych oczach. Potem na szerokich, ładnie wykrojonych ustach pojawił się nagle olśniewający uśmiech.

- Nie ustępowałem przed niczym, nawet przed twoim językiem, moja droga Ailso. I nie zacznę teraz ustępować przed gromadą bigoteryjnych baranich pastuchów.

Ailsa wolno uniosła do ust szklaneczkę z whisky. Twarz miała spokojną i tak zimną jak padający śnieg. Mroźne milczenie promieniowało od niej na całą jadalnię. Quintenowi się wydawało, że nawet światło świec w kryształowych świecznikach zaczęło mrzeć i ciemnieć.

- Jak to jest, papo - powiedział głośno, głosem załamującym się - że po tylu latach wróciła ci znowu ochota do wyganiania tych prostaczków? Myślałem, że wszyscy już przyzwyczailiśmy się do ich sąsiedztwa.

Baron nie odpowiedział, przeniósł tylko wzrok z żony na syna.

- Wydaje mi się - kontynuował Quinten - że każdy biedny głupiec, który usiłuje hodować owce, znosi wystarczająco dużo przeciwności, żebyś mu jeszcze ich dodawał. Kojoty i niedźwiedzie, trujące rośliny i zgubne wzdęcia. Widziałem raz, jak owca przewróciła się na grzbiet, żeby się poczochrąć, bo swędziała ją skóra od kleszcza, i nie mogła już się odwrócić, no i udusiła się, zanim pastuch zdołał do niej dotrzeć. Owce szukają sposobu na śmierć.

- Ach, i mam nadzieję, że każda z nich taki sposób znajdzie.

Quinten otworzył usta, lecz zaraz je zamknął. Ojciec zachowywał się tak, jakby hodowla bydła była czymś znacznie lepszym, a nawet wręcz świętym. Jakby krowa była zwierzęciem wyższej kategorii niż owca. Tymczasem prawda wyglądała tak: na tej samej powierzchni można wypaszać jedną krowę, ale pięć do sześciu owiec, które zadowolą się też niewielką ilością wody.

Jeśli jednak pasie się je zbyt długo na jednym miejscu, to owce mogą wyjeść trawę do cna. A to, co wchodzi jednym końcem i wychodzi drugim, daje nieznośny dla bydła, a dla ludzi ciężki do wytrzymania smród. Quinten podejrzewał, że Barona najbardziej zapewne niepokoi w związku z tymi „przeklętymi bigoteryjnymi baranami pastuchami” fakt, że owcza wełna osiągała teraz wysokie ceny, podczas gdy ceny na zapchanym bydlęm rynku spadły w zeszłym roku tak nisko, że nawet nie pokrywały kosztów.

Zapchany bydlęm rynek to być może było wyjaśnienie, dlaczego po dobrych siedmiu latach przerwy w prześladowaniu prostaczków Baron nagle podjął znowu swoją krucjatę. Krąg H będzie musiał hodować jeszcze większe stada bydła na tych dodatkowych akrach pastwisk, ponieważ istniała nadzieja na zysk w nadchodzących latach.

„Prawdopodobnie ojciec spadłby z krzesła - pomyślał Quinten - gdyby mu zaproponował wypasanie na swoich terenach stad własnych owiec”.

- Otwarte tereny nie będą istnieć wiecznie, tato, jak byśmy sobie tego życzyli - zdecydował się powiedzieć. - Czy nie mówiłeś mi zawsze, że jeśli nie można czegoś uniknąć, to lepiej wymyślić, jak to przyjąć?

Baron wycelował w syna wilgotny koniec cygara, a oczy miał jak szparki. Potem zamruczał i z powrotem włożył cygaro do ust.

- Ach, do diabła - rzekł. - Robimy tym baranom pastuchom przysługę, wykurzając ich stąd. Ta kraina nie jest miejscem dla pielgrzymów i amatorów.

Po raz pierwszy tego wieczoru Wharton z Dzikiego Zachodu otworzył usta, mając na celu coś innego niż splunięcie i żucie.

- Coś mi mówi, że nadchodząca wiosna nie będzie porą dobrą dla owiec.

Quinten spojrzał w jego blade oczy, ale sposepniał, przypomniawszy sobie o chudym chłopaku prostaczków.

- Woodrow i ja o mało nie przejechaliśmy jednego z ich młodzików dziś rano, gdy objeżdżaliśmy dolinki, szukając zabłąkanego bydła. Zdaje się, że on ma przyjaciela, który marzy o położeniu nas trupem, jeśli nie skorygujemy naszych niecnych postępów.

Wharton podrapał się po głowie, wyłowił wesz i zgniótł ją między paznokciami. Ailsa przyglądała mu się z wyrazem uprzejmego zainteresowania na twarzy.

- Pewno mówił o tym nieznanym, którego postrzelono, gdy jakiś czas temu tędy przejeżdżał - powiedział Wharton. - Jedna z kobiet prostaczków podobno wzięła tego sukinkota do siebie. To wdowa po tym, którego powiesiliśmy zeszłej wiosny.

Quinten obrócił głowę w stronę ojca.

- Powiesiliście prostaczka? Mój Boże, za co, za kradzież krów? Który z prostaczków wie, jak zrobić pętlę, a co dopiero jak zarzucić lasso? A może chodziło o to, żeby móc zabrać kilka mizernych akrów...?

- On kradł nasze bydło, do diaska! A przynajmniej złapaliśmy go z gromadą nie oznakowanych cieląt. Co więc mieliśmy myśleć? - Baronowi ręka lekko drżała, a dym z cygara chwiał się w świetle świec. - Nie masz co się denerwować z tego powodu. To była nieszczęśliwa pomyłka. Mówiłem tej kobiecie, mówiłem wszystkim, że to była pomyłka.

- Nieszczęśliwa pomyłka... dobry Boże, tato! Wiesz równie dobrze jak ja, że żaden prostaczek nie świsnąłby nawet poobijanego jabłka z Kupiectwa Tullego, choćby tam był napis, żeby się częstować.

Wharton głośno splunął tytoniowym sokiem na żeliwny piecyk za sobą.

- A pamięta pan, szefie, co ten sukinkot krzyczał o prawie, zanim go powiesiliśmy? - Odstąpił w uśmiechu długie zęby. - Zapowiadał, że wszystkich nas załatwi jeździec na płowym koniu...

- „I widziałem, a oto koń płowy, a tego, który siedział na nim, imię było śmierć, a piekło szło za nim”.

Ten cichy głos jak śnieżna zawieja zmroził ich wszystkich.

Quinten spojrział na żonę ojca. Jej fiołkowe oczy spoglądały w okno, które ujmowało w ramy ognisty zachód słońca. Na krwistym czerwonym niebie płonęły miedziane i pomarańczowe smugi. Groźne światło zabarwiło nagle srebra, porcelanę i kryształy na stole, a także lustro w mahoniowym kredensie. Wydawało się, że zapłonął cały świat, niebo i ziemia.

Cień uśmiechu pojawił się na bladych wargach Ailsy Hunter.

- Tego imię było śmierć.

Benjo ostrożnie położył strzelbę na parze jelenich rogów zawieszonych wysoko na ścianie stodoły. Otarł spotniałe ręce o siedzenie fałdzistych spodni i gwałtownie wypuścił powietrze z płuc. Może teraz, gdy był już bezpieczny w domu i strzelba znów leżała na swoim miejscu, przestanie być tak przestraszony.

Musiał stanąć na stercie siana, żeby dosięgnąć jelenich rogów, i właśnie miał zejść na dół, gdy z ciemności za nim dobiegł męski głos:

- Ciekaw byłem, czy z tej starej strzelby da się jeszcze strzelać.

Benjo odwrócił się i stracił równowagę. Wylądował na tyłku na sianie i zjechał na ziemię. Serce waliło mu tak mocno, że w uszach słyszał jakby odgłos bębna. Spojrział w górę i ujrzał Johnny'ego Kaina. Oślepiło go zachodzące w blasku czerwieni słońce za otwartymi wrotami stodoły, widział więc jedynie czarną sylwetkę.

- Przypuszczałem, że wybrałeś się dziś wieczorem na polowanie - powiedział Kain.

Benjo potrząsnął głową na „nie”, po czym pokiwał na „tak”, a potem sobie uświadomił, że nie ma żadnego trofeum, znów więc potrząsnął przecząco głową.

- Jeśli chcesz kłamać, Benjo, to najlepiej trzymać się zawsze jednego, w każdej sytuacji. Mów o tym, ale nie wyjaśniaj. Przeprasz, ale się nie usprawiedliwiał... Twoja mama bliska była postawienia na nogi wszystkich w całej dolinie, żeby cię szukali. Tak się martwiła.

Kain chwycił go za ramię, nie tak mocno, żeby bolało, ale Benjo czuł, że popycha go w stronę wyjścia.

- Ludzie H... Huntera. O... oni zamierzali mnie p... p... p... powiesić. - Ostatnie słowa wystrzeliły z jego ust z taką siłą, że niemal się zakrzuszył. - J... jako z... złodzieja b... bydła. - Z ł o d z i e j a b y d ł a.

Zaraz jednak sobie uświadomił, że to prawie powieszenie nie tłumaczy jego całodziennej nieobecności, powiedział więc więcej.

- Uciekłem i się s... schowałem. - I naprawdę chował się przez jakiś czas, zanim wziął strzelbę, wiadro z wodą i powędrował znów na Tobacco Reef, do kojocicy. - P... p... przykro mi. - „Przeprasz, ale się nie usprawiedliwiał”.

Co z tego zrozumiał Kain, Benjo nie potrafił odgadnąć. Wyszli już ze stodoły i skierowali się w stronę domu. I choć chłopiec usiłował zwalniać kroku, wcale nie szli wolno.

- M... m... m... myślę - odezwał się Benjo, jękając się tak bardzo, że aż mu głowa podskakiwała - m... może m... mógłby pan chcieć tych Hunterów p... p... położyć trupem.

Stanęli i Kain popatrzył na niego spod kapelusza. Potem wydał dźwięk, który był czymś pośrednim między westchnieniem a śmiechem.

- Może bym chciał. Ale obiecałem twojej matce, że tego nie zrobię.

Benjo też westchnął, bo drzwi domu właśnie się otworzyły i wybiegła z nich mama. Wiedział, że okropnie ją wystraszył. A gdy się upewni, że nic mu się nie stało, wpadnie w złość, znacznie gorszą od gniazda pełnego szerszeni.

Chwyciła go i przytuliła do siebie tak mocno, że niewiele brakowało, by strąciła mu z głowy kapelusz. Wodziła dłońmi po całym ciele syna, szukając pewno złamań albo ran od kuli. Potem chwyciła go znów i tak nim potrząsnęła, że spadł mu kapelusz.

- Josephie Benjaminie, przyprawiłeś mnie o takie zmartwienie, że niemal straciłam rozum! Gdzie ty byłeś?

Benjo otworzył usta, ale słowa tak się kłębiły w jego gardle, że aż je zablokowały, i nie wychodziło stamtąd nic, nawet powietrze. Dyszał ciężko, krztusił się, oczy napełniły mu się łzami. I nienawidził sam siebie za to, że nie

może mówić jak wszyscy.

- On się tylko schował - wtrącił Kain. - Ten pani Hunter, za którego duszę tak lubicie się modlić, jego ludzie przestraszyli chłopaka, grożąc, że go powieszają.

Benjowi nie podobała się mina, jaką zrobiła matka. Grzbiet dłoni przyłożyła do policzka, jakby chcąc sprawdzić, czy nie ma gorączki. A oczy nad tą ręką były szeroko otwarte i pociemniałe od dawnego cierpienia i świeżego strachu.

Przyciągnęła go do siebie, teraz delikatnie, i gładziła po włosach, odsuwając je z czoła. I dotknęła jego policzka tak jak przedtem swojego.

- Co ty robiłeś na ziemi Huntera?

- Tr... tropiłem niedźwiedzia.

- O Boże! - Zaskoczyła go, bo się zaśmiała. Był to co prawda śmiech drżący. - Idź teraz do domu, Benjo - szepnęła. - Umyj się przed kolacją.

Chłopiec podniósł z błota kapelusz i wszedł na ganek, ale zatrzymał się w drzwiach kuchni. Mama i Johnny Kain odwróćni do niego tyłem spoglądali w stronę wzgórz oddzielających bydło od owiec. Słońce już prawie zaszło, ale na niebie pozostawiło rubinową poświatę i wszystko nabrało różowego odcienia: stodoła i owce, czepiec mamy, biała koszula Kaina, która kiedyś należała do taty.

Z domu trudno było usłyszeć, co mówią, ale chłopcu się wydawało, że matka pyta:

- Co ja mam robić?

Johnny Kain chyba nie miał dla niej odpowiedzi, bo milczał.

Obróciła się do niego i choć w dalszym ciągu milczał, zaprotestowała, jakby coś powiedział.

- Nie, nigdy w ten sposób. To zły sposób.

- Mój sposób jest pewny. Z grobu nie będzie wam szkodzić.

- Ale co by się wtedy stało z moją duszą? A ja kim bym się stała?

Stali teraz obróćni do siebie twarzami w takiej odległości jak słupki płotu. Benjo odniósł wrażenie, że wokół nich się iskrzy. Pomyślał więc, że są źli.

W głosie Kaina wyczuwało się napięcie.

- Oni nie przestaną, Rachel. Ja znam tych ludzi.

- Bo jest pan jednym z nich.

- Bo jestem jednym z nich. Są zdolni do zniszczenia wszystkiego, do zabicia każdego. Niech mi pani wierzy, ja to wiem.

Potrząsnęła głową.

- Nie wierzę, żeby pan kiedykolwiek zabił dziecko. W to nie wierzę.

- Niech się pani nauczy wierzyć. Istnieje tylko jeden sposób, jak pohamować ludzi tego pokroju.

- Nie! - Uniosła rękę, jakby chciała go dotknąć, ale stali zbyt daleko od siebie. - Nie, nie... Często trudno zrozumieć drogi Pańskie, ale Bóg może być miłosierny. To pan musi się nauczyć, jak wierzyć.

- Śmierć nas powstrzyma.

X

Rachel trzymała wysoko latarnię, brnąc przez zlodowaciałe błoto na podwórku.

Minęła już północ, ale ona wciąż była w ubraniu, miała fartuch i chustę. Nie włożyła tylko na głowę ani modlitewnego czepca, ani nocnego czepka i gęste włosy opadały jej na ramiona i plecy. Wiatr je rozwiewał.

Była pierwsza wiosenna pełnia i księżyc, okrągły i jasny, wschodził nad topolami. Rozsiewał miękkie światło na łąki i pasterski wóz, gdzie teraz sypiał innowierca. Wielkie koła wozu rzucały ostre cienie na stodołę, a blaszana rura od piecyka, stercząca z wypukłego drewnianego dachu, błyszczała jak polerowane srebro.

Rachel weszła po schodkach na mały ganeczek wozu i zapukała.

Chwilę potem górna połowa podzielonych poziomo drzwi otworzyła się i zobaczyła jego nagą pierś. Cofnęła się przerażona.

- Już przychodzą na świat, panie Kain - oznajmiła.

Niemal czuła jego wzrok muskający jej włosy jak dotknięcie wiatru, zanim przeniósł go na zagrodę koło szałasów jagniąt, gdzie owce kotłowały się i meczały w zimną wiosenną noc.

- Tylko się ubiorę - odpowiedział.

Zaczekała na niego przy schodkach, odwróciwszy się od drzwi.

Kiedy do niej dołączył, zobaczyła, że ubranie się oznaczało również przypasanie pasa z nabojami.

- Co pan zamierza robić dzisiejszej nocy z tą swoją bronią, panie Kain? - spytała. - Wycelować ją w łeb jakiejś biednej maciorki i zażądać, by mocniej parła?

- Nie, wycelować w panią, kiedy każe mi pani coś lizać.

Na pół zamarznęte błoto chrzęściło pod ich stopami, a nafta chlupała w latarni, którą niosła Rachel. Gdzieś w ciemnościach bezkresnej prerii zaczął wyc do księżycyca kojot. Rachel poczuła, że się uśmiecha, i opuściła głowę, gdy wiatr szarpał i czochrał jej włosy.

Benjo z MacDuffem u boku pojawił się w świetle latarni w drzwiach prowadzących do szałasów. W ręce

osłoniętej rękawicą ścisnął drąg prawie półtora raza większy od niego i zakończony hakiem.

- Jeśli chcesz, możesz przynieść wody z potoku - powiedziała Rachel do syna. - Wtedy będę potrzebować tego haka.

Chłopiec oparł drąg o szopę i chwycił parę pustych baniek od mleka. Biegł, bańki obijały mu nogi, a pies pędził w podskokach za nim. Wkrótce pochłonęły go czarne cienie topoli i wierzb.

Wcześniej, przygotowując się na ten czas, Rachel powiesiła na słupach ogrodzenia kilka latarni. Teraz chodziła i zapalała je po kolei, a żółte światło padało na zabłoconą słomę i szare wełniste grzbiety.

- Panie Kain, może zacząłby pan oddzielać te, które będą zaraz się kocić...

Stał wśród beczących, kłębiących się owiec i wolno obracał się w koło.

- Zrobiłbym to, pani Yoder, naprawdę bym zrobił, tylko że mnie wydają się takie same.

Pochyliła głowę, chcąc ukryć uśmiech.

- Te, których czas się zbliża, mają sterzące sutki albo wymiona, a części rodne zaczerwienione i obrzmiałe. Ta wylekniiona będzie najpierw się kocić. - Wskazała palcem na jarkę, która odeszła od stada i gorączkowo grzebała przednią nogą w słomie, robiąc sobie gniazdo. - Tej wiosny pierwszy raz będzie matką i może mieć kłopoty.

Rachel potrafiła wyznaczyć owce, które miały się okocić mniej więcej w ciągu godziny. Umiała od razu określić, które będą wymagać pomocy, a które nie. Ben twierdził, że jako kobieta dobrze rozumie maciorki.

Rachel uważała, że to kwestia muzyki. Kiedy nadchodził czas wykotów, wydawało jej się, że słyszy słodkie trele, jakby ptasi śpiew, emanujący z owiec, które już miały rodzić. A raczej nie tyle słyszała śpiew, ile w y c z u w a ł a go we własnej krwi. I jeśli owcę czekały trudności, ptasi śpiew stawał się zgrzytliwy i nieharmonijny jak krakanie kruka.

Kain przechodził między owcami i od czasu do czasu schylał się, żeby im się przyjrzeć.

- Wygląda na to, że sporo ich będzie się kocić jednocześnie.

- Rzeczywiście, panie Kain. Będziemy mieć pracowitą noc. A teraz niech pan tu przyjdzie, proszę, i podstawy tej nowej maciorce swoją męską silną i masywną nogę, żeby miała się na czym oprzeć. Myślę, że jest zdziwiona, co się dzieje w jej brzuchu, i mocno tym przerażona.

W otworze pod ogonem owcy ukazał się cienki biały worek. Maciorka odrzuciła do tyłu łeb, wyciągnęła szyję, napinając całe ciało i wytrzeszczając oczy. Otwór się powiększał i wychodziło coraz więcej białej błony. Rachel dojrzała wysuwające się przednie kopytka jagnięcia i między nimi mały czarny nosek. Może maciorka była przerażoną amatorką, ale jej dziecko wiedziało, jak należy pojawić się na świecie.

Owca upadła do gniazda, które próbowała sobie wykopać. Rodziła z trudem; górną wargę ściągała przy każdym parciu. Nie beczała jednak, choć z głębi gardła wydobywał się jakiś bulgot, i instynktownie siorbała językiem.

Kain podstawiał nogę, żeby miała się na czym oprzeć, i przykucnął na słomie obok obracającego się łebka. Gładził palcami jej wełnę między uszami, głaskał i gładził.

- Dlaczego ona nie jęczy?

Rachel nie mogła oderwać wzroku od długich palców mężczyzny, podziwiała, jak czule, niemal kochająco dotykają łebka owcy. „Tylko że w taki sam sposób dotykał swojego rewolweru - pomyślała. - I kiedyś jej ust”.

- Owce potrafią znieść silny ból - odpowiedziała po chwili. - Zachowują się cicho przede wszystkim dlatego, jak sądzę, że nie chcą, by kojoty i wilki wiedziały, gdzie się kocą.

Innowierca, sądząc z jego miny, cierpiał prawie tak jak owca. Śmieszne, ale Benowi, gdy patrzył na rodzące się jagnię, też skręcały się wnętrzności. „Może - pomyślała Rachel - kobieta rozumie lepiej, że rodzenie z samej swojej natury musi być ciężkie. Że z życiem przychodzi cierpienie”.

Przybiegł Benjo, przynosząc hak i kawałek jutowego worka, właśnie w chwili, gdy owca podniosła się na nogi. Napinała się ze wszystkich sił, podrzucając zadem. Jagnię wyskoczyło z niej nogami i łebkiem do przodu i wylądowało na zabłoconej słomie. Wyglądało jak lśniący, parujący żółty woreczek kości.

Rachel przerwała błonę, zsunęła ją z nosa i pyszczka jagnięcia i roześmiała się, słysząc piskliwe „me”, które rozległo się wraz z pierwszym oddechem. Benjo podał jej worek, mogła więc szybko wytrzeć uszy jagnięciu i uchronić je przed zmarznięciem.

Owca stała, becząc jak najęta i potrząsając zadem, jakby niezupełnie wiedziała, co się z nią dzieje. Rachel zaczęła się obawiać, że ta okaże się jedną z tych matek, które nie chcą uznać swojego dziecka. Ale po chwili, jakby w jej mózgu jakieś kółeczko zapadło w końcu na właściwe miejsce, odwróciła się i wyciągnęła w stronę jagnięcia nos. Powąchała je, potem zaczęła zlizywać mu z zadka kleisty żółty śluz, i to tak głośno, że niemal zagłuszała szum nocnego wiatru, szelest słomy, meczenie i beczenie innych przyszłych matek.

- A ja tu przez cały czas się martwię, że m n i e pani zmusi, bym to zrobił - odezwał się innowierca.

- Noc dopiero się zaczyna, panie Kain.

Zaśmiał się, a potem przeniósł wzrok na owcę, która próbowała postawić na nogi jagnię, podnosząc mu zadek. Surowa twarz Kaina nabrała teraz takiej łagodności, jakiej nigdy przedtem Rachel u niego nie widziała. „Wygląda bardzo młodo - pomyślała - i o dziwo, chyba jest s z c z ę ś l i w y. Robi wrażenie szczęśliwego”.

- M... m...

Obróciła się i przełknęła ślinę, chcąc pozbyć się ucisku w gardle. Wzięła hak, który podawał jej Benjo. Wsunęła

go pod brzuch jagnięcia od strony tylnych nóg i podniosła żółty woreczek kości, tak że zawisł na końcu drąga nosem w dół.

W ten sposób podała jagnię matce, pozwalając, by je zobaczyła i poczuła. Maciorka jednak okręciła się nagle i pobiegła na środek zagrody, płosząc resztę owiec, które zaczęły gwałtownie beczeć.

- Och, naprawdę nieodpowiedzialna z niej matka! - wykrzyknęła Rachel z irytacją. - Benjo, zobacz, czy ty i MacDuff moglibyście zagnać ją z powrotem.

Syn z pomocą psa i innowiercy zapędził owcę do jagnięcia. Wyciągnęła szyję i powąchała je, by się upewnić, że to jej dziecko. Rachel wolno niosła jagnię wiszące na końcu drąga, pobekując cicho, be... be... be, żeby ośmielić nieodpowiedzialną matkę. A owca niespiesznie podążała za nimi w stronę szałasów, obwąchując małe po drodze.

W długich i niskich szałasach jagniąt rozłożono na ziemi słomę i wysypano trociny. Cała przestrzeń podzielona była jak plaster miodu na małe komórki, zwane ciupami, takie, by pomieściły maciorkę z jagnięciem. Świeżo narodzone jagnię, czując się bezpiecznie w swoim nowym domu, podniosło się na niepewnych, guzowatych nogach. Rachel, delikatnie pchając, sterowała je na pierwszy posiłek w stronę cycuszka matki. Nie mogła jednak dłużej tu zostać, bo usłyszała krzyk syna, że rodzi się następne.

Potem zaczęło się masowe kocenie, toteż Rachel i Kain musieli pracować osobno. Obserwowała go jednak, gdy tylko miała okazję. Wyglądało na to, że rewolwerowiec Johnny Kain dość łatwo wszedł w rolę owczej akuszerki. Jego cichy i leniwy głos działał na maciorce jak kołysanka, a ręce dotykały ich delikatnie i pewnie.

Często też szukała wzrokiem syna i serce jej się ścisnęło na myśl, jak jego ojciec byłby z niego dumny. Wydawało się, że chłopiec jest wszędzie - dwoi się i troi, podsuwając drąg z hakiem i kawałki worków, wybierając spod maciorek, które właśnie urodziły, odchody z wykotu. I w tym czasie zapędzał jeszcze jagnięta i ich matki do ciup, wszystkim podrzuczał widłami siano i przynosił nowym matkom wiadra wody słodzonej melasą.

Raz tylko Rachel musiała wziąć wilgotny żółty węzełek i wynieść poza płot zagrody na miejsce, które Ben pewnej szczególnie złej wiosny nazwał „stertą kości”. Nawet bowiem w dobrych latach nie można było uniknąć śmierci niektórych jagniąt. Tracili też zawsze kilka maciorek.

Niosąc martwe jagnię na stertę kości, Rachel odwróciła głowę, żeby mężczyźni, syn i Johnny Kain, nie zauważyli jej kobiecych łez.

Rachel ścisnęła między udami drąg z hakiem, żeby uwolnić ręce i zapleść warkocz.

Przez całą noc włosy opadały jej na twarz, jeśli ich nie zwiewał wiatr. Zbesztala siebie za to, że ich nie spięła spinkami i nie przykryła jak trzeba czepcem. Była to z jej strony próżność i bezbożność, bo postąpiła tak ze względu na Kaina.

- Rachel!

To imię doleciało do niej z głębi nocy i w tonacji takiej nagłości, że się przeraziła, i drąg upadł z łoskotem na ziemię.

Podszedł do niej od tyłu i gdy się obróciła, warkocz owinął mu się na szyi. Wziął w długie palce luźne sploty, potem je zacisnął, przyciągając ją do siebie. Wyglądało to tak, jakby go przywiązała swoimi włosami.

Puścił ją i cofnął się o krok.

- Mamy kłopot - powiedział.

Rachel spojrzała na drogę, oczekując, że ten kłopot to jego sprawa. Potem jednak zobaczyła, że Kain już wraca do jagniątkarni, musiała więc podbiec, żeby go dogonić.

Zaprowadził ją do komórki, w której umieścili pierwsze urodzone tej nocy jagnię, pierwsze jagnię tej wiosny. Maluch o czarnym pyszczku stał samotnie, ignorowany przez matkę. Gruźelkowate nogi mu się trzęsły, grzbiet wyginał, oczy zapadły, a uszy oklapły.

- Och, on umiera z głodu, biedne małe *Bobbli*. - Rachel wcisnęła się do komórki, schylając się, żeby nie huknąć głową w pochyły dach. - Ta pańska nieodpowiedzialna maciorka zaniedbuje swoje jagnię.

- M o j a nieodpowiedzialna maciorka? Nie przypominam sobie, żebym ją poślubił.

- Nie powinien pan traktować jej tak pogardliwie, szanowny panie. Zwłaszcza że ona tak pana uwielbia. - I rzeczywiście, na odgłos jego głosu maciorka obróciła łeb i popatrzyła na Kaina niemal z wyrazem oczarowania na słodkim błazeńskim pyszczku. - Niech mi pan pomoże przewrócić ją na zadek, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu - powiedziała Rachel.

- Nie mam. Ale nie odpowiadam za jej uczucia.

W leniwie wypowiedzianych słowach pobrzmiwał śmiech i choć Rachel odwzajemniła mu się uśmiechem, w piersiach poczuła ucisk zbliżony do lęku. Przypomniła sobie, że dotykał palcami jej włosów. Nic dziwnego, Biblia mówi przecież, że jeśli niewiasta się nie nakrywa, niechże się też strzyże. To, co nieomal zrobił, było bezbożnością. I to także, na co ona mu niemal pozwoliła.

Mocowali się z upartą maciorką, objając się ramionami i udami na ograniczonej przestrzeni. Usiłowali ją przewrócić, żeby umożliwić jej dziecku ssanie. W pewnym momencie warkocz Rachel owinął się wokół jego ręki, tak że byłaby się przewróciła, kiedy odskoczyła od niego w panice. Nie dał po sobie znać, czy to zauważył.

Wreszcie udało im się posadzić owcę na zadku. Rachel pociągnęła ją za sutki, żeby zaczęło z nich płynąć mleko.

Wkrótce szalas napelniły odgłosy siorbania i mlaskanie czarnego noska głodnego malca o wymię. Nie wypuścili maciorki, dopóki brzuch jej dziecka nie napęczniał od pokarmu.

Kain się odsunął, żeby przepuścić Rachel. Nie mogła jednak przejść obok i nie otrzeć się o niego, a nieposłuszny warkocz zahaczył się o guziki jego surduta. Gorączkowo starała się uwolnić.

- Gdyby przestała się pani wiercić jak rozcięty robak, mógłbym... - powiedział. I znowu poczuła jego palce na włosach.

Kiedy znaleźli się już bezpiecznie i osobno poza obrębem ciasnej komórki, Kain wyprostował się na całą wysokość i zdrową rękę założył na plecy, drugą wykonał kilka okrężnych ruchów i westchnął pełną piersią.

- Mógłbym przebiec milę, gdybym nie musiał wracać - rzekł. - To doprawdy nieprzyzwoity czas na pracę. O tej porze powinno się robić tylko jedną rzecz.

- A mianowicie... - Kiedy myśl dopędziła język, policzki oblał jej rumieniec.

- Zamierzałem powiedzieć spać, pani Yoder.

Odwrocił się do niej plecami, ale zdążyła jeszcze zauważyć fałdki w kącikach jego oczu.

Zdjął z siebie surdut i przerzucił przez kołek, na którym wieszano drągi z hakami, kiedy ich nie używano. Chociaż noc była zimna, w szalaszach na skutek motłochu zrobiło się ciepło; rozgrzała ich ponadto ciężka praca. Kain wziął w zdrową rękę widły i nawrzucał siana do koryta na tyłach komórki, w której umieścili nieodpowiedzialną maciorkę.

Ubierając się, nie włożył kamizelki. Pod spraną cienką flanelową koszulą Bena Rachel widziała poruszające się muskały pleców i ramion. Czarne szelki jakby do nich przylgnęły i poruszały się wraz z nimi.

Prostaczkowie nie nosili szelek.

Dotknęła pleców Kaina w miejscu, gdzie krzyżowały się szelki. Miało to być lekkie, krótkotrwałe dotknięcie, tylko po to, by zwrócić uwagę, ale ręka, tak jak szelki, jakby przylgnęła do pleców i Rachel poczuła ciepło i jędrność męskiego ciała.

Obrócił się wolno, tak że przez moment ręka Rachel spoczywała na plecach, zanim opadła.

- Chciałam panu podziękować - powiedziała. - Nie wiem, jak dziś w nocy dalibyśmy sobie radę z Benjem bez pana.

- Przypuszczam, że pani dobry sąsiad i przyjaciel przybiegłby tu klusem, potykając się o własne duże stopy, i pospieszył pani z pomocą.

- Noah nie ma dużych stóp, chociaż właściwie ma. Jednak nie powinien pan sobie z niego kpić. To zacny człowiek.

Kain nic nie powiedział. Wbijał z powrotem widły w stertę siana, gdy zjawił się Benjo z wiadrem pełnym wody. Wziął je od chłopca i postawił w komórce. Maciorka natychmiast wetknęła nos w wodę osłodzoną melasą.

- Ponadto Noah teraz pewno musi się troszczyć o gromadę własnych jagniąt - dodała Rachel.

Nagle sobie uświadomiła, że MacDuff skowyczy. Benjo złapał ją za ramię, odwróciła się. Chłopiec patrzył na nią wytrzeszczonymi oczami. Szyja mu się napinała, język naciskał tak mocno na zęby, że aż się zapluwał.

Uspokajającym gestem położyła mu rękę na ramieniu.

- Pst! I odetchnij. Ja słucham.

- M... mamó! Pamiętasz tę starą owcę z otwartym pyskiem? J... j... jej dziecko w... wychodzi całkiem źle!

* * *

Maciorka leżała na ziemi bez ruchu, tylko jej brzuch drgał w skurczach. Rachel widziała jedno kopytko wystające z tyłu. Wody odeszły już jakiś czas temu. Muzyka, którą Rachel wyczuwała, emanująca falami przy każdym silniejszym skurczu, przypominała dzikie i żalosne wycie kojota. Kiedy przykłękała na słomie, maciorka popatrzyła na nią spokojnymi oczami, dzięki którym zawsze sprawiała wrażenie takiej miłej, mądrej, starej owcy.

- Moja ty biedaczko, twoje dziecko usiłuje przyjść na świat tyłem, prawda? - Rachel wbiła palce w gęste szare runo i zaczęła masować brzuch owcy. - Będę musiała je wyciągnąć - powiedziała do Kaina, który przykucnął obok niej. - Benjo, przynieś wiadro wody i trochę ługowego mydła. I kawałek sznurka.

Kiedy klęcząc obok siebie i patrząc na rodzącą maciorkę, czekali w milczeniu na powrót chłopca, Rachel niezwykle mocno uświadamiała sobie jego obecność. Widziała czarne szelki przecinające koszulę na białe, rozjaśnione światłem księżycy romby i głęboki cień rzucany przez ostrą kość policzkową na zarośnięty policzek. I czuła, że jego ręka, tak jak i jej, masuje przez wełnę drgający brzuch owcy.

A to, że zdawała sobie sprawę z jego cielesności, uświadamiało jej też własne ciało: ciężar warkocza przerzuconego na plecy, presja piersi na bawełnianą koszulę, ocieranie się o siebie ud, gdy się przesunęła, żeby pochylić się nad maciorką.

Benjo biegł tak szybko, że potknął się i runął przed nią na kolana, niemal ochlapując ją wodą z wiadra.

- M... mamó, czy ona u... u... umrze?

- Nie wiem - odparła Rachel, zawijając rękawy. - Spróbuję uratować ją i jej dziecko. Ale Pan Bóg zawsze wie, co będzie najlepsze. - Zanurzyła ręce w wodzie i zaczęła szorować je mydłem. - Musimy zostawić to Jemu i prosić o cierpliwość i odwagę, by poddać się Jego woli.

Innowierca poruszył się, pomyślała więc, że coś powie, ale on milczał. Pewno by zauważył, że dobry Bóg ma z

pewnością pilniejsze sprawy niż los starej owcy i jej jagnięcia.

- Bóg wie wszystko i wszystkich miłuje - rzekła, jakby odpowiadając na nie wypowiedzianą głośno wątpliwość. - Nawet Jaskółka nie spadnie z nieba bez Jego wiedzy. - N a w e t t y, J o h n n y K a i n i e.

Wsunęła rękę w gorącą macicę owcy. Jagnię miało odwróconą do tyłu łepetynę, drugą tylną nogę zgiętą i chyba założoną za główkę. Maciorka wyciągała szyję do przodu i obracała głowę, gdy silny skurcz wstrząsał jej ciałem. Zwieracze mocno się zacisnęły wraz z ręką Rachel uwięzioną między czaszką jagnięcia a kością łonową maciorki. Czują ból tak silny, że aż łzy napłynęły jej do oczu.

Kiedy skurcz ustał, Rachel wyciągnęła rękę mokrą od śluzu i krwi. Usiłowała wytrzeć ramieniem wciąż ciekące po policzku łzy, bo już była pewna, że maciorka i jagnię umrą.

- Głowa jagnięcia jest zabawnie wykręcona, a moja ręka za duża. Nie mogę tam dosięgnąć.

- Niech spróbuje chłopiec - zaproponował Kain.

Benjo cofnął się przerażony.

- N... n... n...!

Rachel ujęła jego twarz rękami, tak by zjrzeć mu w oczy. Zrobiły się wielkie i okrągłe jak koła u wozu.

- Nie musisz tego robić. Ja cię nie zmuszam. Ale dla tej biednej starej owcy jesteś jedyną nadzieją.

Benjo wyrwał jej się i spojrzał na Kaina. Jego twarz nic nie mówiła - przynajmniej Rachel. Lecz syn musiał dojrzeć to, czego szukał, bo odwrócił się do niej i kiwnął z powagą głową.

- A więc dobrze!

Rachel odetchnęła z ulgą. Wzięła jutowy worek, żeby zetrzeć rozmazaną na policzku syna krew owcy.

- Trzeba palcami chwycić jagnię za nos i szczękę i skierować głowę we właściwą stronę. - Kosmyk długich potarganych włosów syna założyła za ucho. - Możesz pomóc sobie wtedy sznurkiem, ale będziesz musiał trzymać głowę i wyciągać dziecko. I, Benjo...

Chwyciła jego rękę - małą chłopięcą rękę, która miała na jej prośbę wykonać męską robotę. Wyczuwała lekkie drżenie w ciele synka.

- Benjo, brzuch maciorki będzie usiłował wycisnąć jej dziecko i wówczas będzie wyciskać też twoją rękę.

- B... będzie bolało?

- Tak.

- M... m... mocno?

- Prawdopodobnie tak.

- On to zrobi. - Kain ścisnął ramię chłopca i poklepał go jak mężczyzna mężczyznę, jak ojciec syna. I uśmiechnął się - po raz pierwszy naprawdę. Takiego uśmiechu jeszcze u niego nie widziała: ciepłego i promiennego jak światło słońca.

Benjo też próbował uśmiechać się dzielnie, ale wargi lekko mu drżały.

Musiał położyć się na brzuchu, żeby wsunąć dłoń i przedramię w brzuch maciorki. Przy każdym skurczu krzyczał głośno. Łzy ciekły mu po policzkach, tworząc białe smugi w słomianym pyłe i brudzie, ale nie rezygnował. Rachel musiała zakryć sobie ręką usta, żeby nie usłyszał jej szlochu.

Jagnię wysuwało się zaledwie o kilka centymetrów przy każdym skurczu. W końcu maciorka mocno napała i jagnię, uwalane krwią i śluzem, wysliznęło się na słomę.

Rachel klęczała nieruchomo z ręką przyciśniętą do ust. Nowo narodzonemu zajął się innowierca. Rozerwał palcami błonę nad czarnym noskiem.

- Oddychaj, do licha, oddychaj, maluchu!

Jagnię nie oddychało.

Rachel chwyciła żółty worek kości za tylne pęciny. Podniosła się i zaczęła energicznie wywijać nim w powietrzu. Jeden krąg, potem drugi.

Jagnię zabeczało głośno z oburzeniem...

Ucieszona Rachel padła na słomę i kołysała płaczące jagnię, trzymając je na kolanach.

Benjo nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa, a Kain gapił się na nią z wyrazem szczerzego podziwu. Teraz gdy siedziała, tuląc i kołysząc beczące jagnię, roześmiała się na widok jego miny. On też parsknął śmiechem.

- Myślałem, że zamierza pani... - wyrzucił z siebie, - Boże, nie wiem, co myślałem. Kręciła pani tym biednym jagnięciem jak lassem. - Spoważniał, a potem znowu się uśmiechnął, potrząsając głową. - Najwspanialsza z pani kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem.

- Nie, och, nie! - protestowała Rachel. - Tak się to robi, naprawdę. Podobno w ten sposób pomaga im się złapać oddech.

- Zaczynają oddychać z samego przerażenia, jak myślę.

Benjo też się śmiał. W pewnym momencie chwycił ją za rękę.

- M... mamó, b... b... b...

Dotknęła jego zalanej łzami twarzy.

- Będzie żyć, Benjo. Będzie żyć. - Położyła ostrożnie jagnię na słomie, a potem wetknęła jutowy worek w ręce innowiercy.

- Niech pan je tym wytrze, panie Kain. Albo może pan użyć swojego języka, jeśli pan chce. Wówczas będzie pan mógł sobie rościć prawo do tytułu „lizacza jagniąt”.

Promienny uśmiech zagościł znowu na jego obliczu.

- Z pewnością nie pozwoli pani mężczyźnie odpocząć. Miałem ochotę...

Tak ją zafascynował jego uśmiech, że nie zwróciła uwagi, iż umilkł. Cały świat nagle jakby zapadł się w ciszę; w następnej sekundzie zobaczyła to, co on już widział - maciorka leżała zbyt spokojnie. Nie można było oczekiwać, że po tak ciężkim porodzie będzie brykać, ale...

Rachel przyłożyła dłoń do jej piersi. Piers się uniosła, a potem wolno, delikatnie opadła. Zajrzała w spokojne, wszystko rozumiejące oczy i zdążyła zobaczyć dogasające w nich życie.

Innowierca przechylił się na bok i zasłonił owcę przed wzrokiem Benja. Popatrzył na Rachel, po czym oboje przenieśli wzrok na chłopca. Benjo wziął jutowy worek i zajął się wycieraniem jagnięcia. Twarz jaśniała mu jak latarnia morska radością i dumą z powodu tego, czego dokonał.

- Hej, partnerze! - Innowierca chwycił chłopca za szyję i potrząsnął nim raz jeszcze po męsku. - Pospiesz się i pomóż mi zanieść tego waszego malucha do szałasów, do ciepła.

Rachel patrzyła, jak odchodzili. Benjo chciał się obejrzeć, ale innowierca coś powiedział i zajął jego uwagę. Wiedziała, że wkrótce syn i tak się dowie o śmierci maciorki, ale nie życzyła sobie, żeby stało się to już teraz.

Kiedy Benjo zniknął z widoku, odwróciła się do owcy. Tę starą maciorkę należało odłączyć od stada zeszłej jesieni, tylko że ona zawsze była taką dobrą matką - taką słodką, dobrą matką.

Do jej oczu znów napłynęły piekące łzy. Przejechała palcami po mocno skręconej wełnie między uszami maciorki. Nachyliła się i pocałowała kościsty pyszczek.

- Żegnaj, kochanie.

Rachel stała na środku zagrody. Miot był teraz spokojny, jedyny dźwięk dochodził od strony mocniej świecących latarni, które syczały i migotały. Za ogrodzeniem noc zaczynała przechodzić w brzask.

Westchnęła i przeciągnęła się, czując w kościach zmęczenie. Przed chwilą skontrolowała wszystkie kotne owce; będzie mieć kilka godzin przerwy przed kolejną falą narodzin. Ramiona ją bolały od zanoszenia do szałasów tyłu jagniąt. Chociaż małe, wydawały się dość ciężkie, gdy wisały na końcu długiego drąga.

Klatkę piersiową przepelniała bolesna mieszanina radości i cierpienia, powracająca z wiosną i porą przychodzenia na świat jagniąt.

Wciągnęła w płuca świeże powietrze z zapachem ciepłego owczego mleka. Z szałasów jagniąt dochodziło do jej uszu ciche buczenie macierek i meczenie odpowiadających im jagniąt. Owce ułożą się do snu. Jagnięta wyciągną się na przednich nogach matek, a te oprą brody na głowach swoich dzieci. Ten widok niezmiennie wzruszał Rachel.

Jakieś skrzypnięcie przerwało jej zadumę; odwróciła się.

W drzwiach szałasów ukazał się Benjo. Niósł zielony wierzbowy patyk, na którym naciął kozikiem następny wrąbek. Nie zapłakał, gdy mu powiedziała o śmierci starej maciorki. Zaciśnął tylko usta i zsunął nisko na oczy kapelusz, ale nie uronił łzy.

- Ile ich jest? - spytała go teraz z uśmiechem.

W odpowiedzi uśmiechnął się i udawał, że wolno i z namaszczeniem liczy karby na patyku.

- D... d... dwanaście! - oznajmił.

- Jedenaście.

Z jagniątkarni wyszedł innowierca. Misko zsunął kapelusz, jakby chciał osłaniać oczy przed słońcem, które wszędzie nie wcześniej niż za godzinę. Usta miał zaciśnięte. Niósł na ręce, tej zdrowej, jedno z niedawno urodzonych jagniąt; trzymał je tak delikatnie i czule, jakby było ze szklanego włókna. A jagnię było martwe.

- Poszedłem sprawdzić... ten malec był przedtem taki głodny i chciałem się upewnić, czy ta jego nieodpowiedzialna matka nauczyła się go karmić. Ale ona poszła spać. Przypuszczam, że nie wpadło jej nic lepszego do głowy niż położyć się akurat na własnym dziecku i zadusić je swoją wełną.

Odwrócił się od nich i skierował w stronę stosu kości. Umieścił małego trupka obok innych i ułożył mu głowę i nóżki w taki sposób, by wydawało się, że śpi. W pierwszych dniach życia wełna jagniąt przypomina zbity włos zniszczonego starego dywanu. Johnny Kain jednak pogłaskał martwe dziecko nieodpowiedzialnej maciorki, jakby dotykał najmniejszej rzeczy na świecie.

Rachel przycisnęła do piersi jagnię i włożyła w szeroko rozwarpy pyszczek czarny smoczek butelki do karmienia.

- Pij, mały, pij - nuciła, łechcąc go pod małym żółtym ogonkiem, żeby wywołać odruch ssania. Przez kuchenne okno widziała słońce rzucające pierwsze długie promienie na ziemię, różowujące urwiska i grawerujące gałęzie topoli na jasnoblękitnym niebie.

Siedziała na podłodze przy piecu kuchennym, po obu stronach miała dwa pudełka po sucharach wyłożone słomą. Po pierwszej nocy wiosennych miotów musiała się opiekować dwójką malców. Ten, którego karmiła, był z bliźniąt, a jego matka mogła wykarmić tylko jedno. W drugim pudełku spało osierocone dziecko starej maciorki.

Otworzyły się drzwi do izby syna. Rachel uniosła głowę. Stał w nich, ukryty w mroku, innowierca. Potem wszedł do kuchni, zamykając drzwi z cichym trzaśnięciem.

- Ale ten pani chłopak był zmęczony - powiedział. - On i jego stary pies zasnęli, gdy tylko głową dotknęli poduszki.

Poranne słońce, wpadające teraz przez okno, oświetliło całą jego twarz. „Patrzysz na tę twarz - pomyślała Rachel - i marzysz o tym, by poznać wszystkie jej tajemnice. Gdyby diabeł chodził po ziemi, takie właśnie miałby oblicze, bo czyż istnieje lepszy sposób na uwodzenie niż wzniosła tajemniczość?”

Ruszył ku niej, stąpając po podłodze w skarpetkach; wszyscy bowiem musieli zostawić na ganku obuwie ubłocone w jagniątkarni. Przykucnął przed piecem z twarzą od niej odwróconą.

- Syn dał pani powód do dumy tej nocy.

- Powinnam się tak nadać, że prysnęłyby mi guziki, gdybym jakieś miała - powiedziała. Usiłowała się uśmiechnąć, ale jakoś jej nie wychodziło. W tym momencie bała się Johnny'ego Kaina bardziej niż kiedykolwiek. Gdyby diabeł chodził po ziemi...

Obserwowała go, gdy rozgrzebywał popiół w piecu i dokładał drewna. Patrzyła, jak jego długie palce związały kawałek łupliwej podpałki, a kości i żyły dłoni przezierały przez bladą skórę. Te ręce ją fascynowały - może dlatego, że za każdym razem, gdy na nie patrzyła, musiała myśleć o wszystkich strasznych rzeczach, jakie one robiły.

Z wdziękiem obrócił się na palcach i siadł po turecku naprzeciwko, niemal dotykając jej kolanami. Nie patrzyła na niego, lecz w okno, w którym jak w ramie widniało poranne olśniewająco błękitne niebo. Dołożone do ognia drewno paliło się, sycząc i strzelając.

Jagnięssało coraz wolniej. Z przepelnionego smoczka kapalo mleko na kolana Rachel. Brzuszek jagnięcia - okrągły, ciepły i napełniony - przyciskał się do jej brzucha.

Tyle rzeczy mogłaby powiedzieć innowiercy w tym momencie. Wybrała to, co wydawało jej się najłatwiejsze i najbezpieczniejsze.

- Benjo jest inny przy panu. Myślę, że chce pokazać, kim jest, kim może być, gdy jest z panem. - Położyła śpiące jagnię do pustego pudełka po sucharach. - Tego rodzaju uczuć ja nie umiem wywołać, sprawić, by czuł się jak mężczyzna.

Niepokojące oczy Kaina patrzyły na nią z tej niewielkiej odległości, jaka ich dzieliła. Gdy się odezwał, głos miał chrapliwy.

- Umie pani!

A potem czas płynął wolno, coraz wolniej, i zatrzymał się, gdy on podniósł rękę. Dotknął jej szyi, sunąc palcami wzdłuż grubego, luźno splecionego warkocza, przez ramię, w dół aż po lekko zawinięty koniec na piersi. Zorientowała się, że go rozluźnia; rozplatał warkocz i rozpuszczał jej włosy.

Usta miał bardzo surowe, ale palce przeczesujące włosy niezwykle delikatne. Czowała dziwne zamieranie w sercu, jakby przestawało bić - podobnie jak się to działo z całą resztą świata.

- Rachel - usłyszała, choć było to raczej westchnienie, wypuszczenie powietrza, które oboje wstrzymywali.

Już całkiem rozpuścił włosy. Pasemka zaczepiały o stwardniałą skórę palców, lgnęły do nich. Poglądził jej brodę tak leciutko, jakby myślał tylko o tym, że jej dotknie.

- Rachel - powtórzył tak cicho, jakby tylko w myśli wymawiał to imię.

Ona jednak usłyszała w tym szepcie i dostrzegła na jego twarzy echa tych samych pragnień, jakie sama miała. Chciała dotknąć jego ust. Chciała dotknąć tych ust swoimi ustami.

Jedno z jagniąt zabczało głośno, z oburzeniem. Przestraszyli się i odskoczyli od siebie.

Ręka Kaina, która przed chwilą na krótko dotknęła jej twarzy, powędrowała teraz do pudełka po sucharach i pieściła dziecko starej maciorki. Rachel uświadomiła sobie, co ta ręka robiła i co mogła robić. Co to za straszny, przerażający i czuły mężczyzna!

Jagnię uderzało łebkiem w rękę Kaina, biorąc szorstką, pełną blizn dłoń za wymię matki.

- Podejrzewam, że to biedne maleństwo obudziło się głodne - powiedziała Rachel, zdumiona, że z takim oporem wydobywają się słowa ze ściśniętego gardła.

Podniósł jagnię jedną ręką, chwyciwszy je za skórę na karku. Nie widziała nigdy, żeby ktoś tak robił.

- Lepiej niech się pani pójdzie trochę przespać - rzekł. Wyjął z jej sztywnych palców butelkę ze smoczkiem. - Ja się nim zaopiekuję.

Nie odniosła wrażenia, że jakąś trudność sprawiało mu wypowiedzenie słów. Może to, co dostrzegła na jego twarzy, w ogóle nawet nie istniało. Z łatwością potrafił pozbawiać swoją twarz wszelkich myśli, wszelkich uczuć, tak że wyglądała jak wyciosana z kamienia.

- Proszę iść do łóżka - powtórzył, bo nie ruszyła się z miejsca.

Chciała zostać, jeszcze z nim porozmawiać i znów poczuć dotyk jego ręki. I chciała jego dotknąć.

Zamiast tego wstała i odeszła na nogach tak niepewnych jak nowo narodzone jagnię. Przy drzwiach do swojej izby odwróciła się i spojrzała na niego.

Na silnej lewej ręce trzymał dziecko starej maciorki, tulił je do piersi, a ono, wymachując małym ogonkiem,

łapczywie ssało mleko z butelki. Oczy mężczyzny, uśmiech, dotyk - wszystko to koncentrowało się na jagnięciu.

- Johnny - powiedziała, ale tak cicho, że mogła usłyszeć tylko ona.

XI

- Och, biedaku, kto cię tak uwiązał?

Rachel przyklekła na wilgotnej trawie i zaczęła ciągnąć za węzły na mokrej lince splecionej z surowej skóry. MacDuff powitał ją skomleniem i uderzaniem w ziemię ogonem. Warował z położonymi na łbie uszami i nosem wetkniętym między łapy. Jeden koniec linki był zawiązany na jego szyi, drugi omotany na słupie ogrodzenia.

Rozwiązując węzły, przeszukiwała wzrokiem brzeg potoku i łąki, czy nie dojrzy gdzieś Benja. Widziała oczywiście owce i bobra siedzącego obok obgryzionego pieńka i pazurami czeszącego sobie futerko. Zobaczyła parę epoletników krasnoskrzydłych śpiewających w wierzbach. Ale ani śladu syna.

Nie miała pojęcia, dokąd mógł pójść tak wcześnie rano w dzień nabożeństwa i co robił, że nie chciał, by MacDuff z nim pobiegł. Zabierał go ze sobą wszędzie, czasami nawet do szkoły, i nie myślał o tym, że głównym zadaniem owczarka powinno być bieganie za owcami, a nie za Benjem Yoderem.

Rachel podniosła się i nawinęła linkę na zgiętą rękę, tak jak to robili kowboje. MacDuff nie cieszył się z tego, że jest wolny. Wetknął jeszcze bardziej nos między łapy i spoglądał na nią smutnymi oczami. Przypominała sobie, co się przydarzyło synowi, gdy ostatnim razem zawędrował zbyt daleko od domu, i ogarnął ją lęk.

Nagle MacDuff się zerwał, zaczął radośnie szczeekać i pognął do lasu oddzielającego ich farmę od domu Weaverów. Spośród sosen i modrzewi wypadł Benjo i biegł tak szybko, że aż igliwie wylatywało w górę. Rachel odczuła ulgę i słabość w nogach.

Chłopiec zobaczył MacDuffa i zatrzymał się jak wryty. Obrócił głowę w stronę okólnika. Ramiona mu opadły, gdy zobaczył matkę. Słyszała niemal, jak westchnął, z ociąganiem kierując się w jej stronę. Szedł wolno, ze wzrokiem utkwionym w ziemię. MacDuff podskakiwał obok, uderzając ogonem w jego kapotę.

- Co robiłeś? - spytała głosem ostrym, kryjącym resztkę lęku, gdy się do niej dowłókł. Był spocony i zadyszany, jakby biegł nie tylko szybko, lecz i długo. Spodnie miał zamoczone do kolan i zachlapane błotem. Nie patrzył jej w oczy. - Josephie Benjaminie, zadałam ci pytanie i teraz będę wdzięczna za odpowiedź.

Twarz mu pobladła, a potem zrobiła się czerwona jak wiosenna truskawka.

- N... n... n... nic!

- I co to było za „nic”, że nie chciałeś wziąć ze sobą MacDuffa?

Ściągnął usta, wzruszył ramionami. Obcasem buta złobił w błocie rowek; a dopiero wczoraj wieczorem posmarowała but czernidłem. Już miała go za to zbesztać, gdy zobaczyła krew pod paznokciami i w zgięciach jego ręki.

- Nie poszedłeś chyba z procą zabijać zajęcy dla zabawy, co?

Znów zmienił się na twarzy, pobladł. Potrząsnął głową, ale jego oczy nie były niewinne.

Pchnęła go lekko w stronę pompy na podwórku.

- Idź się umyć. No, idź! Nie chcemy się spóźnić na nabożeństwo właśnie dzisiaj...

Umilkła, bo chłopiec i pies byli już w połowie drogi do pompy; obaj biegli beztróskim krokiem grzeszników, którym dopiero co wybaczone. Ruszyła za nimi, zasepiona. Jej syn robi coś, czego nie powinien robić, i na dodatek kłamie. Miała ochotę potrząsnąć nim i wydobyć z niego prawdę. Chciałaby też przywiązać go linką do słupka okólnika, zatrzymać w domu, z dala od niebezpieczeństw.

- Och, Benjo! - wyrwało jej się z westchnieniem.

Wyprostowała się, odwróciła znowu w stronę okólnika i zdjęła czarny czepek ze słupka, na którym go powiesiła, zanim zabrała się do odwiązywania MacDuffa. Nasadziła czepek na czepiec modlitewny i zawiązała pod brodą szeroką czarną wstążkę, odchylając głowę do tyłu, by spojrzeć w spokojne i lekko zamglone niebo wiosną w Montanie.

Uwielbiała tę porę roku, gdy ziemia ogrzewała się jakby od wewnątrz i wybuchała tęczową wspaniałością kolorów. Na wierzbach grubiały prześliczne czerwone pączki. Kwiaty floksików ścieliły się na ziemi, różowe i wonne. I wysoko na zboczach wzgórz szalwia przedzierzgała się wreszcie ze stalowo-szarych zimowych łądyg w miękką pierzastą zieleń.

Rachel roześmiała się, gdy na pastwisku zbudziło się jagnię i przestraszone podskoczyło na sztywnych nogach jak pasikonik. A kiedy opadło na ziemię, zderzyło się łebkiem z innym barankiem, płosząc całe stado.

Głośne prychnięcie konia przedarło się przez jej śmiech, obróciła się więc, uśmiechając się od ucha do ucha. Innowierca wyprowadził ze stodoły ich starą pociągową kobyłę i stał teraz na podwórku z lejcami w ręce, patrząc na nią.

Rachel przebiegł dreszcz jakby jasnovidzenia, miała takie uczucie, że ta chwila pewnego dnia okaże się ważniejsza, prawdziwsza od innych. Może jednak chodziło o to, że cała tarcza słońca pojawiła się właśnie nad zamglonym horyzontem, by oświetlić świat, i zerwał się wiaterek, który łagodnie i słodko dmuchał w jej twarz.

- Czyż to nie przepiękny dzień? - powiedziała, podchodząc do Kaina. - Cały świat jakby opromienia uśmiech Boga.

Odwrócił się tyłem i zaczął zaprzęgać konia do wolantu. Słowa i uśmiech Rachel zawisły w powietrzu, a potem wolno zaczęły zanikać.

- Co sprawiło panią dziś rano w taki doskonały nastrój? - spytał w końcu.

Trudność sprawiało mu przymocowanie postronka do orczyka, bo choć przed paroma dniami odrzucił temblak, wciąż miał gips na rękę, doktor Henry jeszcze go nie zdjął. Rachel pochyliła się, chcąc mu pomóc, i otarła się ramionami. Ładnie pachniał mydłem laurowym i kawą.

- Taka jestem rada, że jedzie pan z nami na nabożeństwo, panie Kain.

- No, cóż, myślę, że powinna pani się wstrzymać z tą radością, póki nie zobaczymy, jak to wyjdzie.

Minęły dwa miesiące od czasu, gdy pojawił się w ich życiu, i blisko miesiąc od owej pierwszej słodkiej nocy wiosennych miotów. W tym okresie ostatnie ślady zimy spłynęły do potoków i strumieni, dni zrobiły się dłuższe i wszystko się zazieleniło. W tym też czasie wszyscy prostaczkowie, jak to mieli w zwyczaju, zbierali się w co drugą niedzielę, by wielbić Pana. Lecz bez innowiercy. A wczoraj wieczorem, gdy karmili nowe jagnięta pod piecem, Rachel powiedziała:

- Proszę jutro pojechać z nami na nabożeństwo.

- Dlaczego? - spytał, nie dziwiąc się, niemal z uśmiechem.

- Żeby nas poznać, zobaczyć, jacy jesteście... i tej niedzieli nabożeństwo odbędzie się na farmie mojego ojca.

Zapadło milczenie, jak to często bywało.

- Oni nie będą chcieli mnie tam widzieć - odezwał się po jakimś czasie.

Nie mogła zaprzeczyć słuszności tych słów. I co by to dało jemu, co by to dało jej, gdyby poznał prostą i wąską drogę i zrozumiał ją, kiedy i tak nigdy nie mógłby zostać jednym z nich?

- Pojadę - oznajmił nagle.

- Dlaczego? - spytała ona z kolei.

- Dlatego - odparł - że pani o to prosiła.

Teraz, tego ranka, świeżo ogolone policzki mu błyszcząły, a włosy były jeszcze mokre po umyciu. Wypucował buty, wyczyścił surdut i włożył czystą koszulę Bena. Te koszule wyglądały na nim inaczej niż na Benie. Prezentowały się elegancko, nawet bez kołnierzyka i chustki na szyi.

Jechał z nimi na nabożeństwo, a dzień wprost kipiał wiosną. Rachel się uśmiechała, patrząc, jak sięgał ręką, żeby wyprostować łańcuch. Wówczas surdut się rozchylił, odsłaniając skórzany pas z nabojami i kaburą na biodrach.

Cofnęła się, potykając, o krok, dalej od niego.

- Panie Kain, nie może pan wziąć ze sobą broni. Jedziemy na nabożeństwo, nie na zawody strzeleckie.

Uniosło się rondo kapelusza, gdy zadarł głowę, żeby na nią popatrzeć. Jego oczy, twarz, cała postawa wyrażała bezwzględność.

- Prosi pani o zbyt wiele - rzekł;

- Niemniej proszę.

Zostawił ją, pomaszerował przez podwórkę do pasterskiego wozu. Wszedł do środka, nie zwracając sobie głowy zamykaniem drzwi, a ona pomyślała: *T e r a z o d e j d z i e . O d e j d z i e , n i e z a m i e n i w s z y z e m n ą s ł o w a , i t o o d e j d z i e n a z a w s z e .*

Z wozu wyszedł z winczesterem. Niósł strzelbę tak, jakby ją przywiązał do ręki. Zdjął natomiast pas z koltem. Biodra wydawały się wąskie i dziwnie gołe bez pasa z nabojami.

Przeniósł wzrok ze strzelby na twarz Rachel i po raz pierwszy dojrzała w jego oczach jakiś rodzaj ostrożnej dumy.

- Zostawię ją w wolancie, kiedy dojedziemy na farmę pani ojca - oświadczył.

Pokiwała głową z gardłem zbyt ściśniętym, by mówić, i wsiała do wolantu. Przybiegł pędem Benjo, otrząsając wodę z rąk, a za nim MacDuff. Chłopiec popatrzył na nią prosząco, z pytaniem w oczach, ale Rachel potrząsnęła głową. Z głośnym westchnieniem odesłał psa do pilnowania owiec. Kain podsadził chłopca na drewniane siedzenie obok matki i dołączył do nich.

Klepnął kobyłę w zad lejcami, brzęknęła uprzęż. Żelazne koła, skrzypiąc, ruszyły z miejsca i chlupotały w błocie podwórka.

Przejechali, stukocząc, przez mostek nad potokiem i zaczęli wjeżdżać pod górę. Rachel się obejrzała. Ostatnia gromada maciorek i ich młodych wyszła na pastwisko. Jagnięta, upojone życiem, trykały się łebkami i wierzgały kopytkami. Maciorki, wychudzone po karmieniu swoich dzieci, żarłocznie przeżuwały słodką zieloną trawę.

„Kolejna pora miotów zbliża się do końca - pomyślała - nadeszła następna wiosna”. Pamiętała te wszystkie niedziele, kiedy patrzyła na farmę, gdy wolant, przejechawszy przez mostek, zaczynał wjeżdżać pod górę w drodze na nabożeństwo. W pierwszym roku ich pobytu tu, w Miawie, Benjo był niemowlęciem i spał na siedzeniu między nią a Benem w pudle po sucharach. Teraz jej dziecko nie było już nawet chłopcem, lecz wyrastało na mężczyznę. A po drugiej stronie obok niego, na miejscu jej męża, siedział innowierca.

Mówiła do siebie w myślach, że to nie to samo, choć jedzie z nią wolantem i zajmuje miejsce Bena. Nie, zupełnie nie to samo, bo przypomina męża tylko pod pewnymi względami. Na przykład tym, że potrafi ją rozśmieszyć

przekomarzaniem, i tym, że porusza się z taką gracją mimo wysokiego wzrostu i wielkiej siły. Potem sobie przypomniała, że wystarczyło, by przed chwilą na niego popatrzyła przez podwórko, i cały świat się dla niej zmienił. Zmieniło się nie tylko słońce i wiatr, ale i to, co miała w głębi serca. Tak się czuła z Benem, gdy jeszcze chodzili ze sobą, a czasami nawet po siedemnastu latach dzielenia z nim łóża, stołu i codziennych zajęć gospodarskich. Brakowało jej tchu, bolało ją w piersiach, czuła kamień w brzuchu. Napięta skóra stała się jakby przyciasna i wydawało się, że się rozerwie, jeśliby dotknął jej ręki. Albo wypowiedział jej imię.

Zdjął swojego sześciostrzałowca. Zrobił to dla niej. Była pewna, że zrobił to dla niej.

Obróciła się tyłem do farmy i poprawiła na twardym drewnianym siedzeniu. Nareszcie nie dmuchał dziko wiatr i koła wolantu skrzypiały w ciszy. Benjo z ukosa zerkał na Kaina. Ściągnął wargi, mięśnie szyi pracowały gorączkowo, gdy usiłował wydostać z gardła słowa.

Pierwszy wyraz wyrwał się z mgielką śliny.

- D... dobrze, że w końcu p... p... pan jedzie na n... nabożeństwo z nami. B... bo teraz będzie pan mógł zobaczyć wszystkich tych, którzy chcą się z mamą o... o... żenić i ubiegają się o nią.

Rachel obróciła głowę. Dziobnęła palcem syna w żebra. Podskoczył i odsunął się, ale twarz miał wciąż od niej odwróconą.

Innowierca klepnął lejcami zad i cmoknął na wlekącą się kobyłę.

- Twoja mama ma dużo konkurentów, prawda?

Benjo energicznie pokiwał głową.

- Prz... prze... przede wszystkim jest diakon Weaver. Wszyscy myślą, że on ma największe szansę.

- Aha, wszyscy tak myślą. Dobry sąsiad i stary przyjaciel taki jak on.

- J... jest też Joseph Zook. A... ale wszyscy uważają, że on ma małe szansę, bo jest naprawdę stary. Z nosa i uszu wyrastają mu włosy i ma sztuczną szczękę. - Benjo zrobił minę. - 1 pierdzi podczas n... nabożeństwa, a potem rozgląda się i patrzy na ciebie, jakbyś to ty zrobił ten wielki s... smród.

- Benjo! - Rachel nad głową swojego niezdolnego syna zerknęła na innowiercę. Niebieskie oczy mrużył w uśmiechu pod miękkim rondem kapelusza; drgał mu kącik ust.

- Myślę, że lepiej niech pani wykreśli tego faceta ze swojej listy, pani Yoder - powiedział. - Mężczyzna, który pierdzi w kościele... no, przecież mógłby to robić gdzie indziej.

Benjo aż podskoczył z radości.

- P... potem jest Ira Chupp. Jego ż... żona umarła całkiem dawno i teraz on o... obcuje z tymi Jezabelami, co mieszkają w „Czerwonym Domu”.

- Josephie Benjaminie!

- I p... pociąga chyłkiem rabarbarowe wino, nawet kiedy nie jest to niedziela zgromadzenia.

Kain tak mocno wciągnął policzki, że wydawało się, iż zamierza gwizdnąć.

- To musi być naprawdę zły człowiek, ten Ira Chupp. Lepiej też go wykreślić. I kto jeszcze?

- E... Ezra Fischer. Mówi słodkie słówka, ale ma m... małe, zezowate oczka, zupełnie jak ziarenka d... dyni. I jest taki s... skąpy, że zdarłby skórę nawet z pchły.

- Ezra Fischer jest zycznym człowiekiem - oświadczyła Rachel. - To nasz Yorsinger, przewodzi psalmom w czasie nabożeństwa. Potrafi jodłować jak strzyżyk na wiosnę. A co więcej, wcale nie jest skąpy. On tylko wierzy, że jeśli będzie dbać o swoje centy, to dolary zadbają o siebie. Nieładnie z twojej strony, Benjo, że mówisz takie rzeczy, nawet gdyby to była prawda.

Benjo przewrócił oczami i zrobił niewinną minę. Myślałaby, że to anioł wcielony, gdyby go nie znała.

- M... Mutter Anna Mary powiedziała dokładnie to s... samo, i nikt na nią nie krzyczał z tego powodu.

Johnny Kain i chłopiec wymienili spojrzenia. Innovierca nakreślił w powietrzu wymyśloną krechę na wymyślonej liście.

Rachel wbiła wzrok w czubek łba kobyły, w punkt gdzieś między uszami. Szturchnęła znowu syna w żebra, tym razem łokciem. Nie miała pojęcia, co go opętało, że prowadzi taką rozmowę. Zaczęłyby go niemal podejrzewać o bawienie się w swata, ale przecież wiedział, że kobieta z prostaczków i innowierca nigdy pobrać się nie mogą. To było zakazane.

- Twoja mama, Benjo, ma całkiem długą listę konkurentów. - Kain znowu klepnął lejcami zad kobyły. - Wio, ty leniwa stara szkapo! Jeśli będziesz się wlec wolniej, to pojedziemy do tyłu... Założę się, że wszyscy, łącznie z diakonem Weaverem, nie mieliby nic przeciwko temu, by położyć rękę na jej zasilanych przez potok pastwiskach.

- Chlubienie się swoimi doczesnymi majątkościami lub pożądanie majątkości innych jest niezgodne z naszymi zasadami - sprostowała Rachel. - Istnieją też w naszym Kościele przepisy zakazujące prób wykorzystywania do osiągnięcia wyższej pozycji czegoś takiego jak ziemia.

- Przepisy, he? Możecie sobie ustanawiać dowolne przepisy, a one i tak nie zmienią natury człowieka. A w naturze ludzkiej leży pożądanie pastwisk zasilanych przez potok.

Rachel nic nie odpowiedziała. Uniosła głowę i patrzyła w stronę dalekich gór spowitych wiosenną mgłą. Zabolą ją - i nic na to nie mogła poradzić - że on tak łatwo zakładał, iż ci mężczyźni pragnęli ziemi, a nie jej samej. Gdyby był na ich miejscu, najprawdopodobniej myślałby przede wszystkim o tych zasilanych przez potok pastwiskach.

Gdyby wpadło mu w ogóle do głowy, żeby się do niej zalecać.

Zresztą po tamtej jednej nocy nigdy więcej już nie pozwoliła sobie na odkrycie włosów w jego obecności. A on ani razu nie zbliżył się do niej, by jej jakoś specjalnie dotknąć, ani razu też nie wymówił jej imienia.

- Nie będę słuchać więcej opowieści o tym, że zarabia pan na swoje utrzymanie. Będę panu płacić wynagrodzenie jak pracownikowi najemnemu - zapowiedziała pod koniec pierwszego tygodnia miotów.

Wykrzywił usta w tak typowym dla siebie przekornym uśmiechu.

- Ile to będzie wynosić?

- Dolar dziennie oraz mieszkanie i jedzenie.

- Tak? To więcej, niż kiedykolwiek zarabiałem. W każdym razie w uczciwy sposób.

- Och, panie! - wykrzyknęła, zaniepokojona jego żartem. On żartuje, na pewno... Nie chciała, by jej przypominano to, że tak krańcowo różni się od Bena. By przypominano grzechy, które musiał popełniać, niegodziwe życie, które musiał prowadzić, zanim przyszedł, slaniając się na nogach, na jej łąkę.

Powiedziała więc:

- Najmę pana do końca lata i na okres krycia owiec. - Żeby nie myślał, iż jest samotną wdową, która zakochała się po uszy w przystojnym innowiercy.

- Tylko do końca lata, pani Yoder - odparł wówczas. A ona wiedziała oczywiście, że kiedyś to się musi skończyć. I tak być powinno.

Wszystko inne bowiem było zakazane.

Bryczki, wolanty i wozy stały szeregiem na pastwisku biskupa Isaiaha Millera niczym wieprzki przy korycie. Żadna z rodzin prostaczków z własnej woli nie opuściłaby nigdy nabożeństwa, nawet w porze miotów.

Kiedy innowierca starał się wepchnąć ich wolant na zacienione miejsce po północnej stronie jagniątkarni, podbiegł ku nim chudy jak tyka chłopak. Miał pomagać w wyprzęganiu koni, ale zobaczywszy Johnny'ego Kaina z lejcami w ręce, stanął jak wryty. Wytrzeszczył oczy i skulił się, jakby przewidywał, że człowiek ten lada chwila eksploduje jak petardy podczas obchodów święta Czwartego Lipca.

- Rozdziawiłeś tak szeroko usta, Levi Millerze! - krzyknęła z wolantu Rachel do swego najmłodszego brata - że cud będzie, jeśli nie wpadnie ci do nich mucha.

Chłopak zamknął usta i poczerwieniał jak burak. Ale Levi, piętnastolatek, najmłodsze dziecko Millerów, rumienił się z byle powodu.

Rachel, śmiejąc się, wysiadła z wolantu. Prostaczkowie nie należeli do ludzi okazujących publicznie swoje uczucia, a prawdę mówiąc, prywatnie też nie. Ona jednak uściśnęła brata, co wywołało u niego następną falę rumieńców. Szare oczy, nadal wielkie jak srebrne dolarówki, utkwiał w innowiercę.

Choć Levi Miller tak się zachowywał, nie po raz pierwszy oglądał na własne oczy osławionego desperado. Był wprawdzie okres miotów i młodych jagniąt, najgorętszy okres w roku, ale niemal każdy mieszkaniec doliny - mężczyzna czy chłopiec, a i większość kobiet - znalazł w ostatnim miesiącu wolną chwilę, by wpaść na farmę i rzucić okiem na Johnny'ego Kaina. Rachel uważała, że co najmniej kilkadziesiąt razy opowiadała o nim, jak slaniając się na nogach i brocząc krwią, szedł przez jej łąkę. Lecz nawet ci, którzy odwiedzali ją kilkakrotnie, nie wydawali się zmęczeni słuchaniem tej opowieści.

Potem zwracali się do niej w ich języku, *deitsch*, tak by on nie mógł zrozumieć.

- A więc jaki on jest, ten innowierca? Jaki to rodzaj człowieka?

Rachel sama się zastanawiała.

Innowierca, przy całej swojej nerwowości skrywanej pod pełnym uroku sposobem bycia i często goszczącym na ustach uśmiechu, okazywał niezwykłą cierpliwość, gdy wszyscy jej znajomi i cała rodzina gapili się na niego i obgadywali w nie znanym mu języku. Niemniej zawsze wyciągał sześciostrzałowca z kabury, kiedy usłyszał stuk kopyt lub skrzypienie kół wozu wjeżdżającego na podwórko.

Tego ranka nie wziął jednak swojego kolta ze względu na Rachel, żeby sprawić jej przyjemność. Udawał nawet, że nie zauważa, jak się na niego gapi jej brat.

Rachel trąciła brata w kościste ramię.

- Wrosłeś w ziemię? Idź i pokaż panu Kainowi, gdzie paść konia.

Wyprostowała wstążkę czepka, zawiązaną na kokardę, i wygładziła fartuch. Nie musiała się rozglądać, by zauważyć ludzi « kojących grupkami przed wrotami stodoły i plotkujących przed nabożeństwem. Wszyscy nagle zamarli i z otwartymi gębami i wytrzeszczonymi oczami gapili się na wolant Yoderów.

Benjo pobiegł do innych dzieci, które zgromadziły się za jagniątkarnią wokół stawu, gdzie o tej porze co roku leżały się kijanki.

- Nie waż się używać procy na biedne żaby! - zawołała za nim Rachel, ale on oczywiście udał, że nie słyszy.

Czekała, kiedy Levi i innowierca wyprowadzą kobyłę przez bramę w pobliskim płocie z okorowanych i pobielonych sosnowych pni ustawionych w zygzak. Ogradzał pastwiska tak bujnie zielone jak jej, zasilane przez potok.

Na jednej dużej łące w kształcie podkowy pasło się na słodkiej wiosennej trawie stado owiec i jagniąt, gdy

tymczasem spokojnie rosła sobie na nich cenna wełna. Na innej, mniejszej łące zgromadzono kilka maciorek, które jeszcze się nie okociły.

Łąki otaczały dom jej ojca: piętrowy, nie zbudowany z obrobionych topolowych bali, lecz z tarcicy. Z obu stron tuliły się do niego jak schodki dwa mniejsze budynki. W jednym mieszkał jej starszy brat Sol, w drugim, nazywanym *Daudy Haus*, prababka, *Mutter* Anna Mary. Starzy ludzie tradycyjnie mieszkali w osobnych domach, ale nie byli odizolowani od młodszych generacji. Ganek z białą balustradą opasywał wszystkie trzy budynki, łącząc je niczym girlanda ze stokrotek.

Biskup Isaiah Miller miał największą i najlepszą owczą farmę w całej dolinie, a to głównie dzięki Solowi, starszemu bratu Rachel. Ten poważny, łagodny mężczyzna i stary kawaler poprosił o przydzielenie mu ziemi obok ziemi ojca, a następnie połączyli ze sobą obie działki osadnicze. Biskup spędzał większą część czasu na modlitwach, na studiowaniu Pisma Świętego i na pasaniu swojej ludzkiej trzódki, podczas gdy najstarszy syn doglądał owiec.

Rachel się zastanawiała, czy innowierca uwierzy, że pozycja Isaiaha Millera w Kościele opiera się na modlitwach i duchowym przewodnictwie, a nie na wielkości i bogactwie jego farmy.

Kain przeszedł przez bramę sam, bez Leviego. Posłał jej swój słodki szelmowski uśmiech. Ciekawa była, jaką sama ma minę, skoro on uważa, że musi się do niej w taki sposób uśmiechać.

Poszli razem w stronę stodoły, gdzie miało się odbyć nabożeństwo. Przeszli wzdłuż rzędów bryczek i wozów pozbawionych tylnych oparć i fartuchów, uchwytów na bat i stopni, z siedzeniami z gołych desek. Niespokojny wzrok Kaina zatrzymał się przez chwilę na dużym szarym wozie z wyglądu przypominającym karawan.

- Używamy tego wozu do przewożenia ławek na nabożeństwo - powiedziała Rachel. - Za każdym razem urządzamy je w innej stodole. Rodzina, u której nabożeństwo odbywało się ostatnim razem, przywozi tym wozem ławki na następne. Nasz Kościół tworzą wierzący, nie mamy jakiegoś jednego stałego miejsca.

Nic nie powiedział. Nie patrzył już na ten wóz, a Rachel nie miała pojęcia, o czym myśli. Nigdy zresztą nie miała pojęcia, jakie myśli chodzą mu po głowie. Ani gdy żartował i leniwie się uśmiechał, co tak ją pociągało, ani gdy zacięcie i ponuro milczał, budząc w niej strach - nigdy nie wiedziała, co on naprawdę czuje.

Potem zaczęła zastanawiać się nad sobą, o czym sama myśli i jakie nadzieje wiąże z tym dniem. Chciała, żeby innowierca zobaczył ich Kościół, bo była to przecież część składowa jej samej, kościec jej życia. A przy tym wiedziała, że nawet zobaczywszy go, innowierca i tak nigdy naprawdę nie zrozumie. I tak nie będzie to miało dla niego żadnego znaczenia.

Kiedy zbliżali się do milczącego tłumu przed stodołą, Rachel poczuła nerwowe drżenie w ciele i machinalnie wygładziła fartuch. Trzeba będzie ponieść konsekwencje swoich czynów. Co innego wziąć do siebie innowiercę, którego się znalazło na własnej łące postrzelonego i wykrwawiającego się na śmierć, a co innego wynająć go jako pomocnika, a już zupełnie co innego przywieźć ze sobą na nabożeństwo.

Poszukała wzrokiem ojca. Ze wszystkich zgromadzonych tu dzisiaj ludzi to od niego głównie będzie zależało, czy pozwoli się innowiercy pozostać przez czas jakiś między nimi. Lecz ojciec był już w stodole, gdzie jak zwykle przed każdym nabożeństwem spotykał się z dwoma innymi duchownymi, Noahem Weaverem i Amosem Zookiem.

Bracia z całą pewnością demonstrowali zbiorowy pogląd Millerów. Stali rzędem w świeżo wyczyszczonych świątecznych luźnych kapotach, obszernych fałdzystych spodniach i filcowych kapeluszach z szerokim rondem: wyglądali jak łańcuch wyciętych z papieru laleczek. Spoglądali na innowiercę spode łba, Jakby mu życzyli wiecznego zatracenia.

A raczej to Abram i Samuel spoglądali spode łba. Levi gapił się i rumienił. Sol, któremu wielkie i szlachetne serce nie pozwalało na spoglądanie złoźrogo, patrzył tylko na nią, i to z troską na twarzy. Sol nie odprawiłby innowiercy, a przynajmniej nie bez modlitw i rozważań. Inaczej niż reszta braci. Samuel był z gatunku tych, co skaczą głową w dół do wartkiej rzeki, nie dbając o to, czy jest wystarczająco głęboka. A tam, gdzie skoczy Samuel, skoczy też Abram.

Samuel oderwał się od grupy i pomaszzerował w stronę siostry i innowiercy, inni ruszyli za nim jak liście poruszone wiatrem. Zatrzymał się przed nią z rękami na biodrach i sterczącą długą czarną brodą.

- Co ty wyrabiasz, sprowadzając go tu?

Rachel wysunęła do przodu brodę. Samuel zawsze musiał się na coś złościć. Dawno już się nauczyła, że można dać sobie z nim radę tylko wtedy, gdy się mu postawi.

- Pan Kain przyjechał, żeby być świadkiem nabożeństwa. To nie jest zabronione.

Rozległo się głośnie parsknięcie Abrama. Niektórzy myśleli, że Abram ma kiepską głowę, głównie dlatego, że nigdy nie przyszło mu do niej nic, co by wcześniej nie powstało w głowie Samuela.

- To nie jest zabronione - powtórzyła Rachel. - A ty, nasz Abramie, parsz chorym wieprzek.

- On nie zrozumie ani jednego słowa, jakie usłyszysz - rzekł Samuel. - Zanudzi się.

- Zanudzi się na śmierć - wtórował mu Abram.

Mówili teraz w swoim języku, toteż innowierca przypuszczalnie nie zrozumie ani słowa z tego, co słyszy. Lecz Rachel uważała, że może się domyślić intencji, jakie kryją się za słowami.

- A co nas obchodzi, że się zanudzi - tłumaczyła w języku *englisch*. - Mówiłam mu, że może wyjść, kiedy zechce,

i to nas nie urazi. Odmówicie mu szansy modlenia się i czczenia Boga wraz z nami?

- On jest innowiercą - zauważył Samuel w języku *deutsch*.

- *Englischer*. - Abram skrzywił usta.

- W oczach Boga jest człowiekiem - powiedziała Rachel po angielsku.

- Raczej chyba synem samego diabła - sprostował Samuel po angielsku.

Cztery pary szarych oczu Millerów mierzyły Kaina od stóp do głów, czworo szerokich ust Millerów wykrzywiło się. Nawet Sola. Syn samego diabła patrzył na nich leniwymi przymrużonymi oczami i twarz miał zupełnie bez wyrazu, jak maskę, którą potrafił sobie naciągnąć.

- Ona ma rację - odezwał się Sol. Mówił tak cicho, że wydawało się, iż słowa wychodzą z karczka jego koszuli, nie z ust. Lecz gdy Sol mówił, inni zawsze słuchali. - Przynajmniej co do nabożeństwa - dodał. - Nie jest zabronione, jeśli on chce przyjść i być świadkiem.

- Aach... - Samuel machnął ręką, jakby odganiał natrętną muchę. - I tak prędko się zmęczy. O wiele wcześniej, niż zacznie mu się wydawać, że pęka mu krzyż i cierpnie tyłek.

Levi zachichotał. Samuel i Abram wymienili znaczące uśmiechy.

Właśnie wtedy, jakby dano jakiś niewidzialny sygnał, kobiety zaczęły wchodzić do stodoły. Dzieci przybiegały od stawu, dziewczęta szły z kobietami, chłopcy dołączali do grupek mężczyzn. Benjo miał chyba coś w kapeluszu i śmiejąc się, pokazywał Leviemu, który popędził do niego, żeby to zobaczyć. Rachel nie mogła wykluczyć, że jej syn przyniósł żabę na nabożeństwo.

Lecz nawet żaba byłaby milej widziana od Johnny'ego Kaina. Rachel obróciła się ku niemu, odczuwając dziwną potrzebę pozostania z nim, strzeżenia go - co było śmieszne, bo jej bracia nie wyrządzą mu przecież żadnej, choćby najmniejszej krzywdy. Na całej ziemi zapewne nie było bezpieczniejszego miejsca dla Johnny'ego Kaina niż tutaj, tu i teraz.

- Muszę iść - powiedziała. Pragnęła go dotknąć, choćby w jakiś nieznaczny sposób, ale nie śmiała. Nie dotknęłyby go nawet wtedy, gdyby byli sami. - My, kobiety, zawsze siedzimy oddzielone od mężczyzn.

Posłał jej pytające spojrzenie, którego nie potrafiła odczytać. Potem na jego ustach pojawił się jeden z tych beztroskich uśmiechów, w których było też coś dzikiego.

- Proszę się o mnie nie martwić, pani Yoder. Gdybym czekał, aż mnie zaproszą, nigdzie bym nie zaszedł... Ale zostałem z a p r o s z o n y, pamięta pani? Przez panią.

- Nie chodzi o to, że inni pana nie chcą, tylko po prostu...

A jednak go nie chcieli i trudno było im się dziwić. Kiedy patrzyła na niego, gdy tak stał naprzeciwko jej braci, uświadomiła sobie, jak bardzo odmienny jest od nich wszystkich.

Och, jej bracia różnili się od siebie wyglądem. Samuel miał włosy i brodę czarne jak skrzydła szpaka i dużą kwadratową szczękę, zawsze wysuniętą do przodu, przebojem szedł przez życie; Abram - cień Samuela - był mniej masywny, o orzechowych włosach i takiej samej brodzie; Sol w ogóle nie miał włosów na głowie, a broda sterczała niczym wronie gniazdo; Levi jeszcze nie miał ani wyraźnych rysów, ani osobowości. Tak, wyglądali odmiennie, ale w głębi duszy byli tacy sami, gdy chodziło o wiarę, wartości i tradycję.

Jej bracia z otwartymi, poczciwymi twarzami, ubrani jak prostaczkom przystało, stojący ramię w ramię, ludzie bojący się Boga - to ludzie dobrzy. Tymczasem on...

On to JohnnyKain, rewolwerowiec. I obcy pod każdym względem.

- Muszę iść - powtórzyła. I odeszła niemal biegiem.

Udała się na drugą stronę podwórka, gdzie stały w małych grupkach kobiety. Zwolniła kroku na widok matki. Wstyd wycisnął swoje piętno na ustach i w oczach Sadie Miller; ramiona uginały się pod jego brzemieniem. W świecie, w którym kobietę osądza się według tego, jak wychowała córki - Rachel była klęską matki.

Tuż przy matce, po obu jej stronach, jakby potrzebowała oparcia i podtrzymania, stały synowe. Dwie młode kobiety, każda z dzieckiem trzymanym na biodrze. Jednocześnie podnosiły wolną rękę, żeby poklepać Sadie po ramieniu. Jednocześnie skłaniały głowę jakby w cichej modlitwie.

Abram, który podążał wszędzie i zawsze za swoim bratem Samuelem, ożenił się też zaraz po nim i wziął sobie taką samą kobietę za żonę albo niemal taką samą, żeby nie popaść w grzech. Velma i Alta były bliźniaczkami i to tak podobnymi do siebie, że nikt poza mężami nie potrafił ich odróżnić. Miały nie tylko takie same jasne włosy, brody z dołeczkami i wygięte w łuk usta, lecz także jednakowe piskliwe głosy, takie same kapryśne uśmiechy, w taki sam sposób mrugały identycznymi dużymi orzechowymi oczami, kiedy jednocześnie się zmieszały. Żyły, myślały, a nawet oddychały synchronicznie.

Tuż obok tych trzech kobiet Millerów, a jednak jakby w pewnym stopniu osobno, stała niezamężna siostra Noaha, Fannie. Ramiona miała cofnięte trochę do tyłu i pierś uniesioną, jakby zrobiła właśnie głęboki wdech i teraz nie chciała wypuścić powietrza z płuc. Obróciła głowę, żeby spojrzeć na Rachel, marszcząc nos i ściągając usta.

Rachel tak bardzo pragnęła do nich podejść, że aż w piersiach czuła ból. Myślała, że zdoła znieść mrugające oczy bliźniaczek i ściągające usta Fannie Weaver, ale nie znieś wstydu matki.

Poszła więc w stronę ogrodzenia z sosnowych pni ustawionych zygzakiem, zdjęła czepek i powiesiła go na

górnym drągu obok innych. Czarne czepki wiszące rzędem przypominały kubelki z węglem.

Stała tam przez chwilę samotna, a nawet roztrzęsiona. Zanim się znowu odwróciła, wszystkie starsze kobiety, żony i wdowy, już weszły przez duże, przesuwane, podwójne wrota i zniknęły w cienistym chłodzie stodoły. Rachel pozostawiono, by dołączyła do *Meed*, dziewcząt i młodych niezamężnych kobiet.

Buwe - młodzi kawalerowie - stali po obu stronach wrót, przyglądając się wchodzącym dziewczętom. Dziewczęta patrzyły prosto przed siebie, ale mile się uśmiechały i lekko rumieniły. Ubrane były w białe chusty, białe fartuchy i czarne modlitewne czepce na znak swojego panieństwa. Lecz uśmiechy i rumieńce, zdaniem Rachel, i tak je zdradzały.

Pamiętała, jak to jest, gdy jest się młodą, obserwowaną i pożądaną. Tylko że ona nigdy nie była jak inne dziewczęta prostaczków. Zawsze, przechodząc obok *Buwe*, w ostatnim momencie gwałtownie obracała głowę i przyłapywała najpierw zaszokowany wzrok Noaha, a potem śmiejące się oczy Bena.

I ponieważ to pamiętała, dbała, by nie obrócić głowy tej niedzieli. Ben nie będzie się opierał jednym ramieniem o wrota stodoły, a jego ciemne oczy nie będą zerkać na nią spod ronda kapelusza, gdy będzie przechodzić obok. Za to inni tam są. Tej niedzieli będzie też przyglądać się innowierca. I może pożądać.

W stodole panowała ciężka i duszna cisza.

Był to czas oczekiwania, chwile mijające powoli, ale bogate w obietnicę tego, co miało nadejść. Rachel wdychała zapach koni, krów i siana, niedzielny woń krochmalu i mydła, i czernidła do butów. Z czułością wędrowała wzrokiem po szachownicy białych i czarnych czepców przed sobą.

To było jej życie.

I nie chodziło o to, że bardziej czuła Boga w tym momencie i w tym miejscu, bo Bóg był z nią zawsze i wszędzie. Lecz w tym czasie oczekiwania, w tej ciszy, z rodziną i przyjaciółmi wokół siebie, Rachel Yoder czuła się bezpieczna. I kochana. Usiadła na twardej ławce bez oparcia i zatraciła się w tej ciszy. Dla niej już samo przebywanie tu było braniem udziału w nabożeństwie.

Wzrok Rachel błędził po ławkach mężczyzn. Innowierca siedział ściśnięty między jej dwoma braćmi, Solem i Samuelem. Syn też siedział z mężczyznami, siedział jak trzeba, z rękami na kolanach i pochyloną z szacunkiem głową. I akurat w tej chwili obrócił się na siedzeniu, napotkał wzrok innowiercy i wskazał na plecy siedzącego przed nim mężczyzny, plecy Josepha Zooka. Benjo powachlował ręką w powietrzu i zatkał sobie nos. Rachel musiała zagryźć wargi, żeby powstrzymać się od śmiechu.

Zamknęła oczy. „Och, Panie Boże - modliła się. - Dzięki Ci za to, że pobłogosławiłeś mnie darem mego syna. Dzięki Ci, że pobłogosławiłeś mnie życiem i miłością, i śmiechem”.

Modlitwa przechodziła w bezładne myśli. Cisza się przeciągała; w pewnej chwili mężczyźni podnieśli ręce, jakby na komendę, zdjęli z głów filcowe kapelusze i położyli je pod ławkę. Rozległo się ciche pst, przypominające stłumione westchnienie.

Podniósł się Ezra Fischer, wolno szurając nogami.

Oczy Ezry Fischera rzeczywiście były małe i przymrużone; wyglądały jak dwa dołki zrobione w gładkiej okrągłości policzków i czoła. Kapotę miał wyświechtaną na łokciach i obszarpaną przy mankietach, i nawet na łąkach widniały łąty. Wszyscy wiedzieli, że Ezra nie sprawi sobie nowej kapoty, dopóki ta z niego nie spadnie. „Ale to dobry człowiek” - pomyślała Rachel, choć nie potrafiła sobie wyobrazić siebie jako jego żony.

Ezra Fischer otworzył usta i przez chwilę się wydawało, że pokona go ta gęsta, otulająca cisza. Lecz zaraz rozległ się jego głos - dźwięczny tenor tak czysty i ostry, że aż przenikał duszę.

Z odrzuconą do tyłu głową, z oczami zwróconymi ku Panu, Ezra Fischer przeciągał pierwszą nutę psalmu, jakby była tak drogocenna, że nie mógł się od niej oderwać. Reszta mężczyzn dołączyła teraz do niego.

Męskie głosy - głębokie, mocne - wznosiły się wolno, falami ku krokwiom. Głosy kobiet, wysokie i słodkie, wmieszały się w niskie tony męskiego śpiewu, tworząc jedną czystą pieśń, która ulatywała w górę, w górę, teraz już poza krokwie, pod niebiosa, by dosięgnąć uszu Boga.

Śpiewali stary psalm żałobny, a jednak piękny, o wygnańcach wędrujących po ziemi. Każde słowo ciągnięto długo i wolno, w śpiewnej kadencji, tak aż psalm sam stawał się swoim własnym światem oczekiwania.

Śpiewano nie wieloma, lecz jednym głosem, i ten wspaniały dźwięk uosabiał ich jedność. Od trzystu lat prostaczkowie śpiewali ten psalm w taki właśnie sposób i tak zawsze będzie. „Albowiem Twoje jest królestwo, potęga i chwała, na wieki wieków”. Na wieki wieków. „Przeżywamy całe swoje życie, gdy śpiewamy nasze psalmy - myślała Rachel. - Wolno i niezmiennie, zawsze razem. Jedno ciało, jeden umysł, jeden duch”.

I jakże słodka była w tym pociecha dla niej, dla nich wszystkich, jak przypuszczała. „Nigdy się nie zgubisz, jeśli zawsze będziesz kroczyć prostą i wąską drogą”.

Odchyliła do tyłu głowę, a psalm rozbrzmiewał w jej krwi i opanował serce, przekształcając się w burzę radości i zachwytu. Powolny śpiew obmywał ją, oczyszczał i napełniał uczuciem jedności z Bogiem. Śpiewali i śpiewali, jakby pogrążyli się w wieczności.

A potem umilkli nagle, ucinając ostatnie słowo, ostatnią nutę, jakby ręka samego Boga zakryła im usta. Raz jeszcze zapanowała cisza - cisza i słodkie uczucie oczekiwania.

Rachel siedziała na twardej ławce bez oparcia z twarzą uniesioną ku Bogu, z ustami rozchylonymi, z zamkniętymi oczami i dopiero gdy poczuła ostry ból w piersiach, zorientowała się, że przestała oddychać. Zacerpnęła łyk powietrza i powoli otworzyła oczy na świat, który się chwia i wirował. Przepeniała ją taka radość i chwala Pana, że mogłaby niemal od nich pęknąć.

Kiedyś Ben powiedział, że gdy śpiewa psalmy, wygląda, jakby była w ekstazie. Wciąż oszołomiona i zadyszana, popatrzyła na męską stronę stodoły, niemal oczekując, że zobaczy tam swojego Bena. Tymczasem napotkała wzrok innowiercy.

Przypatrywał jej się bacznie ze srogim wyrazem twarzy. Szybko odwróciła głowę. A czas, który zdawał się trwać w zawieszeniu, niczym unoszony w słonecznym świetle, które wlewało się przez szczeliny w krokwiach, zafalował nagle i ruszył z miejsca.

* * *

Noah Weaver stanął przed zbozem.

Wolno i uważnie mierzył wzrokiem każdego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko, chcąc się upewnić, czy wszystko jest tak, jak nakazuje *Attnung*, czy wszyscy przestrzegają prostej i wąskiej drogi. Policzył fałdy w czepcach modlitewnych, szukał guzików, szelek, innych zabronionych rzeczy. Kiedy się przekonał, że wszyscy ubrani są należycie, skinął głową z aprobatą. Należało to do jego obowiązków diakona, a Noah znany był z tego, że serio traktuje swoje obowiązki.

Zanim znowu usiadł, raz jeszcze zlustrował milczące i pochylone głowy. Jeśli zdziwiła go obecność wśród nich innowiercy, to nie dał tego po sobie poznać. Potem jego oczy napotkały oczy Rachel i wyraz bólu przemknął mu po twarzy. Rachel miała ręce złożone na podolku. Nie mógł nic zarzucić jej strojowi, to wiedziała, ale co by było, gdyby mógł zobaczyć pod chustą, starannie skrzyżowaną na piersiach i spiętą szpilkami, kłębiące się w sercu tęsknoty i wątpliwości?

Noah wolno i ciężko zasiadł na swoim miejscu w pierwszym rzędzie ławek, a poruszał się tak, jakby dźwigał na potężnych barach kłodę. Rachel wpatrywała się w tył jego głowy ze ściśniętym gardłem. Kapelusz odcisnął na włosach ślad niczym pierścień. „Ten wrąbek we włosach sprawia, że wygląda na dziwnie bezbronno - pomyślała. - Bardziej na mężczyznę niż na diakona, mężczyznę ze wszystkimi słabościami i niedostatkami”. Miała ochotę podejść do niego i przygłodzić mu włosy, zlikwidować ten ślad.

Przez długą chwilę wszyscy siedzieli w ciszy i czekali. Potem podniósł się biskup Isaiah Miller, co znaczyło, że on dzisiaj pierwszy ma wygłaszać kazanie. Będą dwa kazania, potem dawanie świadectwa, modlitwy i czytanie Pisma Świętego oraz śpiewanie następnych psalmów; wszystko to potrwa ponad trzy godziny.

Ojciec Rachel stał na środku stodoły. Był krzepki i wysoki; brodę miał czarną i wełnistą, ale od czubka głowy w dół biegło we włosach białe pasmo podobne do pręgi na grzbiecie skunksa. Obudził się z tym pasmem owego ranka, gdy miał sen-wizję, która skłoniła ich do porzucenia swoich siedzib w Ohio i osiedlenia się w tej dzikiej i pustej krainie. Wszyscy uznali to białe pasmo, które nagle pojawiło się we włosach biskupa Millera, za znak boskiego błogosławieństwa.

Podniósł teraz głowę i zaczął mówić.

Wspominał dawne czasy, w starym kraju, gdy prostaczkowie cierpieli prześladowania z powodu swojej wiary: palono ich i kamienowano, wieszano na krzyżu i biczowano, obcinano im języki, ręce i stopy. Mówił tak, jak śpiewali psalmy - wolno i monotonna. Jednakże w jego szarych oczach gorzała w mroku stodoły taka sama pasja jak w słowach.

Rachel chwilami słuchała tych starych znanych opowieści. Czasami zaś pozwalała, by słowa przez nią przepływały, a sama pogrążała się we własnych myślach. Czowała woń zupy fasolowej gotującej się w wielkim żelaznym kotle na podwórku. Łowiła słuchem gdakanie kur grzebiących w słomie w stodole, beczenie owiec ojca na pastwisku. Powietrze zgęstniało jak przed burzą. Głos mówiącego ściszył się do niskiego pomruku.

Wróciła z powrotem do świata. Musiało upłynąć sporo czasu, bo ojciec mówił teraz o tym, jak to cnotliwi, prześladowani, wypędzeni ze swoich domów, przemierzając niebezpieczne wody oceanu, wieźli ze sobą jedyną prawdziwą wiarę. Lecz i tutaj, w kraju wolności i obfitości, musieli znosić przeciwności; cierpieli i ponosili straty.

„Mój Ben - pomyślała. - Och, mój Ben, mój Ben, uduszony, powieszony na sznurze! Jeśli rzeczywiście jesteśmy ludem wybranym, to dlaczego Bóg zmusza nas do takich cierpień?”

Odsunęła od siebie tę myśl. Słuchała swojego ojca, biskupa. Mówił o woli bożej, o tym, że do zbawienia zawsze dochodzi się przez poddanie się, przez akceptację. Znajome słowa uderzały w nią jak porywy wiatru; wyobrażała sobie, że Bóg podaje jej te słowa w swoich dłoniach - słowa prawdy, światła i pociechy - podczas gdy ten głos, głos ojca, nasilał się i przycichał, łagodny i kojący. Pamiętała, że w dzieciństwie co rano klęczała w kuchni i słuchała tego drogiego głosu odczytującego poranne modlitwy. To wspomnienie wryło jej się w serce tak jak słowa Boga z dużej czarnej rodzinnej Biblii.

Poranne klęczenie w kuchni... Rachel wędrowała wzrokiem wzdłuż rzędów modlitewnych czepców, bo odczuła nagłą potrzebę zobaczenia twarzy matki. Sadie Miller oczy miała zamknięte, usta otwarte - spała. Kosmyki siwych włosów wymknęły jej się spod czepca. Twarz miała zniszczoną, naznaczoną czasem i pustą.

Te poranki, klęczenie w kuchni... jasne słoneczne światło wlewające się przez nie osłonięte okna, złożone dłonie,

pochylone głowy, Rachel i jej bracia rzucający cienie na zniszczoną dębową podłogę. I ich *Vater* - człowiek głębokiej i surowej wiary, a jednocześnie tak dobrotliwy - rzucający wielki cień na nich wszystkich. W jej wspomnieniach zawsze brakowało tylko cienia mamy. Czyżby światło słońca nie sięgało tam, gdzie w milczeniu klęczała Sadie Miller?

„Lecz oni - pomyślała Rachel - nie patrzyli na mamę jak na osobną istotę, coś oddzielonego od nich. Nie przyszłoby im nawet do głowy zastanawiać się, czy Sadie Miller ma swoje własne uczucia, marzenia, pragnienia”.

Kiedy Rachel wracała wspomnieniami do tych chwil ze swojego życia - zarówno nijakich, jak i cudownych - nigdy nie mignął w nich choćby cień matki. W dniu gdy wychodziła za Bena i gdy w kuchni swego dzieciństwa klęczała ostatni raz, tego ranka ojciec po skończeniu modlitwy objął ją ramieniem i przytulił do siebie, jakby nie mógł znieść myśli, że ona odejdzie. Bracia uśmiechali się do niej i żartowali z biednego Bena, że nie wie, co go czeka. Rachel zapragnęła zatrzymać tę chwilę śmiechu i miłości przy swojej piersi, tak jak trzymała ojca. Żeby trwała wiecznie. I gdzież w tym wspomnieniu była mama? Czy matki tam nie było, czy też Rachel nawet się nie odwróciła, żeby ją zobaczyć?

Wzdłuż rzędów ławek podawano czerpak z wodą. Velma podała go teściowej, nie zauważywszy, że tamta śpi. Woda chlapnęła na kolana matki. Sadie poderwała głowę i otworzyła oczy. Najpierw wyglądała na zaskoczoną, że przyłapano ją na drzemce podczas kazania, a potem rumieniec zalał jej szyję i policzki. Rachel poczuła bolesny ucisk w piersiach i wciągnęła powietrze, by się od niego uwolnić. Pragnęła, by mama popatrzyła w jej stronę, tak by mogła się do niej uśmiechnąć, ale Sadie Miller utkwiała wzrok w powiększającą się mokrą plamę na kolanach.

Biskup Miller zbliżał się do kulminacyjnego punktu swojego kazania. Kiwał głową i monotony rytm jego słów stawał się coraz szybszy i ostrzejszy.

Kilka osób wierciło się na twardych ławkach, spodziewając się końca. Benjo machał nogami, szeleszcząc głośno słomą, i dostał klapsa w kolano od wujka Samuela.

Isaiah Miller wyjaśniał, że przez wszystkie swoje cierpienia prostaczkowie kroczą śladami Jezusa Chrystusa, który poddał się tak całkowicie woli Ojca - cierpiał i umarł na krzyżu. Rachel słuchała słów biskupa i próbowała schować je w sercu na później, gdy pojawią się wątpliwości.

- „I bili głowę jego trzcina i plwali nań. I wiedli go, aby go ukrzyżowali. A ci, którzy mimo chodzili, bluźnili go, chwając głowami swojemi, i mówiąc: «Jeżliś jest Syn Boży, ratuj samego siebie, a zstąp z krzyża!» Mówili: «Dufał w Bogu, niechże go teraz wybawi, jeśli się w nim kocha; boć powiedział: jestem Synem Bożym...»”

Przymknęła oczy. Ujrzała górę i trzy krzyże na tle ciemnego, umęczonego nieba. Ujrzała mężczyznę, krwawiącego, torturowanego, umierającego. Ujrzała, jak odrzucił głowę do tyłu i krzyknął w rozpacz.

I nagle zrozumiała, co oznaczała groza w oczach Johnny'ego Kaina.

B o ż e m ó j, B o ż e m ó j, c z e m u ś m i ę o p u ś c i ł?

XII

Rachel wyszła z chłodnego mroku stodoły. Zalana nagłą powodzią słonecznego światła, mrugała oczami i niemal się potknęła. Po całym tym bezruchu, ciszy i oczekiwaniu podczas nabożeństwa świat wydał jej się teraz wirem dźwięków i ruchu.

Wzięła swój czepki i oparła się o płot ustawiony w zygzaki, kładąc ręce na pobielanym drągu. Nad górami zbierały się chmury, ale tu w dolinie była wiosna, błękitne niebo i ciepłe podmuchy wiatru.

Zauważyła kokon wiszący na liściu szkarłatki. Niewielka jedwabna torebeczka drgnęła, a potem zamarała. Zerwała liść tuż przy łądźce i położyła kokon na złożonej dłoni.

Usłyszała za sobą kroki: ktoś szedł po trawie. Kiedy się obejrzała, zobaczyła, że Johnny Kain zmierza w jej stronę krokiem niemal tanecznym i eleganckim. „Powinien zeszytnieć - pomyślała - po trzech godzinach siedzenia na twardej ławce bez oparcia i słuchania kazań i modlitw, które jemu z pewnością musiały wydawać się jakimś bełkotem”. W czasie długiego nabożeństwa Johnny Kain siedział równie cicho i w pełnym bezruchu jak reszta uczestniczących w nim osób. Rachel jednak przez cały czas czuła, że on ma świadomość jej obecności, czuła niemal muskające ją ciepło w powietrzu.

- Nie zaszkoził panu - zapytała, gdy podszedł do ogrodzenia i stanął obok niej - taki długi i niebezpiecznie bliski kontakt ze zbawieniem, panie Kain?

- Niewiele brakowało. Tak mnie wzruszyliście, że bliski byłem wołania: alleluja!

Odrzuciła wzrok. Zdumiała się, że żartuje z tak poważnej rzeczy jak zbawienie duszy. Pragnęłaby cofnąć te słowa, ale, rzecz jasna, było za późno. Słowa są niebezpieczne - raz wypowiedziane nie mogą zostać odwołane.

Będzie musiała zapamiętać, że on potrafi ją skłonić do mówienia i robienia różnych nieprzystojnych rzeczy.

Zauważył kokon w jej ręce i nachylił się, żeby mu się przyjrzeć; znalazł się tak blisko, że poczuła jego oddech na policzku. Końcem palca dotknął poruszającego się kokonu.

- Nie wystarczy w domu jagniąt do karmienia, musi więc pani wziąć sobie jeszcze poczwarkę motyla?

W domu. Wiedziała, że pewno nie miał zamiaru czegoś takiego powiedzieć, niemniej się uśmiechnęła.

- Do wieczora ten motylek będzie na swobodzie latał z wiatrem.

Przez jakiś czas stali w milczeniu.

- Nie słyszałem nigdy tak śpiewanych psalmów - powiedział po chwili. - Brzmią jak dzwony w czasie pogrzebu, bijące wolno i smutno.

Zastanawiała się, czy to znaczy, że podoba mu się ich śpiew. Miała ochotę zapytać, czy dostrzegł choćby przeblysł Boga w tej ciszy, w oczekiwaniu, w psalmach, które przypominały mu bicie dzwonów pogrzebowych. Zamiast tego powiedziała:

- Jest tu ktoś, kogo chciałabym, żeby pan poznał. I chciałabym też, żeby ta osoba poznała pana.

- To pani matka?

Potrząsnęła głową. Gdyby przyprowadziła Johnny'ego Kaina do matki i powiedziała: „Chcę, żebyś spojrzała na tego mężczyznę, mamó, i zobaczyła w nim nie innowiercę, lecz mężczyznę, z którym przychodzę, by...” - Znów potrząsnęła głową. Nie mogła nawet dokończyć tej myśli.

Milcząc, odeszła od ogrodzenia i ruszyła przez podwórze; jemu pozostawiła decyzję, czy pójdzie z nią, czy też nie.

Prostaczkowie ponownie gromadzili się na podwórzu w gronie przyjaciół i rodziny. Mężczyźni rozmawiali o miotach i o tym, że łagodna zima zapowiada słabe sianokosy tego lata. Kobiety rozmawiały o następnym wesołym wieczorze przy szyciu kołder i o nowym przepisie na ciasto z kwaśną śmietaną. Zapadła cisza, gdy się odwrócili, by odprowadzać wzrokiem Rachel i innowiercę, którzy szli obok siebie w stronę dużego domu biskupa Millera.

Ominęli wielki żelazny kocioł zawieszony na trójnogu nad ogniem. Owiała ich para przesycona zapachem fasolówki.

- Jest pan głodny? - spytała.

Zerknął do tyłu na bulgocący kocioł.

- Byłem. - Przechylił głowę, żeby jej się przyjrzeć. - Ale ponieważ nagle zrobiła pani tak uroczystą minę, poczułem się jak koniokrad w drodze do sędziego.

- Prowadzę pana do *Mutter* Anny Mary. Ona jest naszą *Braucher*, to znaczy potrafi leczyć za pomocą dotyku. To wspaniały dar od Boga: bierze się z wiary, która sięga głębiej niż środek ziemi. Jest bardzo stara i bardzo mądra. Nie wolno panu z niej żartować.

Poklepał się teatralnie po kieszeniach.

- Faj, szanowna pani, myślę, że miałem tu gdzieś jakieś maniery. - Uśmiechnął się, ale kiedy nie zrewanżowała się tym samym, obiecał: - Będę grzeczny.

- To jest babka mojego ojca, ale my wszyscy, od najmniejszego dziecka do starego Josepha Zooka, nazywamy ją *Mutter*, matką, bo niemal z nami wszystkimi związana jest przez małżeństwo lub węzły krwi. To są nasze korzenie.

Siedziała na bujaku z wierzbowego drewna na werandzie przy *Daudy Haus*. Nigdy nie była wysoką kobietą, nawet w młodości, a z biegiem lat jeszcze się zmniejszyła i teraz zostało z niej niewiele więcej niż wysuszona skóra i drobne kości. Kiedy Rachel wchodziła po schodkach ganku, stara kobieta uniosła głowę. Czaszkę pod czepcem miała łysą, a marmurkową skórę napiętą na kościach. Oczy przypominały dwa gładkie mlecznobiałe kamyki. Od przeszło pięćdziesięciu lat była kompletnie ślepa.

- Rachel, moje szalone dziecko - powiedziała, choć Rachel nie wydała jeszcze żadnego dźwięku, jeśli nie liczyć stukania obcasów na deskach podłogi i szelestu spódnic. - Co zrobiłaś?

Rachel uklękła i włożyła listek z kruchym kokonem w rękę staruszki.

- Przyniosłam ci motyla. Myślę, że będzie lazurowy, jak się wylęgnie. - Jedwabna torebka zatrzęsła się i drgała, a na zapadniętych ustach staruszki zawitał uśmiech. - I przyprowadziłam Johnny'ego Kaina.

Rachel wstała z klęczek. Innowierca przykucnął na jej miejscu przed *Mutter* Anną Mary. Staruszka wciąż trzymała kokon z motylem na pergaminowej brązowej dłoni, ale wyciągnęła drugą rękę, i on ją ujął. Spoglądała na niego mlecznymi niewidzącymi oczami i on też na nią patrzył.

- Zabiłeś swojego brata.

Powiedziała to prosto z mostu, brutalnie. Nie zareagował na jej oskarżenie. Ani nie wyrwał ręki z jej dłoni.

Pierś staruszki podnosiła się i opadała wraz z oddechem.

- I zaoferujesz swojemu Bogu jedynie milczenie, gdy ci powie: „Cóżżeś uczynił? Głos krwi brata twego woła do mnie z ziemi”. Jesteś tak pełen dumy, Johnny Kainie?

- Tak. - To słowo wymknęło mu się niemal jak oddech, ale dodał: - Nie przepraszam za to, co zrobiłem, i nie staram się zmienić.

Staruszka obróciła pomarszczoną twarz ku niezbyt ciepłemu wiosennemu słońcu.

- Im dalej uciekniesz, tym dłuższa stanie się droga powrotu. Myślę, że jesteś dość nieustępliwy we wszystkim. Nawet w skrusze.

- No cóż, szanowna pani, ja to widzę tak: pokajać się nie jest tak trudno. Ale przestać grzeszyć - z tym może być problem.

- Czy myślisz, że skoro twoje słowa są prawdziwe, to mniej bolesne dla Boga?

Wyjęła rękę z jego dłoni i opuściła ją na kolana. Przez chwilę milczała; Kain nie ruszył się z miejsca i spoglądał w niewidzące oczy, które już na niego nie patrzyły, a jednak wszystko widziały.

- Twoja ręka przeżyła więcej niż trzeba - powiedziała *Mutter* Anna Mary.

- I ucierpiała - przyznał. - A pani ręce wielu uleczyły, tak przynajmniej mi mówiono. Może tak właśnie matka natura wyrównuje stan rzeczy. Pani leczy, ja zabijam.

Rachel podskoczyła i uderzyła w oparcie fotela, który zakołysał się z lekkim skrzypieniem.

- Mężczyźni zaczynają ustawiać stoły na kozłach i ławki do wspólnego posiłku - wtrąciła. - Może powinien pan im pomóc, panie Kain.

Innowierca przycisnął dłoń zdrowej ręki do uda i wolno się podniósł.

- Poznanie pani było dla mnie prawdziwą przyjemnością - rzekł. Zajrzał na ułamek sekundy w oczy Rachel, po czym się odwrócił. Obcasy jego wysokich butów stukwały w wolnym tempie, gdy szedł wzdłuż werandy, a potem po schodkach.

- Odesłałaś go - powiedziała *Mutter* Anna Mary.

Rachel uklękła obok bujaka. Oparła policzek na kolanie prababki. Po chwili poczuła, że palce staruszki gładzą czarną bawełnę jej czepka.

- Co zobaczyłaś? - spytała Rachel. Żadnej z nich nie przyszło do głowy, że to dziwne pytanie wobec ślepej kobiety.

- On jest złamany - odparła *Mutter* Anna Mary.

J e g o r a d o ś c i ą j e s t z a b i j a n i e. Był więcej niż złamany, był zmiażdżony, i Rachel wiedziała, że naprawić go się nie da. Zresztą nie było nawet rzeczą stosowną, żeby to ona próbowała tego dokonać.

Stare palce, delikatne, pewne, przesunęły się pod skrajem czepca i pogłaskały jej policzek.

- Przeprowadziłaś go do mnie, bo liczyłaś na to, że dojrzę głęboko ukrytą w nim dobroć, duszę zasługującą na ratunek. A potem się przestraszyłaś, że zobaczę za wiele, i czym prędzej go odesłałaś. On ma duszę, Rachel. Nawet ten najgorszy z Kainów, który zabił brata swego, Abła, miał duszę. Lecz na skutek tego, co zrobił, Bóg uczynił go zbiegiem i tułaczem i usunął z oblicza ziemi.

Rachel uniosła głowę. Nie wiedziała, że płacze, póki nie poczuła powietrza chłodzącego jej wilgotne policzki.

- Ale, *Mutter*, dlaczego Bóg nie może mu przebaczyć? Gdybyś widziała jego oczy tego dnia, gdy zjawił się u mnie.

Mutter Anna Mary nie poruszyła się, nie odezwała. Wciąż trzymała na dłoni kokon. Rachel widziała teraz przez nieprzezroczystą powłokę poczwarki niebieskie skrzydła motyla.

Kokon zadygotał i chuda brązowa dłoń zwinęła się wokół niego na chwilę, jakby chcąc go osłonić.

- „Tedy rzekł Kain do Pana: Moja kara za winę jest zbyt wielka, by ją znieść”. I pewno była wielka, choć nie większa, niż na nią zasłużył. Dla kogo chcesz uratować tego innowiercę, moje szalone dziecko, dla Boga czy dla siebie?

Rachel czuła, że prawda pali jej twarz: policzki płonęły i zalały się rumieńcem, jakby za blisko nachyliła się do gorącego pieca. W pewnym sensie lepiej, że to ktoś inny nazwał jej grzech. Łatwiej teraz będzie przyznać się w końcu do niego - choćby tylko przed sobą.

- Chcę go poznać. Chcę zrozumieć, jak może być taki, jaki jest - powiedziała.

- Ale to, co poznasz i zrozumiesz, możesz też pokochać.

Rachel milczała. Na podwórku bawiły się dzieci, klaszcząc w ręce, a ich śmiech przypominał dźwięk dzwoneczków przy saniach.

Pierś staruszki uniosła się przy głębokim oddechu, lecz już nic nie powiedziała. Dla Rachel pokochanie innowiercy było czymś tak złym, tak niemożliwym, że nie dającym ująć się w słowa.

Kokon nagle drgnął i niemal podskoczył. *Mutter* Anna Mary roześmiała się cicho.

- Popatrz, Rachel. Lęgnie się.

Rachel nachyliła się niżej. Poczwarka otwierała się z jednego końca.

- Wkrótce poleci.

- Jeśli utrzyma się taka pogoda, to w porze strzyży temperatura będzie jak ta zupa - powiedział Samuel Miller, gdy Rachel postawiła przed nim glinianą miskę pełną po brzegi parującej zupy fasolowej. Nie mówił jednak do niej, tylko do innych mężczyzn siedzących wraz z nim przy stołach ustawionych na kozłach.

Wspólny posiłek całego zboru było jedynym jedzeniem, podczas którego prostaczkowie nie zachowywali milczenia. Kobiety zawsze jadały osobno i najpierw obsługiwały mężczyzn. Z rzadka przyłączały się do ich rozmowy.

- O, nasz Sam martwi się tylko o to, że od potu popłami mu się wełna - odezwał się Abram. Urwał kęs suchego chleba, zanurzył go w zupie i włożył do ust. Wyszczrzył zęby i mrugnął do brata, a wszyscy roześmiali się z żartu.

Biskup Isaiah Miller gładził brodę, jakby miał zamiar przemówić autorytatywnie, ale oczy mu się śmiały.

- Gorące wiosenne dni to ostrzeżenie ze strony Boga, że nadchodzi lato. Myślę zatem, że lepiej ostrzec najpierw owce mojego Samuela. Czyż wszyscy nie powiedzielibyście tak samo, moi bracia w Chrystusie? Zanim będzie mieć szansę wytworzenia dużej ilości pary.

Mężczyźni znowu się roześmiali, a i Rachel się uśmiechnęła. Usiłowała uchwycić wzrok Kaina, ale on i jej syn,

siedzący obok siebie, dzielili się jakimś własnym żartem, gdy półmisek marynowanych ogórków i buraków przejeżdżał przed ich nosem. Benjo się skrzywił, przybierając minę znamionującą przesadny wstręt.

Diakon Noah Weaver, siedzący po drugiej stronie Benja, zmarszczył czoło, widząc ich zachowanie.

Mężczyźni zrobili miejsce przy stole dla innowiercy, ale potem go ignorowali. Rozmawiali w swoim języku i prześlizgiwali się wzrokiem nad nim, jakby był duchem, którego nie mogli zobaczyć. Takie izolowanie go było zrozumiałe i akceptowane przez wszystkich, łącznie z nim samym.

„Zapewne się przyzwyczaił do tego, że jest outsiderem - pomyślała Rachel. - Nawet wśród swoich”.

Usłyszała kroki za sobą i przestraszyła się, przewidując, że przyłapano ją na patrzeniu na tego mężczyznę. Zakręciła się na pięcie, wytrącając niemal miskę z zupą z rąk Fannie Weaver.

Udała, że się uśmiecha.

- Och... Fannie. Czy to zupa dla mojego *Vatera*?

Twarz Fannie ściągnięta była jak zaciśnięta pięść. Rachel zmuszała się nadal do uśmiechu.

- Daj, ja mu ją zaniosę.

Wzięła w ręce miskę, ale Fannie trzymała ją mocno; skończyło się na tym, że każda ciągnęła miskę w swoją stronę. Gorąca fasolówka chlupnęła przez brzeg i sparzyła palce Rachel.

Fannie pewno też, bo szybko ją puściła i obróciwszy się na pięcie, odeszła. Rachel pośliniła poparzone palce.

Wytarła fartuchem zupę z miski, zanim zaniosiła ją na koniec stołu, gdzie siedział i czekał jej ojciec. Był biskupem, powinien więc zostać pierwszy obsłużony, ale okazując właściwą prostaczkom skromność, nalegał, by podano mu zupę na ostatku.

Mężczyźni pograżyli się w poważnej debacie o pracach, jakie ich czekają w nadchodzącym lecie, o sianie, które trzeba będzie skosić w przyszłym miesiącu, a także o strzyży. Kiedy nadejdzie lipiec, owce trzeba będzie popędzić z domowych pastwisk w góry, tam będą się tuczyć na bujnej trawie bizonów.

Rachel zaczęła na przerwę w rozmowie, zanim postawiła zupę przed ojcem.

- Jeśli wy, mężczyźni, zamierzacie rozmawiać o takich rzeczach jak sianokosy i strzyża, i o planach letniego wypasu - powiedziała - to lepiej róbcie to po angielsku, bo wynajęłam go do prowadzenia mojej farmy na czas krycia owiec.

Cisza, jaka zapadła przy stole, była niczym grom z jasnego nieba. Wszyscy mężczyźni odwrócili głowy i spojrzeli najpierw na nią, potem na biskupa Millera.

Lecz ojciec Rachel milczał. Podniósł do ust łyżkę z parującą zupą i dmuchał na nią. W pełnej napięcia ciszy dmuchnięcie zabrzmiało tak głośno jak podmuch wiatru.

Bracia Rachel wymienili zaniepokojone spojrzenia. Noah Weaver obrócił się w stronę innowiercy, a potem z powrotem ku niej. Na skórze jego twarzy powyżej brody wystąpiły czerwone plamy.

Rachel poczuła lekkie mdłości, ale głowę miała uniesioną. Najęcie innowiercy do pracy na farmie prostaczków nie było niezgodne z tradycją. Wielu z tych, którzy siedzieli przy stołach, płaciło baskijskim pasterzom za pilnowanie ich owiec w lecie. A kiedy jeszcze mieszkali w Ohio, nawet jej ojciec często brał innowiercę do pomocy podczas żniw.

Wiedziała jednak, co powiedziałby ojciec: „Najmowano chłopców, którym jeszcze nie wyrosła broda, a zatem nie skażonych przez świat”.

- Myślę, że to tłumaczy, dlaczego wynajęłam pana Kaina. On może przejąć czynności, które przypadają na Bena w czasie sianokosów i letniego wypasu owiec - powiedziała.

Noah stłumił śmiech, który wrywał mu się z gardła.

- I zajmie też miejsce Bena przy strzyży?

- Człowiek potrzebuje obu zdrowych rąk, żeby należycie ostrzyć owcę, a on ma jedną rękę złamaną.

- Już nie nosi temblaka, a gips zostanie zdjęty na długo przed strzyżą.

Noah odwrócił znów głowę i wycelował w innowiercę swoją brodę.

- Taki światowy człowiek jak ten oto, z wszystkimi swoimi rewolwerami, wyszukanym strojem i z n a j o m o ś c i ą rzeczy, pewno wyobraża sobie, że ostrzyżenie stufuntowego barana dla takiego pretensjonalnego światowca jak on musi być równie łatwe jak wyplucie słomki.

Ponieważ mówili teraz po angielsku, innowierca bez trudu mógł zrozumieć słowa prostaczka. A także ukrytą w nich zniewagę.

Lecz Kain obdarzył Noaha uśmiechem słodkim jak miód. Tylko Rachel, która zaczynała go poznawać, dojrzała ostrze w tym uśmiechu.

- No cóż - powiedział, przeciągając słowa możliwie jak najdłużej - smutna prawda jest taka, że aż dotąd strzyżenie owcy nie figurowało wśród moich zajęć. - Jego oczy nabrały wyrazu dzikości. - Mam za to wystarczającą praktykę w rozpoznawaniu wyzwania, które mi się rzuca.

Samuel parsknął śmiechem i wskazał kciukiem na innowiercę.

- Bracie Noahu, próbujesz wydusić wstyd z kogoś, kto nie zna wstydu, jak on.

- *Ja* - huknął Abram. - Będziesz miał tyle samo szczęścia, wymuszając z niego wstyd, bracie Noahu, ile on, oddzielając maciorkę od jej runa. A my będziemy już strzyć dziesiątą owcę, zanim on upora się z pierwszą.

- Nie możecie urządzać zawodów w strzyżeniu z człowiekiem, który nie robił tego nigdy przedtem - protestowała Rachel. - To nie jest w porządku.

- Kto tu mówi o jakichś zawodach? - odezwał się Noah. Benjo niecierpliwie usiłował przekazać mu dzbanek z jabłeczniakiem, który podawano sobie wokół stołu, ale ten nie zwracał na chłopca uwagi. Rzucił pogardliwe spojrzenie na innowiercę i rozciągnął usta w wymuszonym uśmiechu. - Mówię tylko, że on nie wytrzyma nawet godziny strzyżenia, a co dopiero cały dzień!

- A jeśli wytrzymam?

Noah odsłonił więcej zębów.

- Już powiedziałem, że nie wytrzymasz, innowierco.

- I przypuszczam, że wy, s k r o m n i prostaczkowie, na pewno wtedy mi pokażecie, co? Wasz Bóg daje nagrodę temu z was, kto ostrzyże najwięcej owiec, prawda?

Noah przymknął oczy, schylił głowę i Rachel wiedziała, że się zawstydził przyłapany na próżności. Na dodatek przez *Englischera*.

A zapalczywy brat Rachel, Samuel, pochyliwszy się przez stół, skierował trzonek łyżki w innowiercę.

- Może mamy ci pozwolić zabrać ze sobą pukawkę na letni wypas owiec. Może te twoje rewolwery przydadzą się, gdy kojoty przyjdą w odwiedziny do ciebie i owiec.

Johnny Kain omiótł spojrzeniem stół i zatrzymał wzrok na ojcu Rachel. Isaiah starannie wycierał kawałkiem chleba dno swojej miski.

- Sądzę - rzekł innowierca - że wasz biskup powiedziałby: „Dobry pasterz duszę swoje kładzie za owce”.

Isaiah wolno uniósł głowę. Pokiwał nią, a jego długa, gęsta broda ocierała mu się o koszulę.

- *Ja*. To słowa Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Przez chwilę panowało pełne zaskoczenia milczenie, po czym Samuel machnął ręką w dramatycznym geście.

- Jakże zatem jesteśmy szczęśliwi, moi bracia w Chrystusie, że mamy wśród nas tego dzielnego innowiercę, który zajmie się kojotami - zakpił.

- Wielkimi, złymi kojotami. - Abram się zaśmiał.

Noah położył dłonie na stole i tak mocno przycisnął je do siebie, że aż mu drżały. Głowę skłonił jak do modlitwy, potem jednak ją uniósł i Rachel zobaczyła, że twarz ma zaczerwienioną, nie wiedziała tylko, czy ze wstydu, czy ze złości.

Benjo, który siedział między Noahem a Kainem, zrobił się bładny jak kreda. Wciąż trzymał dzban z jabłeczniakiem i kurczowo przyciskał go do piersi.

- Widziałeś kiedy, jak kojot zabija jagnię, innowierco? - spytał Noah. - On rzuca się do gardła, o tak, i ostatnia rzecz, jaką to biedne jagnię widzi przed śmiercią, jest krew leżąca mu się na piersi. - I zaśmiał się.

A Benjo przewrócił na kolana dzban jabłeczniaka.

Śmiech Noaha zamienił się w krzyk. Zerwał się na równe nogi i z taką siłą uderzał brzuchem i udami o stół, że ten aż się zakołysał. Zamachnął się. Benjo pisnął i zasłonił głowę rękami.

- Noah! - krzyknęła Rachel.

Innowierca chwycił Noaha za nadgarstek, zanim jego wielka dłoń mogła trzasnąć w głowę Benja. Dwaj mężczyźni, ciężko dysząc, mierzyli się wzrokiem. Noah usiłował się wyrwać, ale Kain trzymał go mocno. Benjo kulił się między nimi i ramiona mu podskakiwały, gdy zmagał się ze słowami.

- N... n... n...!

- Noah, nie! - Rachel ruszyła dokoła stołu w stronę syna, ale ojciec złapał ją za ramię i zatrzymał.

- Nie zrobił tego umyślnie - tłumaczyła. - Była pewna, że nie chciał tego zrobić. Rozmowa o kojotach i krwi zalewającej jagnię musiała przerazić chłopca, bo dzban wyleciał mu z rąk. - Nie zrobił tego umyślnie.

Benjo wygramolił się z ławki i wziął nogi za pas. Kain puścił nadgarstek Noaha. Ten zacisnął rękę w pięść. Nozdrza mu drgały, gdy wciągał powietrze.

Ojciec mocniej ścisnął rękę Rachel, żeby nie pobiegła za synem. Obrzucił surowym spojrzeniem cały stół.

- Bracie Noahu!

Noahowi pierś się unosiła, gdy ciężko oddychał.

- Księga Przypowieści radzi nam nie szczędzić różgi.

- Moja córka zanadto rozpieściła tego chłopca, to prawda. Ale ty nie powinieneś tak ulegać grzechom pychy i złości.

Noah odchylił głowę do tyłu. Zamknął oczy, poruszał wargami w rozpaczliwej modlitwie.

Całym jego ciałem wstrząsały dreszcze, gdy usiłował wyzwolić się z grzechów, które go opanowały. Po czym obrócił się i drżącym palcem wskazał na Kaina.

- Widzisz! Widzisz, jaki demoralizujący wpływ ma na nas wszystkich ten człowiek. On jest ze złego świata i przynosi nam ten zły świat!

Odwrócił się i próbował przestąpić ławkę, która przyciskała go do stołu. Duże stopy uwięzły mu między stołem a ławką i splątały się, w rezultacie czego wylądował na czworakach na ziemi.

Podniósł się, otrzepał spodnie i odszedł ze złożonymi rękami i spuszczoną głową.

Joseph Zook i Ira Chupp śmiali się pod nosem, inni udawali nagle zainteresowanie tym, co zostało na dnie ich misek. Syn Noaha, Mose, spoglądał za ojcem, a potem schylił głowę z wyrazem zawstydy i pogardy.

Biskup Isaiah sięgnął po chleb, urwał kawałek.

- Wspólny posiłek zboru nie jest miejscem na takie rzeczy - powiedział.

Przy stołach zapanowała cisza, słychać było tylko brzęk blaszanych łyżek na glinianych miskach. Rachel stała obok ojca i pocierała sobie ramię w miejscu, gdzie ją trzymał. Johnny Kain podniósł wzrok i spojrzenia ich się spotkały, ale niczego nie dostrzegła w jego oczach. Przez cały ten czas nie okazał cienia złości, nie powiedział też ani słowa, a jednak powstrzymał Noaha od uderzenia jej syna. Przynajmniej to go obchodziło.

Pomyślała jednak, iż po wspólnym posiłku zboru ojciec jej powie, że innowierca musi odejść.

Kobiety rozłożyły kołdry, żeby spocząć w cieniu topoli rosnących po wschodniej stronie dużego domu. Rachel znalazła sobie miejsce obok matki i bliźniaczek. Tak bardzo pragnęła porozmawiać z matką, po prostu porozmawiać. Kiedy jednak już tam siedziała, obejmując rękami kolana i wpatrując się w niebiesko-czerwony wzór na kołdrze, nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć.

Dziecko Alty zaczęło kwilić. Rachel patrzyła, jak jego matka odpina chustę i stanik, i przykłada niemowlę do piersi.

- Twoje ssie o wiele lepiej niż moje - zauważyła jej siostra Velma.

Alta, uśmiechając się, pocałowała synka w okryty puszką czubek głowy.

- Ale popatrz na swojego. On będzie rączkować wcześniej od mojego.

Synek Vilmy ujrzał bazię poruszającą się na wietrze tuż przy kołdrze i chciał ją złapać. Nie umiał jeszcze skoordynować kolan z łokciami i wystawiwszy pupę w powietrze, upadł na nos.

- On myśli, że jest gąsienicą - zauważyła Rachel.

- A mój Thomas myśli, że jest tylko starym ślimakiem - rzuciła Alma ze śmiechem, bo jej synek akurat w tym momencie beknął głośno i z zadowoleniem.

Rachel nachyliła się i podniosła rączkującego malca Velmy. Postawiła go sobie na udzie. Dziecko odchyliło się do tyłu na piętach i puszczało bańki w niebo.

Obróciła głowę i przyłapała matkę na tym, że ją obserwuje. Kiedy spotkały się wzrokiem, Sadie popatrzyła w inną stronę.

Rachel tarła nosem o nosk malca i brzdąc piszczał zachwycony. Przytuliła go do siebie i wdychała dziecięcy zapach. Och, jak bardzo by chciała, żeby był jej dzieckiem! Prostacczowie mówili: Co rok prorok. Velma i Alta w ciągu zaledwie dziesięciu lat małżeństwa miały po szóstce dzieci, i wszystkie żyły. Gdy bliźniaczki zaczynały grubieć w tym samym czasie i wydawały na świat potomstwo dokładnie tego samego dnia, nikt już nawet nie pomyślał, żeby sobie z nich żartować. Rachel przypominała sobie własne małżeńskie łóżce; leżała w ramionach Bena i szeptem snuła w ciemności marzenia o dzieciach, które będą mieć. Noce zamieniły się w miesiące, a miesiące w lata, i minęło całych osiem lat, zanim urodził się Benjo. Nazywali go cudem.

Rachel przestała się zamartwiać tym, że nie ma więcej dzieci. Benjo był wszystkim, czego potrzebowali, by ich świat stał się kompletny. Ich wspianiały, drogocenny, przez Boga dany cud. Niestety, Bena teraz straciła, i jej świat już nie był kompletny.

Nieomal nie poczuła dotyku ręki na ramieniu, tak był lekki. Bojąc się nawet oddychać, odwróciła głowę i spojrzała na twarz matki. Nie pamiętała, kiedy ostatnim razem matka dotknęła jej choćby przypadkiem.

- Kiedy byłaś małą dziewczynką - powiedziała matka - mawiałaś, że będziesz mieć trzynaścioro dzieci. Całą trzynastkę.

Łzy zamgłiły Rachel oczy i przepełniły jej gardło. Musiała dwukrotnie przełknąć ślinę, zanim mogła się odezwać.

- Naprawdę?

Matka pokiwała głową z powagą, uroczyście. „Mama - pomyślała Rachel - traktuje swoją powagę tak naturalnie jak chustę i czepiec”.

- Trzynaścioro dzieci i sto sześćdziesięcioro wnuków.

Ze ściśniętej piersi wyrwał się Rachel chichot, a na ustach matki zaigrał uśmiech, tak przelotny i słaby, że zastanawiała się potem, czy naprawdę go widziała.

- Och, tak! Bo każde z twoich dzieci miało mieć trzynaścioro własnych dzieci - mówiła dalej matka. - Miałaś zaledwie trzy latka, gdy złożyłaś takie oświadczenie, ale twój brat Sol to obliczył. - Między jej brwiami pojawiła się zmarszczka, gdy badała wzrokiem twarz córki. - A my, twój ojciec i ja, zawsze myśleliśmy, że to diakon Noah będzie tym, którego posłubisz.

- Nigdy mi tego nie powiedziałaś.

- To było twoje życie i ty je miałaś przeżyć, Rachel.

„Moje życie tak długo, jak długo trzymałabym się prostej i wąskiej drogi” - pomyślała. I oczywiście trzymała się. Zawsze będzie się jej trzymać.

Dziecko wykręciło główkę do tyłu i zakwiliło. Rachel położyła je na brzuszku na kołdrze, a ono natychmiast zaczęło rączkować z powrotem do powiewającej na wietrze bazi. Rachel wzięła lalkę i zaczęła wymachiwać mu

przed oczami, żeby odwrócić jego uwagę. Lalki prostaczków nigdy nie miały namalowanych twarzy.

Zerknęła znowu na matkę. Nigdy przedtem tak nie rozmawiała ze sobą i bała się, że powie coś niewłaściwego, co zepsuje tę chwilę. Sadie całą uwagę skupiła na wnuku. Miała teraz wyraz twarzy, który przypominał Rachel jej starą maciorę. Tę, co zdechła na wiosnę.

- Mamo, czy ja tak bardzo się zmieniłam od czasu, gdy byłam tą małą dziewczynką, jaką pamiętasz?

Sadie machnęła ręką i odwróciła głowę, a Rachel zrezygnowała z dalszych pytań. Kobiętu u prostaczków oceniano się po córkach, które wychowała, a ona na pewno przyniosła wstyd swojej matce.

- Tutaj - powiedziała, przyciskając dłoń do piersi, w miejscu, gdzie krzyżowały się końce chusty - nie czuję, żebym się w ogóle zmieniła.

Zapadło milczenie. Rachel zaczęła się podnosić.

Wtedy Sadie wyciągnęła rękę i złapała ją za rękaw.

Rachel spojrzała na tę rękę, która ją zatrzymała, i przeraziła się. To chyba nie ręka jej mamy, lecz starej kobiety, pomarszczona i pełna wątrobianych plam. Popatrzyła na twarz matki, tak kochaną i znajomą, i zobaczyła twarz zupełnie jej nie znaną. Wokół ust i oczu Sadie widniały głębokie rysy, a włosy, które wystawały spod czepca, były szare jak dzień zimowy. A jednak Rachel przypomniła sobie, że ojciec mawiał: „Śmiech twojej matki był najweselszy w całej Sugarcreek Valley. Najweselszy śmiech”.

- Nie jest za późno - rzekła matka.

Rachel wciągnęła powietrze i niemal się zakrztusiła.

- Na co?

- Nie jest za późno, żebyś miała więcej dzieci. - Ręka Sadie opadła na kolana. Patrzyła w dół, obserwując swoje palce, które robiły fałdkę na fartuchu. - On, Noah Weaver, zawsze cię pragnął. Ten mężczyzna zawsze cię pragnął, bardziej niż kania na blaszanym dachu dżdzu.

Słowa matki zaszokowały Rachel, ich szczerość zawołowana wiejską żartobliwością. Żadna prostaczka nie mówiła na głos o męskich pragnieniach, żadna nawet nie uznawała istnienia czegoś takiego w życiu, a co tu mówić o żartowaniu na ten temat!

Sadie podniosła głowę. Uśmiech mignął w jej oczach i zniknął.

Rachel to jednak wystarczyło. Czowała, że odpowiada uśmiechem, a potem się na głos roześmiała. Posłała też uśmiech bliźniaczkom, które jej wtórowały, choć zajęte rozmową, nie wiedziały, co powiedziała Sadie. Rachel objęła wzrokiem wszystkie kobiety odpoczywające na ręcznie robionych kołdrach, po czym powędrowała spojrzeniem dalej, do mężczyzn siedzących nad pustymi miskami przy stołach, do dzieci zgromadzonych nad stawem i bawiących się kijankami.

Taką scenę tysiąc razy musiały oglądać jej oczy i serce. Wszystko to wciąż było takie samo i taka sama była ona. Wcale się nie zmieniła, nic a nic.

„Oto co znaczy być prostaczkiem - pomyślała - ta pewność niezmienności, stałej przynależności”. Oto dlaczego naprawdę przyprowadziła tu innowiercę, bo chciała mu to pokazać. Mama, tata, bracia i Noah, nawet Fannie - wszyscy ci ludzie oznaczali dla niej nie styl życia, lecz samo życie i bez nich nie wiedziałyby, kim jest. Byli jej częścią, taką samą jak wnętrzości i serce, i jak dusza. Zawsze będą jej częścią w taki sposób, w jaki ona nie mogłaby nigdy być dla innych. Dla żadnego innowiercy, nawet dla niego.

Pomyślała, że gdyby to wszystko utraciła, gdyby utraciła coś jeszcze, już by tego nie zniosła.

Tych, którzy umarli jako prostaczkowie, pochowano na cmentarzu na wzgórzu za dużym domem Millerów. Było to malownicze miejsce, ocienione topolami i klonami i porośnięte bujną trawą bizonów, kołyszącą się na wietrze. Zygzakowato ustawione ogrodzenie wokół mogił osłaniało je przed zawiejami w zimie. Jedna mogiła znajdowała się poza ogrodzeniem, oddzielona od innych. Nie oznaczano jej ani kamieniem, ani drewnianym krzyżem, choć wszyscy wiedzieli, że tam jest.

Rachel zawahała się, przechodząc obok grobu w drodze do furtki, ale na niego nie spojrzała. Nie mogłaby znieść tego widoku.

Mogiła Bena znajdowała się wśród innych, bezpieczna w obrębie ogrodzenia. Rachel narwała polnych kwiatów i włożyła je do pustej puszkę po pomidorach: żółte baranki, białe korzeniówki i jasnoliliowe tojady. Wiosenne kolory i zapachy. Uklękła na trawie i puszkę z kwiatami wsadziła w zagłębienie w ziemi poniżej z grubsza ociosanego kawałka granitu. Wyrwała w nim hakiem do usuwania kamieni spod końskich kopyt jego nazwisko i lata życia.

Zazwyczaj przychodził z nią tu Benjo, gdy przynosiła Benowi kwiaty, gałązki ostrokrzewu czy girlandy z jesiennych liści. Chciała, żeby przyszedł z nią i teraz, ale chłopiec uciekł i gdzieś się schował. Pewno leczył uczucia zranione podczas incydentu z Noahem i jabłeczniakiem. Może Ben by wiedział, gdzie go szukać. A może powiedziałby, tak jak jej ojciec, żeby dać chłopcu spokój.

Ułożyła kwiatki w puszcze tak, by wyglądały malowniczo.

- Dla ciebie, Ben. Coś małego i miłego dla oka. - Tak właśnie zawsze jej mówił. Coś małego i miłego dla oka. Gdy tylko pierwsze kwiatki wystawiały główki z wiosennej trawy, przynosił jej bukietek. C o ś m a ł e g o i m i ł e g o d l a o k a. Zrywanie dla niej kwiatów należało do wiosennego rytuału Bena, tak jak karmienie jagniąt pod piecem i obserwowanie nowo narodzonych, gdy stawały pierwsze kroczyki. Teraz ona zrobiła to dla niego.

- Dochowaliśmy się w tym roku ładnej gromadki tłusciutkich jagniąt, w tym sześciorga bliźniąt. I sterta kości była niewielka.

Zabito go podczas sianokosów. Przed rokiem jeszcze żył i w taki dzień mógłby zrywać dla niej kwiatki. A w miesiąc później wydrapywała na kamieniu jego imię. Tego popołudnia słońce świeci jasno na niebie i porządnie grzeje, natomiast tamtego dnia, gdy go chowano, padał deszcz. „Życie i śmierć są tak sobie bliskie - pomyślała. - Oddziela je jedynie tchnienie, bicie serca i woła boska”.

Wtedy padał deszcz. Ziemia była mokra i ciężka i z głuchym łomotem spadała z łopat na trumnę. Ben nie miał na sobie brązowej luźnej kapoty i luźnych fałdzystych spodni, lecz śnieżnobiałe ubranie. *Der Herr gibt und der Herr nimmt*. Pan dał, Pan też wziął. „Gdzie był Bóg, gdy umierał mój Ben?” - powiedziała z płaczem do swojego ojca.

Skrzypnęły zawiasy zrobione z niegarbowanej skóry, ktoś otworzył furtkę. Rachel obróciła się na klęczkach i zmrugała oczy przed promieniami słońca, które przedostawały się przez drzewa. Miała nadzieję, że zobaczy Benja, tymczasem był to Noah.

Nie odezwała się, tylko sztywno wstała z klęczek. Nie pragnęła go tu spotkać.

Kiedy jednak Noah Weaver uniósł głowę i szerokie rondo kapelusza, odsłaniając twarz, jej irytacja ustąpiła. Oczy miał jak dwa siniaki na poblądłej twarzy; wiedziała, że to jej wina.

Zatrzymał się przed nią i nie spojrzawszy na mogiłę Bena, lustrował jej twarz, podobnie jak ona jego. Milczenie zaczęło im ciążyć.

Chciała coś zrobić, żeby to naprawić, żeby poczuł się lepiej. Nie był to człowiek lubiący się uśmiechać, ale ona pragnęła go do uśmiechu skłonić.

- Opowiadałam właśnie Benowi, jakie słodkie stadko jagniąt mamy w tym roku.

- I powiedziałas mu, że pozwalasz *Englischerowi*, by stosował wobec ciebie swoje nieczne sztuczki?

Przeciskała się koło niego, chwycił ją jednak za rękę i pociągnął ku sobie tak mocno, że na niego upadła.

Usta miał zaciśnięte, kąciki opuszczone, co sprawiało, że wyglądał niesympatycznie.

- Ten innowierca z pewnością sobie myśli, że jest kimś. A teraz skłonił i ciebie, byś myślała, że też jesteś kimś.

Próbowała mu się wyrwać, ale on ścisnął jej rękę aż do bólu.

- Puść mnie, Noah!

- *Ja*, puszcze cię, Rachel Yoder. Puszcze cię, ale dopiero wtedy, gdy wszystko powiem. - Puścił ją, lecz tylko po to, by złapać swoją dużą ręką czepek i obrócić jej głowę w stronę furtki i znajdującego się za nią samotnego grobu.

- Oto co za sobą pociąga pycha, myślenie, że jest się kimś. Tak chcesz skończyć? Najpierw zapoznana za życia, a potem zapoznana po śmierci, zapoznana przez wszystkich, nawet przez Boga?

Zacisnęła powieki. Nie chciała patrzeć, nie mogła nawet o tym myśleć.

Potrząsnął jej głowę.

- Czy musisz ci mówić, co masz myśleć, Rachel? Jak postępować? „Nie ciągnijcież nierównego jarzma z niewiernymi; bo cóż za społeczność sprawiedliwości z nieprawością? albo co za społeczność światłości z ciemnością?”

Wyrwała mu się tak gwałtownie, że aż się zatoczyła. Broniąc się przed upadkiem, wyciągnęła rękę i otarła sobie skórę na knykciach na jednym z grubo ciosanych nagrobków. Potem się wyprostowała i odsunęła jak najdalej od niego.

- Nie zrobiłam nic złego. Uważasz, że mogłabym przyjść tu i stanąć przed Benem, gdybym...

- Ben nie żyje! - Zbliżył się i złapał ją za ramiona. - Nie żyje! - Potrząsnął nią tak mocno, że zadzwoniły jej zęby i krzyknęła. - Ach, Rachel, Rachel! - Poglądził ją po szyi i ujął w dłonie jej twarz. - Ben nie żyje, a ty masz przed sobą jeszcze życie, życie na prostej i wąskiej drodze, życie, jakie przystoi prostaczkom... Trzeba prowadzić gospodarstwo i wychowywać syna. - Opuścił głowę i przysunął twarz do jej twarzy. Oddech miał gorący i nierówny. - Trzeba urodzić więcej dzieci ku chwale Boga i Kościoła.

Przycisnął wargi do jej warg, gorączkowo, dusząco. Próbowała się uwolnić, ale trzymał ją mocno, wbijając palce w policzki. Odepchnęła się od jego piersi i wykręciła twarz na bok, rozcinając sobie usta na jego zębach.

Teraz ją puścił. Ciężko dyszał i łapał powietrze jak tonący. Przycisnął ręce do ust.

- *Lieber Gott, lieber Gott!* Rachel... tak mi przykro, tak przykro...

Nogi trzęsły jej się tak, że z trudem mogła stać; zachwiała się. Wytarła usta wierzchem dłoni i poczuła smak krwi.

- Że też mogłeś zrobić coś takiego, Noahu Weaverze, i to przy grobie Bena! - Z jej gardła wyrwał się ochryply dźwięk. Miał to być śmiech, ale nie był. - I ty mnie oskarżasz, że sobie wyobrażam, iż jestem kimś!

Opuścił ręce i podniósł głowę.

- Ty nie... - Wciągnął powietrze, pierś mu drżała. - Posłuchaj mnie, nasza Rachel... - Podeszedł do niej. - Nie, nie, ja cię nie skrzywdzę - rzekł, gdy cofnęła się o krok. Rozłożył ręce. - Nie dotknę cię. Tylko musisz posłuchać. Odpraw innowiercę. Niech odejdzie, zanim będzie za późno. Światła nie można znaleźć w ciemności. Ani prawdy wśród kłamstw.

Potrząsnęła głową, nie pojmując go, nie poznając. Wyglądał na zranionego, był tak przerażony i złamany, że nie mogła znieść tego widoku.

Wyciągnęła ku niemu rękę, ale stała za daleko, by go dosięgnąć.

- Och, Noahu. Z pewnością wiesz, że nic nie zdoła omamić prawdy w moim sercu.

Patrzył na nią oczami pełnymi udręki.

- Niegdyś, niegdyś myślałem, że cię znam. Teraz już nie.

Tym razem ona zrobiła krok w jego stronę. Pomyślała w pierwszej chwili, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa, bo trawa się trzęsła i ziemia drżała pod stopami. Rozgłośnie dudnienie ogłuszyło ją i jeszcze narastało jak grzmot toczący się po niebie.

Zobaczyła, że Noah popatrzył za nią, na dziedziniec gospodarski w dole, i twarz się mu zmieniła, wykrzywiło ją przerażenie. Obróciła się.

Splószone stado bydła, pewno ze sto sztuk, pędziło traktem w stronę domu, ryjąc ostrymi kopytami trawę i błoto.

Owce na łące kolebały się w panicznej ucieczce, a ich rozpaczliwe beczenie potęgowało hałas. Na dziedzińcu krzyczeli mężczyźni, wrzeszczały kobiety i dzieci, przewracając w biegu stoły i ławki, porzucając kołdry, uciekając i chroniąc się w stodole i w domach. A bydło wciąż pędziło traktem, dudniąc przeraźliwie. Porządne białe ogrodzenie pastwiska z pieczołowicie wyciosanymi kołkami, okorowanymi i pobielonych przez Sola, spełniało teraz rolę jakby lejka dla oszalałych zwierząt.

A Benjo samotnie stał im na drodze.

XIII

Tabun bydła walił na syna Rachel z kopytami, które mogły zmiążdżyć kości na proszek. Wykrzykiwała jego imię, choć wiedziała, że nie może jej usłyszeć w tym dudnieniu śmiertelnych kopyt. Rzuciła się w stronę cmentarnej furtki, ale buty sięgające do połowy łydki zaplątały się w spódnicach i jak długa runęła na ziemię.

Noah złapał ją za rękę i postawił na nogi.

- Rachel...

Rzuciła się na niego, warcząc i drapiąc jak wściekła, więc ją puścił.

Biegła coraz szybciej na dół ze wzgórze, lecz przez cały czas wiedziała, że nie zdoła w porę dobiec do syna. Widziała, jak podskakuje mu głowa. Język uwięziony przez słowa pętał mu też nogi.

- Benjo!

Okrzyk nie wydobył się z jej ust, choć miała je otwarte i krzyczała bezgłośnie krzykiem, który szarpał wnętrzności i zatykał oddech.

- Benjo! - zawołał innowierca; był tam, biegł traktem, i to tak szybko, że jego wysokie buty wyrzucały do tyłu pecyny błota. Wciąż jednak był zbyt daleko.

Ziemia drżała. Grzmot kopyt ogłuszał Rachel. Kain przebiegł ostatnie kilka kroków i przewrócił chłopca na ziemię, nakrywając go swoim ciałem w momencie, gdy splószone stado na nich runęło. Rachel widziała tylko pstrokatą czerwoną skórę i walące kopyta, i rogi w podrzucie, i czarne krzyczące usta na białych twarzach, i raz tylko mignięcie czegoś jasnego, co mogło być jego koszulą albo ręką.

Krzyczała bez przerwy, ale ten krzyk wiązał w gardle, spłaszczony jak jej syn pomiędzy walącymi kopytami a niemilosierzną ziemią. Byłaby pobiegła prosto ku splószonemu stadu, gdyby nie dogonił jej Noah. Złapał ją w pasie i mocno trzymał, a ona biła go i drapała, i wydawała ten bezgłośny krzyk.

Stado, ryczące i tratujące wszystko na swojej drodze, rozdzieliło się na chwilę przy mężczyźnie i chłopcu, tak jak pędząca woda w strumieniu opływa skałę. Wyglądali teraz niczym kupka ubrań w błocie na drodze, ale po chwili mężczyzna się poruszył. Uniósł się na łokciach z kieszonkowym pistoletem w zdrowej ręce. Wystrzelił z bliska w tabun oszalałego bydła, które znów na nich nacierało.

Dudnienie i łomot kopyt zagłuszyły strzały. Rachel jednak widziała, że jeden z młodych byczków potknął się i padł na kolana. Zwierzęta pędzące na przedzie stada rozdzieliły się, żeby wyminąć wierzgającego byczka. Większość pędziła dalej. Nagle jeden byk stanął dęba, ryczał i podrzucał łbem i rogami, po czym upadł, waląc kopytami.

Wtedy reszta stada zawróciła w panice. Natarła na pięknie pobielone ogrodzenie Sola, rozbijając je w drzazgi, i wpadła na pastwisko, tratując po drodze stadko oszalałych owiec.

Przeciągły i bezgłośny krzyk, który wydierał się z gardła Rachel, musiał ją też ogłuszyć, bo nic nie słyszała. Widziała drzazgi z pobielonego drewna wirujące w powietrzu na tle błękitnego nieba, widziała kopyta depczące trawę i skrwawione strzępy wełny, widziała przerażone maciorki i jagnięta rozbiegające się i padające na ziemię, szeroko otwarte czarne pyszczki. Ale nic nie słyszała.

Noah ją trzymał, palcami wbijał się w jej ramiona. Wyrwała się i pobiegła do syna z bezgłośnym krzykiem.

Padła na kolana obok niego w błoto traktu i zaczęła go obmacywać, cał po calu, wodzić rękami po jego ciepłym żywym ciele.

- Nic mu się nie stało.

Te słowa były jak klaps w ucho i przedarły się przez całun ciszy. Teraz już słyszała ryk bydła, beczenie owiec, krzyki mężczyzn, czyjaś modlitwę, kobiece szloch.

Popatrzyła na Johnny'ego Kaina. Z długiego rozcięcia pod okiem wзираła biel kości. Ubranie wisiało na nim w strzępach, odsłaniając posiniaczone i krwawiące ciało. A z głębokiej rany na ręce, tej, w której nadal trzymał kieszonkowy pistolet z fantazyjną, wykładaną macicą perłową rękojęścią, kapłała krew na zryte kopytami błoto.

Rachel ujęła tę rękę i podniosła do ust. Jeździła po niej wargami, smakując krew, błoto z podwórka ojca i metal z jego broni.

Pod jej wargami ręka zadrżała i Kain ją zabrał.

Zmrużywszy oczy, patrzył na zakrwawione pastwisko, na samotnego spienionego konia, który galopował w ich stronę. Rachel uświadomiła sobie, że przez cały czas widziała przy bydle konnych mężczyzn. Mężczyzn, którzy mogli próbować je odegnąć, ale oni właśnie pędzili bydło do tego zniszczenia. Ludzi Fergususa Huntera, który nienawidził prostaczków i pragnął ich stąd wykurzyć.

Innowierca podniósł się z wolna na nogi. Rachel też już wstała i zabrała ze sobą Benja. Patrzyła na zniszczone pastwisko. W gardle ją paliło. Miała takie uczucie, jakby skórę zdarto z niej pasami.

Na stratowanej trawie leżały krwawe stopy martwych owiec. Gęsty zagajnik sosnowy na końcu pastwiska w kształcie podkowy zatrzymał w końcu dziką galopadę spłoszonego bydła. Mężczyźni na koniach, ludzie Huntera, zgromadzili pod drzewami stado, kotłującą się masę ryczących byków.

Owce, które pozostały przy życiu, beczwały jak szalone. Bydło też było nerwowe, trykało się, potrząsało łbami, buczało. Jednakże teraz, kiedy widać było splątane ogony i kołyszące się grzbiety, szorstką pstrokatą sierść i ciemne wilgotne oczy, wyglądało mniej groźnie. Jeden z kowbojów śpiewał melodyjną piosenkę, podobną do kołysanki. Inny zostawił stado i puścił się kłusem ku nim.

- Niech pani zabierze swojego chłopaka - rzekł Kain - i biegnie do domu. - Głos miał obojętny, spokojny i stał, trzymając ręce luźno wzdłuż boków, z lekko przechyloną głową. Lecz powietrze wokół niego pulsowało i huczało.

Rachel złapała syna za rękę. Wyrwał jej się, ale chwyciła go znowu. Mocował się ze słowami, wargi miał ściągnięte, zęby odsłonięte. Pociągnęła go traktem.

Ojciec, bracia i Noah stali nieruchomo na podwórku na przedzie, a za nimi reszta zboru. Lecz nadal nie zrobiliby kroku, nie krzyknęliby żadnych ostrzeżeń ani pogrózek, ani też żadnych przekleństw, bo prostaczkowie reagowali na zagrożenia ze strony świata w taki właśnie sposób - milczeniem i akceptacją.

- N... n... n...!

Benjo zarył buty w błocie i szarpał matkę, żeby się zatrzymała. Byli wciąż dość daleko od podwórka, od bezpiecznego miejsca, choć - jak to kiedyś powiedział innowierca - nie ma czegoś takiego jak bezpieczne miejsce.

Jeździec osadził konia tuż przed Kainem, rozbryzgując błoto. Był to mężczyzna z krótką szpiczastą bródką, wyrzuszonym policzkiem od żutego tytoniu i rusznicą z długą lufą w ręce. Mężczyzna, który wziął sznur i powiesił na gałęzi topoli męża tej kobiety i ojca tego chłopca.

Osamotnione jagnię głośno beczowało, wzywając swoją matkę. Chmura zakrywała słońce i cień rozlewał się jak płama na trakcie i na skrwawionym pastwisku.

Mężczyzna na koniu wypluł bokiem ust pokąsną kulkę tytoniu.

- Nazywam się Woodrow Wilson. Słyszałeś kiedy o mnie?

- Nie mogę powiedzieć, żebym słyszał - wycedził innowierca.

Mężczyzna oparł kolbę na ramieniu i zadarł głowę, patrząc przez lufę w dół. „Ma dziwne oczy - pomyślała Rachel - niemal bezbarwne, a jednak migocące światłem, jak lód prześwietlony promieniami słońca”.

- Mówi się, że prawdziwy z ciebie macher, zabijasz bez pudła.

Rachel oczekiwała, że Kain sięgnie po rewolwer i go zabije, zabije tego człowieka, który powiesił jej męża i pognął spłoszony tabun bydła, żeby stratował jej syna.

Wargi Whartona podjechały w górę, odsłaniając zęby jak u warczącego psa.

- Ale człowiek nie może zabijać bez pudła - powiedział - nie mając nic w ręku prócz pustej pukawki. Tak czy nie, Johnny Kainie?

Jeden z pozostałych kowbojów zostawił bydło i galopował w ich stronę, coś krzycząc. To na chwilę odwróciło uwagę dozorcę bydła, po czym oczy znów mu zabłysły.

- To prawdziwy dla mnie wstyd, naprawdę, że muszę zrobić dziurę w kimś tak sławnym jak ty.

Johnny Kain wpatrywał się z uśmiechem w czarną lufę rusznicy.

- Czy zamierza pan to zrobić, czy zechce mnie na śmierć zanudzić tym gadaniem?

Błysk zniknął z oczu Woodrowa Whartona, a ręka, w której miał broń, zacisnęła się mocniej.

Chrapliwy, zduszony dźwięk wyrwał się z gardła Benja. Ruszył biegiem w stronę innowiercy. Rachel chciała go złapać, a potem sama się za nim puściła pędem i wyprzedziła syna. Próbowwała krzyczeć, błagać, modlić się, ale miała takie uczucie, jakby zmiażdżono jej klatkę piersiową. Coś jej mignęło koło oczu, usłyszała jakby uderzenie skrzydeł kolibra.

Koń dozorcę bydła skoczył jak użądłony przez pszczołę, zarżał i stanął dęba, w momencie gdy rusznica wypaliła. Huk wystrzału ogłuszył Rachel i serce jej zamarło.

Chmura białego dymu wisiała w powietrzu. Przesłaniała widok i gryzła w oczy. Po chwili Rachel zobaczyła Kaina, nadal żył i wzrok miał utkwiony w Woodrowa Whartona, który klęczał w błocie. Wharton nie miał już w rękach swojej rusznicy, sięgał natomiast na biodro po rewolwer, a przy tym próbował utrzymać wodze spłoszonego konia.

Kula świsnęła w powietrzu. Przestraszony koń znowu stanął dęba, wyrwał się i pogalopował. Wharton upadł do

tyłu, wymachując rękami i krztusząc się połkniętym tytoniem.

Z początku Rachel myślała, że Kainowi udało się w jakiś sposób wystrzelić z pustego rewolweru. Lecz wodniste, złe oczy Whartona utkwione były w drugiego z ludzi Huntera, tego, który galopował ku nim z krzykiem. Z rewolweru w ręce kowboja unosił się dym.

Wharton krztusił się i sapał, z oczu ciekły mu łzy.

- Zaczynasz mnie drażnić jak diabli, Metysie.

Kowboj trzymał go na muszce. Trzask odwodzonego kurka wydał się bardzo głośny.

- Dość tego! - powiedział cicho i sucho.

Wharton potrząsnął energicznie głową, jakby nie słyszał.

- Zapominasz, chłopcze, po czyjej jesteś stronie, wzdragasz się jak dziewica w weselnym łożu, kiedy chodzi o tych prostaczków. Wiesz, że twój tata pierwszy by ci powiedział, że nie wskórasz nic, traktując ich grzecznie.

- Powiedziałem, że zrobiliśmy już dosyć.

Zawrócił konia, odwracając się plecami do Whartona, jakby z nim skończył i więcej się o niego nie troszczył. Poprowadził konia przez kłębiący się dym. Przejeżdżając obok Kaina, wymienił z nim spojrzenie, po czym powędrował wzrokiem ku Rachel.

Zobaczyła, że to raczej młodzieniec niż mężczyzna. Młodzieniec o długich prostych czarnych włosach i ostrych rysach twarzy, z jedwabną chustką w kolorze mokrej krwi na brązowej szyi.

Rachel przyciągnęła Benja do siebie, jedną rękę przycisnęła do unoszącej się piersi syna, drugą głaskała go po głowie. Młody człowiek patrzył na nich, a oczy pod podniesionym rondem kapelusza miał czarne i palące. Wydawało się, że fascynuje go ruch ręki gładzącej włosy chłopca. Zaciśnięła usta.

- To pani syn? - spytał.

Ręka Rachel ześliznęła się z głowy syna i chwyciła go za ramię tak mocno, że aż drgnął.

- Jestem Quinten Hunter... syn Barona. - Młody człowiek odwrócił od nich wzrok, poklepał spoconego konia po karku. - Przykro mi, że zepsuliśmy wam zabawę. - Wykręcił się na siodle, żeby popatrzeć na pastwisko, gdzie jego bydło kotłowało się, gromadziło i biegało po miękkiej wiosennej trawie. Do ciał stratowanych owiec zlatywały się już muchy.

Jabłko Adama podskakiwało nad jedwabną chustką. Quinten zacisnął zęby.

- Są dzięki o tej porze roku - tłumaczył - po zimie i tak dalej. Robiliśmy selekcję przed cechowaniem, gdy nagle z gniazda wyleciała, głośno gęgając, pardwa i spłoszyła bydło.

Rachel milczała. Nie wierzyła mu. W ustach miała gorzyc, palącą i jakby sproszkowaną, w smaku podobną do popiołu po pożarze prerii.

- Słusznie, Quin. Dlaczego nie utuczyć ich trochę przed zarżnięciem? - Woodrow Wharton już się podniósł i usiłował otrześć kapelusz z błota, uderzając nim o udo. Potem nasadził go na głowę i brodę oczyszczał z ziemi. Jego wzrok ześliznął się z Kaina i zatrzymał na Rachel. Oczy miał pełne nienawiści i choć Rachel niewiele wiedziała o świecie, to zrozumiała, że ten człowiek został upokorzony i dlatego będzie teraz jeszcze bardziej niebezpieczny.

- Nie potrzeba nam tutaj takich pastuchów baranów jak wy - zapowiedział. - Może powinniście pomyśleć o przenosinach. - Podskoczył i pokuśtykał drogą w pogoni za swoim koniem.

Syn Fergusu Huntera odprowadził go wzrokiem, po czym odwrócił się w stronę Rachel. Wciągnął dolną wargę, jakby słowa, które chciał powiedzieć, mogły ranić. W końcu zatrzymał je dla siebie. Reszta ludzi Huntera zaczęła wyganiać bydło, już uspokojone, z pastwiska Millera z powrotem na trakt. Quinten Hunter dotknął kapelusza i dołączył do nich.

Pozostawił po sobie ciszę wstrzymanych oddechów, jakby samo serce ziemi przestało nagle bić. Rachel jednak się wydawało, że wciąż słyszy strzały, a gryzący, wstrętny zapach prochu nadal wierce ją w nosie.

Beczenie jagnięcia przerwało ciszę. Prostaczkowie szli wolno drogą i cały czas się modlili. Sol przystanął przy roztrzaskanym ogrodzeniu. Nie mógł patrzeć poza nie na zbrukane krwią pastwisko. Levi przyklęknął obok martwej maciorki. Fannie krzyknęła i zarzuciła sobie fartuch na głowę. Krzyknęła raz jeszcze, potem zaczęła szlochać; Sadie ją objęła i przyciągnęła jej głowę do piersi.

Rachel uklękła i fartuchem wycierała błoto z twarzy syna. Otwierała jak najszerszej oczy, żeby pohamować łzy, ale nadaremnie. Czowała się tak, jakby jakaś dłoń ścisnęła jej serce.

O mało go nie straciła. A nie przeżyłaby już takiej straty - swojego Benja, swojego syna, jej serca, jej życia.

Ujęła w obie ręce twarz syna i przycisnęła wargi do jego czoła. Kiedy zamknęła oczy, widziała wierzgające kopyta, podrzucanie rogów i mężczyznę z rusznicą, mężczyznę, który powiesił jej męża i pognął spłoszone bydło na jej syna. Czekala na to, że Johnny Kain wyciągnie rewolwer i zastrzeli tego człowieka. Pragnęła śmierci Woodrowa Whartona. Całym sercem pragnęła jego śmierci.

- M... mamó! - Benjo wykręcił się z jej rąk, przejechał mankietem czoło.

A potem innowierca stał przed nimi i wyciągał rękę do jej syna.

- Czuję się zaszczycony, że mogę potrząsnąć twoją ręką, Benjo Yoderze.

Zaskoczony chłopiec przez chwilę stał bez ruchu, po czym podał innowiercy dłoń, a ten uściśnął ją mocno, po

męsku.

- Masz dobre oko i celnie strzelasz z procy. Człowiek może być rad, gdy za partnera ma kogoś z dobrym okiem.

Chłopiec wypiął pierś; twarz mu się rozjaśniła pod wpływem pochwały z ust Kaina, a Rachel znowu łyżaszczyły w oczy. Zamrugła i wyciągnęła rękę, by odsunąć włosy z twarzy Benja.

- Zrobiłeś... wspaniałą rzecz i tak bardzo jestem z ciebie dumna - powiedziała. - Ale tylko my troje możemy o tym wiedzieć. Nie wolno o tym mówić nikomu innemu.

Benjo pokiwał głową z poważną miną. Był już na tyle duży, by rozumieć, że to, co zrobił, niezupełnie odpowiadało regułom postępowania prostaczków.

- Dzielny czyn i tak nie potrzebuje słów. Mówi sam za siebie - rzekł Kain. Na twarzy chłopca rozlał się tak promienny uśmiech, że Rachel musiała odwrócić wzrok.

Wstała i stanęła oko w oko z innowiercą. Szukała słów podnoszących na duchu jak te, które zaoferował w darze jej synowi. Słów, które ona z kolei mogłaby zaoferować jemu w podziękę za to, co zrobił.

Ale to on się odezwał.

- Pozwól, żebym zabił go dla ciebie, Rachel.

- *Lieber Gott!* - wykrzyknęła. Jak może mówić coś tak wstrętnego, gdy zaledwie przed chwilą obdarował takimi miłymi słowami jej syna. - Czyż nadal tak mało rozumie pan nas, mnie, że może pan mówić takie rzeczy?

Jej słowa były fałszywe, kłamliwe. Sama pragnęła przecież śmierci Whartona, nawet jeśli trwało to tylko moment. Wstrząsnęła się, jakby zimny wiatr przeleciał przez jej duszę.

- Ten człowiek powiesił mojego Bena - rzekła, chcąc zamienić kłamstwo w prawdę. - Kim pan jest, że mówi o nienawiści i odwiecie przed synem Bena? On byłby zabił naszego syna, który jest całym moim życiem, i jeśli ja mimo jego prześladowań i okrucieństw mogę wciąż przestrzegać zasad mojej wiary, to kim pan jest, żeby w moim imieniu robić co innego?

- Może się mylę, ale chyba pamiętam, że przed chwilą patrzyłem w lufę tej rusznicy.

- Jeśli lęka się pan o swoje życie, panie Kain, to nie pozostaje nic innego niż nas opuścić.

Zacisnął usta, na policzku zadrgał mu mięsień.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek nazwano mnie tchórzem w tak dalece sprawiedliwy sposób. - Dotknął runda kapelusza. - Proszę mi wybaczyć, sędzę, że powinienem pójść i zmyć trochę tego błota.

Zatrzymała go jednak, kładąc mu rękę na ramieniu. Wełna surduta była szorstka i ciepła od promieni słońca. Kopyto byka rozdarło rękaw.

- Dzieli nas, pana i mnie, innowiercę i prostaczkę, tak wiele, ale ocalił pan życie mojemu synowi, i nie wiem, jakimi słowami mogłabym wyrazić, co czuję w sercu.

Sięgnął ręką, by wyprostować jej czepek, i przejechał palcami wzdłuż szyi. Ten dotyk przypawił Rachel o drżenie, co ją ogromnie przeraziło, a jego słowa jeszcze bardziej.

- Nie dzieli nas, ciebie i mnie, znów tak wiele.

- Dzieli, zawsze dzieli - powtórzyła i odsunęła się od niego.

- Rachel, Rachel, moje dziecko!

Głos ojca, pełen miłości i pociechy, niemal ją dobił. Zacisnęła wargi i zamknęła oczy. I kiedy znów je otworzyła, spojrzała na drogą twarz ojca. Kości policzkowe białły mu nad gęstą czarną brodą. Oczy, podobnie jak jej, błyszczały zbyt mocno. Przez chwilę myślała, że ojciec ją obejmie i przytuli, ale prostaczkowie tak nie postępowali.

- Nic mi się nie stało, tato. - Kiedy próbowała się uśmiechnąć, miała wrażenie, że zeszywniała jej skóra wokół ust. - Żadnemu z nas nic się nie stało. - Objęła syna, łącząc ręce nad jego sercem. Dotykała go, by się upewnić, że on żyje.

- Rachel, Bóg doprawdy jest miłosierny.

Teraz odezwał się Noah. Rachel próbowała uśmiechnąć się też do niego i do stojącego obok brata Sola. A potem objęła wzrokiem ich wszystkich: swoich braci i mamę, i rodzinę, i przyjaciół, tak bliskich jej i drogich. Napotkała spojrzenie Fannie Weaver; tym razem jej się udało i ją obdarzyć uśmiechem.

Isaiah Miller odwrócił się w stronę innowiercy. Zdjął kapelusz, nie opuścił jednak głowy ani wzroku. Poniżył się, ale nie tak jak ukorzyłby się przed Bogiem.

- Innowiercy chcieli zabrać mi wnuka - powiedział staranną angielszczyzną - a ty, innowierco, dałeś mi go z powrotem.

Kain spojrzał na Rachel, a w jego oczach nie było uśmiechu jak na ustach.

- Taak, ale nie liczyłbym na to następnym razem. Powinniście zrobić tak, jak mówił ten człowiek: sprzedać wszystko i przenieść się gdzie indziej.

- *Ja*. - Isaiah pokiwał wolno głową. - Wszystko jest napisane w Biblii. Izaak, gdy Filistyńczycy zasypali mu studnie dla bydła, odszedł na inne ziemie i wykopał nowe. A teraz ty, obcy i niedowiarek, ty, który zabijasz ludzi, mówisz nam, że powinniśmy się stąd wynieść. A ja powiadam, może Bóg tylko sprawdza nasze zdecydowanie. „Którzy ufają w Panu, są jako góra Syon, która się nie poruszy”.

- Hunter i jego uzbrojeni najemnicy są chyba zdecydowani wygonić was stąd. A jeśli nie będą mogli tego

uczynić, to niewiele czasu upłynie i będą zdecydowani was pogrzebać.

Noah chrząknął z obrzydzeniem i odwrócił się. Lecz Samuel wystąpił do przodu i wetknął palec w twarz innowiercy.

- Mówisz o śmierci, a na ustach masz swój diabelski uśmiech i myślisz, że jesteś kimś. Ale byłbyś już martwy jak kamień, gdyby nie Bóg, który spowodował, że koń stanął dęba.

Benjo drgnął i pobladł, po czym uniósł lewą rękę, żeby przykryć procę zatkniętą za pasek spodni.

Innowierca odsunął na bok palec Samuela i posłał mu najbardziej diabelski ze swoich uśmiechów.

- No tak, z całą pewnością był to cud.

Tego wieczoru psalmy nie brzmiały smutno ani posepnie jak dzwony pogrzebowe.

Rachel słuchała ich z ganku domu swojego ojca. Pod koniec modlitewnej niedzieli młodzi ludzie tradycyjnie zbierali się na śpiewy. Była to pora na zaloty, gdy dziewczęta siedziały po jednej stronie długiego stołu ustawionego na kozłach, chłopcy zaś po drugiej, a dzień zmierzał wolno na spotkanie z nadchodzącą nocą i oczy wędrowały tam, gdzie nie powinny, a serca przepełniały inne myśli niż o Bogu.

W powietrzu unosił się słodki odór palonej owczej padliny. To był jedyny sposób pozbycia jej się szybko i do czysta, żeby uniknąć najazdu sępów i wilków na farmę. Barany łatwo się paliły, bo ich runo zawierało lanolinę. Płonęły niczym smolne pochodnie, jak mawiali hodowcy owiec.

Młodzi ludzie ukończyli śpiew ostrą nutą, która odbijała się echem w zapadającym zmroku. Rachel spojrzała na drugi koniec ganku, gdzie *Mutter* Anna Mary opatrywała innowiercę. Staruszka poruszała wargami, recytując biblijne wersety, i zszywała mu owczym jelitem rozcięcie pod okiem.

- Teraz masz tam iść!

Rachel się odwróciła. To był Sol, ale w ciemności nie widziała jego twarzy. Wyciągnął rękę i dużymi niezgrabnymi palcami wsunął jej pod czepiec uwolnione pasemko włosów.

Ojciec siedział przy długim, nakrytym ceratą stole, a za nim stali jej bracia i Noah. Matka przy zlewie, odwrócona plecami ze schyloną nisko głową, obierała ziemniaki; była niemal niewidoczna niczym cień.

Chociaż Rachel nigdy w tym domu nie mieszkała, a nawet nie spędziła w nim ani jednej nocy, uważała go jednak za swój dom. Przy tym stole, przy którym siedział ojciec, będzie zawsze dla niej miejsce. Są związani ze sobą: ona i jej bracia, mama i tata, więzami wzmocnionymi przez życie i miłość, zbyt mocnymi, by można je zerwać. Tak, z pewnością są zbyt mocne, by cokolwiek mogło je rozerwać.

Wszyscy czekali, aż Isaiah przemówi pierwszy. On jednak siedział w milczeniu, przed sobą miał otwartą wielką rodzinną Biblię, przeczesywał palcami gęstą brodę i dobierał w myśli potrzebne mu słowa ze swojego serca, ze swojej głowy i księgi, według której żył.

- Myślmy - odezwał się brat Samuel, choć nie on powinien najpierw zabrać głos - że nie musisz wynajmować jakiegoś innowiercy do prowadzenia farmy. Twój bracia i twój dobry sąsiad Noah zaofiarują ci pomoc, której potrzebujesz.

Wiedziała, czego chcą, zwłaszcza Noah, nie będzie więc słuchać ich opinii. Lecz jeśli jesteś prostaczkiem, to nigdy nie wyrosniesz z przykazania nakazującego słuchać swoich rodziców. Robiła zawsze to, co powiedział ojciec.

Przyklękła przy jego krześle, przysiadła na piętach, złożyła ręce na kolanach i pochyliła głowę.

- Czy tak samo myślisz, tato?

Isaiah położył dłonie na stole, jakby mógł nabrać siły z tego, co stół symbolizował: z jedności ich rodzinnego ducha.

- Powiem ci, co wiem. Wiem, że on nie jest jednym z nas. Że nigdy nie może być jednym z nas.

- Nie jest jak inni innowiercy - rzekła Rachel.

Samuel prychnął kpiąco, i to tak głośno, że prychnięcie echem odbiło się od krokwi. Jego cień Abram, który stał obok, parsknął śmiechem.

- On nie pije diabelskiego trunku - ciągnęła Rachel - ani nie pali diabelskiego ziała. - Ponieważ mówił, że organki wygrał w karty, starannie pominęła hazard. - Stara się wystrzegać błuźnięć, jeśli nie liczyć tego okresu, gdy majaczył w gorączce. On...

Ręka Samuela przecięła powietrze.

- On za to zabija!

- Próbuje przestać. Przyszedł do nas, by znaleźć schronienie i moc przestać. - Wierzyła, że Johnny Kain poszedł po rozum do głowy. Musiała wierzyć, że w duszy pragnął skończyć ze śmiercią i zabijaniem.

- Wziął ze sobą broń na nabożeństwo - odezwał się Noah i słowa te wypowiedział obojętnie i twardo.

- Broń, która uratowała życie naszego Benja.

- Gdyby z woli bożej chłopiec miał umrzeć...

- Nie mów tak!

Sol wkroczył między nich, jakby zanosilo się na bitkę.

- On nie myślał tego tak, jak to zabrzmiało - rzekł. Zwrócił się do Noaha: - Byłoby niesprawiedliwe, gdybyśmy

odmówili uznania dobra, jakie dzisiaj ten innowierca wyświadczył nam wszystkim.

Rumieniec gniewu pojawił się na obliczu Noaha jak ślad wymierzonego policzka.

Rachel poczuła rękę ojca na swojej głowie.

- Lecz mimo całego dobra wyświadczonego nam przez tego innowiercę - powiedział - mimo całego dobra, które pragnie wyświadczyć sobie samemu, dla Boga liczy się tylko wiara. On nie jest jednym z nas. I nigdy jednym z nas być nie może.

Rachel poczuła ciężar ojcowskiej ręki na głowie i wykrochmaloną sztywność modlitewnego czepca i obie te rzeczy przypomniały jej, kim jest.

- Jeśli to, co robię, jest niezgodne z zasadami prostaczków, powinniście takiego czynu zakazać. Ja tylko chciałam wynajść kogoś do pomocy na farmie, póki znów nie wyjdę za mąż.

- Łatwo da się to rozwiązać - odparł Samuel. - Wyjdź za mąż jutro.

Rachel uniosła głowę. Popatrzyła nie na brata, nie na Noaha, lecz na ojca, tak by mógł poznać prawdę jej słów.

- W sercu mam wciąż Bena.

Samuel zaśmiał się krótko, ale w tym śmiechu było jakby ostrze.

- Jesteś pewna, że to nie ten innowierca, który przyszedł i tam się usadził?

- Czasami miewasz zboczone myśli. Samuelu Millerze. On sypia w wozie pasterskim.

Rozłożył ręce.

- Tak mówisz. Lecz nasz ojciec wychował czterech synów i żaden nie przyczynił tylu kłopotów, tyle bólu jego sercu co jedyna córka.

Rachel zerwała się na równe nogi.

- P i ę c i u synów wychował, nie czterech. Co za kamień nosisz zamiast serca, że możesz w taki sposób zapierać się naszego brata? Mówić tak, jakby w ogóle nie istniał! On nie żyje, ale ty nie możesz twierdzić, że go w ogóle nie było. Był naszym bratem... - Miała uczucie, że się zadławi własnym oddechem. - Nasz Rome.

Imię to odbiło się echem w nagle cichym pokoju. Imię nie wymawiane od ponad pięć lat.

Matka ścisnęła obiema rękami brzeg zlewu, jakby musiała się czegoś trzymać.

- Jak możesz się go zapierać? - powiedziała Rachel do jej pleców, choć z trudem przetykała ślinę. - Nosilaś jego ciało i duszę w swoim łonie, karmiłaś go swoją piersią. Był twoim synem. Rome był twoim synem!

Sadie zakręciła się i uciekła z pokoju, a w trzaśnięciu drzwi do sypialni zabrzmiało jakby imię Rome.

Ojciec podniósł się wolno. Stał przed Rachel i wtedy ujrzała na jego twarzy okropny lęk, że i ona, jak jej brat, zostanie stracona dla świata.

Wyciągnęła do ojca rękę, złapała za kaptę i przywarła do niego, przyciskając twarz do jego piersi. On jednak wziął ją za rękę i odepchnął od siebie.

Samuel odsunął na bok ojca, żeby dziobnąć ją palcem w twarz.

- Ja mówię, że jeśli ten *Englischer* zostanie przez lato, to, z przeproszeniem, w porze krycia już go nie będzie, a ty jak owca będziesz gotowa do poślubienia.

Kiedy indziej byłaby się zaśmiała, bo to zabrzmiało groteskowo. Mówić jej, dorosłej kobiecie, mającej własne dziecko, kogo ma poślubić i kiedy! Lecz nie mogła się śmiać, gdy patrzyła na twarz brata Samuela, czerwoną z gniewu, a nawet z obrzydzenia.

Spojrzała na Noaha. On też jej się przyglądał oczami pełnymi niepokoju. Nigdy nie potrafił ukryć swojej miłości do niej. Nie chciał jej się wierzyć, że taka miłość może być nie tylko darem, lecz także ciężarem. Że może ranić.

- Jeśli on zostanie - powiedziała, patrząc mu w oczy - to obiecuję, że w porze krycia owiec znowu wyjdę za mąż.

Czekała na słowa ojca, ale on milczał. Pomyślała, że powinna wyjść, zanim się rozplacze albo powie za dużo. Już powiedziała zbyt dużo.

Nie mogła jednak pozwolić, żeby między nią a Samuelem pozostało takie nieprzyjemne napięcie. Toteż w drodze do drzwi specjalnie przeszła obok niego, położyła mu rękę na ramieniu i lekko go uszczypnęła. Dopiero znalazłszy się na ganku, zrozumiała, jakim darem było milczenie ojca.

Darem i brzemieniem.

Noah popatrzył na drzwi, które zamknęły się za Rachel, i poczuł, że oczy go palą, jakby miał piasek pod powiekami.

- I basta! - powiedział Samuel. - Obiecała. Słyszałaś. - Spojrzał na Noaha, oczekując, że ten się odezwie. Lecz Noah nie mógł chyba poruszyć językiem ani nawet wciągnąć powietrza w płuca.

Samuel zdjął kapelusz z gwoździa na ścianie i wypadł z domu, a za nim Abram.

- Powinienem zobaczyć, co zostało z naszych owiec - odezwał się Sol po chwili, która wydawała się długa i ciężka. On też zdjął kapelusz z gwoździa, potem jeszcze przystanął, obracając go w rękach. Westchnął boleśnie, nasadził kapelusz na głowę i wyszedł.

- Levi, idź doić krowy! - polecił Isaiah.

„Chłopak jest tak przerażony tym, co dzieje się z jego rodziną, że przeżywa wstrząs” - pomyślał Noah.

- Ale ja już to zrobiłem, tato - zapewnił trzęsącym się głosem Levi.

- Idź!

Drzwi zamknęły się cicho za chudym chłopcem. Na gwoździach wisały już tylko dwa kapelusze. Noah patrzył na nie, jakby go fascynowały. Nie sposób było patrzeć gdzie indziej.

Isaiah ciężko opadł na krzesło, które skrobnęło gołe deski podłogi. Położył rękę na Biblii i palcami czule gładził czarną skórę.

Noah wykrztusił z trudem słowa, które powinien był powiedzieć, choć nie chciały mu wyjść z ust.

- Dlaczego to robisz? Dlaczego pozwalasz innowiercy, takiemu jak ten, wejść między nas?

- Jeśli natrafimy na jagnię zabłąkane na pustkowiu, czy pozostawimy je tam, by zginęło? Czy też zaprowadzimy z powrotem do stada Pana? *Ja*, wiele mądrości jest w Piśmie Świętym.

„Nie - pomyślał Noah. - To nie jest ten powód, nie jedyny powód. Ty myślisz, że ze względu na Rachel Johnny Kain będzie naszym mieczem, posiecze naszych nieprzyjaciół, a nasze ręce pozostaną nie splamione ich krwią. Choć jesteś naszym biskupem, tu się mylisz, mylisz się co do drogi, jaką dla nas obierasz”.

Noah wiedział, że powinien zacytować Isaiahowi Millerowi mądre słowa z Biblii. Słowa mówiące o tym, iż nie powinno się czynić zła w nadziei, że przyniesie dobro. Lecz tym razem język jakby mu przyrósł do podniebienia.

Isaiah wstał i odłożył Biblię na miejsce, na fajansowej półce nad stołem.

- Innowierca robi to, co robi. I Bóg ukarze jego, nie nas.

Noah wbił wzrok w ziemię i słowa, które powinien był wypowiedzieć, pozostały zatrzaśnięte w jego sercu. Odwrócił się od biskupa i przeszedł przez kuchnię po swój kapelusz. Czuł, że porusza się jak stary, bardzo stary człowiek.

Na ganku napełnił płuca czystym montańskim powietrzem, ale nie złagodziło to bólu ściskającego klatkę piersiową. Diakon Noah Weaver był zadufany w swojej grzesznej pysze, przemilczał złe przeczucia, ukrywał własne myśli. W duszy wiedział, co należy zrobić, a postąpił źle.

A wszystko dlatego, że Rachel, jego Rachel, patrząc mu w oczy, obiecała wyjść za mąż po odchowaniu jagniąt.

XIV

W niebieskim zmroku rozlegało się rechotanie żab nad stawem. Rachel brodziła w gęstej trawie, szukając polnych kwiatów. Ćmiło ją za oczami. W duszy czuła niepokój.

Wiedziała, że innowierca ją znajdzie, i chciała, żeby ją znalazł. Lecz gdy przyszedł, odwróciła się do niego plecami. Zrywała górskie dzwonki, szarpiąc za łądźki tak mocno, że wyciągała je z korzeniami. Ziemia sypała się na jej fartuch i buty. Miała kichnąć, ale dźwięk, jaki wydała, bliższy był łkania.

- Co oni pani zrobili? - spytał.

- Nic. - Wyprostowała się i wciąż na niego nie patrzyła. - Pan myślał, że mnie zbiją? Zwymyślają? - Dzwonki w jej ręce drżały. - Och, Samuel i ja dużo krzyczeliśmy. Wymieniliśmy okropne słowa. Uraziliśmy rodzinę tak bardzo, że ciekawa jestem... - Chwyciła zębami dolną wargę, a w oczach poczuła znowu palące łzy.

Wsadził ręce do kieszeni surduta i odwrócił się tyłem do niej, w stronę gór, których ostre sylwetki rysowały się na tle światła w kolorze kości słoniowej kończącego się dnia.

- Oni chcą, żebym odszedł - powiedział.

- Obiecałam Noahowi, że wyjdę za niego po odchowaniu jagniąt.

Nic na to nie rzekł. Lecz on nie wiedział, ile ją kosztowała ta obietnica, a może go to nie obchodziło.

Ruszyła przez trawę długimi krokami, kierując się w stronę wzgórze za dużym domem. Kiedy za nią nie poszedł, przystanęła, odwróciła się i zaczęła; po chwili już ją dogonił.

Nie weszła przez furtkę na cmentarz jak wcześniej tego dnia, tylko uklękła przy grobie znajdującym się na zewnątrz.

- Tu jest pochowany mój brat Rome - powiedziała. - Czy pan wie, dlaczego leży osobno, a nie razem z innymi? - „Czy to pana obchodzi?” - chciała zapytać.

Przyglądał się zaniedbanej mogile.

- Był innowiercą - rzekł w końcu.

- Nie, nie w taki sposób jak pan. - Zaczerpnęła powietrza, przymknęła na chwilę oczy, broniąc się przed bólem i poczuciem straty. - Pewnego dnia Rome poszedł na jedno z tych ewangelizacyjnych spotkań, po prostu dla żartu, a ten wędrowny kaznodzieja położył na nim ręce, po czym Rome wrócił do domu i oznajmił, że urodził się znowu w Chrystusie, że został zbawiony.

Potarła sobie ręką twarz i znów wciągnęła powietrze.

- Jak się to stało, nie wiemy. On nie przyznał się, że jest w błędzie, Kościół więc nałożył na niego *Bann* za *fremder Glaube*, dziwną wiarę. Został zapoznany.

Gardło jej się ścisnęło.

- Zapoznany przez nas wszystkich, nawet przez własną rodzinę. Przygotowywano dla niego jedzenie, ale przy stole nie zostawiano mu miejsca. Pracował wraz z nami i nikt nie mógł z nim ani rozmawiać, ani uśmiechać się do niego, ani w żaden sposób go uznawać. Sypiał w kawalerskim domu razem z Solem, a rodzony brat nie miał z nim nic wspólnego, bo jeśli złamiesz *Bann*, to z kolei ty zostaniesz zapoznany przez wszystkich.

- Dlaczego więc po prostu się nie wyniósł?

Popatrzyła na niego zdumionymi oczami.

- To był jego dom. Jak mógłby porzucić własny dom? Tylko dla nas to było tak, jakby umarł. Poruszał się wśród nas, a jakby umarł. I pewnego dnia naprawdę umarł.

Wyrwane z korzeniami dzwonki o pogniecionych płatkach położyła na zarośniętej chwastami ziemi. Nie wiedziała, że ukląkł obok, póki nie wziął jej w ramiona. Nie wiedziała, że płacze, póki nie powiedział:

- No śmiało, wypłacz się teraz.

Złapała się jego surdutu, jak przedtem ojca. Lecz Kain jej nie odtrącił, jak to zrobił ojciec. Trzymał ją i głaskał po plecach. A po chwili oparł brodę na sztywnych fałdach czepca i przyciągnął do siebie.

- Chcę, żebyś został - powiedziała.

* * *

- ...i wtedy stara pani wrzasnęła: „I t e r a z mi to mówisz! *Mein Gott*, jego ptaszek, powiadasz? Nic dziwnego, że ryba, którą jedli, była taka dobra. Myślałam, że to dżdżownica i wzięłam ją na przynętę”.

Mose udawał, że się śmieje. Oparł się o szorstkie deski owczarni, założył nogę na nogę, z dolnej wargi zwisało mu żdźbło tymotki; chciał stworzyć wrażenie, że jest jednym z nich, jednym z *Buwe*, ale nie był.

Zawsze pod koniec każdej modlitewnej niedzieli tak się działo. *Buwe* zbierali się przy wozach, żeby żuć siano i zachowywać się wulgarnie, a przynajmniej we własnym mniemaniu wulgarnie, czyli wymieniać opowieści, w których była mowa o pierdzeniu i sranu, i pieprzeniu, a im więcej wulgarnych słów, tym lepiej.

Żaden z nich nie miał na sumieniu niczego naprawdę grzesznego, poważniejszego przewinienia niż przybicie buciorów dorosłego brata gwoździami do podłogi albo posmarowanie wygodki przecierem jabłkowym. To tylko takie gadki. „Prawda jest zaś taka - pomyślał Mose - że nie odróżniliby własnych ptaszków od dżdżownicy nawet za pomocą latarni i w samo południe”.

Ktoś puścił głośno bąka i *Buwe* parsknęły śmiechem. Mose wykrzywił z pogardą usta, w których miał tymotkę.

Śmiech zwrócił uwagę *Meed*. Dziewczeta siedziały wciąż przy stołach, gdzie wcześniej wszyscy razem śpiewali. Ich białe fartuchy i chusty świeciły w szarówce, chwytając ostatnie blade światło kończącego się dnia. Nie powinny były spoglądać w stronę *Buwe*, ale większość z nich to robiła. Lecz nie Gracie; ona zapewne nigdy w życiu nie złamała żadnej reguły.

Nawet stąd, gdzie teraz stał, obok wozów, Mose mógł dojrzeć Gracie Zook wśród innych dziewcząt. Siedziała zawsze wyprostowana. I tak samo w charakterystyczny dla siebie sposób trzymała głowę. Z tego powodu niektórzy jej zarzucali, że jest dumna, choć wcale taka nie była. Była po prostu sobą, Gracie.

Mose wyciągnął z ust żdźbło i odsunął się od ściany jagniątkarni. Ruszył w kierunku stołów, wydeptując ciężkimi buciorami ślad w gęstej trawie.

Gracie unikała patrzenia na niego, gdy się zbliżał. Do tradycji należało trzymanie w tajemnicy zalotów, mimo że wszyscy wiedzieli, kto z kim kręci.

W tym momencie jedna z dziewcząt przytknęła zapalną do knota latarni i światło zalało stoły. Przedtem Mose mógł widzieć tylko biały fartuch i chustę Gracie, a teraz zobaczył ją całą - od pasemek miodowobrazowych włosów, które wymknęły się spod czarnego czepca, i małego pieprzyka, przypominającego węgielek, między wargą a zadartym noskiem.

Znał ją przez całe swoje życie, ale czasami ni z tego, ni z owego jej widok potrafił przyprawić go o utratę tchu i bolesny ucisk w klatce piersiowej.

Zatknął kciuk za pasek fałdzystych portek, przerzucił ciężar ciała na jedno biodro i próbował zuchowato się uśmiechnąć.

- *Har*, Gracie.

Zrobiła się czerwona jak burak, ale odpowiedziała dość chłodno:

- *Har* tobie też, Mosesie Weaverze. - Przejdziesz się ze mną? - zapytał.

- Teraz? Tu?

- Nie, myślę raczej o San Francisco w następną świętą Czwartego Lipca.

Lekki uśmieszek pojawił się na ustach Gracie. Mose wyciągnął do niej dłoń. Dziewczyna po chwili ją ujęła.

Pomógł jej przejść przez ławkę i trzymał za rękę, gdy opuścili światła latarni. Poszli na zachodni kraniec farmy Millerów, tam gdzie na tle mroczniejącego nieba czerniał rząd topoli niczym słupy palisady.

Dłoń Gracie była szorstka i popękana od ciężkiej pracy na rodzinnej farmie. Zupełnie inna niż dłoń panny Marilee. Mose ostatnio wiele rozmyślał o tych dwu dziewczętach, porównując je ze sobą. Zastanawiał się, jak wyglądałyby nago.

Wyobrażał sobie, że piersi Marilee - a widział już całkiem sporą ich część - są duże i ciężkie, a sutki różowe jak pączki różane. Piersi Gracie na pewno są drobne, najwyżej wielkości jego dłoni, a sutki okrągłe i brązowe jak żołędzie. Marilee ma między nogami włosy złociste i kędzierzawe, a Gracie ciemnoblond i proste.

Potrząsnął głową, próbując uwolnić się od tych obrazów. Judaszu, jest naprawdę zepsuty, skoro pozwala, by takie myśli wkradały mu się do głowy, zwłaszcza w niedzielę!

Zerknął na Gracie, na pół się obawiając, a na pół mając nadzieję, że wieczorny wiaterek zerwie z niej szaty. Lecz

nie, wciąż była ubrana od stóp do głów, w fartuch, chustę i czepiec. Westchnął. Była niezwykle milcząca; ściągnęła wargi, jakby jakimś cudem mogła poznać jego grzeszne myśli.

- Twoje usta wyglądają tak, jakby oderwano je od marynaty - powiedział.

Wysunęła swoją rękę z jego dłoni i obróciła się twarzą ku niemu, krzyżując ręce na piersiach.

- Dlaczego zachowujesz się tak głupio i dziko?

- Nic nie zrobiłem - zaprotestował. Przy ostatnim słowie głos mu się załamał, zabrzmiało więc to tak, jakby był winny. Rozłożył ręce w bok. - Patrz, nawet ubrałem się dziś jak prostaczek.

- Wiesz, że nie mówię o dniu dzisiejszym.

Zapadł zmrok, ściemniło się tak, że nie widział jej twarzy, i to mu odpowiadało. Wiedział, że w ciemnobrązowych oczach kryje się uraza.

Czuł się wewnętrznie zamotany jak kłębek przędzy, miał jednak nadzieję, że jeśli uda mu się znaleźć wolny koniec, zdoła płataninę rozsypać i wszystko znów będzie w porządku. Mocna była ta jego Gracie, najmocniejsza ze wszystkich znanych mu osób. Może gdyby umiał po prostu ją skłonić, żeby zrozumiała, co się z nim złego dzieje, wówczas potrafiłaby mu pokazać, jak to naprawić.

- Nie miałaś kiedy ochoty pójść na minstrelskie przedstawienie? Albo do cyrku, takiego ze słoniami i tygrysami?

- W zeszłym tygodniu kuguar przyszedł ze wzgórz, i zamordował troje naszych jagniąt. Kuguary strasznie wyją. Usłyszałam wycie, wybiegłam na dwór i patrzę, a on tam rozszarpuje brzuch nowo narodzonego jagnięcia. - Potrząsnęła głową. - A ty myślisz, że mogę mieć ochotę oglądać tygrysa?

- Zapomnij więc o tym - warknął, rozgniewany na nią, na siebie. - Czy wiesz, że jest takie miasto. Nowy Jork, gdzie mieszkają trzy miliony ludzi i niektórzy z nich przyjechali z krajów, o których nigdy nie słyszeliśmy? I mają tam wiele różnych nowych wynalazków, takich jak telefony i światło elektryczne.

Patrzyła na niego. Wiedział, że usiłuje go zrozumieć, ale zupełnie jej się to nie udaje.

Sam zresztą nie potrafił pojąć, co w nim siedzi, skąd się wziął ten okropny pęd do złych rzeczy, takich jak próbowanie whisky czy czucia na skórze dotyku wykwintnych ubrań. Miał ochotę sprawdzić, czy potrafiłby dotknąć księżycy, spróbować go i powąchać.

A tu stała jego Gracie, prosta jak świeca, mierzyła go wzrokiem, i on wiedział, że może ją utracić, jeśli nie będzie ostrożny. Jeśli nie przestanie pragnąć tego, czego pragnąć nie powinien.

- Wynalazki, o których mówiłeś, to są rzeczy źle - powiedziała. - Jaki pożytek może być z tego, że się wie o złych rzeczach, których nie powinniśmy mieć?

- Może poznanie prawdy o nich pomaga zrozumieć, co naprawdę jest dobre.

Wygięła wargi w półśmiechu.

- Przecież my zawsze wiemy, co jest naprawdę dobre. To jest to. - Zakreśliła ręką szeroki łuk, po czym położyła ją znowu na piersiach, jakby gromadząc przy sercu wszystko, co mogli zobaczyć na własne oczy. - Nasze rodziny i Kościół. Życie, które przeżyjemy razem, dzieci, które będziemy mieć.

I co mógł na to powiedzieć? Że rzeczy te nie są dobre? Wiedział, że są; pragnął ich tak samo jak ona. Albo kiedyś Pragnął.

Szła w milczeniu obok niego. Liście topoli poruszały się nad ich głowami. Głośny krzyk dobiegł od stawu za jagniątkarnią. Młodszy chłopcy rzucali tam kamieniami w żaby i chwyтали świetliki. Mose niemal żałował, że nie jest z nimi. Mógłby namówić Benja Yodera, żeby go nauczył, jak zabić żabę z procy.

Benjo Yoder... Kiedy spłoszone bydło z rykiem pędziło traktem, wszyscy uciekli jak komary z wędzarni, prócz biednego Benja. I tego innowiercy.

- To, co zrobił Johnny Kain, to był dopiero wyczyn - powiedział na głos, oczekując, że Gracie wskoczy w sam środek jego myśli. - Chciałbym być taki jak on. Znać wiele rzeczy, robić wiele rzeczy, by móc się czuć silnym i odważnym. Odważnym na tyle, żeby pójść w świat i zmierzyć się z samym diabłem.

Przechyliła głowę, rozmyślając przez chwilę, po czym rzekła:

- Ten innowierca nie mierzy się z diabłem, tylko zasiada z nim do stołu i wdaje się z nim w układy. Nie jest silny i dzielny, tylko zgubiony. Powinieneś litować się nad nim z tego powodu.

- A jeśli to my jesteśmy zgubieni? Gdyby nie ten innowierca, Benjo Yoder dziś mógł być umrzeć, a my potrafilibyśmy się tylko m o d l i ć. Jesteśmy jak te biedne głupie jagnięta, które strato wano, i nawet tego nie wiemy. Poklepujemy się po plecach i mówimy sobie, że jesteśmy mądrzejsi od świata. A jeśli to ci inni są mądrzejsi? Jeśli mylimy się w tym, w co wierzymy?

Złapał ją za ręce, pragnąc rozpaczliwie, by potwierdziła, by zrozumiała.

- O, Gracie, Gracie! Czy ty naprawdę wierzysz, że będziesz grzesznicą, jeśli pewnego dnia zbudzisz się i postanowisz nosić na swoim czepcu cztery fałdy zamiast trzech? Czy dodatkowy fałd pośle cię do piekła?

Odsunęła się i potarła ręce w miejscach, gdzie ją trzymał.

- W twoich ustach brzmi to zbyt prosto. I głupio. Wiesz, że tak nie jest.

Próbował się roześmiać, ale miał wrażenie, że w gardle utknął mu twardy kawał suszonego mięsa. W tej chwili wszystko, w co go uczono wierzyć, wydawało się zbyt proste i głupie; ich Kościół, cały ich sposób życia nie dopuszczający żadnych wątpliwości, żadnej słabości. Żadnej litości.

Najtrudniejsze do zaakceptowania było to, że dla błędzących, dla wątpiących, nie mogło być litości. Trzeba rzucić się na kolana i połknąć cały *Kitenkabutal* albo skazać się na potępienie. Mosesie Weaverze.

A tu stała jego Gracie i patrzyła na niego swoimi szczerymi czarni, oczekując, że będzie kimś, kim nie jest.

Przysunął do niej twarz tak blisko, że aż się wzdygnęła.

- Wiem, czego ty naprawdę chcesz. Chcesz tego, czego zawsze chcą wszystkie dziewczęta. Chcesz, żebym się ustatkował i wstąpił do Kościoła, byśmy mogli się pobrać. Poukladałaś kołdry w swojej skrzyni z wyprawą i zaczynasz się zastanawiać, czy będziesz mieć kiedyś łóżko, na którym je położysz.

Odkoczył od niej tak gwałtownie, że niewiele brakowało, a byłby się potknął.

- No dobrze, możesz sobie nadal chcieć i robić kołdry, Gracie Zook! - krzyknął do niej przez ramię - bo ja nie jestem jeszcze gotów dać się przywiązać do wstążek kobiecego czepca.

Dochodził już do dużego domu, gdy się obejrzał. Ledwo mógł ją dojrzeć stojącą nadal wśród drzew, które wyglądały jak strażnicy.

Kubeł z pomyjami będzie stał obok drzwi, dopóki nie zostanie wyniesiony na dwór i opróżniony do świńskiego koryta. Czynność dość prosta, ale skoro tylko Fannie Weaver zabłądziła w tamtą stronę wzrokiem, jęczała w duchu.

Na dworze czekała noc i niebo, ciemne i puste niebo górskie. Noc je przybliżała. Nawet w domu za ścianami z mocnych drewnianych bali wyczuwała wiszące nad głową niebo, rozległe i ciemne, i brutalnie na nią naciskające. Miażdżące ją.

Kubeł z pomyjami stał jak milczący i smrodliwy wyrzut sumienia. Jeśli zostawi go do rana, będzie cuchnął nawet jeszcze gorzej i Noah ją skrzyczy. Widziała brata przez na wpół otwarte drzwi jego pokoju. Siedział na brzegu łóżka w świetle lampy. Trzymał w dłoniach Biblię i poruszając wargami, uczył się na pamięć wersetów przeznaczonych na ten dzień.

- Noahu!

Podniósł głowę, popatrzył gdzieś za nią, po czym powrócił krokiem do otwartej książki.

Fannie wytarła spocone ręce o fartuch. Gdyby w domu był Mose, kazałaby mu wynieść pomyje. Lecz gdzieś sobie poszedł i włóczył się po nocy.

Znowu wytarła ręce. W małej kuchni, jak to u prostaczków, była goła sosnowa podłoga i niewiele sprzętów; kwadratowy dębowy stół z czterema krzesłami o oparciach z poziomych poprzeczek, czarny piecyk, a w kącie niskie łóżko na kółkach, na którym sypiał Mose. Zanim przemierzyła tę nagą podłogę, idąc do drzwi, jej urywany oddech stał się głośniejszy od znieawidzonego górskiego wiatru. Tętno waliło jej w uszach.

Sięgnęła ręką do klamki. Wolno otworzyła drzwi i w tym momencie spod okapu wyfrunął nietoperz, gorączkowo trzepocząc czarnymi skrzydłami.

Krzyknęła i zatrzasnęła drzwi z taką siłą, że aż zadrżał cały dom.

- *Was geht?! -* zawołał Noah, ale ona już przeszła obok niego. Dom zatrzęsł się znów w posadach, gdy trzasnęła drzwiami do swojej izby.

Padła na ścianę, wciągając w płuca powietrze wielkimi haustami i oddychając gorączkowo, jakby nie śmiała przestać ani na chwilę.

- Fannie!

Wstrzymała oddech.

Zastukał do drzwi.

- Fannie! *Wie gehts?*

Całe ciało miała zeszywniałe i drżące. Z zaciśniętego gardła dobywał się piskliwy skowyt. Usłyszała tupot obutych stóp po podłodze, a potem szcęk zamka u drzwi pokoju brata.

Zjechała po ścianie w dół i siadła na podłodze z kolanami przyciśniętymi do klatki piersiowej.

- Zostaw mnie! - powiedziała zbyt głośno jak na to, że tylko ona miała to usłyszeć. Zakryła sobie usta kolanem i teraz już wrzeszczała, wykrzykiwała w sobie: *Z o s t a w m n i e, z o s t a w m n i e! N i e z o s t a w i a j m n i e, n i e z o s t a w i a j m n i e, n i e z o s t a w i a j m n i e s a m e j...!*

Zacisnęła powieki, broniąc się przed potokiem łez, lecz one i tak pociekły. Zalały twarz jak gorący deszcz, wlewały się do nosa, ust i uszu, by ją zatopić, wlewały się przez gardło, by zalać jej serce. Lały się i lały, aż była pusta i pełna łez jednocześnie.

I tak została, wpatrując się szeroko rozwartymi oczami w odkryte krokwie i czując się głupio. Nie, nie czuła się głupio - czuła się oszukana. „Tak, z pewnością - pomyślała - tak wiele łez powinno było jej dać coś więcej niż tylko palące oczy i obolałe gardło”. Sięgnęła po chusteczkę, którą zawsze nosiła w rękawie, żeby wytrzeć nos. Podniosła się wolno na nogi i oparła o ścianę. Miała dopiero trzydzieści pięć lat, a czuła się taka stara i taka samotna.

Chociaż w izbie było jasno dzięki lampie naftowej, zapaliła jeszcze świeżą świecę przy łóżku. Później, gdy będzie spokojniejsza, może zgasi lampę. Palącą się świecę zostawi jednak aż do brzasku.

Noah wciąż powtarzał, że któregoś nocy spali im dom, toteż teraz stawiała świecę na talerzyku z wodą. Mówił, że

jest rozrzutna, kupowała więc najtańsze świece, z bizoniego łożu. Noah powiedział, że cuchną. „To mój nos będzie cierpieć” - odparła, stawiając mu się po raz pierwszy w życiu. Warto jednak wytrzymać ten zapach, żeby mieć światło.

Podczas rozbierania się w milczeniu odmawiała wieczorne modlitwy, jak to mają w zwyczaju prostaczki. Włożyła koszulę i nocny czepek i wśliznęła się do łóżka. Wyziębiona i szorstka pościel drapała ją w gołe nogi i pachniała mydłem z łożu, w którym ją prała. Łóżko było olbrzymie, wystarczające dla dwu osób. Rozpostarła nogi od jednego krańca do drugiego, wyczuwając jego pustkę.

Izba nie miała okien, nie mogła zatem widzieć ani nocy, ani nieba. Wiedziała jednak, że tam są.

Zmówiła jeszcze kilka modlitw, zanim usłyszała, że wraca Mose. „Przynajmniej - pomyślała - nie będzie dzisiaj spać z tą Gracie Zook”. Fannie nienawidziła Gracie, choć wiedziała, że nie wolno nienawidzić, że to grzech. Gracie przypominała jej Rachel, bo zachowywała się zarozumiale, zawsze myślała, że jest kimś. A teraz Gracie próbowała zabrać jej Mose'a. Tak jak Rachel zabrała Bena.

- Ben.

Obróciła głowę do poduszki, żeby stłumić dźwięk jego imienia w pustej izbie. Objęła poduszkę, przyciągnęła do brzucha, uciskając trawiącą ją próżną bolesć, i zwinęła się w kłębek.

XV

Tej wiosny roku osiemdziesiątego szóstego, wiosny, kiedy innowierca został wynajęty do pracy na owczej farmie Rachel Yoder, wcześniej zrobiło się gorąco.

Mgła powstająca w górach wisiała w powietrzu jak dym tytoniowy w szynku. Lecz wyżej niebo było tak błękitne, że aż oczy bolały, i zupełnie czyste, jeśli nie liczyć kilku piórek obłoczków. Błoto wyschło, zamieniając się w popękana skorupę, którą rozbijały na pył kopyta, buty i koła wozów.

Ludzie mówili, że zapowiada się susza. Wszyscy, nawet ci, którzy tylko pobieżnie znali Pana Boga, modlili się o deszcz. Lecz deszcz nie padał. Na wysokich trawach nie zbierało się w nocy nawet tyle rosy, by zmoczyć wymiona maciorek. Tego ranka, gdy innowierca wybierał się z pierwszą wizytą do miasta, słońce wzeszło zamglone i wiatr ustał wcześniej, tak że w południe cała dolina omdlewała pod przykrywką lepkiego i ciężkiego powietrza.

- Czyż nie piękny letni dzień mamy tej wiosny? - powiedziała Rachel, gdy innowierca ładował na wóz gliniane faski z gruzelkowatym serem. - Pasikoniki zaczęły się odzywać jeszcze przed wschodem słońca.

Kain strącił kroplę potu wiszącą na końcu nosa i burknął coś o tym, że teraz już nie przestaną. Zaśmiała się w odpowiedzi, nie zważając na to, że upał wprawia go w irytację. Było gorąco, to prawda, ale nad nimi szeroko rozpościerało się bezkresne błękitne niebo, a woń rozgrzanej słońcem trawy i szalwii przesyciała powietrze specyficznym aromatem. Pas wierzbówki przed stodołą rozkwitł przez noc jaskraworóżowymi kwiatkami, tak pięknymi, że Rachel uśmiechała się za każdym razem, gdy na nie spojrzała.

Wóz śpiewał swoją pieśń, skrzypiąc, klekocząc i turkocząc w drodze do miasta na koleinach przypominających tarę. Pobrzękiwały łańcuchy uprzęży, kopyta starej kobyły stukały w sennym rytmie po spieczonej ziemi. Przedtem Rachel bała się jeździć do miasta, bo innowiercy się na nią gapili, a czasem potrafiли zachowywać się niemilo. Lecz dzisiaj opanowało ją podniecenie, jakby wyruszali na jakąś wspaniałą przygodę.

Wiedziała, że to poczucie szczęścia wiąże się częściowo z Kainem, bo jechał z nią razem, siedział w jej wozie, a między sobą mieli Benja. Wyglądał teraz niemal tak, jakby należał do nich. Jego pretensjonalny strój, prócz czarnego prochowca, uległ zniszczeniu podczas spotkania ze spłoszonym bydłem, toteż do koszuli po Benie doszły jeszcze jego fałdzone portki, kapota i filcowy kapelusz. Dzisiaj było jednak zbyt gorąco na kapotę. A kapelusz z dużym oklapniętym rondem musiał Kain odpowiednio podedrzeć. Nosił nadal swoje wysokie buty z fantastycznymi ściegami i czarne szelki. I nigdy nie rozstawał się z koltem.

Podobnie jak droga, która jechali, dolina Miawy przypominała swoją falistością tarę, a Miawa City leżało w najniższym miejscu terenu pofałdowanego przez wzgórza i góry. Kiedy się człowiek wspinał na wzniesienie przed miastem, pierwszą rzeczą, jaką widział, był wijący się meandrami potok obramowany wierzbami i osikami, których srebrzyste liście zawsze drżały, nawet w najspokojniejszym powietrzu. Potok z całą pewnością był jedyną ładną rzeczą w tym mieście, stanowiącym skupisko zdezelowanych domów zbudowanych z bali, które z czasem spatynowały się na kolor starych bizonich kości, pokrytych zardzewiałymi blaszanymi dachami.

Do miasta i z miasta prowadziła tylko jedna droga, ale na szczycie wzgórza umieszczono strzałkę wskazującą kierunek tym, którzy być może żywili słabą nadzieję na uniknięcie tego miejsca. Kain zatrzymał wóz i popatrzył w dół.

- Gdyby mnie pytano, powiedziałbym, że nazwać coś takiego miastem to puszenie się - rzekł. - A gdyby ktoś chciał więcej wiedzieć, dodałbym, że musiałoby się jeszcze trochę nadać, by stać się choćby wykrotem na drodze.

Rachel mrużyła oczy przed promieniami słońca odbijającymi się od stert blaszanych puszek i butelek, które wały się wzdłuż potoku.

- Ma swój kościół - odezwała się - jakkolwiek ksiądz przyjeżdża tu tylko dwa razy w roku. I szkołę z masztem na flagę. Ale któregoś popołudnia pewien człowiek upił się i strzelał do niej, to znaczy do flagi, tak że teraz na błękitnym polu ma kilka dodatkowych gwiazdek.

Benjo podskakiwał na siedzeniu.

- O... o... powiedz mi, mamo, jak Miawa z... z... zyskała swoją nazwę.

Rachel spojrzała na Kaina. Patrzył na nią po swojemu, bacznymi oczami, czuła się więc tak, jakby mierzył głębokość i długość każdego jej oddechu.

- Kiedyś, dawno temu - zaczęła, próbując naśladować jego niespieszny sposób opowiadania - zanim w tej dolinie pojawił się biały człowiek, mieszkał tu pewien wojownik z plemienia Czarnych Stóp imieniem Mia-Wa. Miał on największego pecha ze wszystkich dotąd narodzonych Indian. Jednej nocy poszedł zapalić ognisko i cała preria stanęła w ogniu. Któregoś dnia pojechał zabić bizona; nie dość, że wrócił z niczym, to jeszcze wywołał popłoch wśród całego stada i w rezultacie wszystkie tipi jego plemienia zostały stratowane na placki. Kiedy indziej wziął łuk i strzały i poszedł upolować coś na kolację. Zobaczył pulchnego głuszca, wycelował więc w niego, ale ptaka nie trafił, za to postrzelił swojego wodza w stopę...

- T... t... to nie tak opowiadał tata - przerwał Benjo. - On m... mówił, że strzała starego Miawa wbiła się w... odzowi w tyłek.

Rachel popatrzyła na syna z wyrzutem.

- W każdym razie inni Indianie poczuli się w końcu zmęczeni tą chodzącą katastrofą, jaką był biedny Mia-Wa, i wygnali go z doliny. Nie mam więc pojęcia, dlaczego całą dolinę postanowili nazwać jego imieniem.

- Może byli zadowoleni, że się go pozbyli - rzekł Kain - i chcieli upamiętnić to zdarzenie.

Rachel się uśmiechnęła. Spotkali się wzrokiem i po chwili każde z nich popatrzyło gdzie indziej. Kain ujął lejce i znów ruszyli w drogę.

Wzdłuż potoku mieszkało kilka rodzin Czarnych Stóp w swoich tipi zrobionych ze skór antylopy. Kiedy podjechali bliżej, Rachel zobaczyła, że z jednego wydobywał się dym, i uśmiech zniknął z jej warg. Pomyślała o tym Indianinie, biednym Mia-Wa, któremu nic się nie udawało, czegokolwiek się tknął. Co za straszny los być wygnanym ze swojego domu i rodziny, wyrwanym z korzeniami ze swojej ziemi. To zbyt straszne, by można było taki los znieść.

Minęli cmentarz, gdzie na świeżo wyciosanym krzyżu wisiała para butów, i zbliżyli się do szarego piętrowego domu z deseczek, z podwójnym balkonem i czerwoną latarnią z lokomotywy, zawieszoną na haku u drzwi frontowych. Trzy kobiety w jedwabnych szlafrokach i papilotach na głowach siedziały jak stadko barwnych zięb na poręczy górnego balkonu.

- T... to jest dom, w którym mieszkają wszystkie Jezabele - oznajmił Benjo na tyle głośno, że Jezabele usłyszały i głośno się zaśmiały.

Rachel skierowała wskazujący palec syna w stronę wozu.

- Jeśli masz zamiar klepać językiem, to raczej klepnij te muchy, które pasą się na moim serze.

Benjo obrócił się i wziął wiązkę gałązek wierzbowych, która leżała na dnie wozu. Tym prowizorycznym wachlarzem zaczął wymachiwać nad glinianymi faskami z gruzełkowatym serem, który Rachel zamierzała sprzedać i w ten sposób pokryć koszt prowiantów na miesiąc.

Patrzyła prosto przed siebie, na drogę, omijając wzrokiem dom grzechu. Trudniej było powstrzymać myśli, żeby do niego nie powędrowały. W tym domu były łóżka. Mogła sobie wyobrazić te łóżka z piernatami z gęsiego puchu, grubymi, białymi i miękkimi jak świeży śnieg; na poszewkach wykończenia z koronek, a pościel tak jedwabista, że szeleści, stykając się z nagą kobiecą skórą. W salonie na dole gra pianino. Mahoniowe pianino. Pianino na dole, a na górze mężczyzna i kobieta leżący na łóżku w gorącym przyciemnionym pokoju, przytuleni do siebie i poruszający się razem, i muzyka z dołu pulsująca nad nimi i poprzez nich...

- Zamierza pani tu tkwić przez cały dzień?

Rachel przeniosła wzrok z podniesionej ręki Kaina na jego skierowaną w górę twarz. Stał na drodze, na środku Miawa City, i czekał, żeby pomóc jej wysiąść z wozu. I wcale nie sprawiał wrażenia, że myśli o splecionych nagich nogach na puchowych piernatach w łóżach domu grzechu. Wyglądał tylko na spoconego.

Palcami ścisnęła brzeg siedzenia przy swoich udach i wydawało się, że nie może palców rozewrzeć. Twarz piekła ją jak rozpalony kocioł. Nie przypuszczała, że potrafi wyobrazić sobie takie grzeszne sceny.

Przybliżył się o krok, chwycił ją w pasie, podniósł z wozu i niósł na spaczony drewniany chodnik. Głośno oddychała i jak dziecko przywarła do jego ramion.

- Nie chce chyba pani mieć mokrych nóg - powiedział.

To była po prostu uprzejmość, nic więcej. A jednak uświadamiała sobie siłę męskiej ręki i ramienia przyciśniętego do jej pleców, szelest spódnicy ocierających się o jego nogę. I to, że ich twarze znalazły się przez chwilę tak blisko siebie, iż stykali się niemal wargami.

- Mokrych? - spytała. I wtedy się zorientowała, że pan Beater właśnie wyszedł ze swojej fryzjersi wylać wodę z wanienki. Szara, pełna mydlin woda płynęła płytkim korytem, które kończyło się rynsztokiem ulicznym.

Nie zauważyła, że fryzjer przystanął i patrzył ani że kilka osób, które chodziły po mieście w taki gorący ranek, też się zatrzymało i obserwowało nie tyle ją i Benja, ile cieszącego się złą sławą rewolwerowca Johnny'ego Kaina. Rozejrzała się, zdezorientowana, jakby nigdy nie widziała Kupiectwa Tullego, Garkuchni Wanga, Gładkiej jak po Maśle Golami i Łażni, czterech miejskich mordowni i tancbud. Kryty pojazd przemknął obok nich w chmurze pyłu

i much gnojówek. Nie mrugnawszy okiem, pozwoliła, by osiadł na niej kurz.

- Lepiej zabierzmy te faski ze słońca - zwrócił się Kain do Benja. - Może byś podawał mi je na dół.

Kupiectwo Tullego szczyliło się zniszczoną markizą w zielono-białe pasy nad wykuszowym oknem. Kain postawił parę glinianych fasek w problematycznym cieniu markizy. Kiedy się prostował, Rachel zauważyła, że się skrzywił i przycisnął rękę do boku. Nazajutrz po przygodzie ze spłoszonym bydłem zastała go bez koszuli, gdy szorował się przy korycie pod studnią. Cały tors miał siny, pełen pręg, stłuczeń i siniaków.

- Ponieważ doktor Henry ma dzisiaj zdjąć panu gips z ramienia - powiedziała - niech go pan skłoni, żeby obejrzał też zębra.

- Ach, nie są pęknięte, Rachel. Wiedziałbym, gdyby były.

Odwróciła się, żeby nie mógł zobaczyć jej twarzy. Nazwał ją Rachel. Postępował tak teraz czasem, gdy zapominał o utrzymywaniu dystansu.

Zastanawiała się, skąd on może wiedzieć, jakie to uczucie, gdy ma się pęknięte zębra. Życie, jakie pędził, zanim, slaniając się, przeszedł przez jej łąkę, ścieżki, którymi podążał, zanim skrzyżowały się z jej ścieżkami - wszystko to było źródłem nieustannej, dręczącej ją ciekawości.

Gdy jednak zerknęła na niego raz jeszcze, musiała się roześmiać z miny, jaką zrobił.

- Jak to jest z wami, mężczyznami, i z waszym leczeniem! Pomachać wam pod nosem butelką z tranem, i uciekacie jak kurak zamieszkujący prerię. A z nadejściem zimy ten sam nos chwyta katar i wtedy słyszy się takie jęki, jakbyście umierali. Z czego ty tak chichoczesz, Benjo? Jesteś okropny!

Kain i jej syn przewracali oczami, jakby chcieli powiedzieć: „Ach te kobiety!”

- Kiedy skończą się tortury - powiedział Kain do chłopca - zamierzam pójść i kupić sobie konia. Pomożesz mi go wybrać?

Benjo zrobił minę, jakby dostał gwiazdkę z nieba.

- Konia? - spytała Rachel.

Mruknął coś, bo Benjo rzucił mu w rękę następną glinianą faskę z gruzłowatym serem.

- Szanowna pani, jeśli będę musiał szybko uciekać, to z pewnością nie na tej waszej ślimaczej kobyle.

- Och!

Oczywiście będzie potrzebował konia. Przecież nie zostanie tu na zawsze. Kiedy przyjdzie czas jego odejścia, na pewno będzie musiał mieć konia.

- Konie są drogie.

Zrobił zdumioną minę.

- Nie sądzi pani, że zarabiając dolara dziennie, mogę sobie na niego pozwolić? Szkoda! Wobec tego będę chyba musiał kogoś obrabować. Albo użyć coś z tego.

Rachel nie widziała, skąd się ten przedmiot wziął. Poleciał nagle w stronę Benja i ten chwycił go w powietrzu. Był to skórzany męski pugilares.

Chłopiec odpiął guzik i pugilares się otworzył, a wtedy oczy zrobiły mu się okrągłe ze zdumienia na widok mnóstwa banknotów.

- *Barmlich!* S... s... skąd pochodzą te wszystkie pieniądze?

- Miałem je przez cały czas w kieszeni surduta. Kiedyś dawniej, gdy miałem kieszenie zasługujące na wzmiankę.

Wyczuła w jego głosie figlarność. Mogła jednak myśleć wyłącznie o tym, że kupuje sobie konia.

- Przez ten cały czas, gdy trzymała mnie pani na golasa leżącego na wznak - rzekł, patrząc teraz na nią - nigdy, jak przypuszczam, nie pomyślała pani, żeby sprawdzić, czy nie mam portmonetki, którą można by gwizdnąć.

- Nigdy bym tego nie zrobiła! - wykrzyknęła.

Kpił sobie z niej, co wyczytała z jego oczu.

Odwróciła od niego wzrok i powstrzymała gwałtowną potrzebę powachlowania ręką twarzy.

- Dziwimy się tylko, Benjo i ja, jak się panu udało zdobyć tak dużo.

- Wygrałem w monte.

Przejechała bryczka, głośno skrzypiąc osi. Benjo wygramolił się z wozu, wciąż ściskając w dłoni pugilares. „Przynajmniej ten człowiek - pomyślała - nie przyznał się, że obrabował jakiś bank”.

- Zapewniałam swojego ojca, że nie brał pan udziału w diabelskich rozrywkach - rzekła sucho.

- No, to zależy, co diabeł robi, żeby się rozerwać. - W jego oczach czaił się kpiący, ale i znaczący śmieszek. - Zieje ogniem i wydaje ryk piekielny?

- Mówię o grach hazardowych - dodała. - To jedna rzecz, lecz są i inne.

- Hm, no tak. - Zdjął kapelusz, żeby otrzeć pot z czoła. Zgarnął palcami włosy z oczu. Były już długie, jak u każdego prostaczka.

Nasadził na głowę kapelusz i lekko odgiął rondo.

- Spróbuję nie robić dziś niczego zdrożnego, choć nie obiecuję. - Położył rękę na chudym ramieniu Benja. - Chodź ze mną, partnerze.

Rachel patrzyła, jak oddalali się drewnianym chodnikiem, i czuła się dziwnie pominięta. Zabrał ze sobą Benja i poszedł kupić konia, na którym potem odjedzie, i ich zostawi. Syna zaprosił, a jej zaferował jedynie lekkie

trącenie kapelusza.

- Czy naprawdę pan uważa, panie Kain, że będzie pan musiał szybko uciekać?! - zawołała za nim.

Odwrócił głowę i uśmiechnął się szelmowsko tym swoim uśmieszkiem, któremu nie dowierzała. Uśmiechem, który należał do Johnny Kaina.

- Nie wie pani, pani Yoder, że winny ucieka nawet wtedy, gdy go nikt nie goni.

- Rozłóż nogi!

Marilee przemieściła biodra na czarnej skórzanej poduszce i rozsunęła kolana. Przez zaciśnięte usta wypuszczała powietrze i skierowała wzrok na sufit. Widywała już gorsze sufity - pomyślała. W tym przynajmniej były dziury od sęków, a nie od kul.

- Szerzej - powiedział Lucas Henry spomiędzy jej nóg. - I, na miłość boską, postaraj się odprężyć! Człowiek by myślał, że przywykłaś do tego, mając taką praktykę.

Poczuła ból w brzuchu, mający więcej wspólnego ze słowami doktora niż z badającymi ją palcami, które odznaczały się raczej delikatnością. W swoim niedługim życiu zaznała sporo różnych brutalnych szturchańców. I on miał rację - miała dobrą praktykę w rozkładaniu nóg. Słowa te Marilee jednak zraniły, bo wypo wiedział je Luc. Obrzucano ją też mnóstwem przykrych słów. Mężczyźni nigdy nie pomyśleli, że ladacznica ma uczucia. Dla nich jest tylko dziura, w którą się to wkłada.

- Nie ma powodu, żebyś był taki niemiły - odparła i ku swojemu zaskoczeniu zauważyła, że uraza zaostriła jej głos i lży szczypały ją w oczy. Zazwyczaj lepiej potrafiła ukrywać swoje rany.

W pokoju zapanowała cisza. Było tak gorąco, że mogła niemal słyszeć upał: powietrze ciężko jakby dyszało i zalewało się potem. Doktor wyprostował się i poszedł umyć ręce w białej porcelanowej misce.

- Marilee, moja słodka Marilee - powiedział, a w jego głosie czuło się zmęczenie, a może raczej trunek. - Ta uwaga była nie na miejscu, zatem przepraszam.

Leżała, patrząc w sufit, z uniesionymi i wciąż szeroko rozstawionymi kolanami, choć doktor już skończył badanie. Niekiedy potrafił zachowywać się jak świntuch, po czym jak najbardziej po dżentelmeńsku, a następnie znów po świńsku, i zmieniał swoje zachowanie tak szybko, że przyprawiał ją o zawrót głowy. A ona nadal kochała go jak szalona, choćby nie wiem co robił, choćby nie wiem jakie okrutne rzeczy mówił. I wiedziała, że postępuje głupio, bo dla niego znaczyła tyle co nic - kwadrans „francuskiej sztuczki” w co drugi sobotni wieczór.

Przed oczami ujrzała twarz doktora do góry nogami. Błysnęły jego okulary, kosmyk jasnych włosów zsunął mu się na czoło. Podkreślony z jednej strony wąs wywołał jej uśmiech.

- Nawiasem mówiąc, jesteś w odmiennym stanie - oznajmił.

Uśmiech zamienił się w jęk.

- O gównu!

Usiadła. W żołądku przewracało się coś i trzepotało, i groziło wybuchnięciem. Skrzyżowała ręce na brzuchu, kręciło jej się w głowie. Wstrzymała oddech.

Zrobił kilka kroków do tyłu, żeby oprzeć się o przeszkloną szafkę pełną grubych tomów, butelek z lekami i ponuro wyglądających instrumentów. Jedną rękę położył na piersiach, drugą opuścił w dół. Z długich palców zwisały okulary.

- Potrzebujesz nocnika? - spytał.

Zacisnęła mocniej usta i potrząsnęła głową. W żołądku coś jej się przewracało, trzepotało i uspokajało; przewracało, trzepotało i uspokajało. Kiedy sądziła, że na dobre się uspokoiło, odważyła się na oddech, potem na drugi.

Wierzchem dłoni wytarła usta.

- To twoja wina, przeklęty Lucasie Henry!

Uniósł jasną brew wygiętą w ładny łuk.

- M o j a wina? Co za fascynująca osobliwość kobiecej logiki doprowadziła cię do...

- Środek zapobiegawczy, który dajesz nam, dziewczętom z „Czerwonego Domu”, jest do niczego. Najpierw Gwendolene, a teraz ja. Panie, mama Balony dostanie chyba ataku, jak jej to powiem.

- Każdy zawód ma swoje niebezpieczeństwa i klęski. - Rozłożył ręce i odsunął się od szafki. - Kiedy będziesz z powrotem wkładać swoją ładną suknię, ja przygotuję zioła na napar na twoje poranne mdłości.

Pokręciła palcem w powietrzu.

- Ho, ho, ho! Jeśli działa równie dobrze jak twój środek zapobiegawczy, to z pewnością porzygam sobie aż do przyszłego roku.

Zaśmiał się, a ten śmiech - niski i trochę chrapliwy - sprawił, że ścisnęło ją słodko w piersiach. Pogroził jej palcem.

- Marilee, Marilee. Wstydź się za swoje bluźnierstwo! Nie wiesz, że my, doktorzy, to tyle co Bóg?

Kiedy zsuwała się z wysokiej kozetki na nóżkach w kształcie szponów, poczuła, że się do niego uśmiecha. Lubiała, gdy wymawiał w ten sposób jej imię: Marilee, Marilee.

Narzuciła na siebie halkę i zawiązała tasiemki. Wciągnęła brzuch, tak że niemal dotykał stosu pacierzowego,

mogła więc pozapinać satynowe guziczki na przedzie gorsetu, nie luzując tasiemek z tyłu. Przywiązała turniurę do krynoliny, kręcąc lekko tyłeczkiem, żeby odpowiednio się ułożyła. Była okropnie rozgorączkowana, a w dodatku gorset wpijał jej się w żebra, skracając oddech.

Czuła się już gruba, choć jeszcze nic nie było widać. Za kilka miesięcy będzie szeroka jak krowi zad i dwa razy wstrętniejsza. Pomyślała o Gwendolene: ta dziwka nie tylko się puszcza, ale jeszcze zaszła i wygląda jak zdzira.

Strach ścisnął jej żołądek i znowu poczuła mdłości. Nie chciała stracić dobrej prezencji - to było wszystko, co miała. Wcześniej sobie wykombinowała, skąd będą pochodzić wszystkie dobrodziejstwa, no i wszystkie jej niedole w tym życiu. Miała miłą buzię, na tyle ładną, by złamać serce mężczyźnie, i ciało, które skłaniało do tego, by miał ochotę wyć do księżycy. Ponadto miała czarujące maniery. Kiedyś ktoś tak powiedział, a jej się to spodobało. Spodobało się jeszcze bardziej, gdy się dowiedziała, co to znaczy. I praktykowała te swoje czarujące maniery. Nawet inne dziewczyny w „Czerwonym Domu”, zachowujące się wobec siebie jak zazdrosne suki, uważały, że jest słodka jak cukierek. A jej tata, który był niezbyt przyjemnym człowiekiem, zawsze mówił, że kiedy jego mała Marilee zagra, to nawet aligatory muszą tańcować.

I wszyscy tańcowali, prócz doktora Lucasa Henry'ego. Próbowwała go oczarować na wszystkie możliwe sposoby. Usiłowała także być sobą - rzecz nader ryzykowna, bo on był wykształconym dżentelmenem z Wirginii, a ona kompletną ignorantką i biedną dziewczyną z bagien Florydy.

Lecz przecież nie trzeba znać wielu eleganckich słów i mieć dobrych manier, żeby zostać niezłą ladacnicą. Kiedy Lucas Henry, dżentelmen i lekarz z Wirginii, przychodził do „Czerwonego Domu”, zawsze właśnie ją wybierał. Była najlepsza we „francuskiej sztuczce” i w okolicy Miawa City wszyscy to wiedzieli. Doktor przychodził tu zaspokoić swoje cielesne potrzeby, nic więcej. Ona była głupia, że się zakochała.

Dziwna rzecz, stało się to dopiero niedawno, gdy zaczęła być sobą w jego obecności - chyba zostali przyjaciółmi albo przynajmniej czymś w rodzaju przyjaciół. Śmiali się i prowadzili rozmowy na różne tematy spoza zakresu swoich seksualnych transakcji. I pewnego razu, gdy doktor spotkał Marilee podczas jednego z jej spacerów po prerii, odwiózł ją do miasta swoim Powozikiem.

Marilee wspominała tę przejażdżkę z uśmiechem, kiedy ostrożnie wkładała przez głowę różową fularową suknię. Włożyła tę suknię dla niego. Musiał ją zauważyć, bo powiedział, że ładna Marilee znowu się uśmiechnęła na tę myśl. Uwielbiała czuć jedwab na nagich ramionach i rękach. Przypominało jej to wczesne dzieciństwo, gdy stała naga wraz z siostrami na letnim deszczu i w ten sposób brały kąpiel, bo jedynej wanny, jaką kiedykolwiek miały, używał ich tata do pędzenia gorzały z kukurydzy.

Od tamtego czasu dzięki Bogu zrobiła postępy, ale nie takie, na jakie liczyła. Luc nazwał jej suknię ładną i rzeczywiście taka była, bo Marilee wierzyła w inwestowanie w siebie. A on cenił ładne rzeczy i chyba przywiózł ze Wschodniego Wybrzeża dużo pieniędzy, mógł więc je na nie wydawać. Gdyby ją poślubił... Marilee znieruchomiała, uśmiech zastąpiło ciche mruczenie, gdy pograżyła się w marzeniach o tym, że jest panią doktorową. Gdyby ją poślubił, to nie mieszkaliby już w tym zakazanym miejscu. Omamiłaby go tak, że zabrałby ją do dużego miasta, może do San Francisco albo Chicago. Mieszkaliby we wspaniałym domu, a ona miałaby tuzin szaf pełnych pięknych strojów. I emaliowaną wbudowaną wannę z kurkami z gorącą wodą, żeby już nigdy więcej nie musiała się kąpać na deszczu.

Po badaniu lekarskim poczuła, że musi oddać moc. Zajrzała za parawan z laki - ozdobiony wizerunkiem pawia, zajmujący jeden kąt pokoju - i ku swemu zadowoleniu ujrzała tam jedną z tych supermodnych ubikacji z porcelanową misą i dębowym rezerwuarem na wodę. Uniosła spódnicę i siadła z cichym westchnieniem, myśląc, że taka ubikacja będzie jednym z luksusów, jakimi z pewnością będzie się cieszyć jako żona Luca. Skończyła się załatwiać i wstała, ale zagryzła wargę niepewna, czy powinna pociągnąć za łańcuszek, czy też nie, jako że nigdy jeszcze nie używała takiego urządzenia.

Szarpnęła za łańcuszek. Woda trysnęła do miski tak głośno jak sto bijących jednocześnie gejzerów.

Marilee przycisnęła dłonie do spłonionych policzków, a tymczasem szum wody odbijał się echem po pokoju. Nasłuchiwała, wstrzymując oddech, czy nie usłyszy czegoś z sąsiedniego pokoju, ale dzwoniła w jej uszach jedynie ciężka cisza. Wymknęła się zza parawanu, rozgorączkowana i drżąca, i roześmiała się ze swojej głupoty. Jak można myśleć, że odgłosy ubikacji miałyby ją przyprawić o rumieniec po takich poufałościach, do jakich dochodziło między nią a doktorem - oczywiście w ramach ich profesjonalnych czynności?!

Wciąż jednak drżały jej palce, gdy wkładała angielski słomkowy kapelusik i przypinała go do kunsztownie ułożonych loków szpilką ze sztuczną perłą. Przymocowała torebeczkę na ozdobnym łańcuszku w talii, po czym podeszła na palcach do drzwi, ostrożnie je uchyliła i wsadziła głowę do salonu. Był pusty.

Wyprostowała się i wkroczyła do pokoju z wysoko uniesioną głową, udając, że tu mieszka i podejmuje gości herbatą. Dom był niewielki, miał tylko cztery pomieszczenia: salon, gabinet, w którym doktor przyjmował pacjentów, sypialnię i kuchnię. W salonie znajdowało się tyle ładnych rzeczy, że Marilee wydawał się jakby domem z obrazka z jakiegoś katalogu sprzedaży wysyłkowej.

Przesunęła ręką po oparciu wolterowskiego fotela obitego brązową skórą. Podniosła kryształowy stojak do piór, dziwiąc się, że jest taki ciężki. W oszklonej szafce, w której stały rządami książki, ujrzała swoje odbicie. Książki ją przeraziły, bo przeczuwała, że mnóstwo w nich wiadomości, które powinna znać i nigdy znać nie będzie, i że ten

brak wiedzy pewnego dnia ją zgubi.

Na wieszaku z giętego drewna wisiał brązowy tweedowy surdut. Uniosła jeden rękaw i potarła nim policzek. Poczula zapach świeżości i lekki aromat sandałowego drzewa. I ta woń czystości najbardziej jej się u niego podobała. Z doświadczenia wiedziała, że na ogół mężczyźni bywają brudniejsi od wieprzków w czasie rui.

Pod jedną ze ścian stał piękny kufer z mosiężnymi okuciami, a nad nim wisiała oficerska szabla. Doktor służył kiedyś jako lekarz w kawalerii. To była jedna z niewielu informacji, jakie o nim miała.

Obok szabli na ścianie wisiał w złoczonej ramie walentynkowy obrazek. Marilee wpatrywała się w kompozycję złotej koronki i czerwonych aksamitnych kwiatów, kępek pereł i różowych atłasowych wstążek, i odnosiła wrażenie, jakby tonęła. Walentynkowy obrazek ofiarowała mu jakaś kobieta, zapewne kobieta, na której wciąż mu zależy, bo przechowuje ten znak jej uczucia w zasięgu wzroku. Może ona czeka na niego w Wirginii, a on zachował jej obraz i powiesił go na ścianie, by pamiętać, że pewnego dnia do niej pojedzie.

Usłyszała za sobą kroki i szybko się odwróciła. Doktor stał na progu kuchni z plecionym koszykiem suszonych kwiatów w ręce. Promienie słońca padające z okna za nim pograżały go w cieniu, tak że nie widziała wyraźnie twarzy, ale chyba się uśmiechał. Rumieniec zalał jej dekolt i policzki.

- Przyniosłem ci rumianek na napar - powiedział.

Po całym pokoju rozszedł się ostry zapach ziół i musiała się do doktora uśmiechnąć.

- Jesteś jak stara babcia, wiesz? Co to za sposób? Hodujesz zioła i korzonki, i tak dalej na napary, zamiast jak inni lekarze dawać ludziom patentowane lekarstwa.

Uniósł ramię, z gracją nim wzruszył i wszedł do pokoju.

- Przytępienie bólu alkoholem stanowi niewątpliwie jakiś sposób. Butelka whisky Rose Bud jest tańsza i o wiele skuteczniejsza.

Uśmiech Marilee nieco przygaś, bo go nie zrozumiała. Zazwyczaj nie rozumiała połowy tego, co mówił. I podobnie jak książki w oszklonej szafce napawało ją to przerażeniem.

Mimo dobrych manier i wykształcenia był jednak mężczyzną, a ona z całą pewnością doskonale знаła naturę mężczyzn. Westchnęła z przesadą, wydymając umalowane wargi i unosząc pierś. Kremowy koronkowy żabot stanika sukni był na tyle przezroczysty, że przezierało przezeń różowe ciało. Posłała mu spojrzenie spod uczernionych rzęs i z zadowoleniem skonstatowała, że patrzy na nią długo i uważnie. Uśmiechając się do siebie, obróciła się, uniosła kaskadę loków powyżej szyi i pochyliła głowę.

- Potrzebuję twojej pomocy przy zapinaniu sukni.

Słyszała jego kroki, przerwę, gdy odstawiał koszyczek z suszonymi kwiatkami, następne kroki i potem jego cień padł na różowy klosz spódnicy. Palce doktora musnęły jej nagi kark. Zadrzała.

- Nadal kręci ci się trochę w głowie? - Ręce przesunęły się coraz niżej i przyciskały do krzyża, zapinając haftki.

- O nie. - Musiała napiąć wszystkie mięśnie, by zapanować nad drżeniem. - To był dla mnie szok, gdy się dowiedziałam, że będę mieć dziecko.

Zapiął ostatnią haftkę i odwrócił się, ale poklepał jeszcze po przyjacielsku turniurę.

- Przypuszczam, że ani mój brzuch, ani moja głowa nie przywykły jeszcze do tej myśli, to znaczy do tego, że będę mieć dziecko - powiedziała.

- Jestem pewien, że to diabelnie niedogodne dla ciebie. Przypuszczam więc, że będziesz chciała się tego pozbyć.

Tak była zajęta patrzeniem na niego - na napinające się pod cienkim białym płótnem koszuli mięśnie ramion, gdy tłuczkiem miażdżył w mózdzierzu rumianek - że dopiero po chwili dotarł do niej sens tych słów. I wtedy poczuła, jakby wymierzono jej cios w pierś.

- Boże, Luc! Co jest takiego we mnie, że tak myślisz? Że chcesz to zrobić?

Uniósł głowę i obrócił się, żeby na nią spojrzeć, minę miał szczerze zdumioną. Zabolało ją to jeszcze bardziej, wybuchnęła gniewem.

- Wiem, jestem niczym, jestem bezwartościową dziwką, ladacznicą, damulką, latawicą, cudzołożnicą, och, wiele jest nazw dla takich jak ja, i tak mnie też nazywano. Nie musisz więc przez cały czas ciskać mi tego w twarz! - Zaciśnęła rękę w pięść i nieświadomie przycisnęła do piersi, jakby chcąc zmniejszyć ból. - Ale to, że jestem tym, czym jestem, nie znaczy, że nie mam takich samych uczuć i takiej wrażliwości jak wszyscy inni.

Stała z głową odrzuconą do tyłu, z piersią uniesioną ponad zaciśniętą pięścią, z szeroko otwartymi i błyszczącymi od łez niebieskimi oczami. Wyglądała wspaniale. I przynajmniej raz o tym nie wiedziała.

Wiedziała natomiast, że on się na nią gapi, i dziwny uśmieszek pojawia się na jego ustach pod zwisającymi grubymi wąsiskami.

- „Gdy nas ukłujesz, czy nam krew nie ciecze? Czy nie śmiejemy się, kiedy nas łechcesz?... a gdy nas pokrzywdzisz, nie mamyż pomsty szukać? Podobni wam we wszystkim i w tym będziemy podobni”²³ - zacytował.

Wyrzuciła ręce w górę.

- Och, Boże, teraz ciskasz we mnie słowami z Biblii! Przylegam, wolę być przeklęta jak poganka niż... co? Z czego ty się śmiejesz?

²³ *Kupiec wenecki* Williama Szekspira, przekład Leona Ulricha.

Zaczął się od mruknięcia, a teraz śmiał się już na cały głos dzikim śmiechem, który jeszcze bardziej ją ranił.

Doktor oparł się o biurko i sapał, usiłując zapanować nad śmiechem.

- Z życia, słodka Marilee. Śmieję się z życia, bo jest tak wzniosłe zabawne, że nie pozostaje nic innego niż się śmiać albo pić. - Patrzył na nią przez chwilę, po czym westchnął. - Próbowałem tylko zakomunikować, że wolałbym sam zająć się twoim stanem i nie musieć usuwać skutków masakry, jakiej dokona w twoim wnętrzu mama Balony za pomocą drutu do robótek ręcznych.

Ścisnęła ją w gardle, jakby coś w nim utknęło, ale udało jej się unieść brodę.

- Gwendolene zachowała dziecko. Może i ja tak zrobię ze swoim.

Odwrócił się do biurka, do swoich ziół i leków.

- Nie odwołuj tej decyzji. Wywołałam poronienie, jeśli będę musiał, ale morderstwa nie popełnię.

Marilee poczuła, że łyżki blokują jej gardło i z trudem może wydobyć z niego słowa.

- Luc, czy pomyślałeś, że to dziecko może być twoje?

Roześmiał się znowu.

- Świetnie nadawałoby się to do pism medycznych i zasługiwałoby na zachowanie. Wyobraź sobie, jakie poruszenie byś wywołała. Pierwsza dziewczyna, która zaszła w ciążę po wzięciu go do ust.

Była ladacznicą od dwunastego roku życia, lecz nikt jej nigdy nie wyjaśnił, jak funkcjonują kobiece narządy. Nie sądziła naprawdę, żeby można zająć w ciążę w taki sposób, ale nie była tego zupełnie pewna. No cóż, teraz już się dowiedziała dzięki doktorowi, który potrafił sprawić, że czuła się głupsza, niż sama sądziła.

I sprawił, że czuła się niechciana, godna pogardy. Niekochana. Całkowita beznadziejność tęsknot nagle ją uderzyła w przypiływie udręki. Odwróciła się z opuszczonymi ramionami i pochyloną głową.

Poczuwszy jego ręce na ramionach, zeszywniała, ale nie protestowała, gdy obrócił ją twarzą ku sobie.

- O Chryste! - rzekł. - Ty płaczesz.

Bolała ją klatka piersiowa od tłumionego szlochu, a oczy od powstrzymywanych łez.

- Luc, a czego się spodziewałeś po tym, co mi powiedziałeś?

Przyciągnął ją do siebie i wziął w objęcia. Przycisnęła twarz do jego koszuli, ogrzanej promieniami słońca i lekko wilgotnej od potu. Pierś miał tak mocną, tak pewną, że dziewczyna mogłaby na zawsze na niej się oprzeć. Trzymał ją z taką czułością, jakiej nie zaznała od żadnego mężczyzny. „Lecz ta czułość nie jest przeznaczona dla niej - pomyślała - nie dla Marilee, to po prostu wyraz jakiejś jego wewnętrznej wrażliwości, którą zazwyczaj udawało mu się stłumić i ukryć”.

Głaskał ją po plecach.

- Przypuszczam, że nawet wówczas, gdy jestem zupełnie trzeźwy, nie bywam najmilszy. A ty zawsze przybiegasz do mnie jak mały piesek, z zadartą głową, mokrym noskiem i machającym ogonkiem. Pokusa, żeby się przekonać, czy zdołam cię skłonić do skamlania, jest po prostu zbyt silna.

- Nie sądzę, żebyś była zbyt wielkim problemem dla ciebie, prawda?

- Nie, niezbyt wielkim.

Odepchnęła się obiema rękami od jego klatki piersiowej. Był taki wysoki, musiała zdrzeć brodę, żeby popatrzeć mu w oczy. I tak przyjemnie było na niego patrzeć, że nawet płacząc, z samego zachwytu chciała się uśmiechnąć.

- A jeśli podejmę decyzję, żeby urodzić to dziecko?

Wiedziała już w chwili, gdy je wypowiadała, że to głupie pytanie. Co miał jej odpowiedzieć? „No cóż, moja słodka Marilee, sądzę, że muszę się z tobą ożenić, nie? Będę naprawdę zaszczycony, gdy zostanę tatusiem tego bobasa, spłodzonego przez jednego z kilkudziesięciu mężczyzn, którzy cię mieli tej wiosny”.

Delikatnie, bardzo delikatnie głaskał ją po policzku, ale jego słowa były już takie jak zwykle: bez troski i lekko cyniczne.

- Świat pełen jest bękartów, moja droga, zarówno urodzonych z przypadku, jak i własnego chowu. Jeden więcej lub jeden mniej, jakie to może mieć znaczenie?

Dokończył potem przygotowywać ziółka na napar, zawinął je w kawałek starej gazety, poinstruował, jak ma je zaparzać, i nakazał pić każdego ranka przed wstaniem z łóżka. Marilee włożyła paczuszkę do torebki na łańcuszku i wyjęła dolara, żeby zapłacić za poradę. Doktor wziął dolara, podobnie jak ona brała trzy dolary z jego ręki w co drugi sobotni wieczór. Zachowując się do końca jak dżentelmen, odprowadził ją do drzwi i położył rękę tuż nad falbaną z tyłu sukni.

Odwróciła głowę i popatrzyła na niego przez ramię, przerażona, że zrobiła z siebie kompletną idiotkę i że on nie będzie już chciał mieć z nią do czynienia, nie będzie nawet chciał kolejnej „fracuskiej sztuczki”.

- Zobaczą cię jutro?

- Oczywiście, moja słodka Marilee. Ostatecznie zbyt wiele cnoty może doprowadzić do niezbyt wielu występków.

Zaśmiała się, podrzuciła głowę i oddalała się, kołysząc biodrami, potrząsając turniurą i unosząc spódnicę. I przez cały czas usiłowała zrozumieć to, co przed chwilą powiedział. „To pewno słowa z Biblii - domyśliła się - tyle że brzmiały jakoś na odwrót czy coś w tym rodzaju”.

Poczekala, aż usłyszy, że zamknął za nią drzwi, i dopiero wtedy zwolniła kroku. Powietrze było gorące i ciężkie.

Miała wrażenie, że ją przytłacza. Czowała, że jej twarz obwisa; obręcz niedoli zaciskała jej gardło, paliły łyzy i powrócił ból w piersiach.

Szła chodnikiem, potykając się, i skręciła w mały zaułek między Kupiectwem Tullego a szynkiem, który był zbudowany za ledwie do połowy. Ostry zapach świeżo pociętego drewna szczypał w nos.

Padła na odwróconą skrzynkę po gwoździach i oddychała ustami, żeby powstrzymać płacz. Ostry ból rozpierał jej klatkę piersiową i bała się, żeby nie popękały żebra. Niejasno sobie uświadamiała, co się dzieje na ulicy: pod sklep zajechał wóz prostaczków, wychluśnięto wodę, rozległ się chłopiący śmiech.

Szloch wyrывał się gdzieś z trzewi i eksplodował potokami łez. I nie dotyczyły one tylko chwili obecnej, lecz wszystkich krzywd doznanych w życiu, wszystkich krzywd przecierpianych i minionych, i tych, które dopiero miały nadejść. Zgięła się wpół, zwinęła i przycisnęła głowę do kolan, obejmując je ramionami. Kotłowała się i w łkaniu wyrzucała, słowa, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

- Mamo, nie pozwól im, żeby mi to robili, proszę, nie pozwól im tego robić, mamo...

A potem ktoś dotknął wstrząsanych szlochem pleców i płacz ustał, jakby jakaś ręka zamknęła jej usta.

Kiedy podniosła głowę, ujrzała jedną z tych prostaczek, które widywała czasem w mieście, kobiet wyglądających przygnębiająco, chodzących w czarnych czepkach podobnych do kubelków na węgiel, w czarnych chustach i w strojach z wyrabianych w domu tkanin, barwionych na brzydki brązowy kolor o odcieniu łajna. Tyle że ta kobieta była całkiem ładna. Miała piękne szare oczy i takie usta, za jakie, zdaniem Marilee, większość dziwek oddałaby życie. Pełne i dojrzałe. Mężczyzna określiłby je jako kuszące.

- Jest pani chora? - zapytała.

Marilee wolno się wyprostowała. Trzymała się za bolący brzuch, usiłując zaczerpnąć powietrza w zaciśnięte gardło.

- Sprowadź doktora Henry'ego.

Marilee chwyciła ją za rękaw.

- Nie! Dopiero co wyszłam od doktora. Nie jestem chora.

W oczach nieznajomej dojrzała litość, co uraziło jej dumę.

- Do diabła, nie, wcale nie jestem chora! - dodała, a jej głos zabrzmiał ostro i nieprzyjemnie. - To tylko pewien przeklęty sukinsyn przyszedł i zmajstrował mi brzuch, i z tego powodu zamieniłam się w regularną konewkę. Sądzę, że wiecie, jak to jest, bo wy, prostaczkowie, przecież wciąż wydajecie na świat dzieci.

Z zadowoleniem zauważyła, że zaszokowała kobietę, ale już po chwili tego żałowała. Ostatecznie ona próbowała tylko pomóc.

- Proszę posłuchać. - Marilee wyciągnęła rękę, cofnęła ją jednak, gdy tamta się odsunęła. Pewno się przestraszyła, że jej święte ja zbruka dotyk ladacznicy. - Nic mi nie jest, naprawdę. A ty lepiej uciekaj od takich jak ja, zanim cię ktoś zobaczy. Ludzie lubią gadać.

Kobieta szarpnęła głową i pobladła jeszcze bardziej. Powędrowała wzrokiem z powrotem ku Marilee, ale już się wycofywała, chowając ręce w fałdy grubego fartucha.

- Będziemy się modlić za ciebie i za twoje dziecko - rzekła.

- Amen, siostró, i podaj mi whisky! - odpaliła Marilee. Lecz tamta już zniknęła za rogiem.

Marilee otarła łyzy wierzchem dłoni. Oczy miała zapuchnięte i bolące. Otworzyła torebeczkę zawieszoną u pasa i pogrzebała wśród monet, ziółek Luca, szminki do ust i cygar, aż znalazła buteleczkę z wodą o zapachu irysów. Nakapała trochę na chusteczkę i wilgotną położyła na oczy. **B ę d z i e m y s i ę m o d l i ć z a c i e b i e i z a t w o j e d z i e c k o.** „Hm. Wyobraź sobie, że będą się za ciebie modlić te pastuchy baranów, prostaczkowie, co śpiewają psalmy i klepią Biblię. Nie potrzebują modlitw od takich jak oni; nie potrzebuje niczyich modlitw”.

Uświadomiła sobie, że zaciska kurczowo usta, rozwarła więc wargi. Od takiego krzywienia się powstają tylko zmarszczki, a ona musi dbać o swój wygląd, bo z niego czerpie wszystkie dobrodziejstwa.

Ostatecznie ma buzię, która może złamać serce mężczyźnie, ciało, które może go skłonić do wycia do księżycy, i czarujące maniery. Nie wolno jej zapominać o tych manierach.

* * *

Doktor Lucas Henry siedział na brązowym skórzanym wolterowskim fotelu i mętny wzrok koncentrował na blacie dużego dębowego biurka z żaluzjowym zamknięciem. Na zielonym filcowym bibularzu leżała celuloidowa szpilka do włosów.

Parę minut temu znalazł ją na kozetce do badań. Musiała wypaść Marilee z włosów. Biedna słodka Marilee, prostytutka. Pamiątka jej doniosłej wizyty. Skrzywił usta. Wielki z niego osioł i na dodatek postąpił okrutnie. Nie lubił siebie, gdy był okrutny, a często bywał.

Przyniósł szpilkę do salonu wraz z nową butelką rose bud. Nie wiedział, dlaczego ją przyniósł, to znaczy tę szpilkę. Wiedział natomiast diabelnie dobrze, dlaczego przyniósł whisky. Wziął również z kuchni względnie czystą szklaneczkę, ale potem nie zawracał nią sobie głowy i pił prosto z butelki. Szklaneczka wydawała mu się zbędnym objazdem na drodze whisky do palących wnętrzości.

Szpilka na środku miała wgłębienie, zastanawiał się, dlaczego tak się je robi. Nie zgłębiał jednak zbytnio tej kwestii, bo upał rozmiękczał mu mózg i ścinał whisky w żołądku, co go nie powstrzymało przed przytykaniem butelki do

ust i wlewaniem kolejnych haustów do gardła.

Wziął szpilkę do ręki i potarł kciukiem ząbkowane końce. Stwierdził, że nie są ostre. J e ś l i u k ł u j e s z n a s, c z y ż n i e k r w a w i m y... Przerzucał szpilkę z ręki do ręki, aż mu upadła. Podniósł ją i wrzucił do pustego paleniska. W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

Pociągnął jeszcze z butelki, niemal się krztusząc i oddychając z przerwami. Ogarnęła go czarna rozpacz. W niektóre dni - w większości dni - czuł się tak, jakby znajdował się na dnie studni, przepastnej, mokrej i śliskiej od mchu, bez nadziei na wydostanie się na powierzchnię.

Zapukano znowu, tym razem głośniejsz.

- „Lekarzu, ulecz samego siebie” - zacytował na głos. To go rozbawiło, bo pod wieloma względami był nie mniejszym głupcem od Marilee i z pewnością nie wychodził na tym lepiej niż ta biedna słodka dziewczyna, która nie odróżniała Szekspira od Jezusa, i słusznie się tym nie przejmowała.

Wstał, chwiejąc się, gdy nasiąknięte alkoholem nogi niezbyt pewnie niosły go po tureckim dywanie. Wyjął z kieszeni okulary, po czym włożył je z przesadną ostrożnością. Ruszył w stronę drzwi i otworzył je szeroko, mrużąc oczy przed zbyt jasnym, zbyt gorącym światłem słońca.

- Proszę wejść - powiedział, lekko bełkocząc. - Wydaje się, że dzisiaj mój dom służy jako zajazd, i to najlepszego rodzaju. Goszczę prostytutki i rewolwerowców.

Johnny Kain wykazał się odwagą, bo wszedł w drzwi.

- Przychodzi pan, jak przypuszczam, żeby odpłować panu gips - powiedział Lucas.

Kain zdjął z głowy kapelusz i powiesił go na wieszaku z giętego drewna. Potem się uśmiechnął. A w oczach miał coś, co znów skłoniło Lucasa do pociągnięcia whisky z butelki.

- Jeśli wraz z nim nie odpłuje mi pan ręki - odparł Kain.

Doktor próbował się wyprostować, ale mu się nie udało, bo się zatoczył.

- Zdumiałby się pan, gdyby pan wiedział, jakich śmiałych i skomplikowanych czynów mogę dokonywać w na pół pijanym widzie.

Usunięcie gipsu i łupków było dość proste. Przeciął stwardniały gips chirurgiczną piłką. Kiedy skończył, Kain wyciągnął zrośniętą rękę i zaczął rozgimnastykować palce.

- To ręka do zabijania, czy tak? - spytał doktor.

- Do zabijania i do innych czynów - zarówno cudownych, jak i paskudnych.

Doktor się zaśmiał, jakkolwiek ręka z długimi palcami i delikatnym nadgarstkiem przyciągała jego wzrok. Zastanawiał się, czy Bóg, stwarzając ludzką rękę, pomyślał, że prócz wykonywania dobrych czynności może ona również wyrządzać krzywdę.

Pokiwał głową nad tą ręką do zabijania.

- W przyszłości może nie będzie już taka sprawna. To było złe złamanie. Ramię może wydawać się takie jak przedtem, ale kość jest osłabiona. Jak przetarty sznur, który został zreperowany. Ja na przykład nie powierzałbym tej ręce swojego życia.

- Nigdy i tak nie liczyłem na to, że umrę w łóżku. - Johnny Kain popatrzył na niego z uśmiechem, ale Lucas zauważył, że oczy ma puste.

- Może się pan napije? - spytał. Otworzył oszklone drzwi szafki, odsunął pudełko z lancetami i wyciągnął nową butelkę rose bud. Przyniósł też srebrną puszkę z tytoniem i bibułkę do papierosów. - Albo zapali?

- Nie, dziękuję. Napiłbym się wody.

- Kuchnia jest tam, trzeba przejść przez salon.

Poszedł za Kainem, zabierając ze sobą whisky. Marzył o papierosie, ręce jednak tak mu się trzęsły, że nie dałby rady go skrócić.

- A więc pan lubuje się tylko w poważniejszych występkach, prawda? Morderstwo, okaleczenia i podobne rzeczy. Przypuszczam, że w pańskiej profesji młody człowiek musi zawsze mieć jasną głowę. Żadnej whisky, która zaćmiewa umysł, żadnego dymu, który przesłania oczy.

Oparł się o framugę drzwi i obserwował, jak Kain uruchamia pompę i podstawia złożone dłonie pod ciekącą wodę.

- Zrobiła na panu odpowiednie wrażenie nasza wielka metropolia? Bo na n a s zrobił pan wielkie wrażenie i od tygodni jest jedynym tematem rozmów. Wszyscy nic innego nie robią, tylko spekulują, kogo następnego pan zastrzeli.

Kain pochylał się nad zlewem, żeby się napić, i sprana koszula prostaczków ciasno opięła mu plecy.

- Po mieście krąży numer „Harper’s Monthly” - mówił dalej doktor - z artykułem, w którym napisano, że zabił pan pierwszego człowieka jako załedwie czternastoletni chłopak. A może dwunastoletni? W każdym razie w następnych latach podobno kolejnych dwudziestu siedmiu trafiło śladem tego pierwszego nieszczęśnika do grobu, posłanych tam pańską ręką błyskawicznie sięgającą po broń. Dobrze zrozumiałem tę historię?

Kain opryskał twarz wodą, wyprostował się i przejechał palcami mokre włosy.

- Ostatnio nie miałem czasu na liczenie. Czy oni wliczają w to tych trzech, których rzekomo zabiłem na Tobacco Reef?

- Do diabła, nie wiem! - Lucas ze śmiechem machnął ręką, w której trzymał butelkę. - Pewno pan zauważył, że nasze czarujące miasto, sądząc z rozmnożenia się bezpańskich psów, które poszukują jedzenia na tym, co uchodzi tu za ulicę, nie ma nadmiaru strażników prawa. Można więc zabijać obywateli dość swobodnie i względnie bezkarnie. Jednakże ponieważ jestem w tej okolicy zarówno lekarzem, jak i przedsiębiorcą pogrzebowym, może zechciałby pan pomyśleć o kłopotach, jakich może mi pan przysporzyć.

Kuchnia była mała, mieścił się w niej tylko stary stół i piec koza. Kain stał spokojnie przed dużym kamiennym zlewem, z opuszczonymi wzdłuż ciała rękami, tak szybkimi i niebezpiecznymi.

- Coś panu powiem - rzekł. - Będę pańskim przyjacielem. Pozabijam ich i nie będzie pan musiał nikogo leczyć; będę też strzelać tam, gdzie tego nie widać, żeby nie miał pan zbyt wiele pracy w upiększaniu nieboszczyków przed pogrzebaniem.

Lucas znowu się zaśmiał, ale śmiech zamarł mu na ustach, gdy popatrzył w oczy Johnny'ego Kaina i uświadomił sobie, że jeśli ten człowiek miał kiedyś duszę, to diabeł dawno już ją zabrał.

Patrzeć w te oczy było dla Lucasa jak pierwszy ostry wstrząs, którego dostarczała butelka whisky; teraz jeszcze dołączyło się do tego przerażenie i podniecenie. Wywołało je ujrzenie własnego ciemnego wnętrza odbijającego się w kimś innym.

Tylko dwie osoby w jego życiu potrafiły tego dokonać: zmusić, by przez bursztynową alkoholową mgłę w mózgu ujrzął nieznośną prawdę o sobie samym i o ludzkiej kondycji. Pierwszą z tych osób był jego brat, który zginął na wojnie. Drugą - kobieta, którą poślubił.

- Dlaczego pan to robi? - spytał Kain.

- A co?

Lucas wzruszył ramionami. Pociągnął znów whisky, bo zapomniał, o co mu chodziło. Potem wpadł na inną myśl.

- Żyje w taki sposób. Nie przyszło panu do głowy, że to efektowna, dogodna i raczej przedłużona forma samobójstwa?

- Tak samo jak topienie się w alkoholu.

Doktor uśmiechnął się gorzko. Pomyślał o tych wszystkich butelkach whisky, które w ciągu jego życia legły w długim szeregu jak pozabijani żołnierze. W tym momencie miał ochotę rozkoszować się nimi, a jednocześnie żałował każdej z nich.

Pocierał usta butelką.

- No tak, znalazłem metodę, by iść do piekła bez umierania. Butelka to moja pocieszycielka, moja kochanka i moja radość. A co pan ma?

Kain nie odpowiedział, lecz doktor znał odpowiedź. Dla tego młodego człowieka whisky, którą obejmował, wielbił i którą się upijał, było zabijanie. To jego obsesja i nałóg. Johnny Kain upijał się śmiercią.

Lucas usiłował przełknąć ślinę przez ściśnięte gardło.

- A co z naszą kochaną Rachel? - zapytał. - Pomyślał pan o tym, co pan jej robi? To nie jest pospolita osoba, ma piękne rude włosy i wielkie poważne szare oczy, które potrafią dojrzeć ciemną stronę w duszy mężczyzny. A przy tym jest tak piekielnie niewinna, tak wzruszająco niewinna. Pan może ją całkowicie zniszczyć.

Głos Kaina i wyraz jego twarzy świadczyły jedynie o słabym zainteresowaniu.

- Dlaczego to pana obchodzi? Czyżby pan chciał jej sam?

Lucas potrząsnął głową.

- Lubię Rachel. I kiedy nie pogrążę się zbyt głęboko w opilstwie, szczerze ją podziwiam. Jest przywiązana do swojej tak szlachetnej i tak surowej wiary. W tym świecie, lecz nie z tego świata. Gdybym myślał, że istnieje choćby najmniejsza szansa na zbawienie, w które ona wierzy...

Zamilkł, nie będzie obnażać swojej duszy przed tym człowiekiem, a przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Dzięki za wodę - powiedział Kain.

Już miał wyjść przez drzwi, ale jeszcze się zatrzymał i odwrócił. Jego spojrzenie było obraźliwe, pełne zimnej obojętności.

- Ma pan rację, doktorze, mam zamiar uwieść Rachel Yoder. Lecz nie z tych wszystkich oczywistych powodów.

Doktor Lucas Henry znalazł się znów na brązowym skórzanym fotelu, ale nie bardzo zdawał sobie sprawę, jak się tam dostał. Butelka whisky, którą trzymał w ręce, była nadal prawie pełna. Cienka warstwa potu pokrywała jego skórę, lepką i chłodną, choć w pokoju panował duszący upał.

Wypatrywał tęsknie przez smukłą szyjkę butelki zapomnienia w brązowym płynie. Chciałby znaleźć się na dnie tego zapomnienia i na zawsze tam pozostać. Był tam już przedtem i znał ten stan miłego odrętwienia, w którym nikt nie mógł go osiągnąć, nikt nie mógł zranić, niczego nie czuł i nie troszczył się więcej o okropności, jakie wciąż ściągał ze sobą na dno butelki.

Brat kiedyś mu powiedział, że za bardzo zastanawia się nad ciemnymi stronami życia, że nurza się w myślach o grzechu i złu, i śmierci - zwłaszcza o śmierci. Został lekarzem, żeby walczyć ze śmiercią, i oficerem kawalerii, żeby walkę prowadzić, a pił, by uciec zarówno przed własnym lękiem przed śmiercią, jak przed zafascynowaniem nią. Tak przynajmniej powiedział mu kiedyś brat.

Lecz po wielu latach i wielu butelkach rose bud, latach zabijania się alkoholem, Lucas doszedł do niezbyt oryginalnej konkluzji, że bał się nie tyle śmierci, ile życia.

Popatrzył na ścianę, gdzie wisiała oficerska szabla i walentynkowy obrazek, który dała mu wspaniała i piękna żona w pierwszym i jedynym roku spędzonym razem. Widział oba te przedmioty przez wodnistą mgiełkę, podobną do deszczu na szybie. Pamiątki jego hańby i potępienia.

Wzniósł toast na ich cześć butelką rose bud. Wykrzywił mu usta najpierw ironiczny uśmiech, a potem grymas o wiele bardziej gorzki.

- Za prowadzenie się niegodne oficera i dżentelmena!

Słowa odbijały się echem w gorącym pustym pokoju. I doktor Lucas Henry pomyślał, że najcięższe ciosy zadawane przez życie gadają nie na ciało, nawet nie na serce, lecz na duszę.

XVI

Obwieszczenia z nazwiskami poszukiwanych osób wisiały oklapnięte w gorącym nieruchomym powietrzu na bocznej ścianie walącej się miejskiej stajni, w której wynajmowano konie. Dzielily miejsce z ogłoszeniami „Na sprzedaż”, starymi rozkładami jazdy dylizansów i reklamą Wielkiego Słynnego Cyrku McGrady’ego i Fantazji, który to, jak każdy pamiętał, dotarł na zachód nie dalej niż do Fort Benton.

Benjo, czekając w szarym półmroku cienia rzucanego przez stajnię, przeczytał co najmniej raz wszystko, co nalepiono na ścianie. Na niektórych obwieszczeniach widniały też rysunki przedstawiające podobny przestępców. Żaden z nich nie przypominał mu nikogo znajomego. Lecz jedno obwieszczenie przyciągało jego uwagę: nie było na nim rysunku, tylko opis. Splamił je deszcz, a i rogi miało zwinięte, choć nie wydawało się tak stare jak inne, które na ogół były mocno poszarpane i wyglądały tak, jakby dobrały się do nich myszy. W obwieszczeniu napisano, że zeszłej zimy pewien człowiek ukradł sto pięćdziesiąt siedem dolarów w banknotach i biletach skarbowych z banku w miejscowości Shoshone na terytorium Wyomingu. „Kasjer bankowy został zabity strzałem w serce przez wysokiego, szczupłego mężczyznę, dobrze ubranego, w trzecim dziesięcioleciu swego życia, mówiącego jak południowcy. Miał ciemnobrązowe włosy, przystojną twarz i zimne niebieskie oczy rewolwerowca”.

Benjo wpatrywał się w to obwieszczenie i rozważał, jaki może być zwitek banknotów ze stu pięćdziesięciu siedmiu dolarów. Czy na tyle duży, że czarny skórzany pugilares się wybrzuszy.

- Myślałeś, żeby oddać mnie w ręce strażników prawa?

Chłopiec podskoczył. Serce waliło mu w klatce piersiowej bardziej z powodu poczucia winy niż ze strachu.

Wzrok Johnny’ego Kaina powędrował z twarzy Benja na ścianę stajni oblepioną obwieszczeniami. Oklapnięte rondo kapelusza ocieniało jego niebieskie zimne oczy rewolwerowca.

- Może dostałbyś nagrodę, he? A potem mógłbyś rozesłać zaproszenia na ceremonię wieszania i sprzedawać jako pamiątkę kawałki sznura, na którym by mnie powieszono.

Słowa gorącego zaprzeczenia kłębiły się w gardle Benja i pętały mu język. Czuł, że broda aż mu podskakuje, gdy usiłował je wykrztusić.

- O... o... och... nigdy b... bym tego nie zrobił. T... tego, co pan powiedział. Za n... n... n... - Nic.

Pomyślał nagle o ojcu i aż go zemdliło. Ciekawe, co się stało ze sznurem, którego hodowcy bydła użyli do powieszenia Bena Yodera.

Innowierca zatknął kciuk za pas od broni i wykonał półobrót, tak że patrzył teraz na potok. W gęstwinie dzikich śliw obrastających brzeg kłóciły się dwie sójki.

- Benjo, czego ze wszystkich rzeczy na tym świecie pragniesz najbardziej? I to tak bardzo, że aż bolą cię zęby?

Benjo nie potrafiłby określić nawet w myślach, czego pragnął, a co dopiero ująć to w słowa. A już na pewno nie w takie słowa, jakie kiedykolwiek mógłby powiedzieć temu mężczyźnie o twardym wzroku, który wprawiał go w podniecenie; podobne uczucie ogarniało go, gdy słuchał w nocy podmuchów wiatru w wysokich topolach albo gdy obserwował stado dzikich mustangów galopujących przez prerię.

Rozpaczliwie wysiłał umysł, żeby znaleźć jakieś pragnienie, w które Kain mógłby uwierzyć. Musiałoby to być coś okazałego, coś takiego, czego mógłby gorąco pragnąć chłopiec innowierców. Potem przypomniał sobie cudowną rzecz, którą on i mama widzieli podczas ostatniej bytności w mieście wystawioną za szybą wykuszowego okna Kupiectwa Tullego.

- R... roweru - powiedział i skłamał tylko połowicznie. Jako że ta błyszcząca czarna maszyna z kołami o niklowanych szprychach i siodelkiem z prawdziwej jaszczurczej skóry była na pewno czymś wspaniałym.

Odpowiedź chyba zadowoliła innowiercę, bo kiwnął głową. Przeniósł wzrok z potoku na ścianę z obwieszczeniami, zatrzymał go tam chwilę, po czym znów popatrzył na twarz Benja.

- Oddałbyś mnie w ręce strażników prawa za rower? - zapytał.

Benjo widział w swojej głowie słowa, białe na czarnym, jak wypisane kredą na tabliczce do pisania. Mógł je widzieć i czuł, że formują mu się w gardle i kłębią na języku. Mógł je widzieć¹ czuć, lecz nie mógł ich wykrztusić. Zrozpaczony, bliski łez, mógł tylko energicznie kręcić głową.

A potem przypomniał sobie, że przecież skłamał, mówiąc o rowerze jako o tym, czego pragnąłby najbardziej.

Kain zerwał obwieszczenie ze ściany. Zmiał papier w dłoni, ale nie wyrzucił. Dał go Benjowi.

Chodźmy dowiedzieć się o tego konia - zaproponował.

Stajnia wynajmująca konie była w mieście jedynym pomalowanym budynkiem, i to na kolor jasnoczerwony niczym jabłuszko nabłyszczone za pomocą śliny. Gdy się do niej wchodziło przez podwójne przesuwane wrota, nawet w gorące dni odnosiło się wrażenie, jakby się zanurzyło palec u nogi w wiosennej kałuży. Spowiło ich przyćmione, chłodne, wilgotne powietrze, owiał zapach siana i nawozu. Tylne wrota stajni były dziś szeroko otwarte i z podwórka dolatywał ostry swąd palącego się węgla drzewnego i stukanie młota o stal.

Stajennego, Trueblue'a Stone'a, znaleźli z tyłu kuźni, gdzie przymocowywał nową rączkę do podniszczonego kociołka z czarnym spodem. Trueblue miał na sobie tylko poszarpane spodnie i duży skórzany fartuch sięgający po czubki podbitych gwoździami butów. Skóra na nagich ramionach i plecach była lśniąca i czarna, a bicepsy największe, jakie Benjo kiedykolwiek u kogokolwiek widział, ramiona grube i sękaty niczym konary topoli. I przemawiał do koni słowami, których nikt nie rozumiał. Kiedyś Trueblue powiedział Benjowi, że słowa te pochodzą z miejsca zwanego Afryką.

Gdy mężczyźni zajęli się rozmową o koniach, chłopiec grzebał w stercie końskich podków na środku podwórka, wysokiej i szerokiej jak stóg siana. Trueblue lubił opowiadać, że swego czasu zrobił podkówę z kawałka spadłej gwiazdy, a potem przez pomyłkę rzucił ją na stertę. Benjo nie wierzył w tę historię, ale i tak zawsze, gdy przychodził do stajni, szukał szczęśliwej podkowy.

Lecz nie tym razem. Tym razem wykopał w stercie głęboką jamę, wepchnął w nią zmięte obwieszczenie i przykrył kilkudziesięcioma połamanymi i zardzewiałymi podkowami.

Kiedy Trueblue skończył reperację kociołka, poszli obejrzyć konie. Na sprzedaż były cztery wałachy i młoda klacz.

- Który koń ci się podoba? - spytał Kain.

Dopiero po chwili Benjo sobie uświadomił, że pytanie zostało skierowane do niego, i wyprężył pierś, zaskoczony i mile polectany. Obok jednak stał Trueblue, człowiek, który potrafił przemawiać do koni słowami pochodzącymi z Afryki, i Benjo wiedział, że nie ma nadziei na wypowiedzenie zwykłych słów za pomocą więzącego mu w ustach języka. Pokazał więc palcem klacz, kasztankę ze strzałką na łbie i w białych skarpetkach.

- Słusznie, jest najlepsza z nich: ładna, gładka sierść, błyszczące oczy, długa wygięta szyja, grube kości nadpęcinowe i elegancki chód. Masz dobre oko, partnerze - powiedział Kain, a chłopiec jeszcze bardziej wypiął pierś. - Trueblue jednak mówi, że kiedy jej strzeli coś do łba, może być narowista. Szukam konia, który będzie jeść z ręki. Takiego, który jest zaprawiony, a nie obłaskawiony.

Benjo patrzył zafascynowany, kiedy innowierca z wielką starannością dokonywał przeglądu koni: zaglądał im w pyski, badał chrapy, obmacywał nogi. Przykucnął nawet na ziemi i studiował ich łajno. Ograniczył wybór do dwu kandydatów - klaczy i dużego siwego wałacha - i przejechał się na nich na oklep tylko w wędzidłem. Zdecydował się na klacz, ku zadowoleniu i dumie Benja, chociaż Trueblue mówił, że może być narowista, gdy jej coś strzeli do łba.

Innowierca długo targował się z Trueblue'em co do ceny klaczy - suma, jakiej żądał za nią stajenny, znacznie odbiegała od tego, co Kain miał ochotę wydać - a potem jeszcze targowali się o siodło i uzdę. Benjo jednak nawet przez sekundę się nie nudził. Uwielbiał obserwować Johnny'ego Kaina i uwielbiał słuchać, jak mówi. Czasami nawet udawał, że sam jest nim, przekrzywił kapelusz, opuszczał go nisko na oko i poruszał się w taki swobodny, pewny sposób jak on. Lecz nawet wówczas, gdy nikogo w pobliżu nie było i nikt nie mógł go usłyszeć, Benjo nie potrafił mówić tak jak Kain - spokojnie i niespiesznie.

Potem gdy znów znaleźli się na gorącej i zakurzonej ulicy, Kain otarł pot z karku i powiedział:

- Benjo, wiesz, naprawdę zaschło mi w gardle przez to spieranie się z Trueblue'em Stone'em o cenę klaczy, na którą mnie namawiałeś. Jak myślisz, może by kupić dwa piwa imbirowe?

Benjo szeroko się uśmiechnął i kiwnął głową, po czym przypomniawszy sobie o dobrych manierach, dodał:

- P... p... p... - P o p r o s z ę.

Szli obok siebie po drewnianym chodniku i choć chłopiec czuł na sobie spojrzenia, nic go one nie obchodziły. Prawdę mówiąc, rozkoszował się minami i szeptami, które wywoływali. Wiedział, że była to rzecz grzeszna, ziemską rzecz - takie myślenie, że jest się kimś. Lecz idąc obok Johnny'ego Kaina, czuł się jak ktoś.

I kiedy zatrzymali się przed barem „Złota Klatka”, pomyślał, że pęknie z podniecenia, choć chwila ta straciła nieco ze swojego blasku, gdy Kain powiedział:

- Może lepiej zaczekaj tutaj, inaczej twoja mama obedrze nas ze skóry.

Benjo poczekał, aż wahadłowe letnie drzwi do baru przestaną się kołysać za plecami innowiercy, i dopiero wtedy wspiął się na palce, żeby zerknąć do środka. Niewiele jednak mógł zobaczyć prócz łba starego łosia na przeciwległej ścianie i lampy naftowej z papierowym czerwonym abażurem.

Ukląkł i zajrzał w głąb pod drzwiami. Zobaczył podłogę zaplamioną tytoniem, posypaną trocinami. Wygiął szyję i popatrzył w górę. Osobnik nasączony whisky siedział przy stole i zwiłszy się na blat, chrapał. Z sufitu nad głową tego mężczyzny zwisał długi lep na muchy, ale nie na wiele się zdał, bo pół tuzina much bzycało wokół jego tłustych włosów. Dwóch ludzi stało przy brązowym stole przykrytym sukniem i długimi cienkimi, kijami

stukalo w kule bilardowe.

Nie dojrzał żadnych tańczących pań z nagim biustem.

Widział duże lustro w złożonych ramach, o którym opowiadał Mose Weaver, i barmana o fioletowych wargach i obwisłych policzkach.

- Zaraz, jak tylko obsłużę Grampsa - powiedział barman do Kaina, który chyba właśnie poprosił o imbirowe piwa.

Barman przekręcił dużą srebrną rączkę i ciemny strumień popłynął z kurka do szklanki. Postawił szklankę z pianą przed drugim mężczyzną stojącym przy barze, sądząc z pionierskiej kapoty i miękkiego kapelusza z opuszczonym rondem - dawnym poszukiwaczem złota.

Poszukiwacz złota rzucił z brzękiem monetę na gładki drewniany blat baru.

- Tak to się robi - oznajmił i wypił jednym haustem większość diabelskiego napoju.

Benjo usłyszał na drewnianym chodniku za sobą brzęk dzwoneczków i skrobnięcie ostrogami. Uniósł się i na czworakach odsunął od drzwi baru. Powiódł wzrokiem w górę, poczynając od nabijanych srebrem skórzanych czarnych ochraniaczy nogawic, przez zatłuszczoną białą bluzę z koźlej skóry z frędzlami i kamizelkę z wołowej skóry, a kończąc na twarzy z kozią bródką, wydętym policzkiem i wyblakłych wilgotnych oczach.

Na widok Benja dziwne światło pojawiło się w tych oczach.

- Ty to zawsze pojawiaasz się tam, gdzie cię nie posiali, prawda, chłopcze? - rzekł Woodrow Wilson.

Głowa Benja podskoczyła, gdy słowa zaczęły gromadzić mu się w gardle. Lewą ręką sięgnął do procy za pasem.

Lecz Wharton już się odwrócił.

- Nie chcę urazić twoich uczuć, ale twój tata powinien był pomyśleć o używaniu kondomu.

Wargi mu się ściągnęły, odsłaniając spiczaste zęby, i strumień tytoniowego soku przeleciał tak blisko twarzy Benja, że aż poczuł kropelki. Woodrow Wharton, śmiejąc się, uderzył na płask dlonią w wahadłowe drzwi i zniknął w mrocznym wnętrzu baru „Złota Klatka”.

Miawa City było niebezpiecznym miejscem. A zdaniem Rachel - szczególnie niebezpiecznym dla prostytutki, która czasami zapominała o trzymaniu się prostej i wąskiej drogi.

Najpierw ta dziewczyna płacząca w zaułku, która szlochała tak, jakby jej serce pękało. Rachel wiedziała, że nie powinna była do niej podchodzić. Kościół mówił przecież wyraźnie: innowierców, z wszystkimi ich grzesznymi obyczajami, lepiej jest pozostawiać własnym bolączkom i zmartwieniom. A takiej dziewczyny, która mieszkała w domu pod czerwoną latarnią z lokomotywy, należało unikać szczególnie z powodu niegodziwości, jakie popełniała.

Dziewczyna była wulgarna, wymalowana jak ladacznica, makijaż ściekał jej strumyczkami po twarzy, a strój Jezabeli ukazywał całe piersi. I sprośna, cynicznie przyznawała się do tego, że oczekuje dziecka po tym, jak zgrzeszyła, śpiąc z mężczyzną. Rachel jednak czuła niepokojącą empatię, jakby jej łzy mogły być łzami jakiegokolwiek kobiety, wszystkich kobiet. I jeszcze bardziej niepokojącą ciekawość zakazanych rzeczy, o których owa dziewczyna mogłaby opowiedzieć: o łózkach z puchowymi piernatami i jedwabną pościelą, o mahoniowych pianinach. I o wszystkich sposobach, jakimi kobiece ciało mogło zadowolić mężczyznę.

Rachel bardziej uciekała od siebie samej niż od tej dziewczyny, wymalowanej jak ladacznica i grzesznej. Nauki Kościoła były jasne - i tylko wówczas, gdy o nich zapominała, wpadała w kłopoty.

Czmychając z zaułka, usłyszała muzykę. Buchnęła nagle przez drewniane drzwi jednego z barów wraz z salwami śmiechu, okrzykami i stekiem wyzwisk. Była to wyrazista muzyka, o mocnym uderzeniu dźwięku. Rachel czegoś takiego nigdy nie słyszała. Głęboka, bogata i odbijająca się echem, dudniła w gorącym powietrzu jak letni grzmot.

- Och, co to jest?! - wykrzyknęła Rachel, zaskoczona i zdumiona.

- No, to tylko harmonia. Ale ten gość to potrafi zmusić miechy do zawodzenia.

Rachel się odwróciła i zobaczyła rumiane i świecące oblicze fryzjera, pana Beakera. Jego długie nawoskowane wąsy podjeżdżały do góry w szerokim uśmiechu.

- Aż nogi same podskakują, no nie? Nawet w tym upale.

Rachel wbiła wzrok w wybielony przez słońce drewniany chodnik. Odwróciła się i szybko odeszła, pozostawiając pana Beakera, który zamruczał pod nosem:

- Ci prostytutkowie to tak zadzierają nosa, że nawet człowieka nie pozdrowią.

Muzyka podążała jednak za nią i Rachel miała ochotę przejść przez ulicę i zajrzeć przez drzwi do baru, żeby zobaczyć, co to za instrument wydaje takie szlachetne, żalosne i modulowane dźwięki. Muzyka, och, to doprawdy było straszne niebezpieczeństwo!

Podobne do tego, które czyhało w oknie wystawowym Kupiectwa Tullego. Taki przyjazd do miasta i oglądanie tego, co wystawiał w oknie pan Tulle, zawsze było przygodą. Ostatnim razem widzieli tam rower i jej synowi aż oczy się do niego śmiały. A pewnego dnia, jeszcze za życia Bena, wystawiono tam uprzęż do czworokonnego zaprzęgu, z lakierowanej czarnej skóry ze srebrnymi sprzączkami i miedzianymi pierścieniami. W drodze do domu Ben żartował, że mając taką uprzęż - tak bardzo się iskrząca - trzeba wkładać okulary słoneczne, żeby móc na nią patrzeć, albo trzeba być ślepym. Rachel zawsze się jednak zastanawiała, czy w głębi serca, w jakimś skrytym kąci, nie pragnął mieć tej eleganckiej uprzęży.

Teraz w oknie wisiała sukienka tak piękna, że Rachel aż zaparło dech. Uszyta z miękkiego aksamitu w kolorze niezapominajek, z wierzchnią spódnicą zebraną z tyłu i opadającą pienistą kaskadą szaro-żółtej koronki. Na ręcznie pisanej karteczce informowano, że to „kostium do wód”, przywieziony z Paryża, w cenie pięciuset dolarów. Rachel aż otworzyła usta ze zdumienia. Próbowала sobie wyobrazić taką sumę zgromadzoną naraz i w jednym miejscu, ale bez skutku.

Zastanawiała się, czy Staw Blackiego można by uznać za „wody” i czy nawet najbardziej ekstrawagancka z innowierczyń byłaby na tyle niemądra, żeby nosić tak kosztowną i delikatną suknię wśród gęstwiny, skałek i jezyn.

Kiedy weszła do sklepu, miała wciąż przed oczami ten przepiękny strój. Pan Tulle spryskiwał podłogę wodą, żeby kurz nie unosił się w powietrzu, toteż w całym lokalu mocno pachniało mokrym drewnem. I nieprzemakalną odzieżą ułożoną na podwójnej drewnianej ławce przy samych drzwiach. Pomyślała, że wykładanie na sprzedaż takiej góry nieprzemakalnej odzieży w samym środku gorącej i suchej wiosny świadczy o optymizmie pana Tullego.

Za każdym razem, gdy ojciec nauczał, że prostaczkowie są obcymi na obcej ziemi, przychodziło jej zawsze na myśl Kupiectwo Tullego. Dzisiaj w promieniach oślepiającego słońca, wpadających przez wykuszowe okno i podświetlających wirujące w powietrzu drobinki kurzu, sklep wydawał się szczególnie mitycznym miejscem, pełnym wielu kuszących rzeczy.

Większość ze sprzedawanych tu specjalów, takich jak marynaty i dżemy z wiśni, mogła zrobić sama. Potrafiłaby też zawekować własne kurczaki i na ostro przyprawić szynkę. Zastanawiała się również, jaka kobieta zapłaci tak horrendalną cenę za puszkę masła, skoro łatwo może je sama zrobić. A jednak w produktach kupowanych w sklepie było coś, co sprawiało, że wydawały się nadzwyczajne.

Oczywiście były tam też rzeczy, których w żaden sposób nie mogłaby zrobić sama, nawet gdyby chciała, choćby puszki cukrowych śliw i białych winogron.

Patrząc na tyle wystawionych cudeniów, łatwo zapominało się o wielkiej dobroci Boga i o wszystkim, co zapewnił ludziom ze strony przyrody, łatwo było łaknąć luksusów kupowanych w sklepie. Jak na przykład te kosmate fildekosowe pończochy i szylkretowe grzebyki, jak ten cyzelowany złoty zegarek i gustowne buciki zapinane na guziczki, wstążki w kolorach tęczy i ozdobne koronkowe kołnierzyki.

Jak ta sztuka żółtego satynowego perkalu tak lśniącego, że zdawał się połyskiwać promieniami słońca. Wyciągnęła nieśmiało rękę, chcąc pogłodzić miękki, lśniący materiał. Co można zrobić z czegoś tak olśniewającego? Żałowała, że nie przychodzi jej do głowy, jak można by go stosownie użyć. Prostaczka nie powinna pragnąć takiej rzeczy, a ona pragnęła.

- Jak tam, pani Pastuszek Baranów? Czym mogę dzisiaj służyć?

Rachel cofnęła rękę i obróciła się, a policzki zalał jej rumieniec. Pan Tulle miał nos podobny do kruczego dzioba i ostro ciosaną brunatną twarz, a jego czarne guzikowate oczka spoglądały na nią groźnie, jakby podejrzewał, że próbuje coś ukraść albo powalać rękami brudnymi od owiec.

Jak większość innowierców, zawsze wprawiał ją w zakłopotanie. Zająkiwała się, odczytując swoją listę zakupów: mąka, solona słonina, krakersy z sodą, kasza kukurydziana, brązowy cukier, pięciogalonowa blaszanka nafty, torba ziarnistej kawy. Dwa jardy żółtego perkalu.

Pan Tulle oburzył się na to, a jego cienkie wargi zrobiły się jeszcze cieńsze.

- Zmiana kursu, tak?

Nie zrozumiała ani znaczenia tych słów, ani też kpiny, którą w nich wyczuła, wolała więc odpowiedzieć milczeniem, w rezultacie nazwał ją arogancką suką i odmówił wzięcia w zamian gruzełkowego sera. Zresztą ser w tym nieszczęsnym upale pewno bliski był zepsucia.

Zapakował sprawunki do pustych pudeł po sucharach, ale nie zaproponował, że pomoże zanieść je do wozu. Musiała więc parę razy obracać i właśnie wychodziła ze sklepu po raz trzeci z blaszanką nafty w ręce, gdy ujrzała syna pędzącego w jej stronę po drewnianym chodniku. Usta i oczy miał szeroko rozwarte, przebiegał szybko nogami, wymachiwał jedną ręką, a drugą przytrzymał kapelusz. Biegł tak, jakby gonił go rój szerszeni.

Nagle sobie uświadomiła, że biegnie nie tylko Benjo. Pan Tulle wyskoczył ze sklepu, wpadł na nią i pobiegł dalej, nawet nie przeprosiwszy. Pan Beaker pędził obok, trzepocząc długimi sztywnymi wąsami. Potężny Trueblue Stone kłusował ulicą ze stajni, a skórzany fartuch plaskał go po łydkach. Ludzie wysypywali się ze sklepów i „Jadłodajni Wanga”, krzycząc w podnieceniu.

Benjo zderzył się z nią, ale nie mógł wykrztusić ani słowa, tylko zaplawał się i prychał. Upuściła blaszankę i pozwoliła pociągnąć się synowi. Strach wypalał gorący szlak w jej klatce piersiowej.

Wszyscy biegli w stronę baru. To innowierca, wiedziała, że o niego chodzi. Zabił kogoś albo zamierzał kogoś zabić, albo jego ktoś zabił.

Benjo przedarł się przez grupkę mężczyzn przy drewnianych drzwiach, ciągnąc ją za sobą.

Nie była nigdy w żadnej mordowni, nigdy nawet nie zajrzała do środka. Zatrzymała się na progu, mrugając powiekami z powodu szczypiącego w oczy tytoniowego dymu i nagłej ciemności po oślepiającym świetle słońca. Zaatakowały ją nieprzyjemne zapachy: podłogowych desek nasiąkniętych piwem, zastarzałego potu, przepełnionych spluwaczek.

- ...jak ugotowane na twardo jaja robią się miękkie w środku - doleciał do niej męski głos. Słyszała szuranie krzesel na podłodze i zduszony okrzyk przerażenia. Cienie się poruszyły, przypląszczyły do ściany i nagle nawet powietrze wydało się puste.

Wielkie lustro na przeciwległej ścianie odbijało światło wpadające przez drzwi za nią. Przed lustrem był długi, wysoki, wąski, wypolerowany do połysku drewniany bar. Dla Rachel bar miał w sobie coś religijnego, jak ołtarze w katedrach, o których słyszała, ale żadnego z nich nie widziała. Dwóch mężczyzn stało przy barze - jeden, Johnny Kain, twarzą do lustra, z butelką imbirowego piwa w dłoni, drugim był Woodrow Wharton; w ręce miał broń.

Strzyknął kleistym sokiem tytoniowym na posypaną trocinami podłogę.

- Jestem pewien, że to do pana mówiłem - powiedział. Nawet w przytłumionym świetle widać było, że twarz ma bladą i spoconą.

Johnny Kain wolno obrócił głowę, lekko ją przekrzywił, tak by móc patrzeć spoza ronda kapelusza.

- Proszę wybaczyć - rzekł z uśmiechem.

Pochylił jedno ramię i za plecami walnął butelką w bar. Butelka się roztrzaskała, zamieniając w fontannę napoju i odłamków szkła. Ostro zakończony kawałek szkła, który pozostał Kainowi w ręce, błysnął i rozciął Woodrowi Whartonowi usta.

Wharton wrzasnął. Rękę, w której trzymał broń, podniósł do ust, żeby powstrzymać tryskającą krew.

- Nie! - wykrzyknęła Rachel i zrobiła krok w ich kierunku.

Johnny Kain obrócił się do niej, oczy mocno mu błyszczały.

Wharton odjął rękę od krwawiących ust, podniósł ją i wycelował, ale Kain, odwracając się w jego stronę, zdążył już wyciągnąć kolta z kabury, i to tak błyskawicznie, że Rachel zobaczyła tylko błysk i obłoczek dymu.

Wybuch jak trzask bicia szarpnął powietrzem.

Whartona odrzuciło do tyłu z taką siłą, jakby kopnął go muł. Kamizelkę z wołowej skóry miał poszarpaną i rozdartą. Krew rozprysnęła się czerwonym obłoczkiem. Uderzył plecami w bar i przez sekundę na nim wisiał, wytrzeszczywszy oczy i rozdziawiwszy gębę jakby w zdumieniu. Johnny Kain strzelił jeszcze trzy razy i na białej bluzie z koźlej skóry wykwitły szkarłatne kwiaty.

Krew i sok z żutego tytoniu buchnęły Whartonowi z ust. Wywrócił wyblakłymi oczami i wolno uginając nogi, zjechał na podłogę. Jeszcze przez ułamek sekundy klęczał, po czym upadł na nasączone piwem trociny.

Dym z prochu unosił się przed oczami Rachel. Zapach podobny do siarki szczypał ją w nos. Patrzyła szeroko otwartymi oczami, jak kałuża krwi pod nieruchomym ciałem Whartona zaczęła się powiększać. Krew była gęsta i lepka, i bardzo czerwona.

Twarde palce wbiły jej się w ramię i gwałtownie ją obróciły. Johnny Kain uderzeniem rozwarł wahadłowe drzwi i pociągnął ją za sobą, a ludzie gwałtownie ustępowali im z drogi, rozbiegając się jak kuraki na prerii.

Przerażona, rozejrzała się wokół, ale zobaczywszy syna, który cały i zdrow biegł za nimi chodnikiem, po raz pierwszy od dłuższego czasu odetchnęła.

Kain pociągnął ją na ulicę w momencie, gdy przejeżdżała obok platforma wysoko załadowana dłuźycą. Niemal weszli prosto pod nią, zupełnie jakby jej nie widzieli.

Kiedy dotarli do wozu, innowierca odwrócił się twarzą w jej stronę. Przykro było patrzeć mu w oczy.

- Pani i chłopiec lepiej zostańcie przy wozie - powiedział tylko.

Kiedy odchodził, Rachel czuła bicie swego serca, a każdy wdech i wydech wymagał wielkiego wysiłku.

Po jakimś czasie razem z Benjem wsiadła do wozu. Usta miała suche, w żołądku kwas. Mięsień na jej udzie drżał.

- A ja wszystkim mówiłam, że on nie pije diabelskiego trunku.

Nawet nie uświadomiła sobie tej myśli, a tym bardziej tego, że wypowiedziała ją na głos. Zorientowała się dopiero wtedy, gdy Benjo podskoczył.

Szarpnął głową do tyłu tylko raz i całe słowa popłynęły z jego ust, jak rzadko kiedy.

- Poczuliśmy pragnienie po kupnie konia. On wszedł do baru tylko kupić imbirowe piwo.

Rachel z zaskoczeniem i przerażeniem stwierdziła, że się śmieje.

- To był ten człowiek, który powiesił tatę - oznajmił Benjo. - Cieszę się, że jest m... m... m...

- Martwy - dokończyła Rachel.

Wpatrywała się w ciemne plamy potu na bokach kobyły i drzała. Zastanawiała się, co Kain teraz robi. Być może załatwia pochówek dla tego człowieka. Nikt nie sprawdził, czy on naprawdę nie żyje; wszyscy zostawili go leżącego na ziemi. Ulica zrobiła się teraz pusta jak w wymarłym mieście. W Miawa City nie było pomocnika szeryfa, którego można by wezwać, a szeryf Getts mógł być gdzieś w terenie. Johnny Kain nie miał przed kim odpowiadać. Jedynie przed prawem boskim.

Kain wyszedł z miejskiej stajni, prowadząc kasztanek. Im bardziej się do nich zbliżał, tym mocniej waliło Rachel serce. Uniósł głowę i napotkał jej wzrok. Twarz miał gładką, obojętną i zimną jak lód na stawie.

Przywiązał konia z tyłu wozu, który przechylił się i zakołysał, gdy do niego wsiadał. Miał, jak nagle zauważyła, krew Whartona na koszuli.

Kiedy wyjechali z miasta, zerwał się wiatr. Piasek miotał w oczy i zamieniał się w trzeszczącą pastę na języku.

Brzeg czepka Rachel trzepotał na wietrze. Ciemne chmury spowijały góry, smagane ostrymi białymi błyskawicami; przy każdym błysku Rachel się wzdrygała, jakby to były strzały z rewolweru.

Kiedy wóz minął z łoskotem mostek z bali i wjechał na podwórko, burza już nadciągnęła wraz z niskimi i ciężkimi chmurami. Błyskawice je rozświetlały i zaraz potem rozlegał się grzmot, który zdawał się rozdierać niebios.

Świszczący wiatr szarpał spódnicę Rachel. Miała ochotę odrzucić do tyłu głowę i krzyczeć wraz z nim. Jak dziwnie biegnie droga życia! Dzieją się rzeczy straszne, wstrząsające ziemię, a życie toczy się jak zawsze. Człowiek dostał postrzał w pierś i leżał we krwi na podłodze baru, a krowy trzeba doić i napelnić strawą ludzkie brzuchy. Nadciągała burza i Rachel musiała zatroszczyć się o owce.

Zagnała wraz z Benjem i MacDuffem maciorki i jagnięta pod osłonę łagodnie wznoszącego się wzgórza, gdzie im nie groziły występujące z brzegów strumyki i topole powalone przez pioruny. Nie widziała, co robi Kain ani dokąd poszedł. Nie rozmawiali w drodze do domu. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdoła odezwać się do niego choćby jednym słowem. Gardziła nim za to, co zrobił, i trwożyła się o niego, trwożyła się o jego duszę. Jakkolwiek w ciemnym zakamarku jej własnej duszy czał się podziw. I zadowolenie. O tak, zadowolenie. Woodrow Wharton nie żył i z tego była zadowolona.

Próbowała się modlić za duszę człowieka, który zamordował jej Bena, i nie mogła. Pomodliła się więc za duszę Johnny'ego Kaina, która na pewno była skazana na wieczne potępienie.

Zostali z owcami, żeby utrzymać je w jednej gromadzie. Burza sypnęła błyskawicami i grzmotami, lecz deszczu nie przyniosła. Rachel dopiero po burzy poszła zobaczyć, czy innowierca wprowadził swojego nowego konia do stodoły, czy też na nim odjechał.

Chmury i wiatr nie zmniejszyły zbyt panującego upału, w stodole jednak było chłodno. Lawendowe cienie sięgały krokwi. Stara siwa kobyła w jednym z boksów chrupała owies. W drugim kaszanka Kaina wielkimi haustami piła wodę z koryta.

Nie poruszył się ani nie wydał żadnego dźwięku, ale ona jakoś instynktownie wiedziała, gdzie go szukać: na przeciwległym końcu stodoły, gdzie przy krokwi wisiały drągi z hakami na jagnięta i nisko schodził dach.

Siedział na klepisku, przycisnąwszy ramiona do ściany i zwiesiwszy ręce wzdłuż zgiętych kolan. Uniósł głowę, gdy do niego podeszła. Przez moment Rachel myślała, że w zimnych błyszczących oknach jego oczu dostrzega osłoniętą całunem zagubioną duszę, ale wtedy opuścił powieki jak żaluzje.

Stała i patrzyła na ciemne włosy i sterczącą mu u nasady karku kość, na gładkie, jędrne ciało pleców pod zniszczoną koszulą, koszulą poplamioną krwią innego człowieka.

Dotknęła go ręką, tak jak postąpiłaby z Benjem, żeby go pocieszyć, lecz on zerwał się na nogi i odsunął od niej.

- Nie dotykaj mnie - powiedział.

Zrobiła krok w jego stronę, a on znowu się odsunął.

- Mówiłem, nie dotykaj mnie!

Rachel jednak nadal podchodziła, aż znalazła się na tyle blisko, że objęła go w pasie i przycisnęła twarz do jego piersi. Czuła, że Kain usiłuje stać bez ruchu, jakby bał się nawet odetchnąć.

- Proszę, nie dotykaj mnie, Rachel. Jestem brudny - rzekł, a ona wiedziała, że nie chodzi mu o pył i pot.

Sam jej wprawdzie nie dotykał, pozwolił jednak, by go trzymała, póki nie przestał drzeć.

Kojocica nie dała się oswoić.

Benjo zawsze podchodził do jamy wolno, nucąc słodką wyliczankę, którą posługiwał się przy jagniętach. I za każdym razem kojocica rzucała się na niego, warcząc i szczerząc zęby, jakby chciała odgryźć mu głowę, gdyby tylko mogła. Przynosił jedzenie i wodę, a ona go się bała i nienawidziła.

Tego wieczoru nie przyniósł jej żadnych królików ani wiewiórek. Na myśl o zabiciu czegokolwiek przewracał mu się żołądek.

Kiedyś w szkole jeden chłopiec pokazał mu coś, co się nazywało stereoskopem. Na końcu stereoskop miał kawałek drewna z otworami, w które wkładało się dwie fotografie wyglądające identycznie. Potem patrzyło się przez okulary na drugim końcu stereoskopu i obie fotografie jakby zlewały się w jedną, nabierając głębi i życia. Tylko że na tym obrazku nic się nie poruszało, był to więc raczej plasterek życia zamrożony na zawsze w czasie.

To, co się wydarzyło dzisiaj w Miawa City, Benjo widział wciąż jak obrazki w stereoskopie. Johnny Kain odwracający się od baru z uśmiechem. Ostry kawałek szkła z butelki od piwa imbirowego przecinający usta mężczyzny. Ogień wylatujący z lufy. Krew tryskająca czerwoną mgiełką z piersi Woodrowa Whartona.

A on się śmiał.

To wspomnienie o własnym śmiechu martwiło go najbardziej. Próbował w siebie wmawiać, że może nic takiego się nie zdarzyło, lecz wiedział, że tak było. Czuł, że śmiech wyrwał mu się z gardła, i słyszał go tak wyraźnie jak strzały. Krew trysnęła z piersi mężczyzny czerwoną mgiełką, a Benjo Yoder się śmiał.

Kostrzewa wokół pułapki była teraz gęsta, zielona, usiana różowymi pierwiosnkami i górskimi dzwonekami. Tłumiła kroki, ale wiedział, że kojocica i tak go wywęszy. Kiedy spojrział w dół przez nawis jamy, wygięła się w

łuk, a czarne włosy zjeżyły jej się na grzbiecie. Obnażyła zęby i warczała.

Zebrał dla niej cały kapelusz jagód i wysypał je do jamy. Kojocica pochłonęła żarłocznie jagody, po czym uniosła łeb i patrzyła na niego, nie mrugając.

Czuł się źle, bo wiedział, że jagody to za mało. Prócz siebie miała teraz do wykarmienia trójkę młodych. Ostatnio tak wychudła, że przez posiwiąłą żółtoszarą sierść widać było sterczące żebra. Przyszło mu do głowy, że może zdycha powoli, uwięziona w tej jamie.

Zabrało mu trochę czasu wymyślenie sposobu, jak ją stamtąd wydostać. Pewnego dnia, gdy wyrzucał gnój ze stodoły, jego wzrok padł na schodki prowadzące na pięterko, gdzie kładziono siano, i już wiedział, jak to zrobić. Zwiąże wiązkę okrągłaków i gałęzi sznurem z rzemyków i zmajstruje w ten sposób coś w rodzaju pomostu. Zamierzał opuścić go do jamy, po czym wziąć nogi za pas, zanim kojocica będzie mogła go zaatakować.

Tylko że jeszcze tego pomostu nie zrobił. Zawsze gdy o tym myślał, odczuwał w żołądku dziwny niepokój. Nie mógł zapomnieć, że kojoty to zabójcy owiec.

Benjo kochał każdą maciorkę i każde jagnię na farmie. Na ogół uważa się, że wszystkie owce są takie same, ale tak nie jest. Różnią się od siebie zachowaniem i wieloma cechami. Jedna ucieka, gdy się tylko zbliżysz, a inna podejdzie i będzie ci jeść siano z ręki. Jedna jest tak leniwa, że musisz ją szturchać, boby ją wzdęło, druga tak roztrzepana, że zapomni nakarmić swoje jagnię. Nawet beczą inaczej; gdy posłuchasz z bliska, możesz nauczyć się je odróżniać.

Czasem trudno było kochać jagnięta, bo tak wiele z nich ginęło. Ześlizgiwały się do potoku i tonęły, przewracały się na grzbiecie, nabawiały się wzdęcia i dusiły, spadały z urwisk i do dużych jam, truły, zjadając łubin i inne szkodliwe rośliny.

A czasami zabijały je kojoty.

Pomyślał znów o tym, co się dzisiaj wydarzyło: śmierć spotkała człowieka, który powiesił jego ojca, i tę śmierć zadał mu Johnny Kain. I on, Benjo Yoder, w pewnym sensie wziął udział w tym wszystkim już przez sam fakt, że kiwnął głową na propozycję wypicia piwa imbirowego. A potem się śmiał.

Zrobisz jedną rzecz, która pociąga za sobą inną, a ta prowadzi do jeszcze innej, i nagle znajdziesz się w miejscu, skąd nie ma powrotu ani ucieczki.

Powinien był wziąć ze stodoły strzelbę ojca i zastrzelić kojocicę w dniu, kiedy ją znalazł. Zamiast tego żywił ją i nosił jej wodę, a potem urodziły się małe; teraz te młode rosły i zrobiły się głodne. I ostatecznie Benjo znalazł się w takiej sytuacji, że będzie musiał albo je uwolnić, albo zabić.

Gdzieś na wzgórzach kojot wyl smętnie do księżycy. A w dolinie, w dużym domu, słodkie i melodyjne dźwięki walca granego na pianinie płynęły przez otwarte okna salonu.

Quinten Hunter stał na zewnątrz w mroku balkonu i obserwował żonę swojego ojca. Jej ramiona lekko się kołysały, gdy palce uderzały w czarne i kremowe klawisze; włosy przy świetle świec lśniły jak polerowany obsydian.

Ailsa Hunter od czasu do czasu grała na pianinie i wtedy pozwalała, by patrzył i słuchał. Lecz tylko z balkonu. To była, jak przypuszczał, jej metoda przypomnienia mu, że zawsze pozostanie na zewnątrz i będzie patrzeć stamtąd, bo jest mieszańcem i bękartem swojego ojca.

Muzyka i widok Ailsy przy pianinie sprawiały mu ból. A minio to wciąż przychodził patrzeć i słuchać. Czasami, jeszcze jako chłopiec, wychodził na balkon nawet podczas zamieci śnieżnej, żeby tylko słuchać jej muzyki. Grała przecież dla niego tak rzadko i tylko wtedy, gdy stał na zewnątrz i patrzył.

Tej nocy przynajmniej było ciepło i walc, którego grała, był jednym z jego ulubionych melodii. Zaczął przytupywać w rytm muzyki, gdy otworzyły się frontowe drzwi domu i zaskrzypiały deski podłogi, uginając się pod ciężkimi krokami. Syknęła zapałka i zapłonęła w mroku nocy, oświetlając ostrą kościstą twarz ojca.

- To ty, Quin? Stoisz tu w ciemnościach? - spytał Baron. - Myślałem, że balujesz w mieście z resztą chłopaków.

Walc urwał się nagle ostrym akordem i przez chwilę Quinten słyszał w uszach tylko pulsowanie krwi. Potem ciemność wypełniły nocne odgłosy, cykanie świerszczy, buczenie bydła, szum wiatru. Zaciśnął zęby, broniąc się przed rozczarowaniem, i odwrócił od okna, gdyż tej nocy muzyki już nie będzie. To do niej podobne; opuści klawisz pianina i nie dotknie już klawiszy.

- Rano chowają Woody'ego - powiedział do ojca. Baron był tylko większym, ciemniejszym cieniem wśród innych i odróżniał się jedynie rozżarzonym końcem cygara. - Nie poszedłem z innymi do „Czerwonego Domu”, bo nie uważam, żeby należało iść na pogrzeb po pijaku. To brak delikatności.

Wraz z dymem z cygara Baron wydmuchnął prychnięcie.

- Kto ustalił taką regułę etykiety? Ponadto Woodrow Wharton był upartym głupcem i pozwolił na to, by między nim a rewolwerowcem o takiej reputacji jak Johnny Kain doszło do konfliktu, a potem próbował go pokonać w konkursie szybkiego strzelania.

- Przecież to ty wynająłeś tego upartego głupca. A teraz mówisz, że lepiej by zrobił, gdyby zaskoczył Kaina i strzelił mu w plecy?

Quintenowi się wydawało, że wyczuwa na balkonie emanującą z ojca irytację, gęstą i palącą jak dym z cygara.

Popatrzył przez okno na jego żonę. Siedziała nadal przy pianinie z rękami nieruchomo leżącymi na kolanach. Głowę miała lekko pochyloną, jakby rozmyślała. W świetle lampy jej kark świecił bielą.

Baron westchnął z głębi płuc.

- Mówię, a i myślę, że powinniśmy móc wykurzyć stąd tych pastuchów baranów, i niekoniecznie stawać przeciwko Johnny'emu Kainowi i jego broni. Co mu do tego, jeśli ci klepacze Biblii zdecydują się na sprzedaż ziemi?

- On z nimi mieszka - zauważył Quinten. - Może sobie wyobraża, że to daje mu prawo głosu w tej sprawie.

- Powinno mu się więc zapewnić prawdziwą naukę, jak niebezpieczne jest życie farmera hodowcy owiec. Z wszystkimi suszami, kojotami i trującymi roślinami. I upałami, takimi jakie mamy teraz. - Baron pociągnął cygaro, po czym machał nim, kreśląc w powietrzu skomplikowane łuki, za którymi ciągnęły się smużki ognia. - Nigdy nie można na przykład przewidzieć, kiedy jakaś zbłąkana iskra polecą z wiatrem i podpali te owcze farmy, tak że zapłoną jak pochodnie.

Quinten odchylił głowę i zamknął oczy.

- Tato, nie...

- Co nie?

Obrócił głowę, próbując dojrzeć w mroku twarz Barona. Rozpaczliwie pragnął zrozumieć, poznać tego człowieka, który był jego ojcem. W gruncie rzeczy chyba chciał się dowiedzieć, czy Fergus Hunter naprawdę kocha i akceptuje swojego syna, mieszańca.

Wiedza ta jednak była równie nieuchwytna jak dźwięki walca płynące przez otwarte okno, a on zawsze pozostawał na zewnątrz i stamtąd spoglądał do środka.

- Dlaczego tak się zawiąłeś, żeby aż tak bardzo naciskać na tych prostaczków? - spytał, choć nie liczył na odpowiedź. Nigdy mu nie pozwalano wypowiadać się w kwestiach dotyczących prowadzenia rancza. Poza tym, że sypiał w dużym domu, a nie w noclegowni, i czasami zwracał się do szefa per „tato”, właściwie nie różnił się od reszty najemnych pracowników Kręgu H.

Tymczasem ojciec przemówił, zaskakując go i jednocześnie przerażając, bo słowa dobywały się z jego szerokiej piersi jakby z ponurą desperacją.

- Jestem po uszy zadłużony w bankach, Quin. Uwiążłem jak przynęta, która zahaczyła się na głębokiej wodzie. Rynek bydła wciąż ssie wysuszony tylny cycek, co oznacza, że muszę w tym roku przyznać więcej krów, aby dostać ledwie połowę tego, co w zeszłym roku...

- W i ę c e j krów? Przecież mamy i tak już za dużo bydła i za mało trawy.

- Wyjmujesz mi to z ust, chłopcze. Krowy muszą jeść. Jeśli się do tego dorzuci tę przeklętą zabójczą suszę, która jeszcze dodatkowo daje się we znaki, to z równania wyjdzie oczywisty fakt, że potrzebuję tego, co mają prostaczkowie. Potrzebuję ich trawy.

- Ale oni nie chcą nam sprzedać ziemi. To znaczy tobie - poprawił się, czerwieniejąc. - Nie możesz tak po prostu zmusić ich do oddania...

Ojciec się rozeźmiął i odwrócił, kierując w jego stronę rozżarzony koniec cygara.

- Ach, i owszem, mogę, mój chłopcze. Przejeżdż się do rezerwatu i zobacz, co zostało z plemienia twojej matki, co zostało z dumy wielkiego narodu Czarnych Stóp, a potem mi powiesz, czy świat nie dzieli się na tych, którzy biorą, i tych, którzy zmuszeni są oddawać.

Quinten przełknął ślinę i popatrzył w inną stronę, ku niewidocznym górcom wyrastającym ze stepu, który rozciągał się na wiele mil i którego nigdy nie będzie dość.

Wyczuł ruch po drugiej stronie okna. Kiedy tam spojrział, zobaczył, że Ailsa stoi przy pianinie z lichtarzem w ręce. Ich oczy się spotkały: oczy kobiety i młodzieńca, i choć światło padało na jej twarz, niczego nie mógł z niej wyczytać. Odwróciła się i opuściła pokój, a pianino otulała teraz ciemność i cisza.

XVII

Rachel załadowała beczułkę z wodą na mały wózek wywrotkę i pojechała z nią tam, gdzie mężczyźni pracowali przy sianie.

Rzędy świeżo zżętej tymotki suszyły się na łące. Gorący wiatr przywiewał zapach słodki i intensywny. Siano skoszone przed dwoma dniami, zgrabiono i pozostawiono, by schło, a dzisiaj stawiano stogi. Benjo jeździł wozem, a Mose Weaver i Kain nakładali siano widłami. Noah układał je warstwami i zwijał, bo to wymagało największych umiejętności. Zdziwiło ją, że innowiercy chyba podobały się sianokosy. Nazwał je „miłą i napotną robotą”.

Zawsze bardzo lubiła przyglądać się, jak stawiano kopy siana. Przypominały jej świeżo upieczone bochenki chleba, lekkie i puszyste. Co roku podczas sianokosów Noah i Ben pomagali sobie wzajemnie. U prostaczków sąsiad pomaga sąsiadowi i Rachel była rada, że w tym roku Noah pozostał wierny tradycji, choć niechętnym okiem patrzył na udział Johnny'ego Kaina w tej robocie. Lecz Noah uważał, że żaden innowierca nie potrafi tak pracować jak prostaczek ani też nie zna się naprawdę na gospodarce.

- Ten innowierca nie ma zielonego pojęcia o sianie - burknął do niej po pierwszym dniu, zmuszając ją do uśmiechu. - I tak macha widłami, jakby stawy w łokciach poruszały mu się do tyłu.

Mężczyźni dokończyli ładować rządek siana na wóz, zanim przyszedli po wodę. Wysuszone trawy trzeszczały przy nakładaniu widłami i ustawianiu w kopy. Kłujący pył unosił się w powietrzu, pokrywając białą warstwą twarze i włosy, wszyscy wyglądali więc tak, jakby wsadzili głowy w mąkę kukurydzianą. Z własnego doświadczenia Rachel wiedziała, że w upalne dni pył z siana gryzie jak diabli.

Po wodę pierwsi przyszedli Benjo i innowierca. Dała każdemu po pełnym czerpaku i teraz łapczywie ją pili. Obserwowała, jak woda wycieka Kainowi z kącików ust, spływa pojedynczym strumykiem wzdłuż pulsującej żyły na szyi, potem po obojczyku i moczy koszulę, która, wilgotna od potu, lepiła mu się do piersi.

Kiedy podniósł głowę, zauważył, że mu się przygląda, lecz Rachel nie odwróciła wzroku. Pierwszy raz ujrzała go właśnie na tej łące. Już miała spytać, czy to pamięta, gdy dołączyli do nich Noah i Mose.

Zaczekała, aż mężczyźni napiją się do syta, i zaczerpnęła wody dla siebie. Piła tak jak oni, odchyliwszy głowę do tyłu, a woda ściekała po obu stronach jej ust i po szyi. Kiedy skończyła, przejechała językiem po górnej wardze, smakując wodę i słony pot. Powietrze było parne i gęste, ale mimo to czuła żar spojrzenia Johnny'ego Kaina, które spoczywało teraz na niej, na jej ustach. Było tak cicho, że słyszała wodę kapiącą na ściernisko u jej stóp.

- Porządny upał jak dla pana, panie Kain?

- Gdzież tam, nie - odparł, leniwie i żartobliwie przeciągając słowa. - Tam, skąd pochodzę, nazwalibyśmy to średnią pogodą. Nie mówiliśmy, że mamy porządny upał, póki woda nie gotowała się w potoku.

- M... my nie mówimy, że jest porządny upał - wtrącił się Benjo - póki s... skały się nie topią.

Rachel, śmiejąc się, wędrowała wzrokiem od Kaina do syna i z powrotem. Wyglądali jak klauny o wielkich ustach, bo umyli usta i brody, a resztę twarzy wciąż mieli pobieloną pyłem z siana.

- Z was to dobrana para koni - powiedziała.

W kącikach oczu Kaina pojawiły się zmarszczki, gdy wyciągnął kciuk w stronę chłopca.

- On jest tym młodym, a ja starym, dychawicznym kowbojskim koniem.

Noah Weaver z głośnym pluśnięciem wrzucił czerpak z powrotem do beczułki z wodą. Szczęki mu chodziły.

- Ciężka praca dobra jest dla duszy mężczyzny - pouczył.

Mose obrócił wzrok ku wybielonemu przez słońce niebu.

- Tato! - wykrzyknął z taką mocą, że aż zdmuchnął sobie z końca nosa kroplę potu. - Jesteśmy na sianokosach, a nie na kazaniu.

- Moim zdaniem kazanie czy sianokosy - zauważył Kain z uśmiechem, o który tak było mu łatwo - jednakowo ciężkie są dla grzbietu.

Mose już się chciał do niego uśmiechnąć, ale się powstrzymał, zobaczywszy twarz ojca.

- Noah ustawia zawsze najlepsze sterty siana w całej dolinie, prawda, Noah? - odezwała się Rachel. - Wysokie i proste.

Noah na nią spojrzał. Zauważyła, że ma napiętą skórę wokół oczu i zapadniętą twarz, jakby pod wpływem jakiejś wielkiej udręki.

- Człowiek porządny nie puchnie z dumy z powodu swojej pracy, on ją po prostu wykonuje. - Okręcił się na pięcie i odchodząc, rzucił przez ramię: - Jest jeszcze dużo siana, które przed następną zimą trzeba będzie kiedyś ułożyć w stogi.

Ton jego głosu skłonił Mose'a do poderwania się i podążenia za nim.

Kain ociągał się z odejściem, śledząc wzrokiem zeszywniały grzbiet prostaczka.

- Przykro mi - powiedziała Rachel. - On nie ma zamiaru nikogo besztać. On po prostu... nie przestaje być diakonem.

Kain wzruszył lekko ramionami.

- Nie może mnie zirytować, dopóki mu na to nie pozwolę. Spinano mnie ostrzejszymi ostrogami.

Gorący wiatr rozwiewał i wprawiał w taniec tasiemki jej czepca. Odrzuciła je do tyłu, na plecy, po czym odsunęła pasemko włosów z lepkiego policzka. Popękaną dolną wargę wciągnęła do ust, chcąc ją nawilżyć - znowu miała pragnienie. I znów czuła na sobie jego wzrok, gorętszy od letniego wiatru.

- Na obiad mamy zacierki i puddyny - powiedziała. - To tradycyjne jedzenie w czasie sianokosów. W potoku chłodzi się też miętowa herbata.

- Nie pytam, co to takiego te zacierki i puddyny, bo może nie chciałbym wiedzieć.

Okręciła się, śmiejąc się do niego, z nim, po prostu się śmiejąc.

- Hm, panie Kain, gdy dokończy pan stawianie stogu siana aż do księżycy, to będzie pan chyba tak głodny, że zje wszystko.

Ruszyła w stronę domu biegiem, potrząsając wesoło spódnicami. Kiedy jednak przemierzyła podwórko i wchodziła na schodki ganku, zwolniła kroku, a uśmiech zniknął z jej twarzy.

Przez otwarte drzwi ujrzała Fannie, która robiła zacierki z miękkiego ciasta i wrzucała do garnka z gotującym się rosółem. Obok na patelni smażyły się na gorącym smalcu, strzelając, tłuste wieprzowe puddyny. Jabłkowy placek upieczony tego ranka stygł na parapecie okna, napełniając kuchnię aromatem jabłek i cynamonu.

Zazwyczaj Rachel lubiła towarzystwo innej kobiety w kuchni, ale dziś Fannie zadzierała nosa i odsuwała na bok spódnice za każdym razem, gdy przechodziła obok niej.

Rosół zasyczał, gdy Fannie wrzuciła następną partię zacierek, a Rachel zatrzymała się na ganku. Słońce rozpalone niczym hutniczy piec nadawało górcom szary blask, tak że wyglądały jak wykute ze stali, i ługowało błękit nieba. Gorący wiatr pokrywał mężczyzn pracujących przy sianokosach pyłem z siana. Rachel widziała stąd tylko szczupłą i pełną gracji sylwetkę innowiercy i ciemne włosy opadające mu na ramiona spod opuszczonego ronda kapelusza. Lecz w tym momencie czuła się mu tak bliska, że mógłby się do niej przyciskać, brzuch do brzucha, pierś do piersi, serce do serca.

Wyczuła jakiś ruch za sobą, odwróciła się i spojrzała na Fannie Weaver. Rachel wiedziała, że to, co myśli i czuje, maluje się na jej twarzy.

Fannie miała ręce skrzyżowane na piersi i pięści mocno zali ciśnięte. Ostre rysy przy kącikach jej ust jeszcze się pogłębiły. Zawsze była szczupła, ale teraz wyglądała na wychudzoną i skurczoną, jak coś, co zostawiono zbyt długo na słońcu.

- Znam cię, siostrze Rachel. Zawsze cię znałam!

Rachel odwróciła się od niej bez słowa.

- Znowu robisz naszemu Noahowi to samo. Myślisz, że nie pamiętam, jak go już raz zawstydziałaś i zraniłaś, pozwalając, by myślał o rzeczach, o których nie powinien myśleć, by pragnął tego, czego nie powinien pragnąć? A ty przez cały czas oczami i myślami jesteś przy innym.

- Tym innym był Ben. Mój mąż. I nic nie mogłam poradzić na to, o czym myślał i czego pragnął twój brat.

- Ha, tak mówisz. Ale ja widziałam, co robiłaś z naszym Noahem tej nocy, gdy umarła Gertie, jak doprowadziłaś go do grzechu.

- Objęłam go, to wszystko - powiedziała Rachel i lekko zadrżała, jakby dotknął jej duch. Często się zastanawiała, w jaki sposób jej mąż dowiedział się o tej intymnej chwili z Noahem. Teraz już wiedziała, dzięki Fannie Weaver i jej szpiegującym oczom.

O b j ę ł a m g o , t o w s z y s t k o .

Czasami serce lepiej niż głowa pamiętało różne rzeczy, zachowując pamięć zarówno o bólu, jak i o radości, jakby to wszystko wydarzyło się dopiero wczoraj.

Wróciła wtedy do domu późno, a Ben siedział przy stole, trzymając w rękach kubek z zimną kawą. Nazajutrz czekała go orka, powinien więc już dawno być w łóżku i spać od kilku godzin.

Popatrzył na nią i w jego czarnych oczach błyszczała uraza. Usta zaś, które potrafiły tak czule ją całować, były ściągnięte i gniewnie zacięte, a gęsta czarna broda nastroszona. Kiedy w końcu przemówił, w jego słowach zabrzmiał gniew.

- I gdzie to byłaś, moja Rachel, przez całą długą noc?

- Wiesz przecież, że byłam u Noaha. Jest taki zrozpaczony, że ja...

- Zrozpaczony, tak? A więc ty, moja Rachel, kołaś jego rozpacz? Kołaś swoim słodkim ciałem, miękkimi słodkimi ustami? - Walnął dużą, stwardniałą farmerską dłonią w stół. - Spałaś z nim?

- Jak możesz nawet myśleć o czymś takim?! - krzyknęła na niego. Krzyknęła, żeby ukryć poczucie winy nie mające sensu ani podstawy, a jednak zdolne wywołać rumieniec na jej policzkach. - I o nim? Jak mogłeś pomyśleć coś takiego o nim?

Potrząsnął głową wolno, z wysiłkiem, jakby nie mógł znieść ciężaru własnych myśli.

- Wiem, czego on zawsze chce, *ja*. To ciebie nie jestem nigdy pewien.

- Objęłam go, to wszystko - powiedziała.

Ben wstał od stołu, nie odzywając się do niej, poszedł do izby, położył się do łóżka w ubraniu. Dołączyła do niego w ciemnościach i ciszy. Nie mogła jednak znieść gniewu, który wraz z nimi wkradł się do łóżka - gniewu i braku zaufania.

Przesunęła się, żeby wypełnić pustkę na środku łóżka, przytuliła się do Bena i położyła mu głowę na piersi. Leżał nieruchomo, ale słyszała bicie jego serca i pomyślała, jak słodkim i uspokajającym dźwiękiem dla kobiety jest bicie serca męża.

- Ben, ja cię kocham. Tylko ciebie!

Nigdy przedtem tego nie mówiła, bo nie było to w stylu prostaczków. Mąż i żona na głos mówili o miłości do Boga, nigdy o miłości do siebie. A jednak ona i Ben się kochali.

Czuła, że ciało Bena robi się ciepłe i topi się pod nią, jakby ona była płomieniem, a on świecą. Objął ją ramieniem i trzymał mocno.

- Obiecuj mi, że będzie tak zawsze - poprosił.

Obiecała.

Dźwięk dzwonka skopa był dla Rachel jak radosna pieśń oznaczająca koniec dobrego dnia.

Gnała stado maciorek i ich jagniąt po ostrym ściernisku świeżo skoszonej łąki. MacDuff biegał wolno tam i z powrotem wzdłuż ostatnich szeregów stada. Znał swoje powinności; mądry owczarek szkocki nigdy nie pogania owiec, tylko nimi delikatnie kieruje. Rachel bardzo się podobało, że nikt, nawet pies, nie może ponaglić owiec. Dochodziły tam, dokąd szły, w swoim własnym tempie.

Pilnowała wraz z MacDuffem, żeby owce się rozmieściły i pasły z zadowoleniem. I choć czekało na nią zmywanie naczyń i szorowanie kuchni, została na pastwisku. Stała na ściernisku, mocno opierając stopy; luźno zwiesiła ręce po bokach, a gorący wiatr przewiewał ją na wskroś.

Odchyliła wolno głowę do tyłu i pozwoliła się unosić w górę, wyżej, coraz wyżej, w ciemny błękit wieczornego nieba, bezkresnego i pustego.

- Można się tam zagubić, jeśli się nie uważa.

Stał oparty o pień sosny Banksa ze skrzyżowanymi nogami, kapelusz dyndał mu na palcach. Patrzyła na niego, na suchawatą twarz o wydatnych kościach policzkowych, na okrutne usta, na oczy... Te oczy nie były zimne, wcale nie były zimne.

Przeniosła wzrok na niebo, a potem z powrotem na te oczy, jakby oceniając, co jest bardziej niebieskie.

- Jak się pan czuje, patrząc w niebo?

Powiesił kapelusz na gałęzi sosny i ruszył w jej stronę między pasącymi się owcami; dzieliła ich już tylko odległość wyciągniętej ręki. Dopiero co się umył, bo koniuszki włosów ociekały wodą i pachniał mydłem z lekką domieszką woni siana. Szerokie i proste męskie ramiona zasłaniały jej horyzont. Oczy miał zdecydowanie bardziej niebieskie niż niebo.

- Samotnie - odparł. - To taka samotność, która sprawia, że czujesz się dobrze i smutno, i dziko, wszystko to naraz. Niemal zwariowanie, chce ci się więc wyć z kojotami albo wskoczyć na konia i jechać na koniec świata.

Pochylił się ku niej, ale starannie unikał dotknięcia. Ciche słowa wydobywały się gdzieś z jego wnętrza. Uraził ją swoimi słowami.

- To taka samotność, co jest jak słodka rana w tobie, i nie jesteś pewien, czy masz się śmiać, czy płakać. Bo wiesz, że bierze się z pragnienia, z sięgania po coś, czego nigdy mieć nie będziesz.

Patrzyła na jego twarz, która stała jej się jakoś droga, i zbudziła się w niej dzika tęsknota. Czuliła do niego coś więcej niż miłość. Z miłością mogłaby żyć z dala, ale nie z tym. Potrzebowała go, potrzebowała w swoim życiu, i to była potrzeba tak elementarna, tak trawiąca, jak potrzeba powietrza do oddychania, jak...

- Kain! Kain! U... Umyłem się naprawdę porządnie, tak jak m... mówiłeś. Och... hej, mammo!

Cofnęła się i odwróciła z uśmiechem w stronę syna, gdy przybiegł bez tchu, z rozradowaną miną. Twarz miał zaczerwienioną od opalenizny i pucowania. Ciekawa była, jaką groźbą czy przekupstwem, a może jakim cudem Johnny Kain skłonił go do kąpieli.

Przejechała palcami po mokrych włosach syna. Nawet za uszami się wymyła.

- Sprasowaliście dzisiaj masę siana - pochwaliła.

- Benjo jest najlepszym stawiaczem stogów, z którym miałem przyjemność pracować - oznajmił Kain z poważną miną.

Chłopiec był radosny jak sójka, a Rachel serce rosło.

- Słyszę, że Annabell ryczy, jakby miała zdechnąć - wtrąciła się. - Nie uważasz, że powinienes iść ją wydoić i ulżyć jej niedoli?

Benjo westchnął ciężko.

- Ach, mammo!

Posłuchał jednak i Rachel została znów sam na sam z Kainem, choć poprzednia bliskość zniknęła.

Zmusiła się do lekkiego i żartobliwego tonu, wiedząc, że on to lubi.

- Z iloma stawiaczami stogów pan pracował, że nagle taki z pana znawca?

- Ten chłopiec jest dla ciebie, Rachel, powodem do dumy.

- Ale to na panu on chce zrobić wrażenie - powiedziała. Niemniej zapłonęła się, zadowolona z syna, a także z tego, że Kain zwrócił się do niej po imieniu. Robił to teraz coraz częściej.

W tym momencie jedno z jagniąt nabrało ochoty do brykania, na sztywnych nogach skakało w górę i w bok i w końcu wylądowało na ziemi z głośnym beczaniem. Całe stado przestraszyło się i spłoszone przebiegło obok Rachel i Kaina po spadzistym zboczu łąki.

Śmiali się, a ich śmiech - jego głęboki i aksamitny, jej lekki i perlisty - zamienił się w radosną pieśń dzwonek. Owce beczwały basowo i tenorowe. Koniki polne pasły się na trawie wzdłuż potoku. Sieweczka krzykliwa wywodziła słodkie tryle i śpiewała sikorka. Wiatr poświstywał swoją pieśń w wierzchołkach topoli.

- Och, słyszysz to, Johnny! Słyszysz tę muzykę?

Podniecona obróciła się w jego stronę i zobaczyła, jaką ma minę. Patrzył na nią z takim zapamiętaniem, że odczuwała to niemal jak gorący oddech na swojej skórze.

- Wiesz, słyszę dźwięki wydawane przez ziemię - kontynuowała, jakby on pytał: J a k ą m u z y k ę? - Słyszę wiatr i potok, i głosy różnych zwierząt, owiec i ptaków, i żab, słyszę je w swojej głowie, i wszystkie razem tworzą muzykę. Nie wiem, nie potrafię tego wytłumaczyć, wiem tylko, że to coś niedobrego.

Mięsień drżał na jego policzku. Opuścił nieco głowę, tak że długie gęste rzęsy osłoniły mu oczy.

- Co niedobrego może być w tym, że z pieśni życia tworzy się symfonię?

Odwróciła się od niego, nagle zawstydzona. Zaczęła iść w stronę domu, a on do niej dołączył.

- Wiem, że istnieje coś takiego jak orkiestra symfoniczna - rzekła. - To znaczy słyszałam, kiedy o tym mówiono.

Powiedz mi jak ona brzmi.

- Nigdy żadnej nie słyszałem. Kiedyś poszedłem do opery w Leadville, w Kolorado. To było coś w rodzaju kociego wrzasku wydawanego przez gromadę grubych pań. - Skrzywił usta w półśmiechu. - I gdzieś w Teksasie słyszałem raz to, co się nazywa kowbojską kapelą. Składała się głównie z kupy hałaśliwych rogów. Dyrygował nią człowiek z pałeczką w jednej ręce i z koltem w drugiej, chyba po to, by uśmiercić pierwszego, kto zagra fałszywie.

Roześmiali się znowu. Czują się trochę oszołomiona i dziwnie lekka. Miała ochotę unieść spódnicę i obracać się dokoła, dokolusienka, aż zakręci jej się w głowie i padnie na kupę siana, tak jak to robiła jako mała dziewczynka.

- Czy ty kiedy tańczyłaś? - spytała.

- Swego czasu kilka razy wybrałem się na fandango.

Przestali iść i stanęli twarzą do siebie. Wiatr trzepotał tasiemkami czepca Rachel. Kain wziął je, każdą w jedną rękę, i pociągnął w dół, tak że się mocno napięły. Palcami ledwie musnął jej piersi, a jednak czuła ten dotyk niemal do samych stóp.

Zaskoczył ją, bo zaczął śpiewać wesołą piosenkę o dziewczynie imieniem Annie Laurie. Zapomniane słowa zastępował przez la-di-da. Po chwili wypuścił tasiemki czepca, by wziąć ją za rękę. Przyłożył swoją dłoń do jej dłoni, splótł ich palce, a chwyciwszy drugą ręką nadgarstek Rachel, przerzucił sobie przez ramię jej rękę, po czym objął ją w talii.

I zatańczyli.

Okręcał ją dokoła i dokoła, szerokimi kręgami, wsuwając i wysuwając między jej uda swoje kolano, a spódnicę owijały mu się wokół nóg. Rachel czuła każdy cał swojej skóry, każdy kłujący włoszek na ramionach. Słyszała jego i własny oddech.

Gdy okręcał ją szybciej, przywierała do niego. Głowę odrzuciła do tyłu, oczy miała otwarte i patrzyła na bezkresne błękitne niebo, które wirowało szaleńczo nad nią, gdy ziemia przechylała się i kołysała pod stopami. Taniec i wiatr porwały resztę piosenki, a oni nie przestawali się śmiać.

Potem nagle przestali. Zwolnili tempo i przybliżyli się do siebie, a wtedy jego usta znalazły usta Rachel, przycisnęły i rozchyliły jej wargi, napełniając ją swoim oddechem, swoim żarem, swoim językiem. Wbiła palce w twarde mięśnie jego pleców, żeby się trzymać. I może nadal tańczyli, bo niebo wirowało, a ziemia się chwiała.

Trwało to wiecznie i kończyło się zbyt szybko. Odrywał usta od jej ust, ale wolno, wolniutko, po czym powrócił, by znów dotknąć jej warg, a potem raz jeszcze.

- Chcę cię, Rachel - powiedział, owiewając gorącym i żarliwym oddechem jej twarz. - Chcę z tobą spać.

Położyła mu palce na ustach. Serce biło jej w panice jak szalone, bo bardzo go potrzebowała, stał jej się bardzo drogi, i tak bardzo była słaba.

- Nie, nie możemy - rzekła łamiącym się głosem. - Wiesz, że to nigdy nie będzie możliwe. To straszny grzech, a przy tym ja straciłabym znacznie więcej, niż ty byś dostał. A to, co ty byś mi dał, mogłoby być niczym.

Usta Kaina poruszyły się pod jej palcami, przycisnęła więc je mocniej.

- Niczego nie możesz mi dać - powiedziała i odsunęła się, cofając się o krok, a potem o następny i następny, i jeszcze jeden, tak że znaleźli się już poza zasięgiem swoich rąk. - Nawet gdybyś mnie kochał. Bo jesteś innowiercą.

Odwróciła się i odeszła. Szła wyprostowana, z głową podniesioną, ponieważ nie chciała, by wiedział, jakie to trudne, gdy tak bardzo go potrzebuje i tak bardzo jest jej drogi.

- Żądasz zbyt wiele, Rachel! - krzyknął za nią. - Żądasz zbyt wiele!

Tej nocy dmuchał gorący i słodko pachnący wiatr, niosąc zapach świeżo skoszonego siana i wyprażonej słońcem ziemi.

Mężczyźni na koniach zjawili się na północnym brzegu potoku, tam gdzie byli osłonięci gąszczem wierzb i topoli. Niewielki farmerski dom zbudowany z bali, stodoła o pochyłym dachu, niska owczarnia - wszystko to tchnęło spokojem. Nic się nie poruszało prócz pustego wiadra na mleko, które wiatr przewracał po podwórku.

- Jesteś pewien, że odważysz się to zrobić, mój chłopcze?

- Mniej się martwię o swoją odwagę niż o twój zdrowy rozsądek - odparł Quinten Hunter. - Cała dolina jest jak hubka, a tobie strzeliło do głowy, żeby igrać z ogniem.

Śmiech ojca dotarł do niego z ciemności wraz z oddechem przesyconym zapachem tytoniu.

- Nie zamierzasz chyba zwalić tego na mnie, co?

- Nie.

- Ale w końcu zrobisz, co ci powiem, i tam, gdzie ci powiem, i tak, jak ci powiem. Zrobisz?

- Tak jest. - Quinten odsłonił zęby w uśmiechu, ale ciężko mu w spoconej ręce żelazo do piętnowania. Znak Krąg H w ciemności jarzył się czerwienią jak olbrzymie oko.

Zmusił się do myślenia o stepie, przez który po drodze przejeżdżali, o tym, że miejscami został wypasiony do korzeni i pocięty setkami ostrych kopytek. Pamiętał swój pierwszy przejazd tym krańcem Miawy. Wtedy także był z ojcem, tyle że zbyt mały, by dosiadać konia, jechał na kucyku. Tego lata wysoka trawa sięgała mu do strzemion.

Kiedy myślał o stepie i o tym, jak wyglądał, zanim prostaczkowie sprowadzili owce do doliny, rozpalone żelazo

nie wydawało już mu się takie złe.

- No to do dzieła - powiedział Baron i przejechał z pluskiem przez potok, kierując się w stronę stogów świeżo skoszonego siana.

Quinten spał ostrogami konia, żeby dogonić ojca. Trzej inni kowboje przekroczyli potok za nimi. Trojka ta dołączyła do nich niedługo po tym, gdy odjechali od małego ogniska, które rozpalili, żeby rozżarzyć żelazo do piętnowania. Quinten nie zwracał na nich uwagi. Baron dał jasno do zrozumienia, że dzisiejszej nocy piętno Kręgu H i wszystko, co się z tym wiąże, pozostawia w ręce swojego syna mieszańca.

Jechali przez środek stada owiec, rozganiając beczące zwierzęta na strumienie szarej wełny. Na farmie szczekał pies. Jeden z kowbojów strzelił dwa razy ze swojego sześciostrzałowca i trzasnęły jakieś drzwi.

Quinten mocniej ścisnął konia nogami, zmuszając wałacha, żeby biegł szybciej. Odczuwał strach i podniecenie, dziki krzyk narastał mu w gardle, gorącym i wilgotnym jak jego pulsująca krew. Odrzucił głowę do tyłu i krzyk uleciał w gwiazdziste, smagane wiatrem niebo. To był okrzyk wojenny Czarnych Stóp.

Krzyżując, przyłożył rozpalone żelazo do jednego ze stogów. Tymotkę, świeżą i zieloną, niełatwo było podpalić. Po chwili jednak z końca żegadła buchnęły spirale białego dymu i siano zapłonęło pomarańczowymi i czerwonymi językami płomieni.

Z głębi nocy doleciał huk wystrzału. Kowboj jadący obok Quintena zsunął się z siodła z cichym jękiem.

- Chryste. Ailsa! - krzyknął Baron. Wycelował w wóz pasterski stojący pod stodołą i oddał trzy szybkie strzały. Dwaj towarzyszący im kowboje też zaczęli ostrzeliwać wóz.

Okrzyk ojca tak zaskoczył Quintena, że wypuścił z ręki żegadło. Obracał się w koło, próbując coś zobaczyć przez zasłonę dymu i migotliwego światła. Ten, kogo Quinten wziął za kowboja, siedział już znowu na siodle i ścisnął ręką ramię.

- Ailsa! - krzyknął znów Baron.

- Niestety musisz odłożyć uroczystość, Fergusie - powiedział lodowaty jak śnieżycy głos. - Nie jestem jeszcze martwa.

- O, kobieto, dlaczego ty zawsze mówisz takie rzeczy? Quin, co ty, do diaska, robisz? Pocierasz o siebie dwa patyczki, żeby podłożyć ogień?

Quinten przechylił się przez szyję konia, poszukując żegadła. Z pasterskiego wozu padł znowu strzał i Quinten słyszał, że kula świsnęła tam, gdzie przed chwilą znajdowała się jego głowa. Nigdzie nie widział żelaza, a potem zobaczył żarzący się na czerwono Krąg H w rozsypanej stercie siana.

Wyciągnął po nie rękę w momencie, gdy stóg buchnął płomieniem, sypiąc iskrami, i zamienił ciemności nocy w jasny dzień. Teraz ich sylwetki rysowały się na tle horyzontu niczym drewniane kaczki na strzelnicy.

- Wynośmy się stąd do diabła! - ryknął ojciec, a Quinten już wbił mocno obcasysy wysokich butów w boki swojego konia.

Przejechali, nisko pochyleni nad końmi, z powrotem przez potok i gęstwinę topoli, strzelając na oślep. Kiedy byli pewni, że nikt ich nie ściga, ściągnęli wodze i popatrzyli do tyłu, na owczą farmę. Ludzie z wiadrami biegali tam i z powrotem między płonącym stogiem a potokiem i pompą na podwórku.

Quinten patrzył tylko na żonę swojego ojca. Przez te lata spędzone na ranczu nie widział jej na koniu, a jednak siedziała w siodle tak, jakby się w nim urodziła. Nigdy nie widział Ailsy ubranej inaczej niż w jedwab i taftę, teraz rękaw męskiej koszuli, którą miała na sobie, był czarny i mokry od krwi. Na jej warzy malowało się szalone i desperackie podniecenie.

Nie rozumiał, co ona tu robi, dlaczego ojciec pozwolił, by jechała na tę wyprawę. Ku swojemu zawstydzeniu uświadomił sobie, że gardło blokuje mu łyzy zazdrości.

- Zostawiłem tam nasze żelazo, papo - powiedział, nie spuszczać wzroku z Ailsy.

Baron obrócił konia łbem w stronę domu.

- Tym się nie martw! - rzucił.

Dwaj pozostali kowboje dołączyli do niego, ale Ailsa się ociągała, podobnie Quinten. Zdjęła z głowy męski kapelusz i gęste, ciężkie włosy opadły jej na ramiona. Quinten nigdy przedtem nie widział ich rozpuszczonych; lśniły w tę gwiazdzistą noc.

Podjechał z koniem bliżej i pochylił się ku niej. Miał nieodpartą ochotę jej dotknąć, ale opuściła go odwaga. Cofnął rękę i złapał kulę u własnego siodła.

Z ust wyrwało mu się to słowo, obciążone latami niepewności i lęków, i rozpaczliwych tęsknot.

- Dlaczego?

Ailsa popatrzyła na niego. Oczy jej się zaszklily jakby od warstewki lodu. A potem, choć Quinten nie mógł się zdobyć, by jej dotknąć, ona to zrobiła. Zrobiła to po raz pierwszy, od kiedy pamiętał.

Położyła koniuszki palców na jego ustach.

- Co za biedny głupiec z ciebie, chłopcze - rzekła. - Nie powinieneś zadać sobie tego pytania?

- Diabeł musi być bardzo zadowolony ze swojego dzieła tej nocy.

Rachel odwróciła wzrok od pocerniałego, tlącego się stogu, który Noah ustawił tak wysoko i prosto. Popatrzyła

na niego, swojego sąsiada i przyjaciela. Zobaczył ogień ze swojej farmy i przypędził na pomoc. Teraz długą brodę miał przypaloną, twarz usmoloną sadzami, oczy zaczerwienione i zażawione od dymu.

Podniosła żelazo ze znakiem Kręgu H i trzymała niezdarnie w ręce.

- To nie był diabeł - powiedziała.

Potrząsnął głową i zacisnął z uporem usta.

- To stało się dlatego, że innowierca zabił nadzorcę bydła.

Odwróciła się od niego i cisnęła żelazo w gęstwiny wierzb. Innowierca z jej synem i synem Noaha, Mosesem, moczyli w potoku derki i worki jutowe, po czym kładli je na tłący się kopiec siana, żeby nie dogaszone węgielki nie obudziły się do życia pod wpływem wiatru i nie sypnęły iskrami roznoszącymi ogień.

- Może masz rację - rzekła. Oczy ją paliły, gardło miała tak suche i obolałe, że z trudem przełykała ślinę. - Może gdyby pan Kain ich nie prowokował, podpaliliby zamiast mojego siana twoje stogi.

Wielka chropowata ręka Noaha złapała ją za ramię.

- Rachel, odeślij go. W trosce o swoją nieśmiertelną duszę odeślij go stąd!

- Nie!

Puścił ją, choć nie próbowała się wyrwać. Zmierzył wzrokiem jej twarz, a potem wolno całą postać. Wybiegła z domu, by walczyć z ogniem, na bosaka, w samej koszuli nocnej. Miała na głowie czepek, lecz spod niego wysunęła się większość włosów. Zdawała sobie sprawę, że powinna być zawstydzona, stojąc przed nim z nie osłoniętymi włosami, a czuła jedynie zmęczenie.

Z głębi gardła wyrwał się Noahowi zduszony jęk.

- Mówiłaś, że poślubisz mnie w porze parzenia się owiec. Kim jednak jest kobieta, którą wezmę za żonę?

Kain zostawił chłopców nad potokiem i szedł w stronę Rachel. Noah omiół go spojrzeniem, potem przeniósł wzrok na nią.

- Rachel - powiedział, po czym odwrócił się i odszedł.

Innowierca miał twarz usmoloną od dymu; widziała jedynie białka jego oczu, w których odbijało się wschodzące słońce. On też był boso, bez koszuli i w szerokich fałdzystych portkach prostaczków. Za to broń miał przypasaną u boku.

Kiedy mężczyźni na koniach wychynęli z ciemności nocy, wyjąc głośniejsz od gorącego wichru, ona i Benjo przywarli do ściany, z dala od okien. Słyszała, że Kain strzelał do nich z pasterskiego wozu. Prostaczkowie nie walczyli, nie strzelali do wrogów. Nie mogła jednak przestać myśleć nad tym, czy ludzie Huntera przyłożyliby swoje rozpalone żelazo do wszystkich stogów zamiast tylko do jednego, gdyby nie było tu Johnny'ego Kaina i gdyby nie strzelał ze swojego kolta.

Stratę jednego stogu zdolają przeżyć. Gdyby skończyło im się siano, Noah, jej bracia i inni ze zboru podzielią się z nią własnym sianem. Trudno jest myśleć o zimie, kiedy wciąż wieje silny wiatr i następnego letniego ranka wstaje jasne i palące. Lecz całkiem niedługo znów będzie dać zimny wiatr, a słońce utraci swój żar. Gdyby nie miała całego swojego siana, zima byłaby zła dla niej i dla jej owiec.

Gdyby nie było tu innowiercy i strażów z jego rewolweru.

Kain zatrzymał się przed nią. Nagą pierś miał usmoloną sadzami, pokrytą potem i czerwonymi pęcherzykami od sypiących się iskier i polatujących węgielków.

Zlustrował spojrzeniem jej twarz, tak jak to przedtem zrobił Noah.

- Tym razem pozabijam ich dla ciebie - oświadczył.

Przymknęła oczy, taka była zmęczona. I czuła w żołądku tę straszną palącą pustkę i potrzebę zmuszenia ich do zapłacenia za to, co zrobili. Pomyślała, że wystarczy, jeśli zachowa milczenie i pozwoli Johnny Kainowi, rewolwerowcowi, zrobić to, co chce.

Westchnęła głęboko i boleśnie.

- Obiecałeś mi, że tego nie zrobisz. Tak ustaliliśmy, gdy powiedziałeś, że zostaniesz.

- Powiedziałem ci już przedtem: żądasz zbyt wiele.

Nie mogła spojrzeć mu w oczy. Przycisnęła dłonie do brzucha, ale paląca pustka nie zniknęła.

- To, o czym myślisz, czego pragniesz, unicestwiłoby moją duszę. A mówisz, że żądam zbyt wiele.

XVIII

Johnny Kain stał nonszalancko, z rozstawionymi stopami i rękami zwisającymi luźno po bokach. Opuszczonym rondem kapelusza osłaniał sobie oczy przed blaskiem słońca w południe. Lekki uśmiezek igrał mu na ustach.

Benjo patrzył, jak broń nagle jakby sama skoczyła do ręki Kaina, plunęła ogniem i sześć butelek ustawionych rzędem na górnym drągu płotu południowego pastwiska Yoderów po kolei się rozprysnęło, a błyszczące odłamki szkła poleciały na trawę.

- Nie spudłowałeś ani razu! - wykrzyknął Benjo tak podniecony tym popisem, że zapomniał o jąkaniu.

Innowierca okręcił się, oczy miał błyszczące i dzikie, jak u zwierzęcia. W powietrzu unosiły się smużki dymu z prochu.

Wsunął z powrotem kolta do otwartej kabury.

- Całkiem łatwo jest nie spudłować, gdy butelki do ciebie nie strzelają - powiedział.

Benjo przez moment się wahał, ale potem wolno podszedł do Johnny'ego Kaina. W jednej ręce miał sznurek z pstrągami w czarne cętki, w drugiej hikorowy pręt. Łozinowy koszyk na ryby, przerzucony przez ramię, objął się o biodro. Przepalone słońcem rżysko trzeszczało pod jego butami. Głośne pafnięcia wystrzałów na chwilę uciszyły ziemię, ale teraz robaki zamieszkujące trawę podjęły znów swój śpiew.

Upał był taki, że gęste powietrze migotało i falowało przed oczami Benja: jedno miało tak zapuchnięte, że niemal się nie otwierało. Z rozczochranej grzywki kapał pot, rozcięta, zalewana potem brew paliła. Wargi wydawały się dziwnie grube i mięsiste.

Innowierca wyciągał sześciostrzałowiec z kabury i z głośnym trzaskiem pociągał za cyngiel, żeby kurek uderzył w pustą komorę bębena, raz za razem: wyciągnięcie i trzask, wyciągnięcie i trzask. I to tak szybko, że Benjo nie widział poszczególnych faz, tylko ostateczny rezultat wycelowania lufy w płot, gdzie stały butelki. I za każdym razem rozlegał się złowieszczy trzask kurka uderzającego w stal.

Matka zabroniła synowi przebywania w pobliżu innowiercy, gdy ten ćwiczył się w strzelaniu. Najpierw usiłowała zabronić Kainowi tych praktyk, ale on powiedział „nie”, i to bez żadnych wyjaśnień, tłumaczeń czy usprawiedliwień. Toteż Benjo teraz sobie wymyślał, że surowa mina innowiercy i pouczenie o nie odstrzeliwujących się butelkach to był jedynie sposób, jak zrekompensować mamie to twarde „nie”, jakie od niego usłyszała.

- Z drugiej strony - mówił dalej innowierca, jakby nie było przerwy w rozmowie - wygląda na to, że te pstrągi musiały diabelnie walczyć.

- Ojej! - Benjo szarpnął w górę sznur pstrągów w czarne cętki, jakby zapomniał, że je trzyma. Zaczerwienił się i słowa niczym kamienna tama zablokowały mu gardło. Innowierca nic więcej nie powiedział, tylko na niego patrzył. Zawstydzony chłopiec wbił wzrok w czubki swoich butów.

- Chodź tu! - Ręka Kaina spoczęła na jego głowie, kierując go w stronę potoku.

Benjo usiadł na płaskim kamieniu. Zsunął koszyk z ramienia i umieścił hikorowy pręt w zagięciu gałęzi dzikiej wiśni. Innowierca przykucnął na żwirze brzegu. Zdjął jaskrawoniebieską bandanę, którą ostatnio zawiązywał sobie na szyi przy dekolcie koszuli prostaczków. Zamoczył bandanę w leniwie płynącej wodzie, wyżał ją, złożył na kształt poduszeczki i podał chłopcu.

- Przyłóż to do ust. Krew cieknie ci na koszulę.

Benjo popatrzył w dół i zobaczył, że koszula wygląda tak, jakby pokapał ją wiśniowym dżemem. Wziął mokrą bandanę i przycisnął ostrożnie do obolałych warg.

Kain zawiesił sznur pstrągów na sterczącej z wody skale, tak że zanurzyły się w chłodnym potoku. Benjo czekał, że innowierca zapyta, w jaki sposób jego twarz upodobniła się do siekanego befsztyka, ale on się nie odzywał. Pozostawiał jemu decyzję, czy opowie, co się wydarzyło, czy też nie.

Tu, przy potoku ocienionym gęstym szpalerem strzelistych topoli i sosen żółtych, było chłodniej. Benjo miał jednak wrażenie, że słońce niedawno musiało prażyć na kamień, na którym usiadł, bo palił go przez spodnie. Kręcił się i krzywił z powodu siniaków na siedzeniu od pary szpiczastych wysokich butów.

Zerknął na innowiercę, który przysiadł na kłodzie ogryzionej przez bobry, obejmując łokciami szeroko rozstawione i zgięte kolana. W palcach kręcił łydżkę kroplika.

- M... m... m... - Benjo wziął głęboki oddech. - Mój kapelusz! - wykrztusił.

- Zauważyłem, że zniknął - skonstatował Kain.

Chłopcu ścisnęło się gardło. Łzy frustracji szczypały go w oczy, ale dzielnie je powstrzymywał. Dużo czasu zajęło mu wykrztuszenie z siebie słów, bo wstyd i strach podziały jak ukąszenie węża na jego język, który zrobił się tak obrzmiały i gruby, że zaplątywał się przy każdym słowie.

Bracia McIverowie natknęli się na niego, gdy łowił ryby w Stawie Blackiego. Porwali mu kapelusz i uciekli. Tyle że tym razem go nie zmuszali, by ładnie poprosił o zwrot. Napełnili kapelusz kamieniami i posłali na dno stawu, a potem zbili Benja, tym razem porządnie i bez żadnego powodu, chyba tylko ze zwykłej podłości.

- A teraz - Benjo kończył na wydechu - k... kiedy mama o... odkryje, że straciłem znowu kapelusz, b... b... będzie się strasznie złościć.

- Zawsze możesz jej powiedzieć prawdę, jak go straciłeś.

- A t... ty byś jej powiedział na moim miejscu?

Kain oberwał czerwone płatki z jednego kwiatka, zastanawiając się nad odpowiedzią. Podniósł głowę, mrużąc oczy z powodu blasku słońca, które odbijało się na powierzchni wody.

- Pewno nie.

Benjo westchnął. To nie po męsku jest wykręcać się, tłumaczyć albo wyjaśniać, albo przepraszać - tak go uczył tata. Przypomniał sobie, jak tata zbił na kwaśne jabłko kowboja od Huntera za podstawienie nogi mamie. I co później powiedział, że pewnych zniewag mężczyzna znosić nie powinien.

Szczególnie dużo czasu zabrało Benjowi wypowiedzenie następnych słów, jako że miały dla niego istotne znaczenie.

- N... n... nauczysz m... mnie... jak się b... bić?

Innowierca zacisnął pięść, zgniatając ostatni kwiatek, po czym otworzył dłoń i pozwolił, by pogniecione płatki spadły z niej do potoku.

- Nie sądzę, by na prostej i wąskiej drodze bicie się było dozwolone.

Benjo przełknął z trudem ślinę. To, co Kain mówił o prostej i wąskiej drodze, o nieuleganiu grzechowi przemocy i gniewu, i nienawidzenia nieprzyjaciela, to była prawda. Nadal jednak myślał, że gdyby raz się postawił tym McIverom, gdyby oddał im choć jeden cios, to może daliby mu na zawsze spokój.

Innowierca pokiwał wolno głową, jakby słyszał jego myśli.

- Myślę, że czasem oddawanie pomaga. A kiedy indziej pobiją cię tylko mocniej. - Spojrzał na procę wiszącą przy pasie szerokich portek Benja. - Uważam, że chłopak, który tak umiejętnie posługuje się procą jak ty, nie musi innym chłopcom pozwalać na zbyt wiele.

- Mama... k... kazała mi o... obiecać, że n... nigdy nie użyję jej w złości. Mam jej t... tylko używać przy polowaniu na to, to... j... j... co jemy.

Zaczerwienił się na myśl o kłamstwie, które wypowiadał i którym żył. Wszystkie zające, wiewiórki i gryzonie zabijał dla kojocicy i jej młodych i z całą pewnością nie można by ich zaliczyć do stawy przeznaczonej na stół Yoderów. Lecz kojocica już uciekła. Zniknęła.

- Ale nie kazała ci obiecać, że nie będziesz bić się na pięści?

Dopiero po chwili do Benja dotarł sens tych słów.

- Nie p... pomyślała o tym - wykrztusił wreszcie.

Wstał i wyciągnął rękę tak, jak to kiedyś zrobił innowierca, teraz prawie się nie jąkał.

- Mówiłeś, że jesteśmy p... partnerami, że strzeżemy wzajemnie swoich pleców. Partnerzy też u... uczą jeden drugiego różnych rzeczy, takich jak się bić.

Kain skrzywił usta, a w jego oczach jakby mignął cień bólu. Ujął jednak rękę Benja i potrząsnął nią mocno.

- Ona z pewnością nie będzie mi za to zbyt wdzięczna - powiedział.

Benjo uśmiechnął się i wzruszeniem ramion zbył to zmartwienie.

- Mama n... nas nie zobaczy. Kiedy ć... ćwiczysz z bronią, ona zawsze s... siedzi w domu.

Rachel nie miała pojęcia, co oni wyprawiają. Najpierw myślała, że tańczą, i taka głupota skłoniła ją do uśmiechu.

Póki Benjo nie walnął Kaina pięścią w brzuch.

Ostatnich kilka metrów biegła, potykając się na ostrym ściernisku. Innowierca musiał widzieć, że się zbliża, ale nawet nie mrugnął okiem w jej stronę.

- Zaczynasz cofać pięść w momencie, gdy trafisz, chłopcze - rzekł. - Musisz iść za ciosem. Wyobraź sobie, że mój brzuch to twarz McIvera, i walnij go w piegi od tyłu.

Benjo podniósł pięść do następnego ciosu. Rachel chwyciła go za nadgarstek i okręciła. I zobaczyła twarz syna.

- Co za diabeł ci to zrobił?! - wykrzyknęła. Przez sekundę myślała, że to innowierca, ale potem dotarł do niej sens tego, co widziała i usłyszała.

Trzymała rękę nad podbitym okiem syna, bojąc się go dotknąć.

- Och, moje biedne *Bobbli*. Kto to zrobił?

- N... nikt. U... upadłem.

- Benjo Yoderze, nie kłam! Proszę, nie kłam.

Chłopiec powędrował wzrokiem ku innowiercy, po czym zacisnął szczęki. Cofnął się o krok i Rachel przypuszczała, że za chwilę czmychnie. Chciała go przytrzymać, ale okazał się zbyt szybki i ruszył wzdłuż potoku w kierunku przeciwnym niż dom.

- Pozwól mu teraz sobie pójść - powiedział Kain. - On bardzo się stara dorosnąć i nauczyć się walczyć w swoich bitwach, a ty go zawstydzasz, bo robisz taki szum.

- Nie robię szumu. Mój syn został okropnie pobity, a ty mówisz, że ja... - Przycisnęła pięść do ust. Zamknęła oczy i ujrzała, jak jej syn, jej syn prostaczek wali pięścią w brzuch innowiercy. Odwróciła się w jego stronę; buzował w niej tak wielki i płomienny gniew, że mogła tylko zdusić w sobie słowa, którymi chciała go obrzucić.

Zatknęła kciuki za pas od rewolweru i uniósł biodro. Wykrzywił usta.

- Chcesz więc, żebym poszedł i wyciął ci wierzbową witkę teraz - spytał - czy żebym zaczekał, aż przestaniesz mnie besztać?

- Nie rób sobie z tego żartów. Nie z tego.

- Musisz pozwolić...

- Nie, na to nie pozwolę, panie Kain. Nie pozwolę, żeby pan uczył mojego syna, jak walić innych pięścią po twarzy.

- Ja tylko próbowałem zachować jego nos w normalnym stanie.

- Narażając na niebezpieczeństwo jego duszę.

- Posłuchaj: twój chłopak właśnie toczy małą potyczkę z życiem. On zna już i pojął wasze metody na życie. Poprosił więc, żebym mu pokazał moje metody...

- Metody przemocy!

- Metody, które w i d z i, Rachel. A wystarczy popatrzeć na niego, by wiedzieć, że poznał je na własnej skórze. Metody, których nie może nie widzieć, choćbyście, ty i twoi prostaczkowie, nie wiem jak usiłovali go osłaniać. Może powinniście mu pozwolić, by sam dokonał wyboru, jakim chce być człowiekiem, gdy dorośnie.

Spojrzała na rewolwer, który ciężko wisiał na biodrze innowiercy i przytulał się do uda, jakby tam było jego naturalne miejsce, podobnie jak dłoni przy nadgarstku.

- Tak jak ty dokonałeś wyboru.

Przez chwilę patrzył jej w oczy, po czym wyciągnął lśniący kolt z kabury, odchylił bębenek i zaczął ładować naboje do komory, jeden po drugim.

Odwróciła wzrok od widoku tej ręki ładującej broń i wtedy zauważyła na ziemi pod ogrodzeniem roztrzaskane kawałki zielonego szkła z butelek. Kain uczy jej syna, jak bić się na pięści. Mógł mu też pokazywać, jak się strzela. Jak się strzela i zabija.

Zatrzasnął bębenek.

- A w ogóle to po co tu przyszedłeś? - spytał.

- Po Benja. On został...

Potrząsnął wolno głową.

- Hm, Rachel, nie wiedziałaś, że zbili go inni chłopcy, póki tu nie przyszedłeś. Słuchałaś, jak ćwiczę się w strzelaniu od tygodni chciałaś tu przyjść, i nie chciałaś jednocześnie. - Poruszał lekko palcem, jakby czule głaszcząc kablak spustowy, ale patrzył jej w oczy. - Bo to cię podnieca, prawda?

- Nie! - Wypuściła powietrze, ciężko dysząc.

Wyciągnął rękę, kierując lufę rewolweru lekko w dół.

Nie widziała pogniecionego blaszanego talerza leżącego w trawie, póki nie trafił w niego pierwszą kulka. Talerz podskoczył w górę, dzwoniąc jak gong na obiad, a wtedy uderzyła w niego następna kulka i następna, i następna - dzyń, dzyń, dzyń. Wprawiał ten talerz w płas, a ona nie mogła się domyślić, jak to robi, jak można śledzić wzrokiem tak szybko wirującą blachę i trafiać w nią raz za razem, w sumie pięciokrotnie, zanim talerz ostatecznie upadł z brzękiem na ziemię.

Stał z wyciągniętą ręką, broń była z nią niemal zrośnięta, a oczy z grzesznym zachwytem obserwowały prowadzony ogień. Rachel patrzyła na niego przerażona, ale i zniewolona. Zafascynowana jego dziką pasją.

Zaczerpnęła powietrza i zwilżyła językiem suche wargi.

- Jesteś praworęczny - odezwała się w końcu, zdziwiona, że jej słowa brzmią tak zwyczajnie, jakby mowa była o owcach albo o tym, co zamierza zrobić na obiad. - Tak świetnie dawałeś sobie radę lewą ręką, kiedy byłeś ranny, że myślałam...

- Nauczyłem się dawać sobie radę obiema rękami.

- Zabijać obiema rękami.

- Zwłaszcza to.

Jego uśmiech był zimny, a w oczach błysnęło coś strasznego, jakby otworzyły się na sekundę okiennice i odsłoniły płonąca w nim pasję: ciemną i posepną, i nasyconą najstraszniejszym bólem.

Nachyliła się do przodu i głos jej złagodniał.

- Można się zmienić, Johnny. Dzięki modlitwie, wysiłkowi i z pomocą łaski Pańskiej. Och, nie twierdzą, że to nie będzie trudne...

Chwycił ją za ramię, głęboko wbił w nie palce i brutalnie przyciągnął do siebie. Przystawił do jej twarzy rewolwer trzymany w drugiej ręce i przycisnął lufę do policzka.

- Rachel, kochanie. Kogo ty oszukujesz? - Przycisnął mocniej lufę do miękkiego policzka, tak że musiała wypuczyć wargi. Zwilżył je językiem. - Chcesz mnie zmienić, przekształcić i zrobić ze mnie bogobojnego człowieka... bo tylko wtedy twoje sumienie nie będzie wyć, gdy wreszcie weźmiesz mnie do łóżka.

Pocałował ją w usta, słodko, a jednocześnie brutalnie, i ona mu na to pozwoliła. Potem ją uwolnił i opuściwszy rękę z koltem do pasa, wystrzelił szóstą kulkę, raz jeszcze wprawiając blaszany talerz w płas.

Rachel przytknęła czoło do ciepłego brzucha krowy. Gardło ją bolało i paliło tak bardzo, że każde wypuszczenie powietrza sprawiało ból. Lecz jeszcze boleśniesz było wstrzymanie oddechu.

Zadarła spódnicę, wstawiła między nogi blaszany szkopek i pochyliła się do przodu, balansując na jednoonożnym zydelku używanym podczas dojenia. Owłosione wymię, ciężkie od mleka, kołysało się, gdy je myła. Dojenie należało do obowiązków Benja, ale syn nie przyszedł do domu po tej ucieczce. Kiedy wróci, ona obmyje mu rozcięcia oczarem i posmaruje siniaki surowym ziemniakiem. Nie może jednak liczyć na to, że w zamian syn obdarzy ją większym zaufaniem. Zwierzył się ze swoich kłopotów innowiercy; myślała o tym z przykrością.

Pociągnęła za różowe sutki i mleko zaczęło strzykać do blaszanego szkopka, lekko pobrzękując o ścianki. Kain mówił, że jej syn bardzo się stara dorosnąć i nauczyć, jak się bić w swoich bitwach, a ona go zawstydziła, robiąc tyle szumu. Czy Ben, gdyby zobaczył zakrwawioną i posiniaczoną twarz ich syna, zrobiłby to samo, co innowierca, i uczył Benja, jak ma się bić? Jak się bić w swoich własnych bitwach?

To jednak nie licowało z zasadami prostaczków.

Z zasadami prostaczków nie licowało również całowanie się, tak jak to robiła ona i innowierca. Dwoje ludzi nie będących po ślubie całowało się z otwartymi ustami i z użyciem języka.

Zawsze zdawała sobie sprawę, że Kain jest skażony przez to, co widział, co robił, jak żył i grzeszył. Lecz mogła o tym myśleć, tylko częściowo posługując się głową, nie sercem. Nie mogła rozważać tego w głębi duszy, gdzie to się naprawdę liczyło. Nie mogła już myśleć o nim w kategoriach słuszności i niesłuszności ani też dobra i zła. Podczas długiej upalnej wiosny w pewnym momencie jej dusza uległa rozstrojeniu.

- Rachel!

Podniosła wzrok, obracając się na zydelku. Kain stał w drzwiach obory na lekko rozstawionych stopach, z rękami luźno wiszącymi wzdłuż boków, w taki sposób, jak tuż przed strzelaniem z kolta. Cienie krokwi padały mu na twarz.

- Przepraszam za to, co ci tam zrobiłem.

- Nie waż mi się zakomunikować, że wyjeżdżasz.

- Ranię cię, niech to diabli!

- Nie bluźnij, to niedobrze. I nie raniś mnie. Albo przynajmniej nie bardziej, niż na to zasługuję.

Z gardła wyrwał mu się chrapliwy śmiech.

- W porządku, może nie jestem również zbyt dobry dla siebie. Ale żadna kobieta nie zasługuje na mnie, a zwłaszcza nie taka jak ty.

Krowa wybrała sobie właśnie ten moment, by plasnąć ją w bok głowy zadem upapranym w łajnie, toteż Rachel powróciła do dojenia. „Hm, kobieta taka jak ona - pomyślała - zapewne z rozmazanym teraz na czepcu i policzku cuchnącym zielonym krowim łajnem”. Zachciało jej się śmiać, pewno dlatego, że tak bliska była płaczu.

- Mówisz znowu zupełnie jak Benjo, litujesz się nad sobą, kiedy musisz ponosić odpowiedzialność za swoje grzechy. Tymczasem powinieneś winić sam siebie. I czy zasługuję na ciebie, czy nie, nie ma żadnego związku z tym, czy wyjedziesz, czy zostaniesz. Powiedziałeś, że zostaniesz i będziesz prowadzić moją farmę do okresu parzenia się owiec, trzymam cię więc za słowo.

- Jezu, Boże wszechmogący, ratuj mnie! Rachel, wiesz, czego chcę od ciebie! Nie wiem, jak mam to jaśniej powiedzieć.

Och tak, wiedziała, czego on chce, i sama tego też chciała. Wiedziała jednak także, jak ma prowadzić tę właśnie bitwę.

- Oboje jesteśmy bardzo silnymi ludźmi, którzy potrafią oprzeć się pokusie i zdołają to zrobić. Zbawienie zawsze wymaga cierpienia i wyrzeczenia. Bóg nie oczekuje, żebyśmy Mu pozwalali zrobić wszystko za nas.

Patrzył na nią uważnie jeszcze przez chwilę, po czym się roześmiał, cicho i naturalnie, szczerze rozbawiony.

- Ten twój chłopak - rzekł - chyba zwrócił się do niewłaściwej osoby, żeby go nauczyła, jak walczyć.

* * *

Tego wieczoru Moses Weaver stał na cmentarzu w Miawa City pośród drewnianych tablic i niszczących butów, usiłując zdobyć się na odwagę, by pójść i zdobyć pierwszą kobietę w swoim życiu.

Na razie dotarł dopiero do cmentarza jako miejsca najbliższego „Czerwonego Domu”, do którego w końcu odważył się udać. Wykombinował sobie, że może równie dobrze oswajać się z cmentarzem, bo zapewne bardzo niedługo tam się znajdzie. Ojciec spierze go za to, co zamierzał zrobić. A ponieważ umrze nie zbawiony, pozostanie na wieczne czasy między innowiercami tutaj, w tym zapomnianym przez Boga miejscu.

„A niech tam! - pomyślał - byleby zaznać przez kilka chwil rajy na ziemi między miękкими, białymi udami panny Marilee”.

Zanim jednak tam się dostanie, najpierw musi przejść przez drzwi frontowe. Do miasta dotarł na starym krzywonogim roboczym mule, ale na nim nie chciał zajechać pod „Czerwony Dom” i wyjść na gorszego ciołka, niż to było niezbędne. Zatrzymał się zatem przy cmentarzu. Obwiązał lejce wokół pnia trzęsącej się osiki, jako że do domu grzechu zamierzał udać się na piechotę. Ziemia zachowała jeszcze znaczną część panującego za dnia upału i teraz oddawała go nocy. Pod eleganckim, zamówionym przez pocztę ubraniem ściekały po jego ciele strumienie potu.

Wypocił cały ocean do chwili, gdy wszedł po schodkach na dużą werandę „Czerwonego Domu”. Paliła się tam słynna latarnia z lokomotywy, rzucając czerwony blask na wypaczone deski podłogi. Huśtała się na wietrze i czerwone światło migotało w okienku w kształcie półksiężyca nad drzwiami, przywodząc na myśl płomienie piekielne.

Zastukał nieśmiało do drzwi i zdziwił się, gdy niemal natychmiast się otworzyły. Ujrzał w nich męczyznę skurzonego jak łuska nasionka, o oczach przypominających szparki. Nigdy przedtem nie widział Azjaty, choć słyszał, że jeden pracuje w „Czerwonym Domu”. Ciekawy był, czy to prawda, że Azjaci mają żółtą skórę, jak mówiono, lecz przy czerwonym świetle Kucanym przez latarnię lokomotywy nie mógł tego stwierdzić.

Zdał sobie sprawę, że się gapi na tego człowieka, i poczerwieniał, odwracając wzrok. Zerwał kapelusz z głowy.

- Przyszedłem zobaczyć się z panną Marilee.

Męczyzna głowę miał z przodu łysą, ale gdy się pochylił w ukłonie, okazało się, że z tyłu wisi mu długi czarny warkocz. Powiedział coś skrzeczącym głosem, czego Mose nie zrozumiał. Miał nadzieję, że po chińsku to znaczy:

„proszę wejść”, bo to właśnie uczynił.

Stojąc na zniszczonym chodniku w sieni, czuł się niezgrabny i niezdamny. Azjata machnął ręką w stronę zasłony z niebieskich szklanych koralików i znów coś po chińsku zaskrzeczał. W rękach tego małego człowieczka, przypominających szpony, pojawił się nagle sznurek mosiężnych dzwoneczków. Energicznie nimi potrząsnął, po czym szurając jedwabnymi pantoflami, zniknął w ciemnościach.

Mose przeszedł przez zasłonę z koralików, które stuknęły i klekotały, i znalazł się w pokoju zapchanym od podłogi po wachlarzykowane okienko nad drzwiami najróżniejszymi przedmiotami: gipsowymi popiersiami, szklanymi wazonami, mosiężnymi spluwaczkami, lakierowanymi szkatułkami i jeszcze innymi rzeczami, których nie potrafiłyby nazwać. Nawet meble były czymś ozdobione - krzesła i sofy narzutami, arabskimi szalami udrapowanymi na każdej wyobrażalnej płaskiej powierzchni.

Wędrował wzrokiem od katarynki z żółtymi gwiazdami i wymalowanym księżycem do porcelanowego mopsa na palenisku kominka, potem do pary świeczników w kształcie smoka i zatrzymał się na olbrzymim obrazie w złoczonej ramie; zajmował całą ścianę i przedstawiał mężczyznę najwyraźniej uprowadzonego przez trzy nagie nimfy. Mose patrzył na obraz z rozdziawionymi ustami. Przypuszczał, że o to właśnie chodziło w tym zdaniu w Biblii: „Wnet poszedł za nią jako wół, gdy go na rzeź wiodą”.

Pod obrazem niewielki napis czarnymi literami głosił:

ZADOWOLENIE GWARANTOWANE ALBO DRUGI ŻETON BEZPŁATNIE.

Najpierw myślał, że pokój jest pusty, nie zauważył bowiem nikogo. Potem jednak coś się poruszyło koło niklowanego piecyka. Okazało się, że to hodowca bydła - sądząc z wysokich butów ze szpiczastymi czubkami i zakurzonego stetsona - siedzący sztywno na krześle z oparciem z poziomych tralek. W taką gorącą noc w piecyku nie napalono, ale Mose pomyślał, że w zimie pewno przyciągał tłum ludzi.

Usiadł na fioletowej pluszowej sofie i natychmiast zrozumiał, dlaczego hodowca bydła wybrał krzesło. Puchowe poduszki sofy zamknęły się nad nim, grożąc uduszeniem. Położył kapelusz na kolanie i próbował opanować zdenerwowanie.

Kiedy głęboko wciągnął powietrze, prawie go zemdlilo, bo tak cuchnęła stojąca w pobliżu porcelanowa spluwaczka. Odsunął się na drugi koniec sofy; poduszki sięgały mu do pach.

Hodowca bydła nie sprawiał wrażenia spokojniejszego od niego. Nieustannie szarpał pomięty i pożółkły celuloidowy kołnierzyk i wyciągał szyję. Chyba pozacinał się podczas golenia, bo na podbródku miał znak przypominający rozgniecioną truskawkę. Kowboj wyjął z kieszeni zwitek tytoniu do żucia i odgryzł kawałek. Powędrował wzrokiem na sufit, gdzie w nieruchomym gorącym powietrzu wolno obracał się wentylator.

Z głośnym stukotem koralików rozwarła się zasłona i do pokoju weszła kobieta. Mose czuł, że rozdziawia usta.

Była to najgrubsza niewiasta, jaką kiedykolwiek widział, ciastowata i biała jak klucha. Stopięćdziesięciokilowa klucha. A ponadto najbardziej odślonięta niewiasta, jaką widział, bo na sobie miała tylko gorset i majtki. Ruszyła prosto do niego, a jemu serce spadło do żołądka.

- No co, przystojniaku? - zagruchała. Pochyliła się nad nim tak nisko, że jego nos niemal zniknął w rozpadlinie między dwiema wielkimi jak góry piersiami. - Czekasz na mnie, koteczku?

- Przyszedłem w odwiedziny do panny Marilee - powiedział i mógłby przysiąc, że słowa powróciły do niego, odbiwszy się od doliny między dwoma wzniesieniami. Judaszu z Iskariotu! Widział sutki duże jak włoskie orzechy.

Zrobiła krok do tyłu, aż zatrzęsała się podłoga, i oparła rękę pełną dołek na rozłożystym biodrze.

- Marilee, Marilee. Wszyscy zawsze proszą o Marilee. A co ona ma takiego, czego ja nie mam?

- Rzecz w tym, czego ona ma mniej, stara krowo!

Kobieta, która pojawiła się w pokoju po tej uwadze, była chuda - tak chuda, że musiałaby przejść dwa razy, żeby powstał cień. Ta przynajmniej miała na sobie ubranie, choć też nic nadzwyczajnego: zwykłą czarną spódnicę i zapięty pod szyją stanik z długimi rękawami i mankietami. Strój nie różnił się od tego, jaki nosiły kobiety prostaczków. Podeszła do katarynki i zaczęła kręcić korbką. Zagrzmiała muzyka tak głośna, że Mose'owi ścinał pękały bębenki.

Prawie naga tłusta kobieta zbliżyła się do kowboja. Zamienili parę słów i razem opuścili salon. Kowboj wciąż usiłował uwolnić szyję od ciasnego kołnierzyka. Wychudzona niewiasta w dalszym ciągu kręciła korbką katarynki.

Mose wędrował wzrokiem po pokoju. Przy drugim spojrzeniu dostrzegł pod wszystkimi ozdóbkami i fintifluskami jakieś skazy. Na tapecie w stulistne róże widniały plamy i ślady od wilgoci, turecki dywan był nadjedzony przez mole i wypłowiwały, gips się kruszył. Całe to miejsce pachniało czymś więcej niż tylko przeżutym tytoniem i gnijącym drewnem. „To chyba odór grzechu” - pomyślał.

Usłyszał pukanie do drzwi, odgłos kroków i ostry jak oślepka okrzyk powitania. Zadzźwięczały mosiężne dzwonki Azjaty, chuda kobieta przestała kręcić korbką katarynki. Stuknęły o siebie koraliki zasłony i serce, które leżało ciężko, choć spokojnie w żołądku Mosesa, podskoczyło mu do gardła, tak że o mało się nie udławił.

Do pokoju wkroczył Fergus Hunter.

Hodowca bydła prześliznął się spojrzeniem obok Mosesa i natychmiast odwrócił wzrok. Wymienił pozdrowienia z chudą kobietą, która zostawiła katarynkę, żeby mu nalać whisky z karafki stojącej na zmatowiałej srebrnej tacy

na stoliku przykrytym udrapowanym szalem.

Baron wypił whisky jednym haustem. Z kieszonki w kamizelce wyjął cygaro, potarł zapałkę o srebrną tacę, zapalił cygaro, a zużytą zapałkę rzucił na zaśmiecone palenisko. Wciągnął dym głęboko w płuca, aż zapadły mu się policzki.

Twarz Fergususa Huntera, zawsze koścista, teraz wyglądała tak, jakby gorące słońce, które wypalało całą krainę, wytopiło z niej resztki ciała. Za to Baron ubrany był elegancko: miał ciemny garnitur, białą brokatową kamizelkę i szary jedwabny krawat z perłową szpilką. Gazowe światło połyskiwało na grubym złotym łańcuszku od zegarka, na którym wisiało wiele pieczęci i kryształowy breloczek.

Koraliki znowu zastukały i do salonu wszedł młodzieniec. Mose poznał w nim syna Barona, co prawda z nieprawego łoża, - bo urodzonego przez jego squaw z plemienia Czarnych Stóp.

- Dobry wieczór, młodszy panie Hunterze - powiedziała z fałszywym uśmiechem chuda kobieta. Zęby miała jak wiewiórka.

- Postanowiłem pozwolić dziś wieczór synowi pobrykać - zahuczał ochryplym głosem hodowca bydła. - Wy, młode jurne kozły, robicie się kłótlivi, jeśli nie pozwoli się wam na cotygodniową hulankę. Nie mam racji, Quin?

Młodzieńcowi pod wystającymi kośćmi policzkowymi wystąpiły dwie czerwone plamy wielkości dolarówki. Sprawiał wrażenie zakłopotanego słowami ojca i Mose mu współczuł. Jego własny ojciec też codziennie znajdował nowe sposoby, żeby go zawstydzić.

Spostrzegł, że Baron zwrócił teraz uwagę na niego i lustrował go od stóp do głów zimnym wzrokiem. Przelknął ślinę i głębiej zapadł się w miękkich fioletowych poduszkach. Przeniósł wzrok na gipsowego kupidyna o czerwonych wargach, który stał na kamiennym postumencie przy oknie.

- No, no, nie myślałem, że wy, pobożni prostaczkowie, podlegacie kiedykolwiek gorączce ugania się za spódniczkami - powiedział Baron, potrząsając głową z udawanym zdziwieniem. Zaśmiał się krótko i nieprzyjemnie. A potem, gdy zastukały znów koraliki przy rozwieraniu zasłony, na jego szerokich ustach zawitał prawdziwy uśmiech.

- Oto najlepsza mała ładaczka w całej Miawie.

Mose ściągnął kapelusz z kolana i wymachując rękami, wy dostał się z sofy, po czym stanął na nogi. Marilee wkroczyła do salonu w obłoku woni wody toaletowej o zapachu kapryfolium, obleczona w powłóczysty jedwabny szlafroczek w kolorze czerwonym jak ogień piekielny. Szlafroczek od pasa w dół był odpięty i ukazywał majtki z plisowanymi nogawkami, czarne pończochy i różowe podwiązki oraz gorset ozdobiony czarną koronką. Za Marilee szła inna dziewczyna, dziewczyna o najbardziej marchewkowych włosach, jakie Mose widział w życiu.

Baron wetknął do ust cygaro i złożył ręce.

- Chodź tu, Marilee, moja dziewczynko. Przejdźmy się razem, ty i ja, na piętro. - Z uśmiechem i cygarem w zębach usiłował objąć ją w pasie.

Wymknęła mu się, choć po drodze poklepała go po policzku.

- Możesz poczekać na swoją kolejkę, Fergusie Hunterze. - Posłała promienny jak słońce uśmiech w stronę Mosesa. - Widzę, że mam dziś wieczór specjalnego gościa.

Baron zmienił się na twarzy, ale uśmiechał się całkiem przyjaźnie.

- Pewnie, Marilee. Idź i zajmij się najpierw tym pastuchem baranów. Zaczekam tu, aż będziesz wolna. - Szarpnęła za łańcuszek i wyciągnęła z kieszonki kamizelki złoty zegarek z zatrzaskiwaną kopertą. - Wątpię, żeby trwało to dłużej niż dziesięciosekundowy dreszczyk na plecach.

- Na mnie wypada więc ten. - Dziewczyna o marchewkowych włosach podeszła do syna Huntera. Potarła prawie nagim biustem o jego ramię i zamrugła do niego rzęsami, które wyglądały tak, jakby posmarowała je mokrymi sadzami. - Słyszałam, że jego mamusia nosiła mokasyny. - Zrobiła przesadny grymas ustami pomalowanymi cynobrową szminką. - Ouuu, może zostaniemy oskalpowani w naszych łóżkach!

Chuda kobieta parsknęła śmiechem.

- Przynajmniej w twoim przypadku, Jewel, będzie mógł odróżnić głowę od pipy, bo jedna jest marchewkowa, a druga nie.

Wszyscy się roześmiali, prócz syna Huntera. Na jego jastrzębiej twarzy znów wystąpiły plamy, a usta zacisnęły się w kącikach.

Marilee ramieniem objęła Mosesa i pociągnęła do sieni, a potem w stronę schodów z balustradą z tralek. Zasłona zamknęła się za nimi ze stukotem koralików.

- Nie zwracaj na nich w ogóle uwagi - powiedziała Marilee. Mose zapomniał już, że jej górna warga zaczepia o krzywy ząb, gdy się uśmiecha. Lubił ten uśmiech, choć budził w nim uczucia zdecydowanie grzeszne.

Chuda kobieta wychylnęła zza zasłony, spojrzała ostro na Marilee, po czym zniknęła w głębi sieni w tylnej części domu.

- Czy nikt jej nie karmi? - spytał Mose, ale cicho, bo nie chciał, żeby biedaczka usłyszała i poczuła się dotknięta. Zapewne nie odwiedzało jej zbyt wielu dżentelmenów, inaczej niż Marilee.

Marilee już się nie uśmiechała, a między jej jasnymi brwiami pojawiła się bruzda.

- Karmić kogo? Och, myślisz o Balonach. - Schwyciła go mocniej za rękaw i poprowadziła do schodów. -

Kochany, ona może opychać się ciastkami z kremem czekoladowym i popijać szampana co wieczór, jeśli ma ochotę. To jest mama.

Obrócił głowę, żeby raz jeszcze popatrzeć na chudą kobietę i omal się nie przewrócił, zaczepiając o stojak na parasole. To straszdyło miało być mamą tej pięknej dziewczyny?

- Dlaczego nazywasz ją Balonami?

- Bo ma takie cycki, że nawet para napastrków jest dla nich za duża.

Mose próbował rozwikłać tę zagadkę, ale na próżno.

Szedł za Marilee po schodach. Na końcowym słupku balustrady stał cherubin ze świecą wetkniętą w tyłek. Z sufitu na długim mosiężnym łańcuchu zwisała lampa naftowa, która skrzypiała i kołysała się, choć powietrze było gorące i nieruchome. Co prawda ktoś wyżej walił w ścianę, chrząkając i stękając z wysiłku.

Marilee wchodziła wolno, kołysząc biodrami. Mose czuł, że serce mu podskakuje, a żołądek się trzęsie. Pod zapinanym na guziki rozparkiem modnych spodni w kratkę był twardy jak żelazo i sztywny jak pług.

Przestraszyła go, gdy odwróciła się nagle i strzeliła mu palcami pod nosem.

- Do pioruna, gdzie ja mam głowę dziś wieczorem? Prawie zapomniałam wziąć od ciebie zeton.

- Co?

Obróciła oczy w stronę sufitu z blaszanych dekorowanych płytek.

- Mówiłam ci, żebyś nie przychodził do mnie bez trzech dolarów.

Pomacał kieszonkę kamizelki, szukając monet.

- Przyniosłem pieniądze. Tylko nie wiedziałem, kiedy będzie odpowiedni moment, żeby ci je dać...

Rozejrzała się ukradkiem dokoła i ściszyła głos do szeptu.

- Możesz mi je dać teraz. - Zacisnęła w dłoni dolary i posłała mu swój promienny krzywozębny uśmiech. - Zrobię ci taką przyjemność, panie Mose Weaverze, że zobaczysz. Przekonasz się, czy nie skłonię cię do śpiewania alleluja, zanim skończę.

W tym momencie walenie, chrząkanie i stękanie ustało. Zapanowała kompletna cisza, a po niej rozległo się rozgłośnie trąbienie jakby łośia na rykowisku. Mose o mało nie wyskoczył ze skóry, ale Marilee szła w dalszym ciągu po schodach, jakby nic się nie działo.

Zatrzymała się przed na wpół otwartymi drzwiami i zwróciła się w stronę Mosesa. Potarła dłonią satynowe klapy jego surduta. Nachyliła się ku niemu, wzięła jego rękę, włożyła ją sobie między nogi i ścisnęła tak mocno, że przez cienki jedwab szlafrocza wyczuwał kręcone wioski krocza.

- Wykąpałeś się porządnie, Moses? Bo wiesz, że nie znoszę zapachu owiec.

Panie Jezu, Boże na niebie! Co za grzeszny dotyk! Jaki wspaniały! Próbował jej powiedzieć, że wyszorował się odpowiednio, zanim tu przyszedł, że nawet umył to, co pod kalesonami. Miał jednak wiele trudności z samym oddychaniem. Marilee poruszała się pod jego ręką. W piersiach paliło go jak przy zgodzie czy bekaniu.

Zacisnęła palce na surducie i wciągnęła go do pokoju. Urządzony był skromnie, inaczej niż salon na dole. Stała tu niewielka komódka z dwiema szufladami, na niej niebieski emaliowany dzbanek i miednica oraz nocny stolik z lampą naftową z mlecznego szkła. Łóżko było żelazne i miejscami zardzewiałe. Piernat wyglądał zbyt gruzłowato, by mógł być napełniony pierzem. Pewno wypchano go turówką wonną, jak siennik jego łóżka w domu.

Wzięła z jego rąk kapelusz i położyła na stoliku obok lampy. Nakręciła zegar służący do określania czasu gotowania jajek. Obok niego stała miska z masłem, które topiło się w ciepłe. Mose się domyślał, że zegar i masło mają jakiś związek z tym, co się ma za chwilę wydarzyć, nie mógł sobie jednak wyobrazić, jaki. Wędrował wzrokiem po różach i wstążkach wijących się na tapetach. Mrugał oczami, czując zawrót głowy. W pokoju pachniała sucha wonna trawa paląca się na blaszanym talerzyku, ale unosił się tu też inny zapach - wilgotny i pizmowy. Taki, jakim pachnie pościel po nocy grzesznych snów.

Uświadomił sobie, że Marilee przygląda mu się z uśmiechem.

- Co?

- Czy wiesz, że kiedy jesteś podniecony, twoje ładne brązowe oczy zaczynają błyszczeć i aż iskrzą się jak prześwietlona słońcem whisky?

Mose nie wiedział, że jego oczy iskrzą się jak whisky, ale sprawiło mu przyjemność to, że Marilee uważa je za ładne. Rozpierała go duma.

Sięgnął po dziewczynę i jedwabny czerwony szlafroczek zaszeleścił pod jego dłońmi. Marilee jeździła rękami po jego piersiach, jakby chciała dotykiem zbadać ich kształt.

- Jesteś mocno zbudowany, Mosesie Weaverze. Lubię to u mężczyzny.

Przygarnął ją do siebie, ale delikatnie, jakby chciał objąć obłoczek. Przestraszył się nagle swojej siły, przestraszył się, że mógłby jej zrobić krzywdę. Pochylił głowę i muskał wargami usta Marilee.

Odkręciła głowę na bok.

- Nie, tego nie rób. Ja się nie całuję.

Z trudem ukrył rozczarowanie. Tak bardzo pragnął potrząść językiem o ten krzywy ząbek. Jednakże zrozumiał.

- Całowanie jest na pewno strasznym grzechem - powiedział.

Zachichotała i szturchnęła go lekko w pierś.

- Panie, ależ macie poglądy!

Potem przesunęła ręce niżej, do talii, rozpięła guziki i penis znalazł się w jej dłoni. Z ust Mosesa wyrwało się spazmatyczne westchnienie.

- Ho, ho - zanuciła. - Tylko popatrz!

Mose popatrzył. Miał uczucie, że to chyba nie jest część jego ciała. I z pewnością na to nie wyglądało. Zdawał sobie sprawę, że powinien czuć wstyd z powodu chuci, która była w nim bólem i ogniem. Lecz naprawdę miał ochotę zapaść głośniejsz niż dwugłowy kogut.

Objęła go palcami.

- Judaszu! - syknął przez zaciśnięte zęby. Zatrząsł się znowu spazmatycznie. - Ja nigdy... Och, Judaszu, Judaszu...

- Wiem, kochanie. - Przycisnęła twarz do nasady jego szyi, Jej gorący oddech go owiewał, a ręką ścisnęła i gładziła mu ptaszka. - I będzie naprawdę dobrze - zapowiedziała. - Tak dobrze. Zaczekaj tylko.

Upadła na wznak na łóżko, pociągając go za sobą. Piernat pod nimi szeleścił jak trawa poruszana letnim wiatrem. Ocierał twarz o jej włosy, zanurzając nos w słodką woń kapryfolium. Rakami złapała go za czuprynę i uniosła głowę.

- Hej, ostrożnie teraz. Całą mnie potargasz!

Próbował znowu ją pocałować, ale przypomniał sobie, że uważała to za grzech. Dotknął więc jej piersi, wsuwając palce pod sztywny materiał gorsetu. Jęczała i wiła się pod nim. Śmieszny dźwięk wydobył mu się z gardła. Położył się na niej, suwał penis między jej nogi, a palcami szukał szpary w szlafrocuku, rozpaczliwie pragnąc wepchnąć się w ciało dziewczyny. Mówiła coś jeszcze, coś o zwolnieniu tempa, ale on słyszał tylko własny przyspieszony oddech i pulsowanie krwi w uszach.

W ciągu najbliższych sekund odkrył dwie rzeczy: po co było to masło i jakie jest wnętrze kobiety - całe gorące i mokre, i zaborcze, i najbliższe nieba na ziemi.

Upadł na nią zlany potem i śliski pod ubraniem, z obolałymi mięśniami.

Odpychała się rękami od jego piersi.

- To było cudowne, kochanie. Ale jesteś wielkim, ciężkim chłopcem i przygniatasz mnie.

Stoczył się z niej, położył na wznak. Ciężko dyszał. Zacerpnął powietrza, zamrugał oczami zalewanymi potem i raz jeszcze wciągnął powietrze. Po dłuższej chwili w polu widzenia pojawił mu się sufit.

- To są dziury od kul - rzekł.

Odsunęła się od niego i usiadła.

- Co? - Odchyliła głowę do tyłu, żeby zobaczyć, na co on patrzy. - Och, jakiemuś głupkowi pewnej nocy się zdawało, że słyszy muchę, próbował więc ją zabić.

Moses poczuł, że narastał w nim śmiech. Otworzył usta i pozwolił mu się wyrwać ku podziurawionemu kulami sufitowi. Usłyszał, że Marilee parsknęła, i to go jeszcze bardziej rozśmieszyło.

Kiedy śmiech zamienił się w chichot, a chichot w ciszę, odwrócił się, żeby na nią popatrzeć. Sprawiała wrażenie zdziwionej, jakby złapała się właśnie na robieniu czegoś, czego zazwyczaj nie robiła.

Słodki uśmiech opromienił jej twarz.

- Jesteś naprawdę miły, Moses. - Pochyliła się i pogłaskała go w policzek, po czym potrząsnęła głową. - Biedne niewinne dziecię zagubione w lesie, tak że nawet drzewa nie wiedzą, co z nim zrobić. Ale miłe.

Wstała i poszła z niebieskim emaliowanym dzbankiem do sieni, gdzie na trójnogu stało blaszane naczynie z gorącą wodą. Przyniosła pełen dzbanek do pokoju i odwróciwszy się tyłem, zaczęła się podmywać.

Mose leżał na łóżku i obserwował Marilee, i czuł znowu poruszenie w tej części ciała, o której nie powinien był nawet myśleć, a która ostatnio tak go absorbowwała na jawie i w większości snów. Oddał swoją duszę ciemnej żądzy, to pewne. Spał z kobietą, która nie była jego żoną. Grzech i perspektywa ogni piekielnych jako pewnej zapłaty zań już go przejmowały grozą, lecz wiedział, że znów ten grzech popełni.

- Skończył się już prawie twój czas - powiedziała Marilee przez ramię - a na dole czeka na mnie pan Hunter.

Mose usiadł. Wsadził w spodnie i kalesony oklapnięty członek, niezdarnie gmerając palcami przy guzikach, do których nie był przyzwyczajony.

- Dlaczego nie mógłbyś pójść z inną dziewczyną?

- Dlatego, że to o mnie zawsze prosi.

Z sieni dobiegł metalowy brzęk - ktoś kładł pokrywę na naczynie z wodą.

Przełknął grude wielkości dzikiego jabłka, blokując mu gardło.

- Nie chcę, żebyś z nim była.

Obróciła się i pochyliła, by szturchnąć go palcem pod nos.

- No to teraz posłuchaj mnie, chłopcze. Nie chodź z głową odwróconą do tyłu. Jestem dziewczyną pracującą, rozumiesz? Rozkładam nogi przed każdym, kto zapłaci za wstęp.

Mose wstał ze wzrokiem wbitym w szpiczaste czubki swoich modnych wysokich butów. Przyszło mu nagle na myśl, że zali pomniał je zdjąć. Niczego nie zdjął z siebie prócz kapelusza.

- Czy będzie... - Odchrząknął znów. - Uważałbym za zaszczyt, panno Marilee, gdyby wybrała się pani kiedyś ze mną na piknik.

Klepnęła się po biodrach i głośno westchnęła.

- O Boże! Teraz on chce wybrać się na przekłety piknik...

- Jutro?

Westchnęła ponownie.

- O Boże! Doprawdy jestem zdziwiona, co mnie spotyka. Chyba to dziecko tak rozmiękczyło mi mózg. - Wessała dolną wargę, a Mose pomyślał, że, grzech czy nie grzech, niebawem będzie ją musiał pocałować.

- Jutro nie - powiedziała i przez chwilę Mose, który wciąż wpatrywał się w jej usta, myślał, że ona mówi o pocałunku. - Ale naprawdę niedługo wybierzemy się na piknik.

Popchnęła go w stronę drzwi.

Teraz musisz iść, bo jak ci powtarzam, jestem dziewczyną pracującą.

XIX

Opuszkami palców jeździła po nagiej skórze jego przedramienia poniżej podwiniętego rękawa.

- Złotousty to ty specjalnie nie jesteś, prawda?

Mose patrzył na nią z zachwytem, bo wyglądała jak obrazek. Ubrana była w coś powiewnego w kolorze ciemnofioletowym. Promienie słońca przenikały przez słomiany kapelusik o płaskim rondku, pokrywając uszy i brodę piegami. Loki opadające na jej obnażone ramiona były dokładnie koloru żółtej jarej pszenicy.

- Nie wiem - powiedział. - Co to znaczy złotousty?

Uśmiechnęła się do niego.

- To ktoś, kto wciąż miele językiem.

Mógł był wyjaśnić, że prostaczkowie własne myśli i uczucia zachowują dla siebie. Między przyjaciółmi słowa są darem, którymi się dzielą i które hołubią, a nie marnują rozrzutnie lub rzucają w pośpiechu i gniewie. Lecz ona by tego nie zrozumiała. Żyli w całkiem odmiennych światach.

Marilee machnęła wachlarzem w powietrzu tak energicznie, że aż brzeg jej kapelusika trochę się uniośł.

- Ojej, ale upał! Ciekawam, czy popada jeszcze kiedyś deszcz.

Mose zmrzył oczy, osłaniając je przed palącym słońcem, i patrzył na prerię rozciągającą się na wiele mil. Upalne, suche dni, które następowały po sobie bez chwili wytchnienia, wypaliły trawę na złotobrazowy kolor, choć był dopiero czerwiec. Niebo miało kolor szarozółty jak stary siniak.

Najpierw myślał, że urządzą sobie piknik nad Stawem Blackiego, tam gdzie się poznali. Jednakże karłowate wierzby i dzikie śliwy nie dawały tam wystarczająco dużo cienia, przenieśli się więc wyżej na wzgórze między topole i jawory. Chociaż liście na gałęziach nad ich głowami wyglądały zielono, szeleściły niczym kawałki suchego papieru na wiecznie dmuchającym montañskim wietrze.

Usiedli w najgłębszym cieniu, jaki znaleźli, na jednej z kap jego ciotki Fannie, którą rozpostarł na ziemi oczyszczonej z gałązek i kamieni. Kiedy Marilee obiecywała wybrać się z nim na piknik, nie wiedział, czy ma jej wierzyć. A jednak tu była, cała zachwycona i rozpromieniona jak dziecko.

Kiedy wcześniej zajechał pod „Czerwony Dom” eleganckim czarnym powozikiem wypożyczonym na kredyt ze stajni Trueblue’a, wyszła na dwór tanecznym krokiem, wyglądając świeżo i obiecująco niczym poranek. W ręce niosła koszyk przykryty kawałkiem płótna.

- Nie byłam jeszcze nigdy na pikniku z mężczyzną, który by nie zapomniał zabrać ze sobą wiktuałów. Postanowiłam więc zaopatrzyć się w nie sama - powiedziała.

Roześmiała się i ten wesoły śmiech wprawił jego żołądek w drzenie, a w piersiach zrobiło mu się ciepło i jakoś miło. Pomyślał, że na pewno ją kocha. Przez całą drogę, jadąc tu czarnym powozikiem, promieniał jak księżyc w pełni.

Marilee uniosła płócienko przykrywające koszyk i uśmiechnęła się do niego słodko.

- Obawiam się, że to tylko takie zwykłe jedzenie. Chlebek kukurydziany, kurczak smażony i zapiekanka ze słodkich ziemniaków.

Przysunął się bliżej, udając, że podziwia te smakołyki, a naprawdę podziwiał falujący biust.

- Sama to wszystko przygotowałaś?

Oczy lekko jej się zaokrągliły ze zdumienia, po czym rzuciła mu pełne skromności spojrzenie.

- Chciałam, żeby ten dzień był czymś nadzwyczajnym.

Obserwował, jak Marilee rozkłada wiktuały na kapie, a ona ukradkiem zerkała na niego spod rondka kapelusza. Jedzenie pachniało wspaniale. Ona też.

Zaczerpnął potężny haust powietrza i wydmuchnął je z płuc.

- Podobało mi się to, co robiliśmy tamtego wieczoru, Marilee. Bardzo mi się podobało, i chcę wkrótce złożyć ci znowu wizytę. Kiedy tylko uda mi się wskrobać następne trzy dolary.

Poklepała go po ramieniu niewielką białą dłońią.

- Mnie się to też podobało, Mose. Sprawiasz, że dziewczyna czuje się nadzwyczajnie.

Mose odetchnął znowu i jego pierś wzbierała dumą. Właściwie to wiedział, że ona na pewno mówi takie rzeczy wszystkim zwiedzającym ją dżentelmenom, żeby zachęcić ich do następnych odwiedzin i przyniesienia kolejnych

trzech dolarów, a jednak słowa te sprawiły mu przyjemność.

Podawała mu udko kurczęcia zawinięte w białą płócienną serwetkę. Miał je właśnie od niej wziąć, gdy usłyszał tętent. Ukłąkł, osłonił oczy przed blaskiem słońca i zobaczył trzech mężczyzn, którzy jechali w ich stronę na komach ze znakiem Kręgu H. Ludzie Huntera.

- Uciekaj - powiedziała.

Obrócił ku niej głowę.

- Nie zostawię cię...

Pchnęła go w plecy.

- Daj spokój, głupcze. Rusz się!

Wstał. Nie po to, by uciec, ale dlatego, że chciał spotkać na stojąco to, co miało nadejść. Strach ścisnął mu żołądek, a do gardła podchodziły mdłości. Zwalczył je. Nie mógł przecież wymiotować w jej obecności i tak się zhańbić.

Mężczyzna jadący na przedzie, nie znany mu, zaczął rozwijać arkan z niegarbowanej skóry. Strach drażniący żołądek Mosesa wybuchł z taką siłą, że ugięły się pod nim kolana. Oni zamierzają zrobić z nim to, co zrobili z Benem Yoderem. Powieszą go na gałęzi jednej z tych topoli.

Rzucił się do ucieczki przez prerię. Za sobą słyszał uderzenia kopyt w ziemię wyprażoną przez słońce. Biegł szybko, ciężko dysząc i zachłystując się powietrzem.

Obejrzał się przez ramię. Pomocnik Huntera doganiał go, wywijając pętlą arkanu nad głowę. Mose wyciągał nogi, napinając wszystkie mięśnie i ścięgna w rozpaczliwym skoku do przodu.

Arkan wirował, po czym śmignął i opadł na niego, pętając jak cielaka przed wypalaniem pięt.

Potem rzemienie ściągnięto, zwalając go z nóg. Gruchnął ciężko na ziemię, stękając, gdy powietrze uchodziło z płuc. Dzwoniło mu w uszach, ale usłyszał śmiech. Arkan znów go szarpnął i nagle poczuł, że sunie ciągnięty po ziemi przez skały, zarośla i patyki, które rozdzierają ubranie i ciało. Ciągnięto go brutalnie z powrotem w stronę topoli, Marilee i ruin ich pikniku.

Kiedy arkan rozluźniono, zatrzymał się w obłoku pyłu i wyrwanych kostrzew. Leżał na ziemi i oddychał z trudem, usiłując nie okazywać strachu, gdy trzej ludzie Huntera zsiadli z koni i stanęli wokół niego.

- Kłęknij! - rozkazał ten, który schwytał go na arkan.

Chwiejąc się, walcząc z zawrotem głowy i mdłościami, podniósł się na nogi. Jeśli uklęknie, to uczyni to przed swoim Bogiem. Co nie znaczy, że oczekiwał zmiłowania z Jego strony. Nagrzęszył, szukając przyjemności tego świata, by zadowolić własne żądze, a zapłatą za grzech jest ogień piekielny. Zapomniał tylko, że zanim się przejdzie przez wrota piekieł, najpierw trzeba umrzeć.

Odsunął zakurzone włosy z oczu i spojrzał na twarz swojego mordercy.

Był to mężczyzna niski i drobny, o wydatnej górnej wardze, z bokobrodami i siwą szpicbródką. Wytwornie ubrany, w aksamitnej kamizelce w kolorze whisky, wysokim czarnym kapeluszu i białym jedwabnym krawacie. Wyglądał na człowieka kulturalnego, miał jednak świńskie oczka, małe, ciemne i świdrujące. Uśmiechał się, zwijając ciasno arkan.

Mose przeniósł wzrok na pozostałych dwóch. Jednym z nich był syn Fergus Huntera i wyglądał niemal tak źle, jak źle się czuł Mose. Drugi był chyba zwykłym kowbojem - blondyn, wysoki i smukły, w skórzanych spodniach i w szarym stetsonie na głowie. Trzymał przed sobą Marilee i jej ramiona zniknęły w jego wielkich łapskach. Mose pomyślał, że pewno próbowała uciekać, gdy jego krępowano, bo spódnicę miała rozerwaną i zakurzoną, a na policzku zadrapanie.

- Co zamierzacie z nim zrobić? - spytała drżącym głosem.

- Powinnaś martwić się raczej o to, co zamierzamy zrobić z tobą, panno Marilee z „Czerwonego Domu” - odparł mężczyzna z arkanem, który, jak Mose doszedł do wniosku, bynajmniej nie był najemną siłą roboczą. To następny nadzorca bydła - rewolwerowiec.

Spojrzał teraz na Mosesa, nadal się uśmiechając.

- Powiedziałem, na kolana, pastuchu baranów! - I uderzył go w twarz grzbietem dłoni, kierując tam, gdzie chciał, by się znalazł.

W głowie mu się kręciło, a krew z warg kapiała na ziemię. Rewolwerowiec majaczył nad nim, ale Mose tym razem nie patrzył na jego twarz, lecz na lśniące wysokie buty.

- Nie myślę, chłopcze, żebyś był kiedy na spędzie bydła, co? - spytał ten mężczyzna. - Jako że jesteś tylko pastuchem baranów. No, ale na szlaku dajemy nauczkę takim jak ty młokosom, jeszcze z mlekiem na brodzie, co to nie wiedzą, jak się zachować. - Rzucił okiem na Marilee. - Napalonym chłopcom, którzy nie znają swojego miejsca w szeregu. To się nazywa nogawicowanie. Przeginamy chłopaka przez dyszel wozu albo obaloną kłodę i smagamy mu goły zadek parą skórzanych nogawic ochraniaczy, aż będzie pocięty do żywego i zbyt obolały, by dosiąść konia... albo kobiety.

Chwycił Mosesa za włosy i zaczął ciągnąć w gęstwinę topoli. Mose próbował się bronić, ale było ich trzech i zmusili go pięściami do uległości, po czym przywiązali do leżącej kłody i spuścili aż do kolan spodnie i gatki.

Leżał, wpatrując się w wypaloną przez słońce trawę. Strach pulsował mu kwasem w żołądku, pot ściekał z niego

strumieniami, kapiąc na wysuszoną ziemię. Ten strach mocno cuchnął.

Najpierw usłyszał świst, a potem poczuł pierwsze uderzenie, i prawie wrzasnął pod wpływem nagłego ostrego bólu. Ochraniacze były z grubej skóry i nabijane metalowymi nitami. Skóra pokrywała pęcherzami i pręgami obnażone ciało, a metalowe nity siniaczyły je i rozrywały. Chłosta trwała i trwała bez końca. Usiłował zachować milczenie, powstrzymać się od zwijania z bólu pod razami, ale było to niemożliwe. Zagryzł wargę, by nie krzyczeć głośno, lecz ból stawał się coraz dotkliwszy, aż w końcu pomyślał, że chłosta skończy się dopiero wtedy, gdy on wyzionie ducha.

Na długo przedtem jednak cierpienie zamieniło się w nieustanną mękę krzyku i razy zwały się ze sobą. Nie uświadomił sobie, że chłosta się skończyła, dopóki nie przestał słyszeć świstu.

Leżał przywiązany do kłody, krztusząc się gorącym powietrzem, a jego rozognionym poszarpanym ciałem wstrząsały dreszcze. Ból wciąż ogarniał go falami, mimo to usłyszał słowa rewolwerowca:

- Połóżcie ją tam, na tej kapie.

Marilee wrzasnęła przeraźliwie. Mose szarpnął sznury, którymi go związano, i też niemal wykrzyknął, gdy przypłynęła nowa fala wściekłego bólu.

- Zostawcie ją w spokoju! - Jego krzyk przeszedł w stłumiony szloch.

Rewolwerowiec wybuchnął śmiechem.

Mose nie mógł zobaczyć, co oni robią, mógł jednak słyszeć szamotaninę, szarpanie ubrania, wzdychania i jęki Marilee - a potem ciszę i tylko przerażony głośny oddech.

Syn Huntera po raz pierwszy się odezwał, głos miał ochryply.

- Dlaczego musicie to robić? Jeśli macie ochotę ją pieprzyć, to ona jest co noc w „Czerwonym Domu”.

Nogi rewolwerowca pojawiły się w polu widzenia Mosesa. Z cholewy wysokich butów wyciągnął nóż i ostrzył go na nogawce spodni. Mose wykręcił głowę, żeby popatrzeć w górę. Ten człowiek wciąż się uśmiechał.

- To będzie coś więcej niż pieprzenie - rzekł. - To będzie l e k c j a.

Kowboj zachichotał.

- Słyszałeś, jak twój tata mówił, że trzeba jej dać nauczkę za sprzedawanie cipy prostytutkowi.

Rewolwerowiec dostrzegł zrozpaczoną minę Mosesa i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Chodził wokół kłody, przerzucając nóż z ręki do ręki.

Marilee wydała rozpaczliwy krzyk, a potem zaczęła zawodzić i błagać:

- Och, Boże, nie róbcie mi tego, proszę, proszę. Będę grzeczna. Och, Boże, proszę, nie.

Mose ryczał, szarpiąc sznury. Łzy zalewały mu oczy, a myślał, że może to krew.

Szloch Marilee z wolna przeszedł w kwilenie. Mose słyszał jakby rozrywanie jedwabiu i głośne dyszenie mężczyzny w rui. Potem nagłą ciszę bez tchu, a po niej ten sam donośny ryk łosia, jaki słyszał tamtej nocy w „Czerwonym Domu”.

Rozległ się szelest ubrania i słaby jęk, i rewolwerowiec znów się zaśmiał.

- Któryś z was, chłopcy, chce być następnym?... Nie? No to teraz dam ostateczną nauczkę tej damulce.

Marilee krzyknęła i wciąż wrzeszczała, a Mose też krzyczał, błagając, by przestali robić to, co z nią robili, czego nie mógł widzieć, tylko słyszał, ale sądząc z grozy, jaka dzwięczała w jej krzyku, wiedział, że musi to być coś okropnego.

Po dłuższej chwili rewolwerowiec podszedł znów do kłody. Mose popatrzył na niego zamglonymi oczami. Marilee już nie krzyczała.

Rewolwerowiec przykucnął tuż przy jego twarzy. W ręce trzymał rewolwer, a na jego lufie była krew. Przytknął mu broń do brody, zmuszając do podniesienia głowy.

- Wiem - powiedział - że wśród was, prostytutków, żyje pewien człowiek, nazwiskiem Johnny Kain.

Umilkł, jakby czekając na odpowiedź. Mose miał ochotę splunąć mu w twarz, ale nie miał odwagi. Pokiwał głową, przełknął ślinę i usiłował pohamować głośny szloch.

Okrutny uśmiech na twarzy tego człowieka jeszcze się poszerzył.

- Powiedz mu, że Jarvis Kennedy pracuje teraz dla Kręgu H i Johnny Kain jest już trupem. Musi tylko wybrać odpowiedni moment.

Wyszarpnął lufę spod brody Mosesa tak brutalnie, że mógł go zranić.

- Chodźcie, chłopcy, znikamy stąd!

Odszedł, brzęcząc ostrogami. Mose usłyszał skrzypienie siodeł, gdy wsiadali na konie, a potem tętent coraz dalszy i dalszy, aż w końcu zapadła cisza, od której aż dzwoniło w uszach.

Zawołał Marilee. Słyszał teraz jej płacz, ale nie odpowiedziała. Sporo czasu zabrało oswobodzenie rąk ze sznurów. Czuł, że krew cieknie mu po nogach. Pośladki były żywym mięsem, jakby skórę z nich zeszkrobano nożem.

Przypelzł do niej na czworakach. Leżała zwinięta w kłębek na środku kapy wśród rozrzuconych kawałków smażonego kurczaka i kukurydzianego chlebka. I jeszcze czegoś, co wyglądało jak wiązki pszenicy, czego nie mógł rozpoznać, póki się nie wyprostowała na tyle, by spojrzeć na niego oczami tak pełnymi niepokojem, że wydawały się zranione.

- Moje włosy, Mose. Obcięli mi wszystkie włosy.
Jej włosy, jej ładne włosy, wyglądały jak ściernisko po świeżo zżętej trawie. Obcinano je tak blisko czaszki, że miejscami zacięto ją do krwi.
Wyciągnął rękę nad oszpeconą głowę Marilee, ale ją cofnął, gdy się uchyliła.
- O, Marilee, tak mi przykro.
Chlipnęła i wyciągnęła przed siebie nogi. Na spódnicy miała mnóstwo krwi.
Nagle przyciągnęła kolana do ciała i złapała się za brzuch. Spomiędzy nóg chlusnęła jej krew, strumienie jasnoczerwonej krwi, i Marilee znowu zaczęła krzyczeć.

To, co zostało ze stogów, które tak niedawno stawiali, prażyło się i żółkło na słońcu. Mose szedł wolno w ich stronę, szurając butami po trawie jak starzec. Każdy krok był dla niego wysiłkiem i męką. Trząśił się, choć zalewał go pot.

W ustach miał słoną gorycz, smak łez wściekłości, bólu i hańby. Ojciec kilka razy porządnie go zbił, lecz tamto lanie nawet nie umywało się do tego, które dostał dzisiaj. A ból i poniżenie z powodu wychłostania parą skórzanych ochraniaczy gołego tyłka to była pestka w porównaniu z tym, co zrobili Marilee.

Lieber Gott, ale ona krzyczała! I krwawiła. Takie mnóstwo krwi na kapie, na sukience, na ziemi, na wyściełanym siedzeniu nowoziku - wszystko skąpane w jej krwi. Jechał jak szalony przez prerię do miasta, a strach i wściekłość buzowały w nim, zapiekając się w sercu.

Biegł, niosąc na rękach Marilee, wciąż krwawiącą i krzyczącą, do domu doktora Henry'ego. Doktor powiedział, że straciła dziecko, a Mose nawet nie wiedział, że miała je mieć.

Rewolwerowiec zapowiedział, że będzie zbyt obolały, by dosiąść konia. Mose był jednak tak rozwścieczony, że wsiadł na konia i pojechał przez dolinę na farmę ojca. Teraz dzięki tej wściekłości możliwe też stało się przemierzenie południowego pastwiska Yoderów w poszukiwaniu Johnny'ego Kaina.

Owczarze mają porzekadło, które mówi, że zmartwienia nie chodzą nigdy w pojedynkę. I rzeczywiście, Mose się przekonał, że zmartwienie mieli dziś również na farmie Yoderów.

Ich maciorkom udało się znaleźć dużą łąkę zarośniętą nostrykiem i głupie zwierzęta tak się nim objadły, że dostały wzdęcia. Już kilkanaście legło na ziemi z pianą u pyszczka, z brzuchami rozdętymi jak bębny. Cztery następne leżały na grzbietach z nogami w powietrzu, martwe i sztywne.

Mose podszedł do Johnny'ego Kaina, który klęczał przy jednej wzdętej maciorce.

- Trzeba je ponakłuwać, jak się wezdmą - powiedział Mose. - I wypuścić wszystkie gazy.

Innowierca rzucił mu zasępienie spojrzenie.

- Zbieram się, żeby to zrobić - rzekł. I kiedy schylał się nad leżącą owcą, Mose zobaczył, że w ręce ma rzeczywiście trójgraniec.

Wkłuł go teraz w lewą słabiznę maciorki, która rozpaczliwie zabeczwała i zdechła.

- O cholera, zabiłem ją! - zaklął Kain.

Mose przykucnął przy martwej owcy, jęknąwszy przez zaciśnięte zęby, bo przy tym poczuł wszystkie przecięcia, pręgi i siniaki na tyłku. Wziął z rąk Kaina trójgraniec.

- Proszę mi pozwolić zająć się następną.

Na kolanach powędrował do innej wzdętej maciorki i pomacał słabiznę, szukając odpowiedniego miejsca.

- To jest trochę skomplikowane. O cal lub dwa w prawo lub w lewo i nagle ma się tylko owczą skórę i duszoną baraninę.

Trójgraniec to niewielka rurka z igłą o trójkątnym ostrzu w środku. Mose przebił powłokę brzuszną i pierwszy żołądek maciorki, wepchnął rurkę, po czym wyciągnął igłę, zostawiając wbitą rurkę na miejscu. Gorące, cuchnące powietrze buchnęło z niej z takim impetem, że zwichrzyło mu brwi. Na pysku maciorki malowała się ulga.

„Oto jaka jest różnica między życiem a śmiercią - pomyślał Mose. - Różnica cala lub dwu”. Podpełzł do następnej owcy.

- Ze wszystkich znanych mi osób najlepiej robi punkcję u wzdętych owiec pani Yoder. A mały Benjo też wie, jak się to robi.

- Tak? No, ale ich nie ma, a ja zostałem sam z tymi przeklętymi owcami. Chłopak zabrał MacDuffa i udał się do dziadka pomagać przy strzyży, a ona pomaga bliźniaczkom zrywać fasolę na zupę, która ma być jutro po nabożeństwie. Możesz sobie wyobrazić, że kiedy prócz mnie nikogo nie ma, oczywiście musiało się wydarzyć coś tak fatalnego.

- Takie są owce. Nawet diabeł nie wymyśliłby sobie tych wszystkich kłopotów, w jakie potrafią się wpakować.

Mose zerknął na tak błyskawicznie wyciąganą broń, którą innowierca nosił zawsze na biodrze, nawet tu, w tak spokojnym miejscu jak pastwisko pełne owiec. Lecz niełatwo mu przychodziło przejście do sedna rzeczy - do własnego zmartwienia i do tego, co zamierzał zrobić, także do poproszenia Johnny'ego Kaina o udzielenie mu pomocy. Odłożył więc to na później, kiedy już ulży ostatniej wzdętej owcy i przepędzą stado na miejsce porośnięte z mniejszą ilością kuszącego nostryka.

Stali obok siebie pośród pasących się owiec i Mose nadal nie mógł się zdobyć na to, by wszystko powiedzieć. Dziwne, że mógł nakłuwać owce i rozmawiać o tym z innowiercą, jakby on, Mose Weaver, był mu równy, choć miotała nim taka wściekłość, strach i nienawiść, że wewnętrznie czuł się okropnie słaby. Tak jakby było dwóch Mosesów Weaverów. Jeden prostaczek i hodowca owiec oraz drugi, zupełnie, ale to zupełnie inny, obcy nawet dla niego samego.

Chrząknął. Odnosił wrażenie, że w gardle ma mielone szkło.

- Czy przedtem, zanim przyszedł pan do nas, robił to pan za pieniądze? To znaczy: ile ktoś musiał zapłacić?

Kain zdjął kapelusz i przeciągnął palcem po wewnętrznej skórzanej opasce, ocierając z niej pot.

- Za co zapłacić?

- Za zabicie człowieka. Zabicie jakiegoś zasranego skurwysyna.

Mose się przestraszył, wypowiedziawszy te słowa. Nie przeraziły go tak bardzo same słowa, co przyływ nowej wściekłości. Kain odwrócił wolno głowę i patrzył na niego długo i uważnie. Nie mógł przedtem nie zauważyć krwi, ale teraz patrzył na nią świadomie - nie tyle z wielką ciekawością, ile z lekkim zainteresowaniem - i czekał, co jeszcze chłopak powie.

- To nie moja krew - rzekł Mose. - W dużym stopniu nie moja - poprawił się.

Innowierca odwrócił głowę, jakby już stracił nawet lekkie zainteresowanie. Na pastwisku zapanowała cisza, która stąpała się z bzyczeniem much wokół owczych odchodów, skrzeczeniem sroki i szumem wiatru.

- Kto to taki?

Mose drgnął, jakby go dźgnięto.

- Co?

- Ten zasrany skurwysyn, któremu życzysz śmierci.

- Powiedział, że nazywa się Jarvis Kennedy... - Przerwał, ale na twarzy innowiercy nie dostrzegł żadnej reakcji. - To nowy nadzorca bydła u Huntera. I kazał panu powiedzieć, że Johnny Kain jest trupem, musi jedynie wybrać odpowiedni moment.

To chyba rozbawiło innowiercę, bo na jego ustach pojawił się uśmiech. Lecz zimny i okrutny, tak bardzo przypominający uśmiech rewolwerowca Huntera, że Mosesa aż zemdliło.

Pośladki posiekane do żywego mięsa paliły go i rwały, a do oczu napłynęły łzy upokorzenia. Nie potrafiłby opowiedzieć temu innowiercy o chłości, ale była jeszcze Marilee i zasługiwała na pomstę.

- Ponadto, choć być może pana to nie obchodzi, on zgwałcił pannę Marilee z „Czerwonego Domu”, moją przyjaciółkę. Powiedzieli, że muszą dać jej nauczkę za to, że była z prostaczkiem, a potem ją zgwałcili. Ona strasznie krwawiła i straciła swoje dziecko.

- Popatrz na nią, na tę żarłoczną głupią owcę - rzekł Kain. Spoglądał na jedną z maciorek, które dopiero co nakluwali. - Zabrała się znowu do jedzenia, jakby nic się nie stało.

Mose musiał przełknąć ślinę, mimo że coś dużego zatykało mu gardło.

- Owce mają krótką pamięć - zauważył. - Inaczej niż ludzie. - Nie sądził, by kiedykolwiek zdołał zapomnieć to, co mu dziś zrobiono.

Zaczynał się jednak czuć głupio, jak dziecko, które usiłuje zwrócić na siebie uwagę dorosłego, a ten nawet nie wie, że ono tu jest. Spodziewał się, że innowierca rozgniewa się, przerazi, gdy usłyszy, co się stało. Tymczasem wcale tak nie było. We wspólnocie prostaczków to, co zrobiono jednemu, zrobiono wszystkim. Zapomniał jednak, że Johnny Kain jest innowiercą i troszczy się tylko o siebie.

- Oczywiście, zapewne pan sam zechce zabić tego zasranego skurwysyna, bo nazwał pana trupem - powiedział.

Czekał, ale innowierca się nie odezwał, musiał więc ciągnąć dalej.

- Ponieważ ja też chcę mu śmierci, chętnie za to zapłacę.

Innowierca zmierzył go zimnym wzrokiem.

- Nie stać cię na mnie.

Mose kiwnął głową, przełknął ślinę. Wyobrażał sobie, że tak sprawa będzie wyglądać. Nic nie szkodzi. Kiedy otworzą się wrota piekieł, już ich się nie da zatrzasnąć.

- Zatem nauczy mnie pan szybko wyciągać broń?

Kain zaśmiał się gorzko.

- Zaczynam się czuć jak jedyna dziwka w mieście, przed której drzwiami ustawia się kolejka.

Mose nie był pewien, co on miał na myśli, ale nie dbał o to. Poczuł się nagle zmęczony, taki zmęczony, i cały obolały, nie tylko w miejscach, gdzie go bito. Wciąż odczuwał wściekłość, za to determinacja zniknęła. Zamknął oczy i zmusił się do myślenia o Marilee, o tym, jak wyglądała, o jej śmiertelnie bladej twarzy i mnóstwie czerwonej krwi.

- On zgwałcił moją przyjaciółkę i z pańską pomocą lub bez niej zamierzam go za to zabić.

Innowierca poruszał się tak szybko, że Mose zorientował się dopiero wtedy, gdy chwycił go za kark i zadarł mu głowę do góry. Patrzył teraz w oczy, które były jakby martwe i twarde niczym niebieskie szkło.

- Po pierwsze - rzekł Johnny Kain - mówisz zbyt głupio, by żyć, chłopcze. Po drugie, guzik mnie obchodzisz ty, twoja dziwka i jej kłopoty. Pani Yoder chyba jednak cię lubi, ze względu więc na nią dam ci jedną lekcję, jak

obchodzić się z koltem. Jedną lekcję, a czego się z niej nauczysz, to już twoja sprawa.

Puścił go i cofnął się.

- Jesteś gotowy?

Mose kiwnął głową, wyciągając szyję. Próbował ukryć drżenie. Nogi nagle zrobiły mu się jakieś słabe, aż się dziwił, że może na nich stać.

Kain wyciągnął rewolwer z kabury i podawał mu go kolbą do przodu. Mose sięgnął po nią i w tym momencie kolt jakby ożył. Wywinął młynka w ręce innowiercy, błysnął i mignął czarny metal. Mose usłyszał głośny trzask i nagle patrzył w czarny otwór lufy.

Lufa wolno, wolniutko się unosiła, aż została wycelowana między jego oczy. Johnny Kain uśmiechał się po swojemu, tym uśmiechem rewolwerowca.

- Jakie są twoje ulubione kwiaty, chłopcze?

Mose ku swojemu wielkiemu zawstydzeniu poczuł, że dygoce. Zaciśnął powieki i czekał. Potem sens słów innowiercy przedarł się wreszcie przez strach i chłopak zrozumiał, że Kain go nie zabije, bo nigdy nie miał takiego zamiaru.

Niemniej drgnął, gdy Kain zwolnił kurek. Otworzył oczy i zdążył zobaczyć, że rewolwer z powrotem wślizguje się do kabury. Kain już się od niego odwrócił i odchodził.

- Proszę zaczekać! - Mose podskoczył i złapał go za ramię.

Kain wyrwał mu się, a jego ręka instynktownie powędrowała do kolby kolta, ruchem prawie tak instynktownym jak oddychanie.

Mose podniósł do góry ręce i cofnął się o krok, ale nie chciał się poddać.

- Nie jestem głupi, panie Kain. Wiem, czego próbował mnie pan nauczyć podczas tej lekcji, i nie ma to znaczenia. Chcę, żeby Jarvis Kennedy był martwy.

- Nie, nie chcesz. - Oczy innowiercy zrobiły się teraz duże i ciemne, a oddychał tak ciężko, że niemal dyszał. - Żałowałbyś tego potem albo sam byłbyś martwy.

Mose potrząsnął głową.

- Nie będę żałować. Chcę, żeby ten skurczybyk zapłacił za to, co zrobił. Popelnia pan ten sam błąd co wszyscy, myśląc, że skoro jestem prostaczkiem, to muszę też być ignorantem. Chcę śmierci Jarvisa Kennedy'ego i wiem, co zrobić, żeby tak się stało.

Innowierca schylił głowę. Kiedy podniósł ją po chwili, twarz miał niemal smutną.

- Nie chodzi o ignorancję, Mose. Nie chodzi nawet o ignorancję. O wiele więcej mógłbym cię nauczyć. Choćby tego, jak się szybko poruszać i celnie mierzyć. I gdybyś nie wykazał się szybkością w wyciąganiu broni, mógłbym cię nauczyć, jak zrobić to bezlitośnie i w niezwykły sposób. Jak zamordować człowieka, strzelając mu w plecy, zanim się zorientuje, że tam jesteś. Mógłbym cię nauczyć tego i wszystkiego, co wiem o zabijaniu, a ty i tak nie miałbyś tego, czego trzeba, żeby wystąpić przeciwko komuś takiemu jak Jarvis Kennedy.

Mose poczuł, że twarz ma mokrą, i wiedział, że od łez. Pewno płakał już od dłuższego czasu.

- A czego trzeba, do diabła? - Gorące łzy napłynęły mu do oczu i spływały na policzki. - Proszę mi tylko powiedzieć, czego trzeba.

Innowierca spoglądał na góry w dali, ponure i otoczone świetlistym pierścieniem promieni słonecznych na tle nieba. Mose nie oczekiwał odpowiedzi, a jednak ją otrzymał.

- Trzeba nie czuć w sobie nic prócz świadomości, że albo on, albo ty. Kiedy potrafisz wystrzelać magazynek w czyjś brzuch z takim samym uczuciem, jakbyś zdeptał karalucha, wówczas będziesz mieć to, czego trzeba, żeby przeżyć.

Spojrzał z powrotem na Mosesa, lecz oczy i twarz miał bez wyrazu.

- Ale coś się z tobą dzieje - dodał. - Coś się dzieje i nawet przeżycie już tak wiele nie znaczy, i przez większość czasu niczego nie czujesz.

Johnny Kain odszedł i tym razem Mose go nie zatrzymywał. Po kilku krokach jednak przystanął, stał przez chwilę, po czym wolno się odwrócił.

- Chyba trochę mi przykro z powodu twojej przyjaciółki - powiedział ze zdziwieniem w głosie.

Marilee otworzyła oczy i ujrzała kratkę z przeplecionych wstążek i róż na tapecie. Przez wiele dni, otwierając oczy, napotykała ten widok, ale dziś wiedziała - jeszcze zanim poczuła bolesną pustkę w brzuchu - że ten dzień jest inny.

Obróciła głowę. Stał nad nią Luc Henry, zachmurzony i zatroskany. Spodobało jej się to, bo oznaczało, że może mu trochę na niej zależy. Co prawda był lekarzem i miał miękkie serce, troszczące się o cały świat.

Przysiadł koło niej na łóżku. Materac zaskrzypiał i ugiął się pod nim. Wziął ją za rękę.

- Marilee...

Gardło ją bolało i musiała przełknąć.

- Dziecko stracone, prawda?

- Przykro mi.

Przycisnęła znów głowę do poduszki i zamknęła oczy. Z piersi wyrwał jej się szloch, potem następny.
- Och, Boże! - zapłakała, próbując się podnieść. Pragnęła, żeby ją przytulił, pragnęła tak rozpaczliwie. I on ją objął, przytulił. Przywarła do niego, oparła mu twarz na ramieniu i zalała się łzami, wstrząsana łkaniem.
Po pewnym czasie trochę się uspokoiła, tylko drżała i oddychała z lekką czkawką.
- Boli mnie, Luc. Tak bardzo boli.
- Wiem, wiem. - Trzymał ją mocniej przez moment, po czym położył znowu na poduszce. - Dam ci jeden z moich ziołowych naparów. Za chwilę. - Przywołał na usta swój słodki, krzywy uśmiech. - I może na wszelki wypadek jakieś lekarstwo.

Uniosła rękę do głowy.
- Obcięli mi moje ładne włosy.
Nawinął sobie na palec pojedynczy kosmyk, który opadał jej na ucho, i lekko zań pociągnął.
- Odrosną.
Zagryzła wargę, gdy świeża porcja łez, gorących i słonych, napłynęła jej do oczu.
- Nie wystarczyło mi, że wsadził we mnie swój interes, Luc. Musiał tam jeszcze wpakować swój sześciostzałowiec. Pokieroszował mnie niezłe, prawda?
- Będziesz się leczyć przez jakiś czas, Marilee - powiedział doktor Henry, ale odwrócił twarz, a ona wiedziała, że chce ukryć swoje myśli.
Upłynęło sporo czasu, zanim zebrała się na odwagę i zapytała, czy będzie mogła jeszcze mieć dziecko. Nie od razu odpowiedział. Zanim to zrobił, odpowiedź wyczytała w jego oczach. I wtedy znowu się rozplakała.

XX

Był upał.
Dokuczliwy, wyciskający pot, wywołujący suszę. Gorące wiatry wysuszały trawę i wypijały wodę z dołów. Obłoki suchego alkalicznego pyłu pobielily błękit nieba i nadały ospałemu potokowi barwę brudnych mydlin. Ani kropla deszczu nie spadła na ziemię. A zaczął się dopiero drugi tydzień czerwca.
Panował upał i była pora strzyży.

Noah Weaver przyglądał się, jak owce jedna po drugiej wychodzą z kąpieli nasiąknięte wodą i żwawo się otrzępują. Jeśli jeszcze raz usłyszy, jak ktoś powie, że znowu jest gorąco niczym w piecu, to chyba pęknie mu głowa.

Tego roku trzeba się było naharować, zatamować wolno płynący potok i odpowiednio go spiętrzyć, żeby można w nim wykapać owce. Za czyste runo płacono więcej. Przy takiej pogodzie owce przynajmniej szybko wyschną i będzie można przystąpić do strzyży.

Samuel Miller, który miał godne pozazdroszczenia zajęcie - stał po kolana w wodzie i pilnował, żeby żadna z owiec nie przewróciła się i nie utonęła - uśmiechnął się do braci. Udawał, że wyżyma sobie pot z brody.

- Judaszu, tak gorąco, że diabeł czuje się jak u siebie w domu, *ja?*
Abram się roześmiał, ale szybko spoważniał.
- Czeką nas susza. Powiedz, nie mam racji?

Sol kiwnął głową, a usta miał tak szczelnie zamknięte, że prawie niewidoczne w brodzie.
Noah zacisnął wargi i zmusił się do zaczerpnięcia powietrza nosem. Pociągnął kapelusz, jakby w obawie, że głowa rzeczywiście mu pęknie. Upomniał się, żeby myśleć o tych dniach jako o zesłanej przez Boga próbie, której należy się poddać z cierpliwością i pokorą. Pan Bóg go wypróbowywał, obarczając upalnymi dniami, suszą i Johnnym Kainem, i to wszystko w ciągu jednego lata.

A jednak wyczekiwał dzisiejszego dnia. Dnia, w którym mieli strzyc owce Rachel. Zapowiedział innowiercy - no, dobrze, można to nazwać wyzwaniem, być może nawet grzesznym - że nie wytrzyma ani jednego dnia strzyży. Wiedział, że innowierca uważa się za twardziela, co go napawa pychą. W Biblii doprawdy słusznie się mówi, że „...przed zginieniem przychodzi pycha, a przed upadkiem wyniosłość ducha”.

Spojrzał na drugą stronę potoku, gdzie innowierca usiłował skłonić opornego roczniaka, żeby wszedł do wody, i uśmiechnął się. Nie wytrzymasz tego dnia, innowierco. Może nie wytrzymasz nawet i godziny. A wtedy zobaczymy. Zobaczymy, co moja Rachel będzie miała na ten temat do powiedzenia.

Noah wiedział, że takie myśli też grzeszą pychą, a więc gubi nimi swoją duszę, ale nie mógł ich pohamować.
W tym momencie podniecenie wywołane przeciąganiem przez wodę przyprawiło jedną z maciorek o kolkę i Johnny Kain przystąpił do niej z trójgrańcem, by przynieść jej ulgę. Noah nie mógł doszukać się żadnego błędu, choć obserwował go i czekał na jakiś błąd - Boże, dopomóż! - licząc na to, że ręka mu się obsunie i wkluje igłę w złe miejsce. Wtedy innowierca skompromituje się przed Rachel.

Kiedy maciorka z głośnym beczeniem znowu stanęła na nogi, Noah dziwił się sam sobie i temu, że ma takie złośliwe myśli. Boże, dopomóż, stoi tu i życzy śmierci biednemu niewinnemu zwierzęciu, i to tylko dlatego, by skompromitować innowiercę!

Potrząsnął głową, kciukami otarł pot z oczu. Zmrużywszy je, Popatrzył na pastwiska Rachel wypalone przez słońce. Nie pozostało zbyt wiele trawy dla owiec. Ten upał utwardzał i garbował powierzchnię całej krainy, podobnie jak przy ciężkiej harówce sól z potu garbuje i utwardza skórę mężczyzny. Mały deszcz był na pewno pożądany, lecz Pan Bóg musiał przecież to wiedzieć. Trudno zrozumieć boskie drogi. Lepiej o tym za wiele nie rozmyślać, tylko po prostu zaakceptować Jego wolę.

Popatrzył teraz tam, gdzie jego syn Mose zapędzał schnące owce do zagrody, w której miano je strzyc. Na chwilę ich wzrok się spotkał. Potem syn zrobił kwaśną, ale i zdecydowaną minę i odwrócił się, ukazując ojcu plecy i traktując go lekceważąco.

Noah przypisywał innowiercy winę za to, że stracił syna. Nie potrafiłby wyjaśnić, jaką zawiłą drogą podążał jego umysł, że obciążał innowiercę winą za ostatnie wydarzenie z hodowcami bydła i ulicznicą z „Czerwonego Domu”. To kwestia przebywania w obecności zła - zdecydował. Johnny Kain wywierał zgubny wpływ na wszystkich, którzy znaleźli się blisko niego, nawet na ludziach prawych.

Zapowiedział, że kiedy tylko synowi zagoi się tyłek, weźmie rzemień i da mu świeżą porcję batów. Gdy jednak nadszedł ten dzień, nie zbił go, nie miał do tego serca. Zresztą czuł, że chłopak więcej już nie znieśnie bicia, od nikogo. To, co się wydarzyło, zmieniło go, i to dogłębnie, na sposób, którego Noah nie rozumiał. Był przerażony, bo syn wydawał się stracony, stracony dla Boga i Kościoła.

Stracony dla niego.

Ostrze dotknęło z wizgiem obracającego się kamienia szlifierskiego i sypnęło snopem iskier.

Noah Weaver, naciskając energicznie na pedał, uśmiechnął się do innowiercy.

- Jeszcze parę obrotów - oznajmił, przekrzykując hałas - i nożyce będą tak ostre, że przetną wełnę, jakby to było gorące masło.

I wtedy zobaczymy, jak sobie poradzisz, innowierco. Wtedy zobaczymy.

Kiedy owce zostały wykąpane, mężczyźni zebrali się w szałasie do strzyży na rytualne ostrzenie nożyc. Noah zaoferował się, że sam to zrobi zamiast innowiercy, bo trzeba mieć do tego smykałkę. Kain przyjął ofertę, wykazując się skromnością, u niego niewątpliwie rzadką.

Szałas do strzyży jeszcze kilka tygodni wcześniej był jagniątkarnią. Teraz na ziemi rozpostarto tu kilkudziesięciocentymetrową warstwę świeżej słomy, na niej rozciągnięto płótno wyznaczające miejsce strzyży. Strzyżenie owiec to ciężka praca i niewielu farmerów wykonuje ją we własnym zakresie. Istnieją objazdowe ekipy zawodowych strzygaczy oferujących swoje usługi - od Meksyku aż po prowincje brytyjskie na północy. Kościół prostaczków niechętnie patrzył na wynajmowanie ludzi z tych ekip, bo mieli opinię zabijaków, bluźnierców i amatorów diabelskiego trunku. Prostaczkowie woleli trzymać się osobno i sami wykonywać swoją robotę.

Samuel Miller wziął nożyce i wypróbował ostrze na zrogowaciałym kciuku.

- Mógłbyś próbować strzyc owce tęym nożem równie dobrze jak używać tych żalonych nożyc, nasz Abramie - powiedział, mrugnawszy do Sola.

- Ha! - Abram wyrwał nożyce z rąk Samuelowi, i o mało nie odciął bratu końca brody. - Do wieczora zgromadzę na swoim koncie więcej gołych owiec, niż ty kiedykolwiek, zobaczysz.

- W tym roku będzie słaba wełna - odezwał się Sol, a kąciki jego ust opuszczone w dół harmonizowały z tymi słowami. - Podczas łagodnej zimy owcom nie wyrasta tak grube runo, jakie powinny mieć. A teraz dzień po dniu prażące słońce, wiatr i pył. - Westchnął, potrząsając głową.

- Wełna skurczyła się niemal do zera, ja - zgodził się Noah.

Rzucił spojrzenie na innowiercę. Rozmawiali teraz w swoim języku, jak zwykle wyłączając go z rozmowy. I jak zwykle on był zbyt dumny, żeby pokazać, czy ma to dla niego jakieś znaczenie.

„Ja, gut - pomyślał Noah. - Niech się dusi we własnej pysze”.

Samuel powiedział coś, co rozśmieszyło jego braci. Noah, obserwując innowiercę, nie słyszał, co, ale też się zaśmiał. Innowierca stał na boku z twarzą pozbawioną nie tylko brody, lecz i wyrazu. Teraz nie było na niej ani śladu tego czarującego, tak często goszczącego na niej uśmiechu. I to się Noahowi podobało.

Jego zdaniem pozytywną cechą strzyży była praca, bo łączyła rodziny i przyjaciół. Każdy miał coś ważnego do zrobienia. Fannie i żony Millerów przygotowywały w kuchni góry jedzenia, Jako że w czasie strzyży ogromnie rosły apetyty. Mose wkrótce spędzi owce na koniec zagrody i skieruje beczące i przestraszone zwierzęta do specjalnego korytarza. Rachel będzie stać u jego wylotu, podnosić zasłonę i wpuszczać owce do strzyżenia. Po cztery naraz, po sztuce dla każdego z mężczyzn.

Nawet najmłodszy musieli pracować. Levi będzie wiązać runo i rzucać Benjowi, a ten wpakuje je do wielkich worów z surowego płótna - specjalnych toreb na wełnę.

Samuel, który miał do tego smykałkę i odpowiednie zęby, będzie dokonywać kastracji, miażdżąc powrózki nasienne samców i oskapiając biedne jagnięta. On sam wraz z Solem i Abramem będą strzyc owce. Innowierca zajmie miejsce Bena przy strzyży i nie wytrzyma nawet godziny. A wtedy wszyscy zobaczą, co o tym powie Rachel.

Noah po raz ostatni dotknął ostrzami kamienia szlifierskiego, po czym wręczył błyszczące nożyce innowiercy.

Kain wziął w dłoń rączkę zakończoną pętlą i ścisnął nożyce. Długie trójkątne ostrza, ostre teraz jak brzytwy, zeszyły się z miłym brzęknięciem.

„Johnny Kain nie ma farmerskiej dłoni - pomyślał Noah - dużej szorstkiej chłopskiej dłoni o krótkich tępych palcach”. A jednak nożyce pasowały do niej, jakby tam było ich miejsce.

Noah i bracia Millerowie naradzali się w swoim języku, co trzeba zrobić, żeby utrzyć nosa innowiercy. Zdecydowali, że uczciwie będzie, jeśli raz mu pokażą, jak należy strzyc owce, a potem go zostawią, żeby zrobił z siebie głupka.

- Patrz pan i uważaj, a może nauczysz się czegoś, *ja?* - powiedział do niego Noah po angielsku.

Samuel i Abram kryli uśmieški w brodach. Sol potrzęsnał głową, ale w jego oczach pojawił się jakby błysk.

- Daj mi owcę! - zawołał Noah do Rachel, która zajęła już miejsce przy wyjściu.

Tłusta stara maciorka przeszła, kołysząc się jak kaczka, przez zaslonę z worków na wełnę, odgradzającą zagrodę od miejsca strzyży. Noah złapał owcę, gdy przebiegała obok niego, i chwycił wpół pod przednimi nogami. Biegła dalej na tylnych nogach, bez trudu więc powalił ją na zadek i trzymał mocno, przyciskając do siebie kolanami, żeby się nie wyrwała. Maciorka, która znała metody okrutnego świata, widząc błysk nożyc, głośno zabeczła.

Noah pracował szybko, jego wprawne palce wyczuwały miejsca, w których wełna jest najlepsza, blisko skóry. Nożyce ciachały i wełna - miękka i tłusta w dotyku - zaczęła układać się w spiralne kręgi o barwie kości słoniowej jak skórka pomarańczy od spodu.

Maciorka wyłoniła się spod sterty własnej wełny goła i z szeroko otwartymi oczami. Noah zwolnił ucisk kolan i popchnął ją lekko na nogi. Wstrząsnęła się, jakby poczuła się nieswojo, a potem pokłusowała przed siebie, becząc zawstydzona.

Schylony Noah uniósł głowę i błysnął zębami w dumnym uśmiechu.

- A teraz zobaczmy, jak sobie poradzisz, innowierco.

Mógł zawołać, żeby wpuszczono następną maciorkę, a wtedy Kain musiałby strzyc dokoła jej wymion i sutków. Lecz zdecydował ułatwić sprawę biedakowi, temu innowiercy, i poprosić o dużego roczniaka - skopa. Tym razem Rachel weszła do szałasów razem z baranem, żeby się przyglądać.

Innowierca miał od samego początku kłopoty. Kiedy usiłował przewrócić zwierzę na zadek, wylądował z nim twarzą przy twarzy i ramię przy ramieniu. Rachel, która obserwowała go z oczami błyszczącymi tak świetliście jak słońce na wiosnę, z trudem powstrzymywała śmiech. Kain spojrzał jej w oczy i zrobił chłopięcą figlarną minę.

Udał, że całuje skopa w kościsty pysk.

- Madam! Czy mogę prosić do tańca? - wyrecytował. I ku zdumieniu Noaha naprawdę udało mu się puścić w tany z beczącym baranem wirującym na cienkich nóżkach.

- Och, panie Kain! - zawołała Rachel ze śmiechem. - Czy - pan wie, że tańczy z owczym chłopcem?

Kain zatrzymał się i spojrzał w dół z udawanym przerażeniem.

- O rety, no tak, ale to trochę mniej niż chłopiec!

Rachel klasnęła w dłonie niczym mała dziewczynka. Również bracia Millerowie w tym momencie uważali, że innowierca jest bardzo zabawny.

Tylko Noah był innego zdania. Odwrócił wzrok i zacisnął tek mocno zęby, że aż zabolą go szczęka. „Nawet godziny - przypomniał sobie - ten człowiek nie wytrzyma”.

Nie było łatwe, jak się wydawało, cięcie wełny na żywym, dyszącym, wykręcającym się zwierzęciu. Kain popełnił wielki błąd, że nie ścisnął skopa mocno kolanami. Ostrzygł go dopiero do połowy, kiedy ten się wysliznął i uciekł, ciągnąc za sobą pas runa. Innowierca musiał go gonić, a Rachel tak się śmiała, że aż usiadła na stosie worków z wełną i trzymała się za brzuch.

Wszyscy się śmiali. Prócz Noaha.

Kiedy biedny skop został w końcu całkiem pozbawiony wełny, odszedł chwiejnie z plamami krwi i wyszarpanym runem w miejscach, gdzie nożyce albo zupełnie ominęły wełnę, albo natrafiły na skórę.

- Pociąłem go na kawałki - oznajmił innowierca. Robił wrażenie tak nieszczęśliwego, że z kolei Noah musiał ukryć uśmiech. Rachel, siedząc na workach z wełną, wciąż śmiała się do rozpuku.

Levi, który miał dokonywać dezynfekcji, pognął z gałganem ociekającym karbolem za wystrzępionym, częściowo gołym i usmarowanym krwią skopem.

- Jestem rzeźnikiem - oznajmił Kain.

- Ma pan naprawdę zręczną rękę - niechętnie przyznał Noah. - I szybko złapie pan właściwy rytm.

- Myślę, pani Yoder, że lepiej będzie, jeśli da mi pani same stare o grubej skórce! - zawołał Kain do Rachel. I jak z bólem serca zauważył Noah, czując się jak outsider - obydwójce zaśmiali się zgodnym chórem.

„To są dźwięki typowe dla strzyży” - pomyślał Noah.

Szczęk ostrzy, kłapanie otwieranych i zamykanych nożyc.

Beczenie i pobekiwanie owiec obalanych na zadki i strzyżonych do golca.

Łomot, kiedy Benjo upychał sprężyste runo do worka.

Okrzyk: „Daj mi owcę!” I głos Rachel zachęcający ją, żeby weszła z zagrody do korytarza, czasami podobny do

miauczenia kotka, a czasami do gruchania gołębia. Noah uwielbiał tę jej śpiewankę przeznaczoną dla owiec.

Zapomniał, jak szybko praca potrafi człowieka umordować. Nieustanne schylenie się, ciachanie i ciachanie nożycami, prostowanie pleców tylko na chwilę po to, by wciągnąć następną owcę i znowu zacząć ciachać i ciachać.

Ja, i odgłos własnego ciężkiego oddechu, pot kapiący jak krople deszczu na płótno rozpostarte na słomie - to wszystko też było częścią składową strzyży.

I nowy dźwięk tego roku - Johnny Kain cicho podśpiewywał owcom przy strzyżeniu. Ten innowierca żywił chyba do nich szczerą sympatię, co zdumiewało i niepokoilo zarazem Noaha. Innowierca zyskał w jego oczach, a tego sobie nie życzył.

Noah skończył strzyc maciorcę i uniósłszy głowę, zobaczył, że Benjo stoi na pełnym worku wełny.

- Czas zrobić odpoczynek! - zawołał. - Czas na odetchnięcie, wyprostowanie pleców, czas na ostrzenie nożyc.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu, widząc, jak innowierca się prostuje, wolno i sztywno, zupełnie jak starzec. Masował ręką obolały krzyż. W drugiej ręce, zgiętej jak szpon, wciąż trzymał nożyce. Musiały już mu się na dłoni porobić krwawe pęcherze. Nawet jego, który miał skórę stwardniałą od pracy, paliła ręka w miejscu, gdzie przez ostatnie trzy godziny trzymał i naciskał nożyce.

Noah udał się do beczki z wodą, trochę się zataczając, taki był zmęczony. Zaniósł innowiercy czerpak pełen wody. I teraz stali i patrzyli na siebie, lekko kołysząc się na stopach i ciężko dysząc. Pot ściekał strumieniami po ich ściągniętych twarzach.

- No, innowierco, nie będzie to żaden wstyd, jeśli teraz powiesz, że masz dość - powiedział Noah tak cicho, że tylko Kain mógł go usłyszeć.

Diabelski uśmiech mignął w oczach zimnych jak lód.

- Jak piekło zamarznie, diakonie.

Kiedy spoglądali na siebie, w szałasie zapanowała cisza. Zrobiło się tak spokojnie, że mogli słyszeć runo, wciąż żywe i ciepłe, poruszające się w worku - dźwięk cichy jak lekki oddech.

- Co ja widzę? Ach, wy, leniuchy, już zrobiliście sobie odpoczynek, a tu nawet nie minęła połowa ranka. - Rachel przypląnęła przez zasłonę z worka z rękami na biodrach i iskierką kpinny w oczach. - Fe! - Udała, że się zatoczyła z przerażenia. Może zresztą nie chodziło o udawanie, powietrze bowiem w szałasie było gęste od pary i potu. - Wy, mężczyźni, cuchniecie gorzej od owiec!

- To dobry zapach - sztywno zauważył Noah, obracając twarz w jej stronę. - Zapach, który podoba się Panu.

Poczerwieniał i zaczął się zastanawiać, dlaczego wszystko, co ostatnio jej powie, wychodzi jakoś nie tak. Myśli miał zacne, a gdy ujął je w słowa, wydawały się próżne i chełpliwe. Tym razem Rachel uśmiechnęła się do niego, ale potem powędrowała wzrokiem do Johnny'ego Kaina i znowu wymienili ten specjalny uśmiech, który pojawiał się tylko w ich oczach.

Noah patrzył z bezradną tęsknotą na Rachel, gdy szła do beczki z wodą. Skończywszy pić, skierowała się w jego stronę i wtedy poczuł dreszcz słodkiego oczekiwania. Niestety, minęła go i podeszła do syna, żeby mu pomóc zaszyć worek z wełną. A potem skierowała się do niego. Do innowiercy.

Stali razem, blisko siebie, lecz nie za blisko, i rozmawiali wcale nie szeptem, tylko normalnie, tak że każdy mógł słyszeć. Tylko że oczy Rachel błyszczały niczym rosa o poranku, a usta uśmiechały się słodko. Zdawało się, że całym ciałem wychyla się do przodu, dążąc do zmniejszenia dzielącej ich odległości, jakby chciała powiedzieć całą sobą: d o t k n i j m n i e, d o t k n i j m n i e, d o t k n i j.

XXI

Słupy kurzu wirowały przed faetonem, gdy doktor Henry zajechał na podwórko farmy Yoderów. W zagrodach beczwały owce, niektóre jeszcze porośnięte wełną, inne już ostrzyżone, o gołych skórach, blade i trzęsące się jak wielki brzuch starca.

Lucas ściągnął lejce i patrzył na Rachel idącą ku niemu w wibrującym od gorąca powietrzu. Kiedy zrównała się z powozikiem, uśmiechnął się i dotknął kapelusza.

- Dzień dobry, prostaczko Rachel.

Nie odpowiedziała na pozdrowienie, ale przywykł już do obyczajów prostaczków i wcale tego nie oczekiwał.

- Byłem właśnie w Triple Bar, gdzie odbierałem poród - rzekł. - W drodze powrotnej do miasta poczułem, że oblużowało mi się koło.

Rachel obejrzała koła powoziku.

- To prawe przednie, na pewno - powiedziała. - Sądzę, że Noah albo pan Kain mogliby pomóc je zreperować, tylko że jesteśmy akurat w połowie strzyży. - Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. - Może pan też odpocząć i popatrzeć, jak skalpujemy nasze biedne owce.

Odwróciła się i odeszła, pozostawiając go samego, żeby się zdecydował. Wysiadł z faetonu i skierował się do niskiego szałasu koło stodoły. Stała tam grupa prostaczków; mieli długie brody i duże filcowano kapelusze trzepoczące na gorącym wietrze i szwargotali w swoim gardłowym języku. Umilkli i odwrócili się jednocześnie, mierząc go twardym spojrzeniem. Poczuł, że jest tu tak mile widziany jak dziwka w szkółce niedzielnej.

W tym momencie z szałasu wychynął Johnny Kain; Rachel podeszła i coś mu powiedziała, lekko dotykając jego

ramienia. Lucasowi wydała się teraz inna: bardziej ożywiona, witalna, bardziej kobieca. Przedtem widział ją dwuwymiarowo, jak fotografię w jasnych i szarych odcieniach, a teraz nagle ukazała mu się w całej okazałości.

„Mam przed oczami kobietę zakochaną” - pomyślał. I wiedział, że powinien jej żałować z powodu tych wszystkich smutków, które teraz nieuchronnie ją czekają. A zamiast tego pożałował samego siebie, bo choć miłość oznacza często cierpienie, to jednak może być i ekstazą w najczystszej postaci, uderzającą do głowy mocniej od wszystkich trunków. Niestety, jemu nic takiego się nie przydarzyło i już się nie przydarzy.

Rachel się odwróciła, wskazała palcem i Kain wyszedł na środek podwórka powitać doktora. Z rozchylonej koszuli prostaczków wystawała szyja mokra od potu i zbrązowiała w promieniach gorącego słońca podczas pracy na polu. Strzępy ostrzyżonej wełny przyczepiły mu się do włosów i zniszczonych, połatanych szerokich portek. Z pasa na biodrze wciąż jednak zwisał kolt, blisko prawej ręki.

- Witam, doktorze - powiedział. - Rachel myśli, że niedługo odpadnie panu koło.

Lucas, złożony wargi, cicho gwizdnął i zdumionymi oczami lustrował od stóp do głów osławionego desperado.

- Im jestem starszy, tym bardziej doceniam umiejętność dziwienia się. Ale zapytuję sam siebie: co sobie pomyślą wszyscy pańscy groźni zwolennicy i straszni nieprzyjaciele, gdy usłyszą, że zamienił się pan w zwołanego hodowcę baranów?

- Zacny diakon Noah mówi, że taka ciężka i pokorna praca to dobra rzecz dla duszy mężczyzny.

- Zacny diakon Noah chce się ożenić z Rachel Yoder.

Kain spojrział w stronę owczarni. Rachel miała w fartuchu pełno jabłek i idąc, rzucała po jednym stojącym w grupie mężczyznom. Zrobiła sobie z tego zabawę. Posłała jabłko jak piłkę Noahowi, mierząc w jego głowę, i zaśmiała się głośno.

Kain się uśmiechnął, choć jego oczy pozostały zimne.

- Ale Bóg nie zawsze dopuszcza, żeby zacny człowiek dostał to, czego chce - rzekł. - Czasami pozwala diabłu postawić na swoim.

„Nie - pomyślał Lucas. - Jeśli Bóg istnieje, to będzie mieć w swojej opiece taką kobietę jak Rachel Yoder. Obroni ją przed mocami ciemności i takim jak ty człowiekiem. Jeśli Bóg istnieje... Ach, lecz gdyby Bóg istniał, to czyż nie obroniłby żony Lucasa Henry'ego przed Lucasem Henrym?”

Ta myśl była tak bolesna jak odłamek szkła w oku. Słońce prażyło i doktor oblewał się potem. Poczul swój zapach, zapach whisky, która płynęła w jego żyłach prawie od trzydziestu lat, i mało brakowało, by dusił się ze wstrętu. A przy tym miał ochotę na łyczek.

- Czy dzisiaj nie jest zbyt gorąco na strzyżenie owiec? - spytał.

Kain omiółtł spojrzeniem pastwiska i owce.

- Zaczynam myśleć, że wszyscy postradaliśmy rozum. - Głos miał wesoły i powiedział „wszyscy”. Uważał siebie za jednego z nich. Lucas był ciekaw, czy on zdawał sobie z tego sprawę.

- Jak ramię? - zapytał.

Kain wyciągnął prawą rękę z dłonią luźno zwiniętą w pięść. Rękawy koszuli miał zawinięte do łokci. Nabrzmiałe od wysiłku żyły wyglądały jak sznurki, a muskularne ciało lśniło od potu.

- Dobrze złożył pan kość, doktorze. Nie czuję różnicy między tą a tamtą ręką. Obie są tak słabe jak świeżo narodzone jagnięta.

- Aha! - Lucas wziął go za nadgarstek i obrócił rękę. - Pańska dłoń to jeden wielki pęcherz, który pękł i krwawi. W sumie jest pan w doskonałym stanie i może pan znowu zabijać.

Kain uśmiechnął się lekko, ale w jego oczach przemknął cień bólu.

- Nie ma pan przypadkiem w swojej lekarskiej torbie cesarowej maści, doktorze?

Lucas powędrował do faetonu, nie tyle ze względu na pokrytą pęcherzami dłoń Kaina, ile, by korzystając z okazji, pociągnąć łyczek z butelki rose bud, którą zawsze woził w torbie. Kiedy jednak podniósł butelkę do ust, w głowie odbiły mu się echem jego własne słowa: **W s u m i e j e s t p a n w d o s k o n a ł y m s t a n i e i m o ż e p a n z n o w u z a b i j a ć.**

Słyszał tę opowieść tak często, że równie dobrze mógł być tam wtedy obecny. Opowieść o tym, jak tamtego dnia Johnny Kain w barze „Złota Klatka” załatwił nadzorcę bydła Huntera, sprytnie używszy butelki po imbirowym piwie. I jak później prostaczka odwróciła jego uwagę i niewiele brakowało, żeby tamten rewolwerowiec go załatwił.

Niemal. Zwłoki Woodrowa Whartona w trumnie wystawiono na widok publiczny w wykuszowym oknie Kupiectwa Tullego z informacją, że jest to dwudziesty dziewiąty człowiek zastrzelony przez rewolwerowca Johnny'ego Kaina. Lucas musiał przygotować ciało. Zabity ścisnął kurczowo swój rewolwer z odwiedzionym kurkiem nawet po śmierci - w podręcznikach medycznych określano to mianem pośmiertnego skurczu - i Lucas pozostawił mu broń w ręce, bo uważał to za piękną ironię losu, choć zapewne nie doceniłby jej nikt w mieście.

Woodrow Wharton leżał jednak na widoku publicznym w wykuszowym oknie Kupiectwa Tullego tylko godzinę czy dwie. Wkrótce muchy i smród okazały się zbyt uciążliwe, nawet jak na standardy Montany.

A teraz mówią, że Fergus Hunter najął sobie nowego nadzorcę bydła.

Kiedy wracał z torbą lekarską, zobaczył, że Kain przeniósł się w cień stodoły i zdjawszy kapelusz, ocierał pot z

twarzy. Wiatr zwiewał mu włosy na oczy, włosy tak długie i rozczochrane jak u wszystkich prostaczków.

Doktor postawił torbę na obróconej beczie po gwoździach, znalazł maść cezarową i posmarował nią obsypaną pęcherzami dłoń Kaina. Kiedy ścisnął mu nadgarstek, mógł wyczuć, że puls ma szybki, bardzo szybki.

Podniósł głowę i zobaczył, że Kain wodzi wzrokiem za Rachel. Wraz z gromadką innych kobiet podawała mężczyznom kanapki, nalewała z niebieskiego dzbanka w grochy kawę do blaszanych kubków. Wiatr przerzucił przez jej policzek zabłąkany kosmyk ciemnorudych włosów, w roztargnieniu zwinęła go i wepchnęła z powrotem pod czepiec.

Kain, jakby czując, że jest obserwowany, włożył kapelusz na głowę i zsunął nisko na czoło. Jego słowa zaskoczyły Lucasa, bo tak zbieżne były z jego własnymi myślami.

- Nie wierzy pan chyba, że człowiek może znaleźć Boga¹ siebie samego dzięki kobiecie!

- Wielu próbowało, ale to zapewne tak samo możliwe jak znalezienie Boga i siebie na dnie butelki rose bud - odparł Lucas. Spojrzał na wyblakłe od upału niebo. - Wierzyłem kiedyś przez krótki czas. Moja żona była jak barwny motyl, latający od kwiatka do kwiatka i spijający życie. Dzika i delikatna, i tak piękna. Myślałem...

Myślał, że zrobi wszystko, da wszystko swojej żonie. Lecz w końcu nie zdobył się nawet na tę jedną rzecz, która by ją ocaliła, ocaliła ich oboje. Nie potrafił się zmienić.

- Myślałem, że kocham ją tak bardzo i że może być dla mnie rajem na ziemi. Ale pewnego dnia moja piękna jak motyl żona.... - Przerwał.

- Odleciała? - spytał Kain.

Bolesny uśmiech wykrzywił usta Lucasa.

- Och nie, zbyt mnie kochała, żeby mnie zostawić. To ja ją zabiłem.

Gdyby był pijany albo bardziej trzeźwy, śmiałyby się z absurdalności tego dramatu. Co powinien zrobić Kain wobec odsłonięcia tej tajemnicy? Zapytać o wszystkie sensacyjne szczegóły? Wystąpić z wyrazami współczucia w stylu: „Tak mi przykro z powodu tego, co stało się z pańską żoną, i dlatego, że właśnie pan jej to zrobił?”

Uczył co innego, popatrzył gdzie indziej, nie na twarz Lucasa.

- Jeśli pan chce - powiedział po chwili - to pomogę panu teraz zmienić koło.

Lucas usłyszał, jakby z daleka, turkot kół na drewnianym mostku nad potokiem. Obrócił się i zobaczył, że nadjeżdża mały czarny powozik z zieloną tapicerką i poduszkami ozdobionymi frędzlami. Śpiwny jak u świergotka głosik doleciał do jego uszu na skrzydłach wiatru.

- Luc, och, Luc! Dzieciak Gwendolene jest w drodze i bebechy jej chyba za chwilę się poprują!

Lucas się roześmiał, choć nawet jemu ten śmiech wydał się okropny.

- Niech pan oszczędza swoją biedną, pokrytą pęcherzami rękę, panie Kain - rzekł. - Widzę, że wybawienie przybywa do mnie pod postacią słodkiej małej nierządnic imieniem Marilee.

Powozik kołysał się i podskakiwał na koleinach drogi wyprażonej przez słońce. Pył miotany przez wiatr przyłgnał Marilee do policzków i szczypał ją w oczy. Musiała zaciskać wargi, broniąc się przed jego gorzkim smakiem.

Zerknęła na siedzącego obok mężczyznę. Lucas Henry też miał zacięte usta i posępne oczy. On również jak ona nie był mile widzianym gościem na farmie prostaczków.

Mogła była nie rozpoznać Mosesa Weavera w grupie mężczyzn w brunatnych ubraniach i dużych kapeluszach, bo nigdy nie widziała go w takim stroju, gdyby nie to, że ruszył w jej stronę. Lecz starszy mężczyzna coś powiedział do niego ostrym tonem w tym ich języku. Mose zbladł, odwrócił się i odszedł bez słowa powitania. Odszedł, a ona została z posmakiem goryczy w ustach, takim, jaki miał kurz mieciony przez wiatr.

Rzecz nie w tym, żeby miała zamiar podejść i z nim się przywitać, a co dopiero próbować przypodobać się jego rodzinie i dostać do ich domu. Wiedział, kim ona jest, a ona również o tym wiedziała. Ale chodziło o to, jak na nią popatrzył, zanim odwrócił się plecami.

Oczywiście, wspomnienie ostatniego ich spotkania na pewno było równie niemiłe dla niego jak dla niej. Może się wstydził, że nie mógł zapobiec temu, co się stało, i nic nie zrobił, aby potem to naprawić. Cóż, przecież nie oczekiwała, żeby taki jak on młodzieniec stawiał się i dał się zastrzelić w obronie jej czci, choćby dlatego, że nie miała czci, której trzeba by bronić. Nie żywiła do niego żalu, lecz on zapewne sam siebie winił, jak przypuszczała.

Dmuchał wiatr, podnosząc następną chmurę kurzu z drogi. Żelazne obręcze kół skrzypiały na twardym gruncie. Zerknęła znów na mężczyznę, który siedział obok niej, milcząc. Nie zależało jej na Mosesie Weaverze, zależało jej tylko na Lucacie.

Ściągnęła lejce, zwalniając, żeby móc z nim rozmawiać mimo turkotu powoziku.

- Jakie to szczęście, że pojechałam cię szukać, bo przy tym zepsutym kole co by było z dzieciakiem Gwendolene, który już jest w drodze? Wyobraź sobie, Luc, dwoje dzieci rodzi się tego samego dnia. Zaraz ludzie zaczną utyskiwać, że w Miawie robi się tłoczno.

Z zadowoleniem spostrzegła, że jego usta lekko się wykrzywiły pod opadającym wąsem.

- Ostatnio mamy epidemię wrzeszczących bachorów - powiedział. - Ale nie powinnaś dużo jeździć. Nadwerężysz sobie szwy.

- Tylko trochę mnie boli, Luc - zapewniła. Sprawilo jej przyjemność, że o tym wspomniał.

Znow pogrążył się w milczeniu. Marilee przychodziło do głowy wiele rzeczy, które mogłaby powiedzieć, żeby nawiązać rozmowę, ale żadna z nich nie chciała jej przejść przez gardło. Była przyzwyczajona do niemilego Luca i do Luca czarującego, lecz takiego zatopionego w myślach nie znała.

Pokonali ostatnie wzniesienie przed miastem, tam gdzie duży jesionoklon wyciąga konary w niebo i strzałka wskazuje drogę w dół. Marilee wjechała w liściasty cień, okręciła lejce wokół rączki hamulca i złożyła ręce na podskakującym brzuchu.

Luc obrócił się na miękkim siedzeniu, skrzypiąc skórzanym obiciem. Kiedy ich oczy się spotkały, brzuch dziewczyny się uspokoił.

- Czy mam uważać - powiedział doktor - skoro nagle sterczymy tu jak sęp na płocie, że pojawienie się wrzeszczącego bachora Gwendolene nie jest bliskie?

Marilee chłodziła się ręką jak wachlarzem. Ten człowiek miał zwyczaj mówić tak dziwnie i używać dwudziestu wymyślnych słów, kiedy zupełnie wystarczyłyby trzy zwykłe.

- Panie Boże, temu dzieciakowi zabierze to jeszcze ładnych parę godzin. Gwendolene zaczęła się wydierać, kiedy poczuła pierwsze słabe bóle, a mama Balony posłała mnie po ciebie, żeby tylko się zamknęła.

Siedzieli potem znowu w milczeniu, oglądając roztaczający się stąd widok. Na pobladłym z upału niebie wisiał jastrząb niczym latawiec na uwięzi. Pył osnuwał prerię. Oszałamiająco kwitła szałwia, wiatr roznosił ostrą terpentynową woń jej żółtych kwiatków.

Luc sięgnął pod połę surduta i wyciągnął kieszonkową flaszeczkę ze srebrną zakrętką. Demonstrując dobre wirgińskie wychowanie, zaproponował najpierw Marilee, żeby się napiła. Odmówiła, ale on uniósł brew, wzięła więc od niego butelkę.

Whisky spłynęła palącą strużką z gardła do żołądka. Niezbyt jednak uspokoiła jej wzburzony żołądek. Oddała flaszeczkę doktorowi i otarła wilgotne wargi grzbietem dłoni.

- Skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać? - spytał.

- Och! - Wykrzyknik wyrwał jej się z falujących piersi. - Pojechałam do Triple Bar po ciebie, a tam mi powiedzieli, że wracasz już do miasta. Podążyłam zatem twoim śladem i zobaczyłam powozik stojący na farmie tych prostaczków.

Znow pogrążyli się w milczeniu. Marilee przed wyjazdem z domu skropiła się całą wodą kwiatową o zapachu kapryfolium, ale teraz czuła, że pot zbiera jej się między piersiami. Wiedziała, że zobaczy się z Lucasem, dlatego włożyła jedną z najładniejszych sukienek, tę z jasnozielonego batystu, z falbankami z koronki i z przodu ozdobioną aż do dołu rzędem wstążeczek w kolorze zielonego nefrytu. Chcąc wyglądać skromniej, na stanik narzuciła białą koronkową chustkę.

Mama Balony proponowała, że pożyczycy jej swój duży stary kapelusz, aby mogła zakryć ostrzyżone włosy. Nie omieszkała też powiedzieć, że wygląda jak zdechły szczur nazajutrz po zaatakowaniu przez koty. Marilee wybrała jednak subtelny, biały, płócienny kapelusik z bukietem żółtych pierwiosnków przyczepionym do sztywnego rondka. Nie będzie chodzić i udawać zawstydzonej, tylko dlatego, że ostrzyżono ją jak owcę. Co prawda Luc zwracał zazwyczaj tak niewiele uwagi na jej wygląd, że z równym skutkiem mogłaby wystąpić w lnianym worku. Westchnęła.

Luc podał jej flaszeczkę.

- W tym westchnieniu z pewnością kryje się morze smutku. Napij się jeszcze trochę whisky, tego gwarantowanego środka na znieczulenie głębokiej żałości.

Tym razem nie wzięła butelki, tylko na niego popatrzyła.

- Jestem naprawdę okropnie przygnębiona, Luc.

- Biedna słodka Marilee. - Ścisnął ją lekko za kolano. Luc był delikatny i czuły, nawet wtedy, gdy starał się nie być taki. - Po prostu niekiedy serce goi się wolniej niż ciało.

Potrząsnęła głową, strącając pojedynczą łzę, która spływała po policzku.

- Nie chodzi tylko o to. Nie sądzę, żebym mogła być nadal dziewczyną z piętka, i jestem przerażona. Bo jakie inne życie jest dla mnie?

Mogła była zacząć wypróbowywać na nim swoje metody oczarowywania, ale nagle uderzyła ją prawda tkwiąca w wypowiedzianych słowach. Dla niej innego życia nie ma. Była dziwką i równie dobrze można by wypalić jej na czole duże D, dla świata przecież zawsze będzie dziwką.

- Możesz wydać się za jakiegoś kowboja - powiedział Luc. - Głowę dam, że niejeden z twoich stałych klientów jest na najlepszej drodze do zakochania się w tobie.

- Wszyscy mężczyźni w jakiś sposób kochają swoje dziwki. Ale to nie to samo.

Poważnie zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Tak, przypuszczam, że wszyscy mężczyźni kochają trochę swoje dziwki, ale to nie jest to samo - rzekł po namyśle. - Wydaje mi się jednak, że gdybyś wysiliła swój umysł... - Pochylił się do tyłu, żeby jej się przyjrzeć błyszczącymi od whisky oczami. - No, może nie umysł. Powinno się przede wszystkim wykorzystywać własne mocne strony. Z tymi westchnieniami, od których faluje ci pierś, i niewinnymi oczami uda ci się z pewnością

szybko usidlić jakiegoś biednego niewinnego młodzieńca, jak Moses Weaver.

- Hm, To prostaczek! Jego nigdy nie uda się usidlić, i dobrze to wiesz. Dlaczego ty zawsze mówisz takie niemiłe rzeczy? Serce to zapewne jedyna część mojej osoby, jakiej jeszcze nie sprzedałam, bo nawet ladacznica musi gdzieś nakreślić nieprzekraczalną linię. Nie chcę poślubić byle kogo. Chcę to zrobić z m i ł o ś c i.

To ostatnie słowo wypowiedziała w przypływie uczucia, którego nie zamierzała jeszcze okazywać. Panie Boże, musi pilnować swojego języka, żeby się nie zdradzić. Luc zeszywniał jak mokra skóra leżąca za długo na słońcu, jakby się spodziewał, co nadejdzie, i już się do tego przygotowywał.

- Jeśli chcesz miłości - rzekł - to spraw sobie szczenię.

Przyglądała mu się; wyglądał doskonale w swoim eleganckim ubraniu i czystej białej koszuli z wykrochmalonym lnianym kołnierzykiem. Inni mężczyźni, których znała, mieli prostacką naturę, w większości byli po prostu kolekcją zachcianek. W naturze doktora Lucasa Henry'ego kryły się natomiast zawilości, których chyba nie uda jej się rozwikłać. Miał delikatne ręce i ostry język, którym potrafił pociąć na kawałki serce dziewczyny. Był zamożny i wykształcony, ale czasami za dużo pil i zadawał się z dziwkami. Pogardzał większością ludzi, co mogła zrozumieć. Zastanawiała się jednak, co takiego zrobił, że tak bardzo siebie miał w pogardzie.

- Pewien kowboj podarował mi kiedyś pieska - powiedziała smutnym głosem. - Niestety, mama Balony kazała swojemu Chinolowi szczeniaczka utopić, bo budził ją rano szczekaniem.

Tak naprawdę przydarzyło się to jednej z dziewcząt, liczyła jednak, że opowieść go wzruszy. I rzeczywiście tak się stało. Biedny Luc. Starał się być twardy, oschły, a serce miał miękkie, wrażliwe.

Postanowiła wypróbować na nim jeszcze inną opowieść, tym razem prawdziwą.

- Wy, mężczyźni, nie lubicie o tym myśleć, a tymczasem większość nas, dziewcząt z pięterka, nie zaczynała swojego życia od takich miejsc jak „Czerwony Dom”. Ja miałam rodzinny dom, matkę, trzy małe siostrzyczki i dwu dużych braci. I tatę... Kiedy byłam mała, tata mnie bardzo kochał. Dawał mi ładne rzeczy, takie jak wstążki do włosów, a raz nawet dostałam od niego parę długich majtek z koronkami u kostek. I nigdy mnie nie bił jak matkę. Czasami wypił szklaneczkę tej swojej kukurydzianej gorzałki, wiesz, i wtedy puszczały mu nerwy i miało to związek z twarzą mojej matki. Była za młodu ładną kobietą ta moja matka.

Nie zamierzała zapuszczać się daleko w swojej opowieści i przez chwilę wspomnienia były tak bardzo bolesne, aż ją zatkało. Widziała na własne oczy, jak w miarę upływu lat pięści ojca zmieniały twarz matki, oszpecały ją i przefasonowały. A jednak w końcu najbardziej nienawidziła właśnie matki. Za to, że pozwoliła mu to robić, za s k ł a n i a n i e g o d o t e g o...

- Ledwie zaczęły mi rosnąć piersi - kontynuowała pośpiesznie swoją opowieść - a tata i bracia pobili się o to, który z nich wykorzysta mnie w nocy. I zapewniam cię, że prysnęłam stamtąd najszybciej, jak mogłam, i przeniosłam się do pierwszego burdelu, na jaki trafiłam. Pomyślałam, że jeśli mam co noc dawać się pieprzyć, to równie dobrze mogą mi za to płacić. Tylko że od tego czasu miałam więcej mężczyzn niż kura wszy i czuję się zmęczona, Luc, zmęczona i stara, i brzydka. Wspominam czasy, gdy byłam małą dziewczynką, i myślę, że mogłabym mieć jakieś marzenia. Jakieś marzenia i jakąś nadzieję.

Pochylony, wpatrywał się w swoje ręce, złożone i opuszczone między kolana, teraz jednak na nią spojrział.

- Zauważyłem, jak staro i brzydsko wyglądasz - powiedział z ironicznym uśmiechem, w którym czaił się cień smutku. - Wątpię, czy nawet koński giez spojrzalby na ciebie dwa razy. - wyciągnął rękę i kciukiem potarł jej podbródek. - Tylko popatrz. Trzepocze jak korale indyka.

Zaśmiała się, lecz zupełnie inaczej niż normalnie. Zrobiła to znów - zaczęła go czarować - a skończyło się na tym, że sama wymierzyła sobie zamaszty cios prawdy. Czasami czuła się naprawdę stara i brzydka, i tak strasznie zmęczona, i nieszczęśliwa, że zastanawiała się, jak ma to wytrzymać.

- Udowodnisz mi, że nie jestem jeszcze stara i brzydka? Pocałujesz mnie, Luc?

Trwał w bezruchu i mogłaby przysiąc, że za chwilę oznajmi, iż nie całuje dziwek. Przygotowała się na to, jak matka, która czekała niema i ślepa na pięść ojca.

Potem twarz mu złagodniała i w oczach pojawiła się czułość. Pochylił się ku niej, przekrzywił głowę i dotknął ustami jej ust. Wargi miał ciepłe, a wąs trochę łaskotał. Całował tak słodko, że niemal nie do zniesienia. Zamknęła oczy i zadrżała.

Nigdzie jej nie dotykał, tylko przycisnął swoje wargi do jej ust. I kiedy się odsunął, odniosła wrażenie, że zrobiły się nagie i osamotnione. Popatrzyła na niego oczami oślepiionymi przez nie udawane łzy. Pomyślała, że pewno na twarzy ma wyraz zbolącej miłości, ale nic nie mogła na to poradzić, podobnie jak nie mogłaby powstrzymać następnego oddechu.

On popatrzył w inną stronę, na prerię. Chciała go dotknąć, lecz nie śmiała.

- Luc! Zamierzałam tylko powiedzieć, że...

- Nigdy nie ożenię się z tobą, dziewczyno, lepiej więc wybij to sobie z głowy, i to zaraz.

Próbowała odetchnąć, ale gardło miała zbyt ściśnięte.

- Tego nie mówiłam... ja tylko... Czy to dlatego, że jestem dziwką?

Parsknął urywanym śmiechem.

- Nie, słodka Marilee. Dlatego, że jestem pijusem.

Wypuściła powietrze z takim impetem, że aż zakręciło jej się w głowie.

- Cóż, z pewnością złopiesz trochę za dużo przy tej czy innej okazji, ale...

- Tak jak twój ojciec z ł o p a ł trochę za dużo przy takich okazjach, gdy bijał twoją matkę?

- Nie jesteś do niego podobny.

Cień uśmiechu pojawił się na jego ustach.

- Kochaneczko, jestem bardziej do niego podobny, niż chciałabyś wiedzieć.

- Nie, Luc, jesteś naprawdę do głębi dobrym człowiekiem. Pewnego dnia to zrozumiesz.

Nachyliła się, zdjęła mu kapelusz i przeczesała palcami włosy, które wyglądały jak rozgrzany na słońcu karmel.

Ujęła w dłonie jego twarz i przycisnęła mu do ust swoje wargi.

Nie poruszył się, a potem pod naciskiem Marilee otworzył wargi. Wtedy wsunęła mu do ust język. Czują, że wstrząsa nim dreszcz pożądania i on mu się poddaje, poddaje się jej mocy.

Oderwał się od niej, po czym wyjął z kieszeni białą lnianą chusteczkę i wytarł wargi.

Marilee siedziała obok niego na skórzanej poduszce z frędzlami, oczy miała szeroko otwarte, usta lekko rozchylone, a klatka piersiowa o mało nie pękła jej z bólu.

Po dłuższej chwili doktor uniósł głowę, popatrzył na nią, po czym znów opuścił wzrok. Wykrzywił usta.

- Ach, Chryste! Można by pomyśleć, że zламаłem ci serce!

- Czasami jesteś taki okropny, Luc. Jesteś po prostu okropny!

Podniósł rękę, jakby chciał uderzyć ją w policzek, lecz szybko rękę opuścił i nawet jej nie dotknął.

- Jeśli jestem „po prostu okropny”, to jeszcze jeden powód, dla którego nie powinnaś chcieć mnie za męża. A jeśli naprawdę postanowiłaś nie być dłużej dziwką, życzę ci szczęścia, tylko na wybawiciela poszukaj sobie kogoś innego. A mnie pozwól kontynuować wesołą wędrówkę do piekła w samotności.

Podniosła głowę i wyprostowała się z dumą. Odwinęła lejce z rączki hamulca, klepnęła nimi konia po zadzie. Powozik ruszył, podskakując na kostrzewie, i wjechał znów na spieczoną słońcem drogę.

- Może właśnie tak postąpię, Lucasie Henry. I może pewnego dnia tego pożałujesz.

Przechylił do tyłu głowę, przytknął do ust flaszki z whisky i wypił ją do dna.

- Może już żałuję - rzekł.

Nadal panował wielki upał, gdy w tydzień później Quinten Hunter, jego ojciec i żona ojca wybrali się na targ bydła w Deer Lodge, żeby dokupić jeszcze zwierząt na swoje i tak już nadmiernie zapchane i nadmiernie wypasione pastwiska.

Podczas długiej jazdy z ust Quintena najczęściej padały takie określenia, jak: „nadmiernie zapchane” i „nadmiernie wypasione”, dopóki Baron nie kazał mu zamknąć jadaczki i oszczędzać własny oddech. Wtedy Quinten nazwał ojca upartym głupcem, który nie przeniesie obozu w czasie pożaru prerii, żeby przed nim uciec, na co Ailsa niemal się uśmiechnęła.

Przynajmniej Quinten myślał, że się uśmiechnęła. Miała czarny słomkowy kapelusz z przezroczystą woalką opadającą na twarz. Wiatr przyciskał jej woalkę do nosa, ust i kości policzkowych. Sprawiała wrażenie jeszcze bardziej niż zwykle oddalonej - kobiety spowitej całunem. Jechała w milczeniu, prowadząc fioletowy powozik po śladach kół na wysuszonej, powalonej przez wiatr trawie. Quinten i jego ojciec towarzyszyli jej na koniach, a ona mimo to wyglądała tak, jakby była sama w dzikiej i pustej krainie pod miedzianym niebem.

Tego wieczoru w Deer Lodge jedli befszyk z antylopy w restauracji nowego, zbudowanego z cegieł, dwupiętrowego hotelu. Baron z twarzą zaczerwienioną od whisky i desperacji perorował o dawnych dobrych czasach, kiedy było można było tuczyć na otwartych pastwiskach prawie za darmo, jeśli nie liczyć wydatków na kilku kowbojów, parę ogrodzeń i na żelaza do wypalania znaków. Stare dobre czasy, kiedy młodego byczka kupionego za pięć dolarów można było wyganiać na pastwisko przez sezon lub dwa, a potem sprzedać za sześćdziesiąt dolarów.

„Stare dobre czasy - pomyślał Quinten - są jak wczorajsze dolary, zużyte i wydane dawno temu. Ale spróbuj to powiedzieć ojcu”.

Podczas kolacji patrzył na ich stół odbijający się w szklanych taflach hotelowego okna oświetlonego latarnią: mężczyzna, jego żona i jego syn jedzący wspólnie posiłek, mężczyzna mówi i uśmiecha się, żona wydaje się chłonać każde słowo. A prócz nich syn, wychowany na ich obraz i podobieństwo, dziedzic przeszłości i nadzieja na przyszłość.

Uśmiechnął się do siebie kwaśno, zmrużył oczy i odbicie w szybach zafalowało i znikło. „Pewne prawdy to tylko iluzja - pomyślał - inne prawdy zamieniono w kłamstwa, niezależnie od tego, czy możesz je znieść, czy też nie”. Zaakceptowanie tej odrobiny życiowej mądrości było trudne, bardzo trudne.

„A do tego jeszcze te prawdy, o których nie powinieneś w ogóle myśleć. Jak to, co zrobiono temu młodemu prostaczkowi i jego biednej przyjaciółce koło Stawu Blackiego, na co on patrzył i na co p o z w o l i ł?”. Kiedy sobie przypominał, co się tego dnia wydarzyło, nie mógł patrzeć na twarz ojca.

S ł y s z a ł e ś, j a k t w ó j t a t a m ó w i ł, ż e t r z e b a j e j d a ć n a u c z k ę...

Boże, ależ ona krzyczała!

Odwrócił wzrok od okna i napotkał spojrzenie żony swojego ojca. Patrzyła na niego, a pod wpływem bezdennej pustki, całkowitej obojętności w tych fiołkowych oczach coś się w nim załamało.

- Chryste i wszyscy święci! - powiedział nagle ojciec. - Przeżyłem żywsze chwile na pogrzebie. - Wyszarpnęła serwetkę spod brody, rzucił na stół i z trudem się podniósł. - Pójdę zobaczyć, czy nie znalazłoby się miejsce, gdzie towarzystwo jest weselsze i przyjemniejsze.

Quinten i żona ojca nie rozmawiali ani przed odejściem Barona, ani też potem. Dopili kawę i w milczeniu szli obok siebie po wąskich hotelowych schodach pokrytych tureckim chodnikiem. Wzięli dwa pokoje na drugim piętrze. On i ojciec mieli spać w jednym, a Ailsa w drugim. Przez wszystkie te lata, kiedy Quinten był z nimi, nigdy się nie zdarzyło, by dzielili ze sobą łóżce.

Zatrzymał się przy drzwiach jej pokoju.

- Dobranoc, pani Hunter - powiedział.

- Dobranoc, Quintenie - odparła. Wśliznęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi z cichym kłapnięciem.

W jego pokoju było gorąco i duszno, wisiał w nim też odór tytoniu żutego przez ostatniego mieszkańca. Quinten szeroko otworzył okno, przewiesił pas z bronią przez oparcie łóżka i położył się na kordonkowej narzucie. Założył ręce za głowę i zamknął oczy, ale czuł się zbyt rozdrażniony, żeby spać.

Jakiś wóz z piszczącą osią jechał ulicą pod oknem. Po drugiej stronie śmiała się kobieta i wygrywano na pianinie kiepską melodyjkę. Z baru w sąsiedztwie wyszedł mężczyzna i sikał w zaułku pod oknem Quintena.

Chłopak zastanawiał się, co ona teraz robi: czy już śpi, czy leży w mroku jak on, licząc sęki na suficie. Ciekaw był, czy obchodzi ją w ogóle to, że mąż znowu zostawił ją samą i zaczynał wieczór w którymś z barów, a skończy go w łóżku jakiejś ladaczniczki.

Chyba się zdrzemnął, bo nagle obudził go odgłos tłuczonego szkła i wystrzał. Chwycił broń i podszedł do okna. Źródłem zamieszania był samotny podpity kowboj, który urządził sobie strzelanie do lamp ulicznych.

Quinten odłożył rewolwer i stał przez chwilę w ciemnościach, niezdecydowany. Po czym, sam nie wiedząc jak, znalazł się pod drzwiami Ailsy i zapukał lekko knykciami palców w drewno. Zbyt późno sobie uświadomił, że ma na sobie jedynie spodnie.

Skradał się z powrotem przez sień, gdy drzwi się otworzyły. Miała wciąż na sobie ciemnofioletową jedwabną suknię, którą włożyła na kolację, tyle tylko, że rozpięła trzy gagatowe guziczki pod szyją. W ręku trzymała szklaneczkę whisky. Lekki rumieniec zaróżowił jej policzki jak pierwsza zapowiedź wschodu słońca na bladym porannym niebie.

Oczy Ailsy zarejestrowały go i coś się w nich zmieniło. Jakby nagle zgaszono lampę płonąca w cichą liliową noc. Zastanawiał się, czy czasem nie oczekiwała, nie liczyła, że kiedy otworzy drzwi, znajdzie za nimi swojego męża.

- Ta strzelanina - powiedział lekko załamującym się głosem - to nic takiego, nie ma czym się denerwować. Jakiś kowboj z pełnym brzuchem próbuje wydmuchać tygodniowy kurz prairie ze swojego kolta.

Nie odezwała się ani słowem.

Przełknął ślinę, wciągnął powietrze.

- Pomyślałem sobie, że zobaczę, czy wszystko w porządku.

Położyła małą białą dłoń na drzwiach i pchnęła je, zamykając mu drzwi przed nosem.

Słońce zaczynało znów prażyć z samego rana, gdy spotkał na targu swojego ojca. Baron nie wrócił do hotelu poprzedniej nocy i wyglądał gorzej niż wczoraj. Oczy miał nabiegłe krwią, na brodzie zarost jak ściernisko. Trzymał tak głowę, jakby nawet oddychanie sprawiało mu ból.

- Dobrze ci tak - powiedział Quinten.

Ojciec zmierzył go zmęczonym, zamglonym spojrzeniem.

- Au, niech to diabli! Chodźmy kupić parę krów.

Nie była to najlepsza pora na kupowanie bydła. Jednakże zganianie stad, wypalanie znaków i przepędzanie na domowe pastwiska mogło niekiedy przeciągnąć się nawet do lipca, i ranczer pragnący sprzedać partię bydła nie zawsze chciał czekać na jesienne spędy. Tak więc kto miał pieniądze do wydania, mógł często znaleźć krowy na sprzedaż w lecie.

Tego ranka zagrody i wybiegi, normalnie pełne bydła, były niemal puste. Wiatr miotał obłoki kurzu na otwarte wybiegi. Paliki ogrodzenia rzucały ostre cienie na opróżnione miejsca. Tylko w środkowych wybiegach parę setek wychudzonych krów z opuszczonymi z powodu upału łbami stało obojętnie wokół koryt napełnionych wodą i paszą.

- Jezu! - wykrzyknął Baron. - Tu jest pusto jak w kościele w sobotni wieczór. Gdzie się podzieli wszyscy?

- Skrachowali.

Wysoki mężczyzna wychynął z cienia koło zbiornika z wodą. Był chudy jak szczapa i pokryty czerwonym pyłem prairie od czubka czarnego stetsona po frędzle zniszczonych skórzanych spodni.

- Skrachowali - powtórzył, ukazując w uśmiechu zęby żółte jak ziarna kukurydzy. - Nikt nie sprzedaje, bo nikt nie kupuje. - Ruchem brody wskazał krowy w środkowych wybiegach. - Widzicie to, co mi pozostało z rancza we wschodnim Oregonie. Próbuję się utrzymać na powierzchni, tylko że przy zatkanym rynku i znów spadających w

tym roku cenach bydła nie ma jak. Nie chcę go sprzedać, do diabła, nie za takie małe pieniądze, jakie mogę dostać. Ale grozi mi krach.

Baron przyglądał się spokojnemu stadu, mrużąc oczy przed blaskiem słońca i miecionym przez wiatr pyłem.

- Nieźle wychudzone - orzekł. - Same rogi i ogony.

- Są zmęczone przepędem, i tyle. Ale to pierwszorządne bydło. Potrzeba mu tylko sezonu lub dwu, żeby się podtuczyć.

Quinten westchnął i odwrócił wzrok. Nieprzyjemne uczucie z poprzedniego wieczoru powróciło z całą mocą, w żołądku mu się kotłowało. Podszedł do ogrodzenia i oparł się na górnym drągu.

Usłyszał, jak kowboj mówił:

- Spotkałem wczoraj wieczorem faceta, który chce je kupić Da skóry. Ale jeszcze nie powiedziałem „tak” na jego ofertę.

Słońce, białe jak błyskawica, prażyło poranne niebo. Quinten zamknął oczy.

W okręgu Miawa, niedaleko od rancza, był górski grzbiet, który strzelał w niebo na wysokość blisko dziewięciuset metrów i kończył się w kamienistym, zarośniętym zielskim parowie. Zanim przyszedł tu biały człowiek, plemię jego matki mogło swobodnie polować na rodzimej ziemi. Przeganiano wtedy całe stada bizonów przez tę stromą skalną ścianę. Jako chłopiec często biegł na to miejsce, żeby chodzić wśród stosów kości wybielonych słońcem.

Zawsze się zastanawiał, co czuły te wielkie ciemne garbate stworzenia, dokonując ostatniego dzikiego i przerażającego skoku z krańca świata w zapomnienie.

Doszło do jego uszu zapewnienie ojca:

- Nie lubię wykorzystywać człowieka, który jest na dnie.

- Nie sądzę, żebym wyświadczał panu jakąś szczególną przysługę. Na tym rynku każdy, kto kupuje, a nie sprzedaje, ugania się za własnym ogonem, próbuje dogonić samego siebie.

Transakcji dokonano na słowo i uścisk ręki. Ojciec zrobił dobry interes, Quinten nie miał pojęcia, skąd ma na to pieniądze. Nie chciał wiedzieć. Powiedział sobie, że powinien raczej zastanawiać się, jak przepędzić kupione krowy do Miawy, ale było za gorąco na myślenie.

Hodowca bydła powiedział, że musi poszukać kupca skóry, któremu obiecał odpowiedzieć tego ranka. Ruszył już przed siebie, ale się odwrócił i wskazał palcem drogę oraz parę wozów wyladowanych wielkimi jutowymi workami; wypchane wełną piętrzyły się jak stóg siana.

- Oto czym pan i ja powinniśmy się zająć: owcami. Założę się, że ci hodowcy owiec mogliby nas dwukrotnie kupić za to, co dostaną tylko za jeden wóz ze strzyżoną wełną. - Hodowca bydła zaśmiał się, splunął na ziemię i odszedł.

Quinten stał obok ojca; obserwowali ciężkie wyladowane wozy jadące w ich stronę.

Mężczyzna powożący wozem na przedzie miał gęstą rudawą brodę sięgającą do połowy piersi. Szerokie rondo kapelusza powiewało mu na wietrze, a szerokie bary rozpychały staromodną kapotę. Woźnicą drugiego wozu był bezbrody młodzieniec ubrany nie jak prostaczek, ale Quinten go znał. Wspomnienie o okolicznościach, w jakich się poznali, obudziło w nim wstyd. Zrobiło mu się mdło i poczuł okropny smak w ustach.

Wstyd wywołał w nim złość na ojca, który był tego wszystkiego przyczyną.

- Wygląda na to, że prostaczkowie mają tego roku dobre zbiory wełny - powiedział. - Nie sądzę, żeby teraz albo w najbliższym czasie zechcieli sprzedać nam swoją ziemię.

Baron się nie odezwał, ale Quinten widział, że na jego nieruchomej szczęce drga mięsień.

- Nie spodziewam się również, że dotknie ich jakaś zaraza i zlikwiduje nam konkurentów - dogadywał Quinten. - Są przecież tacy pobożni i cnotliwi. Szkoda, że nie ma tu z nami tego nowego nadzorca bydła, którego najależ. Człowiek, który może zgwałcić kobietę lufą rewolweru, nie miałby żadnych problemów z wystrzeleniem niewinnych na ulicy bez żadnej zaczepki.

Ojciec odwrócił się wolno i popatrzył na niego spode łba.

- O czym, do diabła, ty gadasz?

Quinten otworzył szeroko oczy i zrobił niewinną minę.

- Myślałem, że wypowiadam na głos to, o czym ty myślisz.

- Ja myślę o tym, że jest mi gorąco i boli mnie głowa.

- Nie wiem, tato. Powinieneś czuć się dobrze, skoro zrobiłeś interes, tanio kupując te parszywe krowy. Może zaoszczędziwszy tyle pieniędzy, powinieneś pójść i pogadać z prostaczkiem na tamtym wozie o kupnie części jego owiec. Ponieważ mamy tyle kłopotów z ich atakowaniem, to może powinniśmy zaoferować małe współzawodnictwo i hodować własne barany...

Nie zauważył, że ojciec się zamachnął; poczuł pięść, która wylądowała na jego szczęce. Cios zrzucił kapelusza z głowy Quintena i posłał go na ziemię. Szybko się zerwał na nogi z zaciśniętymi i uniesionymi pięściami.

Baron zadarł głowę i wysunął brodę.

- No, mój chłopcze, jesteś mocny w gębie i masz ostry język. Zobaczmy, czy okażesz się równie zręczny w wyrównywaniu rachunku pięściami, hę?

Quinten opuścił ręce.

- Nie. Nie biję się ze starymi ludźmi - rzekł. Schylił się, podniósł kapelusz, otrzepał kurz o udo. Miał wrażenie, że cała lewa strona jego twarzy walczyła z młotem kowalskim. - Ale niech mnie kule biją, jeśli przepraszę!

Ojciec posłał mu zimny uśmiech.

- Nie jestem takim cholernie starym człowiekiem, jak ci się wydaje, i możesz się wypchać swoimi cholernymi przeprosinami.

Odwrócił się i odszedł. Upłynęła chwila, zanim Quinten się zorientował, że ojciec zmierza prosto w stronę prostaczków i ich wozów.

Kiedy ruszył za nim, niespodziewane łzy zaćmiły mu wzrok, a pierś wypełniła nagła fala uczuć - uczucia miłości i gniewu, i przerażenia, i narastającej odrazy wobec samego siebie. Nie mógł zmienić ojca i nie mógł zmienić tego, co miało się wydarzyć. Lecz nie mógł też od tego uciec.

- O Jezu, tato! - krzyknął i zaczął biec, żeby go dogonić. - Co ty zamierzasz teraz zrobić?

* * *

Prostaczkowie wszystko w życiu robili tak, jak nakazywały tradycje.

Były tradycje stare, jak czepce modlitewne i śpiewanie psalmów, które sięgały tak daleko w przeszłość, że nikt nie mógł pamiętać ich źródeł. Były też rzeczy nowe, takie jak strzyża i letni wypas, lecz nawet i te wkrótce robiono jednakowo, rok w rok. Tak właśnie postępowali prostaczkowie, przyjmowali narzucane im przez świat zmiany i dostosowywali je do tradycji, które wplecione były w kanwę ich życia. W prostą i wąską drogę.

Jedną z tych tradycji była sprzedaż runa z każdorocznej strzyży.

Millerowie, Yoderowie i Weaverowie wspólnie pracowali przy strzyży, wspólnie też sprzedawali owcze runo. W dobrych latach wiele było worków wełny, i to całkowicie wypchanych, potrzebowano więc dwóch wysokich wozów na siano zaprzężonych w sześć mułów, żeby je zawieźć na targ.

Zadanie wyruszenia w świat pełen niebezpieczeństw i zepsucia i znalezienie tam kupca na wełnę powierzano zawsze Noahowi Weaverowi, bo jako diakon mniej był podatny na pokusy. Przedtem zawsze do powożenia drugim wozem Noah wybierał jednego z braci Millerów. Nieoczekiwanie trzy dni temu przy śniadaniu uniósł głowę znad smażonego kukurydzianego placka i powiedział do syna:

- Jesteś już na tyle dorosły, jak myślę, żeby w tym roku jechać ze mną do Deer Lodge i skontaktować się z pośrednikiem. Żeby się nauczyć, jak się to robi.

Mose pociągnął właśnie z kubka potężny łyk kawy iż trudem go przełknął, parszkając.

- Mówisz, że chcesz, bym powoził jednym wozem z wełną i pojechał z tobą na targ?

- Mówię to, *ja*. Może powinieneś umyć sobie uszy.

Tym razem zatem odmieniony Mose jeździł z ojcem od farmy do farmy i ładował worki z wełną na wozy. Mose, którego myśli obracały się wokół tradycji w życiu prostaczków i swojego w nich udziału. Worki wypchane wełną są ciężkie, ale też wszyscy mężczyźni byli duzi i silni; taka praca jest zdrowa, choć znojna. - „Złe myśli i uczucia wychodzą z ciebie wraz z potem” - lubił mawiać jego ojciec i Mose teraz to rozumiał.

Pracując z innymi, zauważył, że patrzy teraz na to życie, życie prostaczków, inaczej niż dotąd. „Jesteśmy dobrymi ludźmi - pomyślał. - Przestrzegamy surowych zasad i kroczymy wąską drogą, ale bary mamy szerokie, a serca szczodre”.

Na końcu zajechali na farmę Yoderów. I tu wydarzyło się coś bolesnego, a zarazem kojącego. Właściwie była to bagatelka, tylko chwilka, ale dzięki niej jakby jakaś odłamana część znowu się zrosła Mosesowi w całość.

Wydarzyło się to, gdy ostatnie worki z wełną rzucono na sterty już załadowanych na wozy. Mose, jego ojciec i innowierca stali na podwórku, prostując plecy, ocierając pot z oczu i rozmawiając o dobrej tegorocznej strzyży, kiedy z domu wyszła pani Yoder z brytfanką kaszy kukurydzianej.

Zaczęła sypać ją kurom dziobiącym pod stodołą. Szeroko zamachnęła się ręką i wiatr porwał kaszę, zamieniając ją w wirującą żółtą chmurę. Wiatr szarpał tasiemki czepca i luźne pasemka włosów wymykające się pani Yoder spod czepca, oblepiał też jej spódnice na nogach.

Odwróciła się i popatrzyła w ich stronę, szukając wzrokiem innowiercy.

Noah też musiał to zauważyć, bo twarz mu sposepniała pod wpływem dotkliwej urazy. Raz przynajmniej Mose ujrzał ojca nie jako srogiego diakona pełnego cnotliwych myśli, lecz jako Mężczyznę, który rozpaczliwie pragnie kobiety, a ta go nie chce. W tym momencie zrozumiał ból ojca, tak jakby sam go poczuł.

Pani Yoder podeszła do niego, otarła rękę o fartuch i uśmiechając się, powiedziała po swojemu żartobliwie:

- No co, młody Mosesie, podczas tegorocznej sprzedaży wełny ty będziesz musiał pilnować, żeby naszemu Noahowi nic się nie stało w tym dzikim i złym świecie. Coś mi się jednak wydaje, że to trochę tak, jakby wsadzić kojota między kurczaki, czyż nie?

Mose próbował się uśmiechnąć, ale wiedział, że nie bardzo mu to wychodzi. Od owego strasznego popołudnia przy Stawie Blackiego nie miał ochoty wyruszać w świat dziki i zły.

- Musisz przestać myśleć o tamtym dniu, chłopcze. Niech to będzie jak okropny sen, o którym zapomnisz z nadejściem ranka.

Słowa te niemal zaparty mu dech w piersiach, bo innowierca rzadko odzywał się do kogoś z nich, chyba że się do

niego zwrócono. Ponadto wysoce niepokojący był fakt, że czyjeś myśli zostały nagle wyłapane z powietrza i skomentowane w taki sposób.

Na szczęście nikt poza nim tego nie słyszał. Pani Yoder odwróciła się już w stronę jego ojca i ze śmiechem wyciągała mu z brody kłaczki wełny. Stary diakon Noah usiłował wyglądać srogo, lecz Mose widział, że cieszył się z uwagi, jaką mu poświęcała.

Spojrzenie innowiercy zatrzymało się na niej przez chwilę, po czym powędrowało w stronę wzgórza za domem, gdzie Benjo i jego owczarek przepędzali stado maciorek przez bramkę na niższe pastwisko. Przez moment na jego twarzy pojawił się wyraz zadumy, ale moment tak krótki, że Mose zastanawiał się potem, czy przypadkiem mu się nie zdawało.

- Są dni takie jak ten, które warto zapamiętać - powiedział innowierca. - Dzień taki jak ten może pozostać z tobą, może zapaść ci w duszę na zawsze.

- Tak, proszę pana - odparł Mose, kiwając głową, niepewny, czy on mówi wciąż do niego, czy tylko do siebie. A potem usłyszał coś zdumiewającego. Usłyszał śmiech swojego ojca. Pani Yoder groziła, że obetnie mu brodę i zrobi z niej miotłę, bo jest taka długa i gęsta. I ojciec się śmiał.

Mose popatrzył na ojca. Był to duży mężczyzna, o tak mocnych rękach, że potrafiły wrzucić bez wielkiego wysiłku stukilowy worek wełny na wóz. Mężczyzna tak silny, tak utwierdzony w swojej wierze, że zapewne nawet aniołowie nie dorastaliby do jego oczekiwania, a cóż dopiero jego jedyny syn.

Ja, Noah Weaver to mocny człowiek, dobry człowiek. Mose patrzył na roześmianego ojca i czuł, że spokój tej chwili zapada mu w duszę.

Tego ranka po załadowaniu wszystkich worków z wełną, gdy zaprzężono już muły i gotowi byli do wyruszenia do Deer Lodge, Mose wyszedł z domu wystrojony w swoje modne, zamówione przez pocztę ubranie. Ojciec nic nie powiedział, tylko popatrzył na niego z rozczarowaniem malującym się na twarzy. Mose wysunął brodę z wyrazem upor, wspiął się na wysoki kozioł i ujął lejce.

Kiedy już wozy miały wyjeżdżać z podwórka, zobaczył, że drogą w ich stronę biegnie Gracie, furkocąc spódnicami i rozwianymi tasiemkami czepca, a koszyk nakryty płótnem obija się o jej ramię. Przebiegła obok niego i zadyszana, zarumieniona zatrzymała się przy wozie ojca. Ze śmiechem podała mu koszyk.

- Och, taka jestem rada, że cię złapałam, diakonie Noahu. Przyniosłam dla was na drogę trochę naszego dobrego jadła, żebyście nie musieli jadać w tych okropnych *englische* gospodach.

- Dzień dobry. Gracie Zook! - krzyknął Mose.

Nie odpowiedziała. Ostatnim razem, gdy próbował z nią rozmawiać, oznajmiła, że nie chce go więcej widzieć. No dobrze, ta jego Gracie to dziewczyna o mocnej woli i z pewnością teraz na niego nie spojrzy. Tylko że nigdy przedtem nie przynosiła diakonowi Noahowi koszyka z jedzeniem, żeby zabrał ze sobą na targ.

Być może zapoczątkowuje tym nową tradycję.

Myślał o Gracie, o tym, jak ładnie wyglądała z twarzą zarumienioną i z piersią falującą, gdy zasapana oddychała z trudem. Myślał o niej i uśmiechał się, kiedy zobaczył Fergususa Huntera stojącego na drodze wozu ojca.

Obaj musieli raptownie ściągnąć wodze mułom, żeby nie przejechać hodowcy bydła. Ciężkie, wyładowane wozy szarpnęły i zatrzymały się, skrzypiąc i stękając. Przednia para mułów przy wozie Mosesa spłoszyła się i zaczęła stawać dęba w zaprzęgu. Przez chwilę Mose miał co robić, żeby nad nimi zapanować.

Gdy znów uniósł głowę, zobaczył, że syn Fergususa Huntera dołączył do ojca i stoi obok niego. Ich spojrzenia, Mosesa i tamtego młodzieńca, spotkały się na moment. Mose splonął rumieńcem wstydu, gdy sobie przypomniał, jak go ostatnim razem widział ten młody człowiek: leżał przegięty przez pień topoli, a jego goły tyłek smagał parą skórzanych ochraniaczy nogawic rewolwerowiec na służbie u Huntera.

Byli niedaleko od targu bydła w Deer Lodge. Mose zlustrował zagrody i wybiegi, szukając wzrokiem tego wynajętego rewolwerowca, lecz widział tylko krowy.

Czarne oczy hodowcy bydła mierzyły Noaha spod brzegu kapelusza.

- Sądzę - powiedział - że jest pan jednym z tych dżentelmenów kaznodziejów, z którymi rozmawiałem w zeszłym roku. O tym, żeby pan i wasi ludzie odsprzedali Kręgowi H swoje pastwiska.

Zawiał wiatr, przynosząc zapach bydła i wypralonego na słońcu pyłu. I strachu. Mose wyraźnie czuł swój strach, cuchnący jak psujące się mięso.

Lecz jego ojciec, nawet jeśli się bał, nie okazywał tego. Siedział bez ruchu na koźle z głową uniesioną i wzrokiem wbitym w drogę przed sobą, w rękach luźno trzymał lejce. Siedział i milczał na tyle długo, by hodowca bydła się domyślił, że odpowiedzi się nie doczeka, i dopiero potem rzekł:

- Ja, rozmawiałeś, innowierco. Ale nasze poglądy się nie zmieniły.

Usta Fergususa Huntera rozciągnęły się w sztucznym uśmiechu.

- Doprawdy to rzecz szczególna. Ponieważ słyszałem, że ostatnio spotykają waszych ludzi same nieszczęścia: spłoszone bydło, pożary siana i takie rzeczy.

Noah siedział na wozie, nieruchomy i milczący jak głaz.

Hodowca bydła dobył z piersi wystudiowane westchnienie.

- A kłopoty zawsze chyba chodzą stadami - powiedział, potrząsając głową i wyjmując z kieszeni kamizelki cygaro. - Cóż, muszę się panu przyznać... - Odgryzł koniec cygara i wypluł tytoń na ziemię u swoich stóp. - Muszę się przyznać, że na hodowli owiec w ogóle się nie znam. Rozumie pan, moją dziedziną jest raczej bydło. - Włożył cygaro do ust i potarł długą kuchenną zapalną o obręcz koła wozu Noaha. - Choć człowiek zbiera pojedyncze fakty tu i tam - kontynuował z cygarem w zębach i trzymając tuż przy nim palącą się zapalną. - Mówiono mi na przykład... - pociągnął mocno cygaro, aż jego koniuszek rozżarzył się na czerwono, po czym wydmuchnął dym spomiędzy ściągniętych warg - ...że nic nie staje w ogniu szybciej niż kupa natłuszczonego owczego runa.

Fergus Hunter trzymał w powietrzu płonąca zapalną. Płomień chwiały się na wietrze, po czym się poszerzył, a Mosesowi podskoczyło serce ze strachu. Ta jedna zapalną rzucona na wóz pełen worków z wełną mogła wystarczyć, by zamienili się w olbrzymi słup ognia.

Syn hodowcy bydła zrobił nagły ruch, jakby chciał ojcu wyrwać zapalną, ale zaraz opuścił rękę. Zapalną paliła się dalej wielkim płomieniem na wietrze.

- Nie sprzedamy wam pastwisk, innowierco - rzekł Noah. - I nigdy nie zdołacie nas pokonać. Pan powiedział Abramowi: „Jam tarczą twoją i nagrodą twoją obfitą wielce”.

Przez chwilę długą jak wieczność obserwowali wszyscy płomień trawiący cienki drewniany patyczek. Potem hodowca bydła potrząsnął ręką i płomień zgasł, a on obrócił się na pięcie i odszedł, zmierzając z powrotem na targ, skąd przyszedł.

- Nie zrobiłby tego - odezwał się syn Fergus Huntera. - On tylko... Nie zrobiłby tego.

Noah nie odpowiedział, nawet na niego nie spojrział. Ujął lejce, podsunął się wyżej na koźle, a szerokie bary ojca wydawały się jeszcze potężniejsze, choć w oczach Mosesa i tak przesłaniały cały świat.

- Wio! - krzyknął Noah na muły i wóz wolno ruszył.

- Wio! - krzyknął Mose łamiącym się głosem.

Był tak bardzo dumny z ojca, aż mu serce z tej dumy śpiewało.

Żółte światło księżycy w pełni oświetlało dom na farmie lepiej niż pół tuzina latarni. Mose bez trudu znalazł okno, którego szukał. Zebrał garść kamyków i rzucił w szyby, aż zabrzęczało szkło.

- Gracie! - zawołał, usiłując jednocześnie szeptać. - *Wo bist du?*

Skrzydło okna przesunęło się w górę z głośnym skrzypieniem.

- Odejdź, Mosesie Weaverze. Mówiłam ci, że nigdy więcej nie chcę oglądać twojego oblicza.

- Jest noc i możesz zamknąć oczy. Nie musisz na mnie patrzeć, tylko pozwól mi...

Z głębi domu doleciał zaspany, niezadowolony męski głos:

- *Was geht?*

- Okno zatrzęsęło się, skrzypiąc i łomocząc.

Mose oparł się plecami o topolowe belki domu, czując zmęczenie. Co to się stało z miłością. Gracie Zook? A co z miłością kryjącą wszystkie grzechy i z niegniewaniem się na wieki, i przebaczeniem mężczyznom ich występków, co?

Schylił się, żeby poszukać w kostrzewie kamienia odpowiedniej wielkości, znalazł i ważył go w ręce.

Cisnął nim w okno w momencie, gdy znowu się otwierało. Kamień poszybował przez ciemną przestrzeń i wpadł do domu. Rozległo się głucho uderzenie, brzęk i głośny jęk.

- Gracie! - Wgramolił się na parapet, rozdzierając spodnie na gwoździu i uderzając czołem we framugę. - Och, Boże na niebiosach! Gracie, czy ja cię zabiłem?

Biała twarz obramowana białym muślinowym nocnym czepkiem wychynęła z ciemności.

- Jesteś pomyłony!

- Proszę cię, pozwól mi wejść!

- Już wszedłeś.

Nie powiedziała, żeby się cofnął, potraktował więc to jako zaproszenie do pozostania. Stał, przyzwyczajając oczy do ciemności. Usłyszał szelest pościeli, gdy Gracie wróciła do łóżka.

Zdjął marynarkę i koszulę, buty i spodnie. Został w bawełnianym komplecie bielizny z krótkimi nogawkami i wśliznął się do łóżka obok Gracie. W gorącą noc jak ta flanelowa pościel wydawała się gryząca jak mokre siano.

Leżeli w ciemnościach i w ciszy słychać było tylko ich oddechy. Nie dotykali się ciałami, nie dotkną się nigdy do czasu złożenia ślubnej przysięgi. Lecz pod osłoną nocy łatwo się rozmawia, dzieli marzeniami, nadziejami i oczekiwaniami. W ciągu roku zalotów w łóżku poznaje się serce i umysł partnera, z którym będzie się przez resztę życia dzielić małżeńskie łóżko, przekonuje się, czy można odczuwać razem to, co straszne i kruche.

Englischerzy uważali tę ich tradycję zalotów w łóżku za grzeszną. Śmieszne, że Mose przedtem nie rozumiał, co w tym może być grzesznego. A teraz wyobrażał sobie, że jego ręka prześlizguje się po prześcieradle i dotyka ręki Gracie, jego dłoń zakrywa jej pierś, usta całują jej usta, jego...

Judaszu, ależ jest zepsuty! I zmierza prosto do piekła, może z zatrzymaniem się po drodze w domu wariatów.

Wyciągnął i rozłożył szeroko nogi, a ręce założył za głowę.

- Gracie!

Nie odzywała się długo, pomyślał więc, że śpi albo udaje sen. Potem Gracie podniosła się i oparła na łokciu. Światło księżycy wydobyło z mroku jej czoło i łagodną krzywiznę policzka.

- Myślę, że już nie boisz się Boga, Mose. Skoro robisz to, co robiłeś tego roku na wiosnę i w lecie.

- Boję się Go. - Bał się Boga i męki w ogniu piekielnym, a być może jeszcze bardziej innych rzeczy. Bał się, że ją utraci, że nigdy nie zdoła pogodzić się znów z ojcem. Bał się momentu, w którym będzie musiał ostatecznie wybrać między tym, czym jest, a tym, czym chce się stać.

Czuł szczypiące gorąco w piersiach i oczach. Żadna kobieta prócz Gracie nie pomoże mu pozostać wiernym swemu najlepszemu ja.

Ręka mu drżała, tak bardzo pragnął jej dotykać.

- Chodźmy się przejść, Gracie.

Nie czekał na jej odpowiedź, tylko szybko wyskoczył z łóżka. Potykał się, szukając spodni. Ubrał się, a marynarkę przerzucił przez ramię.

Pierwszy wyszedł przez okno, po czym się odwrócił, by pomóc Gracie. Kiedy przerzuciła nogi przez parapet, pochyliła się ku niemu, a wtedy zobaczył, że na nocnej koszuli przy szyi ma wyhaftowane małe żółte stokrotki.

Trawa szeleściła im pod stopami. Wiatr, wciąż ciepły po dziennym prażeniu słońca, jemu rozwiewał włosy, a jej tasiemki nocnego czepka. Puciołowaty księżyc w pełni świecił tak jasno, że widzieli dzikie różyczki rosnące wzdłuż potoku.

Szli obok siebie i ona wsunęła mu swoją dłoń w rękę.

- Znowu jesteś ubrany jak *Englischer* - powiedziała.

A t o b i e, m o j a m a ł a t a j n a b u n t o w n i c o, r o s n ą n a n o c n e j k o s z u l i ż ó ł t e s t o k r o t k i. Nie powiedział jednak tego na głos; nawet on nie był tak wielkim głupcem.

- Próbuje sobie to wszystko w duchu ułożyć. Gracie, i robię postępy. Musisz mi wierzyć.

Chciałby móc jej opowiedzieć o tym, co stało się w Deer Lodge, jak jego ojciec załatwił tych innowierców w sposób właściwy sobie: dzielny, spokojny i godny prostaczków. Nie wiedział, jakich słów ma użyć, by wytłumaczyć Gracie, że pragnie mieć odwagę wiary swojego ojca, lecz wciąż jeszcze nie jest gotów zapłacić tej ceny - kroczyć prostą i wąską drogą i nigdy już z niej nie zbroczyć.

Pewnego dnia powie jej o tym, ale jeszcze nie teraz.

- Myślę, że zawsze będziesz trochę dziki - rzekła - w swoim sercu i w głowie.

Pociągnął ją za rękę, obracając ku sobie.

- Możesz z tym żyć?

Kiwnęła energicznie głową w sposób tak dla niej typowy. To była jego Gracie, a jej myśli orały bruzdy proste i głębokie. Zdjął z ramienia marynarkę i pomacał kieszeń na piersiach.

- Niemal zapomniałem, że coś ci przyniosłem. - Wyjął swoją fotografię przylepioną na tekturce. W Deer Lodge natknął się na wędrownego fotografa i pod wpływem kaprysu zdecydował zafundować sobie własną podobiznę. Moses Weaver w modnym, zamówionym przez pocztę ubraniu. Fotografia wciąż pachniała jakimiś chemikaliami, którymi nasiąkł wóz tego człowieka.

Podał jej fotografię, a ona ją wzięła, po czym zabawnie wciągnęła powietrze, zobaczywszy, co na niej jest.

- Dajesz mi taką zakazaną rzecz?

- Myślałem, że jak już złożę ślubowanie i zostanę na zawsze prostaczkiem, to może będę chciał mieć pamiątkę z czasów, gdy byłem dziki i młodszy, taki pomyłony Mose, który musiał łamać wszystkie zasady. - Zaśmiał się, wzruszając ramionami. - Możesz z nią zrobić, co ci się podoba. Spał ją, jeśli chcesz.

Trzymała w rękach tekturkę, a teraz przysunęła ją sobie do piersi.

- Może tę fotografię zachowam. Potem będę mogła pomachać ci nią przed nosem, kiedy będziesz z siebie robił w domu człowieka wszystkowiedzącego.

Te słowa ogrzały mu serce. Powiedziała „potem”, mówiła więc o czasie, gdy będą już małżeństwem i on będzie wszystkowiedzącym człowiekiem w ich domu. Nie utracił Gracie ani jej nie straci, bo zdecydowała, że on obchodzi ją na tyle, by czekać, aż będzie gotów.

- Gracie!

Pochyliła się i musnęła wargami jego policzek.

- Co?

- Myślę, że może od jutra zacznę zapuszczać sobie brodę.

XXII

Zaczęło się od stukania dzięcioła z czerwonym łebkiem. Potem dołączyło się glissando, krystaliczny odgłos potoku płynącego po kamienistym podłożu. Turkot kół kołyszącego się na nierównościach wozu był kołysanką. A nad tym, przez to i wokół - świst gorącego wiatru.

Muzyka była w niej: cicha i początkowo słodko płynąca, potem nabrała szybszego tempa, stała się pełnym

uczucia śpiewem. Muzyka zamieniła się w kipiącą radością piosenkę i upojona dusza Rachel ulatywała w powietrze.

Muzyka ją opuściła.

Opuściła ją uśmiechając się, gdy wóz kołysał się na szlaku, choć tylko uprzejmością było nazywać to szlakiem. Chodziło o owczą ścieżkę prowadzącą przez garbate i porośnięte sosnami góry i wygarbowane przez słońce zbocza, gdzie prostaczkowie wypasali latem swoje owce.

Farmy Yoderów, Millerów i Weaverów zawsze wspólnie urządzały redyk. Co roku w czerwcu łączono w jedno stado wszystkie owce, kolczykowano i przycinano jagniętom ogony, żeby można je było odróżnić, po czym pędzono zwierzęta na górskie pastwiska. Mężczyźni z wszystkich farm zmieniali się kolejno, doglądając wypasu.

Ben nie lubił samotnego życia na redyku. Nie mógł wytrzymać nawet myśli o takim życiu, jak mówił. Natomiast Rachel uważała, że jej by się bardzo podobało. Czas upływający wolno i słodko w ciągu długich jasnych dni. Życie przepełnione muzyką.

Nie mogła być pasterzem na redyku, to zajęcie nie dla kobiet. Kiedy padała kolej na farmę Yoderów, Rachel zajmowała się zaopatrywaniem obozu. Teraz na wozie miała białe worki z solą dla owiec i obciążone surową skórą pudła załadowane kawą, fasolą i słoniną dla pasterza. I dzisiaj, gdy słońce przenikało przez gałęzie sosen i skowronki wyfruwały spod kopyt jej konia, wiozła wiktuały dla Johnny'ego Kaina.

Dobrze, że innowierca poszedł w góry z owcami i jest z dala od farmy, z dala od niej. Dobrze dla ich nieśmiertelnych dusz i jej cnoty.

Upłynęło niewiele dni od chwili, gdy na świeżo skoszonej łące tańczyła w jego ramionach, od chwili, gdy pocałowała go w usta. Te dni mogła policzyć na palcach rąk i nóg, dni pełne zajęć przy strzyży i przygotowywaniu owiec na redyk. Lecz jej w tym okresie każdą chwilę wypełniał jedynie on.

Nawet wówczas gdy zebrali się wszyscy na redyk - kiedy dawała swojemu bratu Solowi smakołyki do zjedzenia na trasie i podkpiwała sobie z Samuela, który nie znośił jeździć na koniu, narzekając, że nabawi się odcisków od siodła, i śmiała się, gdy wiatr zerwał Leviemu z głowy kapelusz, a głodna maciorka próbowała go zjeść. Nawet będąc bezpieczna w tym swoim życiu wśród kochającej rodziny, zawsze, ale to zawsze zdawała sobie sprawę z obecności Johnny'ego Kaina, i najwyżej mogła się powstrzymać, by go nie dotykać na oczach Noaha i swoich braci.

W pewnym momencie, gdy byli sami, popatrzył na nią z tym swoim nikłym uśmiechem, który pojawiał się jedynie w oczach, i powiedział:

- Myślisz, że gdy tylko ja z owcami zniknę za tamtym dalekim grzbietem, uwolnisz się od pokusy. Czy jednak nie zapomniałaś, że kiedy wasz Jezus udał się na pustynię, diabeł podążył za nim?

- Myślę i wiem, panie Kain, że miesiąc spędzony z naszymi owcami na górze powinien nauczyć pańską duszę cnoty wstrzemięźliwości i doceniania samotności.

Roześmiał się.

- Madam, nie potrzebuję wyprawiać się na żadną górę, żeby uczyć się wstrzemięźliwości.

To właśnie wtedy, wśród tysiąca beczących owiec, była najbliższa wyznania, że go kocha. Może uważała za niezbędne, by to wiedział. Może musiała mu powiedzieć, że gdyby pragnęło go tylko jej ciało, wtedy o wiele łatwiej pozwoliłaby mu odejść.

Śmiech Kaina zwrócił uwagę jej braci, odeszła więc od niego.

Odszukał ją jednak, zanim odjechali, i poprosił:

- Przyjedź z prowiantem, gdy nadejdzie pora zaopatrzenia obozowiska. Nie посыłaj nikogo innego.

- Ale musi pan zrozumieć, że nic się nie zmieni. Będziemy nadal tym, czym jesteśmy - odparła.

- Obiecuj mi, Rachel, że to ty przyjedziesz.

- Obiecuję.

Wóz zakołysał się na kamieniu, a pudła z prowiantem podskoczyły i zagruchotały.

- Trzymasz się porządnie tam z tyłu? - zawołała do Benja. Chłopiec, machając nogami, siedział na opuszczonym tyle wozu ze świeżo upieczonym plackiem z melasą, powierzonym jego czulej opiece.

W odpowiedzi usłyszała przytłumione „aha”.

- Zabieraj swoje lepkie palce z tego placka! - powiedziała. Nie musiała się oglądać, dobrze знаła syna.

Wyjechali z przyjemnego cienia ścieżki osłoniętej drzewami na polanę zalaną promieniami słońca.

Z przeciwległego krańca łąki błysnęła na powitanie blaszana rura piecyka pasterskiego wozu. Na słońcu pasło się kilka owiec, większość schowała się jednak w cieniu wśród drzew. Był tam MacDuff, z uszami postawionymi na sztorc, z wywieszonym językiem, machający ogonem. Nie widziała innowiercy.

Wyprzęgli i napoili kobyłę, po czym ją luźno przywiązali, żeby mogła się paść. Wyładowali wiktuały i poszli zobaczyć stado. Owce wyglądały teraz znacznie ładniej, bo już im odrastała wełna. Rachel pogłaskała po łbie jedną z maciorek i poczuła, jak miękkie w dotyku jest świeże runo.

- Co zrobiłaś ze swoim pasterzem? - spytała maciorkę, a ta popatrzyła na nią słodkimi, ale pustymi oczami.

Potem usłyszała charkot i odgłosy duszenia się i zobaczyła, że zmartwiony Benjo marszczy czoło, a oczy ma

wytrzeszczone i bardzo błyszczące. Nie może wydobyć słów z zaciśniętego gardła.

- O... o... o...

- Nie, on nie odszedł - powiedziała. Poglaskała syna po głowie jak przed chwilą maciorkę. - Nie porzuciłby naszych owieczek na pastwę kojotów i niedźwiedzi.

Rozumiała jednak lęk syna, bo i ona go podzielała. Któregoś dnia się przekonają, że Johnny Kain zniknął wcześniej, niż miał.

- Może poszedł upolować cietrzewia albo zająca na kolację - przekonywała.

Benjo zagłębił się w sosnowy las i przeszukiwał go wzrokiem. Rachel poszła z nim. Usłyszeli najpierw przerażone beczenie, potem wyraźne odgłosy jakby mlaskania i ciche męskie, melodyjne przekleństwa.

- Ty perfidna córko rozpustnej suki! Każda cholerna owca o baraniej głowie jak ty zasługuje na to, żeby się utopić.

- Nie słuchaj - nakazała synowi Rachel, a zaczerwienione uszy ją paliły. Musiała jednak wciągnąć policzki, żeby się nie śmiać z powodu widoku, jaki roztaczał się przed jej oczami.

Tłusta becząca maciorka stała po golenie w trzęsawisku utworzonym chyba przez podziemne źródło. Nie mogła z niego wyleźć, bo była zbyt obciążona błokiem albo za głupia, stała więc, drżąc i skarżąc się innowiercy, który popychał ją od tyłu i próbował stamtąd wydostać.

Rachel nie przypuszczała, że ich zauważył, ale on zawołał:

- Czy pozostanie pani tam na górze, pani Yoder? Czy też zejdzie tu niżej, żeby taplać się w błocie z resztą nas, grzeszników?

- Sądzę, że tu zostanę, panie Kain.

Benjo z chłopcym zamilowaniem do wszystkiego, co mokre i brudne, ochoczo wskoczył do bagna, żeby pomóc innowiercy. Chwytał owcę z prawej strony zadka, Kain z lewej i podnieśli ją wspólnymi siłami. Maciorka wyskoczyła z trzęsawiska z głośnym mlaśnięcio-pyknięciem jak korek z butelki. Pokręciła się w koło, parszając, becząc i potrząsając łbem, po czym pobiegła kłusem do reszty stada, jakby nic się nie stało.

Mężczyzna i chłopiec wyskoczyli za nią, zabierając ze sobą dużą część bagienka.

Kain mankietem koszuli wytarł piasek z ust.

- To chyba jedyne trzęsawisko, jakie pozostało na terenie całej Miawy - powiedział - a ta musiała je akurat znaleźć.

Rachel podeszła i brzegiem fartucha wytarła mu bryzgi błota z twarzy, przez cały czas patrząc z uśmiechem w oczy.

Wrócili na polanę razem, we trójkę, jak rodzina. Rachel czuła, że buczy jej w piersiach, jakby serce rozgrzewało się przed zaśpiewaniem. „Jest jakaś czystość w chwilach jak ta - pomyślała - chwilach jasnych i migotliwych, niczym poranek po ulewie, gdy cały świat wygląda jak świeżo wyprany”.

Zerknęła z ukosa na Kaina, zastanawiając się, czy on też odczuwa czystość tej chwili. Wyglądał doskonale. Dni spędzone na letnim słońcu zabarwiły mu bladą skórę na złocisty kolor jabłeczniaka. W oczach miał srebrzyste iskierki. „Pewno mogłabym iść tak z nim i patrzeć na niego bez końca” - pomyślała.

Spojrzenia ich się spotkały.

- A więc, panie Kain, jest pan zadowolony, widząc... nas? - M n i e. Powiedziała niemal m n i e i on to wiedział.

- Jestem zadowolony, widząc kogoś, kto potrafi zrobić kubek porządnej kawy. Można by wrzucić końską podkowę do tego szlamu, który ja robię.

- A prócz błotnej kąpieli i pańskiej podłej kawy, jak pan przeżył pierwsze dni letniego wypasu?

- Nooo - odparł, przeciągając to słowo jak melasę - zacząłem rozmawiać z owcami w zeszły wtorek i w piątek już mi odpowiadały, ale naprawdę zacząłem się martwić dopiero dziś rano. - Zerknęła na nią, a kąciki jego ust się uniosły. - Kiedy to, co mówiły, zaczęło mieć sens.

Śmiała się i szła, lekko teraz podskakując. Najchętniej wsunęłaby rękę do jego dłoni, pochyliła się ku niemu, przysunęła bliżej - gdyby był jej mężem. Lecz nie był jej mężem.

Mignęło jej jakieś brunatne zwierzę wśród sosen. Początkowo myślała, że to jelen, ale było za duże na jelenia. Potem się zorientowała, że jest ich więcej, pewno z piętnaście sztuk, i pasą się na tych paru kępach suchej kostrzewy, które rosły wśród rzadko rosnących drzew.

- B... bydlę Huntera! - krzyknął Benjo, pokazując palcem.

- Parę dni temu te krowy postanowiły nieproszone dołączyć do zabawy naszych owiec - wyjaśnił Kain, idąc obok niej. - Pozbyłem się ich stąd, a one wciąż tu leżą.

- Mamy tego roku takie gorące, suche lato. Wydaje się, że na całym świecie brakuje trawy.

Biedne bydlę wyglądało na wyczerpane i zagłodzone, same kości i parszywa skóra. Rachel nie miałyby nic przeciwko temu, żeby dzielić z nimi hale, ale wątpiła, by Fergus Hunter chciał podzielić się z nią czymkolwiek.

Ta myśl jak przelotna chmura przyćmiła słońce tego dnia. Wzrok Rachel powędrował, jak przyciągany jakąś magnetyczną siłą, w stronę pasa z bronią, zwisającego ciężko i groźnie na biodrach innowiercy.

Dla pani ich zabiję, jeśli pani chce.

Tym razem zabijam ich dla pani.

Nigdy w życiu się nie bała, bo przy niej był zawsze Bóg. Przez całe życie Pan był jej tarczą, a wiara pociechą. Potem w akcji okrutnej i bezsensownej przemocy zabrano od niej Bena, stado spłoszonego bydła o mało nie zabrało jej syna, a z nocy wychynęli ludzie z rozpalonymi żelazami, by spalić jej siano. Lęk zjawił się w życiu Rachel, nadszarpując wiarę, rzucając cień na duszę. I niekiedy podczas tego długiego gorącego lata jakaś jej zagubiona część zaczynała się skłaniać z wolna ku nowej wierze, ku przekonaniu, że Johnny Kain może być jej tarczą i pociechą - Johnny Kain i jego kolt.

Przeszli przez stado pasące się na wyschniętej kostrzewie i wszyscy troje z przyzwyczajenia zaczęli przepatrywać maciorki i ich dzieci. W każdej chwili mogło na nie spaść sto jeden katastrof. Wymagały nieustannego pilnowania.

- Ostatniej nocy kojoty zagryzły dwoje jagniąt - powiedział Kain, unosząc ogon rocznemu skopowi i sprawdzając, czy nie ma robaków. - Wygląda to na robotę suki ze szczeniętami, które uczy polować. Ma chromą łapę.

Benjo, który pochylił się, żeby potrzeć się nosem z jagnięciem o czarnym pyszczku, szybko się wyprostował. Patrzył na innowiercę błagalnym wzrokiem, szeroko otwartymi, przerażonymi oczami.

- N... n... n...! - Wcisnął obcas ciężkiego buciora w trawę, a mięśnie na szczęce uwypuklały mu się i napinały przy przeżuwananiu słów, zanim zdołały wydostać się z gardła. Wykrzywione w grymasie wargi obnażały zęby. - Nnnnnn! - krzyknął na ostatnim bolesnym wydechu, po czym poderwał się i pobiegł w stronę potoku.

- Nie wiem, co się z nim dzieje - rzekła Rachel. - Nigdy przedtem nie bał się kojotów, a ostatnio każda wzmianka o nich wprawia go w popłoch.

Kain spoglądał za nim, a oczy mu się zwężyły, jak komuś, kto rozważa jakąś lekko niepokojącą kwestię.

- Może niedawno widział, jak zabijają.

- Och, mam nadzieję, że nie. - Zadrżała na wspomnienie rozszarpanych brzuchów, żeber przebijających porwaną wełnę, wnętrzości rozwłóczonych po nasiąkniętej krwią trawie i kości objedzonych do czysta. - Benjo ma takie miękkie serce, jeśli chodzi o zwierzęta, a kojoty potrafią zrobić z jagnięciem straszne rzeczy.

- To należy do życia - powiedział Kain. Gruboskórność tych słów pasowała do wyrazu, jaki pojawił się na jego obliczu.

Patrzyła na tę twarz, w te oczy tak bezlitosne, tak bezwzględne. Nie chciałyby, żeby Benjo kiedykolwiek miał takie oczy. Kain jest człowiekiem twardym i zahartowanym przez życie. Życie w świecie, gdzie wyrwa się wnętrzości słodkim małym jagniętom, gdzie niebo zapomniało o deszczu i trawy wyschły, gdzie nocą przychodzą ludzie z rozżarzonymi żelazami i gdzie bez powodu wieszają się czyjś męża na gałęzi topoli.

Kiedy na niego patrzyła, zobaczyła, że twarz mu łagodnieje. Dojrzała też w jego oczach zamiar, zanim podniósł rękę, by jej dotknąć. Musnął tylko jej brodę, lekko, leciutko, końcami palców, a ona o mało się nie rozpląkała.

- Ty i twój chłopak nie musicie bać się kojotów - powiedział najłagodniejszym głosem, jaki słyszała u mężczyzny.

Innowierca poszedł poszukać Benja, żeby razem z nim złowić w rzece jakąś rybę na kolację.

Rachel z przyjemnością myślała, że to męskie zajęcie wykonują wspólnie. Miała nadzieję, że syn otworzy się przed Kainem, opowie o swoich lękach. Tylko że Benjo miał ogromne trudności z mówieniem, a kiedy słowa związane były z silnymi emocjami, wypowiedzenie ich stawało się niemal niemożliwe. A innowierca, który sam by się nie otworzył nawet pod wpływem uderzeń kowalskiego młota, na pewno nie będzie próbował go wysondować i dowiedzieć się czegoś o jego zmartwieniach. Nie miał tego w zwyczaju, tak zresztą jak tutejsi ludzie. Szczerze mówiąc, prostaczkowie też nie zajmowali się sondowaniem i wypytywaniem.

Westchnęła. Pewno tylko zловіą jakąś rybę.

Postanowiła tymczasem trochę posprzątać w pasterskim wozie. Z doświadczenia wiedziała, że mężczyzna mieszkający samotnie na ograniczonej przestrzeni ma skłonność do zupełnego zapomnienia, iż schludność to następna cnota po pobożności.

Górna połowa drzwi była otwarta, by do wozu wchodziło powietrze. Rachel wspięła się po wąskich schodkach i odsunęła zasuwkę dolnej części drzwi. Skrzywiła się, gdy zaskrzypiały nienaoliwione zawiasy.

Zawsze się dziwiła, jaką praktyczną rzeczą jest taki pasterski wóz. W tylnej części miał wąską pryczę, a z przodu małą kwadratową kuchenkę. Przy jednym boku znajdował się składany namiot, który można było złożyć, gdy się go nie używało. Wzdłuż drugiego boku stały skrzynie z prowiantem, służące też do siedzenia. Wóz mógłby sprawiać wrażenie ciasnego, ale umieszczony na wysokich kołach ze szprychami i przykryty półokrągłym płóciennym dachem wydawał się całkiem przestronny.

W środku panował większy porządek, niż się spodziewała, choć kociołek z gulaszem był zawieszony na żelaznym stojaku, który z pewnością pamiętał lepsze dni. Zdjęła z kuchenki dzbanek na kawę, wstrząsnęła nim, uniosła pokrywkę i zmarszczyła nos na widok smolistego osadu na dnie. Nie zabrała się jednak od razu do parzenia świeżej kawy. Wypakowała ostatnie pudło z żywnością, które z Benjem przywieźli z farmy. Na samym dnie leżał, zawinięty dla ochrony w papier, prezent zrobiony przez nią dla Johnny'ego Kaina.

Żółty atlasowy perkal połyskiwał w świetle, gdy rozwinęła szary papier.

Tego straszego dnia, kupując atlasowy perkal w Miawa City, postąpiła bezbożnie. A kiedy już go miała,

dopuszczała się następnej bezbożności. Och, może nie tyle bezbożności, ile czegoś, co było z tego świata: uszyła marszczone zasłonki.

W wozie pasterskim po tej stronie co stół znajdowało się okno w drewnianej ramie wstawionej w grube płótno. Zamiast szyb miało natłuszczony pergamin, ale było na tyle duże, że dawało światło i widok na góry i sosny, na akry trawy i bezkresne górskie niebo. Na tyle duże, że nadawało się do powieszenia zasłonek z żółtego atłasowego perkalu.

Takiego prezentu nie mogłaby zrobić żadnemu prostaczkowi. Nie widziała jednak niczego złego w tym, że podaruje innowiercy jakiś cieszący oko drobiazg, żeby umilić mu dni spędzane w samotności podczas letniego wypasu.

Kłęcząc na stole, powiesiła na kawałku sznura zasłonki na oknie. Właśnie składała stół, gdy usłyszała skrzypienie butów na schodkach. Odskoczyła od okna i udawała, że zajmuje się dzbankiem do kawy. Z góry cieszyła się na reakcję Kaina.

- No i co, złapaliście jakąś rybę? - spytała, wycierając ręce w fartuch i wsuwając obluźniony kosmyk włosów pod czepiec.

- Mnóstwo niebieskich łososi. - Omiatał spojrzeniem wóz, ale ją omijał. - Myślę, że ty i Benjo moglibyście dzisiejszej nocy położyć się na pryczy - powiedział. Kołysał się lekko na piętach i pociągnął brzeg kapelusza. - Ja większość nocy i tak przespałem na dworze. Jest tam chłodniej. I chcę też zacząć się na kojoty.

- Mam niespodziankę - wygadała się. Uśmiechała się i miała wrażenie, że unosi się w powietrzu. Czuła się zakochana, zakochana w nim, i to bardzo. - Właściwie dwie niespodzianki. Jedną z nich był placek z melasą, tylko że mój chłopak spałaszował większą część po drodze. A to zrobiłam specjalnie dla ciebie. - Okręciła się i rozpromieniona i zakochana pokazała zasłonki. - Taki drobiazg dla ozdoby.

Patrzyła na zasłonki, wciąż się uśmiechając, i nie zauważyła ciszy. Odwróciła się do niego z uśmiechem i nadal się uśmiechała, nawet gdy zobaczyła, że poblądł, a oczy zrobiły mu się puste i złe.

Obrócił się na pięcie i bez słowa wyszedł z wozu, zostawiając ją samą.

Rozpaliła na łące ognisko i ugotowała ryby, które złowili, ale Kain nie przyszedł na kolację. Później, tego wieczoru, gdy leżała przytulona do syna na wąskiej pryczy i odmawiała po cichu modlitwy, jak to robią prostaczkowie, spojrzała na okno.

Zasłonki zniknęły.

Zbudziło ją wycie kuguara.

Usiadła, macając po ciemku pod pryczą w poszukiwaniu blaszanego pudełka z zapalnikami. Benjo poruszył się przez sen, ale się nie obudził. Zapaliła zapalnik, żeby odnaleźć buty i swoją chustę, którą narzuciła na koszulę nocną. Zaczekała jednak z zapaleniem światła i dopiero po wyjściu z wozu przytknęła zapalnik do knota lampy naftowej.

Przy schodkach stał MacDuff na sztywnych łapach ze zjeżoną sierścią na karku. Owce beczały i przerażone zbiły się w gromadę. Wycie kuguara to coś strasznego, gdy słyszy się je w nocy. Przypomina wrzask kobiety.

Wyteżała słuch, ale słyszała teraz jedynie wiatr, który potrząsał wierzchołkami drzew. MacDuff cicho zaskomlał i znów się położył.

Lampa rzuciła słaby blask na sosny, a na trawę długie cienie. Rachel krążyła wśród owiec, szeptem je uspokajając. Modliła się, żeby kuguar ich nie zaatakował.

Kiedy Ben wyjeżdżał na letni wypas, zabierał ze sobą starą strzelbę, żeby móc się rozprawić z kojotami, niedźwiedziami czy kuguarami. Lecz strzelba została w stodole na farmie, a Johnny Kain - jej tarcza i pociecha - chyba ją opuścił.

Jeśli innowierca nie pojawi się do rana, będzie musiała posłać Benja do doliny po Noaha, bo owce nie mogą przecież zostać bez pasterza. Będzie musiała spojrzeć w oczy Noahowi i przyznać się do popełnienia błędu.

Owce już się pokładły, powróciły do swoich snów o zielonych łąkach. Rachel nie powróciła na pryczę ani do swoich niewesołych snów. Zgasiła lampę i pozwoliła się pochłonąć ciemnogrnatowej nocy.

Księżyc, świecący białym i twardym światłem, balansował na wierzchołku najwyższej góry. Rachel odchyliła głowę do tyłu i wydawało jej się, że spada w wielką czarną misę nieba pobielonego gwiazdami.

Potem kątem oka zarejestrowała jakiś ruch przy kamiennym kopcu na przeciwległym krańcu polany.

Ten stos w kształcie stożka budowali przez lata pasterze w czasie letnich wypasów. Każdy dokładał po jednym kamieniu za spędzony tu samotnie tydzień. Tradycja ta nie miała jakiegось specjalnego znaczenia, tyle że jej owoc zamienił się w pomnik samotności.

Miał na sobie czarny prochowiec, ledwie więc mogła odróżnić, gdzie kończył się on, a zaczynała ciemność nocy. Spoglądali na siebie, powietrze wokół nich było naładowane i wibrujące jak pauza między błyskawicą a grzmotem.

Ruszył nagle w jej stronę, prochowiec zatrzepotał, rzucając na nią cień. W ręce trzymał zerwaną i zmiętą żółtą perkalową zasłonkę.

Cofnęła się o krok, on się zatrzymał. Głęboko wciągnął powietrze, raz i drugi.

- Nie zrobię ci krzywdy.

- Wiem, Johnny - skłamała. Bo mógł ją skrzywdzić na wiele sposobów.

Wypuścił z ręki żółty perkal, który poszybował na ziemię.

- Nie odchodź więc ode mnie - poprosił.

Zrobiła krok w jego stronę, po czym następny. Wyciągnęła ku niemu rękę, on też, w rezultacie ich dłonie spotkały się w połowie drogi, a palce splotły ze sobą.

Stali tak jakiś czas, dotykając się w milczeniu. Potem lekko pociągnął ją w swoją stronę. Podeszła bliżej, a on usiadł u stóp kamiennego kopca i ściągnawszy w dół, posadził ją między udami. Oparła się plecami na jego klatce piersiowej, rękami oplótła kolana. Pozostali tak przez dłuższą chwilę w milczeniu - Rachel siedziała w kręgu tworzonym przez ciało Kaina.

Głodził jej ugięte kolano. Czuła na karku jego ciepły oddech.

- Zawsze myślałem, że owce są białe, a tymczasem są szare - powiedział, wprowadzając ją w tok swoich myśli. - Mają kolor sosu, jaki jadaliśmy z bułeczkami robionymi na sodzie w soboty na kolację. Sosu tak wodnistego, że kolorem przypominał owce.

- Byliście więc ubodzy, prawda?

Pogrzywał się znów w milczeniu, ale to jej nie przeszkadzało. Da mu w darze milczenie i tę noc, bo - podobnie jak owiec i pór roku - jego też nie można ponaglać.

Usłyszała szelest, potem skrzek i gdy spojrzała w górę, zobaczyła uskrzydłony cień sowy przelatującej na tle księżycy.

Czuła, jak jego pierś się poruszyła, gdy wypuścił wstrzymywane powietrze.

- Nie jestem w tym dobry, Rachel. To tak jakby pozwolić komuś trzymać cię w szachu podczas strzelaniny.

- Daj temu spokój i tylko mnie trzymaj - odparła, bo doszła do wniosku, że nigdy nie zrozumie źródła tych ciemności, które w nim istnieją. Nie ma mowy o zrozumieniu, można jedynie go zaakceptować.

Ramiona luźno ją obejmujące teraz zacisnęły się trochę mocniej.

- W południowym Teksasie jest sierociniec, tyle że nazywają go bardziej wymyślnie: Dom Podrzutków dla Chłopców - Błogosławieni Miłośnierni. Otoczony wysokim ogrodzeniem z kutego żelaza z bramą od frontu. Tam podobno mnie znaleziono, byłem przywiązany sznurem do bramy jak opuszczony pies.

Rachel ujęła w dłonie jego rękę pełną blizn, piękną i śmiertelnie niebezpieczną, tak jakby osłaniała rannego ptaka. Próbował się uwolnić, ale wzmocniła uścisk. Musiała go dotykać, pocieszać, a on jej to utrudniał.

- Co roku na wiosnę pewnego dnia wystawiano nas w kościele do adopcji, jak to nazywano. - Zaśmiał się chrapliwie. - O, Rachel, byliśmy tacy żalosi! Pucowaliśmy twarze, przyglądaliśmy włosy, przywołyaliśmy na usta proszalny uśmiech i każdy z nas miał nadzieję, że to on zostanie wybrany. Wiedzieliśmy, że jeśli będziemy dobrze się zachowywać i naprawdę ciężko pracować, to nie oddadzą nas przed zimą do Domu Podrzutków.

A zawsze oddawano, bo wcale nie chodziło o żadną adopcję. Dom wypożyczał nas miejscowym farmerom na czas siewów i żniw. Ale nawet wtedy, gdy przejrzałem już tę grę, każdej cholernej wiosny stawałem w kościele i miałem nadzieję, że jakaś rodzina wybierze mnie na swojego syna.

Rachel tak mocno zagryzła wargi, że aż poczuła smak krwi. Pomyślała o krześle, które zawsze czekało na nią przy ojcowskim stole. Nie musiała liczyć na to, że zostanie wybrana, bo miała kochającą i troskliwą rodzinę, i swoje życie wśród prostaczków.

- Gdy ukończyłem dziesięć lat, wypożyczono mnie na lato do niejakiego Silasa Cowpera, który hodował wieprze. Twierdził, że przed wojną miał własnych niewolników. Myślę, że nie przywiązywał wielkiej wagi do Proklamacji o zniesieniu niewolnictwa, bo był święcie przekonany, że jest właścicielem mojego biednego tyłka. I nie wiem, czy jakkolwiek niewolnik pracował kiedy tak ciężko jak ja.

Uciekłem przy pierwszej okazji, jaka się nadarzyła, ale łatwo mnie złapał. Za pomocą psów, które hodował do walki z bykami. Przyciągnął mnie z powrotem na farmę, założył okowy na ręce i nogi i przykuł na łańcuchu do słupa w stodole koło dużego haka na padlinę.

Mówił teraz ochrypniętym, zdławionym głosem, jakby go duszono. Wyczuwała, że gdzieś głęboko w środku dygocze.

- Cowper nadział na ten hak wieprza i podciągnął na bloczkach w górę, tylko że wieprzek wcale nie był zdechły. Wisiał tam dwa dni, kwicząc, krwawiąc i zdychając. A ja byłem przykuty pod spodem.

Siedziała bez ruchu. Chciała się obrócić w jego ramionach, przycisnąć mocniej i powiedzieć mu, że nie wiedziała, nic nie wiedziała. Lecz się nie poruszała.

- Kiedy wieprzek w końcu zdechł, Cowper go wypatroszył, wrzucił do beczki z gotującą się wodą, żeby łatwiej, jak mówił, oskrobać z niego szczecinę. Przez cały czas, kiedy to robił, przemawiał do mnie, mówił, że należę do niego i jeśli jeszcze raz ucieknę, zrobi ze mną to samo, co z tym wieprzkiem. I ja mu wierzyłem.

Zaczerpnął powietrza i przywarł piersiami do jej pleców, mogła więc wyczuć, że serce mu wali jak ptakowi złapanemu w siłą.

- Od tej pory byłem przywiązany łańcuchem do słupa w stodole, wtedy gdy nie musiałem harować. Oprócz

wieczorów, kiedy wieształ mnie na tym haku i batem obciążonym śrutem chłostał mi plecy do krwi. Potrzebowałem prawie całego roku, żeby rozerwać ogniwo w łańcuchu.

Na chwilę zacisnęło mu się gardło, tak jak czasami jej synowi. Ogarnęły ich ciemności i nocna cisza. Rachel miała wrażenie, że serce ma poobijane i potłuczone, jakby wyrwano je z ciała i uderzano nim w kamienie za ich plecami.

- Wyobrażalem sobie - powiedział, a jego głos brzmiał teraz beznamiętnie i chłodno - że jeśli nie mam skończyć jak ten zaszlachtowany wieprz, to muszę mieć pewność. Pewność, że Cowper nie będzie mógł mnie szukać. Za drugim razem, zanim uciekłem, wziąłem widły, poszedłem do domu i dźgnąłem go nimi w brzuch. Na wszelki wypadek zrobiłem to trzy razy, żeby zabić go na amen.

Rachel podniosła do ust jego rękę i przycisnęła do niej ściągnięte wargi, chcąc pozbyć się bólu ściskającego gardło. Taki mały chłopiec. Był małym chłopcem, mniej więcej w wieku Benja, kiedy wyrządzono mu tę okropną krzywdę. Kiedy on zrobił tę okropną rzecz.

Obrócił ją twarzą ku sobie.

- Nie, nie płacz nade mną - powiedział. - To mnie zawstydzą.

Opuściła wzrok. Popłynęło jeszcze więcej łez, mocząc sprane płótno nocnej koszuli.

- Kocham cię.

Słyszała, że wstrzymał oddech, a potem wolno i ostrożnie wypuścił powietrze. Uniosła znów głowę i patrzyła na jego piękne usta, na jego stare i młode zarazem oczy.

- Tego też nie rób - rzekł.

- Za późno.

Podniósł z ziemi zmięty żółty perkal i podawał jej niczym dar.

- Zastrzeliłem kiedyś kobietę - oznajmił i głos miał znowu beznamiętny, twardy i zimny. - To była dziewczyna z tancbudy w pewnym mieście, którego nazwy nawet nie pamiętam. Poprzedniego wieczoru dałem jej trzydolarowy zeton za pięć minut w łóżku. Ale nazwiska tej dziewczyny też nie pamiętam, bo zresztą nigdy go nie znałem.

Widziała, jak ręka, w której trzymał żółty perkal, zacisnęła się w pięść, a ona bolała nad nim i nad sobą.

- Nie mów mi nic więcej, Johnny. Nie chcę nic więcej wiedzieć.

A jednak mówił dalej:

- Następnego ranka, gdy wychodziłem ze stajni, usłyszałem, że jakiś mężczyzna wykrzykuje moje nazwisko. Nie znałem tego człowieka. To był kolejny szybkostrzelny gość i chciał się móc chlubić tym, że mnie załatwił. Zaczęliśmy strzelać. Z wrót stajni na wszystkie strony leciały drzazgi, pełno było kurzu i dymu. Przez tuman kurzu i dymu zobaczyłem ją, jak wybiega z baru, w którym pracowała, zobaczyłem ją, wiem, że ją zobaczyłem, ale nie mogłem przestać strzelać, bo tego mnie nauczono, wiesz, żeby nie przestawać, dopóki nie opróżni się broni.

Jedna z moich kulek trafiła ją w pierś. Miała sukienkę z błyszczącego żółtego materiału, takiego jak ten, i na całej tej ładnej żółtej sukience pełno było krwi.

Rozwarł pięść i perkal znów poszybował na ziemię.

- Podszedłem, popatrzyłem na nią, popatrzyłem z góry na nią, po czym wsiadłem na konia i odjechałem. Myślałem, że powinienem coś czuć. Prerażenie, żal czy wstyd, coś, cokolwiek. P r ó b o w a ł e m jej żałować, żałować tego, co zrobiłem, ale nic we mnie nie było, jedynie pustka. I czułem się zmęczony, naprawdę zmęczony, i to wszystko...

Położył jej dłoń na brodzie, zamykając usta kciukiem, choć nic jeszcze nie powiedziała.

- Wyłącznie siebie mogę winić za to, Rachel, że od tego hodowcy wieprzy doszedłem do zastrzelenia na ulicy kobiety niczym bezdomnego psa. Nie miałem szczęścia, ale ktoś lepszy niż ja podchodziłby inaczej do życia. Inaczej by postępował.

Muskała wargami jego palce, a potem gdy się odezwała, dotykała ich koniuszkiem języka.

- Jeśli zwrócisz się do Pana z prawdziwą skruchą w sercu, to wszystkie twoje grzechy zostaną ci przebaczone. Żeby nie wiem jak wydawały się nie do przebaczenia.

- Jestem zabójcą, Rachel. Zabiłem i zabijałem, i teraz jestem jak kojoty i wilki, istotą, która zabija, bo musi, bez myśli czy uczucia, dlatego, że w swojej naturze ma zabijanie. - Usta wykrzywił mu potworny uśmiech. - Nie wierzę, żeby wasz Bóg zechciał aż tyle wybaczyć.

Ujęła jego twarz w swoje ręce, chwyciła go mocno, niemal nim potrząsając.

- Pozwól mi być twoją wiarą!

W jego oczach zobaczyła jednak rozpacz kogoś, kto jest pewien, że nie ma ratunku na mrocznej drodze, którą zdecydował się kroczyć.

Nie mogła tego znieść. Przyciągnęła do swojej piersi jego głowę i głaskała po włosach jak matka. Lecz niedługo, bo po chwili zaczął otwartymi ustami dotykać jej szyi. I wyczuła w jego ciele pragnienie, pragnienie kobiety przez mężczyznę.

Uniósł głowę i myślała, że ją pocałuje, ale on zapytał:

- Zrobisz coś dla mnie? Rozpuścisz włosy?

Zdjęła nocny czepek i pozwoliła, by poszybował na ziemię jak biały płatek. Wyjęła wszystkie szpilki z włosów;

splęły na ramiona, otulając ją niczym grubą peleryną, a następnie opadły niżej, aż ich podwinięte końce dotknęły leżącego na ziemi czepka.

Patrzył na nią długo. Drżącymi rękami podniósł ku twarzy włosy, jakby chciał się ich napić.

- Lepiej zostaw mnie teraz samego - powiedział i pozwolił, by włosy przesunęły się między jego palcami.

Rano przygotowała dla nich tradycyjne pasterskie śniadanie: ser zmieszany z mlekiem z puszki i chleb.

Słońce znowu paliło, rzucając czerwonawy poblask na gęstą kostrzewę i zabarwiając na różowo wełnę na owczych grzbietach. W powietrzu unosił się zapach zmoczonego rosą sosnowego igliwia, skrzekliwie śpiewały kuliki.

Jej syn zwalczył chyba lęk przed kojotami i wyrzucał z siebie pytania szybciej, niż ona i Kain mogli odpowiedzieć - a przynajmniej szybciej, niż mieli na to ochotę. Innowierca siedział i obejmował rękami kubek z kawą, a z jego oczu wycierała nerwowość i dzikość. Nagromadziło się między nimi tyle emocji, że nie było miejsca na słowa.

Odezwał się do niej tylko raz, gdy wóz był już zaprzężony i Benjo pobiegł podokazywać na pożegnanie z MacDuffem.

- Przyślij kogoś do opieki nad twoimi owcami, a mnie pozwól odejść, Rachel. Pozwól mi odejść!

- Kocham cię - odparła. - Niedługo ci pokażę, jak bardzo cię kocham.

Nie wybrała się już w góry. Zaopatrywanie obozowiska przejął młody Mose Weaver; pewnego dnia w lipcu pojechał w góry i miał tam zostać, bo przyszła na niego kolej pilnowania wypasu. Rachel wiedziała, że innowierca wróci teraz do domu i do niej. Miała nadzieję, że wróci.

Posłała Benja na farmę swojego ojca, żeby pomógł Solowi w pobieleniu nowego ogrodzenia, które stawiali. Wyciągnęła pocynkowaną blaszaną wannę i na kuchennym piecu grzała wodę do kąpieli. Umyła sobie włosy. Po południu, kiedy spodziewała się Kaina, całe jej ciało ogarnęło słodkie oczekiwanie.

To wtedy właśnie Ezekiel, ich najlepszy tryk, zaczął szaleć.

Tryki trzymali przez cały rok na ogrodzonej łące, odseparowane od reszty owiec. Normalnie te wielkie barany zajmowały się głównie jedzeniem i spaniem, gromadząc siły witalne oraz nasienie na wielkie dni produkowania potomstwa jesienią. Lecz tego letniego popołudnia bez wyraźnej przyczyny trykowi przyszło do łba, że nadszedł jego dzień.

Chciał pokryć maciorkę.

Rachel wybiegła z domu, bo tak okropnie ryczał. Rozgłosny ryk brzmiał jak trąbienie lokomotywy w tunelu. Tryk krążył tam i z powrotem wzdłuż ogrodzenia i walił łbem w każdy słup, do którego podbiegł.

Próbowała odwrócić jego uwagę sucharem, które uwielbiał. I wtedy Johnny Kain pojawił się u jej boku. Czekala na niego pół dnia, a nie słyszała, jak podszedł.

Spod modlitewnego czepca włosy Rachel sterczały na wszystkie strony. Zadyszana po całej tej bieganinie, nieświadomie przyłożyła rękę do piersi. Nie była jeszcze zdecydowana, czym będzie się zajmować w chwili, gdy Kain wjedzie na podwórko, ale w swoich zajęciach nie brała pod uwagę ugania się po pastwisku za podochoconym trykiem.

- Wróciłeś do domu - powiedziała. - Nie byłam tego pewna.

- Czy to mój dom, Rachel?

- Twój, jak długo zechcesz.

Uśmiechnął się lekko i niespiesznie. Serce Rachel biło mocno pod przyciśniętą dłonią.

Ezekiel ryczał i tak mocno walnął w słupek ogrodzenia, że drewno trzasnęło.

Rachel zajrzała Kainowi w oczy i znów poczuła przypływ miłości.

Ezekiel ryczał i rył ziemię zakrzywionymi grubymi rogami.

Kain oderwał od niej wzrok i popatrzył na tryka.

- Najadł się jadownego traganku czy co?

- Och, we łbie ma tylko zaloty, głupi zwierzak.

Kain pochylił głowę, tak że brzeg kapelusza zakrył mu oczy, ale Rachel zauważyła jego uśmiech. Wymamrotał coś, co brzmiało jak: „A kto nie?”

Na przeciwległym krańcu pastwiska jedna owca zaczęła wypinać w górę zadek i pobekiwać.

- Ta choroba jest chyba mocno zaraźliwa - zauważył Kain.

- No, ten akurat nie może... - Policzki Rachel zalały się rumieńcem, choć ona też miała ochotę się roześmiać. - To jest nasz próbnik. On był... no, on nie może zrobić jagnięcia. Wsadzamy go między maciorki, gdy zaczynają ruję. Próbnik je pokrywa i to pomaga im nabrać ochoty na tryki.

Kain spojrział na barana przerażonym wzrokiem.

- To najnikczemniejsza, najbardziej okrutna rzecz, o jakiej słyszałem. Powinno się go nazywać nie próbnikiem, lecz poddanym najcięższej próbie. Przynajmniej maciorki są zaspokojone.

Rachel potrząsnęła głową nad Ezekielem, który wciąż krążył tam i z powrotem, ryczał i bódł rogami.

- To podniecenie powinno się przydarzyć dopiero za parę miesięcy.

Ezekiel utkwiał swój dziki wzrok w Kainie. Zaryczał głośno i przepchnąwszy łeb przez ogrodzenie, węszył, unosząc górną wargę.

- O rety! - wykrzyknęła Rachel. - On cię bierze za maciorkę!

Kain przeniósł wzrok z niej na tryka, po czym znów na nią. Oczy mu się lekko zwężyły. Rachel mogła odczytać jego myśli, Jakby miał je wypisane farbą drukarską na czole. Wyobrażał sobie, że ona pewnie żartuje, ale z drugiej strony...

Ezekiel obrócił się bokiem, uniósł przednią nogę i potrząsnął dużą wiszącą moszną; z grubego gardła dobywał się bulgot. Wywiesił wielki czarny jęzor.

Rachel parsknęła śmiechem na widok rozszerzonych oczu ¹ wyrazu przerażenia na twarzy Kaina. Pogroziła mu palcem.

- Johnny, Johnny, powinieneś się wstydzić. Rozkochałeś w sobie tego biednego tryka.

Kain zrobił parę kroków do tyłu. Rachel się śmiała, zatem i on się roześmiał, a ona tak bardzo kochała go w tym momencie, że aż zakręciło jej się w głowie.

Patrzyli sobie w oczy i patrzyli, i tym razem oboje wiedzieli, że żadne z nich nie zrezygnuje. Potem wyciągnęła do niego rękę i on ją wziął. Splotła razem ich palce.

Oczy Kaina patrzące gdzieś za nią zrobiły się duże.

- Rachel, czy powinienem uciekać, broniąc mojej cnoty? - spytał w momencie, gdy tryk Ezekiel, który we łbie miał tylko zaloty, rozwalił ogrodzenie.

Biegła z ręką w jego dłoni, niemal unosząc się nad ziemią i śmiejąc się radośnie. Śmiali się i biegli, wciąż biegli, choć niebezpieczeństwo zostało już zażegnane. Uwagę Ezekiel przyciągnęło świeżo skoszone siano, zatrzymał się więc i ochoczo zaczął je chrupać, zapominając o potrzebach seksualnych.

Wpadli do domu bez tchu, podtrzymując się wzajemnie, by nie upaść.

Wziął ją na ręce i zaniósł do izby. Słońce przenikające przez topole za oknem rzucało zielonkawe światło na proste białe żelazne łóżko i gwiaździstą kapę.

Postawił Rachel na nogi, pozwalając, by wolno zsunęła się w dół. Wysunęła się z jego ramion i cofnęła o krok, tworząc dystans między nimi a sobą. Zdjęła czepiec z głowy, ostrożnie położyła tam, gdzie jego miejsce - na półeczce pod oknem, potem rozpuściła włosy.

Kain patrzył na nią, a ona na niego, gdy uniósł rękę do rewolweru nisko opadającego na biodrach i rozpiął pas z nabojami. Broń przestała go opasywać i przeleciawszy w powietrzu, zawisła na cienkim żelaznym słupku łóżka.

Rachel podeszła i zsunęła mu szelki z jednego, potem z drugiego ramienia. Przejechała dłonią po jego klatce piersiowej: mięśnie się napinały, gdy dotykała ich ręką. Następnie przeniosła rękę na swoją pierś, tam, gdzie prostaczki skromnie krzyżowały końce chusty.

- Poczuj moje serce - powiedziała. - Poczuj, jak bije.

Padli na łóżko, na kapę w niebieskie i białe gwiazdy, i nawzajem ściągali z siebie ubranie. Kain zanurzył twarz w jej włosach, ssał sutki, głaskał brzuch i wewnętrzną stronę ud, a ona uśmiechała się i wzięwszy go w rękę, włożyła w siebie.

Fannie Weaver szła szybko ścieżką przez laszek oddzielający ich farmę od domu Yoderów.

Sosny żółte i modrzewie rozpościerały nad nią konary z gęstym igliwem, zatrzymując promienie słońca. W Ohio nie ma takich lasów. Nienawidziła lasów. Przypominały za bardzo nocne niebo, ciemne i przytłaczające.

Nienawidziła tego, nienawidziła lasów i wszystkiego, co było w tej dzikiej i barbarzyńskiej krainie. Nienawidziła, nienawidziła z całego serca. Nie sądziła, żeby ta jej nienawiść była grzechem przeciwko Bogu, ponieważ tylko diabeł mógł stworzyć taką krainę jak Montana.

Chmura przesłoniła słońce, rzucając ciemny cień na ścieżkę. Fannie ściągnęła chustę na piersi i zadrżała. Powtarzała sobie, że do końca dnia pozostało jeszcze dużo czasu. Wiele godzin. Nie mogła jednak opanować strachu, który ścisnął jej klatkę piersiową. Przerazała ją myśl, że mogłaby zostać poza domem po zmierzchu.

Przyspieszyła kroku. Miała takie uczucie, jakby z każdym uderzeniem serca całe ciało pęczniało. Własny oddech świszczął jej w uszach jak wiatr. Potknęła się na wystającym korzeniu, zatoczyła się i o mało nie wysypała jeżyn, które niosła w wiaderku.

To był pomysł Noaha, żeby zanieść jeżyny Rachel. Rosły tak obficie po ich stronie potoku, że za dużo ich było do zjedzenia i na przetwory. Noah powiedział, że tym darem bożym podzielił się z innymi.

Hm, łatwo mu mówić. Łatwo mu obiecywać jeżyny drogiej Rachel, a potem kazać swojej siostrze. Fannie, wypełnić tę obietnicę.

Wyszła z lasu za stodołą Yoderów i zaraz poczuła się lepiej w jasnym świetle gorącego słońca. Zatrzymała się przy schodkach na ganek, żeby się doprowadzić do porządku, bo czuła, że jest rozczochrana po pędzeniu ścieżką przez las. Rachel jednak pozwalała sobie na bieganie i nie troszczyła się o to, że włosy wymykają jej się spod czepca.

Drzwi lekko zaskrzypiały, gdy Fannie je otwierała. Prostaczekowie za dnia nigdy nie pukali do drzwi w domach

innych ludzi, bo nikt z nich przecież nie robił niczego takiego, co powinno się robić bez świadków. Przyjaciele i sąsiedzi byli zawsze mile widziani. Prostaczkowie zostawiali zazwyczaj na zewnątrz drzwi sznur do otwierania zasuwki.

W tej chwili kuchnia była jednak pusta, jak stwierdziła z przyjemnością Fannie. Gdyby Rachel tu była, zaprosiłaby ją na kawę i *Klatsch*, a Fannie zawsze lubiła plotki. Kusiłoby ją więc, by zwlekać z odejściem, i potem musiałaby biec do domu przez mroczny las, gdy słońce zapadałoby już za ciemnymi potężnymi górami.

A tak, gdy Rachel zajęta była jakimiś gospodarskimi czynnościami na farmie. Fannie mogła postawić wiadro z jeżynami na stole i odejść.

Zatrzymała się na progu przez wystarczająco długą chwilę, żeby się rozejrzeć i sprawdzić, czy Rachel utrzymuje porządek w kuchni. Wszystko było na miejscu, tylko wanna obsychała oparta o ścianę. Na jednym z haków wisiał mokry ręcznik. Fannie się zdumiała, co skłoniło Rachel do kąpieli w zwykły dzień, zamiast w sobotę. „No, cóż - pomyślała, wzruszając ramionami - ona zawsze lubi łamać reguły”.

Zrobiła krok w stronę stołu i wtedy dom jęknął.

Myślała, że to wiatr, póki nie usłyszała ponownie tego dźwięku. Tym razem jęk był głębszy, bardziej przypominał pomruk jakby jakiegoś złołatego zwierzęcia. Następny jęk i głośne spazmatyczne oddychanie dobiegły z izby.

Przeszła cicho przez kuchnię i podeszła do drzwi, bo były na w pół otwarte.

Rachel leżała naga na łóżku, nogi szeroko rozrzuciła, rękami ścisnęła białe żelazne pręty nad głową. Szyję miała wygiętą w łuk, rozplomienione oczy wpatrzone w krokwie, a ze ściśniętego gardła wydobywały się te okropne jęki. Innowerca klęczał między jej rozłożonymi udami. Był całkiem nagi, spocony i oczy mu dziko błyszczały. W tym momencie właśnie wsunął ręce pod pośladki Rachel, uniósł ją i wcisnął twarz w jej włosy łonowe, i...

Fannie krzyknęła, obróciła się i zatoczyła tak mocno, że wpadła na ścianę. Upuściła wiadro, owoce wysypały się na podłogę. Deptała je butami, wybiegając z domu.

Dobiegła do stodoły, tam padła na kolana i zwymiotowała kukurydziany chleb i jeżyny, które jadła przed wyjściem z domu. Żołądek już był całkiem opróżniony, a ona jeszcze długo wymiotowała i wymiotowała, w końcu zaczęła się obawiać, że wyrzuci z siebie wszystkie wnętrzności.

Wreszcie wymioty zaczęły ustawać, zamieniając się w pojedyncze bolesne skurcze. Fannie wcisnęła do otwartych ust pięść, zamknęła oczy, ale nie na wiele się to zdało, bo okropność tego, co ujrzała, wryła jej się w pamięć na zawsze. I groza z powodu tego, co ten potwór, innowerca, robił ich biednej Rachel.

On... dobry Boże na niebie, on ją p o ż e r a ł!

XXIII

Rachel robiła ciasto z kremem.

To nie był najmądrzejszy pomysł, żeby zabierać się do robienia ciasta po nocy i na dodatek tak skomplikowanego, ale dlatego właśnie na to się zdecydowała. Potrzebowała czegoś, co zajęłoby jej głowę i ręce, bo kiedy ręce próżnowały, zaczynały się trząść, a z nadmiaru uczuć nie mogła myśleć. Rozdeptane jeżyny pozostawiły na sosnowej podłodze granatowe plamy podobne do kleksów z atramentu. Za każdym razem, gdy wzrok padł na te plamy, ze strachu ścisnęło ją w żołądku.

Przejechała łopatką wokół talerza, oddzielając od niego krem. T o o j c i e c t u p r z y j d z i e, n i e, d o o b o w i ą z k ó w d i a k o n a n a l e ż a ł a k o n f r o n t a c j a z p r o s t a c z k i e m, k t ó r e g o p r z y ł a p a n o n a g r z e c h u. N o a h o w i p o t r a f i ę s t a w i ć c z o ł o. B ę d z i e t o t r u d n e, b a r d z o t r u d n e, a l e p r ę d z e j s t a w i ę c z o ł o N o a h o w i n i ż o j c u. P o t r z ą s n ę ł a o s t r o ż n i e t a l e r z e m, o d d z i e l a j ą c k r e m. B ę d ę j e d n a k m u s i a ł a n a k o n i e c s t a w i ć c z o ł o i m w s z y s t k i m, o j c u, b r a c i o m, m a m i e. O c h, b i e d n a m a m a j e s z c z e b a r d z i e j b ę d z i e p o t ę p i a n a z p o w o d u c ó r k i, k t ó r ą w y c h o w a ł a. K r e m n i e c h c i a ł o d c h o d z i ć, p o t r z ą s n ę ł a w i ę c m o c n i e j t a l e r z e m. J u d a s z u, p o p s u j e c i a s t o. B ę d ę m u s i a ł a k l ę k n ą ć p r z e d n i m i w s z y s t k i m i, w y z n a ć s w o j ą h a Ń b ę i p o w i e d z i e ć, ż e ż a ł u j ę. A c o j e ś l i n i e ż a ł u j ę, n i e ż a ł u j ę, b o g o k o c h a m. Z r o b i ł a b y m t o z n o w u, z r o b i ę t o z n o w u... R a c h e l, R a c h e l, c o t y m ó w i s z? Z a t r a c a s z s w o j ą d u s z ę, z a t r a c i ł a ś s w o j ą d u s z ę. I n i c m n i e t o n i e o b c h o d z i, n i e o b c h o d z i a n i t r o c h ę. T a k, o b c h o d z i. N i e c h c ę, ż e b y o b c h o d z i ł o, a l e o b c h o d z i.

Trzymała nad spodem z kruchego ciasta talerz z kremem i teraz wolno, wolniutko go przechyliła, tak by krem zaczął się z niego zsuwać. Benjo i Johnny Kain poszli do stodoły i zabrali się do wieczornego dojenia, opóźnionego, bo brakowało zaledwie godziny do północy.

Na odgłos trzaśnięcia wrót stodoły tylko nieznacznie drgnęła jej ręka. Krem jednak zsuwał się zbyt szybko. Próbowwała temu zapobiec, prostując talerz, i wtedy usłyszała krzyk przerażonego syna. Krem zjechał z talerza i wylądował z plaśnięciem na podłodze.

Podbiegła do okna. Przesłaniając ręką odbłask lampy na szybie, wyjrzała na ciemne podwórko. Przez otwarte wrota stodoły padało światło latarni, mogła więc dojrzeć kłębiące się cienie.

Cienie bijących się mężczyzn.

Wpadła z drzwi tak szybko, że mocno uderzyła biodrem we framugę, aż krzyknęła z bólu. Zerwał się silny

wiatr, trzepotał jej spódnicami i tasiemkami czepca, gdy biegła. Wrota stodoły łomotały teraz przy każdym podmuchu. Noc pełna była okropnych hałasów: rżenia przerażonego konia, męskich ochrypłych krzyków, ciężkiego dyszenia, nieartykułowanych dźwięków wydawanych przez Benja, głuchych uderzeń pięści.

Byli tam wszyscy, którzy twierdzili, że ją kochają: Noah Weaver i trzej jej bracia - Sol, Samuel i Abram. Przyszli z zaciśniętymi pięściami i ze złością w sercach rozprawić się z innowiercą, którego ona kochała bardziej niż kogokolwiek na tym świecie.

Wpadła do stodoły w momencie, gdy Sol, jej wielki i łagodny brat, wymierzył tak silny cios Johnny'emu, aż odrzucił głowę do tyłu i poleciał na wrota przegrody.

Rachel zaparło dech, gdy ujrzała twarz swojego kochanka. Nie był to pierwszy cios, jaki otrzymał. Krew ciekła z jego ust i z rozcięcia na policzku. Jedno oko miał tak opuchnięte, że prawie było zamknięte. Koszula wisiała na nim w strzępach, we włosach miał kawałki słomy i pył z siana. I wcale się nie bronił. Nawet gdy z kolei Samuel i Abram zabrali się do okładania go pięściami, on stał z opuszczonymi rękami, a oni robili z niego krwawą miazgę.

- Przestańcie! - krzyknęła Rachel w języku *deutsch*, krztusząc się własnym oddechem. - Przestańcie natychmiast!

Sol nie przerwał bicia, walnął znowu Kaina pięścią w twarz, potem wymierzył mu potężny cios w brzuch. Kain coś wymamrotał, zgiął się wpół, zatoczył, potknął o kozioł do rżnięcia drewna i upadł na kolana. Noah Weaver zamachnął się i kopnął go w nerki ciężkim buciorem.

Rachel ogarnęła wściekłość, widziała cały świat na czerwono jak płonący ogień. Chwyciła grabie na siano, które wisiały na drewnianym kołku na ścianie, i ruszyła na nich z krzykiem.

- Przestańcie, przestańcie!

Lecz to innowierca, wykrzyknąwszy jej imię, doprowadził do tego, że przestali.

Zapanowała kompletna i natychmiastowa cisza. Naftowa latarnia filowała, rzucając groteskowe cienie na ściany stodoły. W powietrzu unosił się nieprzyjemnie słodki zapach rozlanego mleka.

Benjo stał, przyciskając plecy do drzwiczek przegrody. Twarz miał bez kropelki krwi, oczy dzikie. Gardło i szczęki tak zaciśnięte, że się wydawało, jakby za chwilę miał się udławić własnymi słowami. Widok drżącego i zachłystującego się z przerażenia syna znów podsyłał wściekłość Rachel. Że też musiał być świadkiem czegoś takiego!

- Wynoście się z mojej farmy! - Zamachnęła się na nich grabiami i dźgała nimi powietrze. - Zostawcie mnie i to, co moje!

Kain podniósł się już na kolana. Potarł przedramieniem nos, plamiąc rękaw czerwoną krwią. Rachel całym ciałem nachyliła się w jego stronę, tak bardzo pragnęła podejść, pocieszyć go i ulżyć w cierpieniu. Nie zniosłaby tego, żeby miał jeszcze więcej cierpieć.

Latarnia zamigotała, gdy Noah zrobił krok ku Rachel, wyciągając do niej swoją wielką rękę.

- Rachel, proszę... - powiedział drżącym głosem.

- Nie wymawiaj mojego imienia! Nie waż się wymawiać jego imienia!

Samuel zmierzał prosto do niej, ignorując sterczące grabie. Oddychał głośno, brodę miał zjezoną. Wytknął palcem Kaina, który wciąż klęczał na zalanej mlekiem słomie.

- Nie pozostało nic z twojego imienia, teraz kiedy on zrobił z ciebie dziwkę.

- Odwołaj te nieczne słowa. Samuelu Millerze...!

- Nie! Nie odwołam! - Przynął twarz tak blisko, że czuła jego gorący oddech. - Pozwoliłaś mu utaplać cię w błocie tak dalece, że nawet wieprze nie zechciałyby lec w twojej pościeli. - Wykrzywił z odrazą usta. Otarł wargi rękawem kapoty, po czym splunął na ziemię. - Mam po uszy jego i ciebie.

Ruszył w stronę wrót stodoły niemal pędem, jakby chciał opuścić to miejsce jak najprędzej. Abram poszedł w jego ślady, zatrzymując się tylko po to, by jej powiedzieć:

- „Ale która w rozkoszach żyje, ta żyjąc umarłą jest”.

- A wasze uczynki tej nocy, nasz Abramie, nasz Samuelu?! - krzyknęła za nimi. - Wy też odpowiecie za nie w Sądny Dzień!

Odwróciła się w stronę Sola, który wciąż stał, jakby jego ciało za wiele ważyło, by zdołał się poruszyć. Knykie na prawej ręce miał opuchnięte i podrapane.

- Sol! - Niemal się zakrtusiła, wymawiając jego imię. Policzki wydawały jej się jakieś sztywne i chłodne; zorientowała się, że płacze. - Wiem, jaki jesteś. Jak mogłeś brać w tym udział?

Sol uniósł wielką głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

- Jeśli chcemy wyplenić chwast, musimy wyrwać go z korzeniami - odparł. Lecz kiedy opuszczał stodołę, poruszał się jak stary, chory człowiek.

Z prostaczków, którzy twierdzili, że ją kochają, pozostał tylko Noah. Patrzenie na niego było dla Rachel zbyt bolesne, utkwiała więc wzrok w latarni wiszącej nad jego ramieniem.

- Zabierzesz się stąd, Noahu Weaverze, i twoja stopa nigdy więcej nie postanie w moim domu.

- Pragnął cię, więc sobie ciebie wziął - rzekł Noah głosem ponurym, ze świadomością tego, czego absolutnie nie mógł zaakceptować. - Wziął cię, a ty mu na to pozwoliłaś.

- I tym usprawiedliwiasz to, co zrobiliście?

- Jeśli nie zdobyłaś się na to, by pomyśleć o mnie, to co z Benem? - Zaciskał i rozwierał rytmicznie swoje wielkie farmerskie dłonie, a jego szeroka pierś drżała. - Czy wyobrazasz sobie Bena patrzącego z nieba na was dwoje uprawiających - uprawiających wasze grzeszne i wstrętne perwersje?

Wzdrygnęła się, ale głowę miała podniesioną.

- Jeśli Ben widział dzisiaj jakieś perwersje, to uprawialiście ty i moi bracia. Rzucić się na kogoś z pięściami i butami, w czterech na jednego, z zemstą w sercu, tak nigdy nie zachowywali się prostaczkowie.

Unióśł ręce dłońmi do góry i zrobił niepewny krok w jej stronę. Zobaczyła lzy srebrzące się na jego policzkach i brodzie.

- Pamiętasz tę noc, Rachel, noc, gdy umarła moja Gertie? Powiedziałaś, że jestem ci drogi. To twoje słowa, Rachel. Powiedziałaś: „Jesteś mi taki drogi, Noahu”. Skłoniłaś mnie do uwierzenia, że gdyby nie Ben, to tej nocy przyszedłabyś do mnie, byłabyś moja. A teraz...

- A teraz wyrwałeś mi serce z korzeniami. Nie chcę więcej oglądać twojej twarzy.

Opuścił ręce wzdłuż ciała i coś się w nim załamało jak w spróchniałym drzewie. Odszedł, szurając buciorami po słomie. Na progu jeszcze przystanął i odwrócił do niej, opierając rękę na framudze, jakby w ten sposób chciał utrzymać się w pozycji pionowej.

- A on, Rachel, ten innowierca i zabójca? Co on ci może dać poza niedolą i potępieniem wiecznym?

Siedział na krześle w kuchni. Ona uklękła między jego rozstawionymi udami i smarowała skaleczenia maścią jaskrową. Kiedy patrzyła na niego, klęczącego w stodole, powróciła myślami do tego pierwszego dnia, gdy ślaniając się, szedł przez jej łąkę i wykrwawiał się na śmierć po postrzale. Tamtego dnia widziała w jego oczach dzikie przerażenie. Dzisiejszej nocy przerażenia w nich nie ujrzała. Znowy były beznamiętne i zimne jak staw, w którym odbija się zimowe niebo.

Razem z Benjem pomogli mu się podnieść. Musiał się trochę na nich opierać, gdy wracał do domu. Nie powiedział do niej ani słowa, raz tylko wykrzyknął jej imię, żeby powstrzymać od dziabnięcia Noaha w plecy grabiami od siana. Zastanawiała się, czy rzeczywiście zrobiłaby coś takiego, czy dziabnęłaby kogoś grabiami. Ta myśl przyprawiła ją o mdłości.

Zabrała się jednak do opatrywania skaleczeń spokojnie i umiejętnie: maść jaskrowa na skaleczenia; napar z kwiatów czarnego bzu na opuchnięte oko. Nuciała *Brauche*, modlitwy *Mutter Anny Mary*, choć teraz wiedziała, że odtąd jej wiara nie i będzie nigdy wystarczająco mocna.

Pociągnęła jego koszulę.

Chwycił ją za ręce.

- Zostaw ją, Rachel!

Nic nie powiedziała, spojrzała tylko na niego, w tym momencie zła na wszystkich mężczyzn, na nich i na ich brutalne zachowanie, i Kain puścił jej ręce.

Z fałdzistych portek wyciągnęła tył koszuli, po czym ostrożnie i delikatnie zdjęła ją przez głowę; była podarta i pokrwawiona. Na brzuchu zobaczyła poszerzający się siniak w kolorze jeżyn.

Przysiadła na piętach.

- Benjo - powiedziała wolno i wyraźnie.

Chłopiec stał przy piecu kuchennym, jakby chciał się ogrzać, choć noc lipcowa była gorąca. Nie spuszczał wzroku z Johnny'ego Kaina. Drgnął, gdy wymówiła jego imię.

- Benjo, idź zgrabieć stodołę.

- A... ale jest n... noc.

Obróciła się i pokazała na drzwi.

- Idź!

Mamrocząc pod nosem na znak protestu, wybiegł z domu i mocno trzasnął drzwiami.

Rachel wyprostowała się, po czym znowy przyklękła przed Kainem. Objęła go i przycisnęła usta do posiniaczonego ciała.

Zamknął dłoń nad jej głową, gniotąc czepiec.

- O, Rachel, Rachel. Daj spokój, kochanie. Dostawałem gorsze cięgi...

- Nie będę tego słuchać!

Nie zniosłaby tego, gdyby miał więcej cierpieć. Po prostu nie zniosłaby. Jeździła wargami po tym okropnym siniaku, nie przestawała całować, jakby chcąc pozostawić na nim swój ślad, głębszy od siniaka i trwały. Miłość, jaką czuła do Johnny'ego Kaina, była tak silna, że paliła ją z każdym oddechem.

Po chwili Rachel znieruchomiała, choć nie podniosła głowy. Nadal klęczała między jego udami, przyciskając twarz do ciepłej skóry brzucha. „Znam go - myślała - poznałam ciężar jego ciała, wszedł we mnie”.

- Znam cię, Johnny Kainie - powiedziała na głos i słowa odbiły się od twardej muskulatury jego brzucha. - Znam cię i tak bardzo cię kocham.

Zacisnął mocniej dłoń na czepcu.

- Rachel, co się stało z twoim bratem Rome'em?

Uniosła głowę. Patrzył na nią pustymi oczami, ale mięsień drgał na jego policzku. Widziała też, jak szybko bije mu tętno na szyi.

- Twój serdeczny przyjaciel i dobry sąsiad, diakon Noah, powiedział mi, że mam cię zapytać, co stało się z Rome'em.

Trudno jej było mówić, bo w gardle miała jakby kłębek, kłębek splątanych nici strachu, gniewu i rozpacz.

- Mówiłam ci, co się stało. Został wygnany z Kościoła, rodzina się go wyrzekła, i umarł.

- Jak umarł?

Znowu usiadła na piętach. Opuściła wzrok na podolek, gdzie ścisnęła i wypuszczała z ręki rąbek fartucha.

- Zastanawialiśmy się, jak on mógł to zrobić. Jak mógł porzucić nasz Kościół, porzucić n a s, zostawić swoją rodzinę. Myśleliśmy, że jest bardzo uparty, ale kiedyś zmięknie. Zmięknie i pokaja się, bo nikt naprawdę nie może żyć bez kochającej rodziny. Tak się też dzieje z owcą, kiedy opuści owczarnię.

Gardło jej zaciskało się coraz mocniej, jakby jakaś ręka objęła ją za szyję i dusiła.

- Jak on umarł, Rachel? - pytał Kain nieubłaganie.

- Powiesił się w stodole naszego ojca.

Nie poruszył się ani nie odezwał, ale wyczuła w nim jakąś zmianę. Zajrzała mu w oczy.

- Co? Co jest?! - krzyknęła.

Schylił się i ujął jej twarz w dłonie. Kciukami lekko przejechał po kościach policzkowych.

- Zanim twoi bracia zabrali się do młócenia mnie, powiedziałem im, że się z tobą ożenię.

- Och! - wykrzyknęła. Nie wyobrażała sobie, że mógłby coś takiego zrobić, nigdy, przenigdy. Gnał ich oboje głód, ale sądziła, że tylko ona angażuje się uczuciowo. Łzy napłynęły jej do oczu. Nakryła dłońmi jego rękę i przytrzymała tak, że mogła się obrócić i przycisnąć do niej wargi.

- Zostań moją żoną, Rachel.

Potrząsnęła głową, strzepnęła łzy i zacisnęła powieki, usiłując je powstrzymać. Nienawidziła łez, sprawiały, że czuła się słaba i przerażona, a wiedziała, iż musi być silna. Silniejsza niż kiedykolwiek.

- Kocham cię, Johnny Kainie. Zawsze będę cię kochać. Ale prostytutka musi poślubić prostytutka, inaczej będzie zgubiona, odrzucona przez przyjaciół i rodzinę. Odmawia się jej nawet obietnicy życia po śmierci. Będzie zgubiona.

Wciąż trzymał w dłoniach jej twarz. Nachylił się teraz bliżej i niemal ze złości musnął ustami wargi Rachel. Miał się odsunąć, ale zarzuciła mu rękę na szyję, przytrzymała, położyła głowę na ramieniu. Kain oparł brodę na jej głowie. Nie było to wygodne, bo ona na wpół klęczała, a on prawie spadał z krzesła - żadne z nich jednak nie zwracało na to uwagi.

Nie wiedziała, jak długo tak trwali. Zamieszanie na podwórku oderwało ich od siebie. Zamieszanie tak późno w nocy! Usłyszeli turkot czterokółki na drewnianym moście, szczekanie MacDuffa i głos Benja, który krzyczał:

- Mose!

Mose Weaver miał być w górach z ich owcami.

Wypadli oboje na podwórko, chwytając po drodze latarnie. Tylko coś niezwykłego mogło skłonić Mosego do porzucenia owiec.

Mose gwałtownie ściągnął lejce i lekka czterokółka, którą powoził, zatrzymała się, wzbijając tuman pyłu i o mały włos nie przejeżdżając Benja. Początkowo Rachel myślała, że Mose jest sam, potem jednak zobaczyła, że w czterokółce leży ktoś ranny. Nawet w przyćmionym świetle lampy naftowej dostrzegła czerwoną plamę krwi na brązowych fałdzystych portkach. I młodą kościstą twarz pod brązową czupryną.

Powiesiła latarnię na rączce pompy i pobiegła w stronę wozu.

- Levi! Och, miłosierny niebiosie, Levi! Co ty zrobiłeś?

Chłopiec próbował usiąść.

- Nic mi nie jest, nasza Rachel. Nie rób szumu!

- Postrzelił się w nogę - poinformował Mose. - Nie jest to już takie groźne, bo przestał krwawić. Zrobiłem krępulec ze sznura i patyka. Dobrze zadziałał - dodał z lekką dumą w głosie.

Był blady i ręce, w których trzymał lejce, trochę mu drżały, ale całkiem spokojnie zrelacjonował, co się wydarzyło. Levi zaopatrywał obozowisko i przyjechał tam tego popołudnia. Trafił na kojocicę z chromą łapą, tę, która wraz ze swoimi szczeniakami regularnie żywiła się ich owcami. Levi chwycił strzelbę, ta jednak wypaliła, zanim mógł wycelować, i w efekcie postrzelił się w udo.

- Wiozę go prosto do doktora Henry'ego, ale ktoś musi zaraz pojechać do owiec - rzekł Mose. - Bo inaczej na śniadanie będziemy mieć owce wyrzucone z piekła. I jest tam jeszcze ta mordercza kojocica. - Przeniósł wzrok na Kaina, a jego oczy lekko się zaokrągliły, jak zawsze na widok innowiercy. - Zastanawiałem się, czy mógłby pan, to znaczy, czy zechciałby pan zastrzelić tę kojocicę. Ona jest podstępna i mądra jak człowiek.

Benjo drgnął i ostry charkot dobył mu się z głębi gardła. Uciekł, wpadając na innowiercę po drodze. Biegł tak szybko, że zgubił kapelusze, nie podniósł go jednak z ziemi.

Rachel, drżąc, ujęła się za łokcie. Benjo mógł się bardzo bać kojotów, lecz strach teraz był nie na miejscu. Nawet gdyby ktoś wyruszył w tej chwili, to jadąc po nocy, dotarłby tam najwcześniej o świcie. Kojoty zagrażają owcom

przede wszystkim o świcie, gdy w młym świetle kładą się liliowe cienie brzasku. Wiadomo, że całe stada właśnie o tej porze bywają przez nie zagryzane.

- Jak tylko podrzucę tego niezgrabnego *Schussela* doktorowi - powiedział Mose, kiwając głową i mrugając do Leviego - tego *Schussela*, co jeszcze nie wpadł na to, z której strony ze strzelby wylatuje kula, natychmiast wróć do owiec.

Rachel zmusiła się do uśmiechu, mając na względzie Leviego, który z pewnością obwinał się za wszelkie katastrofy, jakie tej nocy mogą spotkać ich owce.

- Pan Kain tymczasem wyruszy w drogę - rzekła - nie musicie się więc martwić, chłopcy.

Mose, ściągnąwszy lejce, zaczął obracać czterokółkę, dotknął ręką kapelusza, zegnając Rachel, i uśmiechnął się szelmowsko, trochę tak jak Johnny Kain.

- I proszę się nie martwić za bardzo o Leviego. Nie postrzelił sobie naprawdę ważnych części ciała, spudłował o dobre sześć cali.

Rachel cofnęła się i obserwowała, jak młody Mose wyjeżdża z podwórka. Kiedy przejeżdżali przez mostek, wydawało jej się, że Levi macha ręką, więc też mu pomachała. Może dzięki dramatyzmowi tej chwili odniosła wrażenie, że obaj chłopcy są trochę inni. Zwłaszcza Mose. Była w nim spokojna dojrzałość, której nigdy przedtem nie zauważyła. Pomyślała, że Noah będzie dumny z syna, i to ją ucieszyło.

Wiatr przeleciał przez podwórko, rozdmuchując tuman pyłu, jaki wzbija czterokółka. W taką noc jak ta owce będą niespokojne, nawet gdyby nie było czających się kojotów. W taką noc, jeśli się spłoszą, mogą pospadać z urwiska.

Wyczuła, że Kain stanął tuż przy niej.

- Kiedy ich ujrzałam - powiedziała - i zobaczyłam Leviego leżącego we krwi, pomyślałam, że to robota Hunterów. Kolejna szykana wobec nas.

- Uważam, że bandzie Huntera powinniście udzielić lekcji szykanowania.

- Przestań, Johnny - zaprotestowała ze smutkiem, bez złości.

- Zanim pojedę, chcę, żebyś mi powiedziała, co oni ci zrobią.

Odwróciła się i zaczęła iść w stronę domu mocnym, pewnym krokiem.

- Przygotuję ci kilka kanapek z sardynkami na drogę. Na szczęście mamy pełnię księżyca. Nie dałbyś rady jechać tam ciemną nocą.

Chwycił ją za rękę i obrócił przodem do siebie.

- Kojoty mogą sobie zeżreć wszystkie przekłete owce w Montanie. Nie ruszę się stąd, póki się nie dowiem...

Wyśliznęła się delikatnie. Nie chciała, żeby poczuł, jaki ziaęb ją przejął. Trzęsła się cała.

- Pójście do łóżka bez ślubu z mężczyzną to ciężki grzech - odparła spokojnie i rzeczowo - ale może zostać odpuszczony.

- Co będziesz musiała zrobić, żeby go odpuszczono?

- Padnę na kolana w kościele i wyznam, że z tobą zgrzeszyłam. Będę błagać o rozgrzeszenie, a potem przysięgnę, że nigdy w taki sposób nie zgrzeszę, i już więcej nikt z nas nie będzie o tym mówić.

- I?

Uczucie dojmującego zimna w klatce piersiowej jeszcze się nasiliło.

- I ty stąd odjedziesz, by nigdy nie wrócić.

Stał bez słowa, twarz i oczy miał ciemne i puste jak ciemności poza kręgiem światła latarni. Nic nie wskazywało na to, że czuje się zraniony. Ona jednak go знаła, była teraz z jego kości i skóry. Pragnęła go trzymać, trzymać mocno i zmniejszyć ten ból. Lecz nie śmiała.

- A więc dobrze, pani Yoder - rzekł, oddzielając wyraźnie słowa. - Zanim odjadę, by nigdy nie wrócić, przypuszczam, że mógłbym pojechać i zabić pani tę kojocicę. W prezencie na pożegnanie.

Wiatr silnie dął w wierzchołkach drzew, potrząsając listowiem i gałęziami tak głośno, że przypominało to wycie kojota. Benjo zadrżał, żalując, że nie ma kapoty i kapelusza. Wprawdzie była to kolejna gorąca noc, ale z powodu porywistych podmuchów wydawała się zimna.

Dopał go strach. Dwa razy już wymiotował, można by więc również powiedzieć, że dopadł do samego żołądka. Otworzył usta, żeby się zaśmiać z tej głupiej myśli, ale zamiast tego zatkał.

Przejechał na ich starej pociągowej kobyłe parę mil drogą, ukrywając się z koniem w gęstwinie wierzb i topoli nad potokiem. Znajdował się w odległości mniej więcej stu jardów od miejsca, w którym innowierca musi zbroczyć z drogi na ścieżkę prowadzącą na podgórze.

Pokaźnych rozmiarów kamień wsadził do procy i ścisnął w ręce rzemienie. Nigdy dotąd nie próbował trafić żadnego człowieka. Największa rzecz, do której strzelał, to była samica bobra. I udało mu się tylko ją rozwścieczyć. Tak mocno waliła ogonem w wodę, że plusk było słychać chyba aż w Miawa City.

No i ten koń, którego trafił w zad w dniu panicznej galopady spłoszonego bydła. Koń tego nadzorcy. A nadzorca już nie żył i pochowano go z koltem w ręce. Myślał, że jest diabelnie szybki, ale nie był tak szybki jak Johnny Kain.

- Możesz wyleźć, chłopcze.

Serce waliło mu w piersi jak młotem; o mało nie spadł z siodła. Judaszu z Iskariotu! Jak on to zrobił? Jak Johnny Kain przyjechał drogą na koniu tak całkiem bezszelestnie? I skąd wiedział, że Benjo będzie tu czekać w zasadzce? Ten człowiek jest niesamowity; potrafi zobaczyć, że przychodzisz, zanim wpadnie ci do głowy myśl o ruszeniu się z miejsca.

Zachowywał się też tak, jakby zamierzał czekać całą noc, aż Benjo wychynie ze swojej kryjówki. Chłopiec, nim wyprowadził konia zza drzew, wyrzucił kamień i schował procę.

Rad był, że jest ciemno, choć nie na tyle ciemno, by innowierca nie mógł wyczytać z jego twarzy, co zamierzał. Dałby wszystko za to, by się nie jąkać, choć wątpił w istnienie słów, może mogłyby wybawić go z kłopotu.

- Przypuszczam - powiedział Kain - że twoim zdaniem przydadzą mi się światłe rady, jak odnaleźć stado zabłąkanych owiec, które zostawiono samym sobie na większość dnia i nocy.

Z zaciśniętego gardła Benja wydobył się jakby mysi pisk.

- Tak, proszę pana - rzekł. Nie był pewien, co innowierca chciał zrobić, ale nie zachowywał się tak, jakby się gniewał. Tylko że on się uśmiechał i uprzejmie rozmawiał z tym nadzorcą bydła na chwilę przed rozbiciem mu na twarzy butelki imbirowego piwa.

- A czy mama wie o twoim dobrym uczynku? - spytał od niechcienia Kain.

- Na... napisałem to j... j... jej. - W pewnym sensie tak było. Nagryzmolił węglem drzewnym na wrotach stajni: POJECHAŁEM Z KAINEM. I zamknął biednego MacDuffa w owczarni, żeby za nim nie pobiegl.

Innowierca położył lejce na karku konia i zawrócił go z powrotem na drogę. Uważał - jak sobie uświadomił Benjo z zaskoczeniem i dreszczem podniecenia - że on za nim pojedzie.

Kain nie powiedział nic, gdy zjechali z drogi na owczą ścieżkę i pieli się pod górę. Czekają ich wiele godzin mozolnej wspinaczki. „Dziwnie się jedzie tym traktem po nocy - pomyślał Benjo - kiedy nie widać, dokąd się jedzie ani gdzie się było”. Nie udałoby im się to nigdy, gdyby nie olśniewający księżyc, który żeglował po niebie, księżyc tak wielki i jasny, że można było zobaczyć dołki i górki.

Widział twarz innowiercy w krótkich przeblyskach, gdy wjeżdżali z cienia drzew na przestrzenie oświetlone niebieskawym księżycowym światłem. Tata powiedziałby, że Johnny Kain „...wygląda tak, jakby czołgał się przez ogrodzenie z drutu kolczastego, by walczyć z rysiem wśród ciemnych krzaków”.

Benjo uważał, że rozpoczęcie bitki z kimś takim jak innowierca przypominałoby kopanie tego rysia. Tymczasem on tam, w stodole, tylko stał i nic. Wspomnienie tej młócki pozostawiło w chłopcu uczucie sprzeniewierzenia się i słabości, jakby Johnny Kain jakoś zawiódł i nie dotrzymał złożonej obietnicy.

A wujowie, którzy przez całe życie uczyli go zachowywać się tak, jak przystoi prostaczkom - zachowali się gorzej niż widywani przez niego innowiercy, może prócz tego nadzorcę bydła.

Z pewnością nigdy nie widział wujów tak rozsierczonych, nawet wuja Samuela, który był bardzo porywczy. Benjo zastanawiał się, co ich wszystkich tak rozsierdziło, chyba myśleli, że innowierca coś paskudnego zrobił mamie. Wiedział, co to za paskudna rzecz, nie rozumiał tylko, d l a c z e g o ma być paskudna. Przecież każdej jesieni to samo robił z maciorkami tryk Ezekiel. I o ile Benjo mógł stwierdzić, maciorkom podobało się to, co robił Ezekiel.

Nic nie rozumiał. Samo myślenie o tym sprawiało, że miał dosyć i oczy go szczypały. Z ust wystrzeliły mu słowa, zanim sobie uświadomił, że ma je na języku. Nawet się nie zająknął.

- Pan tam tylko stał. Tylko stał i pozwalał się bić.

Johnny Kain się odwrócił, żeby na niego spojrzeć.

- Wolałbyś, żeby ich zastrzelił?

- Mógł pan się bronić. Tylko t... t... tchórz n... nie będzie się bronić.

- Chłopiec z prostaczków tak chyba nie mówi.

- Ale pan nie jest prostaczkiem.

Wyczuł raczej, niż widział, że innowierca wzruszył ramionami.

- Nigdy nie skrzywdzę nikogo, kogo ona kocha.

Benjo rozważał to przez chwilę i stwierdził, że nieprzyjemne uczucie rozczarowania nieco osłabło.

Jechali potem w milczeniu. Wiatr wciąż mocno dął, przynosząc letnie zapachy rozgrzanej ziemi, spalonej słońcem trawy i sosen. Strzępy obłoków przelatowały przez księżyc i miało się wrażenie, że podskakuje po niebie jak kamień podczas puszczenia kaczek na wodę.

- Będzie to długa noc - w pewnej chwili odezwał się z ciemności innowierca - i czeka nas ciężka jazda. Może trochę skrócilibyśmy ją sobie, gdybyś mi opowiedział, jak się zaprzyjaźniłeś z kojocicą?

Słowa te smagnęły Benja jak biczem. Chłopiec tak mocno szarpnął wodze, że spłoszyła się nawet stara pociągowa kobyła. Zastanawiał się, czy powinien odpowiedzieć, bo innowierca nie był jak mama i nie zmuszał człowieka do zdradzania wszystkiego. Odkrył jednak, że właściwie chce to zrobić. Groza i lęk, i wina - przede wszystkim wina - kłębiły się w nim wystarczająco długo, wyrzucenie więc ich z siebie mogło mu przynieść tylko ulgę.

Opowiedział innowiercy o wszystkim, krztusząc się i zacinając niemal przy każdym słowie. O strzelbie w stodole

i o tym, jak w końcu zabrakło mu odwagi, żeby jej użyć. I jak zamiast tego zmajstrował pomost, zsunął go do jamy i uwolnił kojocicę i jej szczeniaki. Uwolnił i umożliwił im pożeranie biednych bezbronnych owiec.

Opowiadając tę historię, przez cały czas zerkał na innowiercę. Nie zobaczył nic szczególnego prócz lekkiego zainteresowania na jego twarzy, ale wyczuł, że coś się z nim dzieje. Było w nim jakieś wewnętrzne napięcie, które wibrowało w powietrzu jak podmuch wiatru w rzecznej trawie.

- Prz... przypuszczam, że nie powinienem był tego robić, co? - zapytał chłopiec, gdy doznał wreszcie do końca długiej opowieści. - Przy... przypuszczam, że powinienem był ją zostawić, żeby zdechła. Albo wziąć strzelbę i zabić.

Innowierca z dziwnym westchnieniem wypuścił powietrze z płuc. Brzmiało to dość smutno.

- Nie zdołałbyś zmienić jej natury, Benjo.

Coś się skręciło w chłopcu.

- N... nie chcę, żeby pan ją z... z... z... z a b i ł.

- Ktoś musi to zrobić. Jeśli nie ja, to musisz ty. Inaczej pozwolisz, by ona i jej szczeniaki nadal zagryzały wam jagnięta, aż w końcu nie zostanie ani jedno, a ty i twoja mama w zimie będziecie głodować. Pozostawiam decyzję tobie, wybierzesz sam.

Benjo wolno pokiwał głową. Pomyślał, że chyba się rozplacze, chyba zacznie beczeć jak wielkie dziecko, ale tylko z wysiłkiem parę razy przełknął ślinę i kilka łez popłynęło z kącików oczu. Ukradkiem otarł je rękawem.

Zdziwił się, zauważywszy, że ścieżka przed nimi zaczyna robić się mniej stroma. Byli już blisko obozowiska i właśnie gdy zdał sobie z tego sprawę, wiatr na tyle przycichł, że słychać było srebrzysty dźwięk dzwonka skopa. A to oznaczało, że przynajmniej część stada znajduje się tam, gdzie je zostawił Mose Weaver.

Kiedy wjechali na polanę, niebo pojaśniało, nabierając koloru kory brzozy. Na widok owiec Benjo odetchnął z ulgą. Owce były jednak nerwowe, beczwały, zbijały się w gromadę i dreptały po czochranej wiatrem trawie. Zauważył trzepot skrzydła myszołowa.

A potem ujrzał martwe jagnięta.

Było ich czworo. Kupki poszarpanej, nasiąkniętej krwią wełny i białych kości. Kiedy podjechali bliżej, usłyszał ciche kwilenie i zorientował się, że jedno jagnię jeszcze żyje, choć ledwie ledwie. Miało rozszarpane gardło.

Johnny Kain ukląkł przy nim, wyjął nóż z pochwy buta i dobił nieszczęśnika.

Benjo zmusił się do patrzenia, zmusił się też do obejrzenia wszystkich zagryzionych jagniąt. Było mu zimno i czuł dziwny zawrót głowy. Pierś go bolała z chęci, nie, raczej z p o t r z e b y doprowadzenia wszystkiego do porządku.

Zwilżył spękane wargi językiem.

- Ch... ch... ch...! - Wciągnął powietrze, przełknął ślinę. - Chcę, żeby pan ją zabił.

Johnny Kain się nie odezwał, ale nie było nic do powiedzenia. Zostawił mu decyzję i Benjo ją podjął.

Odnieśli kości i szczątki jagniąt na miejsce odległe od obozowiska. Potem spędzili owce i stwierdzili, że brak dwu tuzinów. Mose zamknął swojego owczarka w wozie pasterskim, żeby nie mógł za nim pobiec do doliny. Wypuścili teraz psa, by pomógł im odszukać zagubione owce.

Nie odnaleźli ich, choć cały dzień szukali.

Benjo obudził się tuż przed świtem; jest to pora, gdy wiatr cichnie i cała ziemia wydaje się czekać bez tchu na pojawienie się słońca. Nasłuchiwał, nadstawiając uszu, przerażony, że obudziło go wycie kojota. Usłyszał jakiegoś ptaka, który trzepotał się na drzewie nad jego głową, i nic ponadto. Ani on, ani Kain nie spali w wozie pasterskim. Gdy oczy przyzwyczyły się do ciemności, chłopiec zobaczył, że posłanie innowiercy jest puste.

Znalazł go siedzącego obok kopca z kamieni ze strzelbą w rękach. Nie musiał pytać, co robi. Za chwilę będzie świt.

Nagle nogi ugięły się pod nim, jakby były z waty. Usiadł po turecku obok innowiercy. Teraz, gdy nadszedł ów moment, osłabła nieco jego wczorajsza determinacja. Serce tłukło mu się w piersiach i musiał szybko mrugać, żeby powstrzymać łzy.

„Niekiedy ciężko jest, naprawdę ciężko być mężczyzną” - Pomyślał.

Innowierca nie powiedział dziś tego głośno, ale istniała między nimi oczywista zgoda co do tego, jak ma się zachować mężczyzna. Tata na pewno mówił mu to wszystko wiele razy, że mężczyzna powinien być odpowiednio twardy i ma przyznać się do popełnionych przez siebie błędów. Tata nazywał to „ponoszeniem konsekwencji” i zazwyczaj wypowiadał te słowa tuż przed sięgnięciem po pas do ostrzenia brzytwy.

Benjo się zastanawiał, czy to, że innowierca odmawiał podniesienia ręki na braci mamy i na diakona Noaha, nie było z jego strony ponoszeniem konsekwencji. I może ci prostaczkowie uważali, że przyznają się do popełnienia błędu, używając swoich pięści. Pierwotnego błędu - pozwolenia na to, żeby innowierca wszedł między nich.

„Czasami - myślał Benjo - trudno jest wszystko przewidzieć”. Ciekaw był, czy jak się jest już dużym, jak innowierca i wujowie, wciąż bywa tak trudno.

Niebo robiło się marmurkowe od światła, kiedy kojocica się zjawiła. Johnny Kain posługiwał się strzelbą równie szybko jak koltem. Wystrzelił dwa razy i po przerwie jeszcze dwa razy. I było po wszystkim - kojocica i trzy jej

szczeniaki padły martwe.

Szli po łące razem, syn Rachel Yoder i innowierca. Niebieskie smużki dymu unosiły się koło nich. Przeleciała sroka, machając skrzydłami w białe paski. Trawa drżała w srebrzysto-złoty promieniach wschodzącego słońca. Przez chwilę wiatr poruszał futrem kojocicy, tworząc iluzję życia.

Benjo nie mógł powstrzymać łez i nie dbał o to, że innowierca je zobaczy.

- Ż... żałuję, że musiała zagryźć nasze owce.

- Taką miała naturę - odpowiedział Johnny Kain.

XXIV

Słońce już zachodziło, gdy syn Rachel Yoder, umazany i spocony, ale bardzo z siebie zadowolony, wszedł buńczucznie przez drzwi. Trzy dni po swojej ucieczce.

Rachel nie marnowała czasu na powitanie, chwyciła syna za ramię i powlokła do jego izby tak szybko, że stopami ledwie muskał podłogę. Kiedy jednak usiadła na łóżku, zamiast przełożyć chłopca przez kolano, posadziła go sobie na kolanach i z płaczem tuliła, i kołysała jak niemowlę.

- Mamo! - protestował, wyrывая się z jej objęć i stając na nogi. Nie znosił, gdy to robiła, i nazywał „dziewczyńskim mazgajstwem”.

Chwyciła go za ramiona i potrząsnęła.

- Nigdy więcej nie wolno ci jechać do obozowiska na hali bez mojego pozwolenia.

Benjo spojrział na nią ze szczerym zdumieniem, jakby oczekiwał, że te parę słów, które nabazgrał węglem na wrotach stajni, miało wystarczyć za pozwolenie. A ona nawet ich nie zauważyła i całą noc spędziła na gorączkowych poszukiwaniach.

Przejechała palcami po potarganych włosach syna. Wyglądał tak, jakby się nie cesał od trzech dni.

- Josephie Benjaminie Yoderze, jesteś brudny.

- Kain i ja z... zastrzeliliśmy kojoty - powiedział.

Rachel patrzyła na syna. Przez całe lato niczym wystraszony kot podskakiwał przy byle wzmiance o kojotach, a teraz ni stąd, ni zowąd, nawet jej się nie pytając, pojechał na polowanie i pozabijał te zwierzęta, jakby chodziło o jakąś wspaniałą przygodę. Ten chłopak wprawiał ją w zakłopotanie. Zastanawiała się często, czy z córką byłoby inaczej - miała nadzieję, że dziewczynkę przynajmniej by rozumiała. A potem pomyślała o sobie i własnej matce.

Zajmowała się nim jeszcze przez chwilę. Wepchnęła mu koszulę w spodnie, splunęła na rąbek fartucha i starła ziemię wokół ust. Wreszcie zdobyła się na zapytanie:

- Czy pan Kain przyjechał z tobą?

- R... robi sobie posłanie na noc w stodole. Będiesz mnie b... bić?

Przytuliła go znowu, i to tak mocno, że tym razem nie mógł się wyrwać.

- Powinam, powinam, ale nie będę.

Zmusiła go, żeby się wykąpał - ostatecznie była sobota. Siebie też doprowadziła do porządku, włożyła świeży fartuch i czepiec. Wiele uwagi poświęciła tego dnia wieczery, przygotowując to, co - jak się przekonała w lecie - Kain lubił najbardziej: gotowane kaczany indiańskiej kukurydzy i dziczyznę.

Nie przyszedł jednak na wieczrę.

Poszła do niego nazajutrz.

Trzymał na udzie lewe tylne kopyto swojej eleganckiej klaczy i podkowiakiem zeskrobywał z niego ziemię i gnój. Wyprostował się na jej widok.

Nie mogła wymówić słowa, tylko na niego patrzyła. Wspaniałe to było uczucie. Lecz zarazem tak bardzo ją bolało - patrzeć na jego twarde usta, które kiedyś zmiękczała pocałunkiem, długie ciemne włosy, które muskały jej nagi brzuch, ręce, które dotykały wszystkich kobiecych intymnych i spragnionych miejsc.

Bolało tak, że odwróciła wzrok.

W stodole unosiła się mieszanina słodkich i gryzących zapachów, siana, nawozu, skwaśniałego mleka, a przez otwarte wrota wpadały ostre promienie słońca. Rachel wciągnęła powietrze głęboko w płuca i niemal zakręciło jej się w głowie.

Podeszła do klaczy z prawej strony i pieszczotliwie pogłaskała jej aksamitne nozdrza. Gardło miała ściśnięte, przepełnione słowami, które chciała wypowiedzieć.

Ponad końskim łbem napotkała wzrok Kaina. Musiał któregoś dnia sprawić sobie nowe eleganckie ubranie, bo nie miał już na sobie stroju prostaczków, tylko białą koszulę z nowiutkim lnianym kołnierzykiem i kamizelkę w kolorze rabarbarowego wina, ozdobioną lśniącoymi gagatowymi guzikami, oraz spodnie z czarnego materiału w cienkie szare prążki. Dobrze się prezentował, zupełnie nie jak hodowca owiec.

Choć oddzielała ich od siebie klacz, był na tyle blisko, że mogła go dotknąć. Chciała przyciągnąć jego głowę i przycisnąć usta do jego ust.

- Myślałam, że wyjechałeś - odezwała się. - Że wyjechałeś bez pożegnania. Potem Benjo mi powiedział, że z nim wróciłeś. Nie przyszedłeś jednak na wieczrę.

Musiał już oderwać od niej wzrok. Chyba nie oddychał.

- Po tarapatach, w jakie cię wpakowałem, doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jeśli się pożegnamy za białego dnia i na widoku.

Ta chwila wydawała im się bardzo długa - chwila pełna wspomnień o tym, co było i co jest, myśli słodkich i zarazem gorzkich i słów, których lepiej nie wypowiadać. Widziała, jak z trudem przełykał ślinę.

- Musiałem ci to raz jeszcze powiedzieć, Rachel. Nie mógłbym iść dalej przez życie, gdybym cię jeszcze raz nie zobaczył.

Tak, to były słowa, których lepiej nie wypowiadać, bo później wspomniane przyniosą cierpienie. Lecz tak słodko ich się teraz słuchało, takie były czułe. Mówił jej różne rzeczy w łóżku, ale poza tym, że prosił, by została jego żoną, czułych słówek zbyt wielu nie powiedział.

Szarpnął się gwałtownie, jakby ze wspomnień, myśli i słów powstał teraz sznur wiążący ich ze sobą i musiał go zerwać.

Przyglądała się, jak zamienił podkowiak na zgrzebło, po czym zaczął szczotkować szyję i kłęby klaczy. Wcale nie potrzebował konia do szybkiej ucieczki. Teraz przyszło jej do głowy, że przygotowuje go do długiej podróży.

- Dokąd jedziesz? Chodzi mi o to, czy wiesz, co będziesz robił... - Niemal powiedziała: z r e s z t ą s w e g o ż y c i a.

Wzruszył ramionami.

- Poradzę sobie. Zawsze byłem zaradny.

Patrzyła na jego ręce przesuwające się po lśniącej cynamonowej sierści klaczy.

- Johnny...

Wyciągnął rękę, zaczepiając perłowym guziczkiem mankietu o brązową grzywę konia, i zasłonił jej usta.

- Tam, w górach, rozmyślałem o nas, Rachel, o tym, czy mam zostać i próbować o ciebie walczyć ze względu na ciebie. - Ręka mu opadła. - I zdecydowałem, że lepiej będzie skończyć to teraz. Bo pewnego dnia tą drogą przyjedzie ktoś, kto będzie płonąć żądzą zabicia mnie. Ktoś, kto jest trochę szybszy, kto potrafi strzelać trochę celniej, i gdybym został, musiałabyś patrzeć, jak się to stanie.

Tym razem ona wyciągnęła rękę nad kłębami klaczy, by dotknąć jego ust i wokół nich zmarszczek od śmiechu, choć teraz był poważny.

- Niczego się nie nauczyłeś, innowierco, prawda? Przecież może cię trafić piorun, gdy wyjdiesz na podwórko, a ja też musiałabym na to patrzeć.

Potrząsnął głową i cofnął się o krok poza zasięg jej ręki. Teraz jednak uśmiechnął się do niej - oczami.

- Tak dalece zszedłem z drogi na manowce, ściągając na siebie gniew Wszechmogącego, że już powinien był zesłać na ziemię pioruny.

Prerażenie ścisnęło pierś Rachel tak mocno, że pomyślała, iż chyba przestaje bić jej serce.

- Dziś rano podczas nabożeństwa - powiedziała, wyrzucając z siebie słowa wraz z piekącym oddechem - będzie moja spowiedź i wyrażenie skruchy. - M o j a o b i e t n i c a, z e n i g d y j u ż n i e p r z e m ó w i ę d o c i e b i e, n i g d y c i ę n i e z o b a c z ę, n i g d y o t o b i e n i e b ę d ę m y ś l ę ć.

Odwrócił wzrok i zajął się znów szczotkowaniem klaczy.

- Wspominał mi o tym młody Mose, gdy wrócił przejąć wypas owiec.

- Zawieziesz mnie tam, na dzisiejsze nabożeństwo i obiecasz, że nie odjedziesz, póki się to wszystko nie skończy?

Sapnął głośno, jakby oddech wiązał mu w płucach, gęsty i gorący.

- Jezu, Rachel! Myślisz, że z czego jestem?

„Jakie to wszystko wspaniałe i przerażające, grzeszne i piękne” - pomyślała.

- Z twardego rzemienia - odparła. - Tak tutejsi starzy ludzie mówią o twardym człowieku lub przedmiocie. Twardy jak rzemień.

Próbowała się uśmiechać, ale wiedziała, że wyszedł jej raczej okropny grymas.

- Proszę cię, Johnny. Potrzebuję cię, chcę, żebyś był ze mną, bo ja wcale nie jestem twarda.

Zrobiła krok do tyłu, potem drugi. Odwróciła się i ruszyła w stronę rozmazanego, mokrego, złotego światła, w stronę - jak miała nadzieję - otwartych wrót stodoły.

- Myślisz, że to był grzech, Rachel? To, że się kochaliśmy?

Nie odpowiedziała, bo nie знаła odpowiedzi.

Słońce przypominało roztopioną miedzianą kulę na intensywnie błękitnym niebie. Wiatr czochnął pożółkłą trawę. Poddzierał szerokie rondko czarnego czepka Rachel.

Tak jak zawsze w drodze na nabożeństwo obejrzała się i patrzyła na farmę, gdy minęli most i zaczęli wjeżdżać pod górę. Z jakiegoś powodu sądziła, że dzisiaj będzie wyglądać inaczej, ale oczywiście tak nie było.

Tym razem w czterokółce siedzieli tylko we dwoje, ona i innowierca. Sol przyjechał swoim wozem, żeby ją zawieźć na nabożeństwo, ale poklepała go po zarośniętym brodą policzku i posłała z nim Benja. Straszne wydawało się Rachel już to, że syn będzie musiał być świadkiem jej hańby, gdy przyzna się do grzechu pychy i cudzołóstwa. Ale nie mogła wprost znieść myśli, że musiałby uczestniczyć wraz z nią w tym, co będzie przedtem:

w tym długim przesuwananiu się wzdłuż milczących rzędów ław przez morze czarnych i białych czepców i czarnych kapeluszy. Te długie minuty spędzone na kolanach, minuty czekania bez końca, wolno płynącego czasu, i to czasu tym razem nie słodkiego, tylko gorzkiego. Gorzkiego i trudnego.

Stara kobyła stapała ciężko, potrząsając uprzężą. Klacz Johnny'ego Kaina, osiodłana i wyszczotkowana do połysku, biegła uwiązana z tyłu do czterokółki. Stukała kopytami w żywszym tempie, nie buch-buch, tylko klip-klap. Koń przewidziany do ucieczki Johnny'ego Kaina. Spalona słońcem droga rozciągała się przed nimi, niestety niezbyt długa. Niewystarczająco długa.

Muszę to zrobić, muszę. Przez wzgląd na swojego syna i rodzinę. Przez wzgląd na Bena, który czeka, że do niego dołączę w zaświatach. Muszę to zrobić, bo inaczej nie będzie dla mnie miejsca przy stole.

Kiedyś, przed wieloma laty, przysięgała, że wyrzeknie się świata i diabła, że żyć będzie z dala od świata i kroczyć z Chrystusem i jego Kościołem prostą i wąską drogą, że pozostanie wierna Bogu przez całe życie aż do śmierci.

Kiedyś złożyła przysięgę i zgodnie z nią żyła, mając radość w sercu. Niedługo znowu złoży przysięgę. Tylko że teraz przez resztę życia oplakiwać będzie miłość, którą utraci na zawsze. Nie może dwukrotnie przysięgać i dwukrotnie przysięgę łamać i oczekiwać, że Bóg zrozumie.

Muszę to zrobić. Przez wzgląd na swoją duszę, muszę.

Spojrzała na Kaina, ale on wpatrywał się w drogę.

Nie mogę stać się taka jak ty, Johnny. Nie mogę żyć w obcym świecie z tobą.

Zawsze była zrosnięta, niczym konar z pniem drzewa, z Kościołem i rodziną, i Bogiem. Gdyby zerwała tę więź, umarłaby.

„Ta chwila chyba zawsze istniała jak zapowiedź jej przyszłości” - pomyślała. Od tamtego dnia, gdy szedł, ślaniając się, Przez jej łąkę, aż po dziś, gdy musi wybierać między rodziną i Bogiem a miłością do Johnny'ego Kaina.

Muszę to zrobić. Muszę!

Tej niedzieli nabożeństwo odbywało się w stodole Noaha Weavera. Rachel dobrze знаła jego farmę, która przypominała jej własną, odnosiła więc dziwne i przerażające wrażenie, że jechała tak długo po to, by znaleźć się z powrotem w domu.

Na pastwisku Noaha stały jednak szeregi czterokółek i wozów, a czarne czepki wisiały rzędem na płocie. Wrota stodoły otwarto na oścież; wszyscy już tam weszli i na nią czekali.

Wyjeżdżona kołami wozów wąska dróżka prowadziła od drogi na podwórko farmy Noaha. Innowierca zatrzymał czterokółkę i na dróżkę nie wjechał. Patrzył nie na Rachel, tylko na swoje ręce, w których luźno trzymał lejce.

- Kiedy usłyszysz psalmy... - odezwała się Rachel. Czuła wewnętrzną gorączkę, drżała i oblewała się zimnym potem. I chyba zapominała o oddychaniu. Muszę to zrobić, muszę! - Kiedy usłyszysz psalmy, będziesz wiedział, że to się skończyło. Wtedy odjedziesz.

Widziała, jak jego pięść zaciska się na lejcach, widziała, jak sztywnieją mięśnie pięknej, pełnej gracji dłoni i nadgarstka. Uniósł głowę i wtedy w oczach ujrziała jego serce, całe życie w tych oczach, serce bijące bólem i nadzieją, i strasznym rozpaczliwym pragnieniem.

- Rachel, ja... Niech to diabli porwą i ciebie też za to wszystko! Jeśli wasz Bóg wymaga tego od ciebie, to nie chcę Go znać!

Wciągnęła ustami powietrze, mając uczucie, że łyka ogień.

- Och, nie, nie. Nie wolno ci tak mówić, nie wolno tak myśleć. Nie odwracaj się z mego powodu od Boga. Proszę!

Okręcił lejce wokół rączki hamulca i zeskoczył z czterokółki. Zaczęła wysiadać, ale on czekał, żeby ją podtrzymać, chwytając za obie ręce, i pod tym pretekstem dotknąć jej, dotknąć po raz ostatni.

- Rachel.

To imię tym razem wymówił nie on, tylko jej ojciec. Na dźwięk swojego imienia odwróciła się i odeszła od Kaina, odeszła z powrotem do życia wśród prostaczków.

Biskup Isaiah Miller stał przed nią w świeżo oczyszczonej niedzielnej kapocie. W jego oczach wyczytać mogła ból, jaki mu sprawiła.

Widziała, że innowierca stoi bez ruchu przy czterokółce, choć już na niego nie patrzyła. Dla jej ojca on w ogóle nie istniał, był przezroczysty jak szkło, nie zasługiwał na spojrzenie, nie zasługiwał na zainteresowanie. Skoro tylko córka się wypowiedzi i okaże skrucę, zostanie znowu przyjęta do Kościoła, a kiedy się to dokona i wszyscy razem wyjdą po nabożeństwie, wtedy Johnny Kain zniknie. Isaiah Miller widział tylko córkę.

- Naprawisz swoje winy wobec Kościoła, ja, nasza Rachel? Naprawisz je?

Na piersiach miała ciężar, gardło zbyt ściśnięte, by mówić. Zdołała kiwnąć głową, co go chyba zadowoliło, choć uśmiech, jaki jej posłał, był trochę niepewny.

Ruszyli razem w stronę stodoły; nogi odmawiały Rachel posłuszeństwa i wciąż się potykała. Chciała się obejrzeć,

popatrzeć na Johnny'ego Kaina, bała się jednak, że jeśli tak uczyni, nie zdoła zrobić ani kroku dalej ku życiu bez niego.

„Nigdy się nie zagubisz, jeśli kroczysz prostą i wąską drogą”.

- Tato - powiedziała - to takie ciężkie. Zbyt ciężkie, myślę, że tego nie wytrzymam.

Otoczył ją ramieniem, objając się o nią biodrem, niezdarnie, a przy tym z czułością.

- Poczujesz się lepiej, kiedy będziesz znowu mogła kroczyć drogą cnoty. Zobacysz, że tak będzie. - Stał przez chwilę, obejmując ją ramieniem, i było zupełnie jak tamtego ranka w dniu jej ślubu, gdy pragnęła, by chwila ta trwała wiecznie.

* * *

Biskup Isaiah Miller stał, a łzy płynęły mu po policzkach i ciekły na brodę. Drżącym głosem czytał z Biblii przypowieść o synu marnotrawnym, o dobrym pasterzu i zagubionej owieczce.

Rachel klęczała na zasłanej słomą ziemi - wobec Kościoła, rodziny, przyjaciół, życia zgodnego z nakazami obowiązującymi prostaczków. Usiłowała zmusić się do wysłuchania słów Pisma Świętego, odnosić się do nich jak należy - z pokorą, radością i nadzieją w sercu. Lecz jej myśli się rozbiegały, a w sercu miała pustkę.

Usiłowała zmusić się do rozróżnienia poszczególnych twarzy w rzędach czarnych i białych czepców i czarnych kapeluszy. Benjo - nie, na niego nie mogłaby spojrzeć. Widziała cicho płaczącą matkę i podpierające ją z obu stron Velmę i Altę; Samuela i Abrama o zaciętych srogich ustach; Lewiego z obandażowaną nogą na stercie poduszek i ze zmarszczką frasunku na czole; Sola, który wbił wzrok w swoje złożone dłonie i palce tak mocno splecione, że aż białeły mu knykcie; i piwne oczy Noaha wpatrzone w nią z rozpaczliwą nadzieją.

Nigdy dotąd tak bardzo nie kochała ich wszystkich.

- „Pokarcił ci mię pan srodze; ale mię na śmierć nie podał”.

Były to słowa łaskawe, pełne nadziei, lecz sprawiały ból. Rozpościerało się przed nią życie prostaczków. A za wrotami stodoły czekał innowierca, dopóki nie usłyszy pierwszego psalmu.

- Rachel Yoder, jeśli wierzysz, że możesz stanąć przed Wszechmogącym Bogiem ze skruchą w sercu, to w imię Boże wyznaj teraz swoje grzechy, a będą ci odpuszczone.

Słoma kłuła jej kolana. Zapadła ciężka i przygnębiająca cisza. Potem przez otwarte wrota stodoły, trzepocząc skrzydłami, wleciała jaskółka i pofrunęła do swojego gniazda między krokwiemi. I przez moment się wydawało, że to kolejna nauka.

„Ostatecznie nie będzie to takie ciężkie - pomyślała Rachel. - Znam słowa, pozostaje mi tylko je wypowiedzieć”.

- Wyznaję, że nie potrafiłam utrzymać się z dala od świata. Że wzięłam do swojego domu innowiercę Johnny'ego Kaina i uczyniłam go członkiem rodziny, narażając siebie i mojego syna na demoralizujący wpływ jego światowych obyczajów.

Ciężko pracował na farmie i tak dobrze się odnosił do Benja. I wcale nie był takim twardzielem, za jakiego lubił uchodzić. Przemawiał słodko do owiec, gdy je strzygł, wesoło doił krowę, choć to kobiece zajęcie. Śmiał się, gdy tryk Ezekiel zapłonął do niego namiętnością.

- Wyznaję, że popełniłam grzech cudzołóstwa z innowiercą Johnnym Kainem.

Usta innowiercy wyglądały zawsze tak surowo. A kiedy go pocałowała, sprawiły jej przyjemną niespodziankę, bo okazały się miękkie i ciepłe.

- Przyznaję się do grzechu pychy, do myślenia, że mogłabym uratować duszę innowiercy Johnny'ego Kaina, podczas gdy tylko Bóg może zaofiarować nam żywot wieczny.

Z zimną krwią zabijał, z uśmiechem na twarzy. A potem stał w ciemnej stodole z udręką w oczach i mówił: „Jestem brudny”. Gdyby powróciła do życia prostaczków, on powróciłby do swojego dawnego życia. I w końcu umarłby, wykrwawiwszy się na śmierć na posypanej trocinami podłodze jakiegoś baru.

- Wyznaję... wyznaję...

Promienie słońca wpadające przez rozwarte wrota oślepiały. Przed oczami widziała jakby mgłę bielejącą na krańcach. Słyszała płacz i szuranie nogami, a potem już bicie swojego serca.

M u s z ę t o z r o b i ć.

- Wyznaję - rzekła, podnosząc głos i mówiąc to z serca jak modlitwę - wyznaję, że zakochałam się w innowiercy Johnnym Kainie. Mówicie, że on do nas nie należy, a zatem nie mogę go kochać, ale powiedzcie to mojemu sercu. Miłość, którą do niego żywię, jest jak muzyka, ogarnia mnie całą, tyle że inaczej niż muzyka nie ustaje, trwa i trwa, i trwa wciąż.

Myśli znów gdzieś się błąkały. Mrugała powiekami, czuła zawrót głowy. Odniosła nagle wrażenie, że czepiec modlitewny miażdży jej głowę niczym gład, a tasiemki wpijają się w szyję. W tej stodole było bardzo gorąco. Strużki potu czuła na czole i policzkach. A ręce - rzecz dziwna - miała zimne. Owinęła je fartuchem.

- Myślę - powiedziała i przez dłuższą chwilę szukała odpowiednich słów. Wreszcie je znalazła. - Myślę o upływającym czasie, o słodkiej pocieszce zmieniających się pór roku, jakie towarzyszą nam w życiu, o rodzeniu się jagniąt, o sianokosach i o strzyży. Myślę o tym, że dzień za dniem ucieka, i nie wiem, Jak mam żyć bez niego.

Usiłowała zaczerpnąć powietrza, ale uwięzło jej w gardle.

- Mówicie, że on do nas nie należy. Jest innowiercą. A ja w duchu myślę: Jeśli Bóg kocha wszystkie stworzenia,

nawet niewierzących, to dlaczego miałby wymagać ode mnie, żebym zaparła się miłości, jaką żywię do tego jednego mężczyzny?

W pewnym momencie uniosła się z klęczek. Z tyłu ojciec coś mówił rozpaczliwym szeptem. Sol zasłonił twarz rękami. Noah przycisnął pięści do ust. Po twarzy matki ciekły łzy.

- Wiem, co muszę zrobić - mówiła dalej, kierując wzrok ku olśniewającemu białemu kwadratowi słonecznego światła za grotami stodoły. - Szukałam w swoim sercu żalu i wstydu, które powinnam odczuwać z powodu tego, co zrobiłam, ale nie ma ich tam. Przykro mi, bardzo przykro... mamo, tato, moi... moi bracia i siostry w Chrystusie, tak mi przykro. Lecz moje serce wypełnione jest miłością do niego.

Najtrudniejszy był pierwszy krok, potem zaczęła biec.

W pierwszej chwili go nie widziała. Strach, iż może już odjechał, był tak silny, że ugięły się pod nią kolana. Usiadła na ziemi na podwórku, objęła się rękami i kołysała, walcząc z przypiętym nieznośnej tęsknoty.

Na końcu dróżki rósł samotny klon. Był stary i rozrośnięty, a jego liściasta korona niczym jasnozielony parasol zapewniała cień w ten upalny letni dzień. Kain siedział pod drzewem, oparty plecami o pień pełen bruzd, z ręką na podciągniętym kolanie. Najpierw jej nie widział, a kiedy zobaczył, wolno wstał.

Krzyknęła uradowana, po czym się zerwała i pobiegła. I znalazła się w jego objęciach.

Ujął delikatnie jej twarz w swoje dłonie i skłonił, żeby popatrzyła mu w oczy.

- Zostań moją żoną - powiedział.

Z otwartych wrót stodoły popłynęły niskie, powolne, pogrzebowe tony pierwszego psalmu.

- Mamo!

Benjo wypadł na słońce i przytrzymując rękami kapelusz, pędził tak szybko, że aż furkotały szerokie nogawki.

- Mamo! Z... Zaczekaj!

Rzucił się na nią, bełkocąc jakieś słowa, których nie rozumiała. Przytuliła do brzucha jego głowę.

Popatrzyła na Johnny'ego Kaina.

- Chcę wrócić do domu. Proszę, zawieź nas do domu.

Pojechali tą samą drogą i kiedy nie było już widać farmy Weaverów, a dźwięki psalmu dawno zagłuszył wiatr, Rachel zdjęła modlitewny czepiec. Przez chwilę trzymała go w powietrzu, a potem wypuściła z ręki. Wiatr go chwycił i uniósł. Czepiec na zmianę nurkował i ulatywał w górę, po czym spadł na ziemię i zaczął się toczyć po pożółkłej trawie jak szarłat pełzający pędzony jesiennym podmuchem.

Ksiądz miał przyjechać do Miawa City dopiero za miesiąc, pojechali więc do Indiańskiego Rezerwatu Czarnych Stóp do tamtejszego misjonarza, żeby dał im ślub. W drewnianym kościółku w asyście dwóch milczących Indian jako świadków Rachel i Johnny Kain złożyli przysięgę, na mocy której stali się małżeństwem przynajmniej według prawa Terytorium Montany, jeśli nie w oczach Boga.

Rachel nie mogła przestać myśleć o tym, jak bardzo różniła się ta uroczystość od ślubu z Benem. Zgodnie z tradycją prostaczków pan młody powinien pomóc pannie młodej w przygotowaniach do uczyty weselnej i zabić dla niej kury. Rano w dniu ich ślubu Ben przyszedł pod jej drzwi z kurami bez głów w obu rękach. Na głowie zamiast kapelusza miał pióra, a klatkę piersiową pomalowaną w cynobrowe pasy jak dziki Indianin. Och, jakże się wówczas śmiali! Potem w stodole po nabożeństwie, po odśpiewaniu pieśni weselnej i wypowiedzeniu przysięgi, jej ojciec położył ręce na ich złożonych dłoniach i wypowiedział słowa błogosławieństwa.

Teraz takiego błogosławieństwa nie otrzymała.

Przysięga jednak była taka sama i wtedy, i teraz. Przysięgali miłować się wzajemnie, troszczyć się o siebie w bogactwie czy w biedzie, w chorobie czy w zdrowiu, póki śmierć ich nie rozdzieli. Noc poślubną z Benem spędziła w domu swojego ojca, a z Johnnym Kainem w wynajętym tipi. I za każdym razem - wtedy i teraz - była miłość.

* * *

Było już południe, a oni, niedawno poślubieni państwo Kainowie, znajdowali się w swojej sypialni i oboje wiedzieli, po co, choć żadne z nich tego nie powiedziało.

Rachel patrzyła, jak jej świeżo poślubiony mąż zdejmuje z głowy elegancki nowy kapelusz - opasany wokół główki wstążką ze skóry grzechotnika - i zarzuca go na hak na ścianie.

Położył się na łóżku, założył ręce za głowę i skrzyżował nogi w kostkach. Moszcząc się, pokręcił biodrami. Uwielbiała patrzeć na jego wąskie biodra, uwielbiała ich siłę, gdy się kochali. Powędrowała wzrokiem wzdłuż jego nóg aż po zakurzone buty na jej gwiazdzistej kapie. Ach tak, będzie się musiał nauczyć pewnych rzeczy. I ona też będzie musiała się nauczyć pewnych rzeczy, dopasowując się do zgodnego pożycia małżeńskiego.

Zauważył, że Rachel patrzy na buty.

- Przypuszczam, że będziemy się kłócić jak mąż i żona - Powiedział lekko złośliwie. - Ale powiadam ci od razu tu i teraz, że nigdy więcej nie będę sypiać w żadnej stodole czy wozie pasterskim. - Uśmiechnął się szerzej, z czułością w oczach. - Przynajmniej jeśli ty nie będziesz tej niedoli dzielić ze mną.

- Aha, cały czas zastanawiam się, dlaczego, a teraz już wiem. Poślubiłeś mnie z powodu mojego dużego, szerokiego łóżka.

Patrzył na nią w taki sposób, że miała wrażenie, jakby przewiewał ją na wskroś gorący wiatr. To było dziwne uczucie, ale jej się podobało.

Błyskawicznie potrafił się poruszać. Dopiero co leżał na łóżku, leniwie wyciągnięty i odprężony, z butami na kapie, na której zostawiały plamy kurzu, a w sekundę później zerwał się, chwycił ją w pasie, siadł na bujaku i posadził sobie na kolanach.

- Nie będę zaprzeczać - odparł, dmuchając jej w kark - że kiedy ten pastor gadał o ciałach wielbiących się wzajemnie, myślałem o twoim dużym łóżku i o tym, co będziemy na nim robić prawie co noc do końca naszego życia.

Podłożył rękę pod głowę Rachel, zaplątał palce we włosy i przyciągnął do swoich ust. W tym pocałunku była teraz dzikość, zabobrość, gwałtowność, co ją podniecało i oszałamiało.

Oszłołomiło i podnieciło również fotel. Bujak przechylił się do tyłu i stanawszy na końcach biegunów, uderzył w ścianę.

- Johnny - powiedziała do jego otwartych ust, nie mogąc się całkiem od nich oderwać. - Uważaj! Bo nas...

Fotel ponownie się zahuszał, tym razem mocniej. Oparcie walnęło w ścianę i siła rozpędu rzuciła bujaka do przodu; znaleźli się na podłodze w płataninie rąk, nóg i biegunów. Kain śmiał się na całe gardło - wspinałym śmiechem. Ona też.

Potem ucichli, ciesząc się na razie tym, że leżą blisko, obok siebie, twarzą przy twarzy, że się widzą.

Pchnął fotel szpiczastym czubkiem buta.

- Nigdy jeszcze nie spotkałem fotela, który by mi zrobił takie łotrostwo.

Obrysowała palcami jego usta.

- To ty jesteś łotrzyk.

- Taak, jestem. Jestem wstrętnym, wstrętnym łotrzykiem, a ty zawsze jesteś gotowa mnie naprawiać. - Dmuchał jej we włosy i cichym śmiechem muskał policzek. - To będzie wspaniałe małżeństwo.

Noah stał na ganku, patrzył na drzwi i zastanawiał się, co robić.

Prostaczkowie do drzwi nie pukają, ale on zdecydowanie nie chciał wejść i być świadkiem perwersji, jak się to niedawno przydarzyło biednej Fannie. Zacisnął dłonie w kulak. Gdyby on ją zobaczył... zobaczył swoją Rachel robiącą... ach. Boże drogi, nawet na samą myśl o tym skręcało go z wściekłości. Gdyby to on zobaczył Rachel, mógłby ją zabić. Ta myśl napęliła go grozą, poczuciem winy i wstydu tak dogłębnym, że sięgało korzeniami duszy. Wiedział jednak, że to prawda. Czuł do niej teraz głęboką nienawiść, tak głęboką jak jego miłość.

Zaczerpnął powietrza i przymknął oczy. *R a c h e l, n a s z a R a c h e l, j a k m o g ł a ś t o z r o b i ć, j a k m o g ł a ś n a s p o r z u c i ć? J a k t y m o g ł a ś p o r z u c i ć m n i e?*

Wciągnął znów powietrze i westchnął. Musiał wypełnić swój obowiązek jako diakon. *Ja*, miał do wypełnienia obowiązek, porozmawia z nią po raz ostatni. A potem jego usta nigdy więcej nie wypowiedzą jej imienia.

Kiedy podniósł rękę, żeby zapukać, ujrzał własne knykcie, wciąż czarnosine i pokryte strupami. Co za straszna rzecz - prostaczek ze śladami użycia przemocy na rękach! „Być może wszyscy jesteśmy teraz skazani i potępieni” - pomyślał. Ten innowierca przyniósł im wszystkim rozkład moralny.

Musiał dwa razy zapukać. Na widok Rachel, gdy szeroko otworzyła drzwi, wyrwał mu się zduszony okrzyk. Miała na sobie dawny strój, prócz fartucha i chusty skrzyżowanej na piersiach. Nie była też zapięta pod brodą. Widział, jak na jej szyi bije puls. Rozpuszczone włosy niczym ciemnoruda jedwabista kapa opadały na ramiona i muskały biodra figlarnymi splotami i loczkami.

Z trudem przełknął ślinę. Przez sekundę się zastanawiał, co czułby mężczyzna, zanurzając twarz i ręce w takich włosach. Takie włosy jak jej mogły zaćmić słońce.

Stała tam, mrugając z powodu światła, które zza jego pleców padało przez drzwi, a potem zapało jej dech.

- Noah - wyszeptały ze smutkiem wargi Rachel.

Przez chwilę nie widział nic prócz jej twarzy. Była zarumieniona, usta miała wilgotne i nabrzmiące, ale w oczach chyba udrękę. Świadomość, że ona cierpi, sprawiła mu ból, a jednocześnie satysfakcję.

Zaczerpnął powietrza.

- Rachel Yoder... - powiedział i zająknął się, bo przecież już się tak nie nazywała. Nie mógł jednak nadać jej nazwiska innowiercy. Kościół bowiem nie uznał tego małżeństwa. Umrze jako Rachel Yoder. I umrze nie rozgrzeszona, jeśli pozostanie z takim mężczyzną. *Z innowiercą.*

Wyprostował się i usiłował nadać kategoriyczny ton swoim słowom.

- Rachel Yoder, wszyscy członkowie Bożego Kościoła nałożyli na ciebie *Bann*. Będziemy cię unikać i nie będziemy widzieć do czasu okazania skruchy według słowa Bożego. Nie będziemy z tobą dzielić stołu ani prowadzić żadnych rozmów. Nigdy nie wypowiemy twojego imienia. Od teraz aż do chwili, gdy okażesz skruchę. A jeśli jej nie okażesz, to dla nas umarłaś.

Widział, jak oczy Rachel zachodzą łzami. Spoglądała w dół, na ręce skręcające spódnicę w węzeł. Potem z wyraźnym wysiłkiem rozwarła palce i wygładziła zmięty materiał. Kiedy znów uniosła głowę i na niego popatrzyła, w oczach wciąż miała łzy, ale i determinację.

- Spełniłeś swój obowiązek, diakonie Weaverze, i wzięłam sobie twoje słowa do serca. Lecz powinienes wiedzieć... nie okażę skruchy... nigdy.

Skrzywający się w mroku kuchni innowierca podszedł z tyłu do Rachel. Noah zauważył, że teraz przynajmniej ten człowiek nie ma na twarzy swojego diabelskiego uśmiechu. Jak zawsze jednak trudno było wyczytać coś z jego oczu o ciężkich powiekach. Spojrzał na Noaha z taką nieustępliwością, że skłonił go do odwrócenia wzroku.

- Nie wiem, dlaczego to uczyniłeś - rzekł Noah. - Uwiodłeś tę prostytutkę, oderwałeś ją od rodziny, jej życia, jej Boga. I dlaczego? Czyż nie dość jest kobiet twojej wiary, które mogłeś wziąć sobie do łóżka? Nie wierzę, żeby chodziło ci o nią. A jeśli w ogóle cię ona obchodzi, to dlaczego postanowiłeś stać się sprawcą jej potępienia?

Innowierca się poruszył, położył rękę na ramieniu Rachel i przyciągnął ją do siebie, jakby roszcząc sobie do niej prawo. Tak przynajmniej myślał Noah; nienawidził tego człowieka tak mocno, że aż go trzęsło, i wcale się tego nie wstydził.

- Ona nie jest potępiona - powiedział innowierca. - Znasz ją. Żaden Bóg godzien uwielbienia, żadne niebo, do którego warto dążyć, nigdy jej nie odrzuci.

Noah potrząsnął głową. Znał Boga, wiedział, co jest prawdą, co jest światłem. Tylko jedna droga prowadzi do zbawienia, droga prosta i wąska.

Skierował znów wzrok na Rachel. Jego Rachel miała włosy opadające filuternie na plecy i usta nabrzmiałe od pocałunków w środku dnia. Jego Rachel, której już nawet nie znał, która stała mu się obca.

- Czy on wart jest twojej duszy, Rachel? Czy tak bardzo go kochasz?

Podniosła głowę. W jej oczach widać było udrękę, ale i determinację.

- Tak. Tak bardzo go Kocham.

Ramiona mu opadły. Odwrócił się, poruszając się wolno; miał wrażenie, że jego nogi i stopy są obciążone dwudziestopięciokilowymi workami ziarna.

- Noah!

Zatrzymał się.

Plakała. Lecz uroniła tylko kilka łez, których zapewne nie mogła powstrzymać.

- Powiedz tacie, powiedz mojej rodzinie, że nadal ich wszystkich bardzo Kocham i że jest mi przykro, strasznie przykro.

Noah już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, ale gardło mu się zacisnęło. Powinien był przypomnieć Rachel, że nie wolno mu już wymawiać tego imienia, że jej rodzina nie będzie słuchać słów wypowiedzianych przez córkę, która dla nich umarła. Powinien był to zrobić, należało to do jego obowiązków jako diakona, ale wciąż jeszcze mocno ją kochał.

Przełknął ślinę, kiwnął głową i zostawił Rachel stojącą przy drzwiach swojego domu z innowiercą za plecami, który rościł sobie do niej prawo, położywszy jej rękę na ramieniu. Rękę, która zabijała i robiła różne złe rzeczy, a teraz kałała jego Rachel.

Noah zszedł z ganku, ciągnąc za sobą ciężkie stopy, i powłókł się w stronę stodoły i lasku oddzielającego farmę Yoderów od jego farmy. Nie mógł się pohamować, raz jeszcze przystanął, żeby się obejrzeć. Rachel wyszła na ganek, a z nią innowierca. Stał teraz z ręką przerzuconą przez jej ramię, przyciągając ją do swojego biodra. I kiedy Noah patrzył, wiatr uniósł włosy Rachel i miotnął je w twarz Johnny'ego Kaina, smagając oczy i usta, owijając pasemka wokół szyi, aż zupełnie go tymi włosami omotał.

XXV

Tego lata czas upływał Rachel słodko, a zarazem boleśnie.

Słodko było obudzić się w nocy i widzieć, że Johnny na nią patrzy.

Wymawiał tylko jej imię i całował wolno i namiętnie, a ona czuła, że żar jego pożądania przepala ją na wskroś. Doznawała upojnego uczucia przedziwnej mocy, bo potrafiła sprawić, że tak bardzo jej pragnął. I czuła się bezradna pod ciężarem jego ciała, pod ciężarem miłości, którą mu ofiarowała.

Kiedyś gdy się kochali, zaczął na cały głos śpiewać.

- Moje oczy widziały Pana przychodzącego z chwałą wielką...

Próbowała zamknąć mu usta ręką, myśląc o Benju, który spał w sąsiedniej izbie. Kiedy to nie poskutkowało, użyła warg, żeby go uciszyć.

- Jesteś taki bezbożny! - skarciła go ze śmiechem.

Życie z nim nie przypominało niczego, co mogłaby sobie wyobrazić. Patrzyła na niego, gdy siedział na miejscu przeznaczonym dla mężczyzny przy jej stole, jadł smażony placek z kukurydzianej mąki na śniadanie, i serce jej ogarniał na nowo strach i dreszcz podniecenia na myśl, że należy do niej, że to jej mąż.

Albo nagle na środku podwórka chwycił ją w ramiona, nucił jakąś melodię i wirował z nią w tańcu, a ona myślała o słowach Biblii: „Albowiem nie żyłaś w ten sposób dotąd”.

Albo przyglądała się, jak się golił; brzytwa zgarniała pianę i odsłaniała przed jej oczami jego frapującą twarz. I w umyśle pojawiała się wyraźniejsza od wspomnienia wizja jego twardego ciała, które się na nią nasuwa, a ona unosi swoje ciało na powitanie, żeby przyjąć jego ciężar i napór, i jego żądzę.

Często jej jednak przypominał, że zawsze będzie inny niż ona. Choćby tamtego dnia - przyszedł do niej, kiedy wiadrami nosiła wodę do schnącego warzywnika. Powiedział, że powinni zbudować wiatrak, na co bez zastanowienia odpowiedziała, używając takich słów, jakich powinna użyć prostytutka.

- Bóg zaopatruje nas w wodę. Nie powinniśmy Go prosić, żeby nam ją jeszcze pompował.

Popatrzył na nią tak, jakby mogła wchodzić w rachubę wyprawa do domu wariatów. Potem się roześmiał, mocno pocałował ją w usta i zostawił, żeby podlewała warzywnik wodą noszoną w wiadrze.

Sądziła, poślubiając innowiercę, że stała się *englische*, ale wcale tak się nie czuła. Nie nosiła już jednak czepca. Nie dlatego, że Johnny ją o to prosił, lecz że dla niej stał się symbolem tego, kim była i kim już nigdy nie będzie.

Poza tym ubierała się jak dawniej, bo w gruncie rzeczy w głębi serca pozostała prostytutką. Zewnętrznie czegoś jej brakowało. Nie była cała, jakby odcięto jej nogę albo ramię.

Wśród prostaczek znane jest takie porzekadło: *Oh, das hahmelt mir ahn*. Mówi ono o przywoływaniu tak sugestywnych wspomnień o dawnych czasach i przyjemnościach, że wspomnienia stają się bliskie bólu. Często łapała się na tym, że wspomina przyjemne chwile: stawia miskę fasolowej zupy przed ojcem podczas posiłku wspólnoty; słucha głosu Ezry Fischera przerywającego pierwszą długą i przenikliwą nutą psalmu ciszę oczekiwania; siedzi na niebieskiej kapie, gawędzi z matką i szwagierkami i trzyma na udach tłustonogie dziecko; kładzie na dłoń prababce pierwszą wiosenną poczwarkę pulsującą nowym życiem. Pamiętała i zaznawała radości, a potem ostrego ukłucia bólu wraz ze świadomością, że wszystko to utraciła na zawsze.

Były i takie chwile, gdy patrzyła na Benja i serce jej ścisnęło przerażenie na myśl o przyszłych cierpieniach, jakie ściągnęła na siebie i swojego syna. Ją wprawdzie wygnano ze wspólnoty, lecz jego nie. On miał mieć krewnych i Kościół, musi mu to zapewnić. Wychowa go na prostytutkę i w co drugą niedzielę będzie posyłać na nabożeństwa. Będzie często chodził na farmę dziadków i wszystkich swoich wujów, ciotek i kuzynów, pomoże w sianokosach i strzyży. Będzie jadał przy ich stołach. I pewnego dnia uklęknie w stodole prostaczek i wypowie tradycyjne formułę: „Pragnę żyć w zgodzie z Bogiem i Kościołem”. Wtedy będzie musiał jej unikać, jej, swojej matki. Ona umrze dla niego, a on będzie dla niej stracony. Gdyby jednak nie wybrał Kościoła i zamiast tego dołączył do niej i do świata, wtedy byłby stracony dla Boga.

Tak jak ona stracona jest dla Boga.

W pierwszą niedzielę po wygnaniu z Kościoła postanowiła raczej zawieźć czterokółką syna na nabożeństwo niż pozwolić mu na samotną jazdę na ich starej pociągowej kobyle.

Kiedy już miała wsiąść do czterokółki, podszedł jej *englische* mąż. Takiej miny nie widziała u niego od ślubu.

- Nie rób sobie tego - powiedział.

Niepodobna było go przekonać, bo on, który nigdy nie miał domu ani rodziny, tego by nie rozumiał. Takiego człowieka jak Johnny Kain mógł podtrzymywać w wiecznej samotności jego duch, wewnętrzna twardość. Ona taka nie była, potrzebowała innych ludzi, potrzebowała tego miejsca przy stole. Tak bardzo kochała swoją rodzinę, że nie przeboleje tego przez resztę życia. Utratą rodziny Bóg każe jej zapłacić za miłość do Kaina. Nie mogła mu o tych rzeczach powiedzieć, boby nie pojął. Z wyjątkiem jednego, tę jedną rzecz mógł zrozumieć.

Przyciągnęła głowę męża, żeby pocałować go w usta w biały dzień, w niedzielę modłów, na środku podwórka i w obecności syna.

- Kocham cię - powiedziała.

Tam jednak było gorzej, niż mogła sobie wyobrazić. Nie pozwolono jej oczywiście wejść do stodoły podczas nabożeństwa. Wiedziała, że nikt się do niej nie odezwie. Nie wiedziała tylko, jak to jest, gdy ludzie, których kochasz, rodzina i przyjaciele znani ci od dzieciństwa nawet na ciebie nie spojrzą. Wiedzą, że tu jesteś, ale zachowują się tak, jakby cię nie było - jakby nawet wspomnienie o tobie dawno już wyblakło, przypominało tylko tępy ból.

Najgorsza, absolutnie najgorsza była chwila, gdy *Mutter* Anna Mary, która siedziała na wiklinowym bujaku w cieniu płaczącej wierzby, „zobaczyła” niewidzącymi oczami nadchodzącą Rachel i odwróciła twarz w drugą stronę.

Tego wieczoru po zapadnięciu ciemności, po ugotowaniu i zjedzeniu kolacji, po zmyciu naczyń, po wypchnięciu syna z kuchni i posłaniu go do łóżka Rachel podeszła do płotu okólnika. Stała samotnie, słuchała cykania świerszczy, cichego szmeru potoku, szumu letniego wiatru, otwierając serce na muzykę. Jednakże muzyka nie przyływała. Wtedy zgięła się nad drągiem płotu, ukryła twarz w dłoniach i zapłakała.

Nie wiedziała, że przyszedł, dopóki nie wziął jej w ramiona i nie poprowadził z powrotem do domu. Kiedy położyła mu twarz na piersi, szloch przycichł, zamieniając się w chrapliwy oddech.

Położył ją na łóżku, potem legł obok niej. Więcej niż obok, bo leżał niemal na niej, obejmując z tyłu ręką i przerzucając jedną nogę przez jej nogi, jakby przyszpilając ją do łóżka swoim ciężarem.

- Trzymaj mnie, Johnny - wyszeptwała. - Trzymaj mnie mocno!

Nie odpowiedział nic, tylko mocno ją trzymał.

Później jej *englische* mąż zbudził się w środku nocy, ale ona na niego nie patrzyła. Siedziała na swoim bujaku,

wpatrując się w ciemność, w nicość swojej duszy. Wstał i podszedł do niej. Ukłękł u jej stóp, wziął ją za rękę, zaciśnięte na podolku, i ogrzewał własnymi dłońmi.

- Muzyka odeszła - powiedziała.

- Powróci.

Jedna łza stoczyła jej się po policzku za ucho we włosy, które już i tak były wilgotne. Nie rozumiał. Nie było w nim wiary, żeby mógł zrozumieć.

Uniosła do ust ich złączone ręce i całowała kostki jego palców.

- Nie, nie powróci. Muzyka to był Bóg.

Kochała go rozpaczliwie. A miłość i pożądanie sprawiały, że okropnie się bała.

Kain nie wierzył w lepszy świat po śmierci, żył więc całkowicie tym światem i obecną chwilą. I do owego dnia, gdy szedł, ślaniając się, przez jej łąkę, żył jak popadło. Wyobrażała sobie, jak pewnego ranka on się obudzi i pomyśli, że nie chce być z upadłą prostytutką i dziesięcioletnim chłopcem na owczej farmie w Miawie, wstanie więc i odjedzie.

Za pierwszym razem, gdy nawiedziła ją ta wizja, wpadła w okropną panikę. Wiedziała, iż nie zdoła zaczerpnąć powietrza, póki na własne oczy się nie przekona, że jest z nią nadal. Mówił coś o pójściu do stodoły, żeby zrobić jedna z tych rzeczy, które mężczyźni zawsze znajdują sobie do wykonania. Nagle nabrała przekonania, że poszedł osiodłać konia do ucieczki.

Wpadła przez otwarte wrota, wykrzykując jego imię.

Szybko się obrócił, sięgając ręką do broni.

- Co się stało?

Ciężko dyszała i nieświadomie położyła dłoń na piersiach, żeby się uspokoić.

- Nic.

- Co takiego?

- Myślałam, że mnie porzuciłeś!

Fałdy w kącikach ust Kaina się pogłębiły. Sądziła, że to uśmiech ze szczerego serca, póki nie usłyszała w jego głosie ostrej nuty.

- Oboje przyrzekliśmy, że jedynie śmierć nas rozłączy.

Zrozumiała. Wierzył, że ona pozostanie wierna przysiędze, i tego samego oczekiwał z jej strony.

Naprawiał uprzęż. Na lewej ręce miał owinięty jeden z postronków. Popatrzyła na tę rękę wydłużoną, drobnokościstą, tak pełną gracji w ruchach. Ujęła ją i odchyliła palce, żeby obejrzyć dłoni.

- Masz teraz ręce jak farmer - powiedziała. - Pełne odcisków w różnych miejscach.

Godzinę później przyszedł do niej, gdy wieszala pranie na sznurze.

- Jadę do miasta - oznajmił. Zaczekał chwilę, a gdy się nie odezwała, dodał: - Myślę, że nasz Benjo mógłby ze mną pojechać.

W uśmiech włożyła serce.

- Uszczęśliwisz go tą propozycją na cały tydzień.

Patrzyła za nim, gdy odchodził, i czuła się taka rozradowana. Serce jej śpiewało, bo powiedział „nasz Benjo”, jak to robią prostytutki.

Już się zmierzchało, gdy wrócił do domu. Na wozie jechało coś dużego zapakowanego w brezent, a i Benjo na kolanach trzymał paczkę owiniętą w papier. Obaj, on i Benjo, uśmiechali się radośnie.

Kazał jej iść do izby, poszli tam tylko we dwoje i zabrał ze sobą paczkę zawiniętą w papier.

- Otwórz ją - powiedział, a w oczach miał ten rodzaj leniwego podniecenia, który sprawiał, że z trudem przełykała ślinę.

Rozwiązała sznurek, rozwinęła szary papier - wyjrzała spod niego suknia z miękkiego aksamitu w kolorze niezapominajek, z falbankami i kaskadą pienistych koronek w kolorze ecru.

- Och! - Musiała usiąść na łóżku, tak jej się trzęsły nogi. Wyciągnęła rękę w stronę pięknej sukni, ale jej nie dotknęła.

- Kosztowała fortunę! - wykrzyknęła. Nie mogła na głos wymieniwać tej sumy, ledwie mieściła jej się w głowie. - Widziałam cenę w sklepie na wystawie.

- Tulle chciał się sukni pozbyć, a ja się targowałam.

Kręciło jej się w głowie na myśl o pięciuset dolarach. Kręciłoby się na myśl nawet o stu dolarach.

- Ile utargowałeś?

- Nieładnie jest pytać, ile kosztował podarunek. Tego cię nie uczono?

- Och, Jezu! - wykrzyknęła, dopuszczając się po raz pierwszy w życiu błuznierstwa. Zerwała się i rozwarła ramiona. - Ależ z ciebie szalenciec! - Obróciła się, żeby popatrzeć na suknię, pragnąc jej i bojąc się jednocześnie. - To jest suknia przeznaczona do noszenia w kurorcie. A gdzie tu w Montanie jest choćby jeden kurort, gdzie można by włożyć taką suknię? - Odwróciła się z powrotem z rękami na biodrach. - O czym ty myślałeś, na miłość boską?

- Nogi znowu zaczęły jej drżeć i musiała przerwać, by zaczerpnąć powietrza. - Och, Johnny, nie ma sensu się targować, bo nie możemy sobie na nią pozwolić!

Oczy Johnny'ego uśmiechały się do niej.

- Ładna jesteś, kiedy się złościś.

Usiadła znowu na łóżku i przyciskała suknię do piersi. Po czym ją puściła, jakby zaczęła nagle płonąć w jej rękach. „Judaszu - pognoitła suknię. - Judaszu, taka jest piękna! Jak można poślubić kogoś i nie wiedzieć, że on pojedzie do miasta i kupi ci taką suknię jak ta?”

Przyglądał jej się w ten swój baczny sposób.

- Mam sporo pieniędzy w banku w San Francisco - powiedział. - A całym swoim doczesnym dobytkiem ciebie obdarzam.

Zaszokowało to ją jeszcze bardziej niż suknią. Zaparło wprost dech.

- Jak doszedłeś to tych pieniędzy? Rabowałeś banki?

W jego oczach wyczytała, że się z niej śmieje. Usta też już prawie się śmiały. Widziała, że ledwie może powstrzymać się od śmiechu.

- Rachel, Rachel! Czy człowiek, który rabuje banki, powierzyłby swoje pieniądze jakiemuś bankowi?

- Nie wiem.

Pochylił się i przejechał wargami po jej czole.

- Poczekaj tu. Mam dla ciebie następną niespodziankę.

Powędrowała wzrokiem ku pięknej sukni. Doprawdy nawet sam diabeł nie zdołałby w swojej szatańskiej przebiegłości przyjść z taką pokusą. Poglaskała miękki aksamit i ogarnął ją lęk i podniecenie. Tak postępuje mężczyzna, który chce uwieść kobietę - kupuje jej taką suknię. Lecz on już zdobył jej serce, ciało i duszę. Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby mu dać.

Usłyszała łomot, gdy wchodzili przez drzwi z podwórka, przyspieszone oddechy, jękanie i szepty podekscytowanego Benja. Mąż i syn wkroczyli do izby, taszcząc wielki przedmiot, który przyjechał, okryty brezentem, na dnie wozu. Wciąż był przykryty, ale dostrzegła wystającą spod brezentu drewnianą nogę.

Postawili niespodziankę w rogu, koło szafy. Johnny powiedział coś do Benja, lecz zbyt cicho, więc nie mogła zrozumieć. Syn wyszedł z izby, uśmiechając się do niej po drodze, a potem wybiegł z domu i zatrzaskał za sobą drzwi.

Podniosła się z łóżka, gdy weszli z ową niespodzianką, i teraz stała na środku izby nagle onieśmielona i trochę zdenerwowana.

- Zamknij oczy - powiedział.

Zamknęła oczy, przełknęła ślinę. Słyszała, jak ściągał brezent, potem go zwijał. Położył jej ręce na ramionach i obrócił ją w tamtą stronę.

- Patrz! - polecił.

Spojrzała i zobaczyła siebie. Zobaczyła swoje odbicie w dużym ruchomym lustrze osadzonym w mahoniowej ramie. Nie bardzo wiedziała, jak się rozeznac w tym, co widzi. Była tam kobieta, niezbyt wysoka i raczej chuda, w brązowym stroju, w fartuchu i chuście, z kasztanowymi włosami splecionymi w warkocze i zwiniętymi na czubku głowy. Na twarzy miała wypieki, szyję błyszczącą od potu, bo dzień był upalny, oczy lekko przerażone, a może tylko zdumione. Jak zając nagle złapany w strumień światła latarni.

Johnny zdjął jeden z jej czepców z półki pod oknem gdzie je nadal przechowywała, choć już nie nosiła. Zobaczyła w lustrze, jak podchodzi do niej z tyłu z czepcem w ręce i wkłada jej na głowę.

- To widzę, gdy patrzę na ciebie, Rachel. To właśnie widziałem od początku.

- Widzisz we mnie prostytutkę?

- Widzę ciebie.

Był to dziwny sposób powiedzenia, że ją kocha, męski sposób - jak przypuszczała. Niemniej rozgrzał jej serce.

Oczy ich spotkały się w lustrze i pełne były miłości. Przysunął się bliżej, dotykając włosami jej policzka, gorącym i wilgotnym oddechem muskając ucho. Serce jej zaczęło bić szybko i nierówno.

- Zamierzasz wziąć mnie do łóżka?

- Och, pani, zamierzam.

Kochali się, a potem gdy została sama w izbie, włożyła tę piękną suknię i obejrzała się w lustrze. „Lustro - pomyślała. - Wyobraźcie sobie!” Mogła zrozumieć, dlaczego taka rzecz była zakazana w życiu prostaczków. „Na pewno bardzo szybko zaczęłabyś myśleć, że jesteś kimś, gdybyś tak patrzyła na siebie przez cały czas”. A ta kobieta, na którą patrzyła teraz w lustrze, kobieta w niebieskiej aksamitnej sukni z tiurniurą z koronki w kolorze écreu - to był ktoś obcy.

Kiedy zdjęła suknię i chowała ją w sosnowej szafie pełnej dziur po sękach, czuła się lekko roztrzęsiona. „Może kiedyś włoży ją dla niego, ale jeszcze nie teraz” - pomyślała...

Tego popołudnia, kiedy siedziała na ganku z masielnicą między kolanami i kręciła korbą, na drodze ujrzała kobietę ubraną jak prostytutka.

Zwolniła tempo kręcenia. I zanim kobieta przeszła przez mostek i skierowała się na podwórko, Rachel wiedziała, że to jej matka.

Przyszło jej do głowy, że coś okropnego musiało się wydarzyć w rodzinie, skoro matka zdecydowała się na przyjsście tutaj. Pewno śmierć - bo z mniej ważnego powodu Sadie Miller nie złamałaby *Bann*. Nie naraziłaby swojej nieśmiertelnej duszy, przyznając się do krnąbrnej córki.

Rachel wstała, zapominając o robionym maśle, i z podchodzącym do gardła sercem patrzyła na zbliżającą się matkę.

Sadie Miller zatrzymała się u stóp schodków, jakby się bała albo nie mogła iść dalej. Jej czepiec, wykrochmalony i wybielony, błyszczał bielą w słońcu.

- Kto? - spytała Rachel ledwie słyszalnym szeptem.

Na twarzy matki pojawiło się zakłopotanie, a potem głośno wypuściła z płuc powietrze.

- Nie, nie, wszyscy jesteśmy zdrowi. Tylko noga trochę jeszcze dokucza twojemu bratu, Leviemu.

Ulga, jaką odczuła Rachel, była tak wielka, że aż zakręciło jej się w głowie.

- Mamo, co ty tu robisz? - Spojrzała na drogę, mrużąc oczy przed blaskiem słońca zasnutego mgiełką upału, jakby tam spodziewała się znaleźć odpowiedź. - Nie wolno ci tu przychodzić! Jeśli ktoś cię zobaczy, jeśli oni się dowiedzą...

Wtedy również Sadie Miller zostanie wygnana z Kościoła. Wygnana nawet przez własnego męża. Biskup Isaiah będzie zmuszony do wypędzenia żony ze swojego łóżka i od swojego stołu.

Matka Rachel uniosła głowę i spojrzała córce w oczy. Tylko ona w całej rodzinie Millerów miała inne, nie szare oczy. Lecz przecież nie pochodziła z Millerów.

- Więcej nie przyjdę - powiedziała. - Tylko ten jeden raz. Musiałam zobaczyć na własne oczy, jak ci jest.

Rome powiesił się na krokwi w stodole i to Sol go znalazł. A matka myślała i ubierała swojego syna po raz ostatni. Jednak nie na biało, bo umarł nie jako prostaczek.

Rachel zrobiło się smutno i przyjemnie zarazem. Smutno z powodu matki, której przypadło w udziale oplakiwanie dwójki dzieci zabranych jej przez świat. Przyjemnie, bo matka tak się o nią troszczyła, że przyszła zobaczyć na własne oczy, jak jej się wiedzie.

- Czasem jest mi ciężko, w pewnych momentach, ale jestem szczęśliwa - powiedziała matce.

Dobrze było mówić prawdę, dobrze przyznać ją sobie samej. Była szczęśliwa. I wtedy odczuła nagle pragnienie, żeby pokazać matce, skłonić ją do zrozumienia, dlaczego ich życie przyjęło taki obrót. Dlaczego tak wielki ból zadała im wszystkim, również sobie.

- Tak bardzo go kocham, mamo. Jest dla mnie wszystkim.

Nie wiedziała, czy matka zrozumiała. Nie było w stylu prostaczków jawne okazywanie miłości czy choćby przywiązania. Nigdy nawet o tym nie mówiono. Małżeństwo Isaiaha i Sadie było spokojne i bez wielkich uczuć, ale ich dzieci widziały, że łączy ich głębsza więź.

Po chwili matka rzekła:

- Miłość, jaką żywisz do tego innowiercy, musi być wspaniała i bolesna. Bolesna, bo dla niego wyrzekłaś się wszystkiego. I wspaniała, bo wierzysz, że on jest tego wart.

Jest wart, tego Rachel zawsze była pewna.

Matka patrzyła na nią tak jak wtedy, gdy Rachel była dziewczynką - z mieszaniną irytacji, zakłopotania i zdumienia.

- Nie wiem, czy Bóg zawsze właściwie nas dobiera jedno do drugiego. Z całą pewnością ja nie byłam dla ciebie odpowiednią matką.

Rachel coś ścisnęło w piersiach.

- Och, mamo...

- No widzisz, zawsze mi przerywasz, gorzej niż nasz Samuel, i nie pozwalasz skończyć. Patrzyłam na ciebie, gdy dorastałaś, ja, i nawet potem, kiedy wyszłaś za mąż i miałaś już własnego syna, patrzyłam na ciebie i myślałam: To moja córka? I dziwiłam się, jak to się stało, że wzięłaś się ze mnie, Sadie Miller. Nigdy nie mogłam pojąć, jak to możliwe. Ty zawsze byłaś taka silna, taka wewnętrznie pewna. Jak psalm śpiewany stale w ten sam określony sposób, wiedziałaś, dokąd chcesz zmierzać, jaka chcesz być.

- Teraz nie za bardzo tak się czuję - wtrąciła Rachel.

- Ale będziesz tak się czuć znowu. Jesteś silna, moja córko.

M o j a c ó r k o. Rachel nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo pragnęła usłyszeć te dwa słowa. Były dla niej podwójnie słodkie i podwójnie bolesne, bo wiedziała, że nigdy więcej już ich nie usłyszy.

Łzy napłynęły jej do oczu. Kiedy schodziła po schodkach, żeby znaleźć się w ramionach matki, poruszała się jak ślepa. Objęły ją niegrzecznie, nie przyzwyczajone do czegoś takiego, i czuły się obie trochę zawstydzone i niemądre. Kiedy się rozdzieliły, nie patrzyły na siebie.

Matka osuszyła oczy rogiem fartucha.

- Nigdy nie powiedziałam tego Rome'owi. Nigdy mu nie powiedziałam i do tej pory gorzko tego żałuję. Nie odejdę więc stąd, zanim ci tego nie powiem.

Opuściła fartuch i patrzyła na twarz córki, jakby chciała wryć sobie w pamięć jej wizerunek, by potem móc po niego sięgać i oglądać bez końca.

- Nie umarłaś dla nas, nasza Rachel. Nie dla twojego taty i twoich braci, i nie dla mnie, niezależnie od tego, jak musimy się wobec ciebie zachowywać. Pozostaniesz z nami na zawsze w naszych sercach.

Rachel patrzyła, jak matka odwraca się i odchodzi, i wiedziała, że Sadie Miller będzie teraz na tyle silna, by trzymać się prostej i wąskiej drogi. Nigdy więc już nie będą ze sobą rozmawiać.

Popołudniowe słońce prażyło je w plecy. Cień Sadie Miller, długi i ciemny, wyprzedzał ją na drodze.

Quinten Hunter stał na balkonie dużego domu. „Wszędzie w Montanie jest rozległy widok - pomyślał - niebo takie bezkresne, horyzont taki odległy”. Lecz to, co widział dziś, sprawiało mu ból. Trawa na prerii zbrązowiała, szarozielone podgórze zszarzało od pyłu. Chmury wisiały nad górami, ale nie przynosiły deszczu.

Gwałtowny podmuch gorącego popołudniowego wiatru sprawił, że czuł się trochę jak szalony. Niczym odszczepieniec - mówią w rezerwacie. Zaciśnął usta w gorzkim uśmiechu. Może powinien oskalpować jakieś białe twarze albo pognać spłoszone stado bawołów, jeśli jakieś się trafi, albo upić się ognistą wodą. Wygnać z siebie Indianina.

Zamiast tego udał się do domu na poszukiwanie ojca. Kiedy przechodził przez sień, zmierzając do gabinetu Barona, dobiegł do jego uszu karmiony tytoniem głos, ryczący do kogoś o „tej Chrystusowej suszy”.

Drzwi były lekko uchylone. Quinten już miał zapukać, gdy usłyszał głos żony swojego ojca, która mówiła, że trzeba znaleźć inne wyjście. Zatrzymał się z ręką w powietrzu.

- Nie ma innego wyjścia! - ryknął Baron. - Wszystko już dwukrotnie zostało zastawione, łącznie z cholernym powietrzem, którym oddychamy.

- To są moje pieniądze - powiedziała Ailsa, a pod miękkim śniegiem jej głosu kryła się stal. - Nie zamierzam dać ci więcej ze swojego skromnego dziedzictwa, żebyś topił pieniądze w wyschłych stawach zamierającego rancza. Zostało mi ich i tak bardzo niewiele. Tej resztki będę potrzebowała dla siebie, gdy stąd wyjadę.

Baron jęknął, jakby go coś zabolalo.

- Nigdy stąd nie wyjedziesz, nigdy mnie nie zostawisz, a to więcej niż cholerna szkoda. Za bardzo cię bawi dręczenie mnie, ty perwersyjna suko!

Quinten zapukał i od razu wszedł, nie czekając na zaproszenie.

Baron siedział na skórzanym, brązowym, obrotowym krześle przy masywnym, czarnym, orzechowym biurku. Zakurzone wysokie buty z krowim łajnem na podeszwach oparł na skórzanym zielonym blacie, bo wiedział, jak to będzie irytowało jego wykwinną żonę.

Ailsa w eleganckiej brązowej sukni siedziała na bujaku, a złocenia jego oparcia odbijały promienie słońca wpadające przez koronkowe firany na oknach. Nie wyglądała na zirytowaną, tylko piękną. I niedotykalną.

- Ach, to ty, Quin, mój chłopcze - powiedział ojciec, machając cygarem w geście wylewnego powitania. - Właśnie mówiłem twojej matce, że mamy ostatnio pieskie szczęście, co? Ani wte, ani wewte.

Sprzeczka musiała być ostra, skoro Baron mówił o żonie jako o matce swojego bękartu. Quinten pomyślał, że Ailsa pewno nienawidzi tego bardziej niż innych rzeczy, choć nie można było być tego pewnym, gdy się patrzyło na jej chłodną, opanowaną twarz. Wściekle zaczepki ojca nigdy jednak nie dorównywały jej perfidnemu okrucieństwu.

- Jeśli ceny bydła nie zaczną iść w górę, nie opłaci się posyłać go na targ w tym roku - powiedział ojciec. - Jesienią będzie dobra pora na obdzieranie skóry. A słyszałaś, co te przekłete pastuchy baranów dostały za swoją cholerną wełnę? Cały teren zapchany jest owcami i oni się na tym bogacą, pieprzone skurwysyny.

Ailsa Hunter, słysząc wulgarny język męża, jakby lekko zacisnęła wargi, ale wyraz jej fiołkowych oczu się nie zmienił.

- Owczarzom w tym roku nie wiedzie się całkiem tak, jak by sobie życzyli - zauważył Quinten, zmęczony dyskusją, którą toczyli przez całe lato. - Słyszałem, że byli zmuszeni przerzucić swoje stada z powrotem na zbocza, na których już raz się pasły. Susza doskwiera nam wszystkim.

Baron postawił mu mordercze spojrzenie, jak zawsze gdy Quinten usiłował uspokoić wzburzone wody, wzburzone przez ojca między nim a hodowcami baranów.

- Jeśli sytuacja szybko się nie zmieni, to do reszty zbankrutujemy i będziemy zmuszeni sprzedać nasze siodła - oświadczył Baron, przewidując najgorszą ewentualność, jaka może spotkać hodowcę bydła.

- Jakże to ma znaczenie?

Po tych słowach wypowiedzianych przez Ailsę lodowatym tonem w pokoju zapanowała cisza. Quinten słyszał wiatr świszczący w topolach na dworze i tykanie mosiężnego wahadła zegara w szafce z polerowanego dębu.

- Znaczenie? Chryste na krzyżu, ma znaczenie! - Baron zdjął nogi z biurka i zerwał się, aż zaskrzypiało skórzane obicie. - Czy ty myślisz, że oblewałem się krwawym potem tylko po to, żeby teraz patrzeć, jak to ranczo umiera na moich oczach? Chcę, żeby Hunterowie hodowali bydło w tej dolinie przez następne sto lat. Ten chłopak...

- Ten chłopak! - Ku zaskoczeniu Quintena Ailsa się zaśmiała. - Nic z tego nigdy nie było dla tego chłopaka i jedyny głupiec, który w to wierzy, to on.

Wolno obróciła głowę na długiej, smukłej szyi, żeby spojrzeć na Quintena, a on poczuł, że powietrze uwięzło mu w gardle. Wiedział, że za chwilę dowie się wreszcie, jak doszło do tego, że przed czternastu laty sprowadzono do tego domu mieszańca i bękartą Barona. Pozna diabelski układ zawarty przez ojca z tą kobietą.

- Myślałeś zawsze, że jesteś dla niego kimś nadzwyczajnym - powiedziała tym swoim lodowatym głosem - bo myślisz, że twoja matka była nadzwyczajna. Ale on miał każdej zimy nową squaw. Nową squaw i nową bawolą opończę, żeby mu było ciepło w te długie i lodowate montańskie zimy. Czyż nie zwykłeś tak mówić, Fergusie?

Skóra wokół ust Barona jakby się napięła.

- Ona łże - rzucił.

Coś chwyciło za pierś Quintena, poczuł dotkliwy ból. Miał takie dziwne uczucie, jakby w klatce piersiowej krwawiło mu rozerwane serce.

- On mnie tu sprowadził - powiedział. - Mój... Baron sprowadził mnie tu, na ranczo.

- To ja go do tego zmusiłam. Byłeś ceną, którą musiał zapłacić, jeśli miałam tu pozostać.

- Niech to wszyscy diabli, ona łże! - ryknął ojciec, jakby to, że ją przekrzyczy, mogło przydać prawdy jego słowom.

- Dlaczego? - spytał Quinten, patrząc na Ailsę.

Na jej ustach igrał złośliwy uśmiezek i cień rumieńca prześwitywał przez skórę.

- Obiecał mi, że zrezygnuje ze swoich czerwonoskórych dziwek, kiedy się pobierzemy, i przez jakiś czas tak było. Aż do tamtej zimy, gdy oczekiwałam jego dziecka; wtedy to wziął z powrotem do łóżka twoją matkę. Zakosztował jej wdzięków już wcześniej i dlatego się urodziłeś. - Uniosła szczupłe ramiona, wzruszając nimi w elegancki sposób. - Nie wiem, dlaczego po raz drugi się z nią zszedł. Może raz przespał się z nimi wszystkimi i zaczął znowu od początku.

Obróciła się twarzą ku niemu i wreszcie patrzyła na niego, naprawdę patrzyła. A on jak zawsze czuł tę gorzkosłodką tęsknotę, bolesne pragnienie, nawet teraz, słysząc z jej ust słowa, które bolały bardziej niż tysiąc zniewag, bardziej niż wszystkie te lata łaskawej obojętności, jaką go obdarzała.

- Ale zemściłam się na twoim ojcu - mówiła dalej. - Chciałam, żeby nasze dziecko urodziło się nieżywe. Tak, tego chciałam. I nigdy potem nie pozwoliłam mu się tknąć. Zmusiłam go natomiast, żeby sprowadził cię tutaj, na swoje ukochane ranczo, gdzie zamierzał zbudować własną dynastię. Ciebie, mieszańca, syna jego i indiańskiej squaw. Zadbaliśmy o to, by nigdy nie miał syna z prawego łoża, białego syna, i by za każdym razem, gdy spojrzy na ciebie, pamiętał, dlaczego i jak za to zapłacił.

Wstała, śliska, zimna i niebezpieczna jak miecz. Podeszła do Quintena. Stał sztywno na środku pluszowego dywanu w kwiaty w gabinecie swojego ojca. Długie paznokcie boleśnie wbiła w jego rękę. To był drugi raz, kiedy go dotknęła. Po raz drugi w życiu.

- Dlaczego go nie spytasz, kto po jego śmierci dostanie całą tę bezwartościową i ukochaną ziemię?

Quinten patrzył, jak Ailsa wyślizguje się z pokoju. Zostawiła za sobą arktyczną ciszę. Słońce prażyło przez okna, w jego promieniach połyskiwał i lśnił złoty papier i folia cynkowa na ścianach. Lecz na dworze mogłaby być zima.

- Nie przywiązuj wagi do tego, co mówiła, Quin. Ona jest szalona. Szalona od dawna.

Quinten odwrócił się i spojrzał na ojca. Baron wziął z miedzianego pojemniczka na biurku nowe cygaro i zdejmował z niego jedwabną opaskę.

- Kto dostanie to ranczo po twojej śmierci? - spytał syn.

Ojciec machnął nie zapalonym cygarem przed jego nosem.

- Co za cholerne pytanie zadajesz swojemu staruszkowi! Czy wyglądam tak, jakbym już patrzył na księżą oborę?

- Spojrzenie miał dzikie, twarz czerwoną, ale brodę wysuniętą do przodu. Mówił teraz z bardzo wyraźnym szkockim akcentem. - Jesteś moim synem, psiakość. Jesteś moim synem.

Quinten wpatrywał się w ojca. Chciał mu wierzyć. P r a g n ą ł wierzyć, a uczucie to było tak silne, że poczuł się słabo. Był jednak mieszańcem i w oczach białych uchodził za kogoś gorszego. W głębi serca zawsze wiedział, że indiańska krew płynąca w jego żyłach czyni go kimś gorszym również w oczach ojca.

Baron odwrócił się i warknął:

- A pieprzyć to wszystko! Po co tu przyłazisz, jeśli tylko groźnie na mnie patrzysz?

Quinten musiał dwa razy przełknąć ślinę, zanim zdołał coś powiedzieć.

- Objężdżałem ranczo i trafiłem na martwego byczka. Nie sądzę, by zdechł z pragnienia. Miał opuchnięte nogi.

- Czyżbyś chciał powiedzieć, że na domiar złego mamy szelestnicę wśród bydła? Gównno, chłopcze! Czasami myślę, że zyczysz nam jak najgorzej.

- Ten zdechły byk należał do bydła kupionego przed paroma miesiącami w Deer Lodge od tamtego człowieka z Oregonu. Bydła, dla którego zresztą nie mieliśmy pastwisk.

Baron jeszcze bardziej wysunął brodę, po czym westchnął ciężko.

- Rozmowa z tobą przypomina dyskusję z głąbem o sensie życia. Mieliśmy kiedyś te pastwiska i mielibyśmy je nadal, gdyby przeklęte świętoszkowate pastuchy baranów nie osiedliły się na północnym końcu doliny. A jeśli wśród naszego bydła jest zaraza, to zapewne przywlokły ją ich przeklęte owce.

- Tego nie wiesz...

- Powiem ci, co ja wiem; raz w życiu zamknij swoją jadaczkę i słuchaj. Mieliśmy kiedyś te pastwiska i będziemy je mieć znowu. - Przytknął zapalną do cygara i pykał teraz energicznie, żeby się zapaliło. Potem żarzącym się końcem pokazał stos jutowych worków na rogu biurka. Quinten dopiero teraz je zauważył.

- Dzisiaj w nocy - powiedział ojciec, biorąc jeden z worków i trzymając go niemal z czułością - tak podkurzymy tych pastuchów, że na zawsze wszyscy co do nogi wyniosą się z tej doliny.

Quinten patrzył na worek w ręce ojca i poczuł się zmęczony, słaby i przerażony. To, co on zamierzał zrobić, było złe, złe i całkowicie bezsensowne, bo trawa dolin nawet całego świata nie zdołałaby wybawić ich z tarapatów. Lecz Baron, będąc w takim nastroju, gotów był uwierzyć, że ogień nie jest gorący.

- Pozbycie się tych prostaczków nie podniesie ceny bydła ani nie ściągnie deszczowych chmur - zauważył Quinten, wiedząc, że nie na wiele się to zda.

Ojciec ścisnął w ręce brązowe płótno i potrząsnął przed nosem syna.

- Życia nie dostaje się za darmo, chłopcze. Musisz na nie zapracować. Jesteś moim synem, mówię to całej dolinie, całemu cholernemu światu, i tak uważam. Ale jeśli chcesz mieć moje ranczo, to czas, żebyś się nauczył, jak o nie walczyć!

- Johnny Kain poślubił wdowę, tę prostaczkę, u której pracował. Teraz owcza farma należy do niego, a jest to człowiek, który zawsze zarabiał na życie z bronią w ręku. On nie ucieknie.

- Johnny Kain może wzbudzać większy strach niż Bóg Wszechmogący, ale to tylko jeden człowiek.

Quinten zamknął na chwilę oczy w nagłej obawie, że się rozplacze.

- Kiedy byłem mały i mieliśmy wyruszać na wyprawy myśliwskie w rezerwacie, opowiadałeś mi pewną historię. O człowieku, który przed laty w Szkocji zwołał swoich rodaków, żeby wygnać Anglików z ich ziemi. Nikt, kto nie ma racji, nie zdoła stawić czoła temu, kto ma rację i nie ustępuje. Tak mi mówiłeś, pamiętasz, tato? Jeden człowiek, który nie ucieknie, potrafi zatrzymać całą armię.

- Do diabła, to były tylko opowieści, chłopcze! W realnym życiu ten twój jeden człowiek po prostu zginie. Zostanie starty na proch i nic nie zostanie z niego i jego cholernej broni.

- Nie chcę ani kawałka tej ziemi - powiedział Quinten, patrząc na ogorzałą twarz ojca. Słowa te wyszły z jego ust dziwnie zmienione, jakby żuł skórę.

- Będziesz mieć jej kawałek - oznajmił Baron głosem tak ostrym jak jego spojrzenie. - Albo nie będziesz jej mieć wcale.

Quinten pokiwał głową, słysząc tę groźbę i przyjmując ją do wiadomości. Przed chwilą powstrzymywał łzy, a teraz oczy miał tak suche, że aż go paliły. Czuł pustkę w środku. Jakby jeden z tych duchów złodziei, w które wierzyło plemię jego matki, porwał mu duszę do nieba i teraz spoglądał w dół na ten pokój, na tę chwilę, z bardzo, bardzo daleka, zagubiony w błękitnie ogromnego górskiego nieba. Widział stamtąd ojca zatwardziałego w pysze i uporze. I widział siebie, i słyszał w swoim sercu echo słów ojca: *J e s t e ś m o i m s y n e m*. Poczuł smak pewności, gorzki jak sól alkaliczna, że nie tylko to, co wkrótce mają zrobić, jest złe, lecz także konsekwencje tego będą niedobre. Może nawet fatalne.

Nie odezwał się jednak. Nie było powodu, żeby mówić to, co prościej można pokazać. Wziął jutowy worek z biurka ojca, opuścił gabinet, niosąc go w ręce, i wyszedł z nim z domu.

Na dworze gorący wiatr dał tak silnie, że Quinten musiał podsunąć pod samą brodę perelkę na sznurkach kapelusza. Podmuchy wzbijały tumany kurzu, szczypiąc w oczy i wysuszając gardło. Czuł, że upał i wiatr garbują mu skórę, nadają jej twardość, zaprawiając do tego, kim Quinten Hunter ma być przez resztę swojego życia.

Plemię jego matki wierzyło, że mężczyzna nie może mieć ziemi, jedynie własne życie. Tymczasem on naprawdę kochał Krąg H, i to całym sercem. Gdyby nie mógł mieć tej ziemi, wówczas pozwoliłby jej zawładnąć sobą. Przynajmniej pod tym względem był w każdym calu synem swojego ojca.

XXVI

W gęstniejącej nocy rozległo się ostatnie smutne wycie kojota.

Benjo się wzdrygnął i popatrzył, czy jego towarzysz to zauważył. Mose jednak zajęty był obracaniem głuszca piekącego się na pręcie nad ogniskiem, a jednocześnie usiłował rozegnać kapeluszem kłęby dymu. Wiatr dał dzisiaj jak szalony, dmuchał i uderzał gwałtownie, musieli więc pilnować ognia.

Owce zbijały się w gromadę, maciorki wzywały swoje jagnięta, a młode im odpowiadały. Benjo pomyślał, że owce, bojąc się ciemności, lubią w nocy przebywać razem. Zresztą z ludźmi jest podobnie, oni też lubią siedzieć przy ognisku odgradzeni od ciemności promieniującym od niego ciepłem i światłem.

Odczuwał dumę, że w tym tygodniu posyłano go samego w góry z prowiantem dla Mosego przebywającego na obozowisku. To nie było pierwsze lato, gdy powierzono mu takie zadanie, robił to już raz czy dwa razy przedtem. Jest chyba na tyle duży, jak uważał, że przez kilka tygodni mógłby pilnować nawet wypasu. Lecz matka była innego zdania. O rety, tak się denerwowała już tym, że jeździł wozem tam i z powrotem między farmą a obozowiskiem!

Przypatrywał się, jak Mose nożem otwiera puszkę szynki korzennej i rozdziela ją do dwu poobijanych

metalowych talerzy dla psów. MacDuff zabrał się do niej od razu, ale Lady, suka Mosesa - bardziej wybredna, jeśli chodzi o jedzenie - najpierw je obwąchała. Na jej jasnobrązowej sierści widać było miejscami siwiznę, co wyglądało tak, jakby miała parchy. Zrobiła się już mocno stara ta Lady. Niedługo zeszywniałe łapy nie pozwolą jej na pilnowanie owiec. Benjo podsłuchał, jak diakon Noah groził, że pod koniec lata każe ją zlikwidować.

To mu przypomniało o zlikwidowanych kojotach i pod wpływem tej myśli ścisnęło go w żołądku. Powtarzał sobie chyba po raz tysięczny, że zrobił rzecz właściwą, postąpił po męsku. Kojocica zabijała owce. Uczyla swoje szczeniaki, jak zabijać owce. Postąpił właściwie.

- Cz... czy ten niedźwiedź wrócił po tego z... zabitego barana? - spytał Mosesa, żeby przestać myśleć o kojocy. Wczoraj w czasie spotkania zboru słyszał, jak jego ojciec mówił, że niedźwiedź zabił jednorocznego skopa. Niedźwiedzie wolały mięso trochę nadpsute, zabijały więc często owcę, po czym zostawiały ją na jakiś czas.

- Nie, jeszcze nie - odparł Mose. Poklepał kolbę winczestera, którego trzymał pod ręką u boku. - Ale kiedy wróci, to bądź pewien, że będę przygotowany. - Popatrzył z uśmiechem na szeroki pasek fałdzystych portek Benja. - A co ty, Dawidzie, co to zabił olbrzymia? Masz procę załadowaną i gotową do użycia?

Benjo posłał mu w odpowiedzi uśmiech, ale się nie odezwał. Faktycznie, umieścił w procy kamień. Dzięki jego procy mieli na kolację dużego, tłustego, soczystego głuszca.

Głuszc nabrał wspaniałego złocistego koloru, a kapiący z niego tłuszcz podsycił płomień i smakowicie skwierczał. Benjo się nachylił, żeby szturchnąć patykiem w ogień i sygnąć czerwonymi iskrami w granat nocy.

Początkowo myślał, że to iskry wystraszyły owce. Nawet w chwilach spokoju owce żyją na granicy paniki. Mogą zobaczyć coś, co widywały setki razy, i nagle wpaść w popłoch. Toteż kiedy teraz się spłoszyły, myślał, że z powodu isker.

Dopóki z ciemności nocy nie wyjechali prosto na nich jeźdźcy bez głów.

* * *

MacDuff zaczął szczeukać, ale to Lady, groźnie warcząc, rzuciła się na pędzące zjawy. Rozległ się strzał. Lady zawyla i upadła w bryzgach krwi i wśród polatujących kłaków czerwonoszarego futra.

- Dranie! - krzyknął Mose, sięgając po strzelbę.

Benjo wrzasnął, gdy z ramienia jego towarzysza trysnęła krew i odłamki kości.

Mężczyźni na koniach rozjechali się po całej polanie, goniąc oszalałe ze strachu owce. Mose leżał na ziemi, wił się z bólu i krzyczał, trzymając się za roztrzaskane ramię. Benjo wstał i to była jedyna rzecz, na jaką mógł się zdobyć. Wszystkie mięśnie i członki ciała sparaliżował mu strach.

Teraz zrozumiał, dlaczego myślał, że to jeźdźcy bez głów. Nie widział ich twarzy, bo na głowy naciągnęli jutowe worki z wyciętymi otworami na oczy. Twarze mieli schowane, ale znak Kręgu H widoczny był na końskich zadach.

W rękach trzymali pały.

Jeźdźcili wśród beczących, zbijających się w gromadę owiec, waląc je pałami po głowach. MacDuff, instynktownie broniący stada, rzucił się na kasztanka z białą strzałką na łbie; warcząc i szczerząc zęby, atakował nogę jeźdźca.

Mężczyzna dosiadający kasztanka przekręcił się w siodle i trzasnął pałą MacDuffa. Pies ze skowytym poleciał do tyłu i upadł ciężko na ziemię. Leżał, skamłając, z przekrzywioną tylną łapą, a potrzaskane kości sterczały z zakrwawionego futra.

- Dranie! - krzyknął bezgłośnie Benjo. Wyszarpnął zza pasa procę z kamieniem. Chwycił w lewą rękę dwa końce rzemieni i zaczął wywijać procą nad głową. Potem gwałtownie puścił jeden rzemień i kamień śmignął w powietrze.

Mierzył w czerwony odbłask ognia, który dojrzał w otworze maski, w oko jeźdźca, i kamień trafił w cel. Mężczyzna wrzasnął, wyrzucił w górę ręce, złapał się za twarz. Krew ciekła mu spomiędzy palców.

- Oko za oko! Oko za oko! - krzyknął bezgłośnie Benjo.

Drugi jeździec przygalopował do ogniska. W ręce miał łuczywo, które teraz zapalił. Uniósł je wysoko, spiął ostrogami konia i obrócił mu łeb, szarpiąc za uzdę.

- Nie, tato! Nie! - krzyknął tamten na kasztanku z białą strzałką. Usiłował jechać za mężczyzną z łuczywem, ale zachwiał się w siodle i niemal spadł z konia. W otworze wyciętym w masce na oko widać było tylko krew.

Mężczyzna z łuczywem zaśmiał się głośno. Pochylił się i płonące łuczywo przytknął do grzbietu tłustej maciorki. Owca zamieniła się w beczącą oszalałą pochodnię i w panice wpadła w sam środek stada. Zrobiła się z niego jedna wielka kula ognista - płonąca i podsycana lanoliną.

Zamaskowani mężczyźni jeźdźcili wokół polany, walili pałami wszystkie beczące owce, jakie mogli znaleźć, inne z płonąca wełną wyganiali między sosny. A potem nagle odjechali tam, skąd przybyli - w ciemną noc.

Pozostał tylko jeden. On nie zajmował się zabijaniem owiec. Siedział na koniu i ze strzelbą gotową do strzału w ręce wszystko obserwował.

Teraz wolno zbliżał się do ogniska, a Benjo patrzył na niego i pusta proca zwisała mu z ręki.

Płonące owce podpaliły sosny i trawę bizonów. Chłopiec czuł żar pożaru na plecach. Ogień oświetlał całą polanę niesamowitym czerwonym blaskiem. Świat pełen był okropnych dźwięków: huczenia płomieni, krzyków Mosesa, skowytu MacDuffa, rozpaczliwego beczenia owiec, świstu wiatru.

Mężczyzna podjechał do Benja. Przełożył strzelbę przez kolana, trzymając nadal palec na kurku. Pochylił się, a ponieważ miał maskę, chłopcu się wydawało, że patrząc na niego, w ogóle nie mruga.

- Znasz niejakiego Johnny'ego Kaina, chłopcze?

Strach stalowym uściskiem objął klatkę piersiową Benja. Był pewien, że nie zdoła wykrztusić ani słowa, że słowa na zawsze ugrzęzną mu w gardle. Tymczasem, o dziwo, wyskoczyły z ust z lekkim tylko zająknięciem.

- T... to mój ojciec.

Nie widział uśmiechu mężczyzny, ale wyczuł jakby zimny podmuch zza jutowego worka.

- Powiedz mu, że Jarvisa Kennedy'ego gównu obchodzi, czy on zrobił się pobożniem, czy też nie. Powiedz mu, że znudziło mi się na niego czekać, żeby przefasonować mu wnętrzności. Może mnie znaleźć w „Złotej Klatce”. Będę tam jutro przez cały czas.

Zawrócił konia i ruszył, ale jeszcze raz przyjechał.

- Powiedz też, że jeśli tam nie przyjdzie, to ja pofatyguję się do niego. - Zaśmiał się. - Powiedz mu, że jestem jego Armageddonem*.

Wszędzie pełno było krwi Moseesa, kałuże na trawie, zakrwawione sosnowe igliwie, ciemne mokre smugi na całym ubraniu.

Benjo ukląkł przy nim i Mose podniósł głowę. Wzrok miał dziki z bólu i strachu.

- Benjo... muszę jak najprędzej dotrzeć do doktora.

Benjo energicznie pokiwał głową, żeby Mose to zobaczył. Nie było szans, żeby mógł coś z siebie wykrztusić. Gardło miał tak zacisnięte, jakby na szyi zaciskano mu stryczek. Katowski stryczek.

Nie zdawał sobie sprawy, że płacze, do chwili gdy odgarnął włosy z twarzy i ręka okazała się mokra. Zdjął kapotę i skrzepował nią ramię Moseesa; nie chciał myśleć, jak ono wygląda.

Potem poszedł zobaczyć, co z MacDuffem. Pies miał złamaną łapę w dwóch miejscach i kość przebiła skórę. Skamlał żałośnie. Oczy zachodziły mu bielmem.

Musieli zjechać z góry. Nie tylko dlatego, że koniecznie trzeba było dotrzeć do doktora, lecz także dlatego, że cała góra stanęła w płomieniach. Ogień szalał w osłabionych suszą sosnach i żarłocznie lizał suchą trawę. A wichur, który z rykiem nadleciał z czeluści nocy, rozdmuchiwał go i podsyczał.

Jakoś udało się chłopcu wsadzić Moseesa i MacDuffa do wozu, choć potem nie potrafił wytłumaczyć, skąd wzięł na to siły. Z nieba sywał się na nich deszcz popiołu i węgielków, znacząc pęcherzami skórę. Nad głową kłębiły się gęste chmury czarnego dymu, który parzył gardło. Benjo powoził, wóz kołysał się na ścieżce, a za nimi huczał ogień, sięgając niemal ich pleców.

Raz się obejrzał. Miał wrażenie, jakby całe niebo stanęło w płomieniach.

Rachel stała na podwórku i patrzyła, jak jej syn wjeżdża na mostek z bali i skręca na podwórko o wiele wcześniej, niż się spodziewała.

Usłyszała, że z tyłu za nią trzasnęły drzwi i z domu wyszedł jej *englische* mąż. Nie musiała się odwracać, by wiedzieć, że miał na sobie pas z bronią. W nocy przed spaniem zarzucał pas na słupek łóżka, a rano od razu zakładał go razem ze spodniami.

Biegła koło wozu, zanim syn ostatecznie go zatrzymał. Jak w koszmarnym śnie, który powraca co noc, ujrzała na dnie wozu leżącego młodzieńca. Tylko że tym razem był to Mose Weaver i we krwi miał nie nogę, lecz ramię. Ramię obwiązane kapotą Benja. Z tyłu leżał też MacDuff. Myślała, że pies nie żyje, ale po chwili zobaczyła, iż poruszył łbem.

Twarz jej syna pod warstwą sadzy i popiołu była śmiertelnie blada. Rachel oderwała na sekundę wzrok od niego i popatrzyła na górę, gdzie ich owce spędzały lato. Nie zauważyła tego przedtem, przypuszczalnie sądząc, że czerwony blask to zorza wschodzącego słońca, ale teraz widziała wyraźnie. Góra stała w ogniu.

Benjo ściągnął wargi, odsłaniając zęby, gwałtownie poruszał grdyką, oczy wychodziły mu z orbit z wysiłku przy próbach wykrztuszenia słów, lecz daremnie. Młody Mose Weaver był jednak na tyle przytomny, by zrelacjonować z grubsza, co się stało.

Tym razem jej *englische* mąż nie zaproponował, że ich dla niej zabije. Nie zadał sobie nawet trudu i nie powiedział, że z a m i e r z a ich zabić. Przystąpił od razu do przygotowań.

Stara kobyła ciągnęła łeb po ziemi i nogi jej się rozjeżdżały ze zmęczenia. Wyprzągnął ją i przyprowadził swoją klacz. Na jego twarzy nie malowało się nic - żadna myśl, żadne uczucie, nic. Po prostu nic.

- Jadę z tobą - oznajmiła Rachel.

Kiwnął głową.

- Chcę, żebyście oboje, ty i Benjo, byli ze mną tam, gdzie mogę zapewnić wam bezpieczeństwo. Słyszałaś, co mówił Mose. Rewolwerowiec groził, że przyjedzie tu po mnie. Ale, Rachel, zrobisz to, co ci powiem, kiedy już będziemy w mieście. Zostaniesz tam, gdzie ci powiem, i nie ruszysz się stamtąd na krok.

- Johnny! - Dotknęła jego ramienia. Mięśnie pod koszulą miał napięte. Odsunął się poza zasięg jej ręki. - Proszę

* Armageddon - rozstrzygająca bitwa z Biblii.

cię, myśl o Jezusie. O tym, że zawsze był ustępliwy. Jego serce nigdy nie było bojaźliwe.

- Lepiej powiedzieć: tu oto uciekał, niż: tu oto umarł, co?

- Nie...

Popatrzył na nią, przerywając zapinanie uprząży, i spojrzenie jego niebieskich zimnych oczu było dla niej jak cios.

- Pamiętasz, co ci opowiadałem w górach o zabiciu hodowcy wieprzy? Mówiłem, jak go zabiłem, ale ci nie powiedziałem, co czułem. Kiedy to zrobiłem, a potem patrzyłem na niego, na to, co mogłem zobaczyć na jego twarzy zalanej krwią, wiedziałem, że mnie zламаł, bo nadal się go bałem. Bałem się go, choć już nie żył. I nienawidziłem go wtedy bardziej niż kiedykolwiek przedtem, ponieważ wiedziałem, że nigdy nie będę wolny. Zawsze będę jego niewolnikiem.

Słuchała tych słów, ale to jego oczy łamały jej serce. To tak jakby patrzeć na nadciągającą z północy zamieć, która pokryje ziemię całunem lodu. „On już się nie zmieni - pomyślała - nigdy”.

- Lecz nigdy więcej, Rachel. Nie będę nigdy więcej niczym niewolnikiem. Nie ustąpię, nie ucieknę, nie nastawię drugiego policzka. - Głos miał srogi i zimny jak oczy.

- Będę się za ciebie modlić, Johnny - powiedziała.

- Musiałem odciąć rękę synowi Weavera - powiedział doktor Henry.

Mówił to do kobiety, która siedziała na jego czarnej włosianej kanapce. Jedną ręką obejmowała syna i mocno przyciskała do swoich ud. Słyszając te słowa, przytknęła złożone palce do ust i pochyliła głowę w modlitwie.

Wyglądała tak samo jak zawsze, poza tym, że nie nosiła już wykrochmalonego białego czepca. Trudno było uwierzyć, że to żona mężczyzny, który stał przy oknie.

Johnny Kain patrzył przez zakurzone szyby na opustoszałą ulicę i czekał. Był daleki od obecnych w pokoju, skupiony, maksymalnie czujny. Naprawdę outsider.

Lucas martwił się o Benja, martwił się, że może dostać szoku. Podszedł obejrzeć go z bliska i przykucnął, żeby znaleźć się na poziomie oczu chłopca. Zobaczył, że wprawdzie ma siniaki na bladej skórze pod szarymi oczami, ale wzrok jasny i klarowny. Twarda z niego sztuka, zgoda. Wziął go za nadgarstek, chcąc zbadać puls.

- Złożyłem łapę twojemu psu - rzekł delikatnie, ale głosem mocnym. Chłopiec miał puls normalny. - Jak on się zowie?

Benjo szarpnął głową, napiął szyję, ściągnął wargi z zębów.

- M...

- MacDuff, tak? - Doktor puścił rękę chłopca i wstał. - Wydobrzeje, choć może nie będzie biegać tak szybko jak przedtem.

- Zające u nas będą wdzięczne, jak to usłyszą - powiedziała Rachel. Próbowała się uśmiechnąć, lecz nie mogła. Przytknęła drżące wargi do głowy syna i przytuliła go mocniej.

Chłopiec trzymał lewą rękę w pobliżu swojej procy, tak jak Johnny blisko kolta. Kilka godzin wcześniej doktor Henry oczyścił i zszył prawy oczodół Quintena Huntera, który utracił oko, bo trafił w nie kamień z tej właśnie procy.

„Jednakże Quinten i jego ojciec podpalili całe stado owiec i odstrzelili młodemu Mosesowi rękę. Można by więc powiedzieć, że dostał to, na co zasłużył” - pomyślał doktor.

Rachel przyciągnęła bliżej do siebie syna. Znowu się modliła, oczy miała zamknięte i poruszała wargami. Lucas podziwiał głębię jej wiary. I zazdrościł.

Jak możesz widzieć to, co zrobił twój własny syn, to, co zrobiono tobie i twojej rodzinie, i nie widzieć, kim jesteśmy w naszych sercach, prostaczko Rachel? Jak możesz nie dostrzegać ciemnego potencjału jaźni, który istnieje w nas wszystkich?

Na drewnianym chodniku za oknem zaszurały obcasy wysokich butów, skrzypnęły deski. Doktor popatrzył na mężczyznę przy oknie, ale Johnny Kain stał nieruchomo. Nie sięgnął po broń.

Drzwi rozwarły się na oścież, choć nikt do nich nie zapukał. Na progu stanął Noah Weaver i rozglądał się, szukając kogoś.

Doktor podszedł do niego, lecz ten wielki mężczyzna odsunął go na bok i skierował się do pokoju w głębi domu.

- Musiałem mu amputować rękę - oznajmił doktor. - To był wielki szok dla jego systemu nerwowego i utracił mnóstwo krwi. Nie wolno go ruszać.

Równie dobrze mógł mówić do ściany. Szerokie plecy prostaczka zniknęły za drzwiami.

Gdy pojawił się z powrotem, niósł syna na rękach jak dziecko, a jego policzki i broda lśniły od łez. Chłopak jęczał, drgały mu powieki, ale przytomności nie odzyskał.

- To mój syn - rzekł Noah. - Zabieram go do domu.

Rachel wstała i wyciągnęła do niego rękę.

- Noahu...

Ten popatrzył na nią jak na powietrze.

Szedł prosto i pewnie ku otwartym drzwiom z synem na rękach, żeby zabrać go do domu.

Wszyscy stali bez ruchu i doktor prócz własnego oddechu nie słyszał żadnego dźwięku. Potem Johnny Kain odszedł od okna i skierował się ku wyjściu. Nie spojrzął na nikogo, nie poruszał się zbyt szybko, tylko podszedł do drzwi i opuścił pokój.

Jego żona patrzyła, jak odchodzi.

- Nawet się ze mną nie pożegnał - powiedziała.

- Bo jak przypuszczam - rzekł doktor Lucas, zamykając drzwi - uważa, że wróci.

Johnny Kain wyszedł na środek drogi spieczonej słońcem. Posuwał się wolno, przyzwyczajając oczy do oślepiającego światła, nastawiając uszu na najłżejszy nawet szmer. Kapelusz opuścił nisko, tak by ocieniał oczy i pozwalał mu lepiej wiedzieć. Instynktownie zginał palce, ćwicząc napięte mięśnie.

Uśmiechnął się na widok miejskiego fryzjera, który pognał do baru „Złota Klatka”. Przebiegł po nim krótki dreszcz strachu, a potem nie czuł już nic.

Zatrzymał się naprzeciwko baru, po drugiej stronie ulicy, dokładnie na wprost wahadłowych letnich drzwi. Oparł się o słupek barierki do przywiązywania koni obok żłobu i czekał.

Jarvis Kennedy wybiegł z baru z koltami w obu rękach i strzelał. Tylko że Kain zauważył czubek jego buta o całą sekundę wcześniej.

Rewolwer znalazł się w jego ręku tak szybko, gładko i naturalnie, że się wydawało to równie naturalne jak oddychanie.

Pierwsza kula trafiła Jarvisa Kennedy'ego w szyję. Krew pociekła szkarłatną strugą na jego białą kamizelkę i koszulę. Drugą kulę dostał w plecy, gdy się odwracał. Wpadł przez drzwi do baru. Już nie żył, gdy runął na twarz w trociny na podłodze.

Tymczasem Kain już skierował lufę kolta w prawo, mierząc i strzelając do mężczyzny, który z bocznej uliczki wyszedł na niego ze strzelbą.

Śrut z jego broni trzasnął w żłób za Kainem, ale on to ignorował. Pierwsza kula przeszła poły surduta napastnika, druga trafiła tam, gdzie miała trafić - prosto w zwisający na jego brzuchu złoty łańcuch od zegarka ze złotymi pieczęciami. Mężczyzna krzyknął, zgiął się wpół i złapał ręką za brzuch. Brocząc krwią, zaczął się czołgać z powrotem do wylotu bocznej uliczki. Kain znowu strzelił. Tamten się szarpnął i znieruchomiał.

Huk ostatniego wystrzału odbił się echem i zapadł w ciszę wstrzymywanych oddechów. Smutki dymu prochowego unosiły się na wietrze. Kain pewnie i szybko przesunął bębenek kolta, wytrząsnął puste łuski i znowu broń załadował. Na wargach czuł gorzki smak prochu.

Mężczyzna leżący u wylotu uliczki ubrany był dostatnio i miał ładną głowę o białych włosach. Kain pomyślał, że to może być Fergus Hunter, i pewno był, ale w gruncie rzeczy nic go to nie obchodziło. Jeśli nie zastrzelił Huntera dziś, zastrzeli go kiedy indziej. Często nie znał nazwisk tych, których zabijał, i nie sądził, by miało to dla nich czy dla niego jakieś znaczenie.

Wiedział, że w uliczce jest jeszcze ktoś. Lecz ktokolwiek to był, najwyraźniej nie miał ochoty dzisiaj umierać. Kain trzymał broń w pogotowiu, z palcem na cynglu, i czekał:

Z cienia wychynął na światło młodzieniec o długich ciemnych włosach, z bandażem na głowie zakrywającym oko i z podniesionymi do góry rękami.

- Rzuciłem broń! - krzyknął łamiącym się głosem. - To mój ojciec, proszę...

Kain się nie poruszył, nie drgnęły mu nawet powieki. Młodzieniec padł na kolana i pełził w pyle ku człowiekowi leżącemu w powiększającej się kałuży krwi. Wciągnął go sobie na kolana, a wtedy ręka zabitego się zsunęła, odsłaniając w brzuchu ziejącą dziurę. Nie zginął jednak od tej kuli, nie od razu. Kain wiedział, że śmiertelna rana pochodziła od kuli, którą wpakował mu w sam środek czoła jak trzecie oko,

„Cisza, jaka nastaje po śmierci, różni się od innych” - pomyślał Kain. Było w niej niemal jakieś piękno. Słyszał jedynie bicie własnego serca.

Czekał. Czekał dłuższą chwilę z bronią w ręce, bo nigdy nie za wiele ostrożności. Niemało ludzi zginęło, zbyt szybko chowając pistolet.

Coś z tyłu za nim huknęło.

Obrócił się...

Kiedy zobaczył, że to Rachel, wykrzykując jego imię, wybiegła z frontowych drzwi domu doktora Henry'ego, już wystrzelił.

- Johnny! - krzyknęła i poczuła uderzenie w klatkę piersiową, zaparło jej dech w płucach. Upadła. W jakimś zacisznym zakątku umysłu zrodziła się nie myśl, lecz pewność: umieram.

Nie mogła oddychać. Czowała gorzki zapach prochu, ale nic nie słyszała ani nie widziała. I wciąż nie mogła zaczerpnąć powietrza. Potem otworzyła usta i udało się, powietrze wypełniło płuca, tak słodkie i rześkie jak woda źródłana, i tak zimne.

Usiłowała otworzyć oczy. I kiedy nagle się otworzyły, ujrziała twarz swojego *englische* męża. Twarz spoconą, ze strużkami pyłu, o błyszczących oczach. Spróbowała się do niego uśmiechnąć, wymówić jego imię.

W klatce piersiowej czuła teraz okropny ból i pomyślała, że oczy zalewa jej chyba krew, bo świat staje się czerwony.

J o h n n y.

XXVII

Johnny Kain siedział w tyle ulicy, trzymając głowę żony na kolanach, i patrzył, jak umiera.

W dziurze od kuli w klatce piersiowej bulgotała krew. Oczy Rachel rozwarły się szeroko, wpatrując się w niego, po czym wolno się zamknęły. Wargi wymówiły jego imię.

- Nie, błagam - usiłował powiedzieć. Pochylił się i przycisnął twarz do jej piersi. Otwierał i zamykał usta, jakby się topił, na wargach miał smak krwi żony.

W pewnym momencie poczuł, że jakieś ręce go od niej odciągają. Usłyszał, jak doktor Henry mówi, że trzeba ją zanieść do domu. Benjo też tam się zjawiał.

Nie mógł spojrzeć w oczy temu chłopcu.

Wstał i odsunął się z drogi, pozwalając, by ją zabrali, bo była martwa i nie miało to już znaczenia. Nic nie miało znaczenia.

Dźwięczał mu wciąż w uszach huk wystrzału. Na ręce wciąż czuł odrzut kolta. Zabijał ją i zabijał, widział siebie, jak ją zabija.

Spojrzał na dłoń. Była czerwona i mokra od krwi Rachel i nadal miał w niej broń. W swojej ręce. Trzymał Rachel i patrzył, jak umiera, i przez cały czas w ręce miał broń.

Jeszcze oddychała, choć ledwie ledwie, i to z otwartą raną w piersiach. Nie widział nikogo, kto by żył z taką raną.

Lucas Henry położył Rachel na kanapce w gabinecie lekarskim. Nie mógł nic zrobić, stał więc tu i pił, i patrzył, jak ona umiera.

Jej syn siedział na podłodze w kącie pokoju z podciągniętymi pod brodę kolanami. Co chwila podrzucał głowę i otwierał usta, ale żadne słowa mu z nich nie wychodziły. Pewnie usiłuje go błagać, żeby ratował mu matkę - pomyślał doktor. Rad więc był, że słowa uwięzły chłopcu w gardle.

Podniósł do ust butelkę rose bud i pociągnął z niej porządny łyk. Usłyszał kroki w saloniku. Odwrócił się, chwając się na nogach.

- Kain? - spytał.

Nie był to jednak Johnny Kain i nie przyszedł płakać nad ciałem żony, którą własnoręcznie zabił, lecz panna Marilee z „Czerwonego Domu”. Wystrójona w czarną taftę, w jej pojęciu dostojnie - przypuszczał - jak przystało szanowanej matronie, która idzie zrobić jakiś dobry uczynek.

- Przyszłam, żeby pomóc ją umyć i ubrać - oznajmiła z ponurym wyrazem twarzy. W oczach miała nawet łzy, choć doktor nie domyślał się, z jakiego powodu. O ile wiedział, nie znała Rachel.

- Jeszcze nie umarła - powiedział.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, lekko marszcząc czoło.

- To dlaczego nic nie robisz, żeby jej pomóc? - spytała.

Westchnął.

- Dlatego, że tuż przy lewej płucnej tętnicy utkwiała kula kaliber czterdzieści pięć, a przedtem przebiła płuco, co spowodowało odmę, czyli powietrze w jamie opłucnowej, skomplikowaną przez rozedniętą zastawkową. Czy to wystarczająca odpowiedź na to pytanie, panno Marilee?

Jedną ręką podniósł do ust butelkę whisky, drugą zsunął prześcieradło, odsłaniając ranę. Pulsowała krwią i powietrzem wraz ze słabnącym biciem serca.

- Może lepiej zrozumiesz, jeśli ujmę to tak: ona umiera, a ja nie dysponuję takimi umiejętnościami czy wiedzą, żeby temu przeszkodzić - mówił dalej z celowym okrucieństwem, pragnąc ją ukarać, skoro nie mógł wystarczająco ukarać siebie.

Marilee się nachyliła, szeleszcząc czarną spódnicą z tafty, żeby przyjrzeć się ranie.

- Nie można wyjąć tej kuli?

- Nie. - Z jego ust zionął ostry zapach whisky. - Trzeba by cudu. A ona prawdopodobnie i tak by umarła.

Zajrzała mu w oczy, a w jej twarzy malowała się chłodna kalkulacja.

- Myślę, Lucanie Henry, że boisz się spróbować. Boisz się, bo wiesz, że musiałbyś wtedy odłożyć tę butelkę.

- Ach, panno Marilee, słodka Marilee. - Wykrzywił usta i usiłował mówić ostrzejszym tonem, ale słyszał drżenie w swoim głosie. - Zaczynam myśleć, że twoja słodycz jest jak cukrowa wata - samo powietrze.

Zadarła brodę.

- Potrafię być naprawdę miłą, kiedy chcę, a niemiłą, kiedy muszę. Ale nigdy nie byłam tchórzem.

Patrzył na nią i już podnosił do ust butelkę, ale zaraz ją opuścił. Ręka, a nawet całe ramię wyraźnie drżały. Każdy oddech odczuwał w piersiach jak szok.

Wiedział, że nie zdoła tego zrobić. Może gdyby przez tyle lat nie marynował swojego mózgu i rąk w alkoholu, potrafiłby tego dokonać. Teraz jednak było za późno, o wiele lat za późno.

Człowiek nie może jednym czynem odkupić wszystkiego, co zrobił, czyż nie?

- Dobrze, a niech cię! - rzekł. Rozglądał się po pokoju, zbyt przerażony, by przystąpić do dzieła. Nigdy przedtem nie próbował dokonać cudu. Cuda są dla głupców, którzy wierzą.

Wzrok jego padł na syna Rachel, który siedział skulony w kącie z wyrazem nadziei na twarzy.

- Zabierz stąd chłopca! - warknął.

Odchylił głowę do tyłu i długo pił z butelki rose bud, jakby whisky pomogła mu znaleźć granicę między wiarą w siebie i własne umiejętności a głęboko zakorzenionym przekonaniem, że nie ma w co wierzyć.

Marilee delikatnie postawiła chłopca na nogi i teraz prowadziła do drzwi. Doktor zatrzymał ją ręką.

- Zabierz to też ze sobą - powiedział, podając jej butelkę z resztką alkoholu. Lecz nie mógł się z nią rozstać.

Oblewał go zimny pot, drżał na całym ciele. Czuł zapach siebie i whisky. Ścisnął tak mocno butelkę, że aż trząsał się z wysiłku.

- Może powinniśmy się pomodlić o ten cud - zaproponował, a głos załamał mu się przy ostatnim słowie. - No, panno Marilee z „Czerwonego Domu”, myślisz, że Bóg wysłucha modlitwy pijusa i dziwki?

Posłała mu najśladniejszy uśmiech, jaki widział w życiu.

- Zawsze uważałam, Luc, że Bóg wysłuchuje najpierw modlitw grzeszników. My najbardziej potrzebujemy Jego pomocy.

Wyjęła butelkę ze sztywnych palców doktora, a on pozwolił ją sobie zabrać.

Nad płonąca prerią unosiły się potężne słupy czarnego dymu. Płomienie przeskakiwały ze wzgórz na strome stoki, rzucały ponury czerwony blask i miotały w sine niebo węgielki, iskry i popiół. Wiatr dmuchał z południa. Przeniósł ogień z gór na pastwiska Kręgu H.

Wielki dom Hunterów był kupą czarnych dopalających się zgliszczy, gdy przyjechał tam Quinten. Nawet tablica z nazwą, podziurawiona kulami, doszczętnie się spaliła. Natomiast długi szpaler majestatycznych topoli - o dziwo! - ocalał.

To właśnie tam, pod topolami, znalazł żonę ojca.

Musiała uratować konie, a przynajmniej tego jednego - dla siebie. Quinten zeskoczył z wierzchowca i ruszył ku Ailsie, chcąc stanąć obok niej. Nie spojrzała na niego. Patrzyła na ruiny domu, w którym przeżyła szesnaście lat ze swoim mężem, hodowcą bydła, i milczała.

Quinten czuł w oku, a raczej w miejscu, gdzie je przedtem miał, tak ostry ból, jakby wbijano w nie sztyki. Chyba częściowo zatracił zmysł równowagi, od kiedy widział tylko na jedno oko, i nie mógł iść zbyt prosto. Podszedł blisko, potknął się i wpadł na Ailsę. Na ułamek sekundy chwycił ją w pasie, żeby nie upaść. Pachniała dymem, a na bladej twarzy miała sadze.

Odsunęła się i cofnęła o krok.

- On nie żyje - powiedział Quinten. - Johnny Kain go zabił.

Bardzo długo stała nieruchomo, obrócona twarzą ku niemu. Potem zobaczył, że oczy ma pełne łez, które płyną po policzkach jak strużki wśród sadz.

- Dlaczego płaczesz?

Skrzywiła lekko usta.

- Och, ty głupi, głupi chłopaku. Ja go kochałam. Myślisz, że robiłabym to, robiłabym to wszystko, gdybym go nie kochała?

Odwróciła się gwałtownie i wsiadła na konia. Spódnica podsunęła jej się do kolan, odsłaniając cienkie czarne pończochy i zapinane na guziczki pantofle. Wyglądała inaczej, zupełnie jak nie ona, gdy dosiadła konia po męsku. Pomyślał, że tak naprawdę niczego o niej nie wiedział, a teraz już nigdy się nie dowie.

Spojrzał na twarz Ailsy, taką piękną, taką zimną i mokną od leż niepojętej rozpacz.

- Dokąd jedziesz?

Nie sądził, że mu odpowie, ale odpowiedziała.

- Nie wiem.

- Wrócisz tu kiedyś?

- Może.

Patrzył, jak odjeżdżała. Patrzył, póki nie zniknęła mu z oczu. A w Montanie widzi się daleko i długo, nawet gdy ma się tylko jedno oko. Ona tu nie wróci - to wiedział. I pomyślał, że upłynie wiele lat, zanim przestanie na nią czekać.

Syn Rachel szedł przez Miawa City i szukał Johnny'ego Kaina.

Czarna od sadz chmura pochłonęła słońce. Przypomniała mu się opowieść, powtarzana często przez dziadka podczas nabożeństw, o czasie wielkich trzęsień ziemi i głodów, i morów, a także strachów i znaków wielkich z nieba, kiedy to Jezus i Jego ogniści aniołowie zjedzą znów na ziemię i odtąd już nikt nie umrze.

Częścią swojego jestestwa wiedział, że czarna chmura wzięła się z ognia płonącego na owczej górze, ale ta druga część, tkwiąca w klatce piersiowej, gdzie znajdowało się serce pękające z bólu, chciała wierzyć, że owa ciemność to jeden z tych znaków wielkich z nieba, zapowiadająca, że Jezus przyjdzie i pomoże doktorowi Henry'emu

dokonać cudu.

Szedł do stajni i wypożyczalni koni, wzbijając butami kłęby pyłu. Droga była opustoszała i to napawało go obawą, że zawsze już będzie sam. Znalazł Johnny'ego Kaina obok stodoły. Siedział na ziemi oparty plecami o ścianę oklejoną ogłoszeniami o osobach poszukiwanych.

Benjo chciał krzyknąć, lecz nie mógł. Język tak mu się zaplątał, że chyba już nigdy nie uda się go rozplatać. Słowa, potok słów zablokował mu gardło i dusił.

Idąc, tupał głośno, bo Kain miał kolta w ręce i był nerwowy. Jednakże ten go nie słyszał ani nie widział.

W tym momencie Benjo ujrzał, że Kain podnosi kolta do ust i przesuwając go tam i z powrotem po wargach. Potem wkłada lufę do ust i zaciska na niej zęby.

I uśmiecha się.

Chłopiec otworzył usta, ale nic się z nich nie wydobyło. Nie mógł nawet krzyknąć. Myślał, że się udusi własnym oddechem.

Kilka ostatnich kroków pokonał pędem, rzucił się na Kaina i ścisnął z całej siły palcami nadgarstek ręki, w której trzymał broń. Uderzenie wytrąciło lufę z ust Kaina, ale on nadal mierzył sobie w twarz.

Spojrzał na Benja, a mięśnie jego nadgarstka napięły się pod palcami chłopca, gdy z powrotem wkładał wolno lufę do ust.

- Zabiłem ją, partnerze - powiedział głosem cichym i niemal słodkim. - Zabiłem ją.

Benjo energicznie potrząsnął głową, łzy ciekły mu z oczu. W klatce piersiowej gromadziły się i nabrzmiwały słowa, rozpierając skórę i żebra, miażdżąc serce.

- O.....! - krzyknął. - O... o... o... ojczel!

Puścił rękę Kaina, sięgnął do kolta i skierował lufę w powietrze. Broń wypaliła, huk wystrzału niósł się echem w gorącym, gęstym powietrzu.

Po czym wyrwał kolta Kainowi i odrzucił jak najdalej - gwałtownym mocnym ruchem - tak jak to robił, wyrzucając kamień z procy. Patrzyli obaj, jak leciał daleko, niewiarygodnie daleko, szerokim i wysokim łukiem przez ciemne, pełne popiołu niebo, nad gęstwiną wierzb i dzikich czereśni, by wylądować z pluskiem w potoku, wzbijając fontannę srebrzystej wody.

Johnny Kain zapłakał.

Tłumił łkanie dłońmi, które przyciskał do twarzy. Razem z rozpaczliwym, urywanym szlochem z jego płuc wydobywał się oddech. Benjo objął rękami podrygujące ramiona Kaina i tak go trzymał. Zamknawszy oczy, wyobrażał sobie, że otwiera usta i z ust płyną mu słowa - wolno, łatwo jak woda z dzióbka dzbanka.

- D... doktor Henry... On m... ma d... d... dokonać c... c... c... - C u d u.

* * *

Doktor Lucas Henry wszedł do saloniku, wycierając ręce we włochaty ręcznik, i kiedy podniósł głowę, ujrzał Johnny'ego Kaina stojącego w otwartych drzwiach z synem Rachel u boku.

Mężczyzna i chłopiec trzymali się za ręce. Trudno byłoby określić, kto kogo trzyma. Chłopiec był blady, oczy miał powiększone i ciemne. A mężczyzna wyglądał tak, jakby przeszedł przez piekło i wyszedł na miejsce, gdzie słońce spaliło się na popiół, a jego wołającego pozostawiono w ciemnościach.

- Chłopiec mi mówił, że ona jeszcze nie umarła. Że próbuje ją pan ratować.

Doktor wzruszył ramionami.

- Udało mi się wyjąć kulę i częściowo naprawić uszkodzenia. Nie mogę jednak twierdzić, że ją uratowałem. Musi najpierw przeżyć operację. A potem jeszcze grozi poważne niebezpieczeństwo zapalenia płuc.

Lucas wiedział, że jego słowa brzmią brutalnie, ale był zbyt zmęczony, by się tym przejmować. Kiedy wyjął kulę z płuca i zobaczył słabe tętno na szyi Rachel, poczuł się silniejszy od Boga. Teraz jednak pragnął tylko jednego - następnego łyka whisky.

A tu w drzwiach stał Johnny Kain, rewolwerowiec i zabójca własnej żony, i nawet nie drgnął, jakby się bał, że się rozleci przy byle oddechu.

- Na razie położyłem ją w moim własnym łóżku - rzeki Lucas. - Może pan wejść i iść do niej... i jeśli ma pan sumienie, to może pan spróbować się modlić.

- Nie wiem, jak.

- Zawsze może pan zacząć od ukłęknięcia.

To chłopiec ruszył się z miejsca i pociągnął mężczyznę za sobą.

Trzymając się za ręce, podeszli do łóżka. Kain stał i patrzył na Rachel. Chrapliwie wyszeptał jej imię.

Nagle rzucił się na kolana obok łóżka. Jedną ręką objął w pasie Benja, drugą chwycił prześcieradło, które miała zarzucone na piersi. Schylił się, spuścił głowę i przycisnął ją do rozspanych na poduszce włosów, które wyglądały jak rozlane wino.

Lucas, oparty o framugę otwartych drzwi frontowych, z opróżnioną do połowy butelką rose bud w ręce, patrzył na wyludnioną drogę. Gryzący opar zasnuwał widnokrąg, niebo było mroczne. Na południu, tam gdzie leżało ranczo Krąg H, kotłowała się i rosła wielka czarna chmura.

Usłyszał szelest czarnej tafty, poczuł wodę toaletową o zapachu kapryfolium - panna Marilee z „Czerwonego Domu”.

Stała obok niego.

- Ten Johnny Kain to rzeczywiście kocha tę kobietę. To będzie naprawdę dla niego ciężki cios, jeśli ona umrze po tym, co zrobił.

- „Dwie znam miłości, rozpacz i pociechę”³ - zanucił Lucas.

Zerknął na nią z ukosa i z rozmysłem kpiąco uniośł brwi.

- To Szekspir, panno Marilee.

Wzruszyła lekko i z wdziękiem ramionami, potrząsając krótkimi loczkami. Zauważył, że ma krew Rachel na mankietach i krwawą smugę na szyi, jakby ślad po pocałunku.

- O tym nic nie wiem, Luc. Ale wiem, że są różne rodzaje miłości. Głęboka i powierzchowna, czysta i nieprzyzwoita, błogosławiona i przeklęta. A najlepsza, jak sądzę, jest ta, która powraca do ciebie od tego, komu ją ofiarowałeś: jasna i oślepiająca jak słońce odbijające się od zwierciadła.

- Kochałem tak kiedyś i w efekcie dlatego ją zabiłem. - Zaskoczyły go te słowa wypowiedziane bez zastanowienia. Palily mu gardło jak ogień, szarpały wnętrzości, rozrywały stare rany, które ropiały i goiły się przez wiele lat.

Odwrócił się, stając twarzą ku niej tak, żeby mogła zajrzeć mu w oczy i ujrzeć go takim, jakim był naprawdę.

- I dokładnie to mam na myśli, moja droga. Jestem zabójcą swojej żony tak jak Johnny Kain.

Widział, że jej oczy robią się okrągłe pod wpływem bólu i szoku, i niemal się uśmiechnął, bo wreszcie miał, co chciał. Albo myślał, że chciał. Jednakże lata złopania whisky nauczyły go, by nie dowierzać sobie ani własnym motywom. Zawsze był dla siebie najgorszym wrogiem.

Odwrócił się od niej i znowu oparł o futrynę. Skoncentrował wzrok na podświetlonych płomieniami chmurach dymu kłębiących się na widnokręgu.

- Nie chcę, żebyś niewłaściwie poukładała dawne sprawy w swojej ładnej i pustej główce, panno Marilee. Nie zostałem pijakiem dlatego, że zabiłem swoją żonę, rozumiesz? Zabiłem żonę dlatego, że jestem pijakiem.

Uniośł butelkę rose bud i przez zielone szkło i bursztynowy płyn popatrzył na świat, po czym pociągnął z niej łyk, udowadniając Marilee i sobie, że jest tym, za kogo się uważa.

- Błagała mnie, żebym skończył z piciem - rzekł. - A ja obiecałem, że skończę, ale naprawdę nigdy o tym nie myślałem, bo pijak nie wyobraża sobie gorszego losu od pozbawienia go butelki whisky. Pewnego wieczoru wróciłem do domu, oczywiście pod dobrą datą, i zastałem ją na pakowaniu swoich ubrań do skrzyni. Zamierzała mnie opuścić, tak jak zapowiedziała. Doszło do kłótni, ja ją uderzyłem, a ona zleciała ze schodów i skrzyła sobie kark. Chciała mnie ratować i ja to wiedziałem, zabiłem więc żonę, zanim mogła to uczynić. Nie uważasz, że tak musiało być, słodka Marilee?

Cofnęła się o krok i skrzyżowała ręce na piersiach. W jej oczach pojawił się błysk.

- Zwolniono mnie z kawalerii i za to, co zrobiłem, spędziłem siedem lat w więzieniu w Leavenworth. Pewno uważasz, że to niedostateczna kara, a jednak się mylisz. - Uśmiechnął się i natychmiast sobie uświadomił okropność tego uśmiechu. Podsunął Marilee butelkę z whisky, przechylając ją tak, by promienie słońca załamywały się w bursztynowym płynie. - Bo ja znalazłem sposób, by dostać się do piekła bez umierania.

Potrząsnęła głową tak mocno, że samotna łza spadła jej na policzek.

- To, że teraz wiem, co zrobiłeś, niczego nie zmienia. Pewno powinno, ale nie zmienia. Kocham cię, Luc, i tak będzie nawet wówczas, gdybyś nie mógł odwzajemnić mi tej miłości.

Lucas przymknął oczy i stłumił westchnienie. Nie wiedział, jak ma jej wytłumaczyć, że bardziej pragnie whisky niż czyjeś miłości.

- Myślisz, że wiesz, co mówisz, a tak nie jest. Myślisz, że uda ci się mnie zmienić, a nie uda. Może nie skrećę ci twojego ładnego karku, ale i tak w końcu cię zranię.

Walnęła się pięścią w pierś tak mocno, że usłyszał.

- Och, czyż nie rozumiesz, Luc? Ż y c i e i tak mnie w końcu zrani, więc dlaczego nie ty?

Patrzył na Marilee. Jej pierś falowała wzburzoną oddechem, policzki rozkwitły rumieńcem jak cieplarniane róże. Wilgotne i duże oczy mogłyby zaćmić błękitem niebo. „Jest słodka i ładna - pomyślał - i pewno naprawdę mnie kocha na swój sposób”.

Rozwarła rękę i opuściła ją, nie patrząc w jego stronę.

- Pójdę do „Czerwonego Domu” i wezmę kąpiel - powiedziała, gdy cisza zanadto się przeciągała. - Ale potem wrócę, jeśli potrzebne ci towarzystwo.

- To nie sobota.

Szturchnęła go w ramię.

- Och ty! Nie mówiłam o zabawianiu się w żadne gry łóżkowe. Zawsze jeszcze pozostaje rozmowa. Prowadziłeś kiedy rozmowę z jakąś kobietą, doktorze Henry?

³ Sonet CXLIV Williama Szekspira w przekładzie Jerzego S. Sity.

Roześmiał się i poczuł, że serce w nim topnieje. Jednakże taki sam efekt dawała czasem whisky i nie potrafiłby tego uczucia odróżnić.

Pomasowała mu ramię tam, gdzie go przed chwilą szturchnęła.

- Wróć. Bo co jak co, ale ja zawsze postawię na swoim.

Patrzył, jak odchodziła, kręcąc biodrami i potrząsając swoimi skromnymi spódnicami. Dzisiaj po raz pierwszy dostrzegł, że Marilee można przypisać nie tylko rozpaczliwą ignorancję i zmysłowe ciało, lecz także podziwu godny charakter. Przeraził się, że ona wbrew wszystkiemu nadal go kocha.

Patrzył za nią, póki nie skręciła na drogę prowadzącą do „Czerwonego Domu”. Potem jego uwagę zwrócił kurz, jaki wzbijał wóz prostaczków. Mężczyzna zatrzymał pojazd na skraju miasta i zeskoczył na ziemię. Wolno zmierzał w stronę doktora, lecz nie podszedł do jego domu.

Stał na środku drogi, a gorący porywisty wiatr szarpał jego długą czarną brodę. Stał w milczeniu i czekał. Doktor odniósł wrażenie, że człowiek ów ma w sobie tyle cierpliwości, iż może czekać wiecznie.

Doktor nie miał jej tyle. Postawił butelkę na drewnianym chodniku i poszedł porozmawiać z tym człowiekiem. Opuścił sobie grzecznościowe powitanie, bo prostaczek czegoś takiego nie oczekuje ani nie pragnie.

- Jeśli przyjechał pan z powodu Rachel, to mogę powiedzieć, że na razie żyje, choć niczego więcej obiecać nie mogę. I nie zabierze jej pan nigdzie, chyba że po moim trupie. Może pan jednak wejść i ją zobaczyć, jeśli pan chce.

Nie spodziewał się odpowiedzi od tego człowieka. Jego brodate oblicze i jasnoszare oczy były bez wyrazu.

- Nie - odezwał się nieoczekiwanie prostaczek, wydmuchując mocno powietrze. - Moja córka dla mnie umarła, ale da mi pan znać, jeśli umrze, *ja?*

- Tak, dam znać - potwierdził doktor, niczego nie rozumiejąc. Odniósł jednak wrażenie, że już samo przybycie tu zmusiło tego dużego małowórnego prostaczka do częściowego wyrzeczenia się swojej rzadkiej i cennej niewinności.

Rachel otworzyła oczy i pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, było to, że jej *englische* mąż klęczy przy łóżku, a obok niego stoi jej syn. Uśmiechnęła się zatem.

Benjo miał twarz mokrą, pomyślała więc, że widocznie pada deszcz, i ucieszyła się, bo lato dotąd było bardzo gorące i suche. Potem zaczerpnęła powietrza i tak ją to zabolalo, że miała wrażenie, jakby w jej płucach buchnęły płomienie.

Nagły przypływ bólu uświadomił Rachel, co się stało, i ta świadomość była równie okropna jak ból w piersiach.

Oddychała, ciężko dysząc. Pokój ciemniał i rozplýwał się przed oczami. Czula ziąb w całym ciele i tylko w piersiach ogień; wiedziała, że umiera. Benjo. Ona umiera i zostawia syna, żeby bez niej dorastał.

Jak najszybciej otworzyła oczy, chcąc zobaczyć swojego Benja; zrobiło się jednak ciemno i tak bardzo było jej zimno!

Mąż ujął jej rękę i podniósł do ust.

- Rachel - wyszeptał.

Zaczerpnęła powietrza, które wypełniając płuca, sprawiało jej ból niemal nie do wytrzymania.

- Zabiłeś mnie, Johnny Kainie. Ty i twój kolt.

Nie była pewna, czy to powiedziała, czy tylko pomyślała.

On jednak musiał jakimś cudem to usłyszeć, bo przycisnął twarz do jej szyi i poczuła na niej lzy.

- Gdybym mógł odejść zamiast ciebie... Rachel, och. Boże, Rachel! Pozwól mi umrzeć za ciebie.

Nie rozumiał, zawsze miał takie trudności ze zrozumieniem zarówno jej, jak i jej wiary. Nie bała się śmierci, przecież znajdzie się w kochających ramionach swego Ojca w niebiesiech. Lecz bolało ją serce na myśl o kochających ramionach tych, których porzucała, na myśl o tych wszystkich przyjemnych chwilach na zawsze dla niej straconych.

Słyszała, że syn potyka się na uwięzłych w gardle słowach, i po omacku poszukała jego ręki. Tyle miała do powiedzenia, do zaoferowania zarówno swojemu synowi, jak i swojemu mężowi. Tak trudno jednak mówić, gdy każdy oddech parzy jak połykany ogień.

Dłoń syna wydawała się mała i drobna w jej ręce i nie mogła tego wytrzymać.

- Benjo... bądź silny, bądź dobry... kochaj Boga.

Obróciła głowę, muskając wargami policzek męża.

- Johnny... nie zapomnij nigdy, jak cię kochałam.

Z głębi jego gardła wyrwał się krzyk rozpaczny.

- Przebacz mi, Rachel!

Nie, on nie rozumiał. Nie chodzi o przebaczenie. Kochała go taką miłością, która potrafi przebaczyć wszystko. Lecz nawet gdyby nigdy go nie kochała, to i tak musiałaby przebaczyć.

- Jestem prostaczką - powiedziała resztką sił, zanim ogarnęły ją ciemności. **W s w o i m s e r c u j e s t e m p r o s t a c z k ą.**

Nad Miawa City zaległa noc i cisza, ale w domu doktora Henry'ego przy łóżku śpiącej kobiety paliła się lampa.

Obok na skórzanym wolterowskim fotelu siedział mężczyzna. Kiwała mu się głowa, gdy zapadał w niespokojną drzemkę.

To wiatr ją obudził; poświstywał w rurze od kuchennego pieca, huczał nad blaszanym dachem, pobrzękiwał sztyldem baru w sąsiedztwie.

Rachel zaczerpnęła powietrza i z zadowoleniem stwierdziła, że może to zrobić, i nie boli już tak strasznie jak przedtem. Czuła się oszołomiona, jakby wszystkie jej zmysły opakowano wełną; strzępy dziwnych wspomnień kołatały się w głowie.

Mężczyzna na fotelu poruszył się i pochylił nad nią. Na twarzy miał ciemny zarost, powieki zaczerwienione, oczy nieprzytomne, lecz nawet w przyćmionym świetle lampy naftowej widziała, że promienieje szczęściem.

- Nie zamierzam przeżyć tej miłości, szanowna pani - powiedział Johnny Kain. - Byłbym więc rad, gdybyś mi nie umierała.

Uśmiechnęła się do niego, bo teraz wiedziała, że nie umrze, i ponieważ powiedział jej po swojemu, w ten swój okrężny sposób, że ją kocha.

Szukała wzrokiem syna w przyciemnionym przez noc pokoju.

- Benjo! - zawołała głosem przypominającym skrzeczenie żaby.

- Benjo śpi. Pójdę po niego.

- Nie, jeszcze nie... za chwilę... - Znowu ogarnęły ją fale wspomnień: przyjemne i słodkie, pełne cudownego i oślepiającego światła. Zamknęła oczy, próbując je zatrzymać, ale były nieuchwytnie, słaby... zniknęły.

- Johnny, ja śniłam. I w tym śnie słyszałam najpiękniejszą muzykę. Chciałam tam pozostać z tą muzyką, ale nie mogłam. Musiałam wrócić do ciebie i naszego Benja.

- Miałaś zapalenie płuc. Tyle razy umierałaś, że wszyscy straciliśmy już rachubę. I doktor Henry mówił, że zgłosi cię do pewnego medycznego pisma jako naukowy dowód na to, że cuda się zdarzają.

- Myślisz, że to był cud?

Oderwał od niej wzrok i spojrzał na ręce, które trzymał między kolanami. A kiedy znowu podniósł głowę, Rachel ujrzała w jego oczach dawną ostrożność, ale zarazem kruchą nadzieję. „P o t r z e b n a mu jest wiara i być może wiara na tym się zasadza - pomyślała. - Po prostu potrzeba wierzenia”.

- Kocham cię, mój *englische* mężu - powiedziała.

Na jego zapadniętych policzkach pojawił się rumieniec.

- Taak, ja też - odparł. - To znaczy czuję to samo, co ty. Do ciebie.

Zaśmiała się, choć sprawiało jej to ból. Myślała, że rozstaną się na zawsze, a tymczasem znów mieli to wszystko - swoje życie i swoją miłość. Wędrowała pełnym czułości spojrzeniem po całym jego ciele, by zatrzymać je na biodrach.

Nie było tam ani pasa, ani kolta.

- Jest gdzieś na dnie Miawa Creek - powiedział, choć nie pytała.

- I ma tam zostać, Johnny? Czy też pójdziesz i kupisz sobie inną broń?

Spojrzel na siebie, a jego oczy nie były już ani puste, ani zimne.

- Kocham cię, Rachel. I tak bardzo mnie to przeraża, że nawet trudno mi o tym mówić. Lecz nie mogę dla ciebie stać się prostaczkiem. I nie mogę odmienić tego, co robiłem, ani tego, jakim byłem człowiekiem.

Chciała wyciągnąć rękę i dotknąć go, dotknąć twarzy, ust. Kiedy jednak spróbowała, ledwie udało jej się poruszyć palcami. Wciąż była taka słaba, choć wewnętrznie czuła się silna. Silna i pełna wigoru.

- Wiem, jaki jesteś, Johnny - powiedziała. - I zawsze to wiedziałam. Przeszłość minęła, a Bóg przez swój cud dał nam przyszłość.

- Moja przeszłość może mnie zawsze odnaleźć - odparł. - I ja nie ucieknę, wiesz, że nie ucieknę.

Wiedziała. Od samego początku pogodziła się z tym, że kochanie tego człowieka będzie trudne i niebezpieczne.

Musiała go dotknąć. Uniosła rękę, a on w tym samym momencie po nią sięgnął. Ucałował jej dłoń, potem nadgarstek, tam, gdzie wyczuwało się bicie serca.

- Rachel, chcę...

- Czego chcesz, Johnny?

Wymienili uśmiechy, szerokie i czułe jak pocałunek.

- Niczego, tylko pojechać do domu i hodować owce, i patrzeć, jak dorasta nasz Benjo, i spędzić resztę życia, kochając ciebie. Tylko tyle.

- Oczekujesz wiele, innowierco.

Przyłożył do swego policzka jej rękę. A uśmiech miał tak tkliwy i łagodny, że aż serce bolało.

- To, czego się nauczyłem o miłości, nauczyłem się od ciebie. Nie wierzę w nic, ale wierzę w ciebie.

Podniósł rękę Rachel do ust i kostkami jej palców pocierał wargi, swoje męskie wargi, które wyglądały na twarde, a były miękkie, delikatne i kochające.

- Znałem taką pieśń - powiedział jeszcze. - Psalm, który śpiewaliśmy w kościele, kiedy byłem chłopcem. - I przytoczył jego słowa głosem głębokim, przepelnionym uczuciem, ofiarowując je w darze wraz z miłością: - „Zdumiewająca łaska jakże jest słodka...” A dalej już nie pamiętam, z wyjątkiem tego: „Zabłąkałem się kiedyś, a

teraz mnie znalezione”.